



Anna Maxted

**BIEGNAĆ
NA OBCASACH**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Panna młoda wdrapuje się na drzewo.

— Babs, ta gałąź może się złamać. Czy to aby na pewno...? Trzask! Plusk!

— No, ale — mówi zadowolone z siebie brązowo-zielone stworzenie ubabrane w błocie, gramoląc się ze stawu — przynajmniej udało mi się ściągnąć piłkę.

„Achy” i „ochy” przywołują mnie do rzeczywistości i ze zdumieniem zauważam, że panna młoda dawno przestała być dwunastoletnią dziewczynką, a na dodatek jest zupełnie sucha. Stała się dorosłą, piękną kobietą, która wygląda, jakby zeszła z obrazu Botticellego. Gdy zatrzymuje się i odwraca w stronę narzeczonego, dochodzi mnie szelest jedwabiu i tafty. Spogląda na niego z taką czułością, że zawstydzona odwracam głowę. W tle słyszę chyba gęganie ptactwa albo może to moja matka wyciera nos. Ksiądz uśmiecha się krzywo, czekając znacząco, a kiedy zapada cisza, wówczas w swym przemówieniu zaczyna porównywać małżeństwo do stawiania domu.

Wyciągam szyję ponad kapelusze z piórami, a mój brat trąca mnie boleśnie łokciem w bok i mówi:

— Nie ma to jak panna młoda przy kości. Kiedy człowiek na nią patrzy, przypomina mu się, że czas zrezygnować ze słodyczy.

Robię się czerwona z oburzenia.

— Przestań, Tony! — szepczę mu do ucha. — Babs jest po prostu silnie zbudowaną kobietą.

Mój brat ma potrzebę zwracania na siebie uwagi, jak inni mają potrzebę oddychania, ale mimo jego impertynencji, to i tak wielki dzień w życiu Babs. Dziś jej marzenie stało się rzeczywistością, spowitą w mgłę konfetti i koronek. Moja najlepsza przyjaciółka promienieje ze szczęścia. Jestem przekonana, kiedy tak siedzę, wzdychając i krzycząc z zachwytem, że nie zapomnę tej chwili do końca swego żywota. To jednocześnie początek i koniec. Początek jej małżeństwa i koniec czegoś pięknego — naszej przyjaźni.

Stwierdzenie, że Babs jest moją najlepszą przyjaciółką, równa się stwierdzeniu, że Einstein był dobry z rachunków. Nikt inny nie zna nas lepiej niż my siebie nawzajem. Od dwunastego roku życia jesteśmy siostrami krwi (udało nam się tego dokonać, zanim moja mama wydarła Babs brzytwę z ręki). I jeśli ktoś miał kiedyś prawdziwego przyjaciela, to dobrze wie, o czym mowa. Jeśli ktoś miał prawdziwego przyjaciela, to nie muszę opowiadać o wspólnym picciu wina z jagód, a potem jazda na sygnale do szpitala, a po drodze wymiotowanie na ciemnogrnatowo. Albo nasz wymyślony język (na szczęście dla mnie, bo inaczej spaliłabym się ze wstydu). Albo jak kiedyś dotykałyśmy się językami, aby poczuć podniecenie. Albo wspólna, wakacyjna wyprawa do Hiszpanii w wieku szesnastu lat. Albo kiedy Babs umówiła się z najfajniejszym, najprzystojniejszym chłopakiem w szkole, a mnie wrobiła w randkę z jego dużo niższym i przedwcześnie łysiejącym kumplem (na marginesie — ja też nie byłam w

jego typie). Albo kiedy Babs doszła do wniosku, że jest w ciąży, i urwałyśmy się z biologii, aby wybrać pigułkę od lekarza.

Nie muszę opowiadać o niekończących się rozmowach na przeróżne tematy: o stosowaniu pasty do zębów w walce z trądzikiem młodzieńczym, o wycieczkach niektórych tatusiów w towarzystwie swych sekretarek do Los Angeles (akty cudzołóstwa rzadko kiedy mają oryginalną oprawę), o przymerzaniu po raz pierwszy stanika w sklepie i o opryskliwej, leciwej już ekspedientce pytającej głośno o twój rozmiar, o tym, która wyjdzie za Matta Dillona, o noszeniu aparatu korekcyjnego, jaki na pewno nie spodobałby się Hannibalowi Lecterowi; o matkach odbierających swoje dziecko z imprezy, ubranych w płaszcze, spod których wylażą nocne koszule — w sumie mnóstwo wspólnych rozmów prowadzonych na drodze ku dorosłości.

Nawet później, kiedy pojawiły się nasze plany zawodowe, nie potrafiłyśmy znieść rozłąki. Wybrałam college w Londynie, aby być razem z Babs. Mieszkałyśmy wspólnie i prowadziłyśmy wspólne życie. Żaden facet nie znał tak dobrze naszych słabych punktów jak my wzajemnie. Pojawiali się na horyzoncie i znikali — i nie traktowali tych związków zbyt serio. Było kilku poważnych chłopaków, jednak większość chciała się tylko dobrze zabawić. Nie przejmowałyśmy się tym zbyt. Zawsze przecież był ten następny sobotni wieczór. Poza tym najbardziej liczyła się nasza kariera zawodowa. Żyłyśmy z Babs w fantastycznej harmonii i żaden facet nie był nam potrzebny do szczęścia.

A wtedy właśnie pojawił się Simon.

Kiedy wsuwa jej obrączkę na palec, widzę, jak drży mu ręka. Dlaczego? Czy powodem jest zdenerwowanie, czy może kac? Zaczęły mnie nachodzić wątpliwości w tej kwestii, więc zaksiegowałam je pod hasłem zazdrość, po czym uściskałam szczęśliwą młodą parę, a gdy potem Tony szepnął mi do ucha: „Naliczyłem siedemnaście sznurów pereł”, zignorowałam jego uwagę.

Przeczisnęłam się przez uperfumowany tłum, by sprawdzić, kto z kim siedzi. Rozkład gości wisiał na okazałych sztalugach. Mam nadzieję, że posadzą mnie w towarzystwie (przynajmniej) jednego z włoskich krewnych Babs (jej matka, Jackie, pochodzi z Palladio, małego miasteczka blisko Vincenzy, którego wszyscy bez wyjątku mieszkańcy — wyglądający jak gwiazdorzcy filmowi — zjawili się na ślubie). Przebiegłam wzrokiem wszystkie wizytówki zaczynające się od słowa „pani”, aż zobaczyłam napis: Panna Natalie Miller — stół nr 3, i z rozczarowaniem skonstatowałam, że brakuje przy nim obecności panów obdarzonych nazwiskami Cirelli czy Barbieri, za to dzieli mnie niewielka odległość od Pani Sheili Miller — stół nr 14.

Taki właśnie minus mają przyjaźnie zawiązane w dzieciństwie. Rodziny uzurpują sobie prawo do wtrącania się i zanim człowiek zdąży wspomnieć o „nadzorze rodzicielskim”, a już jego macki zaciskają się wokół ciebie.

Matka przez całą ceremonię warowała przy mnie jak cień, więc cieszyłam się, że chociaż nie będziemy siedziały razem. Pewnie nawet jedzenie próbowałyby mi pokroić.

Kiedy tak sobie rozmyślałam, poczułam klepnięcie w tyłek i podskoczyłam.

— Ubrudziłaś się — szepcze konspiracyjnie moja matka. Lustruje mnie szybko, ślini swój palec i wyciera mi policzek.

— Mamo, czuję się jak statystka z filmu *Goryle we mgle*. Co ty wyprawiasz?

— Szminka ci się rozmazała, kochanie.

— No to, dzięki. — (Bezczelnością z mojej strony byłoby zwracać jej uwagę, że wolę rozmazaną szminkę niż ślinę).

— A z kim cię posadzili? — pyta, zerkając z ciekawością na tablicę.

— Z Tonym...

— A widziałaś, jak wspaniale wygląda we fraku?

— Z Frannie...

— Z Frances Cramp! Zwróciłaś uwagę na jej makijaż? W tej fioletowej spódnicy wygląda jak Cyganka. Nie wiem, dlaczego ta Babs tak ją lubi. No i z kim jeszcze?

— No... jeszcze z facetem o nazwisku Chris Pomeroy...

— Pomeroy? To nadaje się dla pudła. I z kim jeszcze?

— Z Andym...

— Bratem panny młodej? Posadzili cię obok brata panny młodej! No, no, co za zaszczyt! Muszę się z nim przywitać, dawno go nie widziałam, a ta cała afera z jego narzeczoną, co za wstyd, ot, tak sobie rzucić pracę. Chyba wrócił w zeszłym tygodniu, kochanie, nie zapomnij podziękować Jackie, napisz do niej parę słów i nie zaszkodzi zadzwonić, oczywiście, nie jutro — będzie strasznie zajęta — poczekaj do poniedziałku, tak będzie najlepiej, prawda? Tak, najlepiej, zrób to w poniedziałek, w dzień po ślubie córki jest zawsze najwięcej roboty, choć w rzeczy samej, skąd ja mam cokolwiek na ten temat wiedzieć?

Jak można zauważyć, moja matka ma zwyczaj myśleć na głos. Robi to bez przerwy, pewnie dlatego, że mieszka sama. Ale łatwiej znaleźć wytłumaczenie, niż znosić takie zachowanie.

Kiedy mistrz ceremonii ogłasza:

— Panie i panowie, dziewczęta i chłopcy, proszę zajmować miejsca! — pierwsza ochoczo korzystam z zaproszenia.

Krzesała przystrojone są śniegowymi różami. Białe róże w styczniu. Zajmuję swoje miejsce, zanim ktokolwiek zdążył zbliżyć się do stołu. Zerkam na wizytówki. Po lewej mam Tony'ego, a po prawej tego faceta o psim nazwisku. Frannie — to niefortunne posunięcie można porównać z podaniem piromanowi lutownicy — też siedzi obok Tony'ego. Zaczynam studiować menu (które znam zresztą już na pamięć, Babs poświęciła mu bowiem tyle czasu, ile średniowieczny skryba poświęcił na spisanie Wielkiej Karty Swobód), a w tym momencie stojące obok krzesło odsuwa się energicznie i opada

na nie facet w białej marynarce oraz pomiętej czarnej koszuli. Podnoszę głowę, uśmiecham się blado, a on kiwa zdawkowo głową.

Spod menu ukradkiem spoglądam na Andy'ego. Pochylony nad stołem przysłuchuje się, co mówi Frannie.

W oczach Tony'ego pojawiają się błyski.

— Wystarczy już, Anders! — drze się, ucinając paplaninę Frannie jak nóż kawałek słoniny. — Jak leci? Aleś się odstrzelił!

Andy, którego opalenizna wzbudza moją irytację, podnosi rękę i odzywa się z uśmiechem:

— Cieszę się, że cię widzę, Tony — odpowiada. — Później pogadamy. — Po czym dodaje uprzejmie pod moim adresem: — Witaj, Natalie. — Po tych słowach odwraca się do Frannie.

Może on posiada selektywną pamięć, ale nie ja. Dwanaście lat temu, kiedy razem z Babs byliśmy czternastoletnimi pannicami, nasi starsi bracia przyjaźnili się ze sobą. Mieli mnóstwo wspólnego, na przykład obsesyjne pragnienie, by obrzydzić życie swoim siostrom. Od czego tu zacząć? Kiedyś wzięliśmy Silky Drawersa, psa Babs, na spacer i natychmiast wyrósł przed nami Tony i wydarł się na całą okolicę:

— Anders, patrz, trzy psy idą na spacer!

Kiedyś razem z moją mamą podwoziłyśmy Andy'ego do domu, a ja po drodze śpiewałam sobie w samochodzie, w związku z czym mój brat stwierdził później: „Anders powiedział, że bardzo go ubawił twój występ”. Innym razem Andy wypuścił z klatki moją papugę, bo „sprawiała wrażenie, że ma depresję”, a gdy usiadła na zasłonie, Tony, próbując zachęcić ją szczotką do sfrunięcia, rozwalił jej głowę.

Pamiętam jeszcze wiele innych, podobnych numerów.

Wyglądałam serwetkę leżącą na kolanach. Widzę, jak Tony peszy się na widok małej kamery umieszczonej na stole po to, aby goście mieli pamiątkę ze wspólnej zabawy. Odkręca ją szybko, nachyla się i chowa kamerę pod stół, zamiatając rękami podłogę jak orangutan. Następnie, niby przypadkiem, ustawiają tak, by było widać, co Frannie ma pod spódnicą.

— Przestań! — szepczę, dusząc się ze śmiechu. — Proszę cię, nie rób tego. Znasz ją przecież. Zaskarży cię do sądu.

Na te słowa mruży swoje niebieskie oczy i wybucha śmiechem. Prostuje się na krześle i trąca mnie lekko w ramię.

— Przecież to tylko zabawa, maleńka — uśmiecha się. — Szkoda, że nie widzisz swojej miny. Warto było.

Tony, choć w tym roku stuknie mu trzydziestka, zachowuje się jak nadpobudliwe dziecko — nie potrzebuje ani węglowodanów, ani zachęty. Staram się zachować powagę i zezuję na kartkę z psim nazwiskiem. Stukam faceta w ramię i mówię:

— Przepraszam, Chris, czy byłbyś tak uprzejmy i nalał mi wody?

Właściciel tego imienia, pochłonięty dzieleniem papierosa na kremowym obrusie, powoli odwraca się, spogląda na mnie i w tym momencie serce zaczyna walić mi jak młotem. Bardzo chciała-bym rzucić jakiś dowcip albo zapaść się pod ziemię. Facet ma twarz upadłego anioła. Ciemne, zmierzwiłone włosy, kilkudniowy zarost, posępne, brązowe oczy i szerokie, wykrzywione w cynicznym uśmiechu usta. Moja mama powiedziała by o nim, że wygląda jak ćpun na odtruciu. Jeśli chodzi o mnie, to chętnie towarzyszyłabym mu na tym odtruciu. Najpierw przez ułamek sekundy patrzy, jak biust mi faluje, a potem od niechcienia rzuca okiem na kartę z moim nazwiskiem i cedzi przez zęby:

— Byłbym tak uprzejmy.

Bierze butelkę perriera i nalewa mi wodę.

— Dziękuję bardzo — szepczę, przeklinając w duchu swoją matkę za wpajanie mi do głowy zasad dobrego zachowania. Chris z poważną miną odchyła się do tyłu. Łapię swoją szklanę — ale nadal czuję się otumaniona jak szczur po przeprowadzonym doświadczeniu — i nie mogę unieść jej do ust. Już mam pociągnąć łyk, a wtedy on zwraca się do mnie tymi słowami:

— Twoje wargi stworzone są do seksu.

Z wrażenia prawie odgryzłam kawałek kryształowej szklanki. Przez chwilę czuję pustkę w głowie, jednak ni stąd, ni zowąd udaje mi się wykrztusić:

— Szkoda, że nie będziesz mógł tego sprawdzić.

Pędzę po schodach na papierosa i próbuję dojść do siebie. Drżącą ręką wciskam zapalniczkę. Nie umiem wyrazić słowami tego, co czuję. I co taki Chris robi na weselu Babs? Nieczęsto spotyka się na ślubnych imprezach ciemnowłosych, seksownych przystojniaków. (Dobrze wiedziałam, że oddzieli mnie od Włochów kordonem). Na takich uroczystościach przeważają łysiejący faceci w krawatach z domu towarowego, którzy zajmują się drobnym handlem i zaśmiewają z własnych dowcipów.

Chyba muszę podziękować panu młodemu za ten szczęśliwy zbieg okoliczności. Pewnie gdyby to Babs decydowała, kto ma z kim usiąść, wówczas zgodnie z jej zasadą: „Lepiej zapobiegać, niż leczyć”, usadowiłaby mnie obok księdza wikarego. Uśmiechnęłam się do swoich myśli i przechyliłam przez poręcz balkonu. Andy przez cały czas słucha paplaniny Frannie. W tej chwili jednak znacząco podnosi palec i wstaje. Ciekawe, dokąd idzie? Spoglądam na główny stół i widzę, jak panna młoda pochyła się w stronę męża. Simon jak połykacz ognia odchyła głowę do tyłu i pije szampana z ogromnego kielicha. Babs szepcze mu coś do ucha. W tym momencie on odsuwa od ust swój kieliszek.

Zamykam oczy. Babs nadal byłaby wolna, gdyby nie ja. To ona miała ochotę iść do klubu. („No, Nat. To wieczór w stylu lat siedemdziesiątych. Mam już dość współczesnej muzyki. Mam ochotę się przebrać!”). I to właśnie ja podeszłam do Simona. Zwykle sama nie zagaduję facetów. Wolę zbliżyć się do niedźwiedzia grizzly: człowiek ma większe szanse, że ci nie odmówi.

Jednak tym razem było inaczej. Próbowalam zlokalizować, skąd dochodzą dźwięki przeboju *Ain't No Stoppin' Us Now*. Słyszając tę dyskotekową melodię, zrobiło mi się głupio, że włożyłam poncho. W tym momencie wyrósł przede mną długi jak tyka facet w brązowych butach na wysokich obcasach, przypominający bohatera kreskówek. „A gdzie się podział Scooby?” — spytałam w duchu. Ale Shaggy (komiksowy towarzysz Scooby'ego) spojrział na mnie jak na powietrze i położył rękę na tylnych partiach Babs, a potem krzyknął jej w same ucho. Pewnie coś w stylu: „Czy nie jesteś modelką?”.

Moja przyjaciółka, ważąca siedemdziesiąt kilo żywej wagi, zburzyła włosy i odczekała chwilę, aż jej komiksowy amant rozluźni się. Wtedy zrobiła poważną minę — tak samo jak szefowie mafii raptownie wstrzymują śmiech tuż przed egzekucją swej ofiary — i wrzasnęła:

— Odbiło ci? — Facet, który ma trochę oleju w głowie, nie odpowiada na takie pytanie, ale Shaggy zachichotał idiotycznie i zaryczał:

— Nie. Ale powiedz poważnie, czym się zajmujesz? Babs wrzasnęła:

— Pożeram takich jak ty na śniadanie. Shaggy uśmiechnął się głupkowato i krzyknął:

— Nie mogę się już doczekać.

Czułam się jak piąte koło u wozu. Nieznacznie odsunęłam się od nich, zapaliłam papierosa, aby zaznaczyć swoją obecność i przyglądałam się, jak Babs tańczy. Po chwili podeszła do mnie niepewnym krokiem.

— Ma na imię Will — próbowała przekrzyczeć hałas. — Nie jest takim idiotą, na jakiego wyglądasz. Chodź, poznasz się z jego kumplami.

Świadoma, że mam na sobie kolekcję o nazwie: „Dawno minioną epoką”, kiedy inne dziewczyny wyglądają, jakby zeszły z okładki, stanowczo odmówiłam.

— Spójrz na mnie, w tej jaskrawoczerwonej peruce wyglądam jak ten klaun, Ronald McDonald. Lepiej pójdę sobie do domu.

Babs zrobiła kwaśną minę.

— Ale nie masz nic przeciwko, że ja zostanę? — spytała. Nie wiedziałam, co powiedzieć, ale w końcu skinęłam głową.

— No pewnie, że nie. Zostań, jeśli masz ochotę.

Moja przyjaciółka uśmiechnęła się zadowolona i odparła:

— To w porządku. — A potem dodała jeszcze skromnie: — Nie wiem, dlaczego on poderwał mnie, kiedy ty byłaś tuż obok — chyba jest ślepy.

Ślepy i pijany — prawdopodobnie. Pocieszające stwierdzenie. Ale ponieważ kwestia w stylu: „Ja jestem taka okropna, a ty super”, została wymyślona przeze mnie, nie dałam się na nią nabrać.

— Baw się dobrze — mruknęłam. — Do jutra.

Zdruzgotana pomaszerowałam do toalety, a wychodząc z niej, w drzwiach minęłam się z Babs.

— Will poszedł zamówić mi red bulla — zaszczębiotała radośnie. — Zobacz, jaki ma zgrabny tyłek!

Posłusznie skierowałam głowę w stronę baru w poszukiwaniu jego kształtnych pośladków, jednak nie zauważyłam ani jednego. Ale za to ujrzałam grupę facetów skrecających się ze śmiechu. Tylko jeden z nich przecząco kręcił głową.

— Świnia z ciebie, Will — cedził potrząsający głową wysoki facet w koszuli safari i ciemnych spodniach. — Jesteś zerem.

— Zero kojarzyło mi się głównie ze stanem mego konta, ale zaintrygowana postanowiłam słuchać dalej. Przysunęłam się bliżej.

— Zobaczysz, że się dowie. Za każdym razem tak było.

— Na pewno się nie dowie. Wróci dopiero jutro wieczorem. Zamówiłem dziewczynie tylko drinka, a nie pieprzyłem się z nią!

Domyśliłam się, o co chodzi. A że jestem osobą, która nie da sobie w kaszę dmuchać, dlatego nie pozwolę, aby z Babs robić idiotkę. Popukałam Willa w plecy i powiedziałam:

— Na twoim miejscu sama bym wypila tego drinka. Facet ryknął śmiechem.

— Tak? A dlaczego?

— Bo jak Babs się dowie, jaka z ciebie gnida, wyleje ci to na łeb.

Ponownie ryknął rozbawiony, natomiast jego potrząsający głową kumpel sprawiał wrażenie zawstydzonego.

— Kim jesteś? — spytał.

Miałam ochotę powiedzieć, że jestem Ronald McDonald, kiedy usłyszałam za sobą cichy głos:

— Nat, co tu się dzieje? Gdzie jest Will?

Potrząsający głową i ja odwróciliśmy się równocześnie i ujrzeliśmy Babs. Stała przed nami ze smutną miną, a miejsce, gdzie przed chwilą był Will i jego kompani, nagle stało się bezludną wyspą.

Potrząsający spojrzał na moją przyjaciółkę.

— Masz na imię Barbara, prawda? — spytał. — Przepraszam cię, ale Will musiał nagle wyjść. I... prawdę powiedziawszy, idiota z niego. Jego strata. Właśnie z twoją koleżanką sprzeczałyśmy się na ten temat. Mam na imię Simon i, jeśli nie masz nic przeciwko, chętnie zaproponuję ci drinka.

Skrzywiłam się, a on patrzył na mnie, jakbym była niewidzialna. Znowu poczułam się jak piąte koło. Tym razem od razu poszłam do domu.

To było pięć miesięcy temu, a teraz proszę! Patrzę na Babs w białej ślubnej sukni i z trudem przychodzi mi w to uwierzyć. Powinna się była domyślić, że coś się święci, kiedy zniknęła na trzy dni.

— No, nie przejmuj się tak — powiedziała leniwie, kiedy wreszcie raczyła zadzwonić. — Przez cały przyszły tydzień będę za ciebie zmywać.

Słyszając jej przeprosiny, odparłam:

— Dzięki, Barbaro. A teraz wybacz, muszę zadzwonić na policję, aby przestali szukać twego ciała.

Miałam nadzieję na słowa skruchy, ale zamiast tego dodała tylko:

— Dobry pomysł, bo Simon też prowadzi własne poszukiwania! Cha! Cha! cha! I to dogłębne!

— Prawdziwe angielskie wesele, nie sądzisz? — Usłyszałam czyjś głos i drgnęłam.

Andy opiera się rękami o poręcz balkonu i odwraca się do mnie z uśmiechem.

— Mnie się bardzo podoba — odpowiadam, rozdarta między lojalnością wobec Babs i pragnieniem utarcia nosa Andy'emu.

— Mama nie chciała, aby śpiewali psalmy — na włoskich ślubach tego nie robią — ale rodzice Simona się uparli.

— Masz bardzo tolerancyjnych rodziców — mówię. Mam nadzieję, że nie jestem wobec niego zbyt miła.

— Natomiast Simon wprost przeciwnie. Mama i tata czują się jak Niemcy podczas podpisywania traktatu wersalskiego.

— Przykro mi — odpowiadam. Nie mam zielonego pojęcia, o co mu chodzi.

— Nat — dodaje — zatańczymy potem? Może kiedy zagrają hymn?

— Ale ja...

— Musimy zatańczyć. Przecież jesteśmy prawie jak rodzeństwo.

— Miło mi, ale ja już mam brata — mówię. — I on jeden w zupełności mi wystarcza. — Po tych słowach wracam do swojego stolika.

Tony gawędzi sobie z jakimś facetem, a miejsce Frannie jest puste. Mój brat i Frances nie przepadają za sobą. Ona nazywa go „prawdziwym neandertalczykiem”, natomiast on tytułuje ją „baranią głową” (chcąc w ten sposób oddać hołd jej urodzie). Spoglądam na główny stół i widzę Frannie zgiętą wpół przed Babs jak eunuch przed Kleopatrami.

Jedzenie staje mi w gardle. Ja też za nią nie przepadam. Zawsze była tą trzecią. Przyczepiła się do Babs jak rzep do psiego ogona.

Uśmiecham się niewyraźnie do Chrisa, a on odwzajemnia mój uśmiech w taki sposób, że zapiera mi dech w płucach.

— Nie cierpię takich uroczystości — mówi przeciągle. Ma miękki, a jednocześnie chrapliwy głos. Jego ledwo słyszalny, północny akcent zwała mnie z nóg. Spogląda mi prosto w oczy i dodaje: — Przynajmniej do dzisiaj.

Uśmiecham się i odpowiadam:

— To tak jak ja.

Przechyliła się na swoim krześle. Nie może usiedzieć spokojnie. W tej samej chwili Babs i Simon podrywają się do pierwszego tańca.

Chris mruczy pod nosem:

— Chętnie bym opuścił tę imprezę i pojechał do Vegas. Słyszac te słowa, chichoczę i odpowiadam:

— To tak jak ja.

Po takiej wymianie zdań zapada między nami cisza, a kapela zaczyna jakieś rzępolenie, które z trudem rozpoznaję jako *You 're Nobody Till Somebody Loves You*. Typowe wesele, myślę sobie, kiedy wszyscy klaszczą. Moja własna matka robi to z taką werwą, że przypomina muchołówkę w czasie polowania.

— Chętnie skoczyłbym do Vegas — odzywa się znowu Chris. Słuchamy, jak grają *Lady In Red* i *Come On Eileen*. Pytam go, dlaczego, tak jak inni, nie włożył fraka. W odpowiedzi dwa razy pogardliwie pociąga nosem i lekceważącym wzrokiem obdarza wszystkich facetów. Andy, jak zdążyłam zauważyć, tańczy z Frannie.

— Skoczyć do Vegas — mruczy Chris.

— Święte słowa — potwierdzam uprzejmie.

W odpowiedzi zgrzyta zębami i zaczynam zastanawiać się, czy on nie ma przypadkiem Alzheimera. Po chwili pyta mnie, dlaczego włożyłam brązowy kapelusz. Wyjaśniam, że moja matka, która robi z siebie teraz przedstawienie do melodii *Agadoo*, stwierdziła, że tak wypada. Nie zdążyłam go dłużej ponosić, Chris zdejmuję mi bowiem z głowy to nakrycie, rzuca je na wzorzysty dywan i — kiedy siedzę tam skamieniała i niema — odpina moją klamrę w kształcie motyla, przeczesuje palcami moje włosy, potrząsając nimi tak, że opadają mi na ramiona.

Potem pochyła się nade mną tak blisko, że prawie dotykamy się i niemal czuję jego oddech.

— Natalie — szepcze, okręcając mój jasny lok wokół swego palca. — Częściej powinnaś nosić rozpuszczone włosy.

Siedzę oszołomiona i w blasku księżycy gapię się na tego pewnego siebie faceta. W tym momencie Frannie wrzeszczy na całe gardło:

— Natalieeee! A gdzie twój chłopak? Saul Bowcock!

ROZDZIAŁ DRUGI

Znamy się z Babs od dawna. Wiem, co ją bawi — takie miejsca jak Piddlehinton czy Brown Willy. Wiem, co ją wzrusza — wszystko, poczynając od wiadomości na temat głodujących dzieci, a kończąc na ostatniej scenie z filmu *Turner i Hooch*, kiedy Hooch schodzi z tego świata, zostawiając w spadku gromadkę szczeniaków. („Tego nie można porównywać” — wrzasnęła). Wiem, że nie cierpi małych zębów ani skórki moreli. I wiem, że ma uczulenie na stanik z fiszbinami. Wiem, że pokonałaby Tony'ego w zapasach na ręce. I wiem także, że tuż nad kolanem ma niewielką czarną plamkę — to pamiątka z dzieciństwa po zranieniu się ostrym ołówkiem. Wiem, że jej ulubionymi wyrażeniami są: „kuku na muniu” i „pumpernikiel”. I wiem, jak wzdycha, kiedy uprawia seks.

Dlatego z łatwością można sobie wyobrazić, jak czułam się urażona, kiedy ponownie przedstawiła mnie Simonowi tydzień po katastrofalnym wieczorze w stylu lat siedemdziesiątych, a on odezwał się do mnie:

— A... skąd ty znasz Barbarę? — Z trudem przyszło mi uwierzyć, że mógł zadać takie idiotyczne pytanie. To tak jakby spytać Pana Boga: „A ty skąd znasz Adama?”.

— Skąd ja ją znam?! — krzyknęłam piskliwym głosem i pochyliłam się, jakbym chciała uchronić się przed nietoperzami, które sfrunęły z drzew. — Znamy się od zawsze — wykrztusiłam z siebie wreszcie. — Jesteśmy najbliższymi przyjaciółkami.

Ogarnęło mnie zbyt wielkie zdumienie, by dodać coś więcej, ale jedna rzecz nie dawała mi spokoju. Muszą mieć olbrzymiego fioła na swoim punkcie, jeśli przez siedem dni wspólnego sam na sam Babs słowem o mnie nie wspomniała. Szybko zdążyłam się o tym przekonać. Ich zauroczenie było całkowite i obopólne. Nie mogli przestać obściskiwać się w mojej obecności. Miałam ochotę wrzasnąć: „Skończcie z tym nareszcie!”. Ale oni dosłownie nie widzieli i nie słyszeli poza sobą nikogo i niczego. Kiedy powiedziałam słowo, czy uśmiechnęłam się, prawie nie zwracali na to uwagi. Wykluczyli mnie ze swego towarzystwa. Poczulałam się urażona. To tak, jakby złodziej próbował nie dopuścić mnie do własnego domu. Nie mogłam w to uwierzyć. Mój chłopak mógłby napisać rozprawę naukową na temat Babs w ciągu dwóch tygodni od naszego poznania. No ale Saul Bowcock nie jest tak zakochany jak Simon.

Może posiada zbyt dużo rozsądku, by się zakochać. Właśnie jedziemy razem — z bezpieczną prędkością — do ustronnego, białego domku mojej mamy w Hendon, by wziąć udział w uroczystym obiedzie z okazji awansu mojego brata (ze stanowiska kierownika do spraw marketingu na zastępcę dyrektora do spraw marketingu w Black Moon Records. Choć mój szef zauważył: „Założę się, że tam mają nawet zastępcę dyrektora do spraw parzenia herbaty”).

Saul lubi odwiedzać moją matkę, bo ona zawsze nadskakuje mu w nadziei, że wreszcie mi się oświadczy.

— Zatrzymamy się tu i kupimy kwiaty dla twojej mamy — mówi, zwalniając przy zmianie świateł na żółte, zamiast jak każdy normalny kierowca przyspieszyć.

— Dobry pomysł. — Kiwam głową ze zrozumieniem.

Na tym właśnie polega problem z Saulem. Jest troskliwy, ale jednocześnie bardzo dobrze wychowany. Dostaje uczulenia, kiedy musi zboczyć z wytyczonej przez siebie trasy. Jego zdaniem impuls to nazwa dezodorantu. Spoglądam na Saula z boku i próbuję wyliczyć zalety, jakie posiada. Miły facet z niego. Uczciwy. Nieskomplikowany. Solidny. Czuły. Jedyne, który klepie swoją dziewczynę po plecach i mówi: „Przytul mnie”.

„I nic więcej?”, spytała z niedowierzaniem Babs, kiedy jej o tym opowiedziałam. Nie do wiary! Stuprocentowo aseksualne przytulenie. Saul jest inny niż pozostali faceci. Poznaliśmy się dziewięć miesięcy temu u pedikiurzystki i, głupio mi to powiedzieć, zagaił w ten sposób: „Masz taki inteligentny wyraz twarzy. Czym się zajmujesz?”.

Ponieważ po takim beznadziejnym wstępie nigdy nie udało mu się poderwać żadnej babki — pewnie nawet ksiądz miałby w zanadrzu bardziej inteligentniejsze zagajenie — nie miałam serca dać mu odprawy.

— Jestem specjalistą public relations w Londyńskim Teatrze Wielkim — odparłam grzecznie.
— A ty?

— Ja jestem księgowym — odrzekł poważnym tonem. — Ale mam fajny samochód.

Saul pospieszył do sklepu Texaco, by kupić bukiet wściekle kolorowych kwiatów, ja natomiast siedzę w zielonym Lotusie Elise, obgryzając z nudów paznokcie. Ściślej mówiąc, obgryzam czubki palców, paznokcie zdążyłam już bowiem obgryźć w zeszłym tygodniu. Z taką samą radością czekam na dzisiejszy obiad jak na pobranie rozmazu z kręgosłupa. Od ślubu Babs minęły prawie dwa tygodnie i jestem pewna, że mama będzie chciała go dokładnie przeanalizować, a nie mam dość siły, by się jej sprzeciwić.

— Zastanawiam się, co twoja mama zrobi na obiad — mówi Saul, wskakując za kierownicę. — Umieram już z głodu!

Z podjazdu dochodzi nas *Copacabana* Barry'ego Manilowa. Moja mama pojawia się w oparach perfum Dune i smażonej cebuli. Poprawia mi sweter, a potem łapie Saula w kleszczowy uścisk.

— Nie wyglądasz za dobrze, chłopcze! Żałuj, że nie byłeś na ślubie! — krzyczy, potrząsając głową tak gwałtownie, że dziwię się, iż się jej nie poluzowała. — Ale zrobiłeś to, co sobie zaplanowałeś?

Saul wciąga głęboko powietrze zadowolony, że wreszcie udało mu się uwolnić z maminego uścisku i odpowiada:

— Tak, proszę pani. — Matka szybko pędzi po szklanek mleka dla niego. Mój chłopak, któremu niedługo stuknie dwudziesty dziewiąty rok życia, pije więcej mleka niż wycieńczone niemowlę

słonia. Podobno organizm źle reaguje na laktozę, dlatego nie potrafię pojąć tego zachowania. To dla mnie prawie tak samo dziwaczne jak jego zwyczaj spania z rękawem czarnego swetra związanym na oczach. Przypomina mi się *Maska Zorro* — ale bez udziału Antonia Banderasa.

Podążam za matką do zaparowanej kuchni, Saul natomiast opada na sofę i zaczyna obierać pistacje. Przez cały czas dochodzi mnie trzask łupanych orzeszków. Gryzę czubki palców i rozglądam się po kuchni. Półka nad kominkiem zavalona jest książkami. Od lewej stoją: *Najlepsza dieta*, *Hollywoodzka dieta ananasowa*, *Dieta z Beverly Hills*, *Zdrowa dieta*, *Wysoko włóknista dieta doktora Toos-hisa*, *Dieta grejpfrutowa*, *Rewolucja w diecie wg doktora Atkinsa*, *Jedz i gotuj z Reader's Digest*, *Jedzenie zależne od nastroju*, *Dieta wyszczuplająca Rosemary Conley*, *Dieta pozbawiona węglowodanów*, *Jak poradzić sobie z efektem jo-jo*, *Dieta wiązana*, *Odchudzajmy się razem*, *Płaski brzuch w dwa tygodnie* i jeszcze (w sumie mniej skuteczne) *Szczupła linia w jeden miesiąc*.

Po prawej natomiast stoją następujące pozycje: *Książka kucharska*, *Czekoladowe dania*, *Delia Smith i jej dania na zimę*, *Jak przygotować deser*, *Klub dobrego jedzenia*, *Kuchnia żydowska*, *Gotuj z braćmi Roux*, *Potrawy mleczne*, *Przepisy na smaczny tort*, *Przepisy kulinarne*, *Potrawy na cztery pory roku*, *Kuchnia Toskanii*, *Azjatyckie pierożki*, *Gotuj z amiszami*, *Czekoladowy deser na każdy dzień roku*, *W kuchni na wesoło* i na koniec *Smaczne dania z drobiu*.

— Podać ci coś? Dziecko, kiedy ty się ostatnio czesałaś? — pyta matka, rzucając na patelnię kostkę masła. — Chcesz soku pomarańczowego? Wyglądasz jak ci z zespołu Black Sabbath.

— Nalej mi szklankę wody — odpowiadam. — Zaraz się uczeszę. — Patrę, jak dodaje olej słonecznikowy do rozpuszczonego masła. Jest specjalistką od metali ciężkich, ale jej zdaniem cholesterol to witamina.

— Mamo, nie przesadziłaś? Matka wyciera ręce w fartuch.

— Co ty możesz wiedzieć o przygotowaniu poussin w ziołach? Celny strzał.

— Mam przygotować sałatkę?

Podaje mi szklankę wody, rzuca we mnie ścierką i mówi:

— Pokroiłabyś sobie tylko palce. Bądź tak miła, idź, dotrzyмай towarzystwa Saulowi.

Kiedy wolno zmierzam do salonu, czuję, jak z każdym krokiem duszący zapach odświeżacza powietrza staje się coraz silniejszy (nigdy jej nie przyszło do głowy, aby otworzyć okno). Po drodze słyszę, jak ktoś, ile sił w palcach, dusi przycisk dzwonka, nie dając mu odsapnąć. Dzyyyyyyń!

To pewnie Tony. Matka mija mnie w biegu i doskakuje do drzwi.

— Witaj, kochanie! — mówi ze współczuciem, doceniając wysiłek, jakiego dokonał jej syn, wyprawiając się z Camden Town swoim czterodrzwiowym czarnym bmw 5, seria 2.0.

— Jak się masz? Daj, wezmę twój płaszcz. Miałaś ciężki dzień? Chcesz coś do picia? W lodówce mrozi się twój ulubiony szampan, a teraz przygotowuję twój ulubiony deser — cytrynową ga-

laretkę i sernik czekoladowy. Wiem, że to nieprzyzwoite, ale zasługujemy na taką ucztę. Wczoraj byłam w Klubie Grubasów, więc dzisiaj mogę sobie odpuścić!

Tony całuje matkę i uśmiecha się.

— Mamo — wzdycha — jesteś święta. Z trudem przychodzi mi uwierzyć, że jesteśmy rodziną.

Uśmiecham się z zamkniętą buzią. Od czasu rozwodu rodziców Tony i ja jesteśmy zakładnikami własnej matki. Ale on potrafi to lepiej rozegrać. (Trzeba przyznać, że gra tak dobrze, że można by podejrzewać, że oszukuje). Mama farbuję włosy na czarno, często ubiera się na żółto i nosi torebkę pod pachą jak karabin maszynowy. Nie należy jej denerwować, tak jak nie należy denerwować osy. Czternaście lat temu straciła poczucie humoru, kiedy ojciec zostawił jej wiadomość zaczynającą się od słów: „Kochana Sheilo! Przykro mi, ale chcę rozwodu...”.

Pomyślałby kto, że na skutek takiego wydarzenia próbowałaby wyperswadować swojej córce pójście do ołtarza. Nic z tych rzeczy. Kiedy przeczytała *Dziennik Bridget Jones*, płakała jak bóbr.

Pocałowałam brata na przywitanie i przygotowałam się na jej słowotok. Ledwo opadliśmy na siedzenia, a już wystrzeliła jak z automatu:

— No to Barbara wyszła za mąż. W zeszłym tygodniu rozmawiałam z Jackie i dziś rano, i wczoraj. Wydali mnóstwo pieniędzy. W sumie, jej zdaniem, wszystko poszło jak trzeba. Mąż, Babs, Simon, to przystojny chłopak. Ale za to jego matka — widzieliście, jakie ma zęby? Co za straszdyło! A do tego jej suknia — kremowa! Ale z taką figurą niewiele da się zrobić. Nic jej nie pomoże. Powiedziałam Jackie: „Wyglądasz przynajmniej dwadzieścia lat młodziej — przynajmniej. Byłaś najpiękniejszą kobietą na balu — poza Barbarą — oczywiście. Twoja córka wyglądała jak z obrazka, ona naprawdę...”.

— Mamo — rozpoczyna Tony i rzuca mi łobuzerskie spojrzenie — wyglądała tak, jak powinna wyglądać — jak strażak w spódnicy. — Saul zaczął kaszleć w swoją warzywną zupę. Odłożyłam łyżkę na brzeg talerza. Tony nie zapomniał Babs, że zrobiła z niego pośmiewisko na swoim przyjęciu (na oczach wszystkich przerzuciła go sobie przez plecy i zaczęła biec, jakby nie ważył więcej niż dmuchana lalka).

Zabrałam głos w jej obronie:

— Babs jest strażakiem. To prawda. Ale na ślubie rzeczywiście ładnie wyglądała. Opalona, wysoka...

— Dlaczego nic nie jesz? — przerywa mi matka. (Jest dumna ze swoich talentów kulinarnych i obraża się, jeśli ktoś robi przerwy w jedzeniu, na przykład, aby zaczerpnąć powietrza).

— Ależ ja jem — wołam w nadziei, że uda mi się powstrzymać ten słowotok. — Jest super.

Macham łyżką w powietrzu na dowód, że mówię prawdę, a moja matka pytluje:

— Tyle trudu sobie zadałam, a wy siedzicie sobie i kręcicie nosem, jakby to były pomyje! Nie będę...

— Jest pani pewnie dumna z syna — wpada jej w słowo Saul. — Tony, przypomnij mi, który już raz awansowałaś w tym roku?

Mój brat wzrusza ramionami i odpowiada:

— Trzeci. — Wówczas mój chłopak, mama i ja unisono kiwamy głowami.

— To niesamowite — zachwyca się Saul. Zaczyna kasłać i zasłania usta ręką, aby powstrzymać kaszel. — Pewnie świetnie znasz się na swojej robocie.

Matka wykrzykuje ze łzami w oczach:

— Pewnie, że tak. Jestem z niego bardzo dumna. To taki zdolny chłopak!

Mój chłopak uśmiecha się do niej, po czym stwierdza:

— Odziedziczył to po pani. Ta zupa jest nadzwyczajna. Chyba już nie ma wię...

— Pewnie, że jest — przerywa mu matka. — Zaraz chętnie ci dołożę.

— Ale czy to nie będzie kłopot? — docieka Saul, jak zawsze dżentelmen. — Chciałem tylko spytać, czy pani...

— Przestań! — wykrzykuje matka. — Nie rozśmieszaj mnie. Zaraz ją dla was odgrzeję. — Pędzi do kuchni jak gepard, a ja z ulgą osuwam się na krzesło.

— Dobry strzał, chłopie — chwali Tony. — Nie wie, kiedy przerwać, prawda?

Mój chłopak uśmiecha się z radością i wdzięcznością. Podejrzewam, że po raz pierwszy w jego życiu ktoś nazwał go „chłopem”. A poza tym, jest coś w moim bracie, co zjednuje mu ludzi. Bez wątplenia można go zaliczyć do samców przywódców stada. Każdy chce mu się przypodobać. Uśmiech z jego strony to jak pocałunek gwiazdy filmowej.

Spoglądam na Saula i jego zadowoloną minę.

— Nie wiedziałem, że ty też lubisz warzywną zupę — mówi.

— Mogę ci ją ugotować. — Z trudem powstrzymuję się, aby nie jęknąć. Zachowuje się w kuchni tak jak trąba powietrzna w Kansas.

— To miło z twojej strony — odpowiadam — ale sądziłam, że wspominałeś coś o przejściu na dietę. — Widzę, jak wydłuża mu się mina.

— Co? — zawył mój brat. — Chyba nie zaczniesz się głodzić? Jesteś dorosłym facetem! Zajmij się jakimś sportem, chłopie. FIFA 2000, czy coś w tym rodzaju!

Saul czerwieni się.

— Prawdę powiedziawszy, nie potrafię kopać piłki...

— To taka gra komputerowa, Saulku — szepczę, mama wpada bowiem do pokoju i stawia przed nim wazę z taką czcią, z jaką dworzanin prezentuje królowi klejnoty królewskie, nakazując mu:

— Jedz! — Siedzimy więc wszyscy w milczeniu, podczas gdy Saul wcina zupę.

— Jeżeli chodzi o weselne jedzenie, to się nie popisali — wykrzykuje matka, którą świerzbi, by ponownie podjąć swój ulubiony temat. — Gdybym to ja miała zająć się cateringiem na weselu, choć

nie miałam ku temu jeszcze okazji... — W tym momencie przerywa i z szacunkiem spogląda na Saula. — No więc gdybym to ja układała jadłospis, o wiele mniej wydałabym na alkohol — ludzie nie muszą zalewać się w trupa — a o wiele więcej poświęciłabym uwagi jakości potraw, ponieważ — oczywiście, słowem nie wspomniałam o tym Jackie — szparagi były — w tym momencie moja mama ści-szyła głos konfidencjonalnie — z puszki! — W ciszy przyjęliśmy tę straszliwą wiadomość. — A naj-gorsze ze wszystkiego — ciągnie dalej — że Jackie chciała, by zamówić jedzenie z delikatesów. Ale rodzice Simona płacili za wszystko i nalegali na skorzystanie z usług ich dostawców — dodaje tonem osoby dotkniętej ich lekceważącym postępowaniem.

Czuję w powietrzu jakiś podstęp.

— Ale na parkiecie świetnie się bawiłaś, prawda, mammo? — pytam zachęcającym tonem. — Jak się już rozkręcisz, tańczysz jak Ginger Rogers.

— Uchowaj Boże! Jest już taka stara, że nie żyje! — odparowuje matka.

— Przypuszczam, że mamusia była na dopingu. Lubisz przecież pociągnąć trochę piwka, praw-da? — pyta ze śmiechem Tony.

— Anthony, przestań! — Matka robi poważną minę, ale z trudem powstrzymuje się od śmiechu. — To było raz, dawno temu i nalałeś mi czegoś do kieliszka, mówiąc, że to jest: „Chateau jakieś tam”. Nie miałam pojęcia, jakie to mocne. W każdym razie nie przypuszczasz chyba, że będą podawali piwo na eleganckich weselnych przyjęciach, takich jak to u Jackie. To znaczy chciałam powiedzieć u Bar-bary!

Matka uwielbia, kiedy syn droczy się z nią, więc, tu chylę czoło przed moim bratem, wieczór został uratowany. Saul w zółwym tempie odwiózł mnie do domu. Byłam jednak zbyt zmęczona, by zaprosić go na kawę (tak naprawdę: na filiżankę neski). Na szczęście, kiedy włączyłam bowiem swoją ogromną, steraną, automatyczną sekretarkę, która najpierw zafurczała, potem zaklekotała, następnie zacharczała, aż wreszcie wydała z siebie ludzki dźwięk, usłyszałam oschły, głęboki głos, od którego przeszedł mnie dreszcz:

— Cześć, Natalie. Przypomniało mi się... jak na weselu rozpuściłem ci włosy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jestem ostrożna w kwestii rozpuszczania włosów, od kiedy Roszpunka — ta od braci Grimm — rozpuściła swoje i zauważyła, jak pewien rumianolicy, potężny facet siedzący na końskim grzbiecie uczepił się nich. Kobieta rozpuści sobie włosy i zanim się zorientuje, już podkreśla talię elastycznym pasem do spódnicy, je pizzę w łóżku i usprawiedliwia kupno płaszcza za osiemset funtów od Harveya Nicksa mglistym tłumaczeniem, że nie ma dzieci, nie zrobiła sobie liftingu, nie spędziła miesięcznych wakacji na olbrzymim jachcie w Monte Carlo, i zaoszczędziła w ten sposób okrągłą sumkę, jest bowiem oszczędną osóbką.

Mimo to Chris nie wychodzi mi z głowy i na samą myśl o nim ślina mi cieknie. Jednak Frannie z delikatnością buldożera niszczy mój nastrój. Wracam na ziemię i rumienię się.

— Wybacz — mówię protekcyjnym tonem do Chrisa — ale mam już kogoś. Ja... fajny z ciebie facet, ale nie powinnam tego robić. To nieprzyzwoite z mojej strony.

Pojawienie się Frannie nie zmąciło jego spokoju. Chris spogląda na nią i pyta:

— Dlaczego jesteś taka blada? — Kiedy najeżona rejteruję bez słowa, Chris cmoka z niezadowolienia. — Jednej rzeczy nie mogę ścierpieć — chamstwa. — Pospiesznie zapalam papierosa i zaciągam się dymem, jakby to był narkotyk. A potem dodaje jeszcze: — Powiedziałaś: nieprzyzwoite? Nie wiesz, co to znaczy.

Mam świadomość, że sprawiam wrażenie Marii Magdaleny, która znalazła się w koedukacyjnej saunie, i dlatego oświadczam piskliwym tonem:

— Właśnie, że wiem.

— Chętnie bym ci pokazał — oznajmia ochoczo.

— Prawdę powiedziawszy, to... — zaczynam.

— No to dasz mi swój telefon czy mam poszukać w książce? — przerywa mi pytaniem.

— Nie mam na czym zapisać — odpowiadam chrapliwym tonem.

— No to może zapiszesz to szminką, moja piękna, na mej piersi — proponuje. Uśmiecham się, patrząc, jak wyciąga długopis z kieszeni i podaje mi. Następnie wyciąga notes i też mi go podaje. Posłusznie zapisuję swój numer telefonu. O rany, jest taki władczy, a przez pięć minut znajomości to mi się bardzo u facetów podoba

— Może lepiej nie dzwoń — mówię dla uspokojenia własnego sumienia.

Ponownie odsłuchuję wiadomość od niego. Serce mi wali w środku jak świerszcz w pudełku. Ten facet powinien zjawić się z ostrzeżeniem: „Niebezpieczny dla zdrowia" i pasem cnoty. Nie zadzwonię do niego, bo to nie byłoby fair wobec Saula. On ma do mnie ogromne zaufanie. Gdyby był choć troszkę podejrzliwy, czułabym się usprawiedliwiona. Nie, nie mogę zadzwonić do Chrisa. To

znaczy, naprawdę nie mogę, bo nie mam do niego numeru. Po chwili wciskam informację i mam ten numer.

Gapię się na bladoniebieskie ściany mojego korytarza, dopóki nie zaczynają się rozmazywać. Dziwne. Nadal nie mogę do niego zadzwonić. Przecież jestem z Saulem Bowcockiem. Tworzymy układny związek (jakby powiedział Romeo do Julii). Nie mogę go oszukiwać. To nie fair. Nie mogę zakończyć naszej znajomości. Nie potrafię zakończyć żadnej znajomości — to dla mnie zbyt stresujące. Poza tym lubię Saula. Naprawdę. Miły z niego gość. Szkoda, że nie ma tu Babs, mogłabym ją trochę pomolestować na ten temat. Ona by wiedziała, co trzeba zrobić, albo z kim to trzeba zrobić. Zamkam dwa razy drzwi na klucz i wlokę się do łóżka. Pewnie już niedługo wróci z Mauritiusa. Wydaje mi się, jakby jej miesiąc miodowy trwał dziesięć lat.

Wchodząc do biura, pierwszymi słowami, jakie usłyszałam, były:

— Twoim zadaniem jest przejęcie tego budynku z jak najmniejszymi stratami w ludziach. — I tyle. Matt, mój szef, dostał awans — na kierownika działu reklamy — i teraz unika gier komputerowych, nie chce bowiem, by go posądzono o „bagatelizowanie problemów realnego świata”. Dzisiaj siedzi zgięty przed ekranem i tylko macha do mnie ręką na powitanie. Jego pies rasy basset, imieniem Pirek (jego pełne imię brzmi: Piruet) legł u jego stóp, gryząc szmatę niewiadomego koloru.

— Jak tam kolacja u mamy? — pyta Matt, nie przerywając pracy.

— Jakoś. — Wzrusza mnie, że nie zapomniał. — Jak tam Stephen? Jeszcze w szpitalu?

Matt kręci się na krześle.

— Już nie. Został wypuszczony — mmm, podoba mi się ten zwrot — w sobotę.

— Jak się czuje?

— Kaprysi, ma wymagania — bez zmian. Ale najważniejsze, że mnie udało się umknąć, a ty jakoś przeżyłaś kolację. Dużo było pytań związanych ze ślubem? — Twierdząco pokiwałam głową. Matt przewrócił oczami. — Panna młoda, czyż nie wyglądała przepięknie? A pan młody, przystojniak z niego? Och, uwielbiam takie uroczystości, moja kochana; Saul, żałuj, że nie byłaś! Wszystko się zgadza, prawda?

Zachichotałam. — Jakbyś tam był.

— Masz fascynujące życie. Nie mogę się już doczekać, kiedy poznam tego drania, Simona.

— Wierzę ci — odpowiadam. Wydaję z siebie ciche westchnięcie.

— Hej! Nie tragizuj. Ona wróci. Przecież nie mieszkają razem, prawda? Jezu! Sześć miesięcy zbierania majtek po podłodze, brudnej wanny, sikania, kłótni w samochodzie i brudnych skarpetek leżących pod tapczanem, i będziesz częściej spotykać się z Babs niż przedtem. Zapamiętaj moje słowa!

— Och, Matt, cieszę się jej szczęściem, ale... — Przerywa mi głośnie szczekanie psa. Wygląda, jakby zakrztusił się brudną różową szmatą — O Boże, to baletka! Skąd Pirek ją wyciągnął? — pytam, patrząc w przerażeniu na szafę z kostiumami. Chętnie obwiniłabym o to Belinę, naszą asystentkę (tej

kobiecie nigdy nie zamykają się usta, nawet jeśli nic nie mówi). Szkoda, że od dwóch tygodni jest na urlopie na Krecie.

— Co to za but? — pyta Matt. Zaglądam do szafy i zaczynam szperać wśród rupieci na drugiej półce.

— To ten podpisany przez Juliettę — odpowiadam załamana. — Że też musiał sobie znaleźć ten z autografem Julietty! — Julietta jest primabaleriną w naszym teatrze. W Londyńskim Teatrze Wielkim występuje sześć primabalerin, ale Julietta jest najbardziej prima z nich wszystkich. Ma włosy koloru mleka (natomiast moje w porównaniu z jej są koloru zsiadłego mleka), porusza się jak motyl i — jak określił to jeden z krytyków — jest kobieca w każdym calu. Jest inteligentna, uczuciowa i zaprzecza powszechnym sądom o głupocie tancerzy baletowych. Ta kobieta mnie przeraża. Media ją uwielbiają i kiedyś ubłagaliśmy ją, aby złożyła swój autograf na starym satynowym pantofelku, który miał stanowić nagrodę dla jakiejś dziesięcioletniej dziewczynki, ale tak naprawdę to dla jakiegoś pana w średnim wieku.

— One leżą na drugiej półce — informuję. — Pirek nie jest większy od stolika barowego. Jak to zrobił, stanął na krześle? — W tym momencie Matt kuca obok psa. Ma gęste, długie włosy (Matt, nie Pirek, ten ma białobrązową sierść). Zawsze kiedy się śmieje, jego twarz pokrywa się zmarszczkami. Tym razem się nie śmieje.

— Niedobry piesek — mówi pieszczotliwym tonem. — Niegrzeczny, bardzo niegrzeczny! — Zwraca się do mnie: — Zamknęłaś szafę w piątek, zanim pobiegłaś na siłownię?

Powstrzymałam się, by nie pociągnąć go za włosy.

— Oczywiście. Jestem tego pewna. Ale mimo to, jak mógł się tam dostać?

Matt westchnął.

— Pirek ma krótkie nóżki, ale rekompensuje mu to zadziwiająco długi tułów. — Nastąpiła cisza. — Co się z tobą dzieje, Nat? Jak ktoś na odpowiedzialnym stanowisku chodzisz z głową w chmurach. Kiedyś o wszystkim pamiętałaś. Ale teraz już za późno, żeby otwierać buzię ze zdumienia. Na przyszłość zamykaj te cholerne drzwi.

Zżymam się. Matt jest bardziej moim przyjacielem niż szefem. To okropne, że okazuje swój autorytet i rozwiewa iluzje. Kiedyś pamiętałam o wszystkim. Przypomina mi się, jak Matt kupił mi orchideę, po tym jak załatwiłam smukłej solistce zdjęcie w „Hello”. Pamiętam, jak Matt kłaniał mi się w pas i zawołał: „Nie jesteśmy ciebie warci!”, kiedy pochlebstwami nakłoniłam „The Daily Mail”, żeby przeprowadził wywiad z naszym dyrektorem artystycznym i — nie dość tego — jeszcze to wydrukowali. Nieoczekiwanie wściekam się na popełniony błąd. Szczególnie że Matt ma rację: teraz nie czas na zaniedbania. Firma przekroczyła swój budżet (wszystko poszło na *Giselle*, na wynajęcie białego konia i sfory psów, aby bardziej urealnić polowanie. Niestety, koń nastąpił na psa i zabił go, i sprawa skończyła się w sądzie). Jak fama niesie, restrukturyzacja jest nieunikniona.

Przyznaję się:

— Nie mogę uwierzyć, że postąpiłam tak głupio. Jaka ze mnie ciężka idiotka!

Matt podnosi rękę i oświadcza:

— Niepotrzebnie posypujesz głowę popiołem. Co się stało, to się nie odstanie. Nakłoń pochlebstwem Juliettę, żeby podpisała się na innym pantoflu. Chociaż mnie to nie rajcuje, ale innych tak. — Chyba Mattowi zrobiło się mnie żal, bo po chwili dodaje pocieszającym tonem: — To mój pies zrobił, ja ją poproszę — za jakiś czas. Kiedy będę błagał ją o coś jeszcze.

— O co?

Matt rzuca egzemplarz „Hiya” na biurko. Na lśniącej okładce widnieje zdjęcie Tatiany Popowej — gwiazdy Royal Ballet, naszych głównych przeciwników, którzy w sezonie zimowym zamierzają wystawić *Jeziro łabędzie*. Zazwyczaj „Królewscy” zadzierają tak wysoko nosy, że można by pomyśleć, że ich łabędzie zniosły jajka. A tutaj Tatiana kładzie się do łóżka z takim tanim brukowcem! No proszę!

— „Królewscy” mają okładkę! — wzdycham. — Jak oni mogli! Nic dziwnego, że „Hiya” nie odpowiada na nasze telefony!

— Za trzy minuty mam spotkanie z szefem — oświadcza Matt. — Przedstawię mu propozycję naszego kontraktaku.

— Jakiego kontraktaku?

— No właśnie — mówi Matt, pocierając palcami kark. — Zapiszę ci w spadku Pirka — dodaje jeszcze, idąc w stronę drzwi. — Aha, jeszcze jedno! — woła z korytarza. — „The Telegraph” chce się z nami skontaktować w sprawie zdjęć z Juliettą. Zastanów się nad tym. Jak tylko zadzwonią, zapisz to sobie w kalendarzu. Ja porozmawiam z tancerzami, a potem omówimy szczegóły. Broń dostępu do telefonów własnym ciałem!

Salutuję w kierunku, skąd dobiega mnie ten głos, a kiedy słyszę sygnał telefonu, doskakuję do niego pędem. Od tej pory mój standard pracy będzie taki wysoki, że Bóg będzie przy mnie wyglądał na ostatniego lenia. Odpoczywać siódmego dnia — kto to widział!

— Witam tubiuroprasowelondyńsldegoteatmwieMegoczymmogęsłużyć? — wypowiadam jednym tchem.

— To ty, Natalie? Słuchaj, Germaine Greer prowadzi debatę w czwartek w Barbican — mówi Frannie przez swój notorycznie zapchany nos. — Mam jeszcze jeden bilet. Może byś skorzystała?

— Och, cześć, Frannie! To miło z twojej strony. A to mi niespodziankę sprawiłaś! — Drgnęłam. Fałszywie to zabrzmiało. A może nie?

— Nie ma za co dziękować. Pomyślałam tylko, że może zechcesz skorzystać.

Zagryzam usta. Problem w tym, że Frannie nawet kiedy jest miła, to nie jest miła.

— A o czym ta debata? To miło, że o mnie pomyślałaś.

— Czy płeć jest trwałą tożsamością czy cechą osobowości?

— Sama nie wiem.

— Och, Natalie! Ja cię o to nie pytam, to tytuł tej debaty!

— Aha. Ale, Frannie, w tym tygodniu jestem zavalona robotą i...

— Jeśli nie chcesz iść, to nie musisz i powiedz to wprost.

— Nie, nie. Nie o to chodzi. Ja tylko...

— Po prostu nie chcesz iść. Nie ma sprawy! Przy okazji, wczoraj wieczorem rozmawiałam z Babs.

— Co takiego? — Wzdycham. W końcu mówię: — Ty dzwoniłaś do niej do hotelu?

— To nie byłoby na miejscu. Przylecieli z Simonem wczoraj rano do domu. To ona zadzwoniła do mnie.

— Ale, ale — zaczynam się jąkać. W tym monecie milknę. Bądź spokojna jak Ocean Wielki! Opanuj się, pouczam się w duchu.

— Ale dlaczego nie zadzwoniła do mnie? — beczę jak owieczka na hali.

Moja rozmówczyni wzdycha szczęśliwa.

— Do każdego nie będzie dzwoniła — odpowiada.

Po tym słownym nokaucie Frannie lekko przechodzi na inne tematy. Ale ja jestem głucha z pomieszania i niema z rozgoryczenia. Zwieszam nos na kwintę. Zastanawiam się, jak zniosę to nieszczęście. Zadzwoniła do Frannie! Zadzwoniła do Frannie, a nie do mnie! Zawsze dzwoniła do mnie! Nawet kiedy wspólnie mieszkaliśmy, to dzwoniłyśmy do siebie trzy razy dziennie.

Czekam, aż Frannie skończy swój monolog (to cholernie długi monolog). A potem dzwonię do Babs.

— Kto mówi? — Słyszę zaspany głos.

— Babs! — krzyczę do słuchawki. — To ja! Dlaczego nie zadzwoniłaś? Jak było? Dobrze się bawiłaś? Było gorąco? Opaliłaś się na brąz?

Nastąpiła krótka przerwa, po czym Babs odparła niechętnie:

— Och, cześć, Natalie, witaj. A która godzina? Spoglądam na zegar.

— Jest... no, jest za piętnaście dziesiąta. Babs jęknęła.

— Ja cię zaraz zabiję! Jest środek nocy!

Czuję się jak wtedy, kiedy miałam sześć lat i natknęłam się na nagiego ojca.

— Och, nie! — piszczę. — To ja cię obudziłam?

— Nie ma o czym mówić — stwierdza, ziewając. — To moja wina. Powinam była wyłączyć telefon.

— Tak się przejęłam, że już wróciłaś. Zadzwoniłaś do Frannie, więc ja, ja...

Nie usłyszałam odpowiedzi, a po chwili doszedł mnie męski głos:

— Kto to?

I wówczas usłyszałam, jak Babs odpowiada z daleka:

— Natalie Miller.

Natalie Miller. Czy ma jeszcze jakieś inne przyjaciółki o imieniu Natalie?

— Przepraszam cię, Nat — mówi mi Babs prosto do ucha. — Jest w domu. Co mówiłaś?

— Nieważne — odpowiadam skwaszona. — Czekałam, kiedy do mnie zadzwonisz. I tyle.

— Nie obrażaj się. Wróciliśmy wczoraj wieczorem! — Wiem — mówię pospiesznie. — Ale...

— Natalie — zaczyna Babs — ty jesteś gorsza niż moja matka. Chciałam do ciebie zadzwonić, jak tylko się obudzę. A do Frannie zadzwoniłam tylko dlatego, że ona zamierzała wpaść do mnie dziś po południu, a szczerze mówiąc, jestem zbyt zmęczona, żeby przyjmować wizyty.

Uśmiechnęłam się do słuchawki.

— No pewnie, Babs, przepraszam. No to... jak spędziłaś swój miodowy miesiąc? Udał się?

— I to jeszcze jak — odpowiada, ziewając. — Aaaa, dzięki.

Doszłam do wniosku, że to nie jest dobra pora, aby pytać ją, jak tam seks. Zamiast tego oświadczyłam:

— Wesele było superudane. Naprawdę fantastyczne. Wszyscy się dobrze bawili.

Po raz pierwszy usłyszałam prawdziwą radość w jej głosie.

— Och, dziękuję. Naprawdę? Tak sądziliśmy. Było super, Nat! Nie potrafię ci opisać, jak było wspaniale. Szalona zabawa, ale super. Nie możemy się już doczekać, kiedy nam przyślą zdjęcia. Wszystko potoczyło się tak szybko. Ale to prawda, co mówią ludzie, to był najlepszy dzień w naszym życiu!

Zachichotałam.

— Skąd wiesz, jeśli nie przeżyłaś swego życia w całości? — pytam zaczepnie.

— Masz rację — odpowiada. — Powinam powiedzieć drugi pod względem jakości. Najlepszy będzie, kiedy urodzę nasze pierwsze dziecko.

Z wielkim trudem zachowuję spokój i nie mdleję. Pytam szeptem:

— Ale ty chyba... Nie jesteś w ciąży? Babs chichocze.

— Na razie nie — odpowiada. — Cały czas nad tym pracujemy. — A potem znowu pyta: — No to wesele ci się podobało?

— Było super — odpowiadam ciepło. — Wspaniale. Fajnie było znowu zobaczyć się z Andym. W...

— Aaaa! To prawda! Tak się cieszę, że wrócił! On też się cieszył, że cię zobaczył. Powiedział, że nie wierzył własnym oczom, że tak schudłaś...

Cholerny drań. Co on chciał przez to powiedzieć? Że przedtem byłam grubasem? Udamę, że to mnie bawi.

— Wiesz co, Babs, chciałam ci coś powiedzieć na temat wesela. Znasz tego faceta, który siedział obok mnie?

— Wiesz, zaprosiliśmy sto pięćdziesiąt osób. Przypomnij mi, jak się nazywał.

— Chris. Chris Pomeroy.

— Ach, Chris. To kumpel Simona.

— No... — Biorę głęboki oddech i zaczynam opowiadać jej o Chrisie. Kiedy po ośmiu minutach kończę, w słuchawce słyszę ciszę.

— Babs? — pytam. — Jesteś tam jeszcze?

— Och, Nat — mruczy. — A zapomniałaś o biednym staruszku Saulu? On poza tobą świata nie widzi. — Nie wiem, co jej na to odpowiedzieć. W końcu Babs zaczyna mówić: — Słuchaj, stara — oświadcza. — W tej chwili mało co do mnie dociera. Porozmawiamy o tym, jak się całkiem obudzę. Odezwę się do ciebie. Na razie!

Siedzę przy swoim biurku i otwieram i zamykam usta jak drewniana kukielka. Po chwili wyciągam z torebki kawałek pomiętej kartki, wyglądam go buntowniczo, po czym wybieram numer wypisany na kartce. Odkładam słuchawkę w momencie, kiedy zjawia się Matt.

— Wyglądasz jak kot przyłapaný na kradzieży sera. Przypuszczam, że „Telegraph” nie może się już doczekać współpracy z nami?

— Nie, przepraszam — oznajmiam. — Nie odezwali się. Zaraz do nich zadzwonię. Ale mam randkę. Dziś wieczorem. Z zabójczym przystojniakiem!

— Oczywiście nie masz na myśli Saula — mówi Matt. — No przyznaj się!

Matt, inaczej niż Babs, wspiera mnie na drodze do występku. Wrócił mu dobry humor, nasz dyrektor do spraw publicznych doszedł bowiem do wniosku, że bardzo spodobał mu się pomysł „Telegraphu” — ekskluzywne zdjęcia naszej Julietty w Weronie na walentynkową okładkę czasopisma — aby ogłosić wszem wobec naszą wiosenną premierę *Romea i Julii*.

Matt dał mi więcej czasu na lunch, więc mogę kupić sobie coś ładnego. I kiedy wchodzę w nowych ciuchach, on podejmuje się ochoczo oddzielić odzieżowe ziarno od odzieżowych plew. Zbiory okazują się kiepskie. Na przykład:

— Te buty wracają, wyglądasz, jakbyś stała w dwóch wiadrach. O Jezu, w tym kostiumie wyglądasz na koleżankę mojej ciotki. To spódnica od Laury Ashley? Dziewczyno, ile ty masz lat, czterdzieści pięć?

Nie mam nic przeciwko tej krytyce, ale Matt jest najgorzej ubranym facetem, jakiego znam (całą swoją kreatywność spożytkował na Pirka). Wzdycha i zakłada smycz od Gucciego swemu pieszczołowi. Potem prowadzi mnie do Whistles i namawia na obcisłą, różową koszulę. Czuję się jak duży morski stwór i próbuję podwędzić obszerny sweter za jego plecami, ale on go konfiskuje. Jak wszyscy moi znajomi, Matt uwielbia wydawać moje pieniądze i w ciągu czterdziestu minut nakłania mnie do

kupienia zwężanej, kremowej, sztruksowej spódnicy i pary brązowych kozaków z wężowej skóry. To tak jakby człowiek przymierzał pierwszy stanik z tą różnicą, że teraz to ja muszę za to zapłacić. Na końcu dodał tylko:

— Mam nadzieję, że nosisz przyzwoite reformy.

Kiedy Chris pojawia się o szóstej czterdzieści pięć, jestem już zupełnie inną, choć biedniejszą, kobietą. I czekam gotowa na romans.

ROZDZIAŁ CZWARTY

— Nie lubię oglądać w samotności telewizji. Kiedy nadają *Brookside*, muszę mieć kogoś pod bokiem, inaczej czuję się jak ofiara losu. Oczywiście, są od tego pewne odstępstwa. *Buffy: Postrach wampirów* — to mogę oglądać sama. Ale jeśli chodzi o *Roswell High*, to próba jest za trudna. *Stan wyjątkowy* stanowi linię graniczną. *Koło fortuny* wprawia mnie w taki smutek, że równie dobrze mogłabym pożegnać się ze społeczeństwem i zamieszkać w przyczepie z chemiczną ubikacją. Chyba nie jestem fanką samotnego życia. Ale prawdę powiedziawszy, czułam się samotna na długo przedtem, kiedy Babs wyszła za mąż; tak była zajęta ćwiczeniem swego podpisu i ciągle krążyła wokół tematu: czy druhny powinny mieć róże i wstążki we włosach, że miłsze mi było towarzystwo radiowej dwójki. To wcale nie znaczy, że czuję się samotna, ale...

— Książniczko — odezwał się Chris, przerywając mój słowotok. Przestałam mówić tak szybko i zamknęłam usta z klekotem.

— Wybacz — powiedziałam niewyraźnie, machając szklanką w jego stronę. — Wystarczy, że poczuje zapach fartucha barmanki i już zaczynam paplać. — Kiedy powiedziałam to zdanie, wydałam z siebie w duchu jęk. Zapach fartucha barmanki! Kiedy czuję się nieswojo, zaczynam mówić jak babcia z serialu BBC z lat siedemdziesiątych. A Chris ma w sobie tyle mrocznego seksu, że mój intelekt w jego obecności topnieje. Ja jestem taka wzburzona, a on taki opanowany, że im bardziej próbuję mu dorównać, tym większe głupstwa wygaduję w stylu: odnosząc się do. Być może zostałam opętana przez jakieś demony elokwencji.

— Książniczko — odzywa się ponownie Chris. Siedzimy w zimnym, lśniącym barze, a on głaszcze mnie po rękę. — Zachowujesz się jak sople lodu, który boi się, że stopnieje.

Ale ten sople boi się tylko, że natrafi tutaj na swojego chłopaka. Spoglądam ukradkiem na olbrzymią szybę zrobioną z czerwonego szkła oddzielającą nas od ulicy.

— Wiesz, kogo mi przypominasz? — pyta, pochylając się bliżej. Przecząco kręcąc głową. Chris strzepuje popiół na granitową podłogę i oświadcza: — Miejskiego lisa. Jesteś taka... czujna. I dzika w sercu.

Wiem, że to komplement, ale ponieważ jedynym miejskim lisem, którego widziałam, było rude stworzenie tak otyłe z powodu plądrowania koszy, że sapało. Potrzebowałam więc trochę czasu, aby zrobić uszczęśliwioną minę. Pochyliłam się nad dopalającą się świeczką, stojącą na naszym szarym stoliku, zapaliłam papierosa i wreszcie odparłam:

— O, dziękuję... ale nigdy nie wspominałeś, czym się zajmujesz. — Chris zaciągnął się swoim rosyjskim papierosem.

— Jestem menedżerem zespołu — odpowiada, patrząc na mnie tym swoim zaspanym wzrokiem. Uśmiecha się jeszcze i dodaje: — Oddałem się na służbę rocka.

Takie niedorzeczne stwierdzenie mogłoby być powiedziane żartem nawet przez Ozzy'ego Osbourne'a. Rozbawiona wydmuchuję przez nos dymek powietrza — gaszę świeczkę!

— Przepraszam — mówię, po czym zapalam ją ponownie zapalką. — Kiedy nie jestem lisem, przemieniam się w złego wilka.

Chris śmieje się, a ja odczuwam satysfakcję. Czuję, że dźwięk tego śmiechu mógłby utrzymać mnie przy życiu. Muszę wymyślić coś jeszcze, aby go rozbawić.

Nastąpiła cisza.

Uświadamiam sobie, że Chris jest nieskrępowany przymusem grzecznej konwersacji (potrzeba mówienia). Więc zagajam:

— Skąd znasz Simona? — Robi zdumioną minę, dlatego dodaje: — Męża Babs.

— Uhm, Simon był jednym z tych dziwaków, których pełno dookoła. Nie sądzę, że postąpił właściwie. Facet jest w porządku, ale ma dwadzieścia pięć lat, to jeszcze dzieciak. Przyjaźnisz się z tą jego żoną.

No i tu może być problem.

— Tak, z Babs. Bardzo ją lubię. Jeszcze się nie przyzwyczaiałam, że wyszła za mąż. Wiem, że to brzmi okropnie, ale czuję się, jakby mnie ktoś obrabował. Czy wspominałam, że jest strażakiem?

Chris uśmiechnął się.

— Czy sądzisz, że to ona przeniosła go przez próg? Chichoczę.

— A jak nazywa się twój zespół? — pytam w przychylnym uśmiechu. — Znam go?

— Krwistosiny Diabeł — odpowiada z dumą jak matka, która podaje imię swego pierworodnego. Szpera w kieszeni i wyciąga pomietaną ulotkę. — Niedługo ich poznasz. Wkrótce wszyscy o nich usłyszą. Mają chłopcy brzmienie.

— Fajnie się nazywają — mówię ze świadomością, że Tony by ich wyśmiał. („Nazwa zespołu mówi sama za siebie. Jeśli nie mają dość wyobraźni, aby wymyślić dobrą nazwę, to co mówić o śpiewaniu?"). — A są w jakiejś wytwórni?

Chris odpowiada:

— Jestem bliski podpisania megakontraktu.

Rzucam okiem na ulotkę. Ostatni występ Diabłów odbył się w Red Eye na Caledonian Road. Mówiąc, delikatnie, to jest coś w rodzaju muzycznego off Broadwayu.

— Super. — Jestem ostrożna. — A grali gdzieś jeszcze?

— W The Orange. — Chris na to (jeszcze bardziej off Broadway: skrócić w lewo, potem objechać rondo...).

Nie powtórzę tego, co powiedział mi Tony: zespół bez wytwórni nie ma co dawać koncertów, bo krytycy i tak na nich nie pójda. (Tony nie należy do ich wielbicieli, ponieważ musi — a ja parafrazuję — zajmować się ich głównianymi pupilami).

Oświadczam optymistycznie:

— Przypuszczam, że The Prodigy będzie wkrótce ich suportem.

Chris uśmiecha się. Po deszczu zawsze wychodzi słońce.

— Zagram ci ich demo — oznajmia tym swoim ciemnym głosem. — Na pewno ci się spodoba. — Uśmiecham się radośnie. Nagle poczułam się jak znawca muzyki. (W zeszłym tygodniu staliśmy razem z Saulem w kolejce otoczeni przez rój agresywnych emerytów, aby usłyszeć koncert Bacha grany przez orkiestrę BBC na hipodromie w Golders Green).

— Lubię cię, Chris — wygaduję się. — Masz poczucie humoru. To jak — czuję, jak bąbelki szampana uderzają mi do głowy, a komórki mózgowe rozplývają się gdzieś — miło mi się siedzi w tym barze, rozmawia się i, to znaczy, człowiek rozgląda się i założy się, że żaden z tych ludzi nie jest żo...

Chris przyciąga mnie do siebie i całuje. Smakuje jak zakazany owoc. Z ustami przyciśniętymi do moich mruży:

— Trochę mniej słów, proszę, trochę więcej czynów. — Przypomina mi się, jak Elvis powiedział, że na początku to nie smakuje. Czuję słabość. Wstaję i pozwalam, aby Chris zabrał mnie do domu.

Radio Four wybija mnie ze snu o 7.45 rano i potrzebuję trochę czasu, aby uświadomić sobie, dlaczego czuję się jak ślimak na haju. Z ożywieniem pytam swego sumienia, aby zbadać, czy czuję się winna i — zupełnie słusznie — daje mi po pysku. Zagryzam usta. O której wyszedł? Kręcę się pod kołdrą i śnię o ostatniej nocy. Całowaliśmy się w taksówce jak niepohamowane nastolatki (choć jako nastolatka byłam bardziej ospała niż niepohamowana), a potem wpadliśmy do mego mieszkania, aż w końcu przypomniało mi się, że pod moją niemodną spódnicą i seksownymi butami kryją się odwieczne, antykoncepcyjne podkolanówki.

— Chwileczkę — krzyknęłam, zdejmując z siebie Chrisa. —

Zaraz wracam. Idę tylko do... — łamię sobie głowę nad zgrabną wymówką — toalety. — Wpadam do łazienki, a kiedy wybiegam z niej osiem minut później (po daremnej próbie usunięcia śladów po podkolanówkach), Chris zdaje się płonąć z pożądania. Zastanawiałam się, czy zacząć mu wyja-

śniać, że przez ten długi czas nie korzystałam z toalety, ale on w tym momencie przyciągnął mnie do siebie i zdarł ze mnie moją obcisłą, różową spódnicę! Odważny gest, który byłby na miejscu, gdybyśmy byli gwiazdoramii filmowymi, zachowując się w ten sposób w naszym najnowszym hicie ekranowym, gdzie jakiś dom mody udostępnił nam przez uprzejmość garderobę. Byłam taka przerażona, że miałam ochotę zaprotestować. Moja nowa spódnica poświęcona na rzecz dwóch minut ekscytacji!

Nigdy nie będę dziewczyną rockmana, pomyślałam, gapiąc się na resztki różowych guzików leżących na podłodze. Zanim Saul pocałował mnie po raz pierwszy, spytał z szacunkiem: „Czy mogę cię pocałować?”. Chris nie pytał. Całował mnie jak demon, chcący wyssać ze mnie duszę. Kilkudniowym zarostem podrapał mi brodę, ale — ponieważ inne partie ciała swędziały jeszcze mocniej — nie przejęłam się tym wcale.

— Zmarzłeś — odparłam, całując go w nos.

— A tobie zrobiło się gorąco — wyszeptał. — Chodź tutaj i niech cię zdeprawuję. — Powlokłam się w jego kierunku. — Kładź się — szepnął. — Zaraz cię zjem.

Zaczerwieniłam się i nie potrafiłam spuentować jego słów. Próbowałam nie myśleć jak niania (no, chłopcy, dziewczęta, umyliście się na dole?) i nie protestowałam, kiedy popchnął mnie w stronę kuchennego stołu. Na początku byłam tak zrelaksowana jak homar w garnku. Przez cały czas ścisnęłam nogi i piszczałam. Nic nie pomogło, że Saul dzwonił w tym momencie i zostawił wiadomość. („Nat, Royal Shakespeare wystawia *Koriolana*. Może kupilibyśmy bilety? Może być w środkowym rzędzie?”)

Chris przerwał swoją harówkę i wymamrotał:

— No i jak tam?

Zakrywam oczy i przeklinam Saula za brak wyobraźni. On nigdy nie pieścił mnie ustami — zawsze zgłaszam weto, a on jest zbyt kulturalny, aby protestować. Chris natomiast nie ma za grosz kultury.

— No, kochanie — mówi łagodnym głosem, który ściągnąłby kotka z drzewa. — Zrelaksuj się. Będzie super.

I ku mojemu zdziwieniu, rzeczywiście tak było. Czułam się jak fortepian strojony przez genialnego artystę. Cóż jeszcze mogę dodać? To tak, jakby się przyznać do kryminalnej przeszłości albo zbierania znaczków. Okrutna prawda była taka, że próbowałam pokochać seks, ale nie stanowiliśmy dobrego połączenia. To zawsze składało się z niezręcznej plątaniny nóg i rąk i nieustannych „przepraszam”. Prawdopodobnie moją winą było to, że postanowiłam stracić dziewictwo z facetem, który zdobył się na okrzyk: „Masz owłosione nogi!”. Ale może i mając nogi gładkie jak aksamit, czułabym rozczarowanie.

Babs nie rozumiała moich rozterek. Kupiła mi wibrator i książkę pod tytułem: *Jak sprawić sobie przyjemność, czyli seks w pojedynkę*. „Nie ma co czekać na faceta” — zbesztła mnie. „Równie dobrze można czekać przed Tesco na przyjście Mesjasza. Musisz sama zadbać o siebie”.

Ale im bardziej się starałam, tym gorzej mi to wychodziło. Jedyny raz, kiedy już zaczynałam topnieć, wówczas facet, z którym byłam, wyprysnął poirytowany z pokoju i wrzasnął na korytarzu: „To tak, jakby człowiek próbował wycisnąć krew z kamienia!”. Po tym wydarzeniu postanowiłam udawać. (Wrzeszczałam i drapałam ich paznokciami po plecach). A teraz, ni stąd, ni zowąd pojawił się Chris Pomeroy, twórca tego wielkiego przewrotu. To było takie nieoczekiwane, że rozczuliłam się.

— Nie wyglądasz na dziewczynę, która przedtem to przeżywała — mruknął potem Chris, kiedy paliliśmy wspólnie papierosa. — Jesteś do tego stworzona, księżniczko, marnujesz się. — Zasłoniłam się włosami tak, że zakryły mi twarz, ale on je odgarnął. A potem dodał jeszcze: — Mam zamiar zakochać się w tobie, a potem cię rzucić, moja piękna.

Poczułam lekką panikę, ale powiedział, że zadzwoni. Kilka minut potem spałam już tak mocno, jakby mnie ktoś walnął przykrywką po głowie.

Spoglądam z uśmiechem na zegar — jest dziewiąta dwadzieścia rano. Czuję pewne wyrzuty sumienia z powodu Saula, ale wzbudzona namiętność je tłumi. Nigdy przedtem nie odczuwałam takiej tęsknoty. Nie wystarcza mi już seks z Chrisem. Chcę się z nim połączyć, zanurzyć się w nim. Jednak słyszę w sobie głos, który mnie przestrzega: nie wolno ci tego więcej robić, jesteś opętana przez tego faceta. Nieprawda, jestem wolna — zaraz, chwileczkę — dziewiąta dwadzieścia? — cholera! Wyskakuję z łóżka, biegnę do szafy i wyciągam, co popadnie. Spóźnię się do pracy! Nigdy jeszcze się nie spóźniłam. Nie mogę, nie spóźnię się! Ach, Chris, co ty zrobiłeś! Biegnę do metra. Czy zmieniłam się? Wydaje mi się, że ludzie gapią się na mnie. Wybiegam z metra i piętnaście po dziesiątej wpadam jak bomba do biura, sapiąc jak Pirek, kiedy dowlecze się od swojej miski z żarciem do sofy. Nikogo jeszcze nie ma.

Jest dla mnie wiadomość od Matta. Nie będzie go przez cały dzień, bo ma spotkania, ale jeden z szefów wyraził zgodę na wyjazd do Werony (płacimy my), więc: „No to machina ruszyła”. Uśmiecham się szeroko. Szczęśliwym trafem nieobecność Matta oznacza przywrócenie mojej profesjonalnej reputacji. Komponuję cukierkowy list do Ministerstwa Turystyki we Włoszech, nakreślając nasz plan. Spędzam także nadmierną ilość czasu na rozmyślaniu i wzdychaniu do Chrisa. Boję się, że telefony służbowe przeszkodzą mi, kiedy on będzie dzwonił.

Nie mogę się zdecydować na słowo: „wspaniały” czy „cudowny”, kiedy drzwi otwierają się z trzaskiem i ukazuje się blada dziewczynka z czarnymi warkoczykami i rozdrażnioną buzią.

— Melissandra — mówię, próbując zwrócić jej uwagę — jak się masz?

Mel wsuwa się do środka. Jej cieniutka figurka obleczona jest w legginsy i rajstopy, gruby sweter i tajemniczy element garderoby, chyba spódnice albo szal.

— Tak szobie — odpowiada, patrząc na mnie spod rzęs.

— A co się stało? — pytam. — Czy mogę ci pomóc?

Mel marszczy czoło i odpowiada:

— Bycz mosze.

Uśmiecham się zachęcająco. Wygląda jak Pippi Langstrump, chociaż ma dwadzieścia dziewięć lat. Jest dobrą tancerką, ale przypuszczalnie nie tak dobrą, jak sądzi. Kiedy Matt zobaczył ją w roli Klary w *Dziadku do orzechów*, powiedział: „Dla mnie bryła lodu”, i krytycy potwierdzili jego słowa. „Melissandra Pritchard — napisali — technicznie tańczy bez zarzutu, ale jej taniec pozbawiony jest pasji — można ją nazwać Gwyneth Paltrow naszego baletu”. Wszyscy w teatrze są zgodni, że tańcząc, nie potrafi przekazać nic od siebie (brak indywidualizmu ujawniła, kiedy baletmistrzynie poprosiła ją, aby zinterpretowała ten ruch, wówczas Mel odparła oschle: „Jestem baletnicą, a nie choreografem!”). Ale za to jest piękną dziewczyną. Delikatną jak figurka z chińskiej porcelany.

— Napijesz się wody? — proponuję ostrożnie.

— Nie, dziękuję — szczebiocze uroczo, pochylając się nad moim biurkiem i podnosząc jedną nogę wyżej, wyżej i jeszcze wyżej, aż prawie do pionu.

— Zrobiłaś sobie coś w bucie? — pyta dalej.

— W jakim bucie? — wybełkotałam zdumiona. — Ach, w buzię. — No, proszę, nic się nie ukryje! Worki pod oczami pewnie są widoczniejsze, niż sądziłam. — Och, nie! Po prostu nie miałam dzisiaj czasu, żeby zrobić sobie makijaż.

Mel rzuca mi zdziwione spojrzenie. Proponuje:

— Mam ołówek korekcyjny. — Próbuję ukryć obrażoną minę.

— Miła jesteś — odpowiadam. — Ale nie skorzystam. Powiedz mi lepiej, jak mogę ci pomóc.

Mel wyciąga smukłe ramię i dociąga delikatnie do swojej podniesionej stopy (która sięga teraz wyżej głowy). Ten gest nie sprawia jej żadnego wysiłku. Patrząc na to wszystko, i też bym tak chciała. Niestety mam tyle giętkości co sucha gałąź. Wieczorem muszę iść poćwiczyć.

— Jest mi przykro — obwieszcza Mel, opuszczając nogę i ciągnąc nerwowo za wstążkę u war-koczyka. — Szanuję Juliettę. Uważam ją za dobrą tancerkę. Nie mogę powiedzieć na nią złego słowa... — i przygotowuję się na potok oszczerstw, który zawsze następuje po takim wstępie — ale to nie fair, że ona uzurpuje sobie prawo do popularności, tylko o niej głośno w gazetach, każdego dnia można ujrzeć olbrzymie zdjęcie jej zgrabnych nóg, które zresztą, muszę to powiedzieć, są tak szeroko rozstawione, że prawie zdeformowane! Chyba cały czas spędza na rozmowach z dziennikarzami! Ja też jestem primabaleriną! Dlaczego oni nie chcą rozmawiać ze mną?

Zaczyna jej drżeć dolna warga. Robi mi się jej żal.

— Nie przejmuj się, Mel — próbuję ją pocieszyć. — Coś ci zorganizuję — dodaję pospiesznie.

Mel klaszcze w ręce i, ku memu zdziwieniu, obejmuje mnie. Czuję się, jakby mnie obejmował worek kości.

— Obiecujesz? — krzyczy. — Dziękuję, tak bardzo ci dziękuję! — Przerzywa na chwilę, po czym dodaje: — Mam pomysł! Może wybierzemy się gdzieś na kawę i porozmawiamy na ten temat? Poczekasz po próbie w piątek, a potem pójdziemy na kawę. Razem! Nie wiem, gdzie tu są jakieś kawiarnie, ale ty na pewno jesteś zorientowana. Byłoby fajnie. Zgadzasz się? — Jestem zaszczycona szansą poplotkowania sobie z gwiazdą. Poza tym zahipnotyzowała mnie swymi oczami: ogromnymi, niebieskimi i smutnymi. Więc jak mogę odmówić? Wyrażam zgodę i patrzę, jak w podskokach wychodzi z pokoju. Słyszę, jak przez cały czas śpiewa na korytarzu piosenkę Tori Amos *Cornflake Girl*.

Uśmiecham się i czuję przy tym, że boli mnie broda. Wyprysk! Super — mój pierwszy orgazm w życiu i od razu wyprysk. Staram się go nie dotykać ani na niego nie patrzeć — w tym pomieszczeniu jest mnóstwo luster i szczerze mówiąc, mam dość patrzenia na siebie. Trzy po szóstej, po całym dniu martwej ciszy, odzywa się dzwonek telefonu. Rzucam się na niego jak tonący na brzytwę.

— Halo?

— Cześć, Natalie. Mówi Sally z recepcji.

— Cześć, Sally — odpowiadam, zbierając siły.

— Jest tu pewien pan, który chce się z tobą zobaczyć. — Zniża głos: — To chyba ten, którego można winić za twoją dzisiejszą zmianę w wyglądzie. — A następnie dodaje już normalnym tonem: — Mam go przysłać do ciebie?

Te wszystkie komentarze na temat braku makijażu zaczynają działać mi na nerwy. A może cierpię na zaburzenia dysmorficzne i być może jestem jeszcze brzydsza, niż sędzę. Jednak pożądanie bierze górę nad wszystkim i krzyczę do słuchawki:

— Tak, oczywiście! Dzięki, Sally. Przyślij go zaraz!

— Przyjemność po mojej stronie — chichocze Sally. — Zaraz u ciebie będzie.

Rzucam słuchawkę i zaczynam chaotycznie ganiać po pokoju. Szukam kosmetyczki, która leży w torebce przygnieciona przez tomisko zatytułowane *Stalingrad*, pożyczone mi przez Saula. (Muszę się wreszcie do tego zabrać). W końcu udaje mi się wyciągnąć kosmetyczkę. Już chcę otworzyć puderniczkę, kiedy dochodzi mnie delikatne pukanie. Chowam ją szybko i pospiesznie poprawiam włosy.

— Proszę — wołam chrapliwym głosem.

Mój gość wkracza do środka, ściskając w ręku bukiet ciemnoczerwonych róż. Na ten widok ze zdumienia odbiera mi mowę. Przygląda mi się i wówczas uśmiech znika z jego twarzy.

— Co takiego — pyta Saul głosem, którego nigdy u niego nie słyszałam — masz na brodzie?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jestem przeciwniczką zapuszczania brody we współczesnym i społeczeństwie. (W ramach równości dotyczy to także kobiet). Stanowi ona siedlisko kurzu i przechowalnię resztek pokarmowych, dlatego powinna być hodowana jedynie w wyjątkowych przypadkach. Dotyczy to szczególnie modnego, kilkudniowego zarostu, który jest niebezpieczny i trzeba by go zakazać. Gdyby tak się stało, mój podbródek nie wyglądałby jak zaatakowany przez tarkę do sera, a wówczas Saul nie gapiłby się przed siebie w milczeniu i nie prowadziłby swego lotusa z jeszcze większą geriatryczną prędkością niż zwykle. Czułam się niepewnie. Osunęłam się na swoim siedzeniu i zaczęłam nerwowo kręcić kosmykiem włosów. Ostatnie dziesięć minut było nie do zniesienia.

— Czego chcesz od mojej brody? — spytałam z niepokojem, a moja dłoń powędrowała w kierunku kompromitującego wyprysku. Choć prawdę powiedziawszy, to nie można było nazwać tego wypryskiem. To wyglądało jak czerwona, zaskorupiała rana. Efekt spowodowany długotrwałym i gwałtownym pocieraniem o zarost. Miałam poważny kłopot. — Muszę ci o czymś powiedzieć — zagaiłam niepewnym tonem.

Miałam nadzieję, że Saul, jak każdy normalny, doprowadzony do ostateczności samiec walnie pięścią w ścianę i krzyknie: „Ty dziwko! Zabiję tego drania!”. Ale on tylko odezwał się tymi słowy:

— Zapomniałaś chyba, że zarezerwowałam dla nas stolik o wpół do ósmej w Oxo Tower. Tam możemy porozmawiać na ten temat.

Otworzyłam buzię, po czym zamknęłam ją, a w końcu skinęłam głową. Przed restauracją przytrzymał mi drzwi, a ja zgarbiłam się, przechodząc pod jego ręką. W drodze do samochodu przypomniało mi się, że zostawił kwiaty na moim biurku.

— Jak tam w pracy? — pytam tchórzliwie.

— Wszystko w porządku — odparł i zaczął gwizdać po cichutku jakąś melodię — chyba *My Heart Will Go On* Celine Dion.

Mocno zaciskam dłonie, aby nie drżały. Dłużej nie zniosę tego napięcia. Czuję, że za chwilę pękne jak balonik i na tapicerce jego samochodu znajdą się skrawki czerwonej gumy. Do niedawna jeszcze uważałam, że Saul to wystraszony naiwniak, jakich pełno w filmach z Meg Ryan. Teraz jednak widzę, że muszę zmienić zdanie. To Brudny Harry z liczydłem w ręku. Spoglądam na niego kątem oka, by sprawdzić, czy przypadkiem nie doszło już do przeobrażenia.

— Mogę włączyć radio? — pytam przestraszonym tonem.

— Wolałbym nie — odpowiada. Szybko cofam wyciągniętą rękę, która już zawisła nad włącznikiem. W tym momencie uświadamiam sobie, że zawsze kiedy czegoś chciałam, Saul od razu na to przystawał. Kiedyś zbił brudny talerz i poprosiłam go, by go umył, zanim wrzuci go do kosza. Nie dawała mi spokoju myśl, że będzie leżał tam brudny. Saul wypucował go, używając płynu do mycia na-

czyń, po czym dodał zadowolony: „Mamy podobne charaktery!”, i na dodatek kupił mi nowy talerz. To porządny i wyrozumiały facet. Przynajmniej trzymam się takiej nadziei.

Jedziemy w milczeniu srebrną windą, a potem wchodzimy do baru. Pełno w nim wymuskanych twarzy i bardzo żałuję, że nie jestem jedną z nich. Mogłabym być nawet stołkiem pianisty, gdybym tylko w ten sposób umknęła chłodnego piekła spokoju Saula.

— Napijesz się czegoś? — mamrocze w stronę jego lewego nozdrza.

— Tak, poproszę lemoniadę — odpowiada. Pokazuje ruchem głowy na puste krzesła. — Pójdę zająć stolik.

Patrzę, jak zmierza w jego kierunku. W tym ciemnym ubraniu sprawia wrażenie szczuplejszego. Płacę za wódkę i sok żurawinowy i marzę, aby znaleźć się w innym wymiarze.

— Tu jesteś — stwierdzam chrapliwym głosem.

— Cały zamieniam się w słuch — oznajmia.

Żuję kosmyk włosów i zaczynam swoją opowieść. W trakcie uświadamiam sobie, że Chris prawdopodobnie nie zadzwoni i że zaryzykowałam trwały, pewny związek. Czy rzeczywiście sądziłam, że taki facet jak Chris zadzwoni, kiedy obiecuje? Garbię się na swoim krześle, aby złagodzić cierpienie. Potrzebuję cię, Chris! Muszę cię dotknąć. Dlaczego, dlaczego nie jestem tą wybraną, dlaczego to zawsze kończy się w ten sposób? Przychodzi mi do głowy, że dostałam za swoje i że Saul przełknął tę gorzką pigułkę. Czekam, kiedy na mnie krzyknie. Boję się wybuchu jego wściekłości, ale wolę to niż takie przerażające oczekiwanie. Kiedy wybija siódma trzydzieści, mam ochotę błagać kelnerkę, by pozwoliła nam przysiąść się do czyjegoś stolika.

Ale ta wiedźma sadza nas w odległym kącie. Saul mógłby mnie tu poćwiartować i nikt nie zwróciłby na to najmniejszej uwagi. Jednak on przerywa w połowie moją spowiedź i zamawia smażonego tuńczyka, wdając się w dywagacje z kelnerką, czy do ryby bardziej pasuje francuskie czy kalifornijskie chardonnay. „To tylko kawał martwej ryby, który za chwilę zjesz” — myślę sobie. Teraz przydałby się goły Posejdon, bóg morza, który przebiłby ci serce. Próbuję rozszyfrować nieodgadnioną minę Saula i zastanawiam się, czy to ja przebiłam mu serce. To jego wina — nie powinien być taki słowny. Zawsze dzwoni, kiedy obiecuje. Gdzie tu miejsce na seksualne napięcie?

Ale brak wszelkich oznak tchórzostwa z jego strony. Widać, że Saul coś przeczuwa. Jestem zbyt spięta, żeby cokolwiek przełknąć. Zapalam następnego papierosa.

— No mów! — zachęca mnie. Gaszę papierosa. Czuję się jak farmer porwany przez UFO, który wyjaśnia okoliczności Danie Scully. W pewnym momencie Saul dotyka delikatnie mojego ramienia, dając do zrozumienia, że powinnam przestać pytlować na chwilę, i prosi kelnerkę, aby przyniosła pieprz! Czuję się oszukana. Właśnie tak! Dlaczego nie jest zazdrosny? Dlaczego nie zzielenieje ze złości i nie zacznie rozdzierać szat? Przecież nie jestem taka ostatnia, żeby w ogóle się nie przejmował

moją zdradą. Co zrobiłby Simon, gdyby Babs go zdradziła? Założę się, że zamordowałby oboje kochanków, a potem poszedł do więzienia — oto dowód, jak bardzo ją kocha! Wbijam wzrok w talerz.

— Nie smakuje ci twoja sola z grilla? — pyta i w tym momencie mam wielką ochotę rzucić w niego tą rybą.

— Smakuje — odpowiadam i z obrzydzeniem słyszę, jak drży mi głos. — Ale ona ma pysk, a ja właśnie przeszłam na wegetarianizm. — A on śmieje się z mego dowcipu! — O co ci chodzi? — pytam szeptem.

Saul odkłada nóż i widelec.

— Natalie — oznajmia łagodnym tonem — to nie stanowi problemu.

— Co nie stanowi problemu? — pytam niepewnie.

Uśmiech zamiera na jego twarzy, a w to miejsce pojawia się coś w rodzaju żalu czy smutku.

— No cóż — wyjaśnia, patrząc na mnie znad niewidzialnych okularów — chcę powiedzieć, że nasz związek nie był poważny.

— Co to znaczy? — pytam słabym głosem.

— Chcę powiedzieć — odpowiada, napełniając ponownie mój kieliszek po same brzegi — że z początku to była fajna zabawa, ale wkradła się do niego nuda i po prostu wszystko się skończyło.

Czasownik zwrotny „skończyło się” dźwięczy mi w głowie. Skończyło się. Jak to możliwe? Jak on może tak mówić? Przecież poza mną świata nie widzi! I od kiedy to nasz związek był zabawny? To nieprawda!

— Ale, ale... — Głos mi gaśnie.

— Natalie — ciągnie Saul tym swoim pogodnym tonem. — Oboje dobrze wiemy, że od jakiegoś czasu między nami się nie układa. Bądźmy uczciwi. Ty przez ostatnie kilka miesięcy poświęciłaś tyle czasu Babs, pomagając jej w przygotowaniach weselnych, że rzadko się widywaliśmy. A gdy już się spotkaliśmy to rozmowa kręciła się tylko wokół twojej przyjaciółki. Nie zrozum mnie źle, bardzo ją lubię, to wspaniała dziewczyna. Ale te wieczne rozmowy na temat jej małżeństwa pozwoliły mi uświadomić sobie, że nie ma czegoś takiego jak my. Jednak — tu następuje protekcyjnalne klepięcie w ramię ofiary losu — jeśli chcesz, możemy pozostać przyjaciółmi.

Jestem w tak wielkim szoku, że oczy mnie swędzą. Nic go to nie obeszło i proponuje, abyśmy zostali przyjaciółmi!

— Głowa do góry — stwierdza pogodnie. — Ten twój Chris wydaje się porządnym chłopem.

Zbiera mi się na płacz, ale za żadne skarby nie zrobię tego w Oxo Tower. Mój — nieoczekiwanie — eks nalewa mi pełną szklankę wody i dodaje, że jeśli nie czuję się za dobrze, to on wezwie tak-sówkę. Kiwam głową płaczliwie i mamrocze, że idę do toalety umyć sobie twarz. Saul robi znaczącą pauzę, po czym pyta:

— A zjesz tę solę czy ja mogę dokończyć?

— Niech pani się rozchmurzy — odzywa się taksówkarz. — Wszystko będzie dobrze.

Uśmiecham się z wdzięcznością za jego niezwykle wycucie sytuacji i w duchu stwierdzam: „A właśnie, że nie będzie”.

Widzę, że facet ma wielką ochotę, by sobie ze mną pogadać, więc wyciągam komórkę i dzwonię do Tony'ego.

— Mów — odzywa się rozkazującym tonem. W tle słyszę odgłosy rozmowy i czyjś przenikliwy śmiech.

— To ja, Nat — drę się do słuchawki. — Saul mnie rzucił! — Po tych słowach czekam na kondolencje z jego strony.

— A jakiego szampana piliście? — pyta mój braciszek.

— Co?! — pytam zdumiona.

— Siostrzyczko — ciągnie. — Z tego Bowcocka nie był znowu taki cud. Do jutra o nim zapomnisz. Nic ci nie będzie. Jak zwykle zresztą. — Z wdzięcznością kiwam głową do słuchawki. — Lepiej nie mów o tym mamie. Jak się dowie, będzie załamana — ciągnie. — Na razie. Wzdycham głęboko.

— Dzięki za rozmowę — odpowiadam, rozłączając się. Osuwam się na siedzenie, a kierowca zarzuca mnie pytaniami:

— Ma pani ciężki dzień za sobą? Skończyła pani pracę? Na dzisiaj to wszystko?

— Jeszcze nie — odpowiadam i pytam, czy zawiezie mnie do Holland Park. Potem dzwonię na zegarynkę i udaję, że prowadzę z kimś rozmowę. Kiedy samochód zatrzymuje się na nieoświetlonym miejscu przed eleganckimi zielonymi drzwiami, płacę kierowcy i wyskakuję z samochodu. Gdy naciskam przycisk dzwonka, przypominam sobie, że nie sprawdziłam, czy Babs jest w domu. Kiedy otwiera mi w fartuchu, oddycham z ulgą, po czym wybucham płaczem, którego nie miałam siły już więcej powstrzymać.

— Och, mój Boże! — wzdycha, przyglądając mi się. — Co ci się stało w brodę? Wszystko w porządku?

— Ze mną tak, ale nie tak miało być! — odpowiadam ze szlochem. — Chris nie zadzwonił, a Saul właśnie mnie zo... zo... zostawił! — Już mam rzucić się z płaczem w jej ramiona, ale ona klepie mnie energicznie i odsuwa tor pocisku. — Przepraszam, że wcześniej nie zadzwoniłam — stwierdzam, jękając się i pociągając nosem. — Nie mogłam.

Moja przyjaciółka patrzy na mnie.

— Nic ci nie będzie — oświadcza. — Mój mąż — cha, cha, cha — nie mogę się jeszcze przyzwyczaić do tego słowa — gra dzisiaj w rugby. Ale jest mój brat. Wejdź do środka. Uważaj na pudła! — Przyjemność z nieobecności Simona zepsuła mi obecność Andy'ego. W korytarzu przeciskam się

przez piramidy towarów ze sklepu Johna Lewisa. Podążam za Babs w kierunku jej stalowo-drewnianej kuchni. Andy zauważa mój rozmazany makijaż i podrywa się z krzesła.

— Mam przejść do drugiego pokoju? — pyta. Zakrywam brodę i już chcę prosić Babs, by przytaknęła, ale w tym momencie słyszę jej zdecydowane:

— Nie.

Nie zwracam uwagi na obecność Andy'ego i siadam.

— Wyglądasz, jakbyś brała udział w akcji oddziałów specjalnych — mówi znacząco, w płonnej nadziei, że uda mu się mnie rozweselić.

— Nie zgadłeś — odpowiada natychmiast jego siostra.

— Nie zgadłem — potwierdza Andy, a ja uśmiecham się od niechcienia. — Zauważyłem tylko, że cienie ci się rozmazały. No to może lepiej przejdę do drugiego pokoju, dobra?

Szybko opuszcza kuchnię, a ja śledzę go wzrokiem. Babs z czułością nakłuwa widelcem mięso i stwierdza:

— Andy jest ostatnio bardzo rozdrażniony.

— Naprawdę? To dziwne, po rocznych wakacjach? Nie wiedziałam, że jesz czerwone mięso — rzucam niezadowolona ze zmiany tematu.

— Teraz tak. Chociaż to jest dla Simona — dodaje gwoli wyjaśnienia. — Niedługo powinien wrócić. — Człowiek sądzi, że zna kogoś bardzo dobrze, ale widząc, jakiego partnera sobie wybiera, zaczyna mieć wątpliwości. Przyjaciółka okazuje się zupełnie kimś innym, niż się uważało. Znika zażyłość, jaka — jak błędnie się sądziło — istniała przedtem. — Biedny Andy — ciągnie. — Mieszka teraz z rodzicami, a oni czasami doprowadzają go do granic wytrzymałości.

— Myślałam, że ma mieszkanie — odzywam się zniecierpliwiona.

— Kiedy wyjeżdżał, wynajął je — wyjaśnia Babs. — Lokator wyprowadzi się za kilka miesięcy. Andy teraz szuka jakiegoś tymczasowego lokum, ale w Londynie mieszkania są strasznie drogie — dodaje.

Mam niewyraźne przeczucie, że pod tymi słowami kryje się coś jeszcze. Usiłuję rozszyfrować ten kalambur, ale nie potrafię.

— A próbował znaleźć coś w Streatham? — podsuwam uprzejmym tonem. Z miny mojej przyjaciółki wnioskuję, że nie zdałam egzaminu na agenta specjalnego. Czuję do niej uzasadniony żal. To mnie należy się uwaga! Nienawidzę Andy'ego, że stara się odebrać należną mi rolę. Mnie bardziej do twarzy w kostiumie ofiary pokrzywdzonej przez los.

— Wciąż nie może zapomnieć swojej narzeczonej? — pytam z obowiązku.

— To mało powiedziane — stwierdza Babs. — Przecież byli ze sobą trzy lata.

A moi rodzice byli ze sobą szesnaście lat. Odpowiedni moment — że zacytuję Matta — na bilans. Wzdycham głęboko i mówię:

— Biedny Andy, na pewno musiał bardzo to przeżyć.

A tak naprawdę uważam, że najwyższy czas, by przestał zachowywać się jak dziecko. Całe zamieszanie wokół jego osoby wzięło się stąd, że zaręczył się z dziewczyną, która na miesiąc przed ślubem zostawiła go dla innego faceta. Ponieważ był to dla niego prawdziwy wstrząs, wszyscy okazali mu współczucie, a na dodatek wolno mu było zatrzymać wszystkie prezenty. Kiedy Sasha ulotniła się, rzucił swoją superpłatną robotę maklera, wynajął komuś swoje luksusowo wyposażone mieszkanie w Pimlico, sprzedał audi, a potem wybrał się na roczne wakacje w tropiki, gdzie pracował jako barman, pływał z delfinami i pewnie przystrojony w koronę z muszelek szukał sensu życia — cóż za męczennik! Wszyscy znani mi mężczyźni szukają sensu życia, rozkładając się wygodnie na kanapie.

Z trudem przychodzi mi uwierzyć, że te pokłady współczucia wobec Andy'ego jeszcze się nie wyczerpały. Gdyby był kobietą, wówczas wszyscy bez wyjątku chóralnie współczuliby mu przez jakiś tydzień, potem obojętnie zachęcaliby do powrotu do życia, równocześnie ukradkiem podsycając plotki, że nie umie gotować i za dużo czasu poświęca swojej pracy. Jeśli kobieta popada w rozpacz, ludzie nazywają ją histeryczką, natomiast faceta jeszcze się do tego namawia. Dlatego Andy jest traktowany jak dzielny, porzucony chłopczyk, natomiast opuszczona kobieta miałaby zszarganą opinię, jakby to ona przyczyniła się do jego niewierności, w związku z czym nic dziwnego, że on...

— No to — odzywa się Babs, podając mi filiżankę bionicznej herbaty — Saul postawił ci dwóję z wykrzyknikiem.

Nie wiem, czy tymi słowami pragnie okazać mi współczucie, ale lepiej o to nie pytać.

— Nie uwierzyłabyś — zaczynam — jak okropnie się zachowywał.

— A czy przypadkiem to jego okropne zachowanie nie miało coś wspólnego z Chrisem? — pyta.

Zaciskam zęby.

— Być może miało — odpowiadam krótko.

— *Quelle surprise!* — stwierdza Babs.

Spoglądam na nią krzywo. Czuję się jak Juliusz Cezar z nożem wbitym w plecy, a Babs jak Brutus patrzy z zainteresowaniem, jak się wykrwawiam.

— Posłuchaj — odpowiadam dyszkantem. — Dwóch facetów porzuciło mnie tego samego dnia!

Z trudem mamrocę całą swoją smutną opowieść (nie wspominając słowem o orgazmie, nie chcąc umniejszyć swojego smutku).

W miarę słuchania usta Babs robią się coraz bardziej okrągłe, aż w końcu przypominają dużą literę „o”. W końcu mówi:

— Ach, Nat! Tak mi przykro! Ale spójrz prawdzie w oczy. Chris był nic nie znaczącym epizodem w twoim życiu. Na weselach często się flirtuje. Ty potraktowałaś całą sprawę zbyt poważnie. Si-

mon mi powiedział, że facet cieszy się kiepską opinią. Jednych pociąga kariera, innych narkotyki — jego jedno i drugie — takim ludziom nie można ufać. Nie mogłaś o tym wiedzieć. Poczulaś pokusę — na nas wszystkich to działa, jesteśmy przecież tylko ludźmi. Ale chyba brałaś pod uwagę, jakie mogą być konsekwencje. Konkluzja — zdradziłaś Saula, a on się o tym dowiedział. Czego się spodziewałaś? Dobrze pamiętam, jak stroiliśmy sobie z niego żarty, ale on nie jest idiotą. Pomyśl, jak mocno go zraniłaś. — Ścisła mnie za ramię i dodaje już łagodniejszym tonem: — No, Nat. Przecież wiesz, jak bardzo cię lubię. Nie mogę patrzeć, jak się przejmujesz. Ale chyba nie spodziewałaś się, że powiem coś innego?

Krzywię się niewyraźnie i rozglądam się po kuchni w poszukiwaniu dużego, purpurowego kapelusza, bo wygląda na to, że moja przyjaciółka została arcybiskupem i słówkiem o tym nie pisała. Nawet moja mama po konsultacji z samym papieżem nie palnęłaby mi takiego kazania.

— Życie właśnie mi się zawaliło! — wyrzucam z siebie. Babs odstawia swoją filiżankę.

— Nie twoje życie się zawaliło — mówi — ile ty sama do tego doprowadziłaś.

Chcę coś powiedzieć na swoją obronę, ale słowa grzęzną mi w gardle. Tępo gapię się w swoją gorzką herbatę w porcelanowej filiżance wielkości naparstka i szukam sposobu, jakby tu stąd dać nogę i odzyskać utraconą godność. Ku memu zdumieniu — już przypuszczałam, że za chwilę napiętnuje mnie jak ladacznicę dużą literą A na czole i zacznie odprawiać egzorcyzmy, by potem wyrzucić z męzowskiego domu — Babs podnosi się, pochyla nade mną i obejmuje. Ścisnę ją mocno.

— Musisz dać Saulowi trochę czasu — mówi. — Może mu przejdzie.

Kiwam głową, a w duchu wołam: „Ale ja nie chcę, żeby mu przeszło! Chcę być z Chrisem! I nie chcę, żebyś była mężatką!”. Wystarczy! Zachowuję się jak rozpieszczony bachor. Powtarzam sobie, że muszę postępować rozsądnie i nie mogę myśleć wyłącznie o sobie. Cieszę się, że Babs to powiedziała. Za bardzo się roztkliwiam nad sobą. Uśmiecham się i stwierdzam:

— Masz rację. Dzięki. Aha, chciałam ci powiedzieć, że masz piękną kuchnię. Podoba mi się, jak tu wszystko urządziłaś.

— Naprawdę? Jesteś kochana. — Moja przyjaciółka uśmiecha się szczęśliwa i przez chwilę czuję, że odzyskałam swoją dawną Babs. Następnie ścisła moje ramię jak żelaznym imadłem, znika i zanim zdążyłam mrugnąć, pojawia się ponownie i mówi: — Andy podwiezie cię do domu. Będzie mu po drodze.

Nie mam ochoty wracać jeszcze do domu, a tym bardziej nie mam ochoty, żeby odwoził mnie Andy. Ale mimo to już po chwili siedzę obok niego i toczymy się z hałasem po Elgin Avenue jego zdezelowaną, niebieską astrą. Modlę się gorąco, by nikt mnie nie zobaczył, słuchając jednocześnie jego przemyśleń związanych z historią, jak to jego szkolna miłość wdała się w romans, a przemyślenia z tym związane, założę się, wyczytał ze starego numeru „Cosmopolitan”. Oto próbka jego mądrości:

— Moim zdaniem, wobec nowo poznanego faceta powinnaś stosować zasadę ograniczonego zaufania — no wiesz, wyobraź sobie, że twoje uczucia to twoje oszczędności. Najlepiej na początku zainwestować dziesięć procent. Inwestujesz od razu wszystko i już po tobie!

Od kiedy Babs pomachała nam rękę na pożegnanie, gada same głupoty. Mam już po dziurki w nosie jego gładzenia, a on na dodatek postanawia przeprowadzić sondę:

— A powiedz mi, Natalie, jak ty się relaksujesz? Głupie pytanie!

— Raz w roku wyjeżdżam za granicę, latem, na dwa tygodnie — odpowiadam. (Miałam ochotę jeszcze dodać: „Chociaż Simon odebrał mi współtowarzyszkę podróży”).

W tym momencie zaczyna się wykład — nie do wiary! — na temat jogi. O kurczę! Rzeczywiście utrata narzeczonej porządnie go walnęła. Po dziewięciu minutach zachwytów nad jogą Sivananda (chyba nie chodzi tylko o siedzenie ze skrzyżowanymi nogami i mruczenie sobie pod nosem) Andy proponuje, bym poszukała odpowiedniej dla siebie techniki relaksacyjnej — jeśli to nie będzie joga, to może coś, co „pozwole ci się wyzwolić od siebie”.

Z trudem przeląkam ten afront, kiedy dodaje:

— Ciągle mam w głowie ten obraz, kiedy cię widziałem po raz ostatni. To chyba było cztery lata temu. Pamiętasz, wtedy jak poszliśmy paczką pościgać się na gokartach? Zachowywałaś się, jakbyś oszalała! Po pierwszym okrążeniu postanowiłaś, że za wszelką cenę będziesz pierwsza i widzę cię, jakby to było wczoraj, tę małą plamkę w białym kasku i zielonym kombinezonie, jak krzyczysz ze szczęścia, kiedy udało ci się dojechać do mety, a potem jak uciekasz przed Babs, która próbowała spryskać cię colą. Szybko biegłaś, a teraz... bardzo się zmieniłaś. Stałaś się taka zamknięta w sobie.

Dałam mu delikatnie do zrozumienia, że moje życie uczuciowe ostatnio bardzo się pokomplikowało, a on ma czelność używać zwrotów w rodzaju: „zasada ograniczonego zaufania”!

Spoglądam bokiem na jego opaloną twarz i zadziwia mnie krótka pamięć jej właściciela. A więc, święte niewiniątko, mam ochotę powiedzieć, nie pamiętasz, jak na piętnaste urodziny Babs całowałaś mnie w bieliźniarce twoich rodziców (od tego czasu inaczej patrzę na bieliźniarki), mamrocząc przy tym jakieś bzdury — co spowodował pewnie zbyt wysoki poziom testosteronu — abym odwiedziła cię w college'u; że napiszesz, że zadzwonisz i spotkamy się, że przyjadę na parę dni. Choć byłam wtedy bardzo nieśmiała, to z pewnością niczego sobie dziewczyną — miałam piętnaście lat i wierzyłam ci! — no to czekałam, marzyłam i układałam sobie w głowie, jak się ubiorę na tę okazję. No i co? No i nic — nie odezwałeś się. Nie mogłam słowem pisać ani Babs, ani Tony'emu. Dzięki, Andy, ty niegodziwy kłamco! To twoje „buzi i żegnaj, mała” pozostało mi w pamięci na długo.

Zasada ograniczonego zaufania. Stwierdzam na głos:

— To mądre, co mi powiedziałaś. Spogląda na mnie i wybucha śmiechem.

— Chyba jednak jesteś innego zdania — odpowiada. — A dlaczego od dnia ślubu Babs patrzysz na mnie krzywym okiem?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pewnie byłam przeciętnym dzieckiem, skoro moja mama nigdy nie naprzykrzała się z pochwałami na mój temat dentyście czy pani z banku, pani Parekh ze sklepu na rogu, panu na poczcie, swojej koleżance recepcjonistce w przychodni chirurgicznej i wielu, wielu innym, których za bardzo to by nie obeszło. A Tony — i tu niespodzianka! — był tym trudnym dzieciakiem — jako niemowlak darł się tak długo i tak głośno, że matka niekiedy zamykała go w najodleglejszym pokoju, a sama uciekała do ogrodu, aby mu nie sprawić lania. Oczywiście, nie rozmawialiśmy na ten temat, ale pewnego razu pewna niedyskretna ciocia zdradziła mi ów sekret. Podejrzewam, że matka tak uparcie nawiązuje do tego, ponieważ nie udało mi się wyjść za mąż ani zrobić kariery zawodowej, nie zakasałam bowiem rękawów, co sprawia, że nie jestem nawet przeciętnym dorosłym. Gdyby zobaczyła mnie w tym momencie, byłaby jeszcze bardziej rozczarowana. Zaprzepaściłam szansę na idealnego dla niej zięcia i zamiast rzucić się na płonący stos, biegnę sobie do studia, aby obejrzeć próbę przedstawienia z uśmiechem na twarzy, facet bowiem, który zastąpił potencjalnego męża, mężczyzna, który — jak stwierdziła moja najlepsza przyjaciółka — szybciej odda swego penisa do kiosku z kielbaskami, niż zadzwoni do mnie, mężczyzna, który stanowi materialny dowód rażąco nieodpowiedniego ulokowania moich uczuć, właśnie do mnie zadzwonił (lepiej trzy dni później niż wcale) i umówiliśmy się na wieczór. Nareszcie!

W sumie zapowiada się wspaniały dzień! Ministerstwo Turystyki we Włoszech odpisało na mój faks, a ich odpowiedź zawierała się mniej więcej w takim streszczeniu: „Sami płacicie za swoje przyjemności”. Mimo to byli tak mili, że podali nam numer do swojej filii w Weronie. Załatwiam właśnie detale związane z lotem, hotelami i kontaktuję się z działem fotograficznym „Telegraphu”. Matt jest uszczęśliwiony, a ja znowu wróciłam do łask. Jego łagodny werdykt w sprawie Saula i Chrisa podsumował słowami: „Jeżeli ktoś nie lubi zwierząt, to już tylko krok od tego, by stać się seryjnym mordercą”. (Saul czuł strach przed Pirkiem). Poza tym poradził mi, abym nie dzwoniła do Chrisa, dopóki wrzód na twarzy mi nie zniknie. Jednak on sam zadzwonił i umówiliśmy się w Poncho na dziesiątą trzydzieści. Normalnie wołami by mnie nie przyciągnęli do takich knajp jak Poncho — ale nie chciałam, by Chris pomyślał, że nie mam dokąd pójść w piątek wieczorem. Impreza została zorganizowana na przywitanie Andy'ego — Robbie ją zorganizował. Andy zaprosił mnie — pewnie ze współczucia — kiedy byłam uwięziona w jego astrze. Nie miałam dość rozumu, by się wymówić. (Nie miałam też dość rozumu, by odświeżyć mu pamięć). Idę, bo Babs też tam będzie. Pewnie i Simon przyjdzie, przynajmniej Chris będzie miał znajomego. Nie wspomniałam, że to wieczór karaoke, ale poinformowałam go, że mój brat, Tony — wicedyrektor działu marketingu w wytwórni Black Moon Records — być może się pojawi i Chris powiedział, że to brzmiało jak: „szef się pojawi”.

Jedyną poważną przeszkodą jest, myślałam, kiedy wślizgiwałam się do studia na spotkanie z Mel, ten wrzód na twarzy. Miałam wielką ochotę odrąbać sobie podbródek. Szkoda, że to nie bał przebierańców, wówczas mogłabym włożyć kwef.

Usiadłam na krześle obok pianisty i przyglądałam się tancerzom. Patrząc na nich, miałam ochotę skoczyć na równe nogi i krzyknąć: „Mój Boże, jesteście tacy utalentowani!”. Nigdy nie przestanę zachwycać się baletem klasycznym. Widziałam *Jezioro łabędzie* — określane przez tancerzy jako „mordęga” — z pięćdziesiąt razy i zakochałam się w nim od pierwszego szelestu paczki*. Kiedy zaczęłam pracować w teatrze, przychodziłam na próby i spytałam Matta, kim jest to bożyszcze w pirackiej chustce na głowie. Odparł: „Mam taką zasadę, że nie pieprzę się z pracownikami”.

* Paczka — w żargonie tancerzy spódniczka baletnicy. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Wygląda na to, że mam wybór. Tancerze zwykle nie przepadają za cywilami. Jak poinformowała mnie Julietta: „Kiedy człowiek jeździ mercem, to nie chce się przesiadać do innego samochodu”. Patrzyłam na Oscara, jak poprawia sobie chustkę na głowie. W tym tygodniu balet przygotowuje wiosenną premierę. Mel siedzi na podłodze i przypomina dziecięcego pajacyka, rozcinając plaster na kawałki i przyklejając je na swoje zrogowaciałe palce. Ma okropnie pokiereszowane stopy. Zawsze fascynowało mnie chłodne opanowanie tej purystycznej sztuki, a wszystko opłacone olbrzymim wysiłkiem, straszną harówką i morzem łez. Tancerze to jedyni wyczynowcy, którzy muszą ukrywać przed publicznością, jak wielki ból odczuwają. Jestem także pełna podziwu dla ich karności i opanowania.

Kiedyś wpada dyrektor artystyczny i nakazuje wszystkim „zrzuć z siebie szmaty”. Jest jeszcze bardziej zagniewany niż mściwy bóg i tancerze rozbiegają się, aby ściągnąć z siebie wszystkie warstwy. Zawsze widać, czy sądzą, że są grubi, po tym jak ubierają się na próby. Czasami człowiek się czuje, jakby przyszedł na zajęcia szkoły narciarskiej. Choreograf, którego zadaniem jest tchnąć życie w przedstawienie i demaskować ludzi przed dyrektorem artystycznym, już zajął się głównymi parami i ćwiczy z nimi kroki.

Dzisiaj otrzymał herkulesową pracę, by przetłumaczyć na angielski instrukcje Anastazji Kosowej — byłej gwiazdy baletu Kirowa — która przygotowuje nasz zespół do przedstawienia *Romea i Julii*. Anastazja ma sześćdziesiąt siedem lat i talię osy i nigdy nie uda jej się tchnąć w te brytyjskie kłody krzyny swego geniuszu. Problem polega na tym, że wszyscy dosłownie sztywnieją przed nią z przerażenia. Mel wbiega na salę w pośpiechu z okrzykiem:

— Przepraszam, przepraszam bardzo. — Dyrektor patrzy na nią jak drapieżny ptak na swoją ofiarę.

Pianista zaczyna grać, tancerze zaczynają tańczyć jak pijani, a Anastazja zaczyna krzyczeć:

— Wyglądacie, jakbyście ciężko pracowali! Musicie tu pokazać — z wdziękiem prezentuje krok — dostojność. Tutaj — naśladując tancerzy, rusza się jak sztywna, drewniana lalka — nie widać żadnego dostojności! Pokażcie swój wdzięk! Nie szarpacie się! Uwaga! Ja nie widzieć łuków! Jeszcze raz proszę — *écarte!* Trzymaj! — Spoceni, zdyszani tancerze gapią się z przygnębieniem, jak demonstruje im krok. — Delikatnie, delikatnie... o tak! Do góry! Trzymaj! Ściśnij, no ściśnij, a teraz nieś! Nieś, nieś, delikatnie *ronde de jambe* — delikatnie, mówiłam! Do góry! No właśnie! Okej, no już, nie upuść! Jak — tu zwraca się do choreografa — ty to przetłumaczyć?

Po czterdziestu wyczerpujących minutach próba się kończy. Mel wygląda jak zbity pies i strasznie mi jej żal. Balet to umiejętność nieustannej korekcji. A wszyscy tancerze to perfekcyjniści. Nie można tego nazwać partnerstwem wozu z koniem i dla nikogo nie jest tajemnicą, że większość tancerzy stanowi mieszaninę rozpaczliwej próżności i niskiej samooceny. Kiedy Mel przechodzi obok dyrektora, ten stwierdza:

— Byłaś dzisiaj świetna.

Kiedy wchodzi do kawiarni, jest cieniem samej siebie. Niestety, muszę przyznać, że dzisiaj jej taniec był daleki od doskonałości. Nie pokazała — jak to się mówi — na co ją stać, poza tym dwa razy się potknęła. I choć figurą przypomina wiosenny szczypiorek, to uda ma pulchne. Nagle wykrzykuje:

— Oscar mnie przytrzymał! On nie umie podnieść partnerki! Tańczy jak kłoda!

Nie mam zamiaru zdradzać mojej przyjaźni z lat dziecięcych i dlatego nie zaprzeczam. Obdarzam ją natomiast słowami pocieszenia.

— Szkoda mi ciebie — oznajmiam. — Wiesz co — składam palce jak do przysięgi — rozmawiałam z „Sun” i powiedzieli, że chcą nakręcić o tobie film!

Mel skacze z radości do góry.

— Kiedy? — pyta, z trudem łapiąc oddech, a ten jeden wyraz przepojony jest ogromną nadzieją.

Przez cały czas uśmiecham się, choć serce wali mi jak młotem. Lekceważę tę reakcję organizmu. To się nazywa zaprzedać duszę diabłu. Zresztą zapłatą jest pełne wdzięczności spojrzenie Mel. W tej chwili jestem dla niej najważniejszą osobą na świecie. Informuję, że to ma się odbyć w tę niedzielę i że kręć dla dzieła zdrowia i urody.

— Chcą pokazać kontrast pomiędzy twoją sprawnością a sprawnością zawodnika rugby. Pewnie będzie dużo zabawy. Poza tym, zrobią ci wspaniałe fotki w spódniczce w towarzystwie tego przystojniaka. Oprócz tego będziesz miała sesję, do której przygotuje cię stylistka i wizażysta. Ta gazeta ma tylu czytelników, że po tym wszystkim będziesz jeszcze bardziej sławna!

Twarz Mel rozjaśnia się uśmiechem. Siedzimy w kawiarni, a ona kupuje sobie marsa i colę.

— Od dwóch dni jeszcze nic nie jadłam — obwieszcza.

— Ojej! — wykrzykuje. — A jak się czujesz? Mel uśmiecha się.

— Lekka jak piórko.

Przypominam sobie, jak nasz dietetyk poradził solistce, by jadła więcej, inaczej odbije się to na niej, jak stuknie jej czterdziestka.

— Czterdziestka! — odparła drwiąco dziewczyna. — Kto się przejmuje czterdziestką! Nie mam zamiaru żyć tak długo!

Uśmiecham się niewyraźnie i zaczynam zastanawiać, czy ten pomysł z sesją dla „Sun” to był dobry pomysł. Powinnam uzgodnić to najpierw z dyrektorem artystycznym, ale tego nie zrobiłam, a przypuszczam, że Mel tak właśnie sądzi.

— Posłuchaj mojej rady — odzywam się — i zacznij się porządnie odżywiać.

Mel marszczy czoło.

— Natalie, mam grube uda, krótkie nogi i nie mam szyi — nie mogę obzerać się jak koń!

— Kto tu mówi o koniu, powiedziałam tylko, żebyś jadła.

— Chcę widzieć kości — dodaje, cytując słowa świętej pamięci poważanego choreografa, który żenił się cztery razy z primabalerinami ze swego zespołu. (W tej branży istnieje duża rotacja). Wzdycham głęboko. Zdumiewa mnie jej brak pewności siebie. W zeszłym roku jedną z tańczących u nas gościnnie artystek była dwudziestotrzyletnia dziewczyna z Serbii — cudowna, liryczna tancerka, choć odrobinę przysadzista. Mel przyglądała się jej, jak w czarnej paczce tańczy rolę Odilii w *Jeziorze łabędzim* i wówczas stwierdziła z drwiną: „Pewnie sądzi, że czarny wyszczupła. Wygląda jak biały wiewióryb wysmarowany atramentem”. Może się wydać, że ma wredny charakter, ale to nieprawda — strach przez nią przemawiał. Mel jest podobna do psa, którego źle traktują; każdy stanowi dla niej zagrożenie, dopóki nie udowodni, że można obdarzyć go zaufaniem, a wówczas staje się miłą, ogólnie lubianą dziewczyną.

Widzę, jak przypatruje nam się właściciel kawiarni i, choć to głupie, jestem dumna, że znalazłam się w jej towarzystwie. Kiedy byłam dzieckiem, baletnice kojarzyły mi się z wrózkami — jedne i drugie były pięknymi, tajemniczymi istotami, spowitymi w biel i róż, które potrafią latać — niedoścignione pragnienie z dzieciństwa. Nigdy nie wyrosłam z tego zachwytu.

Mel ścisnęła mnie za rękę. Jej nastrój radykalnie zmienił się na lepsze. Kiedy tak sobie plotkujemy, ona przeskakuje z tematu na temat, jak tropikalna rybka zmieniająca kierunek, zwierzając się, że ma już dość Oscara i chciałaby wdać się w mały romansik z jakimś „cywilem” (to znaczy nie z tancerzem), że nowa choreografka to straszna wiedźma i raz nawet kazała tańczyć solistce z miotłą przywiązaną do pleców, by się nie garbiła, i że — tu następuje krótka pauza, a po niej chrapliwy szept, który ma zwiększyć siłę wypowiedzi — choć Anastazja była dzisiaj zadowolona z Julietty, wczoraj podobno powiedziała: „Nie mam nic do zarzucenia twojemu tańcowi, ale próbowałaś stosować głódówkę?”.

— Naprawdę? — pytam z niedowierzaniem. Przecież Julietta ma przemianę materii Formuły 1. Jej jedyny problem — jeśli można nazwać posiadanie takiego ciała problemem — to pilnowanie, żeby

waga jej nie spadła. Mel dymi jak komin i żuje gumę, Julietta natomiast opycha się słodyczami i nadal ma figurę jak przybrzeżna trzcina. Matt twierdzi, że ona sama tego nie pojmuje. Z trudem przychodzi mi uwierzyć, że Anastazja powiedziała coś takiego.

— Na własne uszy słyszałam — obstaje przy swoim Mel.

Trzy godziny potem, w zaciszu przytulnego pokoju, walcząc ze wszechobecną ciszą, powtarzam tę plotkę uroczemu nieznanemu na przyjęciu u Andy'ego. Przedstawia się jako Jonti i udaje ogromne zainteresowanie baletem. Zadaje mnóstwo wnikliwych pytań, po czym odchodzi. Coś go zaintrygowało. Rozglądam się i widzę, że Andy rozmawia z muskularnym facetem ubranym w marynarkę, jaką noszą agenci FBI. Pewnie to jakiś detektyw. Okręcam kieliszek w dłoni i studiuje spis piosenek karaoke. Choć to świetna zabawa (niestety znam tylko *Goldfinger* i *Footloose*), teraz żałuję, że stawiałam się punktualnie. Bez względu na to, jak długo krążę po ulicy, bawiąc się swoją komórką, i tak zawsze zjawiam się pierwsza na imprezach. Chyba zaraziłam się tym od Saula.

— Natalie!

Podnoszę głowę i zauważam, że Andy macha do mnie ręką. Nie mogę udać, że go nie widzę, choć mam ochotę wyszeptać: „Do mnie mówisz”, a potem dać nogę. Do twarzy mu z opalenizną, ale w tej koszuli uszytej z kawałków zasłon wygląda fatalnie.

— Co takiego powiedziałaś Jontiemu, że ulotnił się jak kamfora?

— Ma się ten talent — odpowiadam.

Andy nie pojmuje, co mówię. Z uśmiechem pyta, czego się napiję.

— Natalie, to jest Robbie.

Facet z FBI ściska mi mocno dłoń.

— Natalie jest najlepszą przyjaciółką mojej siostry — dodaje Andy, kiedy krew powoli wraca mi do palców. — A drobny Robbie jest z kolei moim przyjacielem.

Specagent odwraca głowę w stronę mówiącego i stwierdza:

— Chłopczyk zazdrości mi mojej muskulatury. Andy parska udawanym śmiechem:

— Ja? Zazdrosny? Masz mięśnie jak moja babcia! Próbuję zachować poważną minę, dopóki Andy nie idzie przywitać się z kolejnymi gośćmi.

— Zaśpiewasz dzisiaj dla nas? — pyta mnie Robbie.

— Bardzo chętnie bym to zrobiła, ale nie jestem aż tak okrutna.

Robbie zaczyna się śmiać.

— Jeśli chcesz, możemy zrobić to razem. Ze mnie taki kiepski śpiewak, że na pewno odwrócę ich uwagę od ciebie. Poszukamy sobie coś łatwego. Może *Bohemian Rhapsody*?

Rozbawił mnie. Jestem o głowę od niego wyższa i widzę, że ma na czubku dość przerzedzone włosy. I choć nie jest bosko przystojny, a nawet ludzko przystojny — jest w nim coś, co mi się podoba.

— Co o tym sądzisz? — pyta mnie i zaczyna chaotycznie grzebać w kieszeni, a po chwili wyciąga niewielki, zielony przedmiot. — To dla Andy'ego. Postawi sobie na desce w samochodzie. — Twarz rozplywa mi się w zachwycie. Robbie uśmiecha się. — Wyśmiewasz się ze mnie! To fluorescencyjna figurka Matki Boskiej — jest koszmarna!

Okazuje się, że Andy i Robbie współzawodniczą ze sobą w obdarowywaniu się tandetnymi prezentami. Andy ma już cztery porcelanowe pastereczki, pamiątkowy talerz, małego ufoludka w słoiku i wazon z ciętego szkła ozdobiony złotym liściem. Natomiast Robbie stał się dumnym posiadaczem męskiego zegarka firmy Windsor, drewnianego dzięcioła-kołatki, głowy sztucznego królika na desce, dużej plastikowej iguany i metalowego pinczerka naturalnej wielkości. Śmieję się do rozpuku, a wtedy słyszę skrzeczący głos, który mówi do mnie:

— Natalie, może przedstawiś mi swojego znajomego?

Uśmiech zamiera mi na ustach. Frannie na przyjęciu! To tak jak chwast na pięknej rabacie. Wtedy przypomina mi się, jak w tym tygodniu wyciągnęła do mnie rękę na pół długości w geście przyjaźni. Zlekceważyłam go. Uśmiecham się fałszywie.

— Frannie! Cieszę się, że jesteś! To jest Robbie, dobry kumpel Andy'ego. Frannie jest...

— Bliską przyjaciółką siostry Andy'ego — kończy za mnie sama. Pierwsza wyciąga rękę. Facet nie ma pojęcia, że Frannie uważa uścisk ręki za „gest przynależny mężczyźnie” i wypracowała takie ściśnięcie, które kruszy skały. Przyglądam się temu z przerażeniem. Ktoś może za chwilę nabawić się kontuzji. Słyszę jęk Robbiego:

— Poddaję się! — Wówczas Frannie zaczyna chichotać zadowolona.

— Przynieść komuś coś do picia? — pytam z ulgą.

— Ja poproszę duże jasne — odpowiada Frannie.

— Dla mnie wino z lemoniadą — oznajmia z uśmiechem Robbie. Zostawiam ich samych i idę do baru.

— Natalie! — Andy staje mi na drodze.

— Słucham cię — odzywam się najuprzejmiej, jak potrafię. Bierze mnie za rękę i prowadzi do korytarza.

— A teraz — zaczyna szeptem — nigdzie cię nie puszczę, jeśli mi nie powiesz, co się stało. Dawno się nie widzieliśmy, ale zauważyłem, że chowasz do mnie jakąś urazę. Co takiego zrobiłem? Czy chodzi o to, co powiedziałem w samochodzie? A może to ma coś wspólnego z Antoniuszem Przy-stojniakiem? — Próbuje mnie rozśmieszyć, co pewnie działa na jego mamusię i sekretarkę, ale ja mam ochotę dać mu po pysku.

— Nie — odpowiadam sztywno. — To nie ma nic wspólnego z Tonym. Absolutnie.

— Ale, Natalie — dodaje już poważniejszym tonem — niezależnie od przyczyny, muszę wiedzieć.

„Nie mówię tego, żeby zaoszczędzić bólu sobie, a nie tobie” — powtarzam w duchu. Choć w środku we mnie kipi, stwierdzam głośno:

— Nic się nie stało, naprawdę. Wszystkiego dobrego z okazji urodzin. Cieszę się, że wróciłeś.

— A nie dostanę całusa na przywitanie? — pyta bezczelnie.

— Chętnie bym to zrobiła, ale mam ropiejący wrzód na brodzie — odparowuję. — Nie chciałabym cię zarazić.

— No trudno — odpowiada z westchnieniem. Zręcznie go wymijam i pospiesznie idę w stronę baru.

Kiedy powracam do swego towarzystwa, pierwszymi słowami, jakie słyszę, są:

— Puenty baletnicy mają kształt fallusa. — Zamieniam się w słuch. Balet jest kolejną dyscypliną, której Frannie nie może mi darować.

— Nie wiedziałem o tym — odzywa się Robbie. — To pewnie dlatego mojej mamie tak bardzo się podobają.

Wstrzymuję oddech, a Frannie wybucha perlistym śmiechem.

— Powiedziano mi, że ty jesteś ekspertem w tej dziedzinie, prawda to? — pyta mnie Robbie.

Ostrożnie dobieram słowa:

— Rozumiem, co Frannie ma na myśli — balet klasyczny z jednej strony jest zmysłowy, a z drugiej aseksualny. Dostojny, ale pruderyjny. Środek ciężkości tancerza znajduje się w klatce piersiowej. Natomiast taniec nowoczesny wychodzi z... jakby tu powiedzieć... z miednicy.

— Dostojny! — Frannie kiwa głową. — *Exactement!* Baletnica to jakby wyprostowany fallus, stymulowany przez tancerza dla jego własnej przyjemności!

Rozglądam się dookoła w poszukiwaniu wybawienia i ku swojej uldze zauważam, że pojawiła się Babs z Simonem. Bije od niej taki blask, jakby paliło się w niej jakieś światło. Jej włosy lśnią w blasku zielononiebieskich jupiterów. Macham do niej i czuję, jak kelnerka wbija mi w żebra tacę z pizzą.

Odmawiam, potrząsając głową. Frannie bierze kawałek i pyta dowcipnie:

— O co chodzi, Nat? Boisz się, że pępek odklei ci się od kręgosłupa na pięć minut?

Skrećam się ze złości.

— Nie przepadam za czosnkiem. — Na dodatek nie chcę chuchać na Chrisa oddechem tak potężnym, że mógłby porwać do góry odrzutowiec.

— To ty jesteś położną? — zwraca się Robbie do Frannie. — Podziwiam ludzi, którzy wykonują tę profesję.

Jej twarz nabiera łagodniejszych rysów.

— Naprawdę? — pyta tylko. — Lubię ten zawód, ale czasami bywa niewdzięczny. Wrzeszczą na ciebie, choć starasz się ze wszystkich sił. Zawsze się cieszę, kiedy facet już zemdleje, bo przestaje

zawadzać i można go przesunąć pod ścianę. Poza tym ciągle brakuje nam personelu, a biorąc pod uwagę panującą tam temperaturę, bałagan i zapach, łatwo stracić entuzjazm, ale... och, witaj!

Andy traktuje mnie jak powietrze i ciągnie Frannie, aby pomogła jemu i Babs zaśpiewać *Wives and Lovers*. To piosenka przestrzegająca kobiety, by nie wrywały się tak do zamążpójścia. Widzę, że Frannie ma poczucie humoru, choć do tej pory nie zaprezentowała go w mojej obecności. Wobec mnie zachowuje się jak kłujący i twardy oset. Jest taka, odkąd w szkolnych czasach zaczęliśmy rywalizować o względy Babs. (Kiedy miałam dwanaście lat, w klasach były podwójne ławki. Takie ławki były przyczyną wielu stresujących sytuacji). Zdaniem Babs Frannie jest szorstka, ale lojalna. Taka poważna osoba, z którą się zadajesz, chodzisz na wystawy, prelekcje — przyjaciółka, która nie ma w sobie odrobiny szaleństwa, ale w razie potrzeby stanie przy tobie murem.

Frannie z kolei podziwia Babs ze względu na jej siłę i odwagę. Moją relację z Frannie można porównać do dwóch odpychających się magnesów. Staramy się tolerować wzajemnie, ale ona zachowuje się wobec mnie złośliwie i nieprzyjemnie. Nie aprobuje mojego postępowania. Tego dnia, kiedy otrzymałam wyniki egzaminów końcowych (trzy na nartach jak dowcipnie określaliśmy trzy na szynach), włożyłam wysokie czarne szpilki i krótką obcisłą spódniczkę, wypiliśmy prawie całą butelkę Warnink's Advocaat i chwiejnym krokiem obeszłam wszystkie bary razem z Kathy, koleżanką od butelki (ona zalewała się winem Lambnisco), po drodze obściskując wszystkich napotkanych facetów. Od tego czasu zmieniłam już styl picia i ubierania się, ale ponieważ Frannie zna mnie z czasów szkolnych, dlatego ocenia mnie po mojej przeszłości. Od czasu do czasu próbuje mnie wychowywać — proponując lektury autorstwa Susie Orbach, Eriki Jong i „feministki w twoim stylu, Natalie”, Naomi Wolf — a wówczas dostrzegam w jej oczach przeblysłk dobroci. Jednak w sumie uważa mnie za beznadziejny przypadek.

— A skąd znasz Andy'ego? — zadaję pytanie Robbiemu.

— Byliśmy razem na studiach — informuje z uśmiechem. — A ty chyba znasz go przez Babs? — docieka zainteresowany.

— Nie całkiem — odpowiadam. — Trzymał się z moim bratem w czasach, kiedy nie przepadali za swoimi siostrami. Szybciej zainteresowaliby się odpadami nuklearnymi. A potem podrośliśmy, on poszedł na uniwersytet, następnie zaczął pracować w City i chyba przez krótki czas pracował w Aldershot, zgadza się? Zresztą od paru lat za często się nie widzujemy. Wiem, że mieszkał ze swoją dziewczyną, a potem wyjechał, kiedy Sasha, yyy...

— Zostawiła go — dokończył za mnie. — No tak, Sasha — zagubiona dziewczynka.

— Naprawdę? Nigdy jej nie poznałam. Wiem, że Babs ją lubiła. To zabawne. Ktoś należy do rodziny, a po jakimś czasie związek się rozpada, a potem rodzina już więcej nie widzi tej osoby.

Robbie kiwa głową.

— Chyba widziałem ją wczoraj — mówi.

— Saszę?

— Jechałem skuterem — zaczyna swoją opowieść. — Ona przechodziła przez ulicę. Gdzieś na Kensington.

— To niedaleko mojej pracy! — wołam. (Mam takie złe przyzwyczajenie — zdumiewam się czymś, co nie ma nic wspólnego ze zbiegiem okoliczności. To wynika z mojej niezaspokojonej potrzeby bratania się z całym światem. Jak zobaczę faceta z czarnym parasolem w metrze, od razu chciałabym klepnąć go w ramię i wykrzyknąć: „Ja mam taki sam!”).

— No a ty — pyta Robbie — nie chciałaś kiedyś sama zostać baletnicą?

Zaczynam chichotać.

— Czy wyglądam na primabalerinę? Ale przychodziły mi do głowy takie mrzonki, kiedy miałam cztery lata. Podobały mi się ich stroje.

Śmiejemy się wspólnie z tego, kiedy Babs klepie mnie w ramię. No, nareszcie podeszła.

— Cześć, Natalie — mówi. — Witaj, Robbie. — A potem zwraca się ponownie do mnie: — Odwołuję wszystko, co powiedziałam. Twój książkę się pojawił. Albo lepiej będzie brzmiało, jeśli powiem: Charlie się pojawił.

Okręcam się na pięcie tak gwałtownie, że mogłabym skrócić kark. Jaki Charlie? Chris! Dostrzegam faceta w skórzanej marynarce, spranych džinsach i adidasach, rozmawiającego z Simonem. Rzucam Babs uszczęśliwione spojrzenie i pospiesznie idę w ich kierunku.

— Witaj, księżniczko! — oznajmia Chris, pochylając się nade mną. Szybko cofa głowę. — Co zrobiłaś z tą brodą? Wyglądasz, jakbyś stoczyła walkę z kosiarką do trawy.

— Co ty zrobiłaś z moją brodą? — odparowuję. Światła zaczynają przygasać.

— Ale nie żałujesz, ślicznotko? — pyta z uśmiechem. — No, ale ty masz szczęście — nie musisz tego oglądać.

Ręce opadają. Jego szczerość jest godna pochwały, ale ja pracuję z kobietami i na co dzień nie jestem do tego przyzwyczajona.

— Potrzebujesz czegoś, co cię rozrusza — stwierdza, przyglądając mi się bacznie. Potem odwraca zdumiony wzrok na Andy'ego, który wyśpiewuje falsetem *Anyone Who Had a Heart* i dodaje: — Chodźmy stąd! Podoba ci się to? Ci ludzie nie umieją się bawić. — Prowadząc mnie do drzwi, mówi: — Odwiedzimy pewnego miłośnika psów. — Serce podskoczyło mi z radości. Chce przedstawić mnie swoim znajomym, czyli następnym krokiem będzie spotkanie z jego rodzicami. Chyba naprawdę mu na mnie zależy.

— Jak on się nazywa? — pytam uszczęśliwiona. Chris rzuca mi figlarne spojrzenie.

— Kumple nazywają go Chaz — odpowiada.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Niektórzy ludzie nie potrafią zachować umiaru. Puff Daddy i ja należymy do tej grupy. On obwiesza się biżuterią jak choinka (bransoletki albo pierścionki, zgodnie z zasadą mojej matki „nic ciężkiego na szyi”), ja natomiast przesadzam z szacunkiem wobec władz. Jestem jedyną osobą, jaką zna Tony, która nazywa policję „policją”. Posiadam silne poczucie przestrzegania prawa, nie łamania go. Niektórzy potrafią balansować na krawędzi dobrego i złego, ale ja gdybym tylko spróbowała, to od razu bym wpadła. Oto odpowiedź, dlaczego nigdy nie zażywałam narkotyków. Zawsze przeczuwałam, że kiedy inni już będą mieli odlot, ja dostanę zakrzepu krwi. Dlatego w ciągu ostatnich dwunastu godzin czuję się dziwnie. Po prostu spróbowałam kokainy.

Chris za pomocą karty Tesco usypuje proszek na kształt równiutkiej, białej linii. A potem już tylko poczułam, że mam odrętwiałe usta. Smakowało dziwnie. Zaczynam się krztusić, aż wreszcie poczułam gwałtowne pulsowanie krwi. Kurczowo przywarłam do umywalki, czując w środku tylko straszne walenie — jakaś ciepła, pulsująca moc. Spojrzałam w lustro i zauważyłam, że mam bladą jak płótno twarz, ale czułam się silna. Rozbawiły mnie ciemne cienie pod oczami, ponieważ byłam ożywiona, odważna, piękna — dosłownie niczego i nikogo się nie bałam. Po raz pierwszy w życiu odczuwałam zadowolenie z bycia sobą.

Kolejnym zaskoczeniem było stwierdzenie, że zasada „nigdy nie rozmawiaj z nieznajomym” dotyczy nawet dwudziestosześcioletek. Nie dlatego, że mój ojciec ciągle mi to powtarzał, ale ponieważ kiedy dziś rano o godzinie ósmej dwadzieścia pięć, gdy opadłam na łóżko, zastanawiając się, czy przypadkiem w nocy nie przejechał mnie ktoś samochodem, zadzwonił telefon, to jego dźwięk wwiercał mi głowę jak korkociąg.

— To ty, Natalie? — spytał rzeński głos.

— Matt! — szepnęłam — co się stało? Wziął głęboki oddech.

— Zabieraj się do roboty — powiedział. — Tej na wczoraj. Ze strachu przeszły mnie ciarki.

— O co chodzi? W słuchawce cisza.

— Zaraz muszę jechać do pracy — powiedziałam do Chrisa, który właśnie wyszedł spod prysznicą z włosami przyklejonymi i błyszczącymi jak u foki. Starłam się nie zwracać uwagi, że szciodrze ubyło mojej odżywki do włosów. Ponoć wystarczy tylko kropelka, pomyślałam. Mężczyźni nie mają pojęcia, co to znaczy odmówić sobie czegoś, po prostu chcą i sięgają po to.

— W porządku, księżniczko, potem do ciebie zadzwonię — odparł na pożegnanie.

— Dobra — powiedziałam, ogarniając przerażonym wzrokiem swoje zabałaganione mieszkanie (zawsze panował w nim idealny porządek, ale Chris posiada magnetyczną moc przyciągania bałaganu). — Kie... kiedy będziesz wychodził, zamknij drzwi na klucz — wisi na haczyku w kuchni — a potem wrzuc go do skrzynki pocztowej. Niedobrze mi — dodałam na koniec. Chyba mój organizm zaczyna

strajkować. Wyrzuty sumienia zaczęły napływać chorymi, zielonymi falami, ale nie chciałam, by uważał moją słabość.

Chris uśmiechnął się.

— Koka daje o sobie znać, księżniczko — powiedział.

„Nigdy więcej w życiu, to nie dla mnie” — pomyślałam, wlokąc się do biura. Chce mi się pić. Za chwilę się przewrócę. W głowie czuję dziwną suchość. Kiedy dotarłam na miejsce, ujrzałam zdemerwowaną twarz Matta i Pirka wychylającego łeb spod biurka, a wtedy strach przytłumił ból.

— Czytaj — zażądał Matt, podsuwając mi pod nos dzisiejsze wydanie „Recordy”. Spojrzałam na duże, drukowane litery i przez krótką, szaloną chwilę pomyślałam, że stroi sobie ze mnie żarty. Była tam wzmianka o tym, że gwiazda londyńskiego baletu, Julietta — „cytujemy za rzeczniczką prasową — przybiera na wadze” — zwrot, którego użyłam wczoraj wieczorem w rozmowie z nieznanym facetem. „Nie mam nic do zarzucenia twojemu tańcowi, ale próbowałaś głodówki”, przypomniało mi się. Obok nazwiska autora: Jonti Hoffmann, było zdjęcie szczuplejszego, młodszego i przystojniejszego, ale tego samego faceta, którego poznałam na imprezie u Andy'ego.

— Czego chcesz? Przecież ciebie też nie można nazwać sylfidą — wymamrotałam.

— Dziś rano przed ósmą odebrałem już cztery telefony w domu — mam ci wymienić od kogo? — spytał. Skinęłam głową. — Dzwonił: dyrektor artystyczny, dyrektor współpracy z mediami, Julietta i jakiś dziennikarz z „Guardiana”. Jesteśmy pogrążeni poootąd! Dziewczyno, gdzie ty miałaś rozum?! To niepodobne do ciebie!

Matt przeciera dłonią oczy, a my z Pirkiem wbijamy wzrok w podłogę. Głowę mam jak bania i czuję w niej ogromną próżnię. Zaczynam żuć kosmyk włosów. Co się ze mną dzieje? Nigdy nie popełniam błędów. Przynajmniej nie w pracy. Nigdy. Matt zawsze z dumą podkreślał, że jestem „przykładem upierdliwie pedantycznej profesjonalistki”. Jednak ostatnio chyba coś się zmieniło.

— Skąd wiedziałeś, że to ja? — spytałam szeptem.

— Autor opisuje, że jego informator „przeżuwa nerwowo kosmyk włosów”. Kogo innego mógł dotyczyć ten opis?

Opadam na krzesło. Myśli kłębią mi się w głowie. Idiota z tego Andy'ego, zaprosił jakiegoś łowcę sensacji na swoją popijawę i nic mi o tym nie powiedział, a Mel, dlaczego jej uwierzyłam i dlaczego nie trzymałam języka za zębami, i po co poruszam sprawy zawodowe na spotkaniach — przechodzi mnie nagły dreszcz — może nie nadaję się do tej roboty?

— A czy szefowie wiedzą, że to ja? Matt rzuca mi surowe spojrzenie.

— Przekonałem ich, że to zostało wysrane z palca. Na szczęście dla ciebie prezes był w Oksfordzie razem ze swoim zastępcą od współpracy z mediami.

Mam jego słowa odczytać jako: „Plackiem na brzuch i przeprasza”. Uśmiecham się na myśl, jak Jonti będzie zmuszony zjeść swój redakcyjny kapelusz.

— Dzięki, Matt — mówię. — Zaraz spróbuję wszystko odkręcić, jeśli chcesz.

— Bardzo chcę — słyszę w odpowiedzi.

Resztę dnia biegam jak pies z wywieszonym językiem — choć osobnik zajmujący to biuro, je-dyny, który ma prawo do noszenia tej nazwy (a może tylko sobie pochlebiam), leży rozwalony na podłodze, chrapiąc sobie smacznie. Nie odłożyłam słuchawki telefonu, dopóki „Sunday Times” nie zgodził się na wywiad z Juliettą Petit, a włoska podróż z „Telegraphem” — załatwiona na czwartkowy tydzień — nie została prawie zapięta na ostatni guzik.

— Wychodzę na lunch — obwieszcza Matt dziesięć po pierwszej. Pirek rzuca mi lodowate spojrzenie, które mam odczytać, jako: „Uważaj, kto tu teraz rządzi”.

Zaciskam usta i ze smutkiem kiwam głową. Nie czuję już opuchlizny mózgu — tak naprawdę to skurczył się do rozmiarów orzecha laskowego i uderza mi o czaszkę, powodując ból głowy. Czuję się ospała, ale nie potrafię usiedzieć na miejscu. Postanawiam pójść do fitness klubu. Wstaję i potykam się o swoją torbę sportową. Zwykle biegam, ale dzisiaj potrzebuję czegoś innego. Pójdę poćwiczyć. Wychodzę z budynku i przebiegam na drugą stronę ulicy, gdzie znajduje się sala (mała, funkcjonalna, pełna roześmianych facetów i choć Matt nie pokazałby się tam za żadne skarby świata, uwielbiam do niej chodzić, bo czuję się tam niewidzialna — to jak marzenie dziecka, które pragnie poszybować wy-soko do nieba).

Po piętnastu minutach wymachiwania nogami siedzę zgarbiona w szatni, ociekam potem, z tru-dem łapiąc oddech, a moja twarz mieni się na białą i czerwono. Teraz wiem dobrze, że nie dałabym sobie rady w balecie.

— Chcesz pić? — słyszę jakiś głos. Taki papierosowy, lekko chrapliwy głos, który sprawia, że bardzo chciałabym mieć zapalenie krtani. Podnoszę głowę i widzę atrakcyjną kobietę, patrzącą na mnie z góry ze zmarszczonym czołem i uśmiechającą się jednocześnie.

— Tak, proszę. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa — sapię z wysiłku. Podaje mi butelkę z wo-dą, a ja opróżniam ją, biorąc dwa, potężne łyki. — A dlaczego ty się wcale nie pocisz? — pytam płacz-liwym tonem, pokazując głową na jej przeponę (nie mam dość siły, aby podnieść wyżej głowę).

— Nie ćwiczyłam tyle co ty — odpowiada. Kłamię, chcąc mi się przypodobać. Dlaczego tak jest, że kobiety uwielbiają wzbudzać zazdrość, ale za skarby nie chcą się do tego przyznać? Uśmie-cham się. Widziałam ją, jak ćwiczyła. Nie tylko faceci patrzyli na nią, także kobiety zwracały na nią uwagę. Kiedy do tego dochodzi, więcej kobiecie nie jest potrzebne do szczęścia.

— Po prostu masz lepszą formę — stwierdzam z zadyszką.

— Nie mam innego wyjścia. Prowadzę tutaj zajęcia z pilates. Może słyszałaś o tym? To nie jest aerobik, ale coś w tym stylu — odpowiada.

— Aha — nie mogę złapać tchu. — Wiem, co to jest — pracuję w londyńskim balecie. Wielu tancerzy to uprawia. Julietta Petit — chyba o niej słyszałaś — często chodzi na takie zajęcia. Sama nie próbowałam, choć pewnie to musi być super. A, przy okazji, mam na imię Natalie.

— Miło mi — odpowiada. — Jestem Alex. Często cię tu widuję.

Odczuwam wdzięczność, że zwróciła na mnie uwagę i postanawiam zrewanżować się za tę uprzejmość:

— Napijesz się kawy? Jestem ci winna drinka. Spogląda na zegarek.

— No, mam dziesięć minut. — Bierzemy prysznic i przebieramy się — ja w robiony na drutach, granatowy sweter i długą spódnicę, ona w dres — i idziemy do baru napić się soku. Dowiaduję się, że kiedyś była adwokatem, a obecnie mieszka w Sheperd's Bush i niedawno się rozwiodła.

— Szybko zaczęłaś, wyglądasz, jakbyś miała dopiero dwanaście lat! — wykrzykuje, zanim zdałam sobie sprawę, że może to zabrzmieć jak impertynencja. Wybuchła śmiechem na widok mojej zmartwionej miny. Śmieje się głośno i serdecznie, jakby otrzymała prezent.

— Muszę już iść — informuje, marszcząc nos. — O wpół do trzeciej mam spotkanie.

Niezdecydowanie przebieram nogami.

— No to dziękuję za wodę — mówię nieśmiało. — Może spotkamy się na zajęciach w przyszłym tygodniu — jeśli dożyję.

Alex uśmiecha się, a na odchodnym woła do mnie:

— Wrócisz jeszcze szybciej!

Uśmiecham się na te słowa, nie wiedząc, co odpowiedzieć, ale jestem zadowolona, że ją poznałam. Ma w sobie coś podobnego do Babs. Cieszę się jak dziecko, że zawarłam nową przyjaźń i zapominając, że jestem w niełasce, dzwonię do Matta.

— A nie powiedziałaś — dopytuje się — tej nowo poznanej przyjaciółce, że Pirek przytył dwa kilo przez uzależnienie od biszkoptów pistacjowych?

Czerwienię się, ale czuję, że jeśli on żartuje sobie z mego zawodowego potknięcia, pewnie już mu trochę przeszło. To plus przyjemne zmęczenie wprawia mnie w taki wspaniały nastrój, że postanawiam zadzwonić do Babs.

— Przepraszam, że ci przeszkadzam na służbie, ale wczoraj wieczorem nie miałyśmy czasu, aby ze sobą porozmawiać — zagajam. — A mam ci tyle do powiedzenia. I, naturalnie — dodaję szybko, biorąc pod uwagę jej ostatnią huśtawkę nastrojów — chętnie posłucham, co u ciebie słychać. Dostałaś już kasetę z wesela?

— Jak to zwykle bywa, jest u moich rodziców — odpowiada. — Dzisiaj ją dostanę. Mój biedny Simon pracuje do późna; chcesz, żebym z nią wpadła?

— Och! — wykrzykuje. Muszę czekać w pogotowiu, bo może Chris zadzwoni, ale Babs nie zabawi długo — nie teraz jako świeżo poślubiona małżonka. — Oczywiście. Wyjedziesz z domu o szóstej, prawda? To może byś przyjechała prosto do mnie?

— U rodziców zabawię do wpół do ósmej, więc u ciebie mogę być piętnaście minut potem. Film trwa około półtorej godziny, ale nie musimy oglądać całego.

— Świetnie. Już nie mogę się doczekać — oznajmiam z udawaną radością. Odkładam słuchawkę i krzywię się. Półtorej godziny! To wesele mojej przyjaciółki, ale z doświadczenia wiem, że wszystkie one wyglądają podobnie: ludzie łażą od stołu do stołu albo kiepsko tańczą, na dodatek mnóstwo panów w średnim wieku opowiada przydługie, bezsensowne historie i nudne dowcipy. No, ale obecność Włochów może stanowić rekompensatę. I Chris, naturalnie.

Po pracy wracam do domu taksówką — czuję się jak przypalony papier, który przy najdelikatniejszym dotyku mógłby się połamać i rozkruszyć. Dlatego nie mam zamiaru pokładać nadziei w środkach publicznego transportu. Jestem zadowolona, a jednocześnie zaskoczona, że Chris zamknął drzwi na klucz — tak jak prosiłam, przekręcił dwa razy. Zaczęłam szukać klucza, ale nie znalazłam go na macie. Zajrzałam pod dywan i wzięłam głęboki oddech. On... on odkurzył dywan! Wbiegłam do korytarza i z niedowierzaniem przejechałam palcem po gzymsie kominka. Ani pyłku kurzu!

— Nie do wiary! — mruczę do siebie pod nosem. — Nie do wiary!

Wbiegam do sypialni. Lśni jak lustro. W zdumieniu potrząsam głową, kiedy widzę, że nawet prezerwatywa, którą rzucił w nocy na podłogę, także zniknęła. Wiem z doświadczenia, że najbardziej zakochany facet ma problemy w temacie: porządek, a nawet jeśli już posprząta po sobie, robi to z taką niestarannością, że gdybyś była Robertem De Niro albo Muhammadem Alim, to otrzymałby jakiś sierpowy. Więc jeśli to nie jest dowód na uczucie Chrisa, to już nie wiem, jak to nazwać. Wskakuję do (lśniącej czystością) kuchni i zauważam, że zostawił kartkę na stole. To zabawne, ale ma taki sam charakter pisma jak moja... Mama.

— Dlaczego ona to robi? — jęczę, zakrywając twarz rękami, a Babs trzęsie się ze śmiechu, słuchając opowieści o prezerwatywie. Z trudem trzyma kubek z kawą, tak bardzo chichocze.

— A powiedziałaś już jej o Saulu? — pyta, dławiąc się od śmiechu.

Wzdrygam się.

— Nie, ale to i tak niczego nie zmienia. Jestem pewna, że w pięćdziesięciu procentach lubi go za to, bo nie wyobraża sobie, aby mógł zrobić coś brzydkiego z jej córeczką.

Babs zagryza wargi.

— Nie powinnaś była dawać jej kluczy. No, ale twojej mamie trudno jest odmówić.

— Sama widzisz. Przecież nie mogę ich skonfiskować, prawda?

— Sprawa nie jest łatwa, ale spróbować zawsze można. Może poproś, by ci je oddała. To twoje mieszkanie.

— Zgadza się — potwierdzam. — Ale kupione za pieniądze otrzymane od rodziców.

— Natalie! Czyją ty stronę trzymasz? Simon twierdzi, że prezenty daje się bez stawiania żadnych warunków. Jesteś dorosłą osobą. Powiedz mamie, że nie chcesz, by pakowała ci się do mieszkania, nawet jeśli na nie harowała. Powtarzam tylko twoje słowa.

— Wyobrażasz to sobie? Bo ja nie! Przecież to sprawia jej radość. Chce dobrze.

— Przecież wiem o tym — odpowiada Babs. — Twoja mama ma złote serce. Ale ty jesteś z tego niezadowolona. A może nie? Poproszę o mleko i cukier.

— Kurczę, pewnie. Przepraszam. — Otwieram lodówkę i wydaję z siebie głośny jęk. — Uwaga! UFO wylądowało w lodówce! — Babs podrywa się z krzesła i obie zaglądamy do (nie tak dawno pustego) środka, gdzie znajdują się: jabłka, gruszki, owoce mango, ananasy, awokado, risotto z grzybami (na etykietce napis: „risotto domowej roboty”), pojemnik z zupą (na etykietce napis: „zupa warzywna domowej roboty”), olbrzymi kurczak (w folii, ale z etykietą: „pieczony kurczak”), ogromna miska tłuczonych ziemniaków (z etykietą: „ziemniaki tłuczone z masłem domowej roboty”), trzy paczki świeżego groszku ze sklepu Marks&Spencer i na koniec sernik wielkości boiska piłkarskiego (bez etykiety, jak twierdzi bowiem moja mama, jej sernik „mówi sam za siebie”).

— Nie mogę z siebie wydusić słowa — odzywam się do Babs, kiedy wspólnie doszliśmy do wniosku, że mój brat pewnie w tej chwili również wpatruje się zdumiony w identycznie naładowaną lodówkę. — Może trochę sernika? — pytam w końcu.

— Nie, dzięki. Powiem ci na co, tak naprawdę, mam ochotę. Na pieczonego kurczaka — jeśli masz.

Robię niezadowoloną minę.

— Co takiego?

— Nie lubię kurczaków — odpowiadam. — Przestały mi smakować.

Babs wydyma wargi, robiąc kpiącą minę.

— Natalie, jeśli nadal będziesz milczała, to skąd twoja mama ma wiedzieć, że nie akceptujesz tego, co robi? Przy okazji, od czterech minut mieszasz swoją kawę.

— Przepraszam — mamroczę. Myję i wycieram łyżeczkę i mam czas na zastanowienie się.

Przychodzi mi do głowy, że kiedy człowiek jest za młody, by znać życie, jego rodzice są nieskazitelni, walczą i pokonują smoki. Kiedy staje się starszy, wówczas zaczyna zauważać pewne rysy w ich doskonałości. Bohaterowie twojego życia okazują się słabi. Trzeba ich chronić przed olbrzymią demoralizacją swoich latorośli, ponieważ pomimo komunałów typu: „kiedyś też byłem młody!”, wiadomo, że też popełniali błędy. (To nie odnosi się do mnie, bardziej do Tony'ego).

No, może do mnie tylko trochę. Jak mogę powiedzieć mamie, że zwalniam ją z wykonywania swoich obowiązków? Dużo łatwiej okazywać jej, że się ją potrzebuje, udawać, że wszystko jest w porządku. Zarabiam skromne dwadzieścia cztery tysiące funtów rocznie, a jednak mieszkam w słonecz-

nym mieszkaniu w pełnym zieleni Primrose Hill, które — pomijając psie odchody (bogaci ludzie mają duże psy) — jest chętnie odwiedzana i zamieszkaną dzielnicą. Byłoby zdradą z mojej strony wynająć suterene w Vauxhall. Moja matka wpadłaby w większe przerażenie, niż gdybym spróbowała otruć królową. Dostawała alimenty od ojca, co innego mogłaby z nimi robić? A nie zarabiałam tyle co Tony.

Miała jeden cel w życiu — wyjść dobrze za mąż i zapewnić dobrą przyszłość swoim dzieciom, które z kolei znalazłyby sobie odpowiednich małżonków i zapewniłyby swoim dzieciom dobrą przyszłość, które znowu... Wystarczyło jej, że Tony i ja przerwaliśmy ten zaczarowany łańcuch. (Czasami wydaje mi się, jakbym niechcący ugasiła płomień olimpijski). Czułabym się podle, mówiąc swojej matce: „Sama chciałabym na to zarobić, chcę sprzątać swoje mieszkanie i, przy okazji, nie gotuj dla mnie obiadków”. Zrobiłoby się jej strasznie przykro i moje słowa nie miałyby dla niej żadnego sensu. Dla większości ludzi również. Nawet kiedy powiedziałam o tym Mattowi, on wycedził tylko: „Gdybyśmy wszyscy mieli tylko takie problemy”.

Spoglądam 'na moją przyjaciółkę.

— No to skąd ma wiedzieć, że robi coś nie tak? — pyta ponownie.

— No dobra, dobra — odpowiadam. — Nie rozmawiajmy już dłużej na ten temat. Pogadajmy o czymś przyjemniejszym. — Uśmiecham się zachęcająco.

— Nie — odpowiada Babs. — Uważam, że powinniśmy porozmawiać właśnie o tym. — Nagle serce zaczęło walić mi jak młotem.

— Nie uwierzysz — wczoraj spróbowałam koki. Zanim zdążyłam to zaaprobować, już prowadziliśmy rozmowę. — Zaczynam chichotać, kiedy przypomina mi się ta scena. Chris powiedział:

„Masz ochotę na działkę?”. Pamiętam swoją zawstydzoną minę i jego zdumienie, kiedy dowiedział się, że jestem dziewczicą w tej dziedzinie. „Boże drogi!” — wymamrotał. „Czuję się jak diler deprawujący młodzież z podstawówki!”. Po tych słowach zmieniłam zdanie. Kokaina przypominała sproszkowany talk. Rozdzielił ją na desce do prasowania. Nie zastanawiałam się, jak bardzo szkodzi? Ale prawdę powiedziawszy, odczuwałam dumę. Odebrałam jak komplement, kiedy spytał mnie: „Chcesz działkę?”. Ja, spóźniona o dziesięć lat w porównaniu do innych, ale w końcu zostałam zaproszona na tę balangę.

Babs robi niezadowoloną minę. Przetykam ślinę. Nie potrafię spojrzeć jej w oczy.

— Moim zdaniem — mówi powoli — koka to był kiepski pomysł. — Zaczyna bębnić palcami po stole.

— Dla... dlaczego? — wykrztusiłam drżącym głosem. Czuję się zagrożona i postanawiam, że nie opowiem jej, co zaszło potem. (Byłam bliska zawału serca, a Chris zaproponował: „Może skęta?”).

Babs podnosi się z kanapy.

— Bez obrazy, Nat — stwierdza ze smutkiem. — Ale jesteś za słaba. Nie potrafisz nawet powiedzieć „nie” swojej matce. Czy uważasz, że masz siłę poradzić sobie z twardym narkotykiem? — Rzuca mi jeszcze jedno spojrzenie, bierze kasetę wideo i wychodzi na korytarz. — Bardzo się o ciebie martwię, Natalie — stwierdza z wyższością osoby, której życie zapięte zostało na ostatni guzik. — Bardzo chciałabym porozmawiać, co się teraz z tobą dzieje, ale ty — i proszę, uwierz mi, że mówię to tylko dlatego, ponieważ bardzo sobie cenię naszą przyjaźń, a nie dlatego, że lubię prawić morały — trudno jest złapać z tobą kontakt, kiedy tak siedzisz i nic nie mówisz. Nie jesteś wobec mnie uczciwa, a w takiej sytuacji nie mogę ci pomóc. Wiem, że rodzice wychowali cię, byś się nie poddawała, odważnie kroczyła przez życie i tak dalej. Ale nic dobrego z tego nie wyniknie. — Wykrzywia usta w przepaszającym uśmiechu, następnie bezgłośnie zamyka za sobą drzwi.

Cofam się chwiejnym krokiem do kuchni, jakbym dostała kulę w klatkę piersiową. Pierwsza rzecz, jaka rzuca mi się w oczy, to kubek, z którego piła kawę Bardzo Doświadczona Mężatka i czerwony ślad szminki na jego brzegu. Rzucam nim o podłogę i obserwuję, jak kawa z mlekiem rozlewa się na niej. Następnie spokojnie, metodycznie podnoszę skorupy i wrzucam je do kosza. Skaleczyłam się w rękę. Zaczynam ssać krwawiący palec i mówię głucho:

— To tylko draśnięcie.

Kiedy już podłoga jest nieskazitelnie czysta, telefonuję do Chrisa. Dzwonek dzwoni ze czterdzieści razy, a następnie czekam pięć minut i dzwonię ponownie. Telefonuję na jego komórkę, ale jest wyłączona. Więc znowu dzwonię do domu, potem kolejny raz, i kolejny, i kolejny, uderzając w numery rozciętym palcem mechanicznie jak uszkodzony robot.

Po szesnastej próbie wreszcie podnosi słuchawkę.

— Wszedłeś przed chwilą? — pytam bez ogródek. (Dobry Boże, a może on przez cały czas był w łazience? I dlaczego zachowuję się tak, jakbym wciskała przycisk bomby atomowej?).

— Właśnie — odpowiada.

— Mogę do ciebie wpaść? — Oddycham, osuwając się na podłogę z uczuciem ulgi.

Chris waha się przez chwilę i w końcu oświadcza:

— Mam teraz straszny kocioł.

I flirtujesz teraz z jakąś dziewczyną, kochany. Ręka zaciska mi się w pięść i dodaję beztróskim tonem:

— Mogę ci pomóc. — Pośpiewuję sobie, jakbym nie znalazła się w jaskini lwa, a kciuk skierowany w górę albo w dół nie robił dla mnie żadnej różnicy.

Po mniej więcej, jak mi się wydaje, wieku, słyszę, jak się śmieje i odpowiada:

— Nie mogę ci się oprzeć, księżniczko. No dobra, czekam na ciebie. — Zapisuję sobie jego adres, a potem uśmiecham się z satysfakcją. Babs nie miała racji. Potrafię powiedzieć „nie” swojej matce. Potrafię powiedzieć „nie” każdemu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jeśli chodzisz z facetem rok, a on ci się nie oświadczył, rzuć go. Marnujesz tylko z nim czas. Kiedy miałam dwadzieścia lat, moja mama powtarzała mi te słowa niemal co drugi dzień (nie zdawała sobie sprawy, że randki ludzi poniżej dwudziestego pierwszego roku życia polegają na marnowaniu czasu). Ale teraz, kiedy mam dwadzieścia sześć lat i pędzę na złamanie karku w kierunku czterdziestki, mama już mi się tak nie naprzykrza z tymi mądrościami. Co oznacza, że kiedy oznajmiłam już jej tę szokującą, dramatyczną prawdę na temat Saula w pewien niedzielny poranek w Louis Patisserie w Swiss Cottage, otworzyła szeroko usta w przerażeniu, jak podstarzała kelnerka pytająca, co jest nie tak z migdałowym rogalikiem, który podała.

— No... a... a kto... — Nawet moja mama, która odznacza się delikatnością słonia, nie potrafi dokończyć pytania o właściciela prezerwatywy. Dziubiemy jedzenie na talerzu, nie wiedząc, co począć, a w duchu umieramy z zażenowania. (Chociaż moje trudno pokruszyć — mama zamówiła mi bez pytania duży kawał duńskiego placka, bardzo słodkiego, który smakował mi, kiedy miałam pięć i pół roku).

— No to kto i co? — bełkocze Tony z pełnymi ustami jabłeczniaka. Ma na nosie okulary od Cooter&Gross i tę samą, co wczoraj, koszulę firmy Duffer of St George i markowe lewisy. („Spędziłem szaloną noc w klubie Met — wyjaśnił głośno na przywitanie w towarzystwie Noela Gallaghery. Szkoda, że klientela tej ciastkarni nie potrafi tego docenić — jej pewnie szybciej by zaimponowała szalona noc w restauracji Blooms z Neilem Sedaką”).

— Chodzi o to, że ja i Saul nie pasowaliśmy do siebie — usprawiedliwiam się. — Ale teraz zaczęłam spotykać się z kimś innym. — (Jeśli moja matka słowo „inny” zinterpretuje jako: „ten, który prasuje, chodzi na zebrania w męskim gronie, potrafi rozmawiać o swoich uczuciach”, to dobra nasza. Niestety, nie wygląda na to, żeby przyjęła moją informację w ten sposób).

Drgnęła.

— Nie dbasz o siebie — oznajmia w końcu z westchnieniem. — Nie wiem już, co z tym dalej robić. Spójrz na siebie. Jak ty wyglądasz! — To jej stary numer. Jeśli nie podoba jej się coś, co mówię, udaje, że tego nie dosłyszała i przyczepia się do mnie, zaczynając mówić o czymś zupełnie nie związanym z tematem. Kiedy już uda jej się mi dopiec i moja samoocena spada do zera, ona rzuca się na moje początkowe oświadczenie i rozprawia się z nim dokumentnie. (Tak samo chyba postępują terroryści wobec swoich zakładników).

Tony zdejmuje ciemne okulary i zaczyna mi się przyglądać. Rzucam mu zaniepokojone spojrzenie, wczoraj bowiem Chris stwierdził, że ubieram się jak bibliotekarka i zaciągnął mnie do Urban Outfitters, gdzie namówił na kupno żółtej bluzki z tygrysem z przodu i fałdzistej, szarej spódnicy z płótna żaglowego.

— No, no — stwierdza ze znanstwem. — Za to wygląda, jakby wyszła spod ręki projektanta.

Uśmiecham się do brata z wdzięcznością. Nasze comiesięczne, niedzielne spotkania w ciastkarni stanowią ciężkie doświadczenie, ale z drugiej strony to rodzinna tradycja. Co, jak przypuszczam, sprowadza się do tego samego. Ale one pozwalają naszej mamie pakować nos w nasze sprawy bez pakowania się do naszych mieszkań.

— No to powiedz, kto to taki? — pyta moja rodzicielka wyniosłym tonem. Tony gwizdże i przywołuje kelnerkę, po czym zamawia jeszcze jedną gorącą czekoladę.

— Ma na imię Chris — wyjaśniam potulnie. — Chris Pomeroy. Był na weselu Babs.

— Coś takiego! — wykrzykuje matka. — Czy to nie ten z psim nazwiskiem?

Zgrzytam zębami. Jej by się nawet tęcza nie podobała, bo się pochyla, i choć zdążyłam się przyzwyczaić do takiego zachowania, dzisiaj jednak działa mi to na nerwy.

— To stary kolega Simona. Pracuje w branży muzycznej — dodaję już głośniejszym głosem, mój brat bowiem nadstawił ucha.

— Tak? — pyta Tony. — A co dokładnie robi? Biorę łyk kawy i mówię:

— Siedział przy naszym stoliku, chyba pamiętasz? Mój brat przecząco potrząsa głową.

— Czym się zajmuje? Podpieram się rękami i oświadczam:

— Powinniście się poznać. On, on jest menedżerem jakiejś kapeli. O nazwie, nooo, Siny Sza...

— mam ochotę go zabić — Siny Diabeł.

Tony parska śmiechem.

— Nigdy o nich nie słyszałem.

Automatycznie moja lewa ręka wędruje do góry i zaczyna kręcić kosmyk włosów.

— Wspominałam mu o tobie — dodaję — i... i zrobiłeś na nim ogromne wrażenie.

— Ta jego grupa chyba jeszcze z nikim nie podpisała kontraktu, prawda?

— To prawda, ale wy dwaj pewnie byście się polubili. Jest taki zaangażowany w to, co robi, a jego grupa... byliśmy wczoraj na ich koncercie w The Red Eye...

— Za pieniądze grali?

— No nie wiem, ale bardzo mi się podobało. Chris stwierdził, że reakcja publiczności była nawet lepsza niż...

— A co śpiewają?

— Chris mówił, że to mieszanka stylów, coś w rodzaju romantycznego rocka, pierwsza kapela tego typu, coś jak połączenie

Iron Maiden i Spandau Ballet z domieszką Rage Against the Machi...

Głos mi cichnie, kiedy uzmysławiam sobie, że nikt mnie nie słucha. Wzrok mojej matki, która przez cały czas siedzi w milczeniu, wędruje za zahipnotyzowanym spojrzeniem mojego brata w stronę

drzwi, gdzie stoi maleńka Eskimoska w długim, obszernym i czarnym płaszczu. Na jej twarzy lalki maluje się zaniepokojenie.

— Mel! — krzyczę, skacząc na równe nogi. — Moje gratulacje! Udało ci się! Nie spóźniłaś się!

— Znasz ją? — pyta po cichu mój brat.

— To jedna z naszych solistek, dzisiaj miała wywiad i zdjęcia dla „Sun”. Umówiliśmy się na siłownię na godzinę. Mel! Przyjechała po ciebie taksówka, prawda? Dotarła na miejsce? Wytłumaczyłam mu dokładnie, gdzie to jest. Siadaj, napijesz się czegoś? To moja mama, a to mój brat. Tony, to Melissandra Pritchard, gwiazda naszego baletu londyńskiego.

Mel podaje rękę mojej mamie i trzepocze rzęsami, spoglądając na Tony'ego. Gdy kiedyś wymyśla taką konkurencję jak trzepotanie rzęsami, mogłaby wystąpić w reprezentacji Anglii.

— Miło mi. — Mój brat wita się, spoglądając na nią z podziwem, którym zwykle obdarza drogie samochody. Zdjął nawet swoje okulary.

— Cześć — odpowiada Mel, przechylając głowę w taki sposób, że jej delikatny podbródek zniknął w kołnierzu płaszcza.

Tony podąża wzrokiem za jakąś kobietą z bokobrodami, kuśtykającą w kierunku wyblakłego, pozłacanego krzesła, podnosi się żwawo, chwyta za krzesło i triumfalnie podaje je z uśmiechem Mel. Mama przygląda się temu wszystkiemu w milczeniu, a ja podsuwam drugie krzesło kobiecie, która zatrzymała się, by złapać oddech i ciężko opiera się na swojej lasce.

— Bardzo przepraszam — oznajmiam, uśmiechając się krzywo — mój brat pani nie zauważył.

Wracam do naszego stolika w momencie, kiedy Tony pyta:

— A umiesz zrobić szpagat?

Mel chichocze i odpowiada:

— Oczywiście!

Mój brat, którego wiedza o balecie równa się zeru, robi zdziwione oczy — jest pod wrażeniem. Mel znowu chichocze i dodaje.

— To najłatwiejsza rzecz na świecie!

Oczy Tony'ego zamieniają się w szparki, po czym oznajmia gardłowym tonem:

— Coś mi się wydaje, że jesteś najlepsza w swojej grupie. Mel zadrżała zachwycona i wykrzykuje:

— Och, naprawdę tak sądzisz?

Spoglądam na matkę. Wyraz jej twarzy stanowi idealne połączenie przyjemności i cierpienia jak wtedy, kiedy jej syn w wieku czternastu lat kupił sobie za własne, zarobione pieniądze stereo z głośnikami wielkości kamieni ze Stonehenge. (Przez całe wakacje uganiał się za karetkami, wozami strażackimi i radiowozami policyjnymi, pstrykał zdjęcia i sprzedawał je do lokalnej gazety).

— To musi być cudowne uczucie, moja droga — odzywa się w końcu mama — tak tańczyć w pięknym stroju przed tymi wszystkimi ludźmi, którzy panią uwielbiają.

Mel uśmiecha się do niej z politowaniem. Błyszczącymi oczyma nie przestaje wpatrywać się w Tony'ego.

— Naturalnie — oznajmia. — To jak narkotyk. Chociaż publiczności wystarczy zwykły obrót i już gotuje szalone owacje. Wolę tańczyć dla kogoś, kto się na tym zna.

Matka uśmiecha się z mocą dwudziestu watów.

— Jest pani taka drobniotka — dodaje — prawie przezroczysta. Je pani coś w ogóle?

Gdybym nie była dobrze wychowana, kopnęłabym ją pod stołem (no nie w kostkę, trochę wyżej — chyba nie zdaje sobie sprawy, jak się zachowuje). Mel zadrżała, jakby usłyszała wspaniały komplement i odpowiada:

— Moje ciało to narzędzie mojej pracy. Muszę być dość lekka, by można mnie było łatwo podnosić. Muszę uważać zjedzeniem.

— Dla mnie wyglądasz super — wykrzykuje Tony, przerywając matce, która mruczy coś pod nosem na temat worka z gnatami.

— Mel, na nas już pewnie pora — wtrącam się. — Nie możemy się spóźnić.

Całuję się z matką i Tonym na pożegnanie — ku jej zdumieniu i jego rozbawieniu Mel robi to samo, obejmując ich swoimi cienutkami jak gałązki ramionkami i szczebiocze przy tym:

— Miło mi było poznać, mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy, musicie przyjść na moje przedstawienie!

Matka przyciska serwetkę do ust i odpowiada spokojnym tonem:

— Dziękujemy za zaproszenie. A Tony dodaje:

— Powiedz tylko kiedy, a na pewno przyjdę. — I udaje kowboja, strzelającego w kierunku Mel.

— Chciał pokazać, że cię lubi — wyjaśniam jej w drodze do samochodu.

Mel uśmiecha się promiennie.

— Wiem. Widziałam, jak tak robili prowadzący telewizyjne talk show. Nie mogę uwierzyć, że to twój brat. Jest taki fajny! Zastanawiam się, czy umie się całować. Och, Natalie, przepraszam, że to powiedziałam! Jestem okropna! A czym się zajmuje?

Kiedy odpowiadam na jej pytanie, jej reakcja jest tak nieoczekiwana, że zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie wspomniałam, że jest naczelnym w Royal Ballet.

— Musisz go przyprowadzić, kiedy będę miała przedstawienie — mówi takim tonem, że odbieram to jako rozkaz, a nie propozycję — i moglibyśmy potem wyjść gdzieś wieczorem. — Przypatruję się jej, by sprawdzić, czy nie żartuje. — Choć pewnie twoja mamusia będzie się strasznie nudzić — dodaje jeszcze, sprawdzając swoje odbicie w lusterku.

— Teraz — oświadczam, zamykając temat — jedziemy na salę na testy wytrzymałościowe. Osobisty trener będzie badał twój puls w spoczynku, gibkość i całą resztę, nie potrwa to długo. Dziennikarz będzie wszystko obserwował i robił notatki, a fotograf będzie pstrykał ci zdjęcia. Nie zapomniałaś o stroju? Pamiętasz, dwa razy do ciebie dzwoniłam, żeby ci o tym przypomnieć. Potem idziemy do studia, gdzie będziesz musiała tylko się przebrać — przywiozłam ci paczkę, rajstopy i puenty. Zrobią ci makijaż i ułożą fryzurę. Zobaczysz, będzie świetna zabawa. — Spoglądam na Mel, która potakuje energicznie głową. Biorę głęboki wdech i mówię jakby od niechcenia: — W trakcie możesz sobie pogawędzić z charakteryzatorką, ale jeśli ona albo dziennikarz zada ci jakieś istotne pytanie dotyczące twojej diety, powiedz im po prostu, że na śniadanie jesz płatki owsiane z owocami, na lunch kanapkę i banana, jeśli zmieścisz — to jeszcze coś lekkiego: na przykład jogurt, a na kolację rybę albo makaron, albo gotowanego ziemniaka i kawałek sera, kostkę czekolady i no... dużo wody. A jesteś szczupła dlatego, że pięć albo sześć godzin dziennie ćwiczysz i spalasz sześćset kalorii na godzinę. Nie wiem, czy słyszałaś o kronice towarzyskiej czasopisma „Recorder” — to był niewypał — ale nie chcemy, aby w prasie ukazało się cokolwiek, co sugerowałoby, że tancerki baletu londyńskiego znajdują się w kiepskiej formie zdrowotnej. Mel wykrzywia twarz z obrzydzeniem i mówi:

— Za nic nie zjadłabym tyle! Stwierdzam stanowczym tonem:

— Przypominam ci, że reprezentujesz naszą firmę i że będzie to czytał nasz dyrektor artystyczny. Jeśli pomyśli sobie, że ty nic nie jesz, to nie obsadzi cię w żadnej głównej roli, prawda?

Zastanawia się krótko i oświadcza:

— Właśnie, że obsadzi! Dodaję jeszcze poważnym tonem:

— Na pewno nie po katastrofie z Juliettą. Mel kiwa głową potulnie. Potem mówi cicho:

— Biedna Julietta, teraz wszyscy myślą, że jest gruba!

— Nie wspominaj dzisiaj nikomu o Julietcie — dodaję na koniec. — Ten wywiad nie dotyczy jej, tylko ciebie. To twoja szansa, by zabłysnąć. Nie możemy pozwolić, aby to ona stanęła w blasku jupiterów, prawda?

Mel zastanawia się nad moimi słowami i odpowiada: — Masz rację.

Oddycham z ulgą — przy mnie nawet Machiavelli był pozbawionym taktu cymbałem — i zapalam dwa papierosy, jednego po drugim. Choć mam wielką ochotę zapalić dwa od razu.

Po pięciu dręczących godzinach wracam do domu. Wywiad nie wypadł najgorzej — chyba że oszukuję sama siebie. Lepiej o tym nie myśleć. Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze. Pocieram oczy i włączam automatyczną sekretarkę w nadziei, że może będzie choć jedna wiadomość od Chrisa. Niestety są trzy — ale wszystkie od mojej matki. Dochodzę do wniosku, że powinna mieć własne światło migające w moim telefonie, żeby zaoszczędzić mi te trzy sekundy złudnej nadziei. Kiedy korytarz zaczyna wypełniać się jej głosem, czuję, jak zaczynają we mnie narastać złowrogie uczucia wobec własnej rodzicielki. Dlaczego nie siedzi teraz przed telewizorem z batonem Dairy Milk w ręku i

nie ogląda jakiegoś serialu z Jane Seymour? Przykro, że nie odczuwam życzliwości wobec własnej matki, ale od tego krępującego obiadu z okazji awansu Tony'ego temperatura naszych letnich do tej pory relacji jeszcze bardziej spadła.

Dzisiaj w jej głosie wyczuwam ostry ton. Z pierwszej wiadomości dowiaduję się, że „kiepsko wyglądam” i nie powinnam „w takim stanie latać po mieście” i mam do niej zadzwonić, zaraz jak przyjdę. W drugiej, o oktawę wyższym tonem sugerowała, że „dobrze by było”, gdybym załatwiła Tony'emu bilety na przedstawienie, ponieważ moja znajoma wywarła na nim „piorunujące wrażenie” i abym do niej zadzwoniła, kiedy wrócę. W trzeciej natomiast, mówiąc tonem wysokim i chwiejącym się jak domek z kart w czasie zawieruchy, zaczęła od słów: „Martwię się o ciebie”, a skończyła: „Nie szkodzi, jeśli nie będziesz miała czasu zadzwonić do mnie, ale dziwię się, że nie możesz uczynić takiej drobnostki dla swego brata, kiedyś miałaś takie dobre serce, a teraz...”.

I czuję, jak w środku narasta we mnie złość — jak kosmita z filmu *Obcy* — która szarpie i rozrywa wnętrzości, by wydostać się na zewnątrz. Przecież mam, kurczę, takie dobre serce, że nawet sama Matka Teresa mogłaby brać u mnie lekcje dobroci. Jestem, kurczę, tak grzeczna, że pierwszy orgazm miałam w wieku dwudziestu sześciu lat. Jestem, kurczę, taka grzeczna, że najgorszą rzeczą, jaką miałam w nosie do ostatniego piątku, była moja chusteczka. Jestem grzeczną dziewczynką nawet wówczas, kiedy mój brat o nordyckiej szczęce jest wychwalany pod niebiosa, a ja nie. On nie jest bombonierką najsmakowitszych czekoladek, jak uważa moja matka.

Stoję nad ględzącą maszyną jak mroczny cień i nawiedzają mnie ponure myśli. Tak właśnie postępują grzeczne dziewczynki. Uprzejme dla wszystkich, ale w środku mają paskudną naturę. Kiedy co rano pociąg z terkotem wjeżdża na stację, mogłabym wyciągnąć palec z umalowanym, różowym paznokciem i wepchnąć kulawego, chudego jak patyk człowieka na tory. Kiedy podjeżdżam do przejścia dla pieszych i widzę jakąś kobietę, która popycha przed sobą wózek, zastanawiam się, co by było, gdybym nacisnęła swoją delikatną, kobiecą nóżką na pedał gazu. I kiedy wiem, że mój brat jest ojcem jedenastoletniej dziewczynki, płowowłosego owocu jego dziewięciomiesięcznego brykania w Australii, zastanawiam się, co by było, gdybym poradziła matce — która rozpacza, że kiedyś zostanie babcią — żeby przestała oplakiwać moją porażkę na polu prokreacji z takim operowym smutkiem, już nią bowiem została?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Obudziłam się dziś rano przerażona. To było wczoraj! Co za idiotka ze mnie! Postanowiłam odwołać wszystko, co powiedziałam. Chyba straciłam kontrolę nad swymi hormonami. Teraz znowu karnie stoję w szeregu, dzwonię więc do mamy, żeby przeprosić, że ją zasmuciłam, a ona zwycięsko triumfuje. Szczególnie wtedy, kiedy obwieszczam jej, że Mel zainteresowała się Tonym.

— Zadzwońię do niego, jak tylko przyjdę do biura — obiecuję.

— Pojechał na spotkanie — powtarza odwiecznie te same słowa jego asystentka. — Do jedenastej go nie będzie. — Nie odezwał się do mnie do dwunastej, dlatego dzwonię ponownie. Ponieważ słowa: „Dzwoni twoja siostra” tną powietrze jak lodołamacz karton, proszę jego pracownicę, by przekazała mu te słowa: „Dzwoni twoja siostra w sprawie baleriny”. Po kilku sekundach Tony już wisi na telefonie.

— Hej! — wykrzykuje na przywitanie.

— Cześć — odpowiadam nieswojo, mam bowiem Wrażenie, że słyhać mnie w całym biurze. — Słuchaj, dzwonię, żeby powiedzieć ci o Mel. Czy ktoś słyszy naszą rozmowę? Ma występy dzisiaj, w czwartek wieczorem i w sobotę rano, i pomyślałam sobie, że może zaproszę także Chrisa i razem pójdziemy na przedstawienie. Grają *Coppelię*, bardzo przyjemny balet. No wiesz, chłopci tańczą wokół kurnika, a poza tym moglibyście poznać się z Chrisem, a potem razem z Mel poszlibyśmy na koncert *Sinego Diabła* — grają...

— Maleńka — wtrąca Tony. — Chętnie, ale przez następne dwa dni jestem zarżnięty robotą. Możesz do mnie zafaksować w tej sprawie?

— Świetny pomysł — odpowiadam, ale ponieważ rzadko bywam sarkastyczna, dlatego mój brat wykazuje odporność na ton mojego głosu i krzyczy do słuchawki:

— No to trzymaj się! — Po czym się rozłącza.

— Może być w czwartek — mówię Chrisowi, kiedy asystentka brata oddzwania do mnie we wtorek po południu.

— Super! — wykrzykuje. — Nasza kapela gra w Monarch. — Choć drugi raz nie powtarza swojego „super!”, kiedy oświadczam, że przedtem idziemy obejrzeć Mel w *Coppelii*. — Cholera! Może będę musiał wyjść, żeby pomóc chłopakom podłączyć sprzęt, o dziesiątej mają występ — dodaje.

— Naturalnie — odpowiadam, choć przemilczam, że obecnie to nie taka łatwa sprawa załatwić wejściówki. Kiedy poprosiłam Matta o trzy darmowe bilety, spytał tylko:

— Dla prasy, prawda? — Chyba zaczyna się niepokoić o artykuł w „Sun”, który ma się ukazać w piątek. („Wierzę ci, Natalie, ale mam pewne wątpliwości, czy szefostwo to zaaprobowało”).

W końcu daje się ubłagać i w czwartek o dziewiętnastej Chris wkracza do foyer Coliseum, a po nim dziesięć minut później Tony. Chris jakoś się zmienił i z dumą zauważam, że się ogolił. Tony —

któremu co roku udaje się zdobyć nagrodę najlepszego pracownika podczas przyjęcia gwiazdkowego — skacowany, choć elegancki w garniturze od Helmuta Langa.

— Dwaj moi ulubieńcy! — wykrzykuje, obejmując ich równocześnie.

— Ty lizusko! — stwierdza mój brat, bynajmniej nie miłym tonem. Podaje mi pięćdziesiąt funtów, abym kupiła szampana i pospiesznie wymykam się z baru, by zapobiec kłótni. Z ulgą dochodzi mnie, jak Tony mówi:

— Gość zatwierdza te drobne wypłaty, tak się dzieje od dawna, ludzie przychodzą i proszą o „pieniądze na koszulę na przyjęcie”, a facet nie wie, dlaczego te koszule za każdym razem kosztują po sześćdziesiąt funtów za sztukę!

Chris śmieje się z tego tak bardzo, że robi się fioletowosiny.

— To mi przypomina, jak kiedyś wchodziłem do Soho House z chłopakami z takiej kapeli Uranus. — Widzę, jak na wspomnienie konkurencji Tony drgnął. — Po skończonym obiedzie wszyscy rzucamy na stolik karty kredytowe, a na stoliku leży niebieski obrus i żeby było śmiesznej, wkładam do czytnika, rzucam wszystkie karty przez stolik i posłuchaj, człowieku, każda z nich zostawiła delikatną, białą kreskę!

Spoglądam nerwowo na Tony'ego, ale on rechocze głośno i mówi:

— Dokuczasz mi, chłopie. Tę samą historię słyszałem od jednego z naszych chłopaków.

Spoglądam na Chrisa i zauważam na jego szyi ciemną, czerwoną pręgę, więc dodaję pospiesznie:

— Za chwilę zacznie się przedstawienie, może wejdziemy już na salę?

Wchodzimy na błękitną, kapiącą złotem salę koncertową. Słysząc szmer rozmów jak brzęczenie komarów. Gdzieniegdzie, wśród skromnie ubranej widowni dostrzegam dziewczynkę w diademie na głowie z elegancką damą w szmaragdach i aksamitach. Szeleszczą programy, ludzie podnoszą się, aby przepuścić innych przeciskających się na swoje miejsca. Mocny głos uprzejmie prosi o wyłączenie telefonów komórkowych. Tony z Chrisem robią przerażone miny.

Światło przygasa stopniowo, a kiedy orkiestra uderza w instrumenty, Chris szepcze:

— Jak długo potrwa ta nuda?

Po pięciu minutach Tony stwierdza, że stracił wątek. Czuję się jak niania balansująca między dwoma nieznośnymi bliźniakami.

— To proste — tłumaczę po cichu. — Doktor Coppelius konstruuje lalki, a Coppelia to mechaniczna lalka...

— Wystarczy — ucina mój brat. — Niezbyt to ciekawe.

A kiedy po chwili pytam Chrisa:

— Co sądzisz o Mel w roli Coppelii? — Ten odpowiada:

— Bez obrazy, ale moim zdaniem tańczy jak kłoda drewna!

Anrakt powoduje, że obaj panowie szybko się ożywiają. Tony potrzebuje dawki kofeiny i dlatego gwizdże na bileterkę, zamiast zrobić dwa kroki do przodu i podejść do niej, a wówczas Chris zagaja:

— A widzieliście, jak ten facet, co tańczy, wypchał rozporek. Chyba włożył tam sobie całą poduszkę!

Nie wyszedł przed czasem, by pomóc chłopakom ze swojej kapeli zainstalować sprzęt, zasnął bowiem na początku trzeciego aktu i nie otworzył oczu, aż nie opadła kurtyna.

— Powiem Mel, że czekamy na nią przy drzwiach prowadzących na scenę. A twój zespół da sobie radę bez ciebie? — pytam, widząc, jak Chris spogląda na zegarek.

— No pewnie — słyszę w odpowiedzi. — Są do przodu, bo wcześniej zdążyli sprawdzić sprzęt. Poza tym wiedzą, że mam dzisiaj wieczór zajęty, więc myślałem sobie, że może pojedziemy moją bryką, skoro Tony chce wypić kilka głębszych. A kiedy przyjdzie Mel?

— Już jest — odpowiadam, widząc, że gwiazda dzisiejszego przedstawienia pędzi ku nam niepewnie w swoich różowych butach na wysokich obcasach i srebrnej sukience mini. Mój brat wybałusza na nią oczy.

— Cześć, Tony! — krzyczy z daleka. — Cześć, Natalie! Och, a ty kim jesteś? Jak dziś tańczyłam? Moim zdaniem okropnie! Ale Oscar był jeszcze gorszy! Widzieliście, jak nie potrafił mnie podnieść?

— Mel, to jest Chris. Pamiętasz, mówiłam ci o nim? — informuję pospiesznie. — To jego zespołu idziemy teraz posłuchać. Nie przesadzaj, byłaś wspaniała. Tańczyłaś przepięknie i całe przedstawienie było przepiękne!

Chris uśmiecha się do Mel, która pochłania mój komplement jak atrament bibułę, i dodaje uwodzicielskim tonem:

— To była dwuipółgodzinna uczta dla duszy.

Mel klaszcze w ręce i pyta:

— Super! A tobie, Tony, podobało się? Mój brat wykrzykuje w odpowiedzi:

— Kochanie, byłaś porywająca, powalająca, potężna!

— Potężna? — pyta niedowierzającym tonem Mel.

— On chce powiedzieć, że byłaś cudowna — dodaję pospiesznie, żeby zapanować nad sytuacją — nie potężna w dosłownym znaczeniu tego słowa.

— Możemy już iść? — pyta Chris.

Pięć minut później stoimy przed sfatygowanym volvo w całości burgund, z wyjątkiem jednej beżowej listwy. Chris otwiera tylne drzwi, mruga do mnie i mówi, śmiesznie przeciągając słowa:

— Paaanie pierwsze. — Gramolę się do środka, a za mną Mel. — Dzisiaj chłopaki dadzą czadu — oświadcza, odwracając się w stronę Tony'ego. — Telewizja proponowała, że nakręci z nami film. A kilku znanych krytyków powiedziało, że oni też chętnie wpadną...

— Krytycy? — pyta Tony. — Zachowują się jak stado owiec, chłopie. U nich jesteś albo super, albo do kitu.

— Masz rację. Ale między nami mówiąc, trzech najważniejszych jest zainteresowanych, ale chcę to rozegrać na spokojnie...

— Ten hałas jest okropny, Chris! Nie mogę go znieść. Zaczyna mnie od niego boleć głowa. Proszę, wyłącz to! — Ponieważ hałas, o którym mowa, to demo zespołu Siny Diabeł (o ile dobrze pamiętam, słyszałam go chyba ze czterdzieści razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni), zaczynam osuwać się na swoim siedzeniu. Chris wciska palcem klawisz, jakby to było oko Mel, magnetofon wypłuwa z siebie kasetę i Chris wpycha ją do kieszeni.

— Stokrotne dzięki — odzywa się Tony. — Porozmawiajmy o starym rocku. A powiedz mi, kto to był, u diaska? Zresztą to nieważne, bo i tak nie sprzedadzą żadnej płyty.

— Prawdę powiedziawszy, nie ma o czym mówić, jakaś banda desperatów, ale ostatnio zrobił się szum wokół Siniego Diabła, trochę się o nich mówi, i chłopaki chcą, żebym został ich menedżerem!

— Widać — zagajam — że to miejsce będzie dzisiaj nabite po brzegi. Nie mogę się już doczekać!

— Och, Natalie, przypomniało mi się, chodzi o te darmowe wejściówki, które mi dałaś na dzisiejszy koncert, mam je jeszcze w torbie. Pytałam ludzi, ale nie spodobał im się nawet tytuł tej kapeli Sinokrwisty Diabeł — co za prymitywna nazwa!

W tym momencie następuje głucha cisza, którą zakłóca jedynie żalodne rżenie walczącego o życie samochodu. Mój brat wybucha chropawym śmiechem:

— Mel — mówi. — Bardzo cię lubię. Wyjdiesz za mnie? Na te słowa Mel zachichotała.

— To zależy — odpowiada — od tego, czy będziesz mi posłuszny.

Tony odwraca się i uśmiecha do niej.

— Przynies bat, a ja przyniosę kajdanki, kochanie — dodaje. Mel płonie z zachwytem.

— Nie to miałam na myśli, brzydalu — mówi. — Och, Natalie, twój brat jest bezwstydnym!

— No proszę — przerywa Chris. — Nie mówiłem? Spójrzcie na te tłumy! Ilu ich przyszło — jak napierają! Wygląda jak oblężenie Rzymu przez Hunów! I do tego — reporterzy!

Rzeczywiście, naszym oczom przedstawia się obraz przepychających się fanów i dziennikarzy, a Chris zszokowany tym widokiem prawie by w nich wjechał. Wówczas Tony rzuca mu spojrzenie pełne szacunku.

— Masz tu regularną przepychankę — odzywa się niedbałym tonem. Robi nieznaczną przerwę. — Przynajmniej na ulicy.

Chrisowi kręci się w głowie od wizji napierających fanów i uparcie szuka wolnego miejsca do parkowania, mamrocząc pod nosem:

— Wiedziałem! Wiedziałem, że dzisiaj będzie przełomowy koncert! O to właśnie chodzi, człowieku, mówię ci — wszyscy ich kochają: dzieciaki, zakochani w metalu, fanki w plisowanych bluzkach, każdy poniżej pięćdziesiątki, kto nie pracuje w banku, skatebordziści. Mówię wam, chłopaki dadzą czadu już w pierwszym utworze, zaraz usłyszycie, na razie nie ma ich na liście przebojów, ale już niedługo jak wystrzelą, i dobrze się prezentują, dają świetne show. Muszę pomyśleć o sesji zdjęciowej. Już to widzę — czarno-biała taśma — chłopaki stoją na tle walącego się budynku; albo inaczej: stoją na klatce schodowej i patrzą w górę; nie, jeszcze inaczej: chłopaki stoją na polu, Tarqy — nasz solista — blisko kamery, a obok krowa i koza, nie krowa albo krowa rasy Jersey. A może holenderska? Nie, lepiej Jersey! Holenderskie są oklepane, a w tle, i jeszcze nakręcimy wideo, myślałem, żeby chłopaki na meksykańskiej pustyni, czerwony cadillac, w MTV to się spodoba...

Z radości mowę mi odjęło w imieniu Chrisa, co nie stanowiło żadnego problemu, ponieważ on bez przerwy gadał, dopóki nie zaparkował samochodu. Potem włączamy się do walki z plebsem przed budynkiem Monarch.

Chris przepycha się przez ciżbę, kłania się przed bileterem i mówi:

— Jestem Chris Pomeroy, menedżer tej kapeli, kumasz? Bileter — goryl w smokingu — odburknął:

— Lista gości jest już zamknięta. Chris wykrzykuje:

— To niemożliwe! Ja jestem ich menedżerem! Lewe nozdrze faceta unosi się.

— Jest pan menedżerem The Manie Street Preachers — stwierdza bardziej, niż pyta.

Usta Chrisa zamykają się jak zapadnia i zaczyna się jękać:

— Ja... ja... jakich maniaków?

Siedem minut potem, kiedy wysłał sms do właściwej osoby, mój brat, Mel, Chris i ja zostajemy wpuszczeni do budynku, gdzie daje zaimprovizowany koncert jeden z największych rockowych zespołów muzycznych — co jest rozgrzewką przed ich jutrzejszym wielkim koncertem — a Siny Diabeł miał wystąpić przed nimi, zanim ich najzagorzalsi kibice (czytaj: ich mamusie) przybyli. Zostali wygwizdani przez wybredną publikę i dlatego po dwudziestu minutach wymknęli się chyłkiem.

Tony natychmiast wypatrzył dziesięciu „starych kumpli i znika w tłumie, przyciskając do siebie Mel. On — mocno zbudowany facet i ona — mała kobiątka. Wyglądają jak doborowa para: Flip i Flap. Wzdycham głęboko. W sekundzie kiedy Tony odkrył, że cały aplauz był na cześć Maniaków, Chris stracił całe jego zainteresowanie. Chowam głowę w ramiona, nadaremnie bowiem próbuję uchronić moje bębniarki przed hałasem. Zapalam papierosa, choć powietrze i tak przesłonięte jest gęstym dymem, że niepotrzebnie to robię. Wszystkie moje wewnętrzne narządy drżą jak naczynia w szufladzie i boję się, że nerka może mi się urwać.

— Byliście suportem dla Maniaków! — wrzeszczę do Chrisa, który już przyszedł do siebie po lekceważącym potraktowaniu przez biletera i znowu wpadł w euforyczny nastrój.

— Mogę teraz iść do każdego agenta — krzyczy piskliwym głosem — i powiem mu, że moja kapela grała przed Maniakami!

Po chwili w toalecie natyka się na kilku maruderów krytyków. Opuszczają z żalosną miną jak kot po kąpieli.

— Co się stało? — pytam grzmiącym głosem, ale nie jestem w stanie przekrzyczeć aparatury Maniaków. Okazuje się, że krytycy przybyli, by usłyszeć ostatnie nagrania Sinych Diabłów. I ich zbiorowa reakcja na *Fawless Gems* i *Snarly Beasts* nie była entuzjastyczna. Najbardziej konstruktywny komentarz brzmiał następująco: „Takie kapele nie mają przyszłości”. Natomiast mniej konstruktywny był: „Takie kapele nie wnoszą niczego”, a najmniej konstruktywny: „Z wyglądu i brzmienia przypominają stado zajęcy pod dobrą datą”.

Próbowałam doszukać się w tej opinii pozytywnych elementów, ale mi się nie udało.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Następnego dnia mama dzwoni na moją komórkę o wpół do ósmej rano, najwidoczniej aby przeprowadzić śledztwo:

— Spaghetti bolognese z miętą.

— O czym ty mówisz?

— O tym, jak było wczoraj wieczorem — grzmi do słuchawki.

— Przepraszam — odpowiadam, ziewając i mrugając mocno oczami, aby się obudzić. — Dość głośno grali na koncercie. Jeszcze jestem przygłucha.

Radzi mi, abym przepłukała uszy.

— A gdzie ty jesteś, kochanie? Dzwoniłam do ciebie do domu, ale nikt nie podnosił słuchawki.

— Jestem u... hmmm... u Chrisa. W słuchawce nastąpiła dziwna cisza.

— No to wnioskuję, że Saul się nie odezwał. A jak tam Tony, dogadał się z tą dziewczyną? Dziwnie jakoś wyglądała. To tak, jakby człowiek witał się z duchem.

— Masz rację — stwierdzam z uśmiechem. — Zupełną rację. — Spoglądam na Chrisa śpiącego obok i ściszam głos. — Wspaniale się bawili w swoim towarzystwie. Chociaż to było jakoś niezręcznie wobec Chrisa; jego zespół był zdruzgotany i zagroził, że zrezygnuje, został bowiem źle przyjęty przez krytyków.

Matka pociąga nosem.

— A tam krytycy — ucina rozmowę. — Zmieniają zdanie z dnia na dzień. Powiedz mu, żeby się nie przejmował. Jak tylko podpiszą kontrakt, wszystko zacznie się układać. A co oni grają? Funk metal? Death? Speed? Thrash?

— Chris nazywa to romo metal — odpowiadam.

— Tego nie znam — burknęła. — A robią hammary i pullofy?

— O co ci chodzi, mamó?

— Nie rozumiesz, Natalie? Pytam, czy grają solówki pod Van Halena?

— Pewnie... nie mam pojęcia.

— A jakie mają wzmacniacze?

— O kurczę, nie jestem dość zo...

— Kochanie, w metalu używa się marshalli, a nie starych voxów AC trzydziestek, bo one strasznie sprzęgają.

Uśmiecham się ponuro do Lenina, dzieła Andy'ego Warhola, wiszącego na ścianie w pokoju Chrisa i zastanawiam się, czy aby moja matka zbytnio nie zaangażowała się w karierę syna. Nie mam nic przeciwko temu, ale w zeszłym tygodniu spytała mnie, czy piruet to nazwa jakiejś lalki.

— Jak tam było w klubie dla grubasów? — zagaduję, aby zmienić temat.

— W porządku. Dziękuję, że pytasz, kochanie. Zanim stanęłam na wadze, zdjęłam szyfonowy szal. — Przerywa, a po chwili dodaje: — Choć muszę przyznać, że teraz trochę się zmieniło. Kiedyś jak człowiekowi ubyło parę kilo, robili wielkie halo. Ogłaszali wszem wobec, ile straciłaś, a wtedy wszyscy bili ci brawo. Teraz jest zupełnie inaczej. Nikt już nie bije w dzwony.

— A... a jak ci idzie? — pytam ostrożnie.

— Nieźle. W zeszłym tygodniu zrzuciłam prawie kilogram, ale tydzień przedtem przybyło mi pół kilo. Raz w dół, raz w górę. Raz w dół, raz w górę. Tony mówi, że to jak słuchanie wyników ligi piłkarskiej. — Jej piskliwy, ostry śmiech brzmi fałszywie i kiedy jej wtóruję, mój brzmi podobnie.

— No cóż — dodaję — łatwo przyszło, łatwo poszło.

— Jednak łatwiej przychodzi.

— A rozmawiałaś z Tonym?

— Nie dodzwonię się do niego o tej porze! Pewnie jeszcze mocno śpi. — Po tych słowach moja ochota na pogawędkę mija. Wyłączam komórkę. Kładę się na plecach i próbuję zasnąć, ale Chris gwizdże przez nos. Czuję się, jakbym dzieliła łóżko z psem collie. Gdyby to był Saul, to uszczypnęłabym go delikatnie, ale jak wszyscy despoci, jestem tchórzem. (Chris nie znosi, kiedy się go budzi, i potem przez dwadzieścia cztery godziny byłby w ponurym nastroju).

Cichaczem podnoszę się i siadam. Do czytania zauważam tylko plik czasopism „Kerrang”, słownik rymów i jeszcze dwie książki: *Cytaty przewodniczącego Mao Tse-tunga* i *Jak napisać przebój*. Przewracam się na brzuch i widzę swoje odbicie w starym lustrze na głowę, upstrzonym palcami

dziewczyn. Spostrzegam, że mam tłuste włosy. Super! Może kąpiel mnie dobudzi. Depczę po koszulach nie pierwszej świeżości, skradając się do łazienki, a potem po cichu odkręcam staromodne kurki. Pod lejący się strumień podkładam gąbkę, by stłumić szum wody.

Zanurzam się w ogromnej wannie pokrytej żółtym osadem, wyciskam trochę szamponu na włosy (Chris ma więcej kosmetyków niż królowa Saba) i wcieram go w głowę. Następnie spłukuję pianę w wannie, zamiast użyć prysznicza, a wszystko po to, aby nie zbudzić jaśnie pana. Z tego samego powodu nie wyciągam korka. I w momencie, kiedy oklepuję się ręcznikiem, zauważam to. Ze zdumienia sztywnieję i ręce mi grabieją. Z niedowierzaniem patrzę w wannę. Czuję nagły ucisk w gardle. Schylam się tak głęboko, dopóki moja twarz nie znajdzie się w odległości centymetra od mydlanej wody i czuję, jak krew zaczyna mi pulsować panicznie w głowie. Co to jest?

Setki długich blond włosów, pływające na powierzchni wody. Moje włosy! Przyglądam się im w milczeniu, ale ten widok jest taki obrzydliwy, że wrywam korek. Następnie, powoli, podnoszę rękę i delikatnie ciągnę. Pięć włosów. Znowu ciągnę. Siedem włosów. Znowu. Cztery włosy. Jeszcze raz. Osiem włosów. Osiem. Serce mi się rusza w rytm muzyki Maniaków i czuję się jak kobieta, która po obejrzeniu horroru przeżywa go na jawie. O Boże, oby tylko to był sen! (Choć wiem, że to nie jest sen, bo podczas snu nie myślisz: „O Boże, oby tylko to był sen”). Biegnę do dużego lustra, zapalam lampę i badam swoją łysiejącą czaszkę. Biała skóra pomiędzy rzadkimi kępkami, chorobliwie biała jak mleko...

— Co ty robisz? Masz gnidy? — pyta Chris, szarawy duch stojący w drzwiach.

— Łysieję, włosy mi wypadają!

Chris parska śmiechem i uspokaja mnie:

— Nie panikuj, kobiety nie łysieją.

— Spójrz tylko! — wrzeszczę, ciągnąc za włosy. Trzy z nich posłusznie zostają w mojej ręce.

— Pewnie, że wychodzą, jeśli je wrywasz — mówi. — Nie wrywaj ich.

— No to spójrz do wanny! — wołam z przerażeniem. Chris podchodzi do wanny, jakby był daleko od niej i stwierdza spokojnie:

— Liniejesz, księżniczko.

Zaczynam okręcać włosy wokół palca — o Boże, może to jest przyczyna! — i natychmiast przestaję to robić.

— Może to z powodu stresu — dodaje Chris. — Powinnaś wziąć zwolnienie.

Jakie zwolnienie! Nie wezmę żadnego zwolnienia! Zdobyłam tyle tytułów Pracownika Miesiąca! (Może gdybym pracowała w McDonaldzie, a nie w balecie londyńskim, to poszłabym na urlop). Nie robię czegoś podobnego, ale może jednak... Gapię się w wannę i myślę sobie: Czym się przejmuję? Włosy mi wypadają, Babs twierdzi, że nie potrafię powiedzieć nie, nawet ze mną nie rozmawia, bez niej czuję się okropnie. Jestem wyczerpana po koncercie — a może dlatego, że przez całą noc do

czwartej nad ranem spełniałam zachcianki Chrisa, który wstawał i kładł się jak jo-jo — i teraz nie chce mi się iść do pracy. Ostrożnie suszę włosy ogromną suszarką Chrisa — ma napęd jak odrzutowiec — która przemienia mnie w Bonnie Tyler — i o ósmej czterdzieści pięć zostawiam wiadomość na poczcie głosowej Matta.

— Przepraszam cię, Matt, ale chyba jestem naprawdę chora — informuję szeptem, ponieważ Chris mi się przysłuchuje, kiwając głową. — Mam okropną migrenę, zbiera mi się na wymioty, jestem u mamy, ona się mną zajmuje.

Chris gestem ręki pokazuje mi, abym przestała i rozłączyła mnie.

— Za dużo trajkoczesz, księżniczko. Zdemaskujesz się całkowicie.

Patrzę na niego przerażona.

— Ale powiedziałam tak tylko dlatego, żeby nie zadzwonił do mnie do domu i nabrał jakiś podejrzeń, gdyby mnie tam nie było — tłumaczę.

Śmieje się.

— No to odwołuję te słowa. Jesteś zawodowcem — oświadczam, wicherząc moje-pożal-się-Boże włosy. Walczę z pokusą, aby odsunąć jego rękę.

— Naprawdę sądzisz, że to z powodu stresu? — pytam, dotykając delikatnie włosów, a potem odsuwam rękę, jakby to była rzeźba z lodu.

— No pewnie — odpowiada. — Nie zastanawiaj się nad tym, bo jeszcze bardziej się pograżysz. — Uśmiecham się do niego. Wygląda tak chłopięco w tych swoich bokserkach. Bardzo chcę mu uwierzyć. Ale nadal przed oczami mam kępy włosów, łagodnie unoszących się na wodzie, a każdy wygląda jak wyrok śmierci. Nie wolno mi się zamartwiać. Jeśli będę się przejmować, wówczas zaczną wychodzić garściami i w ciągu miesiąca zupełnie wyłysięję. Muszę inaczej na siebie patrzeć. (Czasami spoglądam oczami innych i ten obraz wcale mi się nie podoba — uważam, że to problem, którym nie powinnam się zajmować). Ale pokonam swoje strachy.

Mierzę Chrisa wzrokiem, po czym mówię:

— No, to co dzisiaj robimy? — Chcę, żeby zabrał mnie do łóżka i się mną zajął. Ale najpierw, oczywiście, musi umyć sobie zęby.

Problem w tym, że on nie ma na to najmniejszej ochoty — nie po wczorajszej nocy, kiedy tak szalał. Dzisiaj, jak zauważyłam, nastąpiła katastrofa, sądny dzień, piękność wczorajszego dnia raptownie poszarzała. Nic nie zostało. Zrezygnowałam z koki, po tym jak kichnęłam i to kichnięcie kosztowało mnie sto funtów. A także, ponieważ chciałam tego, to wiedziałam, że musiałam zrezygnować. (Doszłam do wniosku, że mam naturę osoby uzależnionej. Nie jestem uczulona na pszenicę czy orzeszki ziemne, potrzebuję czegoś, co wprawi mnie w szczególny nastrój). W tym momencie Chris chwytam mnie za rękę.

— Wiesz co — zagaja — wyskoczmy gdzieś na weekend. Straciłam już do tego zapał, ale nie chcę ranić jego uczuć.

I po dwóch zaskakująco nudnych godzinach uciechy na dzień dzisiejszy zostały zakończone. (Podoba mi się zabawa w niegrzeczną dziewczynkę z niegrzecznym chłopcem. Kiedy wszyscy dookoła tyrają, jestem zdumiona, że zdobycie narkotyków stanowi takie trudne zadanie: najpierw długa jazda do Wimbledonu, gdzie mieszka diler w schludnym domku, potem dziesięć minut nudnej konwersacji, aż wreszcie pożegnanie. W głębi serca miałam nadzieję, że to będzie obskurna nora).

— Ty pierwsza — proponuje Chris, a kiedy waham się przez chwilę, dodaje jeszcze: — Koka to czysty i bezpieczny drug!

Mimo to się waham. Tony twierdzi, że tylko mały umierają z przedawkowania, ale znając swoje szczęście, siedzi we mnie taki właśnie owłosiony stwór i wydaje z siebie: „oo oo oo!”, zamiatając górnymi kończynami po podłodze.

Chris mamrocze:

— Panienska woli pewnie chemię na receptę?

Nie pozostaje mi nic innego, jak zacząć przygotowywać działkę.

— Super, nie? — chichoczę, kiedy leżymy już na łóżku, młodzi i zakochani w naszych nowych osobowościach.

Chris ma porządny odlot, kiedy dzwoni jego komórka.

— Haaalo! — odzywa się opryskliwym tonem, gdy udało już mu się nałożyć słuchawki telefonu na głowę i ustawić mikrofon przy ustach. (Jego motto brzmi: „Zawsze połączony”).

— To do ciebie — stwierdza obrażonym tonem. Mrużę oczy, złączam nogi i pochylając się, mamroczę:

— Halo?

— Miller, w co ty pogrywasz? — dochodzi mnie czyjś głos. Czuję, jak radość ze mnie uchodzi. Przelykam ślinę i czuję gorzki smak.

— Skąd... skąd ty się... — Nie potrafię dokończyć pytania.

— Twoja mama do mnie dzwoniła.

Pociągam nosem i wycieram go w rękę. Nie chcę, żeby koka zostawiła ślady na telefonie.

— Aha — mówię tylko. — Ale ten numer. Jak...?

— Znalazłem w twoim notesie. Na swoje nieszczęście, wszystko skrupulatnie zapisujesz, Natalie — dodaje Matt.

— Naprawdę bardzo, ale to bardzo mi przykro — mówię szeptem. Ponownie pociągam nosem i wycieram słuchawkę. Naprawdę mi przykro — że mnie znalazł. Dziękuję ci, mamusiu.

— Widziałas dzisiejsze wydanie „Sun”?

— Jeszcze nie — mamroczę z pewną trudnością. Pociągam i wycieram.

— No to powinnaś je sobie obejrzeć. Bowiem, ku uciesze dziesięciu milionów czytelników, pi-
szą tam, że wywiad, który załatwiłaś Mel, został uzupełniony o opinię lekarza, który stwierdza, że tan-
cerka ma nadzwyczaj niski poziom tłuszczu i nie wolno mu wydać opinii ad hoc, niemniej jednak tak
niski poziom tłuszczu jest typowy dla pacjentów, u których występuje ANOREXIA NERVOSA! —
wrzeszczy mi do ucha.

W przenośni mdleję z wrażenia, choć w rzeczywistości mówię tylko do słuchawki:

— Oooooch! — które i tak nikomu na nic się nie zda.

— Bierzesz kokę? — pyta niespodziewanie.

Pociągam nosem i wycieram telefon z poczuciem winy. To tak jakby ukryć pod swetrem papu-
gę, która odzywa się: „Arrr!”, a mimo to człowiek idzie w zaparte: „Mylisz się, tu nie ma żadnej papugi,
to ja”. W głowie kłębi mi się mnóstwo tłumaczeń, ale one ulatniają się, zanim mój mózg zdąży prze-
tworzyć je w mowę wiążaną.

— Jezu, Natalie — mówi z westchnieniem Matt. — Nie rób tego. — Ma taki miękki głos jak
aksamit, że chce mi się płakać.

— Stoczysz się. — Podwijam nogi i podciągam kołdrę aż po samą szyję. Matt milknie, a kiedy
przez dłuższą chwilę się nie odzywam, dodaje jeszcze: — Mówię prawdę. Czasami przyglądam się
Mel i myślę sobie, że ta dziewczyna wieszka sobie kamień u szyi. Dobrze wiemy i firma też, że ta bie-
daczka od wielu lat zмага się z pewnym problemem; próbowaliśmy jej pomóc, ale ona się nie zmie-
nia, nie przeszkadza jej to, próbuje za wszelką cenę osiągnąć perfekcję. Ale jeśli chodzi o prasę, to nie
jest wiadomość dla nich. Wiem, że od jakiegoś czasu się przyjaźnicie i ty musisz załatwić tę sprawę.
Mogłaś wybrać kogoś innego. W porównaniu z Mel większość z nich to grubasy. Przykro mi, Nat.
Tym razem cię nie obronię. Zarząd jest wściekły i muszę cię poinformować, że ta sprawa nie wygląda
za dobrze.

Czuję, jak serce wali mi ze strachu.

— Co... co chcesz przez to powiedzieć? Słyszę westchnienie w słuchawce.

— Nat, wiesz, jak się przedstawia sytuacja. Szukają tylko okazji, aby dokonać zwolnień. Nie
sądzę, by od razu podjęli decyzję, a jeśli wyjazd z „Telegraphem” okaże się sukcesem, dopilnuję, abyś
dostała nagrodę. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

— Załóż się, gdybym miała długie, mięciutkie uszy i oddychała z wywalonym jęzorem, pew-
nie bym go oczarowała. — Ale, Nat — robi efektowną pauzę — ja muszę pomyśleć, co będzie naj-
lepsze dla firmy.

— Wiem — odpowiadam cichym głosem. Obawa o przyszłość przeraża, ale czuję także lekki
powiew nadziei. O ile wiem, zrobiłam dobrą robotę w sprawie wyjazdu do Włoch. Matt i Julietta mają
rezerwację do Werony na środę wieczór, fotografi wizażysta wylatują po południu; rezerwacja w ho-
telu załatwiona; film uzyskał zgodę władz i zaczną kręcić w czwartek rano, w ten sposób fotograf z

„Telegraphu” będzie miał dość czasu, by zrobić Julietcie zdjęcia na balkonie szekspirowskiej Julii na piątkową okładkę — w walentynki i w dzień premiery *Romea i Julii*.

— ...zostało, teraz mogłabyś z niego skorzystać.

— Co mówiłaś?

— Skup się, Nat, bardzo cię proszę! Powiedziałem, że masz do wykorzystania cały swój urlop i proponuję, żebyś wzięła sobie teraz kilka dni wolnego. Odpocznij, przemyśl wszystko. Dobrze? Będę na ciebie czekał w środę. — Po tych słowach się rozłącza. Gapię się w telefon jak sparaliżowana i czuję, jak wali mi serce: bum, bum, bum.

Chris dowlóknął się do sypialni w stroju striptizera, albo raczej boksera, ale szczerze mówiąc, bardziej przypominał striptizera.

— Możesz mi oddać moją komórkę? Wisisz na niej od godziny. — Przygląda się moim wybałuszonym oczom i pyta: — Co się dzieje? Chyba nie chcesz się na mnie rzucić?

Zgrzytam zębami. Rzucić się na niego! Wczoraj w nocy facet był całkiem wypompowany!

— Nie martw się, nie zrobię tego. A dlaczego nie spytasz mnie, o czym rozmawiałam?

— Bo za chwilę sama mi powiesz.

Streszczam się, jak mogę, biorąc pod uwagę jego obecne możliwości koncentracji. Chris przeciera dłonią twarz, jakby chciał zetrzeć z niej skórę i oświadcza:

— Wyolbrzymia sprawę. Wkurzył się, bo wzięłaś wolne. — A potem jeszcze dodaje: — Zepsułaś atmosferę, mała. Dobry nastrój prysnął jak bańka.

Nie mam ochoty się spierać, więc przeproszam go i po chwili humor mu się poprawia. Proponuje, że zadzwoni dla mnie po taksówkę. (A potem dodaje z miłym uśmiechem, że powinnam korzystać z urlopu, że najlepiej byłoby, gdybym brała dziesięć dni rocznie, skoro każdy robi, co do niego należy, prosta sprawa). Nie czuję się ani pocieszona, ani przekonana. Godzinę później — kiedy to zdążyłam już zanudzić taksówkarza na śmierć moimi nieszczęściami — dotarłam wreszcie do domu. Nie wiem, czy to z powodu mojego nastroju czy koki, ale czuję się w środku wypalona. Krążę wokół telefonu i spoglądam na niego jak wampir, który ma straszną ochotę zamówić pizzę z czosnkiem. Czego tak bardzo się boję? Chwytam za słuchawkę i pospiesznie wybieram numer.

— Cześć! — odzywa się Babs wesoło, zapominając o naszej kłótni. — Kosiłam właśnie trawę.

— Przepraszam — odpowiadam („przepraszam” to ostatnio moja odpowiedź na wszystko). Wyobrażam sobie, jak kosi trawnik wielkości maty stołowej, a jej sąsiedzi spoglądają na to z przerażeniem, dziwiąc się, dlaczego nie może wynająć architekta zieleni jak wszyscy w tych czasach. Już mam ochotę zacząć narzekać na pracę, kiedy Babs mówi:

— Chciałam do ciebie zadzwonić. Masz wielbiciela.

— Naprawdę? — pytam piskliwym głosem, a próżność miażdży moje niedawne problemy swoją słoniową nogą. — A kto to taki?

— Robbie! — wykrzykuje. — Zgłupiał na twoim punkcie. Zresztą to taki wspaniały facet. On...

— On zaczynałysieć — uzupełniam i jest w tym pewna doza hipokryzji, bo i mnie to dotyczy.
— Ale ja spotykam się z Chrisem.

— A, z nim — stwierdza znaczącym tonem. — Nie ubrał się jak należy na nasz ślub i nie przyniósł nam niczego w prezencie. A poza tym Simon zaprosił go tylko dlatego, żeby było do pary.

— Nie bierz sobie tego tak do serca — odpowiadam, siląc się na uprzejmość. — Chodzi o to, że Chris... Chris, jakby tu powiedzieć, nie uznaje ślubnych prezentów. Nie przywiązuje wagi do tradycji.

Reakcja Babs przypomina reakcję bigotki oceniającej gust ateisty w sprawie mebli. Wyobrażając sobie jej naburmuszoną minę, widzę, że nie wybrałam najlepszego tematu na rozpoczęcie rozmowy.

Niespodziewanie dochodzę do wniosku, że nie powiem jej, co w pracy — chyba by mnie nie zrozumiała. Nie mam ochoty dzielić się z nią moimi osobistymi kłopotami. I pomyśleć, że nasze relacje tak dobrze się układały. W jej towarzystwie czuję się tak nieswojo jak przybysz z kosmosu, który wlaź w ludzką skórę. Chcąc ją uspokoić, dodaję:

— Masz rację. Robbie to wspaniały facet. — Na to Babs mówi łagodniejszym tonem:

— No wiesz, może wykręć do niego, umów się na drinka. To jeszcze do niczego nie zobowiązuje.

Zauważam, że kiedy mężatki próbują usilnie wyswatać swoje niezamężne koleżanki, w swojej serdeczności rzadko wybierają przystojniejszych i seksowniejszych facetów niż ich małżonkowie. Sprawa wygląda tak — zadzwoniłam, żeby się pogodzić, a obraziłam ją. Bez słowa zapisuję numer Robbiego i obiecuję do niego zadzwonić.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Uderza mnie, że po świecie kręci się pełno cwaniaków, którzy podejmują ryzyko i wygrywają, natomiast ja od momentu pojawienia się na tym padole skrupulatnie przestrzegam zasad gry i ponoszę porażkę, jak tylko przestaję się nimi przejmować. Przez szesnaście lat Babs pomagała mi pokonywać wszelkie przeciwności losu. Kiedy odszedł tata, choć nic mi nie było, przez całą szkołę siedziała ze mną w jednej ławce. (Frannie próbowała podburzyć jej rodziców, ale bez skutku). Zawsze mogłam na niej polegać. Teraz kiedy jej zabrakło, nie wiem, co począć.

Nieprawda, jest okej. I aby udowodnić, że wszystko toczy się w najlepszym porządku, idę na siłownię. Albo może na basen. Od dawna nie pływałam, a przecież uwielbiam wodę. Blisko Hendon jest basen olimpijskich rozmiarów i kiedy mieszkałam u mamy, co niedziela przeplýwałam setkę, potem szłam do domu i zasypiałam. Byłam bardzo wytrzymała. Chyba jednak pójdę na siłownię, pomyślałam sobie, wchodząc do zatłoczonej recepcji. Nawet jeśliby to miało oznaczać powrót do miasta.

Nie mogę oprzeć się bieżni. Babs będzie biegać obok silnego, męskiego ramienia; nie cierpi bieżni — twierdzi, że na niej człowiek „bieżnie nie wiadomo dokąd”. A mnie się podoba.

— Już chyba wystarczy — słyszę zachrypnięty głos. Wciskam czerwony guzik z napisem „stop”, odwracam się i dostrzegam boginię w czarno-białej lycrze.

— Cześć, Alex — witam się i z trudem powstrzymuję się, by jej nie objąć. Uwielbiam miłych ludzi — no takich, którzy podnoszą rękę, kiedy pozwolisz im przejść przez pasy, którzy spojrzą na człowieka i uśmiechną się, kiedy jakiś gorliwy wyznawcą religijny zaczyna nawracać w pociągu, którzy mówią: „Upuściłaś piątkę”, kiedy ją upuścisz — takich, którzy rozsiewają trochę serdeczności, ponieważ wiedzą, że ogólnie panująca wrogość jest naturalna, ale niepotrzebna. Niewielu jest takich ludzi.

— Wygląda na to, że zrosłaś się z tą maszyną — stwierdza.

— Chyba będę musiała namówić cię na pilates.

— Och, dzięki! Pochlebiasz mi. — Po moim trupie. Żadnego aerobiku. Nie ma mowy, nie zagna mnie na pilates — to czyste marnotrawstwo cennej endorfiny!

Cztery minuty później leżę na niebieskiej macie i oceniam swoje mięśnie. Chyba jednak to nie dla mnie. Człowiek wcale się nie poci, a w grupie pełno jest grubych starszych pań, a jedna z nich za każdym razem kiedy dotknie palców u nóg, wydaje niezbyt kulturalne dźwięki. Zagryzam usta, aby nie wybuchnąć śmiechem. Podobno ćwiczenia nie powinny sprawiać trudności, ale to nieprawda. Nawet polecenie: „Proszę usiąść z wyprostowanymi plecami i rozchylić szeroko nogi — wyżej ! Wyprostować nogi! Pamiętajcie o mięśniach brzucha i pleców!”, staje się nieznośną torturą. Rozciąganie to okrucieństwo i nuda i dlatego kombinuję, jak tu tego uniknąć. Kolejne ćwiczenie polega na siedzeniu na podłodze i dotykaniu palcami rąk zgiętych kolan — uważajcie, aby nie dotykać stopami podłogi! — a potem wciągnięciu brzucha i jak piłka odwróceniu się na plecy, aby w końcu przybrać pozycję siedzącą za pomocą „tranversus abdominis” — co, jak przypuszczam, jest elegancką nazwą mięśni brzucha. Oszukując, udaję, że to robię.

Alex potrząsa głową i się uśmiecha.

— Korzystasz z nóg i nabierasz rozpędu. Zapomnij o nogach. Wyobraź sobie, że nie masz nóg!

Nie cierpię, jak nie mogę być najlepszą uczennicą. I przez cały czas kładą nacisk na „właściwe” oddychanie. Przecież przez całe życie oddycham po swojemu i jeszcze się nie udusiłam. To chyba umiem to robić, nie? W pewnym momencie uzmysławiam sobie, że czuję dziwny spokój — co doprowadza mnie do przekonania, że nie ćwiczę jak należy. Dlatego zwiększam nieznacznie tempo ćwiczeń, a wówczas Alex stwierdza, że nie powinnam się tak szarpać! (Powiedziała dokładnie tak: „Nie musisz się katować — ćwiczenia pilates nie wyglądają na wyczerpujące, choć takie są — precyzyjne i forsowne, więc małymi krokami zajdziesz dalej”). Nie wierzę jej słowom, ale kiedy zajęcia dobiegają końca, czuję ogromne wyczerpanie. Ale to chyba z nudy.

— Było super — informuję Alex. — Bardzo mi się podobało.

— No to ciężar spadł mi z serca, bo miałam ogromne wyrzuty sumienia, odciągając cię od StarMaster. Naprawdę się cieszę. A może — spogląda na zegarek — poszłybyśmy na kawę?

Przyglądam się jej, jak pije gorącą czekoladę i zajada się karmelowymi ciastkami. Zauważając mój wzrok, uśmiecha się i oświadcza:

— Złożyłam noworoczne przyrzeczenie, że będę dodawać czekoladę do każdego posiłku. A ty?

— Ja? Zrobiłam ich mnóstwo! Że będę więcej ćwiczyć, jeść mniej hamburgerów, pić więcej wody, wydawać mniej pieniędzy, bardziej dbać o porządek — no, chyba było coś jeszcze, ale już zapomniałam. Chyba gdzieś je sobie zapisałam.

Z uśmiechem stwierdza:

— Moja siostra, Louise, jest taka jak ty. Postanowiła sobie, że przestanie jeść chipsy, pszenne chleb, pić, palić i cztery razy w tygodniu ćwiczyć. Zadzwoiła do mnie czwartego stycznia i powiedziała, że w ciągu jednego dnia złamała pięć ze swoich przyrzeczeń. Ale między nami mówiąc, to dziwi mnie, że udało jej się wytrzymać tak długo.

Chichoczę, choć podejrzewam, że między mną a Louise nie ma żadnego podobieństwa. Głośno mówię:

— To prawdopodobnie kwestia samodyscypliny. — Alex nie wyraża swojej opinii na ten temat, ale czeka, co powiem dalej.

Niespodziewanie ogarnęło mnie onieśmienie.

— Naprawdę lubię pilates — oświadczam. — Rozzłościłam się tylko, że nie potrafiłam zrobić tego fiku-miku.

Alex wybucha śmiechem i ściska mnie za ramię.

— Za dużo od siebie wymagasz! Wspaniale ci poszło. Na litość boską, przecież to były twoje pierwsze zajęcia! Poza tym nie ma jednego, właściwego sposobu, aby wykonywać pilates — trzeba szukać tego, co jest dobre dla twojego ciała. Dlatego właśnie tak bardzo to lubię. Mam nadzieję, że jeszcze wpadniesz. Coś czuję, że dasz się przekonać! Jeszcze kilka lekcji, a będziesz uzależniona.

Chyba nic z tego, myślę sobie w domu, wpychając do pralki mój suchy i nieskałany strój do ćwiczeń. Nawet jeśli Alex jest taka miła. Czuję, jakbyśmy się znały od dawna. Gdybym jej powiedziała, że mnie wylali, pewno by mi współczuła. Do diaska! Wyleciało mi to zupełnie z głowy. Wskakuję na stół i zaczynam ciągnąć włosy i patrzę, jak wypadają. Dziesięć po piątej dzwoni telefon.

— Jak się masz, kochanie, dzwoniłam rano do biura i Matthew poinformował mnie, że zachorowałaś i jesteś u mnie. Przejęłam się i natychmiast zadzwoniłam do ciebie, ale miałaś wyłączoną komórkę i przez cały dzień odchodziłam od zmysłów, gdzie jesteś. — Nie czekając na odpowiedź z mojej strony, dodaje jeszcze: — Zrobię obiad. Jeśli nie jesteś w pracy, wpadnij o wpół do siódmej, dobrze?

Po rozmowie z Alex wróciłam już prawie do równowagi. Ale w tej chwili stan ten szybko minął. W drodze do Hendon oślepiło mnie słońce i przestraszyłam się, bo sądziłam, że zostałam przyłapana przez policyjną kamerę.

— Weź się w garść, Natalie — warknęłam do siebie. Zaczęłam nucić sobie coś pod nosem, a potem pomyślałam, że tylko grożą mi zwolnieniem, że to jeszcze nic pewnego. Ale mama, z którą podzieliłam się tą opinią, miała odmienne zdanie.

— Och, Natalie! — wykrzyknęła dramatycznym tonem i spojrzała na mnie tak, jakby już mnie widziała stojącą na ulicy z wyciągniętą ręką, proszącą: „Bezdomna i głodna prosi o wsparcie”. — Co ty teraz, dziecko, zrobisz? Zostaniesz bez pracy! — Po tych pełnych otuchy słowach podsuwa mi talerz z wątróbką, cebulą i ziemniakami. Przed sobą natomiast stawia kieliszek białego wina, kładzie torebkę z solonymi orzeszkami i nietuczający mus czekoladowy. Ewidentnie nie jest to posiłek zalecany przez klub grubasów, ale moja matka jest ekspertem od kalorii i lekkomyślnie wierzy, że uda jej się oszukać system. Oddycham przez usta, aby nie poczuć zapachu wątróbki. „Przecież to Tony uwielbia wątróbkę, zapomniałaś?” — krzyczę do niej w duchu. Jeśli chodzi o mnie, to konsumowanie wątróbki drobiowej — jakiegokolwiek zresztą — doprowadza mnie do wymiotów.

— Mamo — zaczynam pojednawczym tonem (choć tak naprawdę mam ochotę wrzasnąć: „To mnie należą się tutaj słowa otuchy!”) — jeszcze mnie nie wykopali. Wszystko skończy się dobrze, zobaczysz.

Matka zagryza wargi, jakby nie mogła pojąć, co takiego zrobiła, że zasłużyła sobie na taką durną latorośl. A potem oświadcza:

— Zawsze tak mówisz!

— Może i masz rację — odpowiadam cicho, ponieważ z trudem przychodzi mi wypowiedzieć słowo.

Rzuca serwetkę na stół.

— Czułam, że ten jakiś Chris o psim nazwisku będzie miał na ciebie zły wpływ! — wykrzykuje. — Ale teraz jest już za późno — Saul do ciebie nie wróci! Trudno, ale ty zawsze odtrącałaś porządnym chłopców!

Oczyrna wyobraźni widzę Saula i mam ochotę wrzasnąć: „Ma cycki większe od moich! A język jak mrówkojad!”.

Kiedy nadal milczę, moja rodzicielka przybiera boleściwą pozę i patrzy na mnie oskarżycielskim wzrokiem.

— Nie pojmuję tego — odzywa się. — Nawet nie wyjaśniłaś mi, dlaczego chcą cię zwolnić. Dla Matthew to musi być okropne, dać ci wypowiedzenie!

Nie wiem, czy uważa, że moje przewinienie było ciężkie, czy też współczuje mi z powodu osobistych cierpień spowodowanych tym, że doniósł na mnie do zarządu. Zgniatam serwetkę, aż staje się niewidzialna dla ludzkich oczu i dodaję tępym głosem:

— Popełniłam kilka głupich błędów.

— Jakich błędów? — pyta piskliwym głosem. — Pewnie bardzo głupich, jeśli aż do tego doszło!

Opowiadam jej o wywiadzie z Mel i artykule w „Sun”. Wzdycha ciężko.

— Chyba to nie Mel naszego Tony'ego?

— Ta sama — oświadczam przez zaciśnięte zęby.

Matka chwyta za serwetkę, ale po chwili rzuca ją, trafiając w swój czekoladowy mus — to znak, jak bardzo jest wzburzona, uważa bowiem za brak kultury nieopróżnienie do czysta talerza. W takiej sytuacji obdarza winowajcę następującymi słowami: „Czy matka niczego cię nie nauczyła?!”.
R

Odzywa się przytłumionym głosem:

— Och, Natalie, jak mogłaś do tego dopuścić? Dziecko, gdzie ty miałaś rozum? Trudno mi pojąć, że mogłaś postąpić tak bezmyślnie. To takie krępujące dla Mel! A także...

Kiedy dodaje: „Tony'ego” — skromnie licząc po raz setny w ciągu ostatnich sześciu minutach — czuję ostry ból w klatce piersiowej, jakby coś we mnie umarło. Zanim powie mi, co takiego uczyniłam, wątróbka, cebula i ziemniaki lądują na ścianie i wydają z siebie taki głośny wrzask, że sąsiedzi z pewnością nie będą musieli przykładać ucha do ściany.

— Dlaczego ty zawsze musisz wspominać Tony'ego? Rzygać mi się chce! Tony to, Tony tamto! To chodzący ideał, a ja jestem twoją kolosalną porażką. — Jestem wściekła, że nawet kiedy tracę panowanie, używam takich słów jak „kolosalna”. — No to powiem ci, mamó, że twój synalek nie jest takim ideałem, jak sądzisz. Dlaczego twój ukochany synek nie powiedział ci, że ma córkę, i od jedenastu lat skrzętnie ukrywa tę tajemnicę, poproś go, niech ci o tym opowie. Pięknie, podrywa sobie jakąś dziewczynę podczas wólczygi po Australii, prostą dziewczynę, cóż bardziej wygodnego — ona przysłała mu raz w roku zdjęcie, nie męczy go o alimenty! Och, nie, on może ukrywać swoje tajemnice, prowadzić wesołe życie, jeździć samochodem. Przecież odniósł sukces...

— Dziecko — przerywa mi cichym głosem. Słyszając to słowo, moje usta zatrząskują się jak kastyety. Budzę się do rzeczywistości jak po zderzeniu z olbrzymim tirem i spoglądam na nią przerażonym wzrokiem. Moja matka to kawał kobiety, ale w tym momencie wydaje się maleńką istotką — z niepewnością patrzącą na miazgę ziemniaków i cebuli spływającą po ścianie. — Z ręką na sercu, kochanie — ciągnie tym samym, bezbarwnym tonem. — Przez całe swoje życie nigdy się za ciebie nie wstydziłam. Ale dzisiaj, w tym momencie, z przykrością muszę to powiedzieć, wstyd mi za ciebie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Czuję się jak kobieta, która narzeka, że boli ją brzuch, a lekarz oświadcza, że jest w ciąży z przybyszem z kosmosu. Można przeczuwać, ale nie ma się pojęcia, jaka brzydota panoszy się w środku. Nie słyszę siebie, dopóki nie przestanę mówić, a wówczas dziwię się, jak takie paskudztwo może wydobywać się z moich ust. Czuję się, jakby obcy wdarł się do środka i czekam, kiedy zobaczę, jak jego zielony pazur wydrze się z mojego pępka. Jak się tam dostał? Ona też nie może w to uwierzyć. Przez cały czas milczymy, ostrożnie spoglądając na siebie jak dwa koty, które zastanawiają się, czy rozpocząć walkę. Nie miałam odwagi się poruszyć, aż wreszcie mama spojrzała na obrus i stwierdziła martwym głosem:

— Trzeba tu posprzątać.

Odwracam się i wybiegam z kuchni.

Co ja zrobiłam? Zresztą sama jest sobie winna. Nie cierpię wątróbki! Tkwię w ulicznym korku, a kierowca za mną zaczyna trąbić, bo zapaliło się zielone, a ja jeszcze nie ruszyłam na żółtym. Pokazałam mu palec skierowany do góry, a potem przestraszyłam się, że wyskoczy ze swego nissana i rzuci się na mnie z łomem w rękę. Chyba oddałby mi tylko przysługę — Tony pewnie nie krzyczałby na mnie, gdyby zabrali mnie na intensywną terapię. Czułam się, jakbym siedziała na wulkanie. Zaczęłam nerwowo mocować się z drzwiami, przechyliłam się i zwymiotowałam na jezdnię. Byłam spocona i cała się trzęsłam. Co lepsze: ciężka kontuzja głowy czy zemsta mojego brata? Naturalnie, że uraz mózgu — co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Kiedy wchodziłam do mieszkania, usłyszałam przeraźliwy dzwonek telefonu. Miałam ochotę zerwać go ze ściany. W tej chwili przydałby się przybysz z kosmosu — przyleciałby i zabrał mnie daleko. Przyszło mi do głowy, że gdybym była Pirkiem, nie miałabym takich problemów. Moja egzystencja ograniczałaby się do: puszczenia bąków, drzemki i pieszczot. Marząc o żywocie psa rasy basset — obrożach od Gucciego i sądząc, że za sześć tygodni zostanę wykreślona z rodziny — przyłożyłam słuchawkę do swego ucha jak pistolet do skroni.

— Witaj, księżniczko! — usłyszałam głos Chrisa. Odetchnęłam z ulgą i zawołałam:

— Cześć!

Najpierw pociągnął nosem, a potem jednym tchem wyrzuca z siebie:

— Ty i ja. Niedziela. Wpół do czwartej. U mnie. Czekam.

Przypomina mi to rozmowę z karabinem maszynowym, który, biorąc pod uwagę moją obecną kondycję, stanowi dla mnie przyjemność. Chcę mu powiedzieć, co takiego zrobiłam, ale nie mogę. Jego to nie obchodzi. (Mój problem: podobam się Chrisowi, bo jest narwany, jednak zależy mi, aby wysłuchiwał moich kłopotów. I czy te bliźniacze pragnienia zrodziły się w jednym mózgu?). Przecież to nie jego wina, że matka się mnie wstydzi. O Boże! Czasami człowiek to podejrzewa, ale wiedzieć na-

prawdę... Czuję to w swoich trzewiach. To jej wina. Wchodzę do sypialni i kładę się odrętwiała na łóżko. Leżę tak, aż telefon znowu nie zadzwoni. To tak, jakby czekać, bo trzeba dojechać do pracy, człowiek wie, że jest spóźniony, ale tkwi na peronie.

— Halo? — odzywam się niepewnie.

— Moja niemądra siostrzyczka — słyszę głos Tony'ego mówiącego łagodnym, ale karcącym tonem — nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś. — Z każdym słowem coraz bardziej podnosi głos. Kiedy zaczyna prawie już jodłować, kurczę się ze strachu. Zarzuca mi — pomijając niewybredne przekleństwa — że wszystko pogmatwałam. Ma rację. Życie mojego brata było nieskomplikowane jak bohaterów z książki dla dzieci *Topsy&Tim*. Ja przemieniłam je w *Wojnę i pokój*.

Ponieważ nigdy nie była to kwestia moralności (pamiętam, że wspominałam, że mam zasady, ale, na litość boską, nie jestem pruderyjną bigotką). Nigdy nie uważałam za grzech faktu, że Tony ma nieślubną córkę, kobieta bowiem, z którą miał romans, cieszyła się, że urodzi dziecko (jednak na jej szczęście mój brat pospiesznie wrócił do domu). Na skali braku odpowiedzialności dostałby dwa punkty w porównaniu z innymi. Frannie znała jednego faceta, który zrobił dziecko pięciu kobietom w ciągu jednego roku. Ojcostwo mojego brata nie jest wstydliwym skandalem niezależnie od tego, co powiedzą nasi sąsiedzi w Hendon. Jednak wolał nic o tym nie wspominać, bez sensu byłoby bowiem wciąganie w to wszystko rodziny. Jedną z przyczyn sukcesów mojego brata jest to, że podobnie jak schizofrenik potrafi podzielić swoje życie na odrębne fragmenty. A jednak wszystko toczy się jak trzeba.

— Bardzo mi przykro — szepczę do słuchawki.

— Czy ty, do cholery, wiesz, co to znaczy?! — wrzeszczy mi do ucha.

Kiwam głową. Choć udaje, że nie przeszkadza mu matczyne wścibstwo, to rzadko kiedy wpuszczają do swojego świata. Niekiedy podaje jej ochłapy informacji, jakby były z pierwszych stron gazet (mamo, nie mów nikomu, ale niejaki X nie chciał wylądować na lotnisku w Luton, ponieważ Luton nie jest rockandrollowe... Mamo, szkoda, że tego nie widziałaś, pewna kiepska kapela wynajęła otwarty piętrowy autobus, odnowiła go i grała przed wytwórnią płytową, aż policja ich nie usunęła), natomiast najsmaczniejsze kąski zachowuje dla siebie. Zna się na zbycie. Udaje, że zamierza powiedzieć, co ma na myśli. Matka drapie w twardą skorupę jego prywatnego życia jak kret kopiący w granitową skałę.

— Już widzę — wrzeszczy — mamusię, która jak lodołamacz zaczyna atakować moje prywatne życie! — Nigdy jeszcze nie ujął tego lepiej. Kiwam bez słowa do słuchawki. Teraz ten lodołamacz czeka spokojnie w porcie. Tony nie ma ochoty spotkać się z nim. Kiedy nasz ojciec uciekł ze swoją flamą do Los Angeles, mój brat stał się panem samego siebie. Grał rolę posłusznego syna i opiekuńczego brata, zachowując granice swojej niezależności. Nigdy mnie nie spytał, czy chcę ustanowić

taką granicę dla siebie. Mimo dzisiejszej rozmowy nie puszcza pary z gęby. To jego metoda. Wiem o Kelly i Tarze tylko dlatego, że będąc w stanie wskazującym, wygadał się w czasie świąt.

W tajemnicy zdradzę, że bardzo chciałabym się z nimi spotykać. Chciałabym poznać jego skrywaną rodzinę. Po pierwsze, sądziłam, że skrywane rodziny posiadają swoisty urok (kto urodził się w nudnym Hendon, wszędzie szuka atrakcji), a po drugie, sądzę, że szybko znalazłybyśmy wspólny język. Kelly jest artystką i inteligentną dziewczyną z poczuciem humoru, a Tara jest lekko zwariowana — kiedy trochę podrosła, chciała być „odkurzaczem”. Tony opowiedział mi o tym w zamroczeniu kokainowym, a potem dodał, chichocząc: „Zupełnie jak jej tata”.

Pokazał mi zdjęcie i wówczas zdziwiłam się, dlaczego nie chce spotykać się z takim małym aniołkiem o ciemnej karnacji, blond włosach i jasnoniebieskich oczach — takich jak jej ojciec. Moja bratanica! Myślę sobie o Tarze i wiem, że dopóki mój brat nie poda najdrobniejszego szczegółu o nich obu — jak na przykład: jakie lubią płatki śniadaniowe czy nazwisko panięńskie matki Kelly — matka będzie go zaciekle broniła — jak klientka wydzierająca torebkę na wyprzedazy u Harrodsa. Ale niedługo to się zmieni. Czas mojego brata minął i to jest moja wina.

— Jeśli chce, mogę przywieźć je do Hendon! — wrzeszczy. — Moja dusza stanie się własnością publiczną! — Stwierdzenie to należy traktować jako przenośnię, mój brat bowiem — o ile się nie mylę — nie posiada duszy, to jednak wiem, co ma na myśli.

— Poważnie mówisz? — pytam z drżeniem. — Czy zechcą zamienić piękne australijskie plaże na taką dziurę?

Tony ciągnie, skrzecząc:

— Mama już do mnie jedzie! Jutro rano wyjeżdżam do Nowego Jorku! Teraz dopiero się zacznie! Nie widzę końca kłopotów! To jak serial telewizyjny!

Obawiam się, że nie ma w tym żadnej przesady. Z trudem powstrzymuję się od płaczu i w końcu udaje mi się.

— Coś ci jeszcze powiem — warknął. — Ten twój fagas i jego gówniany zespół są do kitu! Zespoły pojawiają się i znikają, ale ich już nie ma! Powiedz mu to ode mnie, siostrzyczko — gówno zawsze będzie gównem! — Rzuca słuchawką z takim trzaskiem, że prawie pękają mi bębenki. Ciągnę za włosy — wychodzą trzy, patrzę na nie przerażona. Chcę zadzwonić do matki, żeby ją przeprosić, ale nie mogę. Ona właśnie jedzie do Tony'ego swoim niebieskim metro — utrapienie innych kierowców — z prędkością żółwia, siedząc za kierownicą, jakby kij połknęła, z nosem przyklejonym do szyby, ściskając dłonie na kierownicy ułożone za dziesięć drugą. Zanim wyjedzie, zawsze robi sobie makijaż. Nikt nie nakłada tak szminki jak moja matka — najpierw maluje usta pomadką, potem wyciera ją chusteczką i ponownie nakłada. Następnie pakuje sobie palec do buzi i wytwornym ruchem szoruje zęby. „Inaczej zostaną ci czerwone plamy na zębach, a to wygląda nieelegancko” — kiedyś tak mi to wyjaśniła. Oczyma wyobraźni widzę jej upudrowaną buzię naznaczoną cierpieniem i zmarszczkami wywo-

łanymi przez lata kłopotów. Patrząc w ekran telewizora, odczuwam zawstydzienie. Przecież to nie jej wina, zawsze chciała dobrze, a ja postanowiłam ją zranić. To prawda, ale bardziej zraniłam siebie. W chwili szaleństwa doszłam do przekonania, że mogę stracić Tony'ego z piedestału. Nakarmiłam ją opowieścią o nieślubnym dziecku i bezwstydzie! Ale w rzeczywistości nakarmiłam ją kompleksem Edypa. Okazałam się małostkową posiadaczką ptasiego mózdzku. Jestem jak ta zapomniana matka chrestna, która próbuje zniweczyć ślubne zamiary Śpiącej Królowej. Własna matka wstydzi się mnie.

Mimo wyrzutów sumienia muszę stwierdzić, że wszystko obróciło się przeciw mnie. Zresztą sama do tego doprowadziłam i znalazłam się w niełasce, a Tony jest bez skazy. Nie jestem podobna do osoby, która po śmierci Rivera Phoenixa wysłała e-maile do połowy londyńczyków z informacją: „Pieprzony przeciętniak”. Nie jestem też jak osoba, która uniknęła więzienia, ponieważ pies policyjny sprawdzając czarnego beamera na festynie w Reading, przyciągnął zapach bułki z serem na tylnym siedzeniu samochodu. Nie jestem osobą, która pozbywa się kobiety w ciąży, ponieważ jej obecność okazała się „uciążliwa”. A jednak moja matka wstydzi się mnie.

Czekam na telefon od niej. Wreszcie o jedenastej dzwonię sama. Potem jeszcze raz o północy. Nikt nie podnosi słuchawki. Dochodzę do wniosku, że odsłuchuje swoje rozmowy. To pewnie absurd. Moja matka ma nabożny stosunek do telefonu. Jego drażniący dźwięk oznacza, że ktoś — nawet zboczeniec telefoniczny — jej potrzebuje. Dzwonię do niej w sobotę rano o siódmej trzydzieści. Cisza w eterze. Zagryzam wargi. Złość można wyrazić na trzy sposoby: krzykiem, agresją albo milczeniem. Ten ostatni jest wyrafinowaną metodą tortury psychologicznej. Wiem, że Tony podarował jej na urodziny podręcznik do treningu pracowników KGB. Naprawdę nie przypuszczałam, że go przeczyta. A jednak!

Dzwonię do Tony'ego na komórkę. Cisza. Nawet wykręciłam do Mel, ale to samo. Czuję się, jakby mnie ktoś pięćdziesiąt razy walnął w brzuch. Wciągam powietrze. Odczuwam ból. Naciskam brzuch. Oła! To chyba z nerwów. Sprawa jest poważna. Ale chyba utrata pracy i traktowanie kogoś jak trędowatego jest poważną sprawą. Pewnie i z tego samego powodu moje dolne kończyny odmówiły mi posłuszeństwa. Ledwo mogę powłóczyć nogami. Nie zwracam uwagi na ból i przez cały weekend chodzę w kieracie jak chomik. Biegam, aż się kurzy. W ten sposób zapominam o problemach. W niedzielę spotykam Alex, która ćwiczy na sali, natomiast ja wylewam siódme poty na StairMaster. Patrząc na mnie, chwyta się kurczowo za głowę i robi zdumioną minę, ale nie podchodzi do mnie. Jestem zadowolona. Jestem nie w sosie, czuję się jak robot, który tylko udaje mnie. Nie potrafię przybrać naturalnej miny, a rozmowa „o pogodzie” stanowi ryzyko — jestem taka przerażona, że mogę chlapanąć coś dziwnego.

W niedzielę po południu jadę do Chrisa, który chwali się, że jutro o dziesiątej rano ma spotkanie z przedstawicielem wytwórni Black Moon i pyta, czy nie miałabym ochoty urwać się z roboty i mu towarzyszyć. Nie mówi, jak to załatwił, ale chyba to nie jest tak do końca prawda.

— Super! — oznajmiam. Zadowolony stwierdza:

— No, jestem już ustawiony. — Próbuję się uśmiechnąć, ale mi nie wychodzi. — Co ci jest?

— Jestem... jestem trochę zaskoczona, nic więcej — odpowiadam, wzdychając.

Unosi się honorem. Nie mam sił na improwizację, dlatego postanawiam powiedzieć mu prawdę: przypadkowo zraziłam Tony'ego, który poprzysiągł zemstę, a to wiąże się z Sinym Diabłem (mam dość rozumu i pomijam komentarz mojego brata). Chris gapi się na mnie, jakbym przed chwilą wrzasnęła: „Michael Bolton jest najlepszym solistą na świecie!”.

— Nie przejmuj się — proszę łamiącym się głosem. — Przecież Tony nie mówił tego poważnie. On nie potrafi długo chować urazy.

Chris spogląda na mnie dziwnym wzrokiem i wyznaje, że podczas przedstawienia baletowego mój brat wspomniał, że ten przedstawiciel z Black Moon nie znał się na rzeczy i wówczas Chris pomyślał, że Tony chce umówić go na spotkanie. Właśnie to i czarodziejskie słowa: „Byliśmy suportem dla Maniaków”, załatwiły Chrisowi to spotkanie. Ale co teraz? Co będzie, jeśli zamienią parę słów w windzie, a Tony zbluzga zespół?

— Posłuchaj — zagajam, próbując opanować zdenerwowanie. — Tony pojechał do Nowego Jorku. Pewnie zostanie tam przez parę dni, więc z jego strony nic ci nie grozi. Poza tym nie sądzę, żeby ktoś z Black Moona był na koncercie, więc na pewno wszystko będzie dobrze.

Chris zrobił zachmurzoną minę.

— Ale to nie dzięki tobie.

W duchu mówię: „*Au contraire*, właśnie że dzięki mnie”, ale zachowuję to dla siebie i zgadzam się na spotkanie w recepcji wytwórni jutro za piętnaście dziesiąta. Rodzina mnie unika, na dodatek chcą wywalić mnie z roboty — czy jeszcze coś gorszego może mnie spotkać?

— Witaj, księżniczko — mówi Chris, ułożony na srebrnym szeszlunku Philippe'a Starcka, starając się robić wrażenie wyluzowanego. Ma na sobie skórzaną kurtkę, koszulę Che Guevara i granatowe dzinsy.

— Cześć — odpowiadam, kiwając głową urodziwym recepcjonistkom, mierząc zawistnym okiem ich fenomenalne biusty. — Jestem umówiona z tym panem.

Przez trzydzieści pięć minut oglądamy okładki kolorowych magazynów i przerzucamy najnowsze wydanie muzycznego periodyku, aż w końcu pojawia się przed nami blady osobnik z przylizanymi ciemnymi włosami, z metalowym kolcem w uchu i odzywa się ochryplym głosem:

— Jestem Ben Buckroyd.

Wyciąga rękę w stronę Chrisa i ślizga się wzrokiem po mnie. Idąc po schodach, Chris mówi:

— Słuchaj, Ben, nie obraż się, chłopie... ale sądziłem, że byłem umówiony z facetem o imieniu Jon.

Ben przeczesuje włosy palcami.

— Jon jest zawalony robotą — warknął. Chris rzuca mi znaczące spojrzenie. Ben szerokim gestem zaprasza nas do swego gabinetu, w którym unosi się zapach petów. Pokój wielkością przypomina schowek na miotły, co oznacza, że Ben dopiero raczkuje jako poszukiwacz talentów — znajduje się na najniższym szczebelku hierarchii i ma tyle władzy, co kot napłakał.

Zasiada przy maleńkim, zawalonym papierami biurku, wskazuje nam, abyśmy zajęli dwa pomarańczowe plastikowe krzesła, a potem kładzie nogi na blacie tuż przed naszymi nosami. Do podszwy ma przyklejoną gumę do żucia. Trafiam w coś nogą, co okazuje się pudłem z kasetami demo. Moją uwagę zwraca jedenaście pudeł wypchanych po brzegi kasetami i płytami.

— Podobno znasz Tony'ego Millera? — pyta. — Posuwasz jego siostrę, prawda? — Chris blednie i uśmiecha się do mnie kwaśno. Facet również rzuca mi niewyraźne spojrzenie. Coś niejasno zaczyna mu świtać w łepetynie, łapie go kaszel i szybko rzuca: — No to posłuchajmy tego.

Chris podaje mu płytę. Wkładają do ogromnej wieży i wciska guzik. Zewsząd atakuje nas przebój zespołu Siny Diabeł *Lend Me Your Ears*. Chris zaczyna kiwać się na krześle (przywodzi mi to na myśl *Rain Mana*). Solidaryzując się z nim, poruszam szczęką do przodu i tyłu, ale nie mam ochoty wyglądać tak głupio, jak się czuję. Zdaję sobie sprawę, że najważniejsze są pierwsze sekundy utworu, dlatego dokładnie obserwuję wyraz twarzy Bena. Chris natomiast spogląda na niego jak zając na nadjeżdżający samochód, a gospodarz studiuje swoje dłonie. Następnie wyciąga rękę — w tym momencie wydaje mi się, że czas toczy się wolniej — i przełącza na następny utwór. Chris sprawia wrażenie zdenerwowanego, ale odważnie wystukuje stopą rytm do *Bitch out of Hell*.

— Kiepskie brzmienie — mruknął Ben. — Gdzie to nagrywaliście?

Chris zdaje sobie sprawę, że pytanie to zostało zadane ze zwykłej uprzejmości i pod nosem mruczy niewyraźnie odpowiedź. Siedzę tam bez głosu i celu. Ben skacze po czterech utworach. Zaczyna od słów:

— Nie kupuję tego. — A kończy: — To nie śpiew, to kociokwik.

Zwieszam ramiona i spoglądam na fotografie wiszące na ścianie i prezentujące Bena z gwiazdami pośledniejszej wielkości. Wreszcie Ben wyłącza aparaturę. Zaczyna kołysać się na swoim krześle, wkłada ręce pod głowę i odzywa się ochrypłym głosem:

— Przeciętny słuchacz kupuje trzy albumy rocznie: Celine Dion, Simply Red i Travis. Stąd prosty wniosek: jeśli to prawda, tego na pewno nie kupią! Chris próbuje walczyć:

— Jeśli zechcesz spotkać się z nimi, to...

— Przykro mi, stary. Ale teraz nie podpisujemy żadnego kontraktu. Prowadzę dwa znane zespoły, siedzą teraz w studiu.

— Zdejmuje nogi ze stołu i żegna się bez słowa.

— Dzięki, że zechciałeś poświęcić nam swój czas — odzywam się, kiedy w pokłonach wycofujemy się z jego schowka na miotły.

— Poświęcił nam tylko parę sekund! — parska ze złością Chris na ulicy. — Idę do domu! Black Moon Records jest do dupy! — Robi kilka kroków i znowu wybucha: — Cholerny cham! Doceniłby dopiero talent, gdyby ten talent dał mu dupy!

— Po takiej konkluzji rozchodzimy się w swoje strony. Zmierzam w kierunku stacji metra i staram się zrozumieć

Chrisa. Ale to tak samo, jakby zrozumieć Saddama Husajna. Nie mogę pozbyć się dręczącej myśli: „Poszłaś tam w charakterze panienki do towarzystwa”. Czuję, jak wali mi serce. Nie podoba mi się to! Jestem... zbieram się na odwagę... zniesmaczona zachowaniem Chrisa. Głupio się czuję. Po co ja tam poszłam? Nie mam nic wspólnego z Sinym Diabłem, wziął mnie ze sobą jako ozdobę.

— Cóż, facet nie zna się na rzeczy — mrużę pod nosem, przekręcając klucz w zamku.

Po wejściu do mieszkania spoglądam tęsknym wzrokiem na telefon, ale nikt nie zostawił dla mnie żadnej wiadomości. Matka nie odzywa się do mnie od dwóch i pół dnia. Stałam się zakałą rodziny. Taka sytuacja nie miała jeszcze precedensu. Nie wiem, co począć. Zaczynam gryźć wargę (zrezygnowałam z gryzienia włosów — pozbyłam się ich bezpowrotnie) i w tym momencie przychodzi mi pewna myśl do głowy. Szukam numeru telefonu w notesie, wybieram go i zaciskam kciuki. Po pięciu minutach zostawiam wiadomość na sekretarce matki.

— Mamo, to ja. — Próbuję przybrać potulny ton. — Bardzo, bardzo cię przepraszam za to, co zrobiłam. Wstyd mi, naprawdę. Chciałabym spytać, czy nie mogłabyś, proszę — ale może nie masz czasu — wybrać się ze mną do biura pracy w środę rano? Przypomniało mi się, jak kiedyś, gdy grałam owieczkę w świątecznym przedstawieniu, przyszłaś do przedszkola. — Nie mam zamiaru szukać pracy, ale wiem, że mama doceni taki gest. — Nie chodzi o to, że jestem pewna zwolnienia, ale robię to profilaktycznie. Zastanawiałam się także nad twoimi słowami o tym, że nie daję szans fajnym facetom. Dlatego postanowiłam spotkać się z kolegą brata Babs. Ma na imię Robbie. Umówiłam się z nim na jutro.

Spodziewam się, że ten telefon spowoduje szybki odzew i tak rzeczywiście się dzieje. Siedzę w łazience i oglądam swoje dźsiała — sprawdzam, czy rzeczywiście mają żółty kolor, czy tylko mi się wydaje — a wtedy dzwoni telefon. Moja matka kamiennym tonem informuje mnie, że cieszy się z powodu mojej randki z Robbiem. Aha, jeszcze jedno, nie będzie mogła mi towarzyszyć, ale ojciec pójdzie ze mną.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

— Przylatuje dzisiaj po południu. — Informuje mnie obrażonym tonem, w którym pobrzmiewa: Co jak takiego zrobiłam? Już ona dobrze wie. — Zatrzyma się w St Martin's Lane.

I co z tego?

— Przyjeżdża z kilku powodów. Nie wierzę.

— Sądziłam, że się ucieszysz. Sama nie wiem, co o tym myśleć.

Kiedy ojciec opuścił ramiona ponętnej Kimberli Ann i stojącą pod palmami rezydencję w słonecznym Malibu, by złożyć wizytę swojej byłej rodzinie zamieszkałej w dżdżystej Anglii, to sprawa musi być poważna. Zdziwiło mnie, że matka do niego zadzwoniła. Rozmawia z nim z reguły raz w roku i nawet wówczas jest bardzo powściągliwa. Z przyjemnością powiadomi go, że został dziadkiem, a Kimberli Ann — już słyszę radość w matczynym głosie — przyszywaną babcią. Wyobrażam sobie, co to za szok dla dwudziestopięcioletniej kobiety!

Ja natomiast dzwonię do ojca raz w miesiącu. Lubię go. On jest tak bezwstydnie szczęśliwy, bo może nareszcie pofolgować swoim chłopięcym kaprysom, że trudno go nie lubić. Jest tak wzruszająco szczęśliwy, że zrealizował swój amerykański sen o bezpiecznym, bogatym życiu, który — w swojej słonecznej, higienicznej formie — posiada mnóstwo plusów w porównaniu z brytyjskim koszmarem (dwoje, dzieciaków, przysadzista małżonka, szary domek na szarej ulicy i kilkuletni samochód w garażu). A w chwili kiedy poznałam Kimberli Ann, musiałam przyznać — choć nie podoba mi się jej dziwny nawyk szczypania swojego rozmówcy, kiedy ten powie coś śmiesznego — że jest osóbką nie pozbawioną oleju w głowie.

Jednak tym razem ojciec odbywa swoją pokutną pielgrzymkę w samotności. Kimberli nie cierpi rozstawać się z Tweety, swoim mikroskopijnym pieskiem, a poza tym odczuwa strach przed lataniem, w powietrzu mogłyby bowiem eksplodować jej implanty (implanty Kimberli, naturalnie, nie jej suczki; choć gdyby istniała możliwość zaokrąglenia pewnych części ciała puszystych, białych piesków, to z pewnością Tweety zostałyby poddana takiej operacji). Także mój ojciec nie przejawia ochoty, by opowiadać Kimberli o swoim poprzednim życiu — a spotkanie z matką otworzyłoby jej oczy na okrutną prawdę — byłoby równoznaczne z umieszczeniem olbrzymiego billboardu przed kliniką ginekologiczną, gdzie pracuje tata, ze złośliwym hasłem: DR VINCENT „VINNY” MILLER JEST STARYM PRYKIEM!

— A kiedy... chce się ze mną zobaczyć?

— Przylatuje o wpół do piątej, a potem musimy przeprowadzić poważną rozmowę. Jak sobie pewnie zdajesz sprawę, na temat ostatnich wydarzeń — dodaje z namaszczeniem. — Powiedziałam, że będzie mógł się z tobą zobaczyć dopiero w środę, ale możesz iść do hotelu i zjeść z nim śniadanie.

— Dobrze. A czy... a jak zareagował, kiedy mu powiedziałas?

Ponieważ dokładnie nie sprecyzowałam, na co miałby zareagować, to nie wiem, którego z rodzinnych problemów dotyczy jej oświadczenie, a zresztą wcale mi na tym nie zależy.

— Ojciec powiedział — dodaje zdenerwowanym tonem — że trzeba to omówić.

Następnego dnia budzę się z dziwnym, niejasnym przeczuciem. Czekam, kiedy przybierze ono konkretne kształty. Mama. Tata. Dziecko. Tutaj. No, nie. Przewracam się i szukam włosów na poduszce. Znajduję siedem. Oto początek tego długiego dnia. Przynajmniej nie muszę iść do pracy. Ja — niepoprawna pracoholiczka. A teraz moja robota wisi na włosku. Czuję ucisk w żołądku. Jestem ciekawa, co Matt powie Belindzie, naszej asystentce. Dzisiaj wraca z Krety, to pewne — spiekła się na raka. (Ma kasztanowate włosy i bladą cerę. W zeszłym roku pojechała na los i doznała poparzenia słonecznego, spuchła jak balon i wysiadła z samolotu na wózku). Nie mogę sobie poszukać miejsca, kiedy nie mam nic do roboty. Muszę znaleźć sobie jakiś cel. Może kupić sobie buty na wysokich obcasach? Udobruchałabym w ten sposób matkę. („W niskich widać twoje grube kostki!"). Babs też byłaby zadowolona: uważa, że nie potrafię sprawiać sobie przyjemności. Używa tego określenia, kiedy jej debet jest wielkości Mount Everestu, w wyniku nabycia żółtozielonej bluzki z aksamitu i etoli ze sztucznej skóry zebry na wyprzedazy u Dickens&Jones. Dzisiaj mam spotkanie z Robbiem. Choć to nie jest randka, ale moja przyjaciółka wściekłaby się, gdybym nie sprawiła sobie czegoś na tę okoliczność. Nakładam na siebie dwa swetry — ogrzewanie włączone do granic wytrzymałości, a i tak marznę — i zastanawiam się, czyby nie wybrać się na zakupy.

Muszę zadzwonić do Chrisa i powiedzieć mu o Robbiem. Ale właściwie po co? Będziemy tylko siedzieć przy jednym stoliku: Będę ubrana. Przecież to nie zdrada, śmiać się z dowcipów innego facecika. A może jednak? Inna sprawa, gdybym spotkała się z nim, bo mi się podoba. Zastanawiam się, jak tłumaczyłam sobie randki z Chrisem, kiedy spotykałam się jeszcze z Saulem. To było co innego! Postąpiłam okropnie i spotkała mnie kara. Nic sobie nie robiłam z Saula, na długo przedtem zanim poznałam Chrisa i poszłam z nim do łóżka. Robbiego darzę czysto platonicznym uczuciem. Ale mimo to zadzwonię do Chrisa i powiem mu o spotkaniu.

— Podobasz mu się, prawda? — pada pierwsze pytanie z jego strony.

— Coś ty!

— No to dlaczego się z tobą umówił?

— Z powodu mojego ciętego dowcipu i charyzmatycznej osobowości — odpowiadam przygnębiona.

W słuchawce następuje nieznośna cisza.

— Wieczorem mam spotkanie z agentem w Soho House — dodaje niedbałym tonem. — Chciałem, żebyś ze mną poszła. Pewnie będzie popijawa, pogadamy trochę, potem może coś wciągniemy.

Cieszę się, że będę mogła znaleźć się w towarzystwie artystów. Jednocześnie dochodzę do wniosku, że ich pewnie interesuje co innego niż mój cięty dowcip i charyzmatyczna osobowość. Ale to i tak nie nakłoni Bena do wydania pozytywnej opinii, dla niego bowiem Siny Diabeł to kiepska kapela.

Słyszę, jak mówię świętoszkowatym tonem:

— Czy w świecie biznesu nie ma innego sposobu omawiania interesów jak przy wciąganiu koki?

Chris wybucha śmiechem.

— To prawda — odzywa się. — Nie ma, księżniczko. To koło napędowe w tej branży.

— Miałeś rację — oświadczam. — Wolę apteczną chemię.

— Nieważne — słyszę w odpowiedzi.

Chris odkłada słuchawkę i w tym momencie ogarnia mnie taki smutek, jakby cały świat usunął mi się spod stóp.

Idę na siłownię, sprawdzam grafik i postanawiam swoje niepokoje zostawić na bieżni. Potem — pełna energii i spokoju, bo wiem, że zajęcia pilatesowe kończą się za trzy minuty — otwieram drzwi i macham do Alex.

— Przestań mnie nabierać. Dokładnie to sobie obliczyłaś — stwierdza, kiedy pomagam jej zwi-
jać maty.

Nie mogę powstrzymać się od uśmiechu.

— Przyznaję się do winy, wysoki sędzie.

— A co u ciebie? Nie wpadłam do ciebie w niedzielę, bo nie chciałam ci przeszkadzać. Jak się czułaś po piątkowych zajęciach?

— Wszystko, wszystko w po... — Prawdopodobna przyczyna kłującego, „nerwowego” bólu brzucha, gnębiącego mnie przez cały weekend, wyjaśniła się. — No może odczuwam małe kłucie tu i ówdzie.

Alex parska głośnym śmiechem.

— Straszny z ciebie kłamczuch! Widzę to po twoich oczach. W sobotę rano wiałaś się w cierpieniach. Przyznaj się!

— Nie masz powodu do radości! — odpowiadam. Przez całą drogę do domu uśmiecham się jak kretyńka.

Tam czeka na mnie wiadomość od Robbiego. Przypuszcza, że spotykamy się w Ruby in the Dust w Camden o siódmej. Jest jeszcze kilka wiadomości od Belindy, która prosi mnie, abym do niej natychmiast zadzwoniła. Matt nic nie wie. Zdenerwowana wybieram numer.

— Cześć, Belinda! Jak tam było na Krecie?

— Fantastycznie! Świetnie się bawiłam. Wypiłam morze wódki, a moje piegi zlały się w jedną całość! Uśmiecham się.

— Super! A co w firmie?

— Ach, no tak — słyszę w jej głosie nutę niepewności — Matt wspomniał, że dzisiaj pracujesz w domu, więc pewnie będzie lepiej, jeśli to ja zajmę się dograniem wyjazdu do Wenecji...

— Do Werony.

— Do Werony, naturalnie. Sprawdzę twoje papiery. Uważam, że wszystko w porządku, ale Matt powiedział, że to musi być zrobione na tip-top, we Włoszech panuje bowiem straszna biurokracja, dlatego jeszcze raz je przeglądam. Czy jest coś, czym powinnam się szczególnie zająć?

Informuję ją, że trzeba jeszcze raz zadzwonić do hotelu, niech potwierdzą naszą rezerwację; musi jeszcze sprawdzić, czy wszyscy mają bilety i dopilnować szczegółów związanych z lotem.

— Już się tym zajmuję — odpowiada pogodnie. — No to do jutra! — dorzuca i rozłącza się. Rezygnuję z zakupów.

Postanawiam za to zadzwonić do Babs.

— Chyba cię nie obudziłam? Słyszę, jak ziewa.

— Tylko drzemałam. Od szóstej jestem na nogach. Wczoraj mieliśmy straszną noc.

— Naprawdę? — pytam zdziwiona. O ile wiem, to straż pożarna zajmuje się głównie alarmami, które włączają się bez powodu. Do tego dochodzi gaszenie pożarów w kontenerach i wyciąganie starszków z zamkniętej windy. Płonące budynki to taka sama rzadkość jak czterolistna koniczyna. Najważniejszą dla niej sprawą w tej pracy było uzyskanie dostępu do damskiej toalety, służącej do tej pory za składzik na sprzęt, a także znalezienie spodni, które by na nią pasowały. Dopóki Babs nie zrobiła rabanu z tego powodu, musiała paradować w regulaminowym męskim mundurze, aż wreszcie powiedziała w zarządzie: „Kobiety różnią się od mężczyzn pod względem budowy”.

— Co się stało? — pytam.

— Trzy syreny. — Wezwania, przekładam sobie w duchu. — I jedna fałszywka. — Fałszywy alarm. — A o ósmej siedzimy w sali dyżurów, a jakaś babka, dobrze już pod gazem, ze sztuczną opalenizną, spódniczka mini, szpilki, przechadza się tam i z powrotem pod remizą, prezentuje swój biust chłopakom i wrzeszczy na całe gardło. „Chciałabym wypróbować twojego koguta!”. I to w biały dzień! I na dodatek jest ze swoim facetem! Miał taką głupią minę. Chłopakom to się strasznie podobało. Kiedy kazałam jej zmiatać, wydarła się na mnie: „Zamknij się. Jesteś zazdrosna, bo wyglądasz jak facet!”. Naprawdę tak powiedziała! Po czterech latach facetów wywalają, a baby zostają!

— Babs — mówię poważnym tonem — przecież wiesz, jakie są niektóre facetki. Wściekają się, jak dziewczynie dobrze się wiedzie, dopóki nie dostanie porządnego kopa, a wtedy się uspokajają. Masz piękne loki jak na renesansowych obrazach i okazały biust. Naprawdę nie przypominasz faceta.

— Uhm — słyszę tylko w odpowiedzi.

— Coś ci powiem...

— Co takiego?

Opowiadam jej o ostatnich wydarzeniach. Wspominam o spotkaniu z Robbiem — jest podekscytowana — trochę zbyt podekscytowana jak na mój gust. Wspominam o rodzinnych rewelacjach (Babs wie, że Tony ma dziecko — mówię jej o wszystkim).

Słucha mnie w milczeniu.

— Dlaczego to zrobiłaś? Mój Boże!

Waham się przez chwilę. Nie lubię, jak się mnie osądza i czuję niezmierną wdzięczność, że większość znajomych osądza człowieka poza jego plecami. Jednak moja przyjaciółka posiada ogromne przekonanie o nieomyślności swoich sądów i nawyk przekazywania ich prosto w oczy. Bez ogródek mówi to, co myśli. Podziwiam ją za to. Ja traktuję społeczeństwo jak pole minowe i jeśli człowiek nie trzyma się wyznaczonej ścieżki, wówczas morze nieczystości wybuchnie ci prosto w twarz. Wlokę się, jakbym miała związane nogi, Babs natomiast kroczy obok jak generał, bez pardonu rzucając słowne granaty przy najmniejszej prowokacji i przez cały czas pozostaje niezwyńczona. Ja drepczę z tyłu, zbierając, co zostanie.

— Po prostu tak wyszło — oświadczam zdenerwowana.

— Ale jak do tego doszło? — naciska na mnie. Dopytuje się jak pięcioletnie dziecko, które dowiedziało się, że dzieci wychodzą z brzucha. Dochodzę do wniosku, że nie zdoła pojąć prawdy, dlatego opowiadam jej wszystko ogólnikowo, bardzo ogólnikowo, szczególnie rozdział dotyczący zawirowań w mojej karierze zawodowej, i na koniec streszczam jej moją kłótnię z matką o Tony'ego. Boję się, że teraz usłyszę wymówki, ale, ku memu zdziwieniu, Babs wydaje się zadowolona.

— No, no! Ty miałaś kłótnię?! — wykrzykuje. — Moje gratulacje! Powiedziałaś jej, co czujesz, wytłumaczyłaś! No nareszcie! Przecież tego najbardziej brakowało w waszej rodzinie!

Nie wiem, co myśleć. Jak pokazało życie, mojej rodzinie najmniej potrzeba takiej komunikacji. Ja także nie pojmuję, jaką formą komunikacji jest rzucanie obiadem w ścianę, a ona nie rozumie, jak nie cierpię i boję się denerwować matkę. Nie ma nic gorszego, z wyjątkiem tego. Czuję się rozdzielona od mojego byłego — to tak, jakby ktoś próbował krzyczeć we śnie, a czuje, że nie może wydać z siebie głosu. Energia ucieka ze mnie, więc tylko w jak największym skrócie informuję ją o przyjeździe ojca. Babs widzi, że ją lekceważę i znika entuzjazm w jej głosie.

— Sądzę, że wszystko dobrze się skończy — stwierdza lakonicznie, jakby czytała z telepromptera. — Mam nadzieję, że spędzisz miły wieczór w towarzystwie Robbiego.

„Miły” — to słowo używane przez osoby w średnim wieku, a jednocześnie dowód na to, że przeżywamy oziębienie stosunków. Jednak mimo moich złych przeczuć wieczór z Robbiem okazał się rzeczywiście miły. Kiedy weszłam do restauracji, siedział wygodnie na miękkiej kanapie przy niskim stoliku i czytał menu. Ma na sobie opiętą, trykotową bluzkę z krótkim rękawem, co, zważywszy na fakt, że mamy luty, stanowi zadziwiający dowód zaufania do brytyjskiej aury. Przewraca stronę i pre-

zentyje swoje tricepsy napięte jak stalowe kiełbaski. Nigdy nie byłam fanką kulturystyki, dlatego mam wielką ochotę wziąć nogi za pas. W końcu podchodzę do niego.

— Wyglądasz, jakbyś czekała na egzekucję — zauważa.

— To zabawne, ale w tej chwili byłoby to najlepsze rozwiązanie — odpowiadam. Próbuję się tłumaczyć. — To nie z powodu naszej randki. Ja, nooo... chodzi o to, że jutro czeka mnie ciężki dzień.

Robbie próbuje się dowiedzieć czegoś więcej, ale ponieważ mój długi jęzor i tak narobił już za dużo kłopotów (ten taksjarsz pewnie już wszystkim rozpowiedział), dlatego milczę jak grób. Natomiast zaczynam jego zalewać pytaniami. To najbezpieczniejsza metoda na facetów.

— Pewnie dużo pracujesz — zagajam. — Trenujesz coś? (Boję się, żeby nie zabrakło mi pytań).

Robbie krótko odpowiada na moje pytania. Nie, nie trenuje, i tak, pracuje trzy razy w tygodniu.

— Kiedyś bywało więcej — dodaje. — Trzy godziny dziennie i pięć w niedzielę.

— Ale dlaczego tak dziwnie? — pytam zaintrygowana.

— Mogłem, nadal mogę, wybierać godziny pracy — wyjaśnia. — Jestem wolnym strzelcem.

Zajmuję się tworzeniem sieci.

Z trudem powstrzymuję się, żeby nie krzyknąć: „Jak pajak!”, i grzecznie kiwam głową. Mruczę pod nosem: — Zaczyna wiać nuda.

— Przesadziłem — oświadcza i rozciąga usta w grymasie.

— O co chodzi? — pytam. Robbie potrząsa głową.

— Właśnie sobie przypomniałem, jaki byłem kiedyś. Z jednej strony brałem dziewiętnaście dodatków dietetycznych. To była obsesja. Codziennie piłem taką mieszankę tuńczyka w płynie. Rozcieńczałem dwie puszki tuńczyka z pół litrem soku pomarańczowego i wypijałem na siłowni. Mój oddech przypominał zapachem wieloryba.

— Chyba nie było tak źle — odpowiadam, zastanawiając się, dlaczego nie wziął ze sobą szczoteczki do zębów. Nie ma nic gorszego niż bieganie w towarzystwie z facetem, który cuchnie siarką. Nie ma tematu, który nie raniłby jego uczuć. Trzeba ścisnąć nos klamerką ze straszną świadomością, że ktoś może na ciebie chuchnąć.

— Właśnie że było — mówi z uśmiechem. — Nie spotykałem się z kumplami i rzuciłem robotę, żebym mógł chodzić na siłownię. Jak kompletny idiota!

— Ale za to — mówię — czuleś się świetnie. Robbie wzrusza ramionami.

— Prawie przez cały czas chorowałem. Często miałem grypę, byłem strasznie wykończony, a nie mogłem przestać. Kiedy nie ćwiczyłem, czułem swędzenie.

— Swędzenie! — wykrzykuję, próbując zachować spokój. Z ciekawością jest tak jak z uwodzeniem. Trzeba udawać obojętność, inaczej ofiara zrejteruje. Przybrałam więc obojętną minę.

— Naprawdę — oznajmia Robbie. — Jakby mi się ciało zaczynało kurczyć. W końcu poszedłem do lekarza i ten mi powiedział, że muszę sobie dać spokój, inaczej się wykończę. No przynajmniej na jakiś czas. Czułem się, jakbym dostał po pysku.

— Ojej! — mówię z westchnieniem. Zrzucam z siebie owczą skórę i atakuję go jak drapieżnik: — A dlaczego tak się czułeś? Chcę spytać, dlaczego czułeś taki przymus ćwiczeń?

Robbie wydaje się nieskory do zwierzeń (co takiego powiedziałam?), jednak w końcu zdradza, że w szkole wyśmiewali się z jego niskiego wzrostu.

— Kompleks Napoleona — dodaje, wzruszając ramionami.

— Rozumiem — oświadczam, nic nie rozumiejąc.

— Niski wzrost — stwierdza — to dla faceta przekleństwo. Robiłem dosłownie wszystko. Nośłem kowbojskie buty. Kłamię jak szewc. Miałem do wyboru: sportowy samochód albo bicepsy, a ponieważ w banku nie miałem szans na pożyczkę...

— To dranie! — podsumowuję. Robbie uśmiecha się.

— Dlatego wybrałem mięśnie. Wyhodowałem bicepsy jak arbuzy. Wyglądałem na jeszcze niższego. Niższego i szerszego.

Zaczerwieniłam się w duchu.

— Nie wyglądasz na niskiego — próbuję kłamać.

— Mam metr sześćdziesiąt — informuje z uśmiechem. — I zaczynam łysieć.

Chciałam być miła. Przynajmniej nie kręci. W końcu stwierdzam:

— To rzuca się w oczy dopiero wtedy, kiedy próbujesz to ukryć.

— Co? — pyta — Niski wzrost?

Chichoczę.

— Łysienie — oświadczam konspiracyjnie. — Musisz się obciąć. Najlepiej ogol głowę. Będzie wyglądało, jakbyś się tym nie przejmował.

— Nawet jeśli czuję się tragicznie? — pyta śmiertelnie poważnym tonem, przyglądając swoje przerzedzone włosy. Co ja najlepszego zrobiłam! Prosto w oczy powiedziałam, że jest brzydki. Za wszelką cenę usiłuję jakoś zatuszować swoje faux pas.

— Nie przejmuj się tak bardzo — wyrzucam z siebie. — Gdybyś był kobietą, wówczas zależałoby ci na gęstej czuprynie. Jeśli dziewczyna nie chce znaleźć się poza nawiasem społeczeństwa, musi pozbawić się włosów wszędzie, z wyjątkiem głowy. — Robbie marszczy brew. — Wiem, co czujesz, jeśli chodzi o to łysienie — dodaję. (Jeszcze jedna perełka do mojego opasłego tomu pod tytułem: „Jak niechybnie uwieść mężczyznę”).

Na szczęście nie mam ochoty go uwodzić, dlatego zatapiamy się w długiej i wyczerpującej rozmowie na temat środków i sposobów na łysienie. Rozmawiamy o odżywkach do włosów i transplantacji włosów, witaminie B i szczepionkach, antybiotykach i genach sprzyjających łysieniu, o łysie-

niu dziedzicznym i omawiamy przyczyny oraz jak sobie radzić: sześć szklanek wody dziennie i żelazo w tabletkach, i ta tabletki i zaburzenia, i głębokie oddychanie i cynk, i czarne porzeczki, zaburzenia tarczycy i wysoka temperatura.

— Wysoka temperatura? — pytam zdziwiona, nie wiedziałam bowiem o tym wcześniej.

— Naturalnie — stwierdza, wykrzywiając usta. — Wysoka temperatura osłabia włosy. Czytałem o tym w gazecie. Więc kiedy ostatnio złapałem grypę po wyczerpujących ćwiczeniach na siłowni, to dziewięćdziesiąt minut spędziłem w wannie z zimną wodą. O mało nie nabawiłem się zapalenia płuc!

— Poza tym — kończę za niego zdanie — poważna choroba może spowodować wypadanie włosów!

Równocześnie wybuchamy śmiechem i zastanawiam się, czy to nie jest dobry moment, by porozmawiać o Andym. Ponieważ przypomina mi się, że są dobrymi kumplami, więc jeśli mu się podobam, to pewnie o mnie rozmawiali. Chciałabym wiedzieć, czy Andy zaaprobował nasze dzisiejsze spotkanie. Babs jest zdania, że jej brat ma na twarzy wypisane swoje uczucia. Zastanawiam się, o co mu chodziło, kiedy na imprezie przywitalnej prosił mnie o całusa. Wiem, że to był tylko żart z jego strony — i to żart w złym guście — który mnie zdziwił. I tyle.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nigdy nie powiedziałam facetowi „nie”. Nie ma co się dziwić, przynajmniej na razie. Ale kiedy Robbie podrzucił mnie do domu na swojej vespie i upierał się, że odprowadzi mnie aż pod same drzwi i coś zawisło w powietrzu, zostałam zmuszona do zabrania głosu. Coś tam bąknęłam, że miło spędziłam czas w jego towarzystwie i jeśli mu to nie przeszkadza, to pożegnaj się, jestem bowiem niezmiernie zmęczona, choć bardzo go lubię i tak dalej, ale spotykam się z Chrisem i — tu Robbie podnosi do góry ręce, jakby się poddawał.

— Już dobrze, Natalie. Przecież o nic cię nie proszę. — Potem tylko się uśmiecha i z brzęczeniem znika jak osa w mroku nocy. Patrzę za nim zawstydzona. Zawsze sądziłam, że każdy czegoś chce.

Ojciec chce się ze mną spotkać o ósmej rano.

— Jak się masz, kochanie? — odzywa się na mojej sekretarce. — Mama się o ciebie martwi.

Jeszcze raz odsłuchuję taśmę i choć wiem, że jego niepokój nie jest udawany, to brzmi jakoś sztucznie. Nie mówi jak ojciec, ale jak ginekolog, u którego kiedyś byłam. Uczciwie muszę przyznać, że jako lekarz cieszy się świetną opinią, aczkolwiek jako ojciec okropną (przynajmniej w Hendon). Moim zdaniem zrobił, co w jego mocy. Po prostu dostał dwóję z ojcostwa, tak jak inni dostają dwóję z

matematyki. Raz w tygodniu robił zakupy, wracając triumfalnie z Waitrose z bekonem, kremem custard i torbą z płatkami wielkości końskiego boksu.

— Nikt tego u nas nie je — stwierdziła znużonym głosem matka.

— Naprawdę? — spytał zdziwionym głosem. — Na śniadanie też nie?

Matka załamała ręce.

— Kupujemy gotowe dania — mówi, wzdychając. — Ty też to jesz, Vince.

Tata drapie się po głowie z tym swoim chłopcym, sennym uśmiechem, którym pewnie dawno temu ją oczarował.

— A tam — stwierdza — nie ma się czym przejmować.

W tym tkwił problem. Ojciec niczym się nie przejmował, zupełnie inaczej niż matka. Kiedy wywiercił dziurę w ścianie, zaczynała przejmować się, że nie kupi kołka rozporowego. Po jego wyprowadzce mieszkanie wyglądało jak ser szwajcarski (dopiero dwa lata temu Babs przyniosła skrzynkę z narzędziami i poprzykręcała gniazdka, zagipsowała dziury, zawiesiła półki, obrazki i oprawki do żarówek).

Punkt ósma przyjechałam do jego hotelu. Kiepsko spałam, a nie znoszę, kiedy ogólnie czuję się pod psem. To żadna zasługa przyjechać na czas, jeśli od szóstej człowiek gapi się w sufit. Ojciec, jako specjalista w dziedzinie wysypiania się, po dwudziestu minutach wkracza do chłodnego, białego holu, a ugrzecznona recepcjonistka informuje go o moim przybyciu. Czuję, jak przewracają mi się wnętrzności, zastanawiając się, czy na mój widok nie wpadnie w złość, ale, znając go, trudno to sobie wyobrazić. To typowy, zachodni, kapitalistyczny wyznawca filozofii zen, do tego stopnia gorliwy, że dostaje od życia to, czego pragnie. Nie będzie sobie zbyt zaprzętał głowy swoją mało ważną rodziną z Sydney, mieszka ona bowiem za daleko i nie wymaga nakładów finansowych.

— Dobry Boże! — wykrzykuje na mój widok i wyciąga ręce w udawanym zdumieniu, w ten sposób dopraszając się uwagi niewidocznego tłumu. — No, no! Tylko spójrzcie na nią!

Rozglądam się dookoła, ale uświadamiam sobie, że to mnie dotyczą jego słowa. Choć nie ma żywej duszy, kulę się ze wstydu. Zanim ojciec wyprowadził się do Los Angeles, mówił jak normalna osoba, a tam nabrał akcentu, z jakim mówią Stephen Fry albo Dick Van Dyke. Zdławiłam w sobie wstyd z powodu jego hollywoodzkiej wymowy, jednak to powitanie wprawia mnie w zakłopotanie. Choć w jego słowach wyczuwam radość, to jednak ton, w jakim je wymawia, przeraża mnie. Jak nic, popełniłam główny grzech kalifornijski — przybrałam na wadze. W porównaniu do jego Kimberli wyglądam jak słonica.

— Wyglądasz... młodo — mówię do ojca, obejmując go. Tata ma na sobie coś, co Amerykanie nazywają „strój luzacki” firmy Ralph Lauren. Ktoś, kto raz kupił dzinsy w sławnej firmie Pepe, aby świetnie (jak głosi reklama) wyglądać, nie będzie miał nic do zarzucenia stylowi mojego ojca — jasnobrązowe buty, różowa koszula, kremowe spodnie — wygląda, jakby zszedł z okładki magazynu

„Which Yacht”. Ma kędzierzawe, ciemnobrązowe włosy, a jego cera kolorem przypomina mi torebkę z koziej skóry, jaką kiedyś nosiła mama. Zauważam, że jego skóra jest podejrzenie napięta.

Siadamy w restauracji, a wówczas on odzywa się tymi słowami:

— Dziecko, zawsze możesz ich zaskarżyć.

Już mam zamiar spytać, dlaczego powinnam zaskarżyć Kelly i Tarę, kiedy uświadamiam sobie, że tata mówi o moich przełożonych.

— Och! — wykrzykuję tylko, a potem dodaję: — Nie wiem jeszcze, ale — na razie — na szczęście — do tego nie doszło, jeszcze sprawa nie jest zamknięta i... yyy... muszę przyznać, że ostatnio popełniłam kilka błędów. Jeśli już postanowią mnie się pozbyć, to chyba nie będzie ich wina.

Mieszam długo kawę, by pozbyć się związków rakotwórczych i walczę z pokusą zapalenia papierosa. Ojciec pogładził mnie po włosach.

— Bzdury gadasz, córeczko — wykrzykuje. — Nie mam zamiaru tego wysłuchiwać! Nie zwalaj winy na siebie!

Uśmiecham się pobłaźliwie, słysząc to rodzicielskie wyznanie. Przesuwam kanapkę na talerzu i udzielam ojcu skróconego wyjaśnienia, dlaczego moja praca wisi na włosku.

— Przyleciałem, żeby ci pomóc, kochanie — oświadcza poważnym tonem.

— Dzięki, tato — chrypię w odpowiedzi — ale na razie jest w porządku. Mam wszystko pod kontrolą. — Choć trudno go zdenerwować, to staram się, jak mogę, i wyjaśniam mu, skąd się wzięła jego nowa wnuczka. Nie ma sensu udowadniać mojemu kochającemu tacie, jakie ze mnie wredne babsko, mam bowiem pewność, że mama przekaże mu tę straszną opowieść, wycinając co bardziej bulwersujące wątki. Nie pozwoli, by jej były mąż w najmniejszym stopniu wątpił, że relacja matka-córka nie jest w idealnym stanie.

— Słoneczko — zagaja tata, sącąc swój sok ze świeżo wyciśniętych pomarańczy. — Nie będę przed tobą ukrywał, że wiadomość o tej dziewczynie z Australii jest dla mnie kompletnym zaskoczeniem. Ale twoja mama zapewnia, że ona nigdy nie poprosiła o żadne pieniądze. — Nie podoba mi się jego lekceważący ton, ale wiem, że ten komentarz bardziej mówi o uczuciach ojca niż o samej Kelly. Ze zdziwieniem konstatuje, że zaczął akceptować swój nowy status, no przynajmniej w teorii.

— Czy... czy spróbujesz porozmawiać z Tonym? Wzrusza ramionami.

— Mój syn dał mi kiedyś do zrozumienia, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego — odpowiada zdecydowanym tonem. — Nic na to nie poradzę.

Szukam na jego gładkiej, opalanej twarzy oznak rozczarowania, ale są doskonale ukryte.

— Jestem pewna, że zjawi się u ciebie — powtarzam te słowa od czternastu lat.

— Pewnie masz rację — potwierdza jak zwykle. Prostuje ramiona i wykrzykuje: — Tony dał mamie zdjęcia! To ładna dziewczynka.

— To prawda — dodaję zachwycona. — One obie są... bardzo miłe.

Na koniec klaszcze w dłonie i odzywa się:

— Twoja mama bardzo się o ciebie martwi, słoneczko, i ja tak samo. Powiedz, kochanie, czy ty dbasz o swoje zdrowie? Jaką dietę stosujesz? Czy mógłbym ci jakoś pomóc?

Wciskam głowę w ramiona, czując wdzięczność, a jednocześnie zamieram. Traktują mnie jak tuczniaka. Mąci mi się w głowie, być może dlatego, że skaczemy z tematu na temat jak dwie zielone żaby.

— Nic mi nie jest, tato. Naprawdę, wszystko w porządku.

— Jeśli czujesz się wobec mnie skrępowana i nie chcesz mi się zwierzyć — odpowiada poważnym tonem — wiedz, że Kimberli Ann bardzo chętnie porozmawia z tobą na wszystkie tematy. Nasz osobisty trener, dietetyk i zielarz w jednej osobie, to świetny fachowiec i jeśli będziesz miała jakieś pytania czy wątpliwości, Kimberli chętnie mu je przekaże.

— Tato — zaczynam, żalując, że nie ma tu Babs i nie słyszy, jak własny ojciec oskarża mnie o obżarstwo. — To miłe z twojej strony, dziękuję, no i... podziękuj Kimberli Ann, ale chyba już czas, abyśmy poszli do biura pracy, inaczej będziemy musieli stać w kolejce.

— Kochanie — odpowiada ojciec. — Nie przyjechałem, żeby radzić ci, czy masz wybrać roznoszenie gazet czy ulotek reklamowych. Chcę się dowiedzieć, jakie masz problemy. Trudno mi uwierzyć, że chcą zwolnić młodą, utalentowaną osobę o takich kwalifikacjach. W szkole miałaś same piątki. Rozpoczęłaś naukę rok szybciej! Nie szkodzi, że potknęłaś się na uniwersytecie — przecież każdy ma swoje gorsze dni. W ciągu jednego roku zyskałaś opinię świetnego specjalisty od public relations. Branżowa gazeta określa ciebie i twoich podwładnych jako „superspeców od reklamy"! Teatr zatrudnił właśnie ciebie, na litość boską! Ta rozmowa na temat zwolnienia to absurd! Powtarzam, absurd! — o ile przyczyna nie jest natury osobistej. Co, jak podejrzewam, stanowi prawdę. I chciałbym, żebyśmy o tym porozmawiali.

Duchem ulatniam się z hotelu St Martin's. Podejrzewam, że tata realizuje amerykańskie hasło: „Porozmawiajmy o tym", szesnaście lat za późno.

— To nieważne — mruczę w odpowiedzi. Czuję się jak świadek obserwujący czyjeś życie. Tata przygląda mi się szeroko otwartymi oczami. Zastanawiam się, czy to efekt zdziwienia czy operacji, a wówczas on krzyczy:

— Natalie, obudź się! Do czego, na litość boską, zmierzasz?

Myślę. Moim zdaniem jedynie rodzice mają prawo wrzeszczeć na swoje dzieci, jeśli zrobią coś nie tak. Pamiętam, jak ojciec, zanim dał nogę do Malibu, choć nie wywiązywał się ze swoich obowiązków, czułam, że ma moralne prawo, by zwracać mi uwagę.

— Nie przejmuj się. Wszystko będzie w porządku — zapewniam go.

Ojciec potrząsa głową. Włosów ma tyle samo co przedtem, i zastanawiam się, kto pierwszy wyłysieje — ja czy on. Powinam czuć wdzięczność, że rzucił wszystko i jak rycerz popędził mi na

ratunek, ale jednak nie czuję. To wina matki. Ma tendencje wyolbrzymiać problemy do horrendalnych rozmiarów. Ciarki mi chodzą po plecach, kiedy pomyślę sobie, co musiała wymyślić, by go zwabić do Londynu. Wzdycham głęboko. Mam dość wszystkiego i jak w bajce chciałabym zanurzyć się w zielonej mgie nicości — ja, zła wiedźma z West Kensington. Chcę tylko: aby Babs pozostała moją przyjaciółką, Chris był dobry, a Tony nie był zły, żeby Andy się pokajał i w sumie wszystko pozostało jak dawniej. Chcę, żeby czas się cofnął.

Nie będę się przejmować pracą. Nie ma co przejmować się pracą. Nie przejmuję się pracą.

— Nie przejmuję się pracą — szepczę pod nosem, smakując to zdanie na swoim języku jak musztardę.

— Przepraszam, co mówiłaś? — pyta ojciec. Przesuwa się na krzesło i widzę, że dał już sobie ze mną spokój. W końcu mówi niewyraźnie: — Jeśli nie wyjdzie ci z pracą, na co się zapowiada, mogę pociągnąć za parę sznurków.

Obawiam się, by ze względu na mój ciężar te sznurki się nie urwały, kiedy tata będzie próbował namówić kogoś, aby mnie zatrudnił — szczególnie że nie jest żadnym międzynarodowym potentatem, by sprawić, by to się nie powtórzyło — ale uśmiecham się i mówię tylko:

— Dzięki, tato.

— Słoneczko — odpowiada. — Nie żartuję. Nie wiedziałem, że sprawy stoją aż tak źle. Powiem ci, że bardzo się martwię. — Znowu się uśmiecham, patrząc na jego opaloną twarz i gęstą czuprynę; przyjechał z bezpiecznego, przyjemnego świata. Ojciec wzdycha, spogląda najpierw na swój zegarek marki Patek, a potem na mnie. — Szkoda, że nie usłyszałem twojego zdania. Wracam do domu za jakieś... pięć godzin, ale gdybym poznał sprawę dogłębniej, z pewnością odłożyłbym swój powrót. Poprosiłbym sekretarkę, żeby przełożyła mi lot, gdyby...

— Nie ma potrzeby, tato. Naprawdę, nie trzeba — przekonuję. — Ale i tak ci dziękuję. Idź już, jeśli nie chcesz się spóźnić na samolot.

Tata szczypie mnie w policzek.

— A jeśli — oznajmia śpiewnym tonem — jeśli to zwolnienie stanie się ciążym i zgodzisz się, wówczas poproszę swego prawnika, by zajął się sprawą — potrafi prowadzić sprawę z odległości piętnastu tysięcy kilometrów — choć wątpię, czy nawet on... no, nieważne. Zadzwoń do mnie jutro, porozmawiam z Kimberli Ann o tym, o czy rozmawialiśmy wcześniej. Przekaż mamie wszystko. Pewnie skontaktuje się z tą dziewczyną z Australii. — Widzę, że się trochę waha, a potem dodaje jakby nieśmiało: — Jak zobaczysz się z Tonym, przekaż mu pozdrowienia ode mnie. — Łatwo się przejmować czyimiś problemami, jeśli się mieszka po drugiej stronie planety. Obejmuję go na pożegnanie, a potem jadę metrem do teatru. Nie ma jeszcze przerwy na lunch, więc nie spotkam się z Mattem. Inaczej mówiąc, nie spotkam się z jego niechęcią zobaczenia mnie. Z kim mogę się zobaczyć? Chyba z Mel. Nie widziałam się z nią od czasu koncertu Maniaków. Brakuje mi odwagi, by zadzwonić do Ton-

y'ego, ale pewnie Mel się z nim zobaczy. Będzie wiedziała, czy zostanę wypędzona z rodzinnego królestwa. Biegnę truchtem do jej garderoby. Dzisiaj mamy próbę *Romea i Julii* dla prasy. Normalnie siedziałabym za biurkiem, odpowiadając na pytania dalekiego krewnego asystenta zastępcy prezesa z „Budgerigars Today” (czy ma na dzisiaj bilety?).

No i co z tego? Jestem jak topielec, kiedy woda wciąga go łagodnie w objęcia śmierci. Pukam do drzwi.

— Pchoszę! — Słyszę jakiś głos. Rozglądam się niepewnie dookoła. — Och, cześć! — odzywa się Mel. Dzisiaj chyba mniej sepleni niż zwykle. Siedzi na podłodze — maleńka drobna figurka, która poza majtkami nie ma nic na sobie, a długie włosy otulają ją jak całun. Jest przeraźliwie chuda, kości obciągnięte mięśniami i nie wiadomo czemu, czuję ogarniającą mnie irytację. Mam ochotę krzyknąć: „Budzisz we mnie odrazę!”. Jednak milczę.

— Co słyszać? — pytam tylko.

— Wszystko w porządku — odpowiada, poprawiając włosy. — Możesz mi podać taśmę klejącą? — Podaję jej taśmę i obserwuję, co robi. Rozdziela okrągły wacik na dwie części i przyciska do każdej stopy — od kostki aż po palce. Kiedy po raz pierwszy widziałam ten rytuał, sądziłam, że chce chronić swoje stopy.

Wybuchnęła wówczas śmiechem. „Nie mam dobrego podbicia” — wyjaśniła mi. „Moje stopy nie są dość zaokrąglone. Nie mają właściwego kształtu, kiedy jestem *en pointe*, więc nauczycielka poradziła mi, żebym spróbowała z wacikami. Bardzo to się spodobało dyrektorowi artystycznemu, że nie mogę tańczyć bez tego. W ten sposób podkreślam łuk stopy, to ładniej wygląda. Wielu tancerzy tak robi”. Posmarowała stopę brązowym podkładem, a potem przykleiła sztuczny wzgórek chirurgiczną taśmą. Teraz też tak robi, a potem wstaje jak mały duch, kuśtyka do lustra i podnosi lewą nogę tak wysoko, że jej nogi wskazują za dziesięć szósta. Zadowolona ze swojego dzieła, wciąga rajstopy i zdejmuje buty z grzejnika.

— No to zaprezentuj swoje zgrabne wzgórki — drocę się z nią, kiedy już zawiązała różowe wstążki z satyny. Staje na palcach w puentach z uśmiechem na twarzy.

— Chcę zadzwonić do Tony'ego — oświadcza nieoczekiwanie. — Ale zapomniałam wysłać mu walentynki. Jestem zbyt zestresowana, ciężko pracuję, nie tak jak inne tancerki, mogłabym wymienić te, które lecą do Werony!

Zapomniałam już o tym wyjeździe. Poza tym zapomniałam, że za dwa dni jest czternasty lutego. A prawdę powiedziawszy, zepchnęłam to do podświadomości. Dziś po południu Matt i Julietta lecą do Włoch. Ale uszy puchną mi z innych powodów.

— A czy dzwo... czy nie zadzwoniłaś do Tony'ego? — pytam z udawanym opanowaniem.

— To cudowny facet — burknęła. — Bardzo go lubię, ale życie tancerki to jak życie mniszki!

Dalsze przesłuchanie ujawnia, że Tony od piątku dzwonił do niej bezprecedensowe cztery razy i jeszcze będzie dzwonić. A ponieważ poprzednie miłosne płomienie mojego brata wypalały się po dwudziestu czterech godzinach, czuję sympatię wobec niego. Cztery telefony w ciągu pięciu dni! Do mnie tyle dzwoni w ciągu całego roku.

Biegnę do teatru, a tam, ku swej uldze, dowiaduję się od Belindy, że Matt ma jakieś spotkania, a potem o piątej razem z Juliettą jedzie na lotnisko. Reszta dnia upływa mi spokojnie. Odprawiam z kwitkiem nachalnie domagających się wejściówek („Przefaksuj do mnie artykuł z »Builders Weekly's«, a zobaczymy, co da się zrobić”). Mówię mamie to, co chce usłyszeć („Pogłoski, że widziano jego otwartego merca, wydają się przesadzone, zobaczysz, że nie trafił do Hendon”). Nie przejmuję się Chrisem („Nie będę przejmować się Chrisem, nie będę przejmować się Chrisem, nie będę itd.”) i nie dzwonię do Tony'ego (choć uświadamiam sobie z pewną samolubną dozą nadziei, że jeśli Mel będzie udawać nieprzystępną, wówczas mój braciszek będzie potrzebował właśnie mnie, by skierować ścieżkę prawdziwej miłości ku swoim drzwiom).

O szóstej wyłączam komórkę i wychodzę do Coliseum. Belinda trąkocze przez cały czas — jak mówi Matt, byłaby z niej fajna dziewczyna, gdyby tylko przerwała na chwilę, by zaczerpnąć powietrza — ale i tak jej nie słucham. Jestem wodoszczelna, powietrzoszczelna, chłodna i nieprzepuszczalna jak statek kosmiczny, mam zamknięte luki przeciw atakowi kosmitów, zapalone czerwone światła i włączony alarm. Stoimy z Belindą w foyer i rozdajemy prasie bilety i programy jak chleb stada gęsi. Płaszczę się, flirtuję i rozdaję drinki w przerwie. Po zakończeniu wsiadam do metra, jadę do domu i rzucając się jak kłoda na łóżko. Do czwartej nie mogę zasnąć, a potem rano idę jak we śnie do pracy. Z trudem pochylałam się, kiedy dzwoni telefon.

Sześć minut później oparta o ścianę w toalecie zastanawiam się, w jaki sposób udało mi się zarezerwować miejsca dla Matta i Julietty na samolot, który ląduje w Weronie o dwudziestej dwadzieścia pięć, kiedy — jak napisałam w wydrukowanym rozkładzie — w tym czasie powinien wylecieć z Gatwick. Jaki to pech, że następny samolot do Werony odlatuje dopiero o ósmej rano i że Matt musiał kupić bilety dla siebie i zupełnie załamanej Julietty na zapchlony Travelodge, kiedy ich miękkie hotelowe łóżka w hotelu w Weronie pozostały nietknięte.

Jaki to pech, że Matt musiał zrobić dopłatę, by przesunąć lot i spędził czterdzieści minut, uspokajając rozszoszczonego fotografa (który chciał sfotografować Juliettę stojącą na balkonie, skapaną w blasku wschodzącego słońca, a w takiej sytuacji pozostanie mu tylko poprzestać na dziennym oświetleniu).

A jeszcze większy pech, że mimo wielu faksów, które wysłałam, władze włoskie stwierdziły zdecydowanie, że wiedzą „niente” o brytyjskim fotografie mającym u nich sesję, a udzieliły przyzwolenia, kiedy Matt wykorzystał swoje koneksje teatralne i powiedział ze smutkiem: „Czy mam o tym powiadomić włoskiego ambasadora, który wpadł na ten pomysł?”.

I to już nie pech, ale konsekwencja działań idiotki, której komórki mózgowy doprowadziły do całego łańcucha błędów, że jej dalsze zatrudnienie stało się teraz niemożliwe. Nie mam wątpliwości, że mówienie o sobie w trzeciej osobie jest oznaką choroby. Podsumowując: dzisiaj zaczynam sprzątać biurko. Będę miała dużo czasu, aby oglądać *Koło fortuny* przez resztę swego zawodowego życia.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Matt poprosił personalnego, żeby nie wyprowadzali mnie siłą z budynku — wyjdę, kiedy będę miała ochotę. Nie mam zamiaru płakać. A zresztą dlaczego? Spoglądam na Belindę, która czyta „Daily Express”, wcinającą ze smakiem lunch i zastanawiam się, co na koniec powiedzieć. Belinda nie okazuje emocji w biurze. Założę się, że razem z odrą i różyczką zaszczepiła się przeciw emocjonalnemu podejściu do pracy. Już mam wygłosić swoje oświadczenie, kiedy dzwoni Chris i odzywa się chłodnym tonem. Mimo to trzymam fason.

— Widziałaś się z tym Robbiem? — pyta szorstko.

— Wypiliśmy szybkiego drinka — odpowiadam zdumiona, że stać mnie jeszcze na normalną rozmowę. — To tylko znajomy.

— Tak się mówi, dopóki nie spróbuje wsadzić ci ręki pod spódnicę — odburknął Chris.

Zależnie od tego, czy pod tym nieprawdopodobnym wyznaniem kryje się zazdrość, czy urażone ego, powinnam odczuwać złość albo radość. Nie potrafię rozstrzygnąć tego dylematu, dlatego informuję go o moim zwolnieniu. Okazałam się zbyt uczciwa. Jestem jak zielona natka na czubku marchewki. Co mi tam! Na znak swego lekceważenia zapalam papierosa. Rozedma płuc i brak pracy, życie o chlebie z margaryną.

— Chciałam ci wcześniej powiedzieć — szepczę, wydmuchując dym nosem jak mały smok — ale sądziłam, że ze sobą nie rozmawiamy.

Chris milczy. Po chwili stwierdza:

— Powinienem wcześniej zadzwonić. Znowu się na mnie zawiodłaś, prawda? Dureń ze mnie!
— Uderza mnie szczerłość tego wyznania, jednak czuję się w obowiązku zaprotestować.

— Niezupełnie — odpowiadam.

— Właśnie że tak.

— Nieprawda.

— I tak ze mnie cymbał — obstaje przy swoim. — Zawiodłaś się na mnie.

Uprzejma wymiana zdań, uświadamiam sobie po chwili. Skoro już tak bardzo chce być durniem, to przyznaję mu rację. Kiedy odkładam słuchawkę, widzę, jak Belinda gapi się na mnie.

— Coś ty! Palisz! I to w pracy! Co się stało?

Waham się przez chwilę. Jej lunch okropnie cuchnie. Tego na pewno nie będzie mi brakować. Belinda preferuje dietę grubasów — pełnotłuste mleko, masło orzechowe, batoniki czekoladowe, chipsy, gofry, pieczone mięso na obiad, placek z owocami, sernik — a jednak pozostaje nieprzyzwyczajona szczupła. Znienawidziliby ją w przymierzalniach sklepów dla grubasów.

— Mam takie geny — powiedziała do Mel, która kiedyś towarzyszyła jej w czasie lunchów, skubiąc od czasu do czasu coś z jej talerza, choć ostentacyjnie zajadała się wędznącą sałatą. (Ten etap zakończył się, kiedy Belinda zrezygnowała z chipsów i przestawiła się na makaron z serem. Codziennie przez cały tydzień Mel pytała pogodnie: „Nie masz dzisiaj ochoty na chipsy?”).

Spoglądam na podłogę i nagle mówię:

— No to na mnie już czas.

Nie słyszę słownej reakcji z jej strony, poza dziwnym bulgotaniem. Podnoszę głowę i widzę, że ma czerwoną twarz i szeroko otwarte usta, z których wypada parujący jeszcze ziemniak.

— Hu hu hu! — Dmucha, wachlując się energicznie.

— Gorący? — dopytuję się głupio.

Kiwnęła tylko głową z oczyma pełnymi łez. Podaję jej szklanekę z wodą, a ona skinęła w podziękowanie.

— Odchodzę z pracy. Dzisiaj. Dobrze mi się z tobą pracowało. Może kiedyś się zobaczymy.

Otwiera szeroko oczy ze zdumienia.

— Już teraz? A co zamierzasz robić?

— Jeszcze tak dokładnie nie wiem. Grzebie w swoim talerzu i mówi:

— Powinnaś zgłosić się po zasiłek.

Zaciskam zęby, żeby jej czegoś nie powiedzieć — to pocieszające, kiedy człowiek odkrywa, jak jego koledzy bardzo w niego wierzą — a po chwili oświadczam:

— Moja mama bardzo by się ucieszyła.

— Pewnie, przecież musisz z czegoś żyć — odpowiada, udowadniając przy tym swój upór — zaleta, z której robi niewielki użytek w miejscu pracy.

— Zasiłek albo śmierć głodowa — oznajmiam sobie w zamyśleniu. — Nie wiem, z czego bardziej by się ucieszyła.

Układam porządnie wszystkie rzeczy w kartonie, a Belinda odprowadza mnie do drzwi. Mijamy garderobianą, która gapi się na nas. Moja towarzyszką spogląda na nią i rzuca:

— Jest się na co gapić?

— Dzięki, Bel — mówię. Mruga do mnie.

— Trzymaj się! Może gdzie indziej bardziej ci się poszczęści. Odezwij się, dobra? Kiedyś wybierzemy się na drinka.

Obejmuję ją na pożegnanie i chwiejnym krokiem z pudłem pod pachą idę do klubu. Recepcjonistka ma na nie oko, kiedy ja ćwiczę. Mniej rozmyślam o utracie pracy niż o telefonie od Chrisa. Pewnie tak szybko się do mnie nie odezwie. Byłam przygotowana na męczeństwo. Ale lubię taką niepewność. Chris i ja dobrze bawimy się w swoim towarzystwie i to mi wystarcza. Traktuje mnie jak dziewczynę z wyżyn społecznych z dobrymi koneksjami. On natomiast jest dla mnie ucieczką z Alcatraz mojego żywota grzecznej panienki. Stanowi uosobienie wszystkiego, czego nienawidzi moja matka. Jest zupełnym, nieokrzesanym przeciwieństwem Saula, małżeństwa, odpowiedzialnego, szanowanego małżonka z przyczesanymi włosami, wymuskanymi garniturami na solidnym stanowisku w City. Wiem także, że Babs go nie lubi, ale nie przeszkadza mi to. Chris wolałby się zabić, niż ustatkować. Złości ją jego hedonizm. Drażni to jej poczucie solidności.

Zakładam adidas i myślę sobie, że kiedyś by mnie to zmartwiło. Ale ja jestem! Ten facet nie kocha mnie za cudowną osobowość, nie kocha mnie na tyle, by wydać pieniądze przeznaczone na kokę na pierścionek z brylantem, który mogłabym obracać na palcu i oślepiac wszystkich blaskiem klejnotu — patrzcie, trzy tysiące szeleszczących funtów, oto dowód, jak bardzo mnie kocha! — zupełnie nie docenia tej niezwykłej istoty, jaką jestem, nie ma ochoty pochwyć mnie jak bezcenną pamiątkę po Elvisie, jestem tylko podróbką Spice Girls. O kurczę, chyba coś ze mną nie tak, skoro nie chce zatrzymać mnie na zawsze. Jak on śmie tak postępować! (Nie chodzi o to, że mam ochotę wyjść za niego, jest nieodpowiedzialny i niesolidny).

Nie, nic z tych rzeczy. Jestem obiektywna. Nie kocham go. Potrafię znieść okrutną prawdę, że ten związek polega na wykorzystywaniu. Choć prawdę powiedziawszy, taki układ mi odpowiada. Chrisowi nie można się oprzeć, nie zależy mu bowiem na nikim. Nie cierpiałam obowiązkowości Saula. Drażniła mnie. Musiał ze mną zerwać, by udowodnić sobie, że jest facetem. Jeśli chodzi o Babs, to żal mi jej. Moim zdaniem jest słaba. To pewne, że jej praca wymaga odwagi. Ale poza tym uzależniona jest od Simona. Ja natomiast jestem samowystarczalna. Jak każda nowoczesna kobieta. Frannie byłaby ze mnie dumna.

Simon i Frannie to moi dwaj główni przeciwnicy.

Uśmiecham się na wspomnienie, kiedy to Frannie po raz pierwszy poznała Simona. Zauważyła jego samozadowolenie i doszła do wniosku, że nie dość cierpiał w życiu i należy do tego gatunku samca o wąskich horyzontach, którego trzeba sprowadzić do bolesnej rzeczywistości. Stąd jej rozwlekła i dokładna odpowiedź na jego typowe pytanie: „Czym się zajmujesz?”.

— Wiesz, Simon, najgorsze w tym wszystkim, że kiedy trzeba zrobić nacięcie krocza, to nożyczki są zawsze tępe. Robi się im miejscowe znieczulenie, wbija się igłę w skórę, a potem trzeba tylko odciąć nitkę — pacjentki odczuwają tak silny ból, że nie zdają sobie sprawy, co się dzieje. To tak, jakby naciąć skórę od bekonu. Jest dość gruba. Najważniejsze, aby zrobić porządne nacięcie, ale to

zależy od tego, jakie ostre są nożyczki. Trzeba się zastanowić. Przecież nie chcesz, aby doszło do rozdarcia, jeśli dojdzie bowiem do rozdarcia trzeciego stopnia, wówczas następuje odbytnicze...

Z przyjemnością przypominam sobie, jak Simon zgrabnie pada na podłogę, a butelka z markowym piwem szybuje w powietrzu i wylewają się z niej kropelki płynu. (Tego samego próbowała z Tonym, ale okazało się niewypałem, przerwał jej bowiem monolog słowami: „Dziewczyny! Nie ze mną te numery! Znam taki kawałek, że zemdlejecie!"). Krzywię się na wspomnienie twarzy Frannie, która zrobiła się czerwona jak piwonia, ale w tym momencie pojawia się przede mną postać ze śniadym brzuchem i zgrabnym pępkiem. Nagle powracam do rzeczywistości.

— Biegiesz, jakby cię kto gonił — zagaja Alex.

Choć nie lubię zwalniać kroku — moim stawom dobrze robi twardy grunt — jednak to niegrzeczne iść w takim tempie. Dlatego zatrzymuję się.

— No to mnie złapałaś — stwierdzam z uśmiechem.

Śmieje się z moich słów. Choć łatwo jest ją rozbawić, cieszę się, że zachęciłam ją do tego. Babs jest taka sama, sprawia, że to w jej towarzystwie człowiek czuje się swobodnie, nie tak jak Chris czy Tony, którzy uzależniają cię od swojej aprobaty jak para faraonów. Kiedyś spytałam brata, dlaczego nie uśmiecha się, widząc kogoś, a on odpowiedział: „Jeszcze nie zrobił nic takiego, co by mi się spodobało”. Zupełnie inaczej niż jego siostra, która zachowuje się jak mały szczeniaczek, rozdając szczerze uśmiechy na przywitanie.

— Co słyhać?

— Właśnie... mnie zwolnili. — Uśmiecham się głupio (robię wrażenie borsuka wypuszczonego na wolność).

Alex zakrywa ręką usta. Prezentując długie, różowe paznokcie, pyta:

— Mówisz o pracy? Kiwam głową.

— Dzisiaj mi powiedzieli. Musiałam opróżnić swoje biurko — wyrzucam z siebie. Wiem, że takie osobiste wynurzenia niszczą miłą atmosferę sali gimnastycznej, ale nie potrafię się powstrzymać. Czuję, że podzielenie się sekretem z jedną czy dwiema osobami jest jak szczepionka — nie stanowi zagrożenia dla zdrowia i zapobiega wpadnięciu w chorobę z powodu duszenia w sobie informacji.

— Żartujesz! — wykrzykuje Alex. — A co takiego zrobiłaś? Jeśli wolno spytać — dodaje prędko. Odpowiadam na jej pytanie. Pyta dalej: — Jak się czujesz? Wszystko w porządku?

Dokonuję szybkiego przeglądu swego stanu psychicznego i wydaję pozytywną opinię.

— W porządku — odpowiadam, widząc jej niedowierzającą minę. — Naprawdę.

Alex potrząsa głową.

— Nie chcę się wtrącać, ale nie wyglądasz za dobrze. Sprawiasz wrażenie, jakbyś przeszła jakieś załamanie. — Mój błady uśmiech powoduje, że dodaje jeszcze: — Niepotrzebnie się wtrącałam. Przepraszam.

Jadę do domu taksówką, analizując w głowie tę rozmowę i przejmuję się, że nie potrafiłam rozproszyc jej wątpliwości. Należy do osób, z którymi znajduję porozumienie. Ma jąja ze stali — jak zwykł mówić mój brat — jego najwyższe słowa uznania dla dziewczyny. Alex przypomina mi Babs, twarda na zewnątrz, miękka w środku. Łagodna, ale nie — jak inne kobiety, które mogłabym tu wymienić — zagubiony baranek, żałośnie zawodzący w nadziei, że ktoś wreszcie odwróci się i spyta: „A kto się o ciebie troszczy?”.

Robię nachmurzoną minę. Babs nie zadzwoniła, żeby dowiedzieć się, jak zakończyła się sprawa z Robbiem; mój ojciec również. Muszę z nią porozmawiać. Nikt inny mnie nie zrozumie. Nikt nie zastąpi prawdziwego przyjaciela.

Wracam do domu i wykręcam numer do Tony'ego.

— Ma służbowe spotkanie — oświadcza jego asystentka.

Dzwonię zatem do matki i informuję ją, że właśnie zostałam bez pracy.

— Mój Boże! Dziecko, co ty teraz masz zamiar robić? — pyta drżącym głosem.

Co mam zamiar robić? Co zrobię? A co mogę zrobić? Przerazenie w głosie matki przewierca mi czaszkę. Próbowalam odsunąć od siebie tę prawdę, ale teraz nie daje mi spokoju jak rój pszczoł, które wbijają się moje ciało, atakują mnie zewsząd, skubiąc i kłując, wkradają mi się pod skórę, aż wreszcie jestem otoczona przez straszną rzeczywistość i z trudem udaje mi się złapać oddech. Z głębokim westchnieniem osuwam się ciężko w korytarzu, trzymając się bladoniebieskiej ściany, która dziwnie, niebezpiecznie zaczyna się poruszać. Straciłam opanowanie, pomyślałam, a na jego miejscu pojawił się zamęt, który zaczyna mnie otaczać, strach zaczyna mnie pożerać. „Babs, proszę, pomóż mi, pomóż mi, Babs, potrzebuję ciebie”.

Moja przyjaciółka prawie sforsowała drzwi do mojego mieszkania i z przejętą miną pyta:

— Przestraszyłaś mnie, Natalie. Nic ci nie jest? Jak ty wyglądasz!

Przytula mnie delikatnie i odpływam w odległy spokój, czując się tak bezpiecznie w jej objęciach jak karteczka z życzeniem w chińskim ciasteczku. Zamykam oczy, a pokój zaczyna się poruszać. Babs naciera mi plecy, a ja leżę bezwładnie z wiszącymi rękami, najpierw poddaję się temu niechętnie, a potem wtulam w jej silne ramiona.

Jestem na samym dnie, niżej już nie można. Czuję się okropnie, wstrząsa mną dreszcz i słyszę szum (jakby woda wciągana w wir), który wciska mi się w uszy, aż wreszcie uświadamiam sobie, że to mój krzyk.

Babs zanosz mi na sofę i delikatnie odgarnia mi włosy z twarzy. Potem znika i pojawia się po chwili z kubkiem i kawałkiem ręcznika papierowego długości listy wyborczej.

— Proszę. — Podaje mi, kucając przy mnie.

— Ja nie płaczę — mówię, pochlipując, zużywając metry papieru i jeszcze bardziej płacząc. Patrzę w jej ciemne oczy i dostrzegam w nich dobroć, co powoduje nowy, gwałtowny wybuch płaczu. Gdyby nie była taka dobra, to umiałabym się powstrzymać.

— Natalie — rozpoczyna, biorąc mnie za rękę, jakby ten gest miał złagodzić jej słowa. — Musimy ze sobą porozmawiać. — Kiwam potakująco głową i pokój zaczyna falować. — Zaraz, chwileczkę! Tylko otworzę okno — dodaje, odwiązując swój czerwony szalik. — Duszę się tu.

Otwiera okno na oścież, a potem ciężko siada obok na kanapie (która wydaje z siebie zdziwione „puf!”) i oświadcza:

— Nat, od jakiegoś czasu coś się zmieniło. I ty o tym dobrze wiesz. — Patrzę na swoje buty i nie mam odwagi się odezwać. Babs milczy przez chwilę, a potem dodaje: — Powiem ci, co ja o tym wszystkim sądzę. Moim zdaniem, nie płaczesz dlatego, że straciłaś pracę. Nie płaczesz z powodu tej sprawy z Tonym. A także — tu jej głos staje się cichszy — nie sądzę, żebyś płakała z powodu, że, jak uważasz, opuściłam cię.

Kiedy przerwała, drgnęłam. Ufff, jak ona to robi? Zachowuję się, jakbym była bohaterką baśni *Nowe szaty cesarza* („Jaśnie Panie, jaki masz wspaniały kaftan! To od Armaniego? A może Delacroix?”), Babs natomiast potrafi wypowiedzieć to, co jest niemożliwe do wypowiedzenia! Wpatruję się tępym wzrokiem w podłogę.

— Nat — szepcze. — Te wszystkie kryzysy są konsekwencją. Nie są zarysem czegoś, są tego owocem. Twoja mama nie ściągnęła twego ojca z Ameryki, żeby zaczął rozczulać się nad twoim zwolnieniem. Przecież ona sama może to zrobić! Tu nie chodzi o twoją pracę. Zgadzam się, utrata pracy to poważna sprawa, ale życie to nie tylko praca. Twoi rodzice dobrze o tym wiedzą. Twoja praca nie determinuje ciebie. I o to chodzi, ona... oni się martwią. To nie utrata pracy jest głównym problemem, to tylko produkt uboczny twojego problemu.

Przygląda mi się badawczo. Zaciskam szczęki. Na mojej twarzy maluje się pustka. (No cóż, blondynkom jest łatwiej).

— Wiem — ciągnie — że nie masz ochoty mnie słuchać. Wiem, że twoja mama próbowała z tobą rozmawiać... i twój tata także. Wiem — trudno ci zaakceptować fakt, że próbuję zniszczyć status quo, ale nie mam zamiaru cię przeproszać i nie zrobię tego. Nie ponoszę odpowiedzialności za to, jak się teraz czujesz. — Waha się przez chwilę, a ja wydaję z siebie pisk, ale kiedy nic sensownego z tego nie wychodzi, ciągnie dalej: — Wiem, że próbujesz coś nam powiedzieć, na wiele sposobów, swoim wyglądem na przykład; jednak czasami, prawie zawsze, lepiej powiedzieć prawdę, nawet jeśli to miałyby kogoś zranić, i wiem, że to, co chcesz nam powiedzieć — mnie czy komuś innemu — jest czymś strasznym, bo duszenie tego w sobie zabija cię.

Trzyma mnie za rękę tak mocno jak rolnik dławiący kurczaka. Ze złością mruga oczami, by powstrzymać łzy. Powoli wstaje.

— Chodź — mówi i prowadzi mnie do — jak bajkowy Grajek z Hamelin prowadzący szczura — mojej chłodnej, białej łazienki. Ustawia mnie przed lustrem i rozkazuje: — Zdejmij sweter. — Patrę na nią błagalnym wzrokiem, ale ona powtarza: — Zdejmij.

Czuję, jak drzę, a nogi mam jak z papieru.

— No, Natalie — pogania mnie takim stanowczym tonem, że posłusznie wykonuję, co każe. Tym samym, nie znoszącym sprzeciwu tonem każe mi zdjąć spódnicę, następnie rajstopy i bawełnianą bluzkę z długim rękawem, aż wreszcie staję przed swoją przyjaciółką w samej bieliźnie.

— Jezus, Maria, Nat! — wykrzykuje. Jej odwaga gdzieś wyparowała i głos zaczyna drżeć. Przyglądamy się badawczo brudnemu lustru — małej wysepce brudu w mojej nieskalanej łazience — jakbyśmy mogły w nim znaleźć wszystkie odpowiedzi, jakbyśmy mogły przejść na jego drugą stronę, jak Alicja do innego świata. Prawdę powiedziawszy, to ja tak patrę.

— Jest takie powiedzenie — oświadczą Babs, a podbródek jej drży. — Chyba to powiedziała pani Simpson. „Człowiek nigdy nie jest za bogaty ani za chudy”. Biorąc pod uwagę moje śmieszne zarobki, zgadzam się z nią w kwestii bogactwa. Ale jeśli chodzi o to drugie, kobieto, spójrz na siebie! Zostały z ciebie tylko skóra i kości! — Waha się przez chwilę, jakby chciała przez to zwrócić moją uwagę, a potem dodaje: — Ty właśnie jesteś zaprzeczeniem drugiej części wypowiedzi.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Szczupła figura to coś, co się dla mnie liczy. Bycie szczupłą to jedyna rzecz, na której mi zależy. Ale nie jestem. A bardzo bym chciała. Spoglądam badawczym wzrokiem w brudne lustro i widzę w nim grubą jak balon tłąstą dziewczynę, która gapi się na mnie.

— Nie jestem chuda — stwierdzam.

Przyjaciółka spogląda na mnie tak, jakbym przed chwilą przyznała się do namiętnego romansu z Frannie.

— Naturalnie — stwierdza głosem, w którym słyszę sarkazm — nie jesteś chuda. — Rzucam jej podejrzliwe spojrzenie. — Wyglądasz, jak szkielet. Nie mogę na ciebie patrzeć. Na twoje wystające biodra. Twój obojczyk. Żebra. Tak bardzo sterczą ci pod skórą, że się boję, by jej nie przebiły. Nie żartuję. Dziewczyno, ty musisz zacząć jeść!

Ja nic nie muszę.

— Przecież jem — dodaję głośno.

— A co takiego?

— Różne rzeczy. Na śniadanie kawę i chleb chrupki z masłem; na lunch jabłko, orzechy i ro-dzynki, a na kolację serek wiejski, sałatkę i warzywa, i coś tam jeszcze, ale teraz nie potrafię sobie przypomnieć. Dużo jem. Czuję się najedzona.

Czuję się opasła, olbrzymia. Obrzydliwa, brzydka, monstrualnych rozmiarów, ocieżyła baba. Żarłoczne, odrażające stworzenie o czerwonej twarzy, a z każdym kolejnym kęsem czuję, jak zaczynam puchnąć. Zostałam ukarana za złamanie pierwszego przykazania — nie jedz więcej niż mały ptaszek, to bowiem niegodne damy, a poza tym staniesz się gruba i nikomu się nie spodobaś — ale już jest za późno. Czuję, jak kości policzkowe znikają, giną pod miękkimi fałdami skóry, uda zaczynają obrastać ciepłym tłuszczem i stykają się, dlatego bezpieczniej jest nie jeść.

— Powiem ci, co jajem każdego dnia — mówi Babs, przysiadając na skraju wanny. — Na śniadanie jem duży talerz płatków i dwie kromki chleba z masłem — lubię, kiedy chleb jest grubo posmarowany; do picia herbata albo sok pomarańczowy. Na lunch jem pizzę albo kanapkę z kurczakiem, albo ziemniaki z serem i fasolą i do tego paczkę chipsów. Poza tym podgryzam sobie — raz czekoladę, innym razem banana, a na obiad spaghetti bolognese i sałatkę albo rybę z frytkami, do tego warzywa albo pieczeń wołową z kluskami, albo pieczonego kurczaka, albo curry, a potem jeszcze deser: jabłecznik, tort czekoladowy, jakiś krem albo sałatkę z owoców, i do tego lody i kieliszek wina.

Wstrząsnął mną dreszcz. Taka ilość jedzenia budzi we mnie obrzydzenie. Obżera się jak świnia.

— Tak się zwykle odżywiam — stwierdza. — Inaczej zaczynam odczuwać głód. Poza tym lubię jeść. — Kiedy składa to wyznanie, słyszę w jej głosie rozkosz. — To wspaniałe uczucie — mruczy z zadowoleniem — ta cudowna chwila, kiedy odgryzasz miękki kawałek mlecznej czekolady i zaczyna ci się rozplýwać w ustach, ta cudowna słodycz — Nat, dlaczego odmawiasz sobie takiej przyjemności? A spaghetti! Spaghetti z sosem bolognese — takim gęstym, z połyskiem — rozkosz, z jaką się go chlipie, wylizuje z talerza, jego pikantny smak, delectowanie się nim! Kiedy o tym mówię, aż zęby mnie bolą! A grzanka z masłem! Wilgotna, tłusta, chrupka grzanka posmarowana masłem ma wysublimowany smak, czego więcej potrzeba do życia!

Słuchając jej, czuję się jak zboczeniec, który wisi na telefonie dla samotnych serc. Babs zauważa moje wybałuszone oczy i wraca do równowagi.

— Kalorie dodają energii. Mój organizm potrzebuje dużo jedzenia, inaczej nie mogłabym pracować — dodaje, ale już mniej wzniosłym tonem. — Jeśli nie przykładasz wagi do tego, co jesz, to szybko zaczniesz jeść byle co. Ja sama jem porządne porcje, ponieważ pracuję głównie fizycznie. A większość z tego spalam. Pamiętaj: od jednego czy dwóch paczków zaraz nie przytyjesz. Żeby przybrać na wadze, człowiek musi się porządnie natrudzić! Wyżerka od rana do wieczora! Dwanaście paczków dziennie, poza zwykłymi posiłkami — wtedy możesz przytyć. Spójrz tylko. — Ściąga swój czerwony szalik z szyi i podciąga bluzkę. — Czy jestem gruba? — Wygląda jak różowy imbryk, a jej brzuch zwija się jak harmonijka.

— Nooo nieee.... — odpowiadam przeciągle, wytrzeszczając oczy.

— Słuchaj, Nat — dodaje spokojnym tonem. — Mam metr siedemdziesiąt trzy i ważę siedemdziesiąt kilo. Jak każda przeciętna kobieta. — Wypowiada to swoje „przeciętna”, jakby to była zaleta.

— No — oświadcza — widzę, że masz inne zdanie na ten temat. Zawsze cię rozszyfruję. Robisz wtedy tę swoją zrozpaczoną minę, jakbyś miała spotkanie z królową, podczas którego nie potrafisz wydusić z siebie słowa.

Zmagam się z myślami, ale one są zbyt nieustępliwe, zbyt żywe, żeby je zdusić.

— A ja nie chcę być przeciętna — odburknęłam. — Nie ma dla mnie nic gorszego. Nie znoszę... nie znoszę przeciętności. Znasz kogoś, kto chciałby być przeciętny? To najgorsze, co może człowieka spotkać. Trzeba być w głębokiej depresji, aby cieszyć się z tego — mówię szeptem, aby Babs nie mogła usłyszeć jadu w moim głosie, ale podążam za jej wzrokiem, który zatrzymuje się na moich kolanach i widzę, że ręce drżą mi tak mocno, jakbym przed chwilą kogoś zabiła.

Przyjaciółka zmusza mnie, bym na nią spojrzała.

— Pamiętaj, Natalie — oświadcza — twoja waga to nie ty. Twoje ciało to tylko pojemnik. To, co sprawia, że jesteś wyjątkową istotą, nieprzeciętną, jest w tobie. Rozum, inteligencja, charakter, twoje dziwactwa, a nawet twoja głupota. Nigdy nie byłaś przeciętna. Spójrz na siebie: wyglądasz jak nitka, jak cień dziewczyny. Muszę ci to powiedzieć — nie wyglądasz normalnie. A jesteś szczęśliwa? Wątpię. Jeśli szukasz szczęścia, nie znajdziesz go, bo jesteś za chuda.

— Nie znajdziesz go również, jeśli jesteś za gruba — odpowiadam szorstko. — Poza tym nie uważam, abym była chuda.

— Wszystkie anorektyczki tak mówią! — wybucha wściekła. — Taka jest prawda! W twoim mniemaniu nigdy nie będziesz dość szczupła. Nigdy nie powiesz: „Dość”, nawet w momencie, kiedy pewnego poranka obudzisz się i stwierdzisz, że już nie żyjesz!

Chciałam polemizować z logiką jej myślenia, ale od tego głupiego gadania kręci mi się w głowie.

— Nie jestem — mówię, dławiąc się — żadną anorektyczką.

Babs rzuca mi złowieszcze spojrzenie.

— No może jeszcze nie wyglądasz jak Ally McBeal, ale jesteś na najlepszej drodze. Zrobiłaś się taka drobna. Nawet głowę masz mniejszą! Wyglądasz, jakby twoja czaszka była dla ciebie za duża. Wiesz, nie dziwię się, że cię zwolnili. Nie będę przed tobą ukrywać — nikogo to nie dziwi. Praca już dawno przestała cię obchodzić. Jakbym rozmawiała z zombi. Ledwo jesteś obecna ciałem, a twoja dusza przebywa gdzieś daleko. Prawie nigdzie nie wychodzisz, a kiedy ostatnio jadłyśmy razem obiad, bawiłaś się plackami ziemniaczanymi jak czteroletnie dziecko...

— Nie lubię placków — odpowiadam.

— Kiepska wymówka! To tak, jakbyś twierdziła, że nie lubisz kurczaka.

— Czuję się gruba — oświadczam wściekła.

— Wszystko podsumowujesz tym jednym zdaniem! — krzyczy. — Pytam cię, bo chcę znać prawdę. Czy ty... czy nigdy nie czułaś głodu?

Chyba już zapomniałam, jakie to uczucie.

— Chcę mieć ostre kształty — odpowiadam po chwili, ponieważ przyparła mnie do muru i nie pozwala wykręcić się od odpowiedzi. — Czasami odczuwam głód. Zawsze go odczuwam. Jednak kiedy nie jem, dobrze się czuję — taka czysta. Czuję się pusta i to wspaniałe uczucie. Czuję w sobie taką moc, że mogłabym unieść się w powietrze.

Babs potrząsa głową, a gęste włosy okalają jej zaniepokojoną twarz jak ciemna aureola.

— Posłuchaj, Nat — mówi cicho. — Nie jesteś świętą. Jesteś zwykłym człowiekiem. Nie musisz być czysta ani doskonała. Tak bym chciała, bardzo bym chciała, żebyś choć raz zostawiła to cholerne zmywanie. Nie zwracaj uwagi, kiedy ktoś przesunie dywan. Kiedy ktoś tylko wychodzi z toalety, ty już zaczynasz ją pucować. Ktoś wstaje z kanapy, ty już zaczynasz wygładzać poduszki. Nie pozwalasz sobie na odrobinę przyjemności! Żadnego przyjemnego seksu...

— Uprawiam seks z Chrisem.

— To seks zaprawiony kokainą! Koka — narkotyk dla podbudowania swojej niskiej samooceny! To oszukiwanie siebie! Wiadomo, na czym mu zależy, ale na pewno nie na bzykaniu Natalie Miller — na prochach mu zależy!

Mam ochotę wydrzeć się na nią, że już skończyłam z koką, że doprowadza mnie do obłądu zamaskowany nos i że wiem, że ona nie cierpi Chrisa, bo nie jest Saulem — starym, nudnym Saulem — że kobieta może obyć się bez małżeńskiego węzła i lobotomii. Nie zwracam uwagi na jej „nie pozwalasz sobie na przyjemności”, a Chris o psim nazwisku — hedonistyczny Chris, który lekceważy instytucję małżeństwa — został skreślony jako ten, który ma zły wpływ! Czego ona ode mnie chce?

— Utrata kontroli się nie liczy, jeśli jest wywołana przez narkotyki — krzyczy Babs, która, jak widać, mogłaby nauczyć dalajlamę niejednego w kwestii sensu życia. — Taka utrata kontroli stanowi tylko ucieczkę. Chcę, żebyś się relaksowała, żebyś dobrze się czuła w swojej skórze, a to oznacza, że musisz spojrzeć na siebie i spróbować zaakceptować. To żadna przyjemność, żaden sukces, jeśli się jest kobietą z żelaza. Powiem ci uczciwie, cieszę się, że straciłaś pracę. Bo to nie była praca dla ciebie.

Wiem, że uwielbiasz balet, ale przebywanie w tym środowisku, wśród ludzi o nadludzkiej sile woli, nie służy komuś takiemu jak ty. Nie potrafisz współzawodniczyć z całą grupą supersportowców. Wiem, że to jest sztuka i że zapiera dech w piersiach, ale to także dążenie do perfekcji, narcyzm, fizyczność, patrzenie w lustro przez cały dzień — tobie to zupełnie niepotrzebne. Ty potrzebujesz życia na luzie, gdzie możesz zjeść sobie kilka ciastek, przytyć trochę, i gdzie nie będziesz odczuwała żadnych wyrzutów sumienia, które nie pozwolą ci żyć.

Niech już sobie idzie. Ona nic nie rozumie.

— Babs — mówię cicho. — Tobie takie życie odpowiada. Ale ja będę jeszcze brzydsza, teraz jestem brzydka, czuję się brzydka...

— Wcale nie jesteś brzydka — krzyczy tak głośno i piskliwie, że prawie wpadam do wanny. — Jesteś śliczna. Jesteś... Andy i Robbie uważają, że jesteś super, oni doprowadzają mnie do szału! Ale ty musisz w to uwierzyć. Uwierz, że jesteś super, ale nie pod względem fizycznym, lecz jako osoba. Tylko to jest ważne. Uroda to powierzchowność, liczy się tylko trochę, jest przemijająca. Ważna jest osobowość, a ty ją masz.

Dziwię się, że nie widzę, jak wielki boski palec nie pakuje się przez okno łazienki i nie zwali jej z krzesła na podłogę. Wygląd się nie liczy! Powiedz to Estée Lauder i jej multi-, multi-, multimilionowemu konsorcjum kosmetycznemu, mojemu opalonemu na brąz ojcu i jego osobistemu trenero-dietetyko-zielarzowi w jednej osobie, wszystkim gwiazdom, które trzy dni po porodzie zaczynają wracać do formy, mojej matce uzależnionej od diety, zastąpionej przez młodszego model, naszym wszystkim gwiazdom filmowym, które zawdzięczają urodę cudom kosmetyki — zmuszamy ich, by byli tacy piękni, a to jest naszym przekleństwem, powiedz to Kimberli Ann i jej nadmuchiwanym piersiom, milionom dziewczyn z okładek z rozwianymi włosami, karłowatemu Robbiemu i jego uzależnieniu od gimnastyki, uczniom, którzy po piętnastu latach harówki, poświęcenia i maniackalnej orki nie zostają przyjęci do naszego zespołu, bo choć nie można im zarzucić braku talentu, to jednak nie mają wyglądu odpowiedniego do baletu klasycznego. No pewnie! Wygląd się nie liczy.

Odpowiadam bełkotliwym głosem:

— Jak możesz tak mówić? Jak możesz kłamać, że wygląd nie ma znaczenia?

— Nie twierdzę, że się nie liczy. Uważam tylko, że mniej, niż ty sądzisz. Oczywiście, jeśli ktoś myśli o karierze modelki, wówczas wygląd jest ważny. Jeśli nie, nie powinien być tak ważny. Jeśli chcesz spodobać się facetowi, który szydzi, kiedy jesz ciastko, i z przymrużeniem oka traktuje twoje zdanie, to wszystko w porządku, musisz zacząć być zachwycająca. Jeśli zależy ci, by te niepewne siebie kobiety cię nienawidziły, w porządku, musisz urodzić się piękna. Ale ludzie wokół ciebie skupią się na twoim wyglądzie nie dłużej niż przez pięć minut. I wiem także, Nat, że nie tego chcesz. — Robi przerwę. — Tobie nie chodzi o twój wygląd, zgadza się? Tobie chodzi o to, że nie podobasz się sobie. Że czujesz się brzydka. Prawda?

Mówi tak cicho, że za chwilę zasnę, słysząc jej czarodziejski, cichy szept.

Odpowiadam oziębło.

— Czuję się na wskroś brzydka.

— Och, Nat — dodaje ze smutkiem. — Serce mi pęka. Jak możesz się tak czuć? Co jeszcze cię gryzie?

To okropne przesłuchanie sprawia, że odczuwam dotkliwy ból w kręgosłupie (równie dobrze przyczyną tego może być godzinne siedzenie na skraju wanny).

— Czuję... nic więcej nie czuję — odpowiadam. — Czuję się... niezbyt dobrze.

Babs podnosi rękę.

— Słuchaj, Nat — mówi cicho. — Coś ci przypomnę. Pamiętasz, jak nie tak dawno szliśmy razem na dworzec. Nie wiem już po co. Nieważne, w każdym razie szliśmy razem i w pewnym momencie powiedziałaś: „Zaczekaj”, i przykucnęłaś na chodniku, a wtedy zobaczyłam zieloną gąsienicę. Nigdy przedtem nie widziałam takiego olbrzymiego pełzaka. Nie miałabym serca na niego nadepnąć. Patrzyłam, jak podniosłaś ją...

— Pamiętam — przerywam. — Była przepiękna — świecąco zielony tłuscioch — nie poradziłaby sobie sama...

— Zaczęłaś szukać jakiegoś liścia, żeby ją na nim położyć, i w końcu znalazłaś, ale ta gąsienica nie chciała się na niego wdrapać i pamiętam, jak zaczęłaś ją przekonywać, słyszę, jakby to było dzisiaj: „No, mała, masz jeszcze coś do zrobienia, musisz przemienić się w motyla!” — Babs milknie. — I w tym wszystkim widać — dodaje cicho — że jesteś osobą, która ma piękną duszę.

Nie wiem, co powiedzieć. Po dłuższej przerwie oświadczam szeptem:

— To nieprawda. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale to nieprawda.

Babs ukrywa twarz w dłoniach. Spoglądam na jej gęste włosy: zwijające się loki, poskręcane kosmyki, brązowe fale z jasnymi pasemkami.

— Jesteś kłamczucha — oświadcza. — Jesteś kłamczucha i nawet o tym nie wiesz. Ty chyba nie potrafisz zaakceptować swoich uczuć. — Milknie na chwilę, a potem wyrzuca z siebie: — Jesteś strasznie uparta. Miałaś mi za złe, kiedy wyszłam za męża, ale i przedtem też miałaś mi za złe różne rzeczy. Pewnie moje zaręczyny były tym zapalnikiem, choć to tylko wymówka. Jeśli dzieci nie czują się doceniane przez rodziców, wtedy dorastając, szukają sposobów, by zostały zauważone. Kiedy twój ojciec dał nogę, cierpiałaś, że zostałaś porzucona. Ale ty się nigdy do tego nie przyznasz. Powtarzasz ten sam scenariusz z każdym nowo poznanym facetem — nawet jeśli trafisz na porządnych facetów — zaczynasz ich naciskać coraz bardziej, aż w końcu cię rzucają. Nie czujesz się doceniona, jednak winisz za to niewłaściwych ludzi. Za żadne skarby nie przyznasz się, że czujesz złość. Jesteś chuda jak pergamin, a przez cały czas powtarzasz, że jesteś gruba. Chcesz przez to wyrazić coś innego.

Czuję się, jakbym siedziała na wykładach z psychologii w sali bez drzwi.

— Gruba oznacza gruba — nic więcej. W zachodniej kulturze nie ma nikogo innego — poza pedofilami i mordercami — którzy byliby tak lżeni jak grube baby. Z wyjątkiem może grubych bab, które mówią z pełnymi ustami. Tusza nie jest w cenie, Babs. Tusza kojarzy się z głupotą, łakomstwem, słabym charakterem i wzbudza obrzydzenie.

— A mnie nie kojarzy się z żadną wymienioną przez ciebie cechą — odpowiada spokojnie. — To twoje mylne odczucie. Znam wiele grubych kobiet, które są inteligentne, silne, pra...

— Jeśli jeszcze dodasz eleganckie, zacznę wrzeszczeć.

— Posłuchaj, Natalie — warknęła. — Nie mówię o sławnych ludziach, mówię o swoich znajomych. Ale kiedy ty mówisz „gruba”, nie masz na myśli kobiet, które są chorobliwie otyłe. Dla ciebie to

te, które ważą ponad sześćdziesiąt kilo. A przecież to dziewięćdziesiąt procent całej damskiej populacji. Nie przyszło ci do głowy, że to, co ty uważasz za „grube”, jest normalne?

— Kiedy jesteś gruba, ludzie zaczynają uważać się nad tobą, a to jest odbierane jako porażka.

Babs upiera się przy swoim:

— Więc dla ciebie tytuł „Miss Kościotrupów” jest oznaką sukcesu i dobrego smaku?

— W dużym stopniu — ripostuję — to dobre określenie. Przychodzi mi do głowy coś brzydkiego. Babs wyczuwa moje myśli.

— O Jezu — zaczyna. — Sądzisz, że ci zazdroścę. Przestań, Natalie! Po prostu bardzo mnie obchodzisz. Chcę, żebyś dobrze się czuła. I wiem, że głodzenie się temu nie służy. Kiedy dobre parę lat temu byłam na diecie kapuścianej, cuchnęłam strasznie i przez cały czas puszczałam bąki. I wyglądałam nie za ciekawie. Jak topniejący bałwan — straciłam połowę biustu. Byłam płaska jak Holandia. Trochę czasu mi zabrało, zanim uzmysłowiłam sobie, że podoba mi się moje ciało takie, jakie jest. Dzięki niemu żyję. Używam go. Lubię je. Chcę wachać róże, wbiec na pagórek, poklepać psa, popatrzeć na zachód słońca, kochać się z Simonem. Może to zabrzmiało banalnie, ale moje ciało pozwala mi robić takie rzeczy. Sprawdza się w każdej sytuacji. A twoje ciało jak się sprawuje? Traktujesz je jak więzienie.

Potrząsam głową. Jak zdążyłam zauważyć, posadzili mnie na ławę oskarżonych za to, że zostawiłam okruszki na talerzu i zaraz skazują mnie na dożywocie. Na co ta cała gadanina?

— Nie byłam zła, kiedy wyszłaś za mąż — stwierdzam piskliwym tonem. — Cieszyłam się. Przepraszam cię bardzo — dodaję jedwabistym głosem — jeśli to tak odebrałaś.

Babs zaciska zęby.

— Posłuchaj, Nat — mówi. — Przez cały czas grasz tę swoją rolę potulnej, grzecznej, przepraszam za słowo, dziewczynki. A ja wcale nie widzę w tobie tej potulności. Jesteś przebiegła. Jak wilk w skórze baranka. I czasami czuję, jak w duchu się z nas wszystkich wyśmiewasz.

— Z jakich nas? — pytam chłodnym tonem, niezadowolona z porównania do wilka.

— Ze mnie. Z twojej matki. Twego ojca. Nawet z Tony'ego, jeśli on kiedyś raczy otworzyć szeroko oczy, żeby to zauważyć.

Ale ma tupet.

— Proszę cię, nie mów o Tony'm w ten sposób — rozkazuję. Wbijam paznokcie w skórę, aż czuję nieznośny ból. — To nie ma nic wspólnego z tobą czy moją rodziną. Jesteście w porządku. Dobrze rozumiem, że teraz nie możesz mieć dla mnie tyle czasu co przedtem, bo zostałaś mężatką. Przyznaję, z trudem dogaduję się z matką, ale jest dobra i dba o mnie, poza tym Kocham ją. Kocham także tatę i Tony'ego. Może i nie jest „do rany przyłóż”, ale co z tego?

— Są w porządku, ale nie mogę tego powiedzieć o tobie. Głodzenie się to nie jest dobry sposób zwrócenia na siebie uwagi, jeśli jesteś smutna czy zła. Potrafisz przecież mówić. Skorzystaj z tej umiejętności.

Muszę szybko zamknąć jej usta.

— Wiesz co, Babs — zaczynam. — Przestań się o mnie martwić. Jestem tylko głupiotką, próżną dziewczynką, która chce wyglądać jak modelka.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Nikt nie lubi, jak odrzuca się jego dobroć. Człowiek trzusi się, pakuje stare ciuchy do plastikowej torby, aby ci mniej szczęśliwi, mieszkający w dalekich, biednych krajach, mogli paradować po ulicach w T-shirtach z napisami, staromodnych spódnicach i kapeluszach, nie po to, by ktoś odrzucał ten dar. Babs energicznie podnosi się, a ja patrzę na nią z bijącym sercem.

— W porządku — oświadcza takim chłodnym tonem, który nawet zmroziłby niedźwiedzia polarnego. — Jeśli tak chcesz. — Wyniosłym krokiem kieruje się do drzwi, a ja biegnę za nią z tyłu jak mały szczeniaczek. Z ręką na klamce dodaje szorstkim tonem: — Zrobiłam, co mogłam.

Po tych słowach szarpnięciem otwiera drzwi i wychodzi, zatrzasnąwszy je za sobą. Wyglądało to jak scena z serialu telewizyjnego, gdyby nie to, że jej czerwony szalik został przytrzaśnięty i — sądząc po jej jęku — unieruchomił ją na chwilę, kiedy próbowała wyjść. Słucham, jak po drugiej stronie szamocze się z szalikiem przez jakieś pół minuty i zastanawiam się, kiedy usłyszę przenikliwy dzwonek i z goryczą rzucone: „dzięki”. Nie ma większego poniżenia, kiedy po wyjściu w stylu „Mam cię gdzieś”, człowiek zmuszony jest do powrotu.

Otwieram drzwi. Stoję w samych majtkach, a Babs wyje z wściekłości. Patrzymy na siebie przez chwilę, a potem wybuchamy śmiechem. Pokładamy się ze śmiechu tak długo, że wreszcie czuję, że muszę mocno ścisnąć nogi i iść krokiem Micka Jaggera, inaczej dopuszczę do gorszącego incydentu.

— Wystarczy! — oświadczam, nie mogąc złapać tchu. — Przestań, albo — zginam się jak kukielka — no dobra, już wystarczy!

Moja przyjaciółka wygląda, jakby była na granicy hysterii i wyrzuca z siebie:

— Ten cholerny szalik!

Uśmiecham się, nieoczekiwanie czując onieśmienie po pierwszym huraganie śmiechu.

— Poczekaj — proszę cicho. — Zostań jeszcze. Porozmawiamy o — te słowa z trudem przeciskają mi się przez gardło — o tym i owym.

Babs wykrzywia usta w przesłodzonym, ekranowym uśmiechu.

— Pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Że się ubierzesz. Za chwilę umrzesz z przeziębienia — stwierdza, przedrzeźniając moją matkę.

Zauważam, że zęby mi szczękają, mam sine ręce i jestem w samych majtkach.

— No dobra — odpowiadam — ale zrobię ci filiżankę her...

— Ja sama zrobię —: oświadcza. — Wiem, gdzie jest dzbanek. Ty zajmij się sobą.

Uśmiecham się i zasuwam do sypialni. Nie chcę wkładać tego, co miałam na sobie, kiedy Babs mnie nokautowała. O Jezu! Ale mi zabiła klina! Czy w jakimś stopniu odpowiadam jej obrazowi? Uważa, że jestem na nią zła za to, że wyszła za męża. Ile we mnie egoizmu? Postrzegam siebie jej oczami — grubą, samolubną, rumianolicą dziewczynę, która tupie swoją horrendalnie ciężką stopą na wszystkich dookoła. A może powinnam wydać więcej na prezent ślubny dla niej?

Jeśli to prawda, to zaczynam czuć się nieciekawie. To już przynajmniej coś. Ale nie potrafię znieść myśli, że Babs ma o mnie nie najlepsze zdanie.

Szperam w szafie i wyciągam delikatną, obcisłą bluzkę, wybraną przez Matta, żebym zrobiła pierwszy krok w kierunku niewierności. Nakładam ją i widzę, że zwisa ze mnie jak szmata ze stracha na wróble. Mniej więcej od czasu, kiedy Babs wkroczyła do akcji, nie miałam ochoty spojrzeć w lustro. Teraz zmuszam się, by popatrzeć na siebie — dostrzegam kępki włosów — na głowie naturalnie, pod pachami nie mam ich wcale — w miejscu, gdzie je tapirowałam, by sprawiały wrażenie gęstszych, a moja skóra ma odcień naturalnego jogurtu. Podajmy sobie rękę, Edwardzie Nożycoręki! Gapię się, jakbym widziała siebie po raz pierwszy w życiu. Jestem brzydka. I kiedy uświadomiłam sobie, że Babs miała rację, gdy stwierdziła, że nie chciałam, by Simon mi ją zabrał, wydaję się sobie jeszcze brzydsza. A jednak mnie porzuciła. Byłyśmy całością. Byłyśmy jak dwa ziarenka w jednym strączku, dopóki nie pojawił się On, jak wielka fasola strąkowa, która wchodzi dumnie na scenę i kradnie mi ją.

W tym momencie dziękuję niebiosom, że pewne myśli pozostały w ukryciu. Czy nie przyszło mi do głowy, że Babs powinna była zrezygnować ze wszystkich małżeńskich propozycji, bo będą dla mnie niewygodne? Potwór ze mnie! Zachowuję się jak ci, o których piszą w kolorowych magazynach. Powinnam się wstydzić (chętnie bym dodała: „I za karę pójść spać bez kolacji”, gdyby tylko to miało jakiś sens). I rzeczywiście robi mi się wstyd. Z wielu względów. Wstyd mi, że dorastałam w Hendon. Wstyd mi, że nie dostawałam piątek na studiach. Wstyd mi, że noszę buty numer siedem. Ale teraz muszę dopisać kolejną przyczynę wstydu do mojej listy. Bezmyślnie majstruję przy zamku moich nowych granatowych spodni i rumienię się. Czego się spodziewałam, że Babs poczeka ze swoimi miłymi uniesieniami, dopóki ja nie ureguluję swego życia? Czy obwiniam ją o to?

Z drugiej strony, po co się wtrąca i krytykuje moją rodzinę. Jaka naprawdę jestem? Smutna. Rozdartą. Co się tyczy złości, to nie wiem, o co jej chodzi. Jednak kiedy sięgnę głęboko do swojej duszy i dobrze poszukam, to wówczas na dnie zauważę szlam. Przepelnia mnie biała, gorąca brzydota.

Nie jestem jak mała dziewczynka. Przypominam ślimaka. Nawet zakręcone ogony kundli nie wzbudzają takiego obrzydzenia. Daję sobie mocnego kuksańca w żołądek. Ta wewnętrzna zgnilizna jest z pewnością czymś więcej niż „ślubną” zazdrością. Ale czym jest? Wszystko Babs wynagrodzę. Zrobię coś, aby udowodnić, że zasługuję na jej przyjaźń. I nawet wiem co! To coś będzie się składało w sześćdziesięciu procentach z dobroci, w trzydziestu z egoizmu, a w dziesięciu z ciekawości. Zasugeruję jej to.

Ale czy rzeczywiście jestem taka okropna? Trochę wyniosła, trochę niewdzięczna. Jednak moja przyjaciółka powinna pamiętać, że to ona wygrała. Ona jest mężatką, a ja tą pozostawioną własnemu losowi. Zmiotła mnie, jak się zmiata okruchy ze stołu, i w tym momencie dochodzę do wniosku, że najlepszym sposobem na odrzucenie jest odrzucenie. Przygłaskałam to, co zostało po moich włosach, i postanowiłam zdegradować Babs w mojej armii przyjaciół. Spada do drugiej ligi. Usuwam ją z pozycji najlepszej przyjaciółki i miejsce to pozostanie nie obsadzone aż do otrzymania dalszych rozkazów. W głowie rachunki są wyrównane, ale w rzeczywistości czuję się upokorzona. I choć to ma się nijak do chrześcijańskiego pojęcia skruchy, to jest właściwym rozwiązaniem. Żal można polubić tak, jak można polubić dietę. Jakie ustępstwa będę musiała...

— Wszystko w porządku, Nat? — Dobiega mnie głos zza drzwi.

Wzdrygam się.

— W jak najlepszym. Poczekaj chwilę. Zaraz do ciebie przyjdę. — Wciągam brązowe buty z wężowej skóry, które kazał mi kupić Matt — mają na tyle wysokie obcasy, że nawet moje stopy wydają się w nich mniejsze, ale zapłatą za to jest ból pleców następnego dnia. Nic nie poradzę, że użalam się nad sobą. Zawsze muszę za coś płacić. Ulubione buty Babs i alpinistę przyprawiłyby o zawrót głowy, jednak ona nigdy nie narzeka. Nie ma pewnie drugiego takiego przypadku jak ja. Przykład: zawsze spotykam inne kobiety ubrane w ładne płaszcze — z czerwonego moheru albo brązowego zamsku z futrzanym kołnierzem — i zastanawiam się, gdzie one mogły je kupić? Na mnie czekają tylko w sklepach pospolite, proste, które wyglądają, jakby zostały wyprodukowane na zamówienie Armii Zbawienia. I nie chodzi tylko o płaszcze. Zawsze miałam pecha. Byłam jedyna w szkole, która nie dostawała z domu na śniadanie czekoladowego batonika KitKat (wcale się nie skarzę). Chwileczkę, przecież mam żałować. Biorę głęboki oddech i wpadam do korytarza, czując, jak wypełniają mnie dobre intencje. Babs podaje mi filiżankę z kawą.

— Czarna, bez cukru — informuje.

Odczuwam wdzięczność. Nie cierpię czarnej kawy. Jest tak gorzka jak pestki jabłka. Wie, że wolę z mlekiem, ale nie mam zamiaru takiej pić, bo mleko tuczy, a jeśli dodam choćby kropelkę, wówczas guziki w mojej obcisłej bluzce rozlecą się z hukiem i przeistoczą się w Niesamowitego Hulka, i kiedy ludzie zobaczą mnie na Primrose Hill, zaczną uciekać w popłochu.

— No ale — decyduję się szybko — poproszę jednak z mlekiem. — Filiżanka z kawą zadrżała w ręku Babs.

— Tylko kropelkę. Zaraz ci podam. — Niesie kawę do kuchni, jak rycerz niósł głowę przeciwnika przed oblicze króla. Nie muszę jej pić. Czterdzieści dziewięć kalorii na sto mililitrów śmietanki, prawie sześć razy tego w pół litrze. Zawsze jutro mogę zrobić podwójne okrążenie. Albo jak tylko sobie pójdzie.

— Masz żabę w ustach! — krzyczy z kuchni, kiedy wlewam sobie kapkę mleka do kubka. Podnoszę głowę z miną winowajcy. Wiem, że mówi naszym zaszyfrowanym językiem (co ma oznaczać: „wyduś to z siebie”), aby poprawić mi samopoczucie. — Wiesz co, Nat — oświadcza cicho — to bardzo odważny krok z twojej strony.

Czuję się głupio.

— Wiem — odpowiadam. — Pięcioletnie dzieci walczą z rakiem, ale to ja jestem odważna, bo dodaję kroplę mleka do kawy.

Babs robi nadąsaną minę.

— Poczuj, jak to boli — oświadcza udawanym kalifornijskim akcentem, by ukryć ten przerażający fakt, że mówi całkiem poważnie. — Ból to rzecz względna, ale jednak go odczuwasz.

Uśmiecham się, kiedy przypomnę sobie, jak Tony reagował, gdy inni, próbując ukryć swoje zmieszanie, zadawali mu bezsensowne pytania („Kto wychodzi wcześniej z pracy: ty czy Peter Rabbit?"). Babs skinieniem głowy zaprasza mnie do salonu. Ogarnia mnie niepokój, kiedy za nią idę. Chcę ją dobrze nastroić, by uniknąć łajania.

— A jak tam Andy? — indaguję.

Jeśli nawet zaskoczyłam ją tym pytaniem, to nie okazuje tego po sobie.

— Wszystko u niego w porządku. Ma się dobrze.

— Czy on... — postanawiam zadać to pytanie taktownie — znalazł już sobie coś czy nadal mieszka z rodzicami?

— Ciągle szuka — odpowiada Babs. — Powiedziałam mu, że może zamieszkać u nas, ale prawdę powiedziawszy, wątpię, czy Simon zaaprobowałby ten pomysł. No wiesz, młodzi małżonkowie i ta cała reszta — dodaje, a z jej głosu przebija sarkazm.

Wykrzykuję:

— To super! To znaczy, bardzo dobrze się składa, no, bo mam jeden pokój wolny. Jeśliby chciał, mógłby u mnie pomieszkać przez jakiś czas!

Mam nadzieję, że moja altruistyczna oferta nie została umniejszona przez fakt, że w chwili obecnej przydałby mi się lokator, inaczej w niedalekiej przyszłości mój dom wróci do dawnego właściciela. Ale może Babs tego nie zauważy.

— Och! — wykrzykuje głosem prawie uradowanym. — A dlaczego zmieniłaś zdanie? Ach, rozumiem, chodzi oczywiście o pieniądze.

— Nieprawda — odpowiadam. — Nie o to chodzi! To znaczy, zgadza się, potrzebuję pieniędzy, szczególnie teraz, ale naprawdę nie o nie chodzi. Chodzi o to, że... No cóż. — Przerzywam. Niektórym nie wystarcza, że chcesz przełknąć upokorzenie, oni chcą ci je wpakować do gardła. — Wiem, że ostatnio byłam nie do wytrzymania i teraz mi głupio z tego powodu, i wiem, że Andy szuka sobie jakiegoś lokum, a ty kiedyś sama chciałaś, żeby pomieszkał tutaj; ja udałam jednak, że cię nie rozumiem, ale teraz chcę ci to wynagrodzić — oświadczam jednym tchem.

— Wy tłumacz mi to jeszcze raz — odparła, zakładając nogę na nogę.

„Czy powiedziałam, że ci to powtórzę? Miałam na myśli, że ci to wbiję do głowy łopata”.

— Wiem — rozpoczęłam z głębokim westchnieniem, uzupełniając swoją wypowiedź w niezbędne detale i znaki interpunkcyjne — że ostatnio byłam trochę nadąsana i przykro mi z tego powodu. Naprawdę. Wiem także, że Andy'emu trudno było znaleźć w tak krótkim terminie coś niezbyt drogiego do wynajęcia i zachowałam się podle, że nie spytałam go, czy nie chce zamieszkać u mnie. Dlatego chciałabym to teraz naprawić.

Słowem nie wspomniałam, że od czasu spotkania karaoke moje zainteresowanie jej bratem znacznie wzrosło. (Nigdy nie miałam dość odwagi, by wspomnieć o nim Robbiemu). Nie miałabym nic przeciwko, gdybym mogła przyjrzeć się Andy'emu pod trochę innym kątem — naturalnie z czysto naukowych pobudek.

Babs postawiła swój kubek na szklanym blacie mojej ławy z takim hukiem, że z trudem powstrzymałam się, aby nie krzyknąć: „Ostrożnie!”.

— To bardzo miłe z twojej strony! — wykrzykuje. — Strasznie miłe. No to spytam go o to, dobrze?

— No pewnie — odpowiadam zarumieniona z radości, prosząc w duchu, żeby był z niego mniejszy flejtuch niż z jego siostry.

Babs uśmiecha się do mnie przez cały czas, aż w końcu nie wiem, gdzie mam skierować swój wzrok. Potem zaczyna kręcić na palcu swoim pierścionkiem z olbrzymim rubinem (wolała skromniejszy, ale Simon chciał się pokazać) i w końcu wyrzuca z siebie:

— Chciałam cię przeprosić, że byłam niemila wobec Chrisa. Wiem, że go lubisz. To chyba dlatego, że... no, że chyba żal mi było Saula, a Chris jest taki... wydaje mi się taki pretensjonalny. Ale Simon powiedział, że kiedyś taki nie był. Ale jeśli tobie się podoba i akceptujesz takie zachowanie, to nie ma sprawy.

Wszystko wskazuje na to, że obieramy kurs na wzajemne prześciganie się w przeprosinach („No nie, jesteś super, to ja jestem do niczego, dlaczego sądziłam, że to ty jesteś do niczego, przecież jesteś taka wspaniała itd.”) i postanawiam nie oponować.

— Dzięki — odpowiadam tylko. Mam ogromną ochotę, by powiedzieć jej, co o tym sędzę.

— Wyduś to nareszcie! — wrzasnęła. Szybko zakrywam sobie ręką usta.

— To okropne, że od razu wszystko po mnie widać — oznajmiam z głębokim westchnieniem.

— Chyba masz wbudowany wykrywacz kłamstw.

— Gadaj szybko!

— No dobra — mówię, ściskając mocno kubek. Zrobiło mi się zimno i gorąco jednocześnie. — Chciałam tylko powiedzieć, że — usiłuję jej nie obrazić — próbujesz postawić mnie na nogi, a jednak, kiedy rzucam Saula dla Chrisa, starasz się wyswatać mnie z Robbiem! — Po tych słowach kurczę się ze strachu. Szklany wazon taktu potłukł się w najdrobniejsze kawałeczki. Znowu to samo. — Chciałam tylko powiedzieć — zaczynam.

— Cicho bądź! — wykrzykuje — masz rację, stuprocentową rację. Dobrze, że to powiedziałaś. — Przeciąga ostatni wyraz i robi z niego elastyczną kiełbasę. — Masz rację — dodaje jeszcze, marszcząc czoło. — Masz rację. Niepotrzebnie wciskałam ci Robbiego. Przepraszam. Chciałam tylko, żebyś poznała jakiegoś fajnego faceta. Przecież wiesz, że można stracić głowę dla porządnego faceta i można ją stracić dla destrukcyjnego typu. A Chrisa zaliczyłam do tej drugiej grupy. Z nim to trochę tak, jakby spadać w otchłań.

— Więc chcesz powiedzieć, że muszę stracić kontrolę w kontrolowany sposób?

— Właśnie tak! — oznajmia, a następnie parska śmiechem. — Odwal się! Chociaż — dodaje jeszcze — mniej więcej o to chodzi. Nie będę ukrywać, nie znam się za bardzo na zaburzeniach łaknienia — wymawia to słowo, jakby miała zawiązany język — ale widzę, jakie to trudne dla ciebie, by pozwolić sobie na jedzenie we właściwej ilości. I wiem także, że tu nie chodzi o to, by być szczupłą, tu chodzi o twój brak samoakceptacji i całą tę resztę. Ale spróbuj wpakować w siebie trochę więcej, wówczas będziesz miała więcej energii. Zrób to dla mnie, dobrze? — Prosi takim tonem, jak matka próbująca przekupić słodyczami pięcioletnią córeczkę. Albo prosi jak moja własna matka, która również próbowała przekupić swoją pięcioletnią córeczkę słodyczami. Chcę jej się przypodobać i nie chcę jej rozczarować. Ale nie mogę być gruba!

— Posłuchaj, Nat — przekonuje, wierząc się na krześle. — Dobrze odrobiłam swoje zadanie. I podaję ci tylko strzęp informacji, które zamierzam ci przekazać. A ten strzęp to niepodważalny fakt, że potrzeba dodatkowo trzy i pół tysiąca kalorii na osobę, by przytyć pół kilo. To jest dwadzieścia batonów Mars! Maleńkie pół kilo!

— Prawdę powiedziawszy — odpowiadam — to nawet nie jest dwanaście marsów. Ale — uśmiecham się, aby pokazać jej, że doceniam jej wysiłek — dziękuję za informację.

Przypadkowy obserwator zauważyłby tylko, że siedzę sobie na sofie z grzecznie założonymi rękami i nogami, choć w głowie huczy mi jedno zdanie: „Zabierzcie mnie stąd!”. Mam ochotę cofnąć

swoją propozycję wobec Andy'ego. Mam gdzieś całą intrygę. Nie chcę, by u mnie mieszkał, węszył i donosił o wszystkim swojej siostrze. Trzy tysiące pięćset kalorii? Tylko tyle?

Spoglądam na jej solidną sylwetkę, rozłożoną na mojej kanapie, z niepokojem wypisanym na twarzy, i próbuję odpędzić rozdrażnienie, które próbuje mnie ogarnąć. Przyciskam kubek do ust, jakby w środku był sam arszenik, i biorę duży haust. Przełykam płyn i czuję na ustach jego lepkość. Jeszcze raz przełykam, ale nadal czuję, że moje gardło oblepia się białą, cuchnącą powłoką. To mleko. Obrzydliwe!

— Dobrze się czujesz? — pyta mnie przyjaciółka. Potrząsam głową.

— Posłuchaj, Nat — przekonuje łagodnie. — Nie rozedmiesz się jak zapaśnik sumo. Ale jeśli będziesz więcej jadła, włosy przestaną ci wypadać. Musisz dbać o swój organizm. Pomagać mu i... zachować włosy.

Chwyta za poręcz kanapy, by powstrzymać się od chichotu. (Często wybucha śmiechem w najmniej odpowiednich momentach; kiedyś musiała opuścić pogrzeb swojej babci, aby nie urazić księdza). Dlatego nie biorę tego zbyt poważnie. Na niczym nie zależy mi bardziej niż na utrzymaniu włosów. Bez nich mogę zapomnieć o jakichkolwiek sukcesach. Mam do wyboru: tłusta i z włosami albo chuda i łysa. Niezbyt zachęcająca alternatywa. Czuję się jak stara panna oskarżona o czary, którą poddają próbie wody. Jeśli utrzymam się na powierzchni, wówczas spalą mnie na stosie jako czarownicę, jeśli utonę, to nie ma czego żałować — przecież jestem kobietą w średnim wieku, która nie wyszła za męża.

Oczyrna wyobraźni widzę, jak myję włosy i nie linieję przy tym jak kot.

— Muszę to sobie przemyśleć — oznajmiam bardziej sobie samej niż Babs.

Moja przyjaciółka kiwa powoli głową i kieruje się w stronę wyjścia. Czuję się jak pacjent umysłowo chory, wobec którego istnieje obawa, że zaatakuje kogoś widelcem.

— Zgadza się. Będę więcej jeść i dbać o siebie. Przyrzekam.

— No, nareszcie! — wykrzykuje z uśmiechem. — To fan-ta-sti-ko superwiadomość!

Znowu wali kubkiem o mój szklany blat ławy i łapie mnie w swój stalowy uścisk. Próbuje — jak rodzynka w dziadku do orzechów — odwzajemnić jej uścisk. Ponieważ mam spętane ramiona, słabutko klepię ją w biodro — tylko tam mogę sięgnąć — i czuję, jak mój podbródek łaskocze ten sadysta, czerwony szalik. Z trudem to wytrzymuję, aż nagle, ni stąd, ni zowąd, opanowuje mnie spokój. Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że kiedy obiecałam Babs, że będę jeść więcej, mówiłam poważnie.

Kurczę! Tak niewiele trzeba, żeby przytyć jedyne pół kilo.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Dobre intencje to wspaniała rzecz. Pozwalają ci wygrzewać się w zaliczkowym cieple twoich zasług bez podnoszenia się z kanapy. To jak w haśle: „Idź na salę — to pierwszy krok do ćwiczeń!”. Dlatego kiedy Babs wyszła, ja zaczynam unosić się na błogiej, różowej chmurce przyrzeczeń.

Poszukam sobie superpracy. Zostanę supercórką (dokładka? — tak, mamusiu), supersiostrą, superdziewczyną, supereksdziewczyną (to tylko kwestia czasu, a już niedługo przeproszę Saula), superprzyjaciółką, superwłaścicielką mieszkania (żadnego łajania lokatorów za przesunięty dywan albo zużyte torebki po herbacie w zlewie). Postanawiam jeść choćby tyle, aby skończyć z linieniem. Postanawiam być taką, jaką chcą mnie widzieć wszyscy, i będę szczęśliwa.

Pierwszą osobą na mojej liście, której mam zamiar się podlizywać, jest moja matka. Wystukuję do niej numer z gorliwością świeżo nawróconego grzesznika.

— Oddział chirurgiczny, słucham — odzywa się znudzony głos.

— To ja, mamó — zagajam. — Chcę ci tylko powiedzieć, abys przestała się martwić, bo wszystko zmierza ku dobremu. Andy będzie u mnie mieszkał — brat panny młodej! — dzięki temu spłacę pożyczkę, a poza tym zajmę się szukaniem nowej pracy. Jeszcze nie wiem dokładnie, co chcę robić... co mogłabym robić, ale przynajmniej ty przestań się tym zamartwiać.

— To wspaniała nowina, ale chyba zażadasz od Andy'ego, aby ci płacił, prawda, kochanie? — dopytuje się z niepokojem. — Wiem, że jest twoim znajomym, ale teraz kiedy straciłaś pracę, potrzebujesz przecież pieniędzy. Nie mam pojęcia, ile obecnie ludzie płacą za dwuosobowy pokój w porządnej dzielnicy w Londynie. Pięćdziesiąt funtów miesięcznie? A może sześćdziesiąt?

— Mniej więcej — odpowiadam, próbując nie stracić zapału. — Cieszysz się, prawda? Jeden problem rozwiązany, nie sądzisz?

— Sześćdziesiąt funtów! No to chyba jeden kłopot mamy z głowy. Dobrze, jak mężczyzna jest w domu, to odstrasza włamywaczy. Mężczyzna albo pekińczyk — im mniejszy, tym większy rwetes. A co się tyczy pracy, to zabiłaś mi klina. Co ty możesz robić? Tym się najbardziej martwię.

Natomiast moim największym zamartwieniem jest to, czy polarne pokrywy śnieżne roztopią się i zaleją cały świat, choć przypuszczam, że możliwość spędzenia reszty życia przed telewizorem i oglądanie *Kola fortuny*, nazywając ten program „edukacyjnym”, rodzi także równie uzasadnioną troskę.

— Mogłabym...

— Nie widzę dla ciebie żadnej perspektywy, dlatego rozmawiałam ze swoją znajomą, Susan; i szczęśliwym trafem jej mąż, Martin, prowadzi pralnię chemiczną, pamiętasz Martina — potężnie zbudowany, wesoły mężczyzna, znany wszystkim jako gawędziarz, szuka kogoś do pomocy, kto usiądzie przy kasie. Może to i niezbyt ambitne zajęcie, ale za to bardzo odpowiedzialna praca i są szanse na

awans. Firma znajduje się w Borehamwood, więc nie miałabyś daleko, a mogłabyś zacząć w przyszłym tygodniu. Wiem, że to nie jest szczyt twoich marzeń, kochanie, ale nie ma co narzekać, darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda, a może ci się spodoba.

Nie potrafię wydusić z siebie słowa. Czuję się tak upokorzona, jak kot z czerwoną kokardką pod szyją.

Oczyrna wyobraźni widzę siebie, jak grzebię w cudzej, brudnej bieliźnie. Z wyrozumiałym uśmiechem pożyczonym z filmu *Dzień świstaka* pobrzękuję guzikami i powtarzam jak nakręcona: „To wyniesie dwadzieścia cztery funty i pięćdziesiąt pensów!”. Nudna harówka na obrzeżach Boringwood pod świdrującym wzrokiem męża Susan, znanego kawalarza (starego pryka zanudzającego ludzi zawodowo), który z radością zda relację swojej wścibskiej małżonce z mojego każdego ruchu (który przez cały dzień nosi zielony daszek i nigdy go nie zdejmuję, uważa bowiem, że dzięki temu wygląda jak zawodowy golfiarz), a ona z kolei posłusznie przekaże pałeczkę wiadomości mojej matce. Z pewnością ta metoda wypada taniej niż inwigilacja policyjna, ale jest tak samo efektywna.

— Mamo — zaczynam płaczącym tonem. — To bardzo miłe z twojej strony, ale... — I zawieszam głos, sparaliżowana przypomnieniem sobie ostatniej wizyty w pralni chemicznej. Pewna dama z zaciśniętymi ustami trąca mnie łokciem i zagaja: „A widzi pani ten czerwony, aksamitny kostium, który tam wisi? To mojej szwagierki. Przychodzi tutaj co tydzień. Wie pani, może sobie na to pozwolić”. Choć staram się być najlepszą z córek, to jednak nie starcza mi świętości, by poświęcić się na ołtarzu pralni chemicznej pod szyldem: „Ponad śnieg bielsza koszulka”, własności Martina Pipkina. Jak to jej wytłumaczyć? — Posłuchaj, mamo — szczebioczę z nagłą weną. — To naprawdę wspaniały pomysł z jednym, jedynym wyjątkiem.

— Z jakim wyjątkiem? — pyta, a w głosie jej wyczuwam ból.

— Ja siedząca za kasą w firmie pralniczej w Borehamwood stanę się pośmiewiskiem dla każdego będącego do wzięcia faceta na tej półkuli! Żaden szanujący się snob nie zechce umówić się ze mną na randkę. (Tak jakby tabuny prawników, finansistów czy lekarzy gorąco marzyły o spotkaniu ze mną w mojej obecnej sytuacji zawodowej. Zresztą zupełnie się tym nie przejmuję).

Tu następuje przerażająca cisza.

— Rozumiem cię, kochanie — odzywa się w końcu. — Zadzwońię do Tony'ego. Może on ci coś znajdzie.

Na pewno nie, jeśli uda mi się pierwszej zadzwonić. Z prędkością błyskawicy wybieram numer do brata i zastanawiam się, co będę mu mogła zaproponować. Tony to nasza rodzinna osobistość, w związku z tym nie wolno mu przeszkadzać, kiedy przyjdzie ci na to ochota. Od razu zechce się dowiedzieć, co on ma zrobić i ile za to dostanie. Nie mam dla niego żadnych szczególnych propozycji (choć może będę miała wolny dostęp do pralni chemicznej, jeśli źle to rozegram), ale mam, przynajmniej na razie, dostęp do Mel. W każdym razie mój braciszek od tygodnia mnie unika, więc pewnie wściekłość

już dawno mu minęła. Tony wrzeszczy, grozi, zastrasza, a potem — kiedy już zakrwawiony doczołgasz się w ką i liżesz swoje ciężkie rany — wspaniałomyślnie ci przebacza.

— Czy mogłaby mu pani powtórzyć — zwracam się błagalnym tonem do jego asystentki — że to kwestia życia lub śmierci?

— Jestem bardzo ciekaw, o co chodzi — odzywa się Tony i dla większego efektu ziewa.

— Posłuchaj — zaczynam z ulgą, że zostałam obdarzona królewskim przebaczeniem (w domyśle: uradowana, że nie odgryzł mi głowy). — Dobra wiadomość to taka, że Mel cię lubi, jednak — nooo... ona lubi wyzwania, dlatego gdybym była na twoim miejscu, nie robiłabym niczego ostentacyjnego na walentynki...

— Sądzisz, że nie skorzysta z zaproszenia do Paryża?

— Eee... — Trochę mnie zatkało, największym prezentem bowiem, jaki mój brat dał komuś na walentynki, było zwolnienie. — No, chciałam tylko powiedzieć, że gdybym była na twoim miejscu, to nie robiłabym niczego ostentacyjnego z wyjątkiem zaproszenia jej na weekend to Paryża.

— No chyba.

— A teraz ta zła wiadomość — dodaję szybko, zanim zdąży się rozłączyć. — Wylali mnie z pracy, a mama chce, żebym zaczęła pracować w pralni chemicznej w Borehamwood jako kasjerka. — Przekazuję mu mocno okrojona wersją tej nieskładnej historii (przecież czas to pieniądz). Tony pogwizduje.

— Dziecinko — mówi cicho. — Sprawa przedstawia się następująco: Siostrunia obrzuca matkę błotem, zdradza nie swoje sekrety, randkuje z menedżerami podejrzanymi kapel. Jak widać lekki wierzyk przemienił się w huragan. Czy przypadkiem wszystko w porządku pod sufitem? Czekam, aż mi nie mi pierwsza złość.

— O ile wiem — odpowiadam w końcu — jestem przy zdrowych zmysłach.

— Masz kuku na muniu! — wykrzykuje.

— Co takiego? — pytam.

— Zacytuję tu bohatera *Paragrafu 22* — mówi poważnym tonem — to by oznaczało, że ci odbiło.

Rozmawiam w tej chwili ze swoim bratem, powtarzam sobie w duchu, szukając w książce numeru kliniki ginekologicznej Fairbusha. Jego wypowiedź nie była pochlebna wobec mnie. Choć moja determinacja osłabła — czuję się, jakby wielki szczur przegryzł ją i pozostała tylko nitka — i wolno wybieram numer.

— Klinika ginekologiczna Fairbusha! — Słyszę szczebiot recepcjonistki, która długo pracowała nad tą kwestią i włożyła w nią całą duszę. — Z kim mam połączyć rozmowę? (Staranna dykcja, delikatny, aczkolwiek zdecydowany akcent na „połączyć”, natomiast słowo „rozmowa” wypowiedziane w stylu Marilyn Monroe; dobre tempo, staranna technika, w sumie bardzo przekonująca).

— Dzień dobry. Czy mogę rozmawiać z doktorem Vincentem Millerem? Mówi jego córka.

— Proszę poczekać. Połączę panią z jego asystentką.

Znowu wysłuchuję pustej gadaniny, doktor Miller bowiem ma pacjentkę.

— Czy mogłaby pani przekazać mu wiadomość?

— Naturalnie — odpowiada cierpkim tonem, a podobno Amerykanie są uprzejmi. Nie pojmuję tego. Ja jestem wobec obcokrajowców służalczo ugrzeczniona — przecież występuję jako samotny ambasador, reprezentuję cały naród!

— Proszę mu powiedzieć...

— Zaraz... Teraz już może pani mówić.

— Proszę mu powiedzieć — zęby same mi się zaciskają — że chętnie porozmawiam z Kimberli Ann na wiadome tematy.

— Proszę powtórzyć!

— Tematy! — wrzeszczę do słuchawki. — Teraz powinna pani powiedzieć: do herbaty!

— Nie słyszę!

— Nie szkodzi — mruczę pod nosem i zastanawiam się, dlaczego jeszcze się poniżam, powtarzając dowcipy z brodą. — No to bardzo dziękuję i do widzenia.

W najmniejszym stopniu nie mam zamiaru przejmować się bzdurami w stylu New Age, które propaguje Kimberli Ann, ale liczy się gest i ojciec będzie uszczęśliwiony. Opadam na krzesło i docho-
dzę do wniosku, że realizacja dobrych intencji stanowi ciężką przeprawę, a ja nie mam siły — psy-
chicznej czy fizycznej — by zadzwonić do Saula. Już widzę tę jego wesołkową minę. Trochę za nim
tęsknię. Jest takim dżentelmenem, który pożera dobre samopoczucie — jego własne! — jak gospodyni
domowa w średnim wieku. Nieprawda. Wcale mi go nie brakuje. Dzwonię za to do Chrisa

— Czy... yyy... tak się przypadkiem nie złożyło, że jesteś dzisiaj wolny?

— Być może — odpowiada. — A co się stało? Łysa pała puściła cię kantem?

Chichoczę z przymusem.

— Przecież wiesz, że Robbie to tylko znajomy. Nawet nie kolega! Znajomy. Pomyślałam sobie,
że może byśmy się spotkali w wieczór przed walentynkami. Przygotowałam obiad.

— Obiad?

Wiem, że nie zalicza się do smakoszy — to tylko skóra i kości, poza tym rzadko widziałam,
żeby coś jadł — ale zachowuje się jak porządnie obrażony.

— Nooo... właśnie — mówię w nadziei, że nie palnęłam nieświadomie czegoś straszego.

— Wieczór walentynkowy? — zadaje retoryczne pytanie, a jego głos zapowiada najgorsze.

— Tylko żartowałam — bąknęłam, zdając sobie za późno sprawę, że popełniłam straszny
grzech — bezczelnie zasugerowałam, że jutro, to jest czternastego lutego, jest jakiś szczególny dzień.
Trzymam nad jego niewinną głową i naszym bezbronnym związkim siekierę ukrytego romansu. Wy-

wieram na nim kosmiczną presję i próbuję przełożyć jego uczucia na kolorowe bukiety i kliwne kartki z sentymentalnymi prezencikami. Próbuję wymusić na nim (kosztowną) publiczną demonstrację, aby udowodnił, jak bardzo mu na mnie zależy. Demonstrację, która zostanie porównana z innymi, która zostanie oceniona i skrytykowana przez kolegów i która sprawi, że oburzy się na mnie, wzgardzi mną i zaraz następnego dnia mnie porzuci.

— Chciałam tylko powiedzieć — dodaję w pośpiechu — że jutro są walentynki, więc nie zwracaj sobie głowy i nic nie rób. — Prawie bym się udławiła tymi słowami.

— No jeśli ci tak na tym zależy — odpowiada, przeciągając słowa. — W takim razie o ósmej będę u ciebie.

— W porządku — mamrocze w odpowiedzi. — Super. „Psiakrew!”.

Maszeruję wokół Tesco jak ranny byk na arenie, a wtedy odzywa się moja komórka.

— Halo? — pytam, zatrzymując się wśród niekończących się półek ze śmietaną, wysokoprocentową śmietaną, niskoprocentową, ubitą śmietaną, kwaśną śmietaną...

— Natalie! — wrzeszczy jakiś głos, ale daleko mu do przyjaznego tonu, raczej wściekłego.

— Słucham — odpowiadam ostrożnie.

— Tu Andy. Babs już mi powiedziała! Więc już mi wszystko wybaczyłaś? Jesteś niewiarygodna! Jeszcze jeden tydzień pod wspólnym dachem z moimi rodzicami, a stałbym się facetem, który nosi sweter we wzorek poplamiony jajkiem i rozmawia z fryzjerami na temat losów bohaterów serialowych.

— Traciłeś kupę forszy na dojazdy — sugeruję. — Całe życie spędziłbyś w pociągach na trasie Londyn-Manchester.

— Uratowałaś mi życie — odpowiada. — Ale muszę ci powiedzieć — było blisko! No to kiedy mogę się stawić?

Jedną rzecz można powiedzieć o rodzinie Barbary. Idąc naprzód, nie oglądają się za siebie. Gdyby ktoś zaproponował mi kąt u siebie, zadałabym sobie pytanie, o co tu chodzi — czy to czysta uprzejmość, czy coś innego. Głupotą byłoby przypuszczać, że ludzie mówią to, co myślą! To tak, jak by przyrzekać przyjaźń po grób ludziom, których się poznało na urlopie w słonecznej Portugalii, po serdecznej wymianie adresów, po obietnicy odwiedzenia ich w Huddersfield, a potem po miesiącu, kiedy opalenizna już przyblednie i zapomina się o ich istnieniu, otrzymuje się beczelny i zbyt poufały telefon od dwóch nieznajomych, wpraszających się do twojego domu na weekend!

— Może być w niedzielę?

— Pasuje — odpowiada Andy. — A o której?

— Kurczę, nie wiem, nooo... ty coś zaproponuj.

— Może o trzeciej?

— Może być o trzeciej.

— Super. A teraz powiedz mi, ile będę płacił i jakie zasady obowiązują u ciebie: żadnego seksu grupowego, dragi tylko z najwyższej półki, godzina policyjna o wpół do dziewiątej?

— Godzina policyjna o ósmej piętnaście — odpowiadam poważnym tonem. — I nie więcej niż czteroosobowa grupa w łóżku.

Uśmiecham się do siebie, kiedy się rozłączam.

Chris nie jest zadowolony. Poświęciłam trzy godziny na przygotowanie wyrafinowanego posiłku: sałatki z awokado, ziemniaków w koszulkach z papryką (wg autorstwa Nigelli Lawson z jej książki *Jak dobrze zjeść*), na drugie: dorsz w szynce z szałwią i soczewicą (znowu ściągnęłam od Nigelli — ta kobieta to geniusz!), a do tego pudding czekoladowy gotowany na parze (patrz: jak wyżej). Świeża kolendra i limeta przesycają moją kuchnię cudownym, ostrym aromatem słoneczności, ziemniaki zaskakują swoją kruchością, zielona sałatka z awokado swoją gęstością; do tego chłodna, śliska, biała ryba, różowoperłowa szynka, błyszcząca, brązowa soczewica, piękna kolorystyka, wspaniała martwa natura! Ten wszechogarniający zapach gorącej, smakowitej, wilgotnej czekolady dopada moje zmysły jak wampir szyję swojej ofiary. Posiekałam, utłukłam, obrałam, wydrylowałam, pokroiłam i zagotowałam, a potem przyglądałam się, jak Chris zmiata wszystko żarłocznie do ostatniego kawałeczka.

Ma poważną minę, kiedy bowiem wydrapuje resztki czekoladowego puddingu z porcelanowego talerza, informuję go, że Andy wprowadzi się do mnie w niedzielę. Może i niezbyt fortunnie wybrałam czas, ale po rozmowie z Babs czuję się pewniejsza. Wiem także, że nic nie dostanę na walentynki i jeśli da mi kopa, to nie ma się teraz czym przejmować. (Nauczyłam się takiego podejścia od Tony'ego, który kiedyś zainicjował debatę w „Black Moon Records” zatytułowaną: *Jak chcesz być zamordowany?* Prezes wytwórni powiedział, że chciałby być zamordowany w dość szybki i bezbolesny sposób, najchętniej, żeby chory psychicznie lekarz dał mu zastrzyk z morfiny. Mój brat wołał być zabity w bardziej krwawy sposób przez szalonego psychopata: „Chcę zatykać dreny, chcę, żeby w niedzielnym wydaniu gazet poświęcili dwie strony mojej śmierci...”. Nie była to dyskusja na poziomie, ale jej przesłanie brzmiało: jeśli odchodzisz, musisz odejść z hukiem).

— Co to za Andy? — spytał.

— Brat Babs. Z mojej strony to czysto materialne posunięcie — tłumaczę, dygocąc w środku. — Zostanie u mnie tylko przez kilka miesięcy. Dopóki jego lokatorzy nie wyprowadzą się — dodaję jeszcze. — Ma własne mieszkanie w Pimlico. Jest w porządku, tylko trochę mało rozgarnięty. A ja potrzebuję pieniędzy, poza tym... jestem to winna Babs.

— No pewnie — potwierdza głucho. Odsuwa talerz i zapala papierosa. Ponieważ sam mnie nie częstuje, dlatego nerwowym ruchem sięgam po swojego. — A czym się ten tępak zajmuje?

— Dokładnie nie wiem. Kiedyś zajmował się finansami. Chris pociąga nosem. Zachowanie to ma ukryty podtekst, który odczytuję jako: „kapitalistyczna świnia”.

— Pamiętasz, byłeś... byliśmy na jego przyjęciu urodzinowym w tej meksykańskiej restauracji. Pamiętasz, karaoke?

Bez słowa, pogardliwie wydmuchuje obłok papierosowy.

Strzepuję popiół do swojej srebrnej popielniczki od Healsa i zastanawiam się, czy nie zrezygnować z propozycji złożonej Babs. Z jednej strony nie chcę, by Chris się przejmował, a z drugiej zależy mi, by moja przyjaciółka się nie obraziła. Już mam zamiar przeprosić go za swoją bezmyślność, ale w tym momencie podrywa się z krzesła i oświadcza:

— Muszę się zbierać.

— Już idziesz?

— Masz coś przeciwko temu? — pyta takim głosem, który ściąłby wszystkie drzewa w całym lesie.

— Nie. Pewnie, że nie — zaczynam się jąkać.

— Zapamiętaj sobie, księżniczko — warknął na odchodnym. — Nie zamierzam się wtrącać.

Capisce?

Nikt nigdy przedtem nie mówił do mnie „capisce” i polectało to moją dumę przedstawicielki klasy średniej. Poczułam się wspaniale. Co nie znaczy jednak, że nie siedziałam przy stole i w duchu nie rozmyślałam o własnej, bezdennej głupocie, niepotrzebnym obiedzie, bezsensownych wysiłkach i katastrofalnej imprezie walentynkowej, i że nic nie potrafię zrobić, i że mam wprost niesamowity talent do dołowania innych, i że inni na mnie krzyczą i zawsze ode mnie odchodzą. Ale kiedy dziesięć po dwunastej przestałam marudzić, zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy jakiś nie-maniak oskarżył mnie o chodzenie z nim. A ponieważ jestem niezbyt mądra, poczułam pewną dumę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Czternastego lutego nastawiłam budzik na wczesną porę, ale kiedy zaczął wydzierać się o siódmej, już nie spałam. Po tym jak dziesięć po pierwszej nad ranem zadzwoniła Kimberli Ann, by porozmawiać o moich problemach, nie mogłam zasnąć.

Prawdę powiedziawszy, jest inteligentną dziewczyną, ale koncentruje się tylko na sobie i wydaje się jej, że cały świat kręci się wokół niej, i w ten sposób robi z siebie idiotkę. Jej zdaniem posiada ogromne pokłady współczucia, ale postrzega wszystko ze swojego punktu widzenia. Nie pomaga komuś z przywiązania czy z miłości do tej osoby, ale dlatego, że pragnie zainteresować otoczenie światem Kimberli Ann (pewnie udało się jej już nawrócić mojego ojca). W końcu i tak dostaje, czego chce — na przykład kontrakt filmowy — bo to jest dla niej najważniejsze. Nie jest zbyt błyskotliwa, ale całkiem dobra.

Leżę więc sobie w łóżku wypompowana ze spuchniętymi oczami i prowadzę z nią interesujący dialog, choć pewnie nie na taki temat, na jaki mój ojciec sądził. Zdumiała się, kiedy usłyszała, ile schudłam, ale z tego, co powiedział Vinny (o rany — to mój ojciec!), mój stan był prawie krytyczny, to coś więcej niż zaburzenia dietetyczne. Jestem bardzo wysoka i sporo ważyłam, więc z tego wynika, że nie kwalifikuję się na typową anorektyczkę, nie schudłam też na tyle, by zabrać mnie od razu do szpitala i napychać kalorycznymi obiadkami.

Zgadza się? No, zgadza się. Więc jeśli chcę mieć zgrabną sylwetkę, to Kimberly Ann zna na to dobry sposób. Nie powinnam się głodzić. Nie jest to dobre dla zdrowia, jak mnie poinformowała. Organizm wtedy zaczyna magazynować tłuszcz. To tak jakby znaleźć się na bezludnej wyspie, wówczas przemiana materii staje się wolniejsza. Czy wiem, co to są blokery? To składniki blokujące wchłanianie dietetycznego tłuszczu. Jak poradzę już sobie z tym problemem, będę mogła objadać się słodyczami, ciasteczkami — bezkarnie grzeszyć cały boży dzień. Może i będę zmuszona biegać co chwila do łazienki, może i będę miała kłopoty trawienne, tłuste plamy w muszli sedesowej i niemożność panowania nad swoimi kiszkaami, ale, u diabła!, jestem pewna, że nie będę musiała kontrolować swego budżetu cukrowego!

Kiedy po tym mądrym spostrzeżeniu odsapnęłam z ulgą, Kimberly radzi, żebym się porządnie wyspała, niewystarczająca ilość snu stanowi bowiem jedną z przyczyn panującej obecnie epidemii tuszki w Ameryce.

Moim zdaniem to żart. Jednak ta wzbudzająca grozę perspektywa nie pozwala mi zupełnie zasnąć aż do samego rana. Mimo że głowa mi ciąży, jakby ktoś wlewał mi przez całą noc roztopiony ołów do ucha, kiedy słyszę budzik, zadowolona podnoszę się z łóżka. Dochodzę do wniosku, że dobrze mieć prawo wyboru — przecież na tym opiera się demokracja — ale te blokery tłuszczu są dla ludzi, którym brakuje silnej woli. Wystarczy mi problemów i dlatego nie mam czasu na częste wizyty w toalecie.

Poza tym dzisiaj muszę spełnić obietnicę daną Babs. Muszę jeść tyle, by włosy przestały mi wypadać. Stąd ten budzik. I krzątam się, szukam ubrania, chcąc opóźnić chwilę, w której będę musiała zasiąść za stołem. Wykładam talerz, mój ulubiony kubek z napisem „Królewski napój” i wyciągam z zamrażarki jedną kromkę chleba.

„Nawet jeden kawałek jest lepszy niż pieczywo chrupkie” — usłyszałam wczoraj od mojej przyjaciółki. „Chrupki chleb ma mnóstwo pęcherzyków powietrza i nic poza tym”.

To zabawne, ale ten fakt zupełnie mnie nie odstraszył. Jednak jej słowa: „Chleb pełnoziarnisty posiada witaminy wzmacniające włosy” przełamały mój opór. Nakładam troszkę masła. Potem troszkę pasty warzywnej. Jem z prędkością żółwia z zadrutowaną szczęką.

Czuję, jak serce mi wali, a żołądek cofa się przed tym atakiem. Jeden kęs. Drugi. Trzeci. Przeknięcie. Kanapka zatrzymuje mi się w przełyku i nie chce ruszyć dalej. Biorę mały łyk wody, ale

nadal czuję ból. Moje liche, nędzne włosy. Inne kobiety chudną, ale włosy im nie wypadają. Jak zwykle — nawet odchudzać się nie potrafię. Oczy zaczynają szczytać i czuję się jak ciężka, namoczona ścierka. Spoglądam na gęstą, czarną kawę. To świństwo działa przeczyszczająco. Wypijam ją i kosmyk blond włosów spada na biały obrus. Nigdzie dzisiaj nie wychodzę, to po co w ogóle wstałam? Nagle zaczynam wydzierać sobie z głowy włosy, sapiąc z bezsilności.

Otwieram zaciśniętą pięść i spoglądam obojętnym wzrokiem. Naliczyłam jedenaście. Super, Natalie! Nożyczki są w szufladzie, może by tak je skrócić? Pędzę do łazienki, by ocenić straty, dokładnie rozdzielając włosy na części jak szympanś szukający gnid. Przymykam oczy, by nie widzieć swojej krostowatej twarzy, więc nic dziwnego, że nie zauważam łysych placów.

— Ty gibonie! — mówię do siebie. Potem wchodzę na wagę. Nic się nie zmieniło. Walczę z uśmiechem, ale czuję, jak ogarnia mnie zadowolenie. Obciągam sweter, spryskuję palące policzki chłodną wodą — usuwam wszelkie dowody dziwacznej walki z sobą i wychodzę po gazety do kiosku. Zanim listonosz przyniesie rozczarowujące wiadomości.

Włosy, włosy, cenne włosy, myślę sobie, ściskając mocno palce. Nadal ciężko oddycham jak sapiąca lokomotywa. Mam dość telewizji — wszystkich kobiet idących sprężystym krokiem z błyszczącymi włosami, uśmiechniętych jak lalki, na które w pracy czekają ogromne bukiety. (Dobrze wychowani faceci zawsze wysyłają bukiety do biura). Muszę porozmawiać z Babs. Musi dodać mi trochę otuchy. O wpół do dziesiątej kończy dyżur.

Czuję, że kanapka leży mi na żołądku. Czuję, jak przykleja się do niego — mój brzuch — fee, ohydny, spuchnięty wyraz — stał się ciężki jak kula w kręgielni. By znieść jego ciężar, idąc, muszę pochylić się do przodu.

Kupuję „Telegraph” — na pierwszej stronie smutno uśmiechnięta Julietta — i nowy długopis. Przez godzinę włóczę się bez celu po High Street, próbując cieszyć się marną wolnością, a potem ociężałym krokiem wracam do domu. Okrutny listonosz nie pojawił się jeszcze. Już chcę zadzwonić na pocztę, kiedy odzywa się mój telefon.

— To ty, Natalie? Mówi Frannie.

Słyszając ten głos, wzdrygnęłam się i chwyciłam słuchawkę w dwa palce jak zgniły banan — w pewnej bezpiecznej odległości od mojego ucha.

— Cześć, Frannie! — wołam niepewnie. — Wszystkiego najlepszego z okazji walentynek! Co u ciebie! A skąd się dowiedziałaś...

— Zadzwoniłam do pracy, ale tam powiedzieli mi, że już u nich nie pracujesz. Pewnie odeszłaś na własną prośbę?

— Oczywiście!

— Zdumiewasz mnie. Nie przypuszczałam, że cię na to stać. Mam wielką ochotę walnąć głową o ścianę, by sprawdzić; czy to nie sen. Hipokryzja — zawsze, złośliwość — jak najbardziej, ale... komplement z jej strony?!

— A powiedz mi, Natalie, co wkładasz jutro na obiad u Babs i Simona?

Cooo? No to wszystko jasne! Po pierwsze, mój strój tyle ją obchodzi, co zeszłoroczny śnieg. Po drugie, Frannie uważa dyskusje na temat ubioru za uwłaczające rozmówcom. (Tak samo jak nie lubi kobiet rozprawiających na prawo i lewo o swoim uzależnieniu od czekolady. „Mężczyźni też ją lubią i jedzą jej jeszcze więcej, a nie rozgłaszają tego wszem wobec!”). A po trzecie, Frannie zapisała by się do fanklubu *Słonecznego patrolu* bez zasięgania mojej opinii, zresztą nie liczy się z moim zdaniem w żadnej kwestii.

Babs i Simon wydają przyjęcie, a mnie nie zaprosili?! Zaczyna mi się kręcić w głowie. Czy Frannie pytała mnie, kogo jeszcze zaprosili? A może Babs prosiła ją, by zachowała to w tajemnicy? A może moja przyjaciółka zapomniała mnie zaprosić? A może mąż ją poprosił, by mnie nie zapraszała? A może powodem jest jej niechęć wobec Chrisa? I dlaczego zostałam odstawiona na bocznice, teraz kiedy spróbowałam wziąć się w garść i zgodziłam się, by jej zarozumiały braciszek zamieszkał u mnie? A jego zaprosili? A może wczoraj ją czymś obraziłam? Jak mogę odpowiedzieć Frannie na jej pytanie, nie przyznając, że strzeliła mi gola (nie przyznając się, że nie dostałam zaproszenia)?

— Wiesz... jutro wieczorem jestem strasznie zajęta i dlatego, niestety, nie będę mogła przyjść — mamrocę pokrętnie.

— Och! Nie zaprosili cię?

Zaciskam zęby. Ludzie jej pokroju są obrzydliwi: jeśli zauważą w człowieku jakąś słabość, drążą i wywlekają ją na wierzch.

— A czy wiesz — ciągnie — dlaczego cię nie zaproszono?

— Nooo... nie.

— Bo byś niczego nie tknęła.

Zdumiona zaciskam usta. Chyba Babs nie powiedziała jej o wczorajszej... a może powiedziała?

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Nie udawaj! — krzyczy. — Bardzo dobrze wiesz! Nie mogę się powstrzymać, by nie zadać tego pytania.

— A... co takiego ci powiedziała? — pytam łamiącym się głosem.

— To nie ja powinnam o tym mówić — oświadcza. Mam ochotę zedrzyć jej tę obłudną maskę z twarzy. A właściwie: maski — jej i Barbary. Zdrajczynie!

— Nic mi nie jest — odpowiadam beztróska. — Odżywiam się prawidłowo.

— Jeśli to prawda, to ta wiadomość jeszcze nie doszła do twoich bioder. Moim zdaniem najwyższy czas, byś wzięła się w garść. To grzech postępować w ten sposób, kiedy w Afryce i niektórych dzielnicach Manchesteru ludzie umierają z głodu!

— Ja...

— A wiesz, jaki był drugi powód, dla którego cię nie zaprosili? Twoja złość na Simona jest widoczna i żenująca. Chodzi o to, że ty zawsze musisz być tą najważniejszą. Pojmij to, Natalie, że nie każdy stanowi dla ciebie zagrożenie. Musisz także zrozumieć, że dąsanie się jest dobre dla dzieci.

Słuchawka zaczyna drżeć mi w ręku. Mam olbrzymią ochotę odparować jej takim złośliwym dowcipem, że do końca życia oniemieje upokorzona. Niestety, mój twórczy umysł przemienił się w spaloną słońcem pustynię — popękaną i porastającą z rzadka chwastami. A w rzeczywistości ta wiedźma odłożyła słuchawkę, zanim zdążyłam cokolwiek wymyślić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

— Pochwa — powiedział kiedyś mój ojciec ginekolog — przypomina starą skarpetę. Zacerujesz dziurę na pięcie, ale wtedy robi się nowa na palcach. Można ją uszkodzić w różnych miejscach. Naprawiasz w jednym miejscu, psuje się w drugim.

Moim zdaniem tak samo jest z przyjaźnią. Próbowaliśmy z Babs zniwelować dzielące nas różnice, a ona ukryła przede mną przyjęcie i w ten sposób wydarła w naszej relacji olbrzymią dziurę. Znowu poczułam chęć wyjścia z domu. Muszę sobie kupić książkę na temat redukcji zatrudnienia. Idę ulicą i konfabuluje, czyby tak nie wpaść na wspomniane przyjęcie. Mogłabym zagaić w ten sposób: „Witaj, Babs! Byłam w okolicy i przyszło mi do głowy, żeby wpaść do ciebie. Ojej, widzę, że nie jesteś sama! Już znikam, nie będę przeszkadzać. Nie, nie, nie przejmuj się mną! Zjem sobie w domu miseczkę zimnej kaszki, popiję smakowitą kranówką, a jak poczuję samotność, to zaproszę Pirka. Będę się świetnie bawić, naprawdę...”.

Można by tak zrobić, prawda? Człowiek, jak nie ma z kim porozmawiać, zamienia się w ponuraka! Przykleili mi etykietkę obraźliwej! Wszyscy wiedzą, że obraziłam się na Simona. Ale w takim razie Frannie nie jest uczciwa. Zapewnia mnie, że nikt nie stanowi dla mnie żadnego zagrożenia, natomiast sama od szesnastu lat usiłuje zagrozić mojej pozycji! A co się tyczy narzekania, w moim towarzystwie zawsze ktoś musi być „Number One” — nie zaprzeczam! Przecież ktoś musi nim być, to dlaczego nie mogę być ja! Czy jest sens, by być „Number Two”? Przecież to porażka.

Chwileczkę, przecież właśnie straciłam pracę. To się nazywa porażka. Przeglądałam półkę z książkami i nagle natrafiam na: *Redukcja zatrudnienia — przewodnik: jak wieść szczęśliwsze i łatwiejsze życie*. Pewnie to pierwszy egzemplarz, jaki sprzedadzą. Rezygnuję z *Jak łatwo zarobić pieniądze*, nie mam bowiem ochoty sprawiać wrażenia zrozpaczonej desperatki na deprymująco uprzejmych

sprzedawczyniach. Marnuję dwadzieścia pięć funtów na domową szmirę: *Sto luksusowych wnętrz*, żeby je zmylić. To może zrobić wrażenie na Andym — to mój lokator, przynajmniej od jutra! Poprawiam sobie humor, chociaż na tyle, by przyznać, że w pewnym sensie pojmuję, dlaczego nie znalazłam się na liście zaproszonych gości. Nie przycisnęłam Simona do piersi na przywitanie (co mogłoby zresztą być opacznie zrozumiane). Przecież ostatnim razem, kiedy mnie zaprosili, bawiłam się przy stole jedzeniem jak rozpieszczony dzieciak.

To znowu wprawiło mnie w zły nastrój. Nie potrafię pozbyć się wrażenia, że każdy próbuje mnie utuczyć. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby im to uniemożliwić. To ja zawsze namawiam innych do jedzenia! Kiedyś wcisnęłam w Pirka całą paczkę ciasteczek czekoladowych — z czystej przyjemności, że to ktoś inny przybiera na wadze (choć później z tego powodu zwymiotował w zakładowej windzie). Moim kolejnym zmartwieniem jest to, że Chris nie zadzwonił. Dzisiaj czternasty lutego, a nic nie dostałam! Nie chodzi o to, że zależy mi na prezencie, ale mógłby przynajmniej przysłać mi kartkę. Ale może w ten właśnie sposób chce mi okazać, że mnie lubi? Gdybym tylko potrafiła rozszyfrować, jak mam rozumieć jego zachowanie.

Otwieram drzwi, z pochyloną głową wkraczam do kuchni i zamieram. Na stole zasłanym białym obrusem stoi mały wazonik z terakoty z miłośnicie czerwonymi pąkami kwiatów. Odrzynam przypiętą do celofanu kopertę. Co może być w środku? Wycieczka do Paryża? A tam czytam: „Moja droga, przynajmniej zadzwoń do Pipkinsów! Zostawiam ci w lodówce trochę jedzenia — niestety ze sklepu, przepraszam cię za to, w tym tygodniu mieliśmy w pracy urwanie głowy — musisz mi powiedzieć, co lubi Andy! Dziś wieczorem mnie nie będzie, wychodzę na brydża, ale jutro do ciebie zadzwonię. Mama”.

Opadłam na krzesło, a po chwili — byłoby to z mojej strony dziecinada, gdybym tego nie zrobiła — z czułością nalałam wody do wazonu. Następnie odwróciłam się i zdecydowanym ruchem otworzyłam lodówkę. Od panującego tam natłoku zakręciło mi się w głowie. Tuńczyk i słodka kukuzydla, dalej łosoś i topiony serek w zgrabnych słoiczkach, wędzony łosoś, pasztet z kraba, sushi — dobry Boże, pewnie już nic nie zostało w morzu, szparagi w cieście, spaghetti, cztery opakowania kluszek z serem, ricotta i kluski ze szpinakiem, ser i kluski ze smażonymi pomidorami — uwaga, jeśli ktoś ma alergię na potrawy mączne, jeden ananas, dwa owoce mango, zielony sos, czerwony sos, sok pomidorowy, serek wiejski, grzyby, cebula, mielone wołowe, pizza pepperoni i cztery puszki piwa — o kurczę, porządny zapas żarcia dla dorosłego faceta!

Zatrząskuję lodówkę i wycofuję się. Zazwyczaj po takiej inwigilacji biorę torbę na śmieci z drugiej półki po lewej i metodycznie, powoli wrzucam wszystkie smakołyki do kosza. Muszę wyszorować lodówkę do czysta. Mam wielką ochotę, by pozbyć się tego wszystkiego, byle dalej ode mnie. Nie mogę na to patrzeć, bo sama świadomość obecności takiej masy jedzenia atakuje mnie jak zapach gnijącego ciała. Zaciskam pięści i wbijam paznokcie w dłonie, aż zaczynam odczuwać ból. W końcu to

ja opuszczam mieszkanie. Po raz trzeci dziś rano. Idę do sklepu wideo i szybko wybieram trzy filmy odpowiednie do dzisiejszego nastroju i powracam do domu.

Mam już plan.

Całe jedzenie chowam do zamrażarki z wyjątkiem owoców, spaghetti i soku ze świeżych pomidorów, które ustawiam w jednym rzędzie z boku. Następnie odkurzam pokój Andy'ego, gotuję wodę w moim dzbanku Porsche na miętową herbatę, siadam na mojej zamuszonej kanapie od Healsa, nastawiam sonatę z *Dziadka do orzechów* na mojej wieży firmy Nakamichi Soundspace 8 stereo, zapalam świecę z zapachem Aveda i zabieram się do studiowania *Redukcji zatrudnienia — przewodnik: jak wieść szczęśliwe i łatwiejsze życie*. Bardzo pouczająca lektura. Mogłabym zaoszczędzić na wizycie u kosmetyczki, zostać w domu i wypucować sobie buzię ciepłą flanelą. Aha, jeszcze musiałabym pójść do urzędu, by wpisać do rejestru moją działkę — Primrose Hill jest dużym parkiem, nie powinno być problemów z wydzieleniem niewielkiej parceli.

Gdyby jednak były jakieś kłopoty, będę musiała skontaktować się z Originai Organics Ltd., firmą, która pomoże załatwić sprawę. Następnie wkładam kasetę do magnetowidu: *Full Metal Jacket*. Robię sobie półgodzinną przerwę na obiad — pół miski spaghetti ugotowanego bez oleju z łyżką sosu pomidorowego. Kroję makaron w małe kostki i powoli, ostrożnie wpycham je w siebie. Mniej więcej: czterysta kalorii. Kolejne sto to mango. Ta liczba mnie uspokaja, ale cały obrządek strasznie nudzi. Nie lubię jeść. To takie nudne. Nic nie ma smaku. To jak codzienny obowiązek. Chciałabym zrobić jak Joan Collins: podzielić jedzenie na talerzu na dwie części i jedną zostawić, ale każde ustępstwo na rzecz wstrzeźliwości od jedzenia grozi wypadaniem włosów kępami. Babs powinna mi być wdzięczna.

Wpycham w siebie ostatni kęs spaghetti w nadziei, że każda witamina dotrze dokładnie do każdego mieszka, a potem pucuję na połysk miskę i rondel. Ostatnie godziny dnia spędzam na oglądaniu *Cienkiej czerwonej linii* i oryginalnej wersji *Okrętu*.

Rano budzę się orzeźwiona wczorajszą filmową strzelaniną i idę prosto na siłownię. W każdą sobotę o ósmej Londyn jest wyludniony. Pędzę pustymi ulicami, czując wyższość wobec tej gnuśnej populacji. Z hukiem wpadam na salę, lecę prościutko na bieżnię i szybko ogarnia mnie błogi spokój. Raz, dwa. Czy Alex przyjdzie? Raz, dwa. Czy w weekendy są zajęcia z pilatesu? Raz, dwa. Chciałabym znowu się z nią spotkać. Raz. Dwa. Ale nie znamy się jeszcze. Raz. Nie można wpraszać się w czyjeś życie. Raz. Jeśli nie zapraszają, koniec, kropka.

Wracam do domu i biorę prysznic. W publicznych przebieralniach gapią się na mnie głupkowato i wtedy zaczynam czuć się jak Małgosia (ta od Jasia), którą czarownica mierzy wzrokiem, czy zmieści się w garnku. Przestałam się kąpać, nie mogę bowiem ścierpieć widoku moich pływających włosów. Wychodziłam z wody i kosmyki włosów przyklejały się do mnie jak pajęczyna, ich przebiegłe laskotanie mówiło mi odrażającą prawdę. Pod prysznicem włosy opadały, woda je zmywała, a ja uno-

siłam się w oceanie niewiedzy. Wycisnęłam resztki odżywki do włosów i pocieszam się myślą, że gdyby między mną a Chrisem wszystko już było skończone, to przynajmniej zostaną mi kosmetyki. Nie suszę włosów suszarką — nie chcę, by spaliła to, co zostało z moich loków. Zastosowane środki ostrożności pozwalają mi mieć nadzieję, że wypadł mi tylko jeden włos.

W końcu zabieram się do śniadania. Kromka brązowego chleba, pasta warzywna. Kawa. Dokładnie to samo co wczoraj. Wytyczyłam sobie taki plan i nie chcę od niego odstępować. Nie lubię niespodzianek. Męcząc się nad kanapką, przez cały czas kalkuluje — ile kalorii mi przybyło, ile ubyło, ile jem, ile spalam. W myślach próbuję sabotować całe przedsięwzięcie. Powinnam przytyć, ale jak kiedyś powiedziała Liz Hurley, gdybym była tak gruba jak Marilyn Monroe, popełniłabym samobójstwo. Czym zajmują się ludzie, którzy nie myślą o jedzeniu? Ich życie wypełnione jest pustką, otchłanią nicości przerywaną przypadkowymi posiłkami. O czym bym myślała, gdybym nie myślała o jedzeniu? Myślałabym o tym, o czym się nie myśli. Jedzenie jest nieustannym tematem moich rozmyślań. Dlatego gryzę kanapkę i dokonuję obliczeń.

Muszę utrzymywać porządek. Podnoszę okruchy z podłogi i naraz coś przychodzi mi do głowy. A jeśli Chris widział mnie, jak to robię! Zrzucam więc okruchy z powrotem na podłogę, wkładam naczynia do zlewu i przypominają mi się słowa Babs: „Choć raz zostaw to cholerne zmywanie!”. No dobra. Mogę zostawić — do jutra. Albo lepiej do wieczora (trzeba zachować rozsądek). Czuję, że ten przełom w moim życiu daje mi ważny powód, by zadzwonić do mojej przyjaciółki. Przecież mogę ją zaprosić do siebie, kiedy jej brat się tu sprowadzi. Nic na to nie poradzę, że robi jej się głupio z powodu mojej gościnności, kiedy porówna ją do swojej, prawda?

— No to wszystko po staremu — oświadczają, kiedy opowiadam jej o zmywaniu. Kiedy słyszę jej stwierdzenie, czuję się jak idiotka.

— A może wpadłabyś jutro do mnie, kiedy Andy się wprowadzi? Oczywiście, Simona też zapraszam — dodaję szybko, by moja wielkoduszność nie została opacznie zrozumiana.

— Świetny pomysł! — oznajmia. — Spytam go, czy ma wolne. — Ani śladu zaskoczenia czy poczucia winy. W głosie jej słyszę jedynie beztroskę i pogodę ducha. Pewnie przed chwilą uprawiała seks. Korci mnie bardzo, by spytać: „A co robisz dziś wieczorem?”, ale jestem zbyt tchórzem podsztyta. Zamiast tego wyjawiam oschłym tonem:

— Próbuję jeść więcej, jak przekonywałaś.

— Naprawdę? To się cieszę.

Czekam na gorętsze słowa pochwały, ale na czekaniu się kończy. Nie do wiary! To tak jakby twój jedyny, wybrany stwierdził rano, że byłaś dla niego tylko miłą przygodą. Już zapomniała o naszej szczerzej i poważnej rozmowie? Jak odsłoniłam przed nią swoją duszę i bieliznę? A teraz zachowuje się jak gdyby nigdy nic! Żadnych słów otuchy ani pochwały? Potrzebuję wsparcia (to niezbędne mi do

życia). W tym momencie przypomina mi się mama. Już mam na końcu języka chłodną ripostę, a wtedy Babs mówi szczebiotliwie:

— No to, Nat, baw się dobrze. Do zobaczenia jutro. — I szybko się rozłącza. Patrzę na słuchawkę i dochodzę do wniosku, że powinnam być bardziej spontaniczna.

Niedzielne popołudnie — apogeum nijakiego weekendu. Kiedy po raz trzeci z rzędu dezynfekuję muszlę klozetową, dobiega mnie dzwonek u drzwi. Założę się, że to Andy. Przyszedł przed czasem, ale wolę to, niżby się miał spóźnić. Spóźnialstwo mnie drażni. Przyglądam się w lustrze swoim zębom, zrywam z siebie fartuch, wieszam go na haczyku i otwieram drzwi na oścież.

— Sie ma! — mówi Chris, opierając się o framugę. Widzę tylko jego wydatne kości policzkowe i ostre rysy twarzy. Całość uzupełniają ciemne oczy i usta, które sprowadzają człowieka na skraj przepaści.

Powinnam od razu zareagować słowami: „Nie mam czasu”, jednak w mojej głowie następuje krótkie spięcie. Mogłabym w tym momencie wcisnąć „rozmrzanie” i wczłgać się do mikrofalówki. Facet nadal na mnie tak działa.

— Mam coś dla ciebie — stwierdza od niechcienia i podaje mi białą, plastikową torbę. — W piątek byłem zajęty.

Przyniósł mi prezent! On kupił mi prezent! Najcenniejszy prezent na świecie! Zaglądam do środka — płyta CD. „Offspring” — czytam na okładce.

— Ojej! — szczerzę sztucznie zęby, nie mając odwagi się przyznać, że nigdy o nich nie słyszałam. — Dziękuję.

Uśmiecha się z zadowoleniem.

— Pochodzą ze Stanów. Świetna kapela. Siny Diabeł inspirował ich muzyką. — Lekkim krokiem wchodzi do salonu. Patrzę, jak podchodzi do odtwarzacza w swoich znoszonych adidasach i luźnych dżinsach. Dlaczego podobają mi się faceci, którzy nie mają wcale tyłka?

— Chcę cię poinformować — dodaję nerwowym tonem — że za chwilę zjawi się tu mój lokator.

Przygotowuję się na awanturę, ale on kiwa tylko głową i oświadcza:

— Przecież wiem o tym, księżniczko. Już mi mówiłaś. — Uśmiecha się do mnie. Odwzajemniam się tym samym, ale czuję się jak lokatorka mająca wizytę właściciela. Coś mi tu nie pasuje. Czego on chce?

— No, to o co ci chodzi? — pytam bez ceregieli.

Chris ponownie się uśmiecha. Nigdy przedtem nie robił tego z taką intensywnością. Jeśli za chwilę nie przestanie, będzie można się ogrzać przy jego uśmiechu.

— O to i owo — odpowiada tylko, odgarniając mi włosy i całując w szyję.

— Faj! — mówię tylko, wdychając jego zadymiony zapach i walcząc, by nie zemdleć. Nagle przerzuca mnie przez swoje wrzecionowate ramię i niesie, sapiąc, do sypialni.

— Chris — proszę błagalnym tonem. — Nie możemy. Zaraz tu będą Babs i Andy...

Zamyka mi usta pocałunkiem. Obserwuję, jak jego blade, szczupłe ręce błędzą po mojej bluzce, wślizgują się pod nią, delikatnie dotykając mojej chłodnej skóry. Leżę nieruchomo. Znowu zaczyna mnie całować. Ma szeroko otwarte oczy, w których dostrzegam pożądanie. Poddaję się. To coś więcej niż tylko zaspokojenie fizyczne. To jak sen, w którym mogę wyzwolić się z siebie. Sprawia mi to ogromną przyjemność, ale nie ufam temu uczuciu. Zależy mi, by wzbudzać czyjeś pożądanie. Czuję się przez to silniejsza (choćby wrażenie takie miało trwać tylko kilka minut). Sam seks sprawia mi przyjemność, choć niepokoi mnie uczucie, jakie przy tym odczuwam. Kiedy dzwoni Andy, jestem nieprzytomna.

Chris zapala papierosa. Patrzy na mnie rozbawiony, jak nieprzytomna zeskakuję z łóżka i zaczynam gorączkowo się ubierać. Spinam włosy w ogon, klepię się po twarzy, by zlikwidować wszystkie ślady ostatnich przeżyć i ścieram grzech ze swych ust.

— No, jak wyglądam? — pytam.

— Jak po udanym seksie — stwierdza z zadowoleniem. Znowu słychać dźwięk dzwonka.

— Już idę! — wołam do drzwi.

— Może jeszcze raz? — cedzi słowa Chris.

Uśmiecham się do niego i biegnę do łazienki. Wkładam do buzi kapkę pasty do zębów i pędzę do drzwi. Mój nowy lokator stoi w drzwiach ubrany w dżinsy i koszulkę bawełnianą, a w ręku ściska torbę z jakimiś kablami.

— Cześć! — wykrzykuję, rumieniąc się przy tym po koniuszki włosów. — Przepraszam cię, ale właśnie sprzątałam. — Andy uśmiecha się zdawkowo jak ktoś, kto nie lubi czekać pod drzwiami.

— Mam nadzieję, że nie ze względu na mnie — mówi.

— Po części — odpowiadam, a wówczas jego uśmiech nabiera ciepła.

Spogląda ponad moją głowę, więc odwracam się i widzę, że Chris podchodzi do nas na bosaka i z potarganymi włosami. Wzdycham w duchu. Równie dobrze mógłby pojawić się z napisem na czole: „Właśnie uprawialiśmy seks”.

— Ummm... Chris mnie odwiedził, ale wy już chyba się znacie — wyjaśniam wstydliwie.

Chris kiwa tylko głową, zaciąga się papierosem i wyciąga chłodno rękę.

— Witaj — mówi Andy i wyczuwam w powietrzu niewypowiedziane słowo „palancie”. Przypominają mi dwa kocury z podniesionymi ogonami. Dlatego kiedy zauważam, jak Babs pokonuje dwa schody naraz, oddycham z ulgą.

— To skandal! — wykrzykuje po drodze. — Wyziewy motocyklowe zatruwają całe Primrose Hill! Czy tu organizują jakieś zawody?

— Babs! — wołam. — Och, i Simon! Wejdźcie. Chris, zobacz, Simon przyszedł!

Chris przestaje się jeżyć, a ostry wyraz twarzy Andy'ego łagodnieje.

— Tak się cieszę — stwierdzam z ulgą (już czekałam, kiedy obaj zdejmą spodnie i zaczną porównywać swoje penisy). — Chodź, Andy, pokażę ci twój pokój. Będziesz tam mógł zostawić tę torbę z yyy... tymi kablami.

Babs spogląda na swego brata i wybucha śmiechem.

— Przyniosłeś torbę z kablami, prawda? — pyta złośliwie.

Simon — wzór kolonialnej elegancji w lnianej, cienkiej koszuli i bawełnianych spodniach (a mówiąc mniej oględnie: palant) — nachyla się nade mną, bym go pocałowała i wyjaśnia:

— Każdy facet powyżej dwunastego roku życia nosi ze sobą jakieś kable, to się nazywa rytuał przejścia.

— A ja mam dwie takie torby — mówi Andy. — Co w takim razie można powiedzieć o mnie?

Simon śmieje się głębokim barytonem, pewnie zapożyczonym od ojca i stwierdza:

— Aż boję się pomyśleć.

Co za dowcip! Spoglądam nerwowo na Andy'ego i zanim zdążyłam pomyśleć, wypaliłam:

— Pewnie masz niezgorsze wyposażenie?

Dowcip wymknął mi się niepostrzeżenie i na krótką chwilę wstrzymałam oddech w nadziei, że brak tlenu ściągnie go z powrotem, a wtedy wszyscy spojrzeli na mnie i roześmiali się — wszyscy z wyjątkiem Simona i Chrisa. Uśmiecham się do Andy'ego. Z trudem przychodzi mi droczyć się z nim. Z jednej strony miałam ochotę wyśmiewać się z niego, afiszować się w jego obecności z Chrisem, by go ukarać za zbyt szybko zapomniane grzechy młodości. Kiedy nasze całowanie obrócił w żart, zranił mnie i postanowiłam zemścić się na nim. Ale odkąd pojawił się, ściskając w ręku torbę z kablami, czuję, jak jad zaczyna znikać. Śmiech rozjaśnia mu twarz. Najchętniej nie odrywałabym od niego oczu, jednak widząc Chrisa z miną Królowej Śniegu, opanowuję się.

— No to, Natalie, pokażesz mi moją kwaterę? — pyta Andy prowokującym tonem, jak podejrzewam, by rozdrażnić Chrisa. Widzę, że połączyła ich nienawiść od pierwszego wejrzenia. „A jak — mam ochotę spytać Babs — układają się stosunki między Simonem a jej bratem?”. Sądziłam, że stali się kumplami, ale jak zdołałam zauważyć, dosłownie skaczą sobie do gardeł.

— No pewnie — odpowiadam, zastanawiając się, czy czasem nie dolewam w ten sposób oliwy do ognia.

— A ja zrobię herbatę — proponuje Babs.

Simon chrząka, ciężkim krokiem wchodzi do salonu i sadowi się na mojej zamszowej kanapie. Nie zgodziłabym się, ale jego lniana, biała koszula i beżowe, bawełniane spodnie pasują do kolorystyki. Chris obrażony, z nosem do góry idzie w jego ślady. Znużona uśmiecham się do Andy'ego i informuję:

— Wycieczkę proszę za mną.

Podąża za mną, uderzając ciężkimi buciorami w moją malowaną podłogę, stwierdzając:

— Twoje mieszkanie wygląda jak na pokaz! Wynajmujesz komuś?

Dumny uśmiech znika mi z twarzy i wyrzucam z siebie zdawkowe:

— Nie!

Andy spostrzega swój błąd i dodaje:

— Po wielu miesiącach życia w przeładowanej tandencie to miejsce jest fantastyczne. Kojarzy mi się z minimalizmem lat siedemdziesiątych. Chyba lepiej będzie, jak drugą torbę z kablami zostawię w bagażniku. Czuję się tutaj jak flejtuch. Nie mogę pojąć, jak tolerujesz Babs — poważnie, ta kobieta stanowi zagrożenie pożarowe!

Doceniam jego starania, dlatego obdarzam go uśmiechem, a on odwzajemnia się tym samym. Ma ładne zęby, mocno zarysowaną szczękę i skośne, zielone oczy. Nos prosty, choć na środku nieznaczne wybrzuszenie. Włosy koloru ciemnobłond. Patrzę na jego życzliwą, szczerą twarz i myślę sobie: „Nieważne, czy przyniesiesz tę torbę z kablami, czy nie, zawsze będziesz wyglądał, jakbyś prze-wędrował całe Indie za pożyczone pieniądze”.

— Czy przypadkiem nie mam zębów pobrudzonych szminką? — pyta.

— Nie, nie, yyy.... zastanawia mnie, że ty i Babs jesteście zupełnie do siebie niepodobni.

Andy unosi brwi i odpowiada tylko:

— To prawda.

— Oto twój pokój! — wykrzykuję.

— Błyszcząca kula! Jak w programach Austin Powers! Uśmiecham się w odpowiedzi.

— Podziękuj swojej siostrze — dodaję.

— Jest super! Będzie super. Pokój jest super. Lubię duże okna. — Podbiega do okien i otwiera je na oścież. — Musimy to oblać! — wykrzykuje. — Wydajemy przyjęcie w Primrose Hill. Żarcie z KFC! Ja stawiam!

Naturalnie żartuje. Poza tym moja stopa nie postąpiłaby w takiej speluncie z obawy przed ohydną oliwą, na jakiej smażą tam jedzenie. Widzę, że Chris ma wielką ochotę wyrzucić go przez okno.

— Przykro mi, stary — mruknął od drzwi tonem, z którego wynikało, że wcale mu nie jest przykro. — Pamiętaj, że to moja dziewczyna i że dzisiaj wieczorem ona ma randkę ze mną.

Spojrzeliliśmy z Andym na siebie. Sprawy poszły ździebełko za daleko, jak zwykł mówić Tony, ale przez ułamek sekundy miałam nadzieję, że tych dwoje rzuci się na siebie z mojego powodu jak dwa beańskie psy bijące się o kawałek mięsa. Serce mi podskoczyło do gardła i żałowałam, że nie posiadam koronkowej chusteczki, którą mogłabym wytrzeć sobie lekko rozpalone czoło. A jeśli w Chrisie rodzi się uczucie jedynie pod wpływem urojonej konkurencji? A tam!, najważniejsze że jest. On chce iść ze mną na randkę! Nie mogę sobie przypomnieć, żeby przedtem użył tego słowa.

Tak zanurzyłam się w te romantyczne rozważania, że ze zdumienia nie potrafiłam wydobyć głosu, a wtedy Andy warknął:

— Natalie potrafi mówić za siebie. A może poszukałbyś sobie innej dziewczyny? Reagujesz bardzo paranoicznie, przydałaby ci się jakaś zmiana.

Te słowa zabiły romantyczny nastrój chwili. A gdzie się podziały skrzypce i zachód słońca?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Kiedy mój ojciec po raz pierwszy przyjechał do Los Angeles, zamieszkał w Beverley Wilshire. Pewnego dnia postanowił pokonać pieszo trzyminutową trasę w poszukiwaniu herbaty w torebkach. Kierowca mijającej go drogiej limuzyny wychylił się i jak nie wrzaśnie: „Żebraku! Nie stać cię na żadną brykę?!”. Ojciec udał, że to nie do niego. Ale prawda jest taka, że moi rodzice mają bardzo pokojowe natury. Raz moja mama zdobyła się na ogromną odwagę i zwróciła się do pewnej kobiety w supermarkecie tymi słowami: „Proszę zwrócić uwagę na swoje dziecko”. Wówczas nagabywana odparła: „Nie widzę potrzeby”, i wtedy moja matka wycofała się. Ponieważ odziedziczyłam „geny tchórza”, to w mgnieniu oka wiedziałam, że nie mam ochoty, by Chris i Andy bili się o mnie.

— Posłuchaj, Chris — mówię, uśmiechając się sztucznie z obawą, że go zdenerwuję — nic się nie stało. To był tylko żart. — Uśmiecham się przerażona do Andy'ego — co najlepszego narobiłeś, idioto! — Po czym pytam go: — Może mam ci pomóc przynieść resztę twoich rzeczy z samochodu?

Przecząco kiwa głową.

— Poradzę sobie.

Jego naburmuszona mina plus rozwichrzone włosy na krótką chwilę ujmują mu przynajmniej sześć lat. Nie mam pojęcia, co mu się stało. Niechętnie odsuwam od siebie myśl, że nagle zakochał się we mnie i że naprawdę miał wielką ochotę, bym pocałowała go na przywitanie wtedy na przyjęciu. Od czasu jego powrotu obserwowałam go i doszłam do wniosku, że patrzy na mnie jakoś inaczej. (Jestem specjalistką od ukradkowego obserwowania mężczyzn, którzy skrycie na mnie patrzą). Nie flirtuje ze mną. Nie ucieka przed moim wzrokiem. Traktuje mnie jak kumpla. No to chyba nie jest zazdrosny o Chrisa, musi być jakiś inny powód. A może to dlatego, jak mówią testy naukowe, że uznał Chrisa za palanta?

— Andy... dobrze się czuje? — zwracam się szeptem do Babs dziesięć minut później, układając ciasteczka na talerzu. — Chyba Chris zbyt nie przypadł mu do gustu.

Powstrzymuję się, żeby nie powiedzieć to, co mam na myśli: „Tyle czasu byczył się w Indiach, że powinien czuć się zrelaksowany. Nigdy nie widziałam takiego chamskiego zachowania!”.

Babs robi minę i kopniakiem zamyka drzwi.

— Ojej! — zapiszczała — moje ulubione biszkopty! — Wzięła jeden, szybko schrupała i oznajmiła: — Prawdę powiedziawszy, to przez Robbiego. Nie powinnam tego powtarzać, ale strasznie mu się spodobałaś, ale ty dałaś mu kopa. To najlepszy kumpel Andy'ego, a on za wszystko obwinia Chrisa.

Moja mina mówi: „Jestem wzruszona takim wyjaśnieniem, ale co Chris ma z tym wspólnego? Kim on jest — alfonszem?”.

Zauważam na twarzy mojej przyjaciółki oznaki poczucia winy, które powinno pojawić się dużo wcześniej.

— Nic na to nie poradzę — mamrocze.

— Przepraszam, nie dosłyszałam — odpowiadam.

— Wczoraj wieczorem — rozpoczyna z westchnieniem — przyszło do nas parę osób, między innymi Andy. Kiedy zgadaliśmy się o jego dzisiejszej przeprowadzce, wypłynął temat Chrisa — jak to się zmienił od czasu, gdy Simon go poznał, na gorsze oczywiście. Szczerze muszę przyznać, co oświadczyłam — w tym momencie przybrała wyzywający ton — że spotkania z nim nie wyszły ci na dobre. Mówię to tylko dlatego, że martwię się o ciebie, Nat — dodaje ostrym tonem. Głos jej się załamuje i słowo „Nat” wymawia, jakby to były dwie sylaby.

Czuję, że za chwilę krew zaleje mi mózg. Mówię szeptem:

— Wszystko w porządku. Rozumiem cię. Babs przerywa.

— Wiem, że jest dobry w te klocki — dodaje w końcu. Oślupiałam; a ona skąd to może wiedzieć?! Co sobie wyobraża? Kto jej o tym powiedział? Która to bezwstydną plotkarka nie potrafiła uszanować cudzych tajemnic alkowy i puściła farbę? Prawdę powiedziawszy, to chyba ja sama. — Wiem, że potrafi dotrzeć tam, gdzie żaden inny facet ani nawet ty sama nie zdołasz — dodaje. Ze zdumienia robię zeza i osuwam się na krzesło. — To jest super — wymyka się jej. — Powiem mu o tym: „Dobra robota, Chris”. Ale on był ci wtedy potrzebny. Teraz możesz już jeździć na rowerze sama — dzięki, Pomeroy, swoje już zrobiłaś!

W końcu zauważyła, że mnie zraniła. Odrzuca z twarzy kosmyk włosów, przełyka kolejny biszkopt i oświadcza:

— Przepraszam za Andy'ego. Posłuchaj, mówię ci to w tajemnicy — ale teraz pomiędzy nim a Simonem jest pewne napięcie. Bóg jedyny wie dlaczego. Simon nie chce mi powiedzieć, a ja nie zamierzam się wtrącać. Być może rezultatem jest to dzisiejsze zachowanie. Chris jest kolegą Simona. Ale proszę cię, nikomu o tym nie mów — dodaje szybko.

— Och, pewnie że nie powiem — obiecuję, tuląc do piersi istotę owej cennej informacji. Ze zdziwieniem zauważam, że sama chwytam z talerza i pożeram biszkopta. Rozpuszcza mi się w ustach jak czarodziejski pył i skleja mi buzię. Jutro na siłowni spalę każdą niepotrzebną kalorię. Wycieram

sobie usta z taką samą gwałtownością, z jaką lady Mackbet ścierała krew ze swoich rąk i proponuję: —
Może lepiej wrócimy do tamtego pokoju?

Następne trzydzieści minut stanowi problem, wspólna rozmowa jakoś się bowiem nie klei.
Mniej więcej tak to się odbywało:

Chris: — Podaj mi „Jane”.

Andy: — Jaką „Jane”?

Chris: — Jane Asher.

Andy: — Przepraszam, nie rozumiem.

Chris: — Tę cholerną popielniczkę!

Andy: — Od razu tak trzeba było mówić.

Ja: — Może ktoś chciałby biskopta?

Chris: — Biskopty Boudoir! Nie, to nie są boudoiry, to są moje ulubione — podłużne!

Babs: — Wszyscy mówią na nie boudoiry.

Andy: — A w jakiej dzielnicy Manchesteru mieszkasz, Chris?

Chris: — O co pytałeś?

Simon: — Chris nie jest z Manchesteru! Głupie pytanie! Chris to chłopak z Hertfordshire,
prawda, Chris?

Chris: — Ale jakiś czas mieszkałem w Manchesterze.

Simon: — Nadal naśladujecie Hull Adelphi?

Chris: — Wokół mojej kapeli zrobiło się wiele szumu.

Andy: — Wiele szumu? Pewnie tak samo jak w klozecie...

Chris: — Zainteresował się nami sam Piers Allen — ten z agencji Piers Artistes. To jedna z
największych agencji muzycznych. Wysłaliśmy mu swoje demo i wczoraj oddzwonił, że strasznie mu
się spodobało. Umówiliśmy się na dzisiaj.

Simon: — Na niedzielę wieczorem?

Chris: — Przyjdzie na nasz koncert. Nie znasz się na tym, człowieku.

Ja: — Ale przecież mamy randkę.

Chris: — Zgadza się, księżniczko. Czuj się zaproszona. Spodoba ci się.

Babs: — Ty to jesteś szczęściara, Nat! Włóż najlepsze ciuchy.

Włożyłam to co zawsze — szarą bluzkę, długą, granatową spódnicę i granatowe buty. Chris
podpowiada, abym wsadziła coś odłotowego, więc pytam go:

— Na przykład co? Spadochron?

Spojrzał na mnie zaskoczony — nigdy bowiem nie byłam taka pyskata. Jednak po zjedzeniu te-
go biskopta ogarnęła mnie irytacja. Poczulałam się ohydnie. Miałam poczucie winy, że przyszła mi na

niego ochota. Ucięłam rozważania na ten temat i pożegnałam się z Babs. Musnęłam nosem okolice policzka jej męża, wstrzymując powietrze, by nie poczuć zapachu wody po goleniu Homme Allure.

— No to na razie — żegnam się z Andym z bezpiecznej odległości, kiedy wychodzimy na koncert.

W samochodzie milczę i z rozbawieniem zauważam, że Chris próbuje mnie rozweselić.

— A co słyhać u naszego Tony'ego? — dopytuje się.

— Naszego? — reaguję zdumiona. — Wszystko w porządku. Dlaczego pytasz?

— A nie można? — drażni się ze mną. (Nie pasuje to do niego. Czuję się nieswojo).

Postanawiam zdobyć się na wysiłek i ciągnąć rozmowę.

— No to macie dobre wieści od Piersa Allena. To super dla Siniego Diabła — taktownie pomijam fakt, że choć początkowo Chris zignorował moją radę, by zrezygnować z członu „krwisty”, jednak w końcu zdecydował się tak zrobić — że będzie miał swojego agenta. Szczególnie takiego.

— No. A twój brat zna Piersa? — Tak bardzo się stara, by to pytanie brzmiało naturalnie, że prawie dostaje przepukliny.

Nareszcie zrozumiałam. Boi się, że Tony zmiesza go z błotem przed Piersem, zanim się dogadają. Chce mieć mnie po swojej stronie, sądząc, że brat liczy się z moim zdaniem. Tony nigdy by nie bruździł chłopakowi swojej siostry. Zachciało mi się śmiać. Jak on niewiele wie o moim bracie. Inaczej nigdy by czegoś takiego nie próbował! Mam wielką ochotę, żeby mu dokuczyć.

Korci mnie, by spytać, czy to nagłe zainteresowanie ze strony Piersa (rekina w branży rozrywki, wobec którego bohater *Szczęk* wydaje się małą rybką) ma coś wspólnego z dobrą passą zespołu. W tej branży istnieje niepisane prawo, które stanowi, że jesteś nikim, dopóki ktoś trzy miliony razy bardziej utalentowany niż ty sam nie odniesie sukcesu, a wtedy — bo podobnie jak on okazałeś się, na przykład, Walińczykiem — wytwórnice zaczną się przed tobą kłaniać (jeśli to raz wypaliło, to wypali i kolejny; potrafią wybudować Tadz Mahal z kartonów po jajkach!) i zanim zdążysz wytłumaczyć, że jesteś brytyjskim wykonawcą pop-artu, okrzykną cię impresjonistą i twój album — zatytułowany, powiedzmy, *Artystyczny falsyfikat* — robi karierę na plecach kogoś innego.

— Czy to ma coś wspólnego z tym, że *Acitate* znalazł się na topie w czwartek? — pytam. — I że Uranus podpisał kontrakt z Dogde Kitty?

W tym momencie Chris zareagował, jakbym mu wbiła w oko pałeczkę perkusisty.

— Pewnie, że nie! Coś takiego! Co ty pieprzysz? — sapie ze złości.

— Chcę tylko powiedzieć — tłumaczę, jakaś niewidzialna siła nie pozwala mi bowiem przestać — że obaj pochodzą z Doncaster, mają takie same fryzury, taki sam styl ubierania się, grają ten sam styl — trashrock, a zadziwiającym zbiegiem okoliczności Siny Diabeł spełnia te same kryteria, z wyjątkiem ostatniego, nad którym można popracować. Dlatego mają szanse na sukces.

Twarz Chrisa robi się kredowoblada. Siedzę nieruchomo i mam nadzieję, że mnie nie uderzy. Nagle bez ostrzeżenia zjeżdża na krawężnik. Czuję, jak krew w żyłach zaczyna robić się gorąca. Jakbym tam miała paliwo rakietowe. Powiedziałam mu tylko to, co uważałam za stosowne. Powiedziałam, bo sądziłam, że umówiliśmy się na randkę. Ale gdybym wiedziała, że mam dzisiaj wystąpić w charakterze ładnego drobiazgu cieszącego oczy, to chyba bym tego nie zdzierżyła.

W tym momencie uświadamiam sobie, że to trochę śmieszne z mojej strony mówić takie rzeczy. Ja, miłośniczka piękna, wzdrygam się przed drugoplanową rolą obiektu pożądania! Pewnie, że chcę być piękna, ale nie chcę być tak traktowana. Czy to dlatego, że wszyscy mają piękne kobiety za idiotki? Chyba dlatego, że pragnę mieć wszystko naraz: wygląd, inteligencję, pozycję, poważanie. W takim razie powinnam pociągnąć łyk coca-coli i zmienić samochód na lepszy. Chris (który również powinien zmienić samochód) miażdży ręczny hamulec, jakby łamał komuś kark. W tym momencie uzmysławiam sobie, że to nie czas na świąteczną listę życzeń. Pochylam się. Powinnam trzymać język za zębami.

— Natalie?

— Słucham — odpowiadam cicho i drzę na dźwięk samego imienia. A gdzie podziała się księżniczka?

— Jeśli nie masz ochoty, nie musimy iść razem na ten koncert. Może zamówię ci taksówkę? Spoglądam na niego i widzę, że bardzo chce zamówić mi tę taksówkę.

— Powodzenia w rozmowach z Piersem — dodaję na pożegnanie, mocując się z kłamką.

— Dzięki — odpowiada. Patrzy mi prosto w oczy i sprawia wrażenie, jakby dopiero teraz mnie usłyszał.

Wchodzę do domu i zastaję Andy'ego w kuchni. W jednej ręce trzyma żelazko, a w drugiej instrukcję obsługi.

— Sprawdzam, jak działa — mamrocze, kiedy zaglądam do środka. — O cholera!

— Niepotrzebnie kupiłeś nowe, mogłeś prasować moim — oświadczam.

Uśmiecha się.

— Teraz mi to mówisz? — pyta. — Nie cierpię wydawać forsy na takie duperele jak żelazko. Dlaczego tak szybko wróciłaś? Co się stało z facetem z zespołu Piss Artists?

— Piers Artistes! — poprawiam go. Nie potrafię opanować chichotu, ale jednocześnie czuję niepokój. Dopytuje się jak troskliwa mamusia! — Doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie, jeśli Chris pogada z nim sam na sam — informuję. Już otwiera buzię, kiedy nagle rozlega się dzwonek.

Marszczę czoło.

— Ciekawe, kto to. Dzisiaj nie spodziewam się nikogo.

— Ale za to ja się spodziewam — odpowiada z uśmiechem i pędzi otworzyć. Obserwuję go z ukrytym niezadowoleniem. Proszę bardzo, czuj się jak u siebie w domu!

Otwiera drzwi i wtedy słyszę piskliwy głos nastolatka:

— Sie ma! Czternaście pięćdziesiąt. Dzięki, stary!

Po dziesięciu sekundach wkracza do kuchni, niosąc w rękach dwie duże pizze. Dopada mnie słodki zapach dochodzący z pudeł.

— Jedna z mięsem — oświadczają — a druga wegetariańska, a tak naprawdę to tylko sama sałata. Dasz się zaprosić?

— Nie, dziękuję — odmawiam z przerażoną miną, nerwowo wymachując rękami.

Bez słowa otwiera jedno pudło. Nie chcę patrzeć, jednak coś mnie ciągnie jak do widoku wypadku drogowego.

— Przyniosę ci talerz, dobrze? — mówię ochryplym głosem.

— A gdzie są? Siedź, ja przyniosę — odpowiada. Pokazuję na kredens. Andy wyciąga dwa duże talerze.

— Nie, nie, dziękuję. Nie jem na takich ogromnych — protestuję. — Używam mniejszych talerzy.

— Nie ma sprawy. — Schyla się i wyciąga mniejszy. O ile pamiętam, nie wyraziłam zgody. Mimo to podaję mu nóż, a on wbija go w miękkie ciasto, podczas gdy ja przyglądam się, jak to robi.

— Jaką wolisz: z mięsem czy wegetariańską, a może z każdej po kawałku? — pyta, trzymając nóż w powietrzu.

— Wegetariańską. — Słyszę własny głos. — Wystarczy jeden kawałek.

Spodziewam się, że krzyknie: „Jeden kawałek? Tylko tyle? Przestań! Nałóżę ci więcej! Weź więcej, może pięć kawałków, a w kartonie jest jeszcze więcej, jeden kawałek” itd.

Jednak on bez żadnego komentarza nakłada mi jeden kawałek pizzy. Teraz nie ma odwrotu.

Osuwam się z rezygnacją. Mam wrażenie, że siedzę na krześle elektrycznym. Przedem na talerzu leży kawałek wegetariańskiej pizzy — tłusty, trujący kawałek. Jego ostry aromat drażni mi nozdrza, a zapach ostrej zielonej papryki wsiąka w ubranie. Nie jadłam sera. Ser zawiera dużo tłuszczu, do którego dodano tylko trochę protein dla efektu.

Nie mam ochoty nawet tego dotykać, skazać się, ale nie chcę używać sztućców. Wyglądałabym jak mój ojciec, który próbuje „zniżyć się do poziomu dziecka”. Dlatego biorę ją delikatnie palcami — nigdy nie jadłam czegoś tak ciężkostrawnego! — wkładam do ust niewielki kawałek. A potem kolejny — tym razem większy. I znowu następny. A po nim kolejny i kolejny.

— *Buon appetito!* — mówi Andy z pełną buzią.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Najbardziej podziwiam w Babs to, że potrafi zawsze znaleźć wytłumaczenie, by zrobić dokładnie to, na co ma ochotę. Kupno — mimo sprzeciwów jej rodziców — nieporęcznego ekspresu do kawy, który potrzebuje cztery godziny, by wykapać z siebie niewielką ilość płynu, a kolejnych siedem trzeba poświęcić na jego umycie, wytłumaczyła w następujący sposób: „Kiedyś będzie bezcennym antykiem”. Wydanie całej tygodniowej pensji na bony loteryjne skwitowała krótko: „Gdybym tego nie zrobiła, wówczas nie dawałaby jej spokoju myśl, że pogrzebałam szansę wygrania miliona”. A objadanie się czekoladowymi batonami wielkości słonia między obiadem a podwieczorkiem wyjaśniła w następujący sposób: „Mój organizm potrzebuje energii”.

Próbuję ją w tym naśladować i usprawiedliwiam zjedzenie pizzy następująco:

- Nieważne, co się je, ale ile. (Nie, to mi się nie podoba).
- Żadne jedzenie nie jest złe ze swej natury. (Chyba że przyrządził je terrorysta kulinarny, któremu zapłacono zbyt mało, by zechciał umyć ręce po wyjściu z toalety).
- Jeden, olbrzymi, cholerny kawał mięsa nie utuczy cię.
- Andy zjadł więcej ode mnie.

Po długim zastanowieniu nad tymi punktami i rezygnacji ze śniadania poczułam się lepiej. Idę do kiosku, by uniknąć spotkania z Andym, zanim wyjdzie do pracy albo cokolwiek innego ma w planach, kupić sobie „Vogue”. Według „Guardiana” to jedyne kobiece czasopismo, które nie zniża się do poziomu swoich czytelniczek. A także jedna z piszących w nim dziennikarek udziela porad z dziedziny psychologii, więc jestem ciekawa, czy potrafi zakwalifikować zachowanie Babs jako obronne. W tym artykule dużo piszą na temat symboli kobiecości i pomijając test, słowa, które mnie uderzają, brzmią następująco: „Musiało upłynąć trochę czasu, bym zaakceptowała to, że teraz nikt już nie nazwie mnie »szkieletem«; że muszę pogodzić się z faktem, iż już nie noszę rozmiaru trzydzieści sześć, ale czterdzieści...”.

Okropna świadomość, że jestem rozmiarem czterdzieści, zajmuje mi pamięć i nie chce zwolnić miejsca. Na jakim poziomie wtajemniczenia w zen musi znaleźć się kobieta, by była gotowa przyjąć do wiadomości, że nikt więcej nie powie o niej „szkielet”? Jak można się z tym pogodzić? Śmierć rodziców — nie ma wyjścia, trzeba to przeżyć. Ale osiągnąć gigantyczny rozmiar czterdzieści! Jak można zaakceptować dramat, którego można było uniknąć? Zdenerwowana i zamyślona zmierzam w stronę domu, pomstując na dzień, w którym wymyślono jedzenie. Zastanawiam się, jak odpokutować zjedzenie pizzy. Mam pełną świadomość ciasta przechodzącego przez moje gardło i osiadającego ciężko na moich biodrach. Czuję ogromną zawiść w stosunku do tych kobiet, które mogą się obżerać bez żadnych efektów ubocznych.

Wchodzę do domu i w korytarzu potykam się o dużą, brązową kiełbasę leżącą na podłodze. Zaczynam strasznie wrzeszczeć. Pirek leniwie podnosi łeb i spogląda na mnie swymi czerwonymi, smutnymi oczami. Aaa! Matt przyszedł!

— A gdzie tatuś? — pytam psa w nadziei, że mu się podlizę i uniknę w ten sposób pogryzienia.

Pirek ziewa i odpowiada:

— Stoi za tobą, kochana. — Wówczas wydaję pisk i odwracam się. Widzę Matta zwisającego z framugi kuchennej i próbuję zachować powagę. — Wpuścił mnie do środka niczego sobie blondynek — ale już wyszedł. Chyba to był Chris, jak przypuszczam. Zapomniałem, jak to się u ciebie szybko zmienia, Natalie. Nie mogę się połapać. Przyniosłem ci czek — dodaje.

Rumienię się, podbiegam i witam się z nim w takiej właśnie kolejności.

— Co ty sobie wyobrażasz! To Andy, mój lokator! Jaki czek?

— Twoja odprawa, kochanie! Trzymiesięczne pobory i ani grosza więcej.

— O kurczę! Zupełnie o tym zapomniałam!

— A dlaczego ja nie zapomniałem?

— Ty zawsze o wszystkim pamiętasz.

— Nie mam innego wyjścia. Uśmiechamy się do siebie.

— Nie mogę w to uwierzyć — oświadczam. — Miałeś przeze mnie tyle kłopotów. Ciągłe wszystko psułam. Nie robiłam, co do mnie należy. Wywróciłam cały dział do góry nogami, a jednak przyszedłeś tutaj — chwila, a czasem nie powinieneś być teraz w pracy?

— Wziąłem sobie dzień wolnego. Chciałem zobaczyć, czy przypadkiem nie cierpisz na kryzys egzystencjalny. Pierwszy poniedziałek bez pracy może człowieka zdołować.

— Och, Matt! Przyszedłeś do mnie w swój wolny dzień! Jesteś moim aniołem stróżem!

— Wolę, byś mnie nazywała swoją zaczarowaną matką chrzestną.

— Bardzo cię przepraszam, Matt — oznajmiam. — Wiem, że już ci to mówiłam, ale teraz jeszcze raz powtarzam. Dużo dla mnie zrobiłeś. Powinnam zostać zwolniona.

Matt opędza się od moich podziękowań.

— Zadzwoń do ciebie, kiedy zostaniesz sławna i bogata, przyrzekam. Ale zanim do tego dojdzie, napiszę ci referencje. Rozglądałaś się już za jakąś pracą? — Pokazuje głową na „Vogue”. — Czy postanowiłaś spędzić resztę życia na zbijaniu bąków?

— Hm. Nie i jeszcze raz nie. Doszłam do wniosku, że nie powinnam zmieniać swego rytmu dnia i poszłam po gazetę. Bez takiego porządku wszystko zaczyna mi się walić.

— Godne pochwały. Mam tu coś dla ciebie. — Grzebie w swoim plecaku i wyciąga z niego kopertę. — Może mogłabyś nadać tym notatkom jakiś kształt. A jak Stephen zjawi się w pracy — mam nadzieję, że za kilka tygodni — to znajdzie coś dla ciebie.

— Wielkie dzięki! Za kilka tygodni? Wspaniale! W szybkim tempie wraca do zdrowia. Nadal porusza się na wózku?

— Już nie. Chociaż gdyby to od niego zależało, to pozostałby na tym okropnym wózku i wer-tował kolorowe magazyny aż do śmierci, wygodniś. Jego fizjoterapeuta musiał go dosłownie z niego spędzać.

Zagryzam wargi. Nie mam pewności, czy można się śmiać z takich rzeczy. Zamiast tego oznaj-miam:

— Mam dla niego prezent. — Biegnę do salonu, łapię *100 luksusowych wnętrz* i podaję ją Mat-towi.

— O rany! — wzdycha. — To go całkiem rozleniwi. To stwierdzenie wywołuje uśmiech na mojej twarzy. Matt oświadcza:

— Kochanie, Belly i ja nie chcemy, żebyś cały dzień siedziała w domu — dobre wytłumaczenie na popijawę — więc będziemy musieli coś ci zorganizować.

— Świetnie! Ale nadal będziesz do mnie wpadał, prawda? Jako, hm, przyjaciel?

— Pirek i ja nigdy cię nie opuścimy — odpowiada poważnym tonem.

Ponownie go obejmuję.

— Matt, odwdzięczę ci się za to, obiecuję. Wiem, że już za późno na takie oświadczenia, ale te-raz wiem, co robiłam nie tak i pracuję nad tym. Dlatego nie chcę ci zwracać głowy, kiedy dasz mi re-ferencje.

Matt składa ręce, jakby chciał złapać muchę i mówi:

— Daj spokój. — Milknie na chwilę. — Co takiego robiłaś nie tak?

Wstyd mi się przyznać. Szanuję go i chcę, aby i on mnie szanował. Nie mam ochoty, by zakla-syfikowano mnie do tej samej grupy co Mel. U niej to już choroba. A ja mam niewielkie kłopoty z dietą. Więc po chwili wahania odpowiadam:

— Takie tam kobiece problemy.

— Nie chcę się wtrącać — oświadcza smutnym tonem.

Przez resztę dnia ślęczę nad komunikatami prasowymi i każda minuta się liczy. Trzy razy ktoś mi przerywa. Raz to jest Chris, który dzwoni, by powiedzieć, że Piers chce się wieczorem spotkać z zespołem, więc: „Jest super, mała”.

Nie pyta, kiedy spotkamy się ponownie, i zauważam, że ma patologiczną awersję do robienia jakichkolwiek planów.

Moim kolejnym rozmówcą okazuje się Mel. Dochodzi mnie jej seplenienie i wyobrażam sobie, jak dręczy ją ciekawość. Ale słyszę w jej głosie prawdziwy smutek.

— Jestem zrozpaczona! Jak ja sobie bez ciebie poradzę? Jesteś najlepszym specjalistą od public relations na świecie!

Co?! Po tym jak ujawniłam prasie, że jest anorektyczką i załatwiłam jej wizyty u dietetyka? Pewnie dlatego okazywała mi taki chłód, kiedy w zeszłym tygodniu wpadłam do jej garderoby.

— Naprawdę tak uważasz? Nie masz mi za złe tego... hm... artykułu w „Sun” i tego... hm... dietetyka?

— Natalie, przecież ty mnie uczyniłaś sławną! Nie warto się przejmować tym, co wygaduje jakiś lekarz idiota. A jeśli chodzi o tę specjalistkę od jedzenia, przecież nie muszę jej słuchać! Jak chcę mnie ważyć, to wypiję wiadro wody i sprawa załatwiona! Ale co u ciebie, biedactwo? Jak się czujesz? To chyba straszne stracić pracę, prawda? — dodaje z nadzieją w głosie.

— Okropne — odpowiadam, nie chcąc, by poczuła się rozczarowana. — Ale mam pewne zajęcie.

— Och, to dobrze! — odparła nieprzekonywającym tonem. — Ale wiesz co? Widziałam się w weekend z Tonym. To taki słodki (powiedziała: szłotki) facet, a ponieważ my nie widziałyśmy się już tak dawno, to pomyślałam sobie, że mogłybyśmy razem z Tonym wyjść gdzieś razem. Pogadałybyśmy sobie, a że jutro wieczorem nie mam przedstawienia, byłaby okazja i moglibyśmy zrobić coś zabawnego — na przykład pójść pokarmić kaczki w Hyde Parku!

Zaglądam do swego nieskalanego zapiskami kalendarza, a następnie, ze względu na brak jakichś bardziej interesujących propozycji, wyrażam zgodę.

Jestem wzruszona jej troską o mnie i szlachetnością Matta. Jediną osobą, która psuje mi zabawę, niszcząc mój zamek z piasku, jest Babs. Miałam nadzieję, że zadzwoni, by dowiedzieć się, jak tam z przeprowadzką Andy'ego. A jednak nie zrobiła tego, a ja nie mogę pozbyć się wrażenia, że zostałam wykorzystana. Zachowała się jak ekspedientka w sklepie — nadszakiwała mi, przymilała się, dopóki nie kupiłam sukienki. Jak już było po wszystkim, uśmiech machinalnie zniknął jej z twarzy i wróciła do piłowania paznokci. Roztrząsam tę kwestię, kiedy dzwoni telefon.

— Halo — odzywam się z nadzieją w głosie.

— To ty, Natalie?

— Tak.

— Mówi Andy.

Po trzech minutach odkładam słuchawkę i wyję w duchu z rozpaczy. Wszyscy faceci, których znam i kocham — Tony, tata, a nawet Chris — nie wykazują emocjonalnego przywiązania do jedzenia. I to właśnie mi odpowiada. Jedzą to, co w danej chwili mogą dostać. Nie kolekcjonują książek kucharskich, częściej sięgając po te, w których nazwiska wszystkich bohaterów poprzedzają tytuły. Nie interesują się jadłospisem. Bardziej ich obchodzi, by pojawiać się w restauracjach, w których należy bywać. Więc dlaczego Andy tak się zachowuje? Dzwoni z pracy jak świeżo poślubiona małżonka i prosi mnie, bym zjadła z nim i jego znajomym kolację w moim własnym domu! Mieszka tu dopiero od dwudziestu czterech godzin i już czuje się gospodarzem! Postanawiam być uprzejma i dlatego się

zgadzam. Czuję się manipulowana. Moja mama lepiej by tego nie wymyśliła. Idę do parku na małą przebieżkę. Wracam do codziennego rozgardiaszu.

— Ale masz minę — zauważa Andy, wymachując drewnianą łyżką. — Obraziłaś się z powodu bałaganu w kuchni?

Przebiegam wzrokiem pobojuwisko.

— Nie — kłamię i umiejętnie robię krok w bok, by uniknąć klepnięcia łyżką. Dobłą stroną posiadania lokatorów jest to, że dzięki nim można spłacić kredyt mieszkaniowy, ale zła polega na tym, że wydaje im się, że mieszkamy razem.

— Właśnie, że tak — upiera się Andy, wycierając ręce w spodnie. — Zaraz tu posprzątam. Nie przejmuj się. Nie pichcę przez cały dzień w kuchni. To już się więcej nie powtórzy. Chcę ci bardzo podziękować, że zgodziłaś się mnie przyjąć. Robbie ma zamiar wstąpić — nie myśl sobie, że dla niego ślęcę nad kuchenką. Nie gniewasz się już, prawda? — dopytuje się, zauważając ciepłe błyski w moich oczach.

— Pewnie że nie — odpowiadam, dochodząc do wniosku, że przecież gorzej już nie będzie. A może jeszcze mama wyskoczy z tortu i rozkaże mi go zjeść? — A co przygotowujesz? — pytam, by zamaskować swoją niechęć wobec niego.

Andy ponownie zrobił młynek łyżką.

— Zapomniałem cię spytać, czy jesteś wegetarianką, dlatego pomyślałem sobie, że zrobię zupę pomidorową. Trochę to nie tak z mojej strony, bo będziesz musiała wypestkować i obrać pomidory, ale zupa jest wyśmienita. Poza tym, daniu w takim kolorze trudno się oprzeć. Chcesz się czegoś napić?

Po co udawać bohatera?

— Tak — odpowiadam. — Dobra, zwolnij nieco! Super. No to ja idę zrobić sobie prysznic. — Ciężkim krokiem przemierzam korytarz, trzymając w ręku kieliszek i czuję się jak drobnomieszczanka. Spodziewałam się, że krzyknie za mną: „Oderwałem się od telewizora i widzę, jak ta latawica z sąsiedztwa wywiesza swoją bieliznę!”.

Kiedy weszłam do łazienki, od razu zauważyłam, że Andy ustawił swój szampon, maszynkę do golenia i krem do golenia na dawnej półce Babs — i na dodatek krem nawilżający. Ja trzymam swoje kosmetyki w szafce, czuję bowiem, że im więcej środków upiększających wystawia się na widok publiczny, tym bardziej trzeba być zobowiązanym, by dbać o siebie. Po opuszczeniu łazienki od razu zobaczyłam, że zjawił się Robbie. Wysłałam bowiem cichutko ubrana jedynie ręcznik i zderzyłam się z nim. Po raz drugi już dzisiaj wrzasnęłam.

— Witaj, kupę czasu! — wykrzyknął, otwierając szeroko ramiona. Ponownie krzyknęłam i pobiegłam do swego pokoju.

— Zboczeniec! — zawołałam, trzaskając drzwiami. Usłyszałam za sobą śmiech i to mnie rozbawiło. Zapomniałam już, jak bardzo go lubię. Zyskuje przy bliższym poznaniu. Poza tym nie jest ob-

rażalski. Choć, być może, nie szalał na moim punkcie. Chyba dzisiejszy wieczór będzie należał do udanych.

Niezdecydowana przymierzam kolejne bluzki i po dwudziestu minutach wynurzam się zupełnie przeobrażona — mam na sobie pomarańczowy, wełniany sweter, czarne spodnie, brązowe buty (zdaję sobie sprawę, że powinnam poszukać brązowych spodni odpowiednich do butów, jednak nie cierpię spodni w tym kolorze), a do tego wszystkiego nieskazitelny makijaż. Nie należę do tego typu kobiet, pedantycznych elegantek, których gładki podkład i nieskazitelna pomadka nie są nakładane, tylko wykreowane. Nie należę też do zupełnych abnegatek. Wsuwam się bokiem do kuchni jak krab.

— Ładnie wyglądasz — odzywa się Robbie i kaszle. Andy, pochylony nad garnkiem, nie odzywa się wcale.

— Pomóc ci? — pytam.

— Dzięki, już wszystko gotowe — odpowiada zadowolony z siebie. — Chociaż mogłabyś postawić talerze na stole. Albo nie, usiądź sobie. Rob! — dodaje. — Zawień rękawy, leniuchu, wyciągnij miski, łyżki, i jeszcze zetrzyj na tarce parmezan.

— Dobra, Jaimie — odpowiada Robbie i udaje, że zaczyna się krzątać. Przewraca oczami i mówi do mnie: — Jędza!

— Słyszałem — odzywa się Andy odwrócony tyłem. Biorę łyk wina, by stłumić chichot. — Proszę państwa! Gotoweee!

Wrzuca mi do miski parującą czerwoną breję, odrywa listek bazylii, który kładzie na samym środku. To samo chce zrobić Robbiemu, który protestuje:

— Sam to zrobię, dzięki bardzo.

— No to już — oświadcza Andy rozdrażnionym tonem. — Jak chcesz!

— Ma fantastyczny zapach — stwierdzam, nie wierząc własnym uszom. Pomidory, chleb, bazyliia to składniki, które mogę zaakceptować. Kiedy wdycham bogaty bukiet, słyszę, jak burczy mi w brzuchu. Moim zdaniem to wyraźny komunikat. Boże — ja... ja... ja mam ochotę, by tego spróbować. Moja ręka sięga po łyżkę i zauważam, że Andy przygląda mi się ze zmarszczonym czołem.

— Najpierw, oczywiście, odmówimy modlitwę — oznajmia poważnie. Odkładam z brzękiem łyżkę i robię się czerwona jak ta zupa. — Żartowałem tylko — dodaje szybko.

— „Żartowałem tylko” nie tłumaczy głupoty — stwierdza Robbie.

— Przynajmniej potrafisz się do tego przyznać — odpowiada bez zająknięcia Andy. — Czy to jest pierwszy krok z twojej strony?

Mam ochotę wybuchnąć śmiechem, ale zaniemówiłam, próbując czarodziejskie danie. Moje kubki smakowe tańczą tango na moim języku. Nie ma mowy! Mój mózg paraliżują okropne myśli. Co ja najlepszego robię? Nie do tego się przygotowywałam! Jestem mistrzynią niejedzenia — to mi wychodzi. A teraz proszę, siedzę tu zwabiona w pułapkę obżarstwa. Przestaje mi burczeć w brzuchu i za-

czyna kipieć z oburzenia. Jakim prawem ten facet pakuje mi się do domu i zaczynam mi się narzucać ze swoją osobą i swoim rondlem?

— Odczep się ode mnie! — wyrzuca z siebie Robbie.

— Co takiego? — pytam, z trudem nie podnosząc głosu.

— Naprawdę umyłem ręce — wykrzykuje. — Natalie! Powiedz mu, żeby przestał nudzić!

— O co chodzi? — pytam Andy'ego.

— Nic do niego nie mam — odpowiada, podpierając się łokciami jak małe dziecko. — Ale zawsze...

— Andy! Zejdź ze mnie! — woła Robbie.

— Nie! Chcę, żebyś dokończył. Muszę wiedzieć, o co chodzi — oświadczam.

— On zawsze grzebie sobie, żeby upewnić się, że nadal go ma! — Andy uśmiecha się do mnie i połyka łyżkę pomidorowej.

— Robię tylko to, co zalecają lekarze! — wykrzykuje Robbie. — Zresztą, ty nie jesteś dla mnie wzorem higieny. Pamiętasz, jak było w college'u? Jak wyglądał twój pokój! Opowiadałeś Natalie o tych szklankach po...

— Robbie! — wrzasnął Andy — to było dwanaście lat temu. Miałem osiemnaście lat, a łazienka była na końcu korytarza!

— No, no — mówię, dusząc w sobie śmiech — świetnie się bawię w waszym towarzystwie.

— Wyluzuj, Rob! — warknął Andy. — Swoją gadaniną obrzydzasz Natalie jedzenie. Zachowujmy się jak do-ro-śli. Kłamał — szepnął mi na ucho. — Prawda była taka, że to on sikał do zlewu. Wiesz, snobizm reprezentanta klasy średniej. — Po czym dodał już na głos: — Widzę, że wskaźnik Dow Jonesa poszedł w górę o szesnaście punktów...

Na szczęście obie strony zgodnie porzuciły temat wskaźnika Dow Jonesa i gładko przeszliśmy do omawiania przyjemniejszych kwestii. Na przykład: nowej, błyskotliwej kariery Andy'ego. (Będzie redagował cotygodniową kolumnę finansową w gazecie internetowej: „Pewnie potrzebowali kogoś, kto zdoła przewidzieć, kiedy splajtują”. Poza tym pracuje z doskoku w redakcji gazety miejskiej. W sumie zarabia teraz jedną trzydziestą tego, ile zarabiał na giełdzie. Ale nie przejmuje się tym wcale — praca brokera to była „tylko praca, praca i jeszcze raz praca bez żadnego przyjemnego światełka w tunelu”).

Interesuje się, czy widzieliśmy z Robbiem w dzisiejszej gazecie zdjęcie najbogatszego człowieka na świecie. (Biznesmena z branży komputerowej wycenianego na pięćdziesiąt milionów dolarów. Poza elegancką brodą i zadbanym uzębieniem nic w fizjonomii tego człowieka nie zdradza takiego bogactwa. Każdy wyobraża go sobie z tiarą na głowie). Aha, Natalie, zauważyłaś, jak uśmiecha się Chris? Wczoraj tak śmiesznie układał usta. Chyba starał się zrobić minę skruszonego grzesznika. Jak Billy Baldwin. Andy stwierdzą, że działało mu to na nerwy.

Przyznaję — od jakiegoś czasu czytam wiadomości sportowe w „Daily Express”, by Chris pomyślał, że jestem ekspertem w piłce nożnej. Andy i Robbie są zbulwersowani. Natychmiast daj sobie spokój ! A czy on czyta artykuły na temat urody, bo zależy mu, byś zachwycała się jego wiedzą o kosmetykach? Rob, ty seksistowski gorylu, nic nie szkodzi, że Natalie jest tumanem z rugby. Ale ja nie jestem.

Jeśli poruszamy już niedorzeczne zachowanie, może porozmawiamy o tym, jak Rob spotykał się z pewną kobietą, która zabraniała mu pić wodę po dziewiątej wieczór, bo nie chciała, by budziły ją jego nocne spacerki do toalety. Chwila, moment, Andrew, a czy Sasha nie kazała ci wyprowadzać swego chihuahua? Gwoli ścisłości, to był yorkshire terrier. Ten drań miał obrzydliwy zwyczaj wsuwać kupki swoich współplemieńców. Nazywał się chyba Miffy. Miffy, śliczne imię! A kiedyś Rob kupił sobie vespę i Andy ośmielił się spytać tego olbrzymiego, owłosionego goryla w sklepie, czy ma „fioletowy kask w rozmiarze XL”? A co zamierzasz teraz robić, kiedy nie pracujesz już w teatrze? (Pewnie będę pracować z doskoku jako specjalista od public relations, choć taka praca wcale mnie nie pociąga. Co chciałabyś robić? Co? Nie zastanawiałam się nad tym. Choć pewnie powinnam, prawda?). A czy przypadkiem, może to się wydawać świetnym dowcipem, Andy pamięta, jak w piętnaste urodziny swojej siostry całował się ze mną w bieliźniarce dwanaście lat temu?

W tym momencie beztroski nastrój przysł i Andy spojrzał na mnie z przerażeniem.

— Jezu Chryste, naprawdę to robiliśmy? — wykrztusił z siebie. — To ty byłaś tą zachwycającą piętnastolatką, a ja tym wielkim, tłustym palantem, który cię obśliniał! Popełniłem błąd i niepotrzebnie powiedziałem Tony'emu, że uważałem cię za niewiniątko. Zbił mnie na kwaśne jabłko.

— Nie! — mówię tylko z niedowierzaniem. Andy uśmiecha się ponuro.

— Były ze mnie takie ciepłe kluchy. Muszę się do tego przyznać. Zbyt dużo czasu poświęcałem na słuchanie Morrissey. Po tym wszystkim nie miałem odwagi zbliżyć się do ciebie. Uciekłem do college'u, podkuliłem ogon pod siebie, jeśli wiesz, o czym mowa. Nie chodzi o to, że nie pasowaliśmy do siebie. Cholera, zupełnie o tym zapomniałem! Dziewczyno, ale ty masz pamięć!

Zapada krótkie, nieprzyjemne milczenie. A po chwili:

— Ty świński zboczeku, polujesz na niewinne piętnastolatki! — wykrzykuje Robbie półżartem.
— Nie sądziłem, że z niego taki drań, Natalie!

Spoglądam na Andy'ego i z trudem zachowuję poważną minę. Gdzieś znika żywiona wobec niego niechęć. Przez cały czas rozmawiamy, śmiejemy się i w końcu rozluźniam się. Po chwili spoglądam na swój talerz i zauważam, że jest pusty.

Nie mogę uwierzyć własnym oczom. Czy to mi się nie wydaje? Jednak nie — talerz jest wypucowany do czysta. Dziwny ciężar na żołądku potwierdza moje przypuszczenie. Pamiętałam, że jadłam. Pozwoliłam sobie na to. Zmusiłam się do tego. Zrobiłam to dla Babs. Przypomniało mi się, jak w dzieciństwie karmiono mnie łyżeczką. „Jedna łyżka za mamusię. Grzeczna dziewczynka! Następna za ta-

tusia. Bardzo ładnie! I łyżeczka za Tony'ego. Nooo... Tony, nie płacz, pewnie że twoja siostra zje za ciebie łyżeczkę! Co takiego? To twoja łyżka? Już dobrze, już dobrze! Przestań się złościć! Już dobrze. Proszę cię, kochanie, wstań z podłogi. Zachowuj się jak greczny chłopiec (westchnienie). A teraz łyżeczka za Teddy'ego..."

I o co taki hałas? Przecież nie jadłam lunchu. Poszłam pobiegać. Patrzyłam, jak mój obiad znika z talerza. Łyżkami wymierzałam pozostającą część. Ale żeby naprawdę wszystko zjeść. Wymieść talerz do czysta jak głodomór. A teraz co — może kolej na jakąś przekąskę? Natalie, czy Andy powiedział ci, jak każdego pytał: „Masz to zdjęcie?”, bo przeczytał tę kwestię w *Człowieku ze złotym pistoletem* i chciał być Scaramangą? („Jezu, Rob, a ty nie zachowywałeś się jak kretyn w wieku dziewiętnastu lat? Przypomnij sobie, co było w zeszłym tygodniu, chłopie...”). Zakrywam ręką usta, by nie wybuchnąć śmiechem i jednocześnie próbuję wymazać z pamięci nieskazitelnie czysty talerz. Kiedy podnoszę słuchawkę, nadal się śmieję.

— Co cię tak rozbawiło? — pyta Babs.

— Och, cześć, to ty — duszę się ze śmiechu. — Twój brat. Twój brat mnie rozbawił. On i Robbie. Zachowują się jak dwie stare kłótlive baby! Chyba dobrze będzie nam się razem mieszkało.

Pewnie miło jej słyszeć takie słowa. Szczególnie dlatego, że jestem na tyle taktowna, by przemilczeć podtekst tego stwierdzenia: sądziłam, że Andy to gburowaty cymbał zakochany w New Age, wygłaszający pseudofilozoficzne teksty zasłyszane od turystów i wyczytane z *Mądrości dalajlamy* — wersja skrócona. Jednak po wieczorze spędzonym w jego towarzystwie prawie już zweryfikowałam swoją opinię o nim.

Ale moja przyjaciółka stwierdza tylko:

— No, tak. Wiedziałam, że się dogadacie. Musicie dostosować się do waszych huśtawek nastrojów.

— Yhy — wyduszam z siebie. Powinnam była stwierdzić, że asertywna kobieta na taką drwiącą uwagę zapytałaby pewnie: „Co chcesz przez to powiedzieć?”. Ale ja mówię tylko: „Yhy”.

Chyba zdała sobie sprawę, że powiedziała coś nie tak, dodaje bowiem pospiesznie:

— Nie słuchaj mnie. Nie wiem, co się dzisiaj ze mną dzieje. Cieszę się, że Andy mieszka u ciebie. Na pewno znajdziecie wspólny język. Jedyny problem, że on usycha z tęsknoty za Sashą, dlatego, proszę cię, uważaj.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Uważaj. Nie mówię tego na głos, ale powtarzam to sobie przynajmniej ze dwadzieścia razy w głowie tej samej nocy i następnego dnia. Co chciałaś mi w ten sposób powiedzieć? Kończę dociekania i idę do łazienki. Umyłam zęby, wyczyściłam nitkę, wypłukałam, aż zniknął smak i ślad po pomidorowej. Co chciałaś mi w ten sposób powiedzieć? Ściągam pomarańczowy sweter i czarne spodnie, przesiąknięte zapachem żarłoczności, i szoruję się, aż skóra zaczyna mnie swędzić. Kłaniam się w pas przed współczesną namiastką cesarza rzymskiego i wchodzę na wagę. (Bez zmian. Dzięki Bogu!). Opadam na łóżko i próbuję zasnąć. Co chciałaś mi w ten sposób powiedzieć?

Dobrze wiem, co chciałaś powiedzieć: „Niech ci do głowy nie przychodzą żadne głupie pomysły w związku z moim bratem”. Bezczelna! Zdegradowałam ją, a nadal uważa się za generała. Przykro mi, Babs, ale teraz jesteś już zwykłym szeregowcem. Kiedy przestałaś dzwonić do mnie pięć razy dziennie, straciłaś prawo do wydawania mi rozkazów.

Muszę ci przypomnieć, że już raz wyłamowałaś się z szeregu. Zapamiętaj sobie: należysz do grona moich byłych przyjaciółek. Kiedy ludzi łączą bliskie więzi, wówczas mogą oni powiedzieć prawdę w oczy bez względu na konsekwencje. To jedna z zalet bliskiej relacji. Ale kiedy przyjaźń się kończy, wówczas i relacje stają się bardziej uprzejme. Dlatego mogę sobie robić, co chcę i kiedy chcę, a moje potknięcia nie są jej sprawą. No, w każdym razie, niektóre z nich.

Zastanawiam się, jakby to było, gdybym pocałowała Andy'ego.

Mel zaproponowała, byśmy spotkały się o szóstej w foyer opery. Niezbyt mi to odpowiada, choć z drugiej strony oznacza, że mogę osobiście dostarczyć Mattowi komunikaty prasowe.

— Czas do domu — zaszcebiotała. — Jak sobie radzisz? Nie wyglądasz na załamana! Jak ci minęły walentynki? Ja świetnie się bawiłam! Od fanów dostałam mnóstwo kwiatów, a zobacz, co dał mi Tony — jestem taka, taka szczęśliwa! — Szpera przez chwilę w swojej torebce, a potem wymachuje mi przed nosem biletem pierwszej klasy Eurostar i z radości wykonuje wspaniały piruet. Blask jej niebieskich oczu odbija się od bladej twarzy. — Zamieszkamy we wspaniałym hotelu — nazywa się Costes — na ulicy rue St-Honoré — mnóstwo sławnych ludzi tam się zatrzymuje! Jego asystentka dopasuje termin wyjazdu do moich występów, więc nie opuszczę żadnego przedstawienia. Czyż on nie jest uroczy? Och, Natalie, masz takiego mądrego brata. Może pójdziemy gdzieś na kawę i pogadamy sobie o Paryżu? Umówiłam się z Tonym, że spotkamy się u niego o siódmej, a jest już za późno, by iść do parku. Och, proszę, zgódź się!

Po dwóch ekscytujących minutach siedzimy w kawiarni na niewygodnych, metalowych krzesłach. Mel pyta, czy zamówię sobie ciasto z marchewką i miętową herbatę.

— Nie ma mowy — ripostuję, wciąż pomna na wczorajsze obżarstwo. Mel spogląda na mnie z nadzieją i złość mi mija. — Ale może ty zjesz?

— Nie — odpowiada szybko i widzę, jak całym jej ciałem wstrząsa panika. — Jadłam już lunch. Jestem napchana.

To mnie zdenerwowało. Dlaczego to ja muszę jeść, bo moje durne włosy zaczęły wypadać?

— Ale, zastanów się, Mel. Powinnaś coś zjeść. Nie chcę być niegrzeczna, ale ostatnio wyglądasz trochę, trochę — zaczynam w myśli szukać jakiegoś nieobraźliwego określenia — chuderlawo.

Na jej twarzy pojawia się przerażenie. Czekam nerwowo na to, co powie. Zadrzałam, kiedy rozchyliła swoje różane usteczka.

— Uwielbiam chłopaków, których stać na romantyczne gesty! — wykrzykuje, jakbym przed chwilą nic nie powiedziała. Oddycham z ulgą, kiedy rozprawia o randce w Paryżu.

Takiego błędu już więcej nie popełnię. Drżącymi rękami zapalam papierosa. Co za idiotka ze mnie! Przecież ona wcale nie chce, by jej podać pomocną dłoń. Pytluje dalej, a ja przyglądam się jej, nie słysząc ani słowa z tego, co do mnie mówi. Nie, nie mam zamiaru jeść marchewkowego ciasta do herbaty. Siedzę sztywno ze skwaszoną miną, ogrzewając sobie zmarznięte dłonie gorącym kubkiem, aż wreszcie Mel mówi:

— Nic ci nie jest, Natalie? Jakoś dziwnie wyglądasz. Odpowiadam pogodnie:

— Nie. Czuję się świetnie.

— Mnie możesz powiedzieć. Umiem trzymać język za zębami!

Jakoś nie jestem o tym przekonana, poza tym niepotrzebna mi jej troska. Zresztą moja, będąca w agonii, przyjaźń z Babs nie ma żadnego wpływu na relację z Mel. Chyba nikomu nie powtórzy. Relacjonuję rozmowę z moją przyjaciółką, podkreślając liczne afronty z jej strony. Nie nawiązuję natomiast do mojego, jakby tu powiedzieć, problemu. Staram się za wszelką cenę umknąć przed kroplami deszczu.

— Nie mogę tego pojąć! — zaskrzeczała. — Dlaczego tak wrednie postępuje?

Wzdycham głęboko. Przecież to nie ma sensu relacjonować świeżą, okrojoną historię. A jeśli już, to może naruszam tabu? Szczycę się umiejętnością chodzenia na palcach wokół słonia w salonie, hipopotama w jadalni i anorektyczki w barze. Tak jest bezpieczniej. Dzikie zwierzęta i stuknięte kobiety są nieprzewidywalne — wiem to po jednym incydencie — i niechaj dyletanci zostawią je w spokoju.

— No i — zagajam, spoglądając na czekoladowy okruch na stole — pokłóciłyśmy się. Babs napadła na mnie, że... że... że nic nie jem.

Opowiadam jej całą historię z wszelkimi detalami, przez cały czas nie patrząc jej w oczy. Odmalowałam wszystko tak, jak było.

Zrobiłam przerwę dla nabrania powietrza. Wówczas Mel wyszczała:

— Tony mówił, że z twojej przyjaciółki kawał baby, ale z tego, co opowiadasz, widzę, że po prostu ci zazdrości! Jesteś z natury szczupła, masz bardzo kobiece kształty, na pewno jest zazdrosna jak nic!

Ochoczo kiwam głową, tak, tak, właśnie to chciałam usłyszeć, mam w dupie jedzenie, to ja mam rację. Choć zemdliło mnie trochę, kiedy usłyszałam o tych „kobięcych kształtach”. Ale przecież ogólnie nie czuję się za dobrze.

Podczas kiedy ona dalej peroruje, zauważam na jej zębach szare przebarwienie i okropne, różowe, kościste kłykcie, które — choć małe — w porównaniu z jej chudziutkimi palcami wydają się olbrzymie. Włosy ma suche i bez połysku. W tym momencie uzmysławiam sobie, że nikt o zdrowych zmysłach nie mógłby czuć zazdrości do którejś z nas.

Oddycham z ulgą, przyszedł bowiem czas na spotkanie się z Tonym. Taksówka podjeżdża pod samą, pokrytą wykruszającą się, białą sztukaterią przybudówkę mojego brata (dla niewtajemniczonych: mieszkanie szczytowe) przy Ladbroke Grove. Mel naciska na dzwonek, po czym wdrapujemy się po niebieskich, drewnianych schodach w stylu pruskim, a Mel przejeżdża palcem po odartej, niegdyś czerwonej tapecie. Zamierzchła świetność — takim łagodnym określeniem można by opisać korytarz. Używając dosadniej szych (a jednocześnie dokładniejszych) wyrażeń, można by powiedzieć: brudny i obskurny. W tej chwili unoszący się zapach stęchlizny jest zdominowany przez aromat smażonego mięsa.

— Fuj! — krzyczy Mel, wymachując porcelanową rączką przed swoim perkatym noskiem. Stuka z całych sił do białych drzwi, a po eleganckiej sześćdziesięcioszekundowej ciszy otwiera je energicznie mój brat.

— Witaj, Tony — odzywam się z nadzieją, kiedy nasze spojrzenia spotkały się.

— Cześć — odpowiada głucho i odwraca się do Mel. Wchodzę za nim do mieszkania, a przeżalone serce tłucze mi się w środku jak kamyczek.

Mel sadowi się na białej, skórzanej sofie, pomiędzy dwoma poduszkami z wizerunkiem Elvisa. Kładzie się na plecy, głowa zwisa jej z kanapy, a nogi z wdziękiem opierają się o poręcz i krwisto-czerwoną tapetę. Ponieważ mojego brata nie dziwi ta figura nietoperza, to przypuszczalnie wie, że Mel „ocięka” — co w mowie tancerzy oznacza, że pozbywa się w ten sposób kwasu mlekowego, usztywniającego mięśnie po zbyt przeciążających ćwiczeniach.

— Bola mnie plecy — stwierdza nagle.

— Moje biedne jagniątko — wykrzykuje Tony. — Czy mam podrapać jagniątko?

Mel uśmiecha się, leżąc do góry nogami.

— Nie, dżenkuj, duży tato niedźwiedziu. Za bachrdzo boli. Okchropnie.

— A może małe jagniątko chce, aby tata niedźwiedź poszedł po lody?

W tym momencie mam wielką ochotę wyprysnąć z tego pokoju i zwymiotować, ale kłopoty ze słuchem przygwoździły mnie do tego miejsca.

— Och nie! — wykrzykuje Mel już swoim naturalnym głosem. — Lepiej trochę sobie powiszę, inaczej spuchnę i zeszywnięją mi mięśnie, a co za tym idzie, nabawię się jakiejś kontuzji. W rezultacie zabronią mi tańczyć i poczuję się jak słoń. Będzie mi brakowało przedstawień, a kiedy po przerwie powrócę do tańca, będę ociężała i zmęczona. Zupełnie jakbym poruszała się na zwolnionych obrotach.

— O Jezu! — mówi Tony.

— Ale, proszę, zapal świecę — mówi Mel. — Wtedy robi się tu tak ładnie!

Mój brat trzema wielkimi krokami pokonuje odległość dzielącą go od rzędu stojących na kominku świec i zapala je. Wzdycham i opadam na czarną, futrzaną poduchę (przepraszam bardzo: na poduchę wartości tysiąca pięciuset funtów, wykonaną z owczej skóry i wyprodukowaną w Mongolii). Pewna panienska kiedyś powiedziała memu bratu, że jego mieszkanie stanowi skrzyżowanie „buduaru dziwki i gotyckiego lochu”. Zrobiło to na nim piorunujące wrażenie. Pewnie tym kupiła sobie dodatkowy dzień.

— Zapalimy sobie jointa? — pyta Mel, zapalając camela. Oburzam się jej bezczelnością, ale Tony tylko szepnął:

— Już się robi. — Zabiera się do robienia skręta, uśmiechając się do niej i patrząc na mnie spode łba. Siedzę sztywno i czuję się podle ze wzrokiem wbitym w podłogę, bawiąc się paczką papierosów.

— Odłóż wreszcie tę cholerną paczkę! — warknął Tony.

— Przepraszam — wydukałam, wypuszczając ją z rąk.

— A mamy szampana? — pyta piskliwym głosem Mel, która (na to wygląda) w iście rekordowym tempie przystosowała się do balangowego stylu życia mojego brata.

— Pewnie, słoneczko — odzywa się z uśmiechem Tony, przeistaczając się w doktora Jekylla. — Mrozi się w lodówce. Masz ochotę?

— Och, nie! Dziękuję — odpowiada Mel i lekko wstaje. — Ja przyniosę.

Kiedy bezszelestnie jak kot wychodzi z pokoju, czuję ogarniające mnie przerażenie. Sama w towarzystwie mordercy, który wie, że go podejrzewam!

— A mówiłam ci, że Piers Allen jest zainteresowany współpracą z Sinym Diabłem — mamrocę, by ocalić życie. Tony uśmiecha się z afektacją. — A czy ty... czy rozmawiałeś z Piersem? — pytam zmieszana.

— No — zaczyna — rozmawiałem. Masz rację. Piers jest zainteresowany współpracą z nimi. — Przy tych słowach zaczyna złowieszczo chichotać. — Jak kapitan Hook z *Piotrusia Pana*.

— O co... o co chodzi? — jąkam się. — Co w tym śmiesznego?

— Będziesz musiała poczekać na puentę — odpowiada ostrym tonem, robiąc skręta z marihuany.

Mel bezszelestnie powraca do pokoju, trzymając w ręku butelkę i trzy staromodne kieliszki.

— Już jestem! — krzyczy. — Mam nadzieję, że rozmawialiście o mnie!

Tony bierze butelkę, mocuje się z nią przy otwieraniu, aż wystrzelił korek (rolę korka zagrała Mel), po czym nalewa pienisty napój do kieliszków.

— 'Słoneczko — szepcze do Mel — a może zajrzysz do sypialni? Robiłem dzisiaj zakupy. Na łóżku czeka na ciebie mała niespodzianka.

Mel zapiera dech w piersiach.

— Prezent? Dla mnie?

— Chyba tak — odpowiada burkliwie Tony. — Dziecko zaniedbywane w dzieciństwie — stwierdza z niezadowoleniem, kiedy Mel wyskakuje jak z procy z salonu. — Pochodzące z marginesu społecznego. Potrzebuje dużo troski, by to jej wynagrodzić.

Pociera ręką oczy. Wolno kiwam głową. Zastanawia mnie ta ostentacyjna poza macho, wobec której Clint Eastwood sprawia wrażenie zniewieściałego chłopczyka. A do tego obrzydliwe, dziecięce gaworzenie. I to jeszcze w mojej obecności! Gdybym nie znała prawdziwego powodu, gotowa byłam uwierzyć, że się zakochał! Mel moją bratową. Pociągam prędko łyk szampana jako lekarstwo.

— Zawiodłem się na tobie — stwierdza Tony, patrząc, jak chwytam się za gardło, robię się sina i nie mogę złapać powietrza. Zaciąga się mocno skrętem i nie podaje mi go.

— A co... co takiego zrobiłam?

— Czy sądziłaś, że problem tak po prostu rozplynie się w powietrzu? — pyta, a jego niebieskie oczy robią się chłodne i ciemne jak Morze Północne.

— Co się rozplynie?

— Kiedy ostatnio rozmawiałaś z mamą? — docieka.

— Ja... ja... ja rozmawiam z nią codziennie... nooo... dziś rano. Zadzwoiła, bo chciała się dowiedzieć, czy Andy się już zadomowił.

— Ona chce napisać do Tary. A co w tym dziwnego?

— Kurwa mać, ona chce tam pojechać! — Chce przemienić skłóconych krewnych w kochającą się rodzinę. — Masz u mnie krechę, Natalie! Na cholere mi ten cały bałagan! Nie narzekam na moje życie i nie mam zamiaru go komplikować. A ty do tego doprowadziłaś. Kumasz, o czym mówię? — Mój brat zgarbił się i nosem wypuszcza dym. Wygląda jak ożywiony gargulec, który za chwilę skoczy mi do gardła. Modlę się, by marycha zaczęła działać w milisekundzie i przeniosła go w wielobarwny świat jak z kreskówek Disneya. A w tym momencie on ryknął: — No odezwij się wreszcie! — Na ten wrzask porywam się na równe nogi.

A co mam takiego powiedzieć? Ten twój skręt chyba jakiś stary. Wiem, nie powinnam była tego robić. Na mojej liście żalów to „dokonanie” znajduje się na samej górze obok:

- bezmyślnego przedstawienia mojej przyjaciółce znajomego Saula,
- rocznego oporu, a potem poddania się oszukańczej reklamie i wydaniu stu pięćdziesięciu funtów na wełniany kaszmirowy szal tylko dlatego, że został przeceniony jako niemodny,
- przywitania Kimberli Ann oraz mojego taty, prezentującego swoją nową, połyskliwą fryzurę na lotnisku w Los Angeles następującymi słowami: „Tato! Co zrobiłeś ze swoimi włosami?”, a kiedy on zarechotał: „Ach! Przypadkiem coś mi się na nie wylało”, dodałam z fałszywym uśmiechem: „Super wyglądasz!”.

Kiedy tak rozpamiętuję swoje potknięcia, uświadamiam sobie, że gdybym mogła krzyknąć do matki: „Niespodzianka! Masz wnuka!”, jeszcze raz postąpiłabym tak samo. Nie jest mi przykro. Żałuję tylko, że doprowadziłam Tony'ego do tego, że zdenerwował się na mnie. I czuję wyrzuty sumienia, że zraniłam mamę. Ale ona zasługuje na to, by się dowiedzieć. Warto długotrwały zysk opłacić krótkotrwałym cierpieniem. A ona na pewno zyska. Postawię swój poroniony zakup — różowy szal — który leży zgnieciony w szafie na to, że Kelly i Tara powitają ją na łonie nieznannej rodziny bez zadawania pytań w stylu: „A gdzie byłaś do tej pory?”.

Choć wiem, że nie zrobiłam tego ze względu na matkę. Wygadałam się, bo myślałam o sobie. A jak wytłumaczyć to bratu, który zawsze stał na pierwszym miejscu? Tony'emu, który nigdy nie musiał walczyć o palmę pierwszeństwa, zawsze należała bowiem do niego? Natomiast ja zawsze byłam tą gorszą. Urodziłam się druga i od tej pory zawsze zajmowałam to miejsce. Mierna, zwyczajna, przeciętna, bez względu na starania z mojej strony. Nawet nie umiałam przegrać w dobrym stylu. To chwilowe szaleństwo nie było wcale szaleństwem. Świadomie chciałam strącić króla z tronu i sama się na niego wdrapać.

Ale jak mu to wszystko wytłumaczyć? Spoglądam na swego rozwścieczonego brata i przychodzi mi do głowy sytuacja, kiedy miałam jedenaście lat i pieklam bułki na zajęciach praktycznych. Potem przyniosłam je do domu na podwieczorek. Mama tylko spróbowała, skrzywiła się i wypluła moje kulinarne dzieło do zlewu. Ale, na sto procent, gdyby to były bułeczki upieczone przez mojego braciszka, zjadłaby do ostatniej okruszyny.

— Przepraszam — mówię cicho. — Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Jestem skończoną idiotką.

Odrywam się od poduchy dokładnie w tej chwili, kiedy Mel wpada do pokoju, wymachując delikatnym jak mgiełka, różowym swetrem i kamizelką w jednej ręce, a plikiem ciemnoróżowej bibułki w drugiej, wrzeszcząc:

— Och, zobaczyć jakie piękne, duzi tato niedźwiedziu, och, one pasują dla jagniątka doskonale. On jest taki dobry, jagniątko będzie ślicznie wyglądało, bo ziabiela je do Palyzia! Uśmiecham się mdło i mówię do brata:

— Przepraszam cię. Pójdę już do domu.

Istnieją różne rodzaje płaczu. Jeden to: głośne zawodzenie, zasmarkane „zobacz, co mi zrobiłeś” — wylewanie łez w obecności winnego partnera, by uzmysłowił sobie swoje okrucieństwo i lekceważenie, i wówczas wpada po pas w wyrzuty sumienia.

Kolejny to ciche łkanie — nieskrywany potok łez, które płyną nawet wówczas, gdy kanały łzowe są wyschnięte, wiesz bowiem, że to twoje niezaprzeczalne prawo i należy ci się współczucie przynajmniej od samej siebie.

A trzeci rodzaj to żalosne, frasobliwe łkanie: wylewanie czystych łez z powodu marności tego świata — notabene w takich okolicznościach dobrze mieć długie włosy. Po twojej twarzy toczą się ze smutkiem łzy i spływają niepowstrzymanym nurtem (twoja delikatna konstrukcja psychiczna nie pozwala na używanie chusteczek).

Jedyną wadą trzeciego rodzaju płaczu — który wybieram — to fakt, że szpeci człowieka. Zmienia mi się kolor powiek, a nos i usta stają się ciemniejsze; te części twarzy zaczynają szybko puchnąć, tak że po chwili przypominam przeziębionego królika. Jak się można domyślić, Andy zjawia się w ostatnim, potwornym momencie przeobrażeń.

— O cholera! — krzyknął. — Dobrze się czujesz?

— O kurczę! No pewnie. — Pociągam nosem, pospiesznie wycierając rękawem twarz. — Nic mi nie jest.

Przygląda mi się podejrzliwie.

— Na pewno? — dopytuje się.

Przyglądam mu się spod rękawa i mnóstwo mających swoje podstawy uprzedzeń znika. Od wczoraj ten oto facet urokiem osobistym zaprzecza swojej reputacji prostaka i kłótnika. I — ponieważ zawsze zakładałam, że ludzie są z natury mili, choć zawsze przymilam się do wrednych, którzy po pięciu minutach zrzucają z siebie maskę, pokazując, na co ich stać — dochodzę do wniosku, że chce mnie oszukać. Ale w końcu przeprosił za incydent w szafie.

— Na pewno nic ci nie jest? — powtarza swoje pytanie. Czuję, jak drży mi dolna warga.

— Na pewno! — Z trudem dobywam głos.

— Nieprawda — upiera się Andy.

Kapituluję przed jego zadziwiającym zmysłem obserwacji. Ramiona zaczynają mi drżeć, a między palcami przecieka struga łez.

— Tooonyyy! Jeeest na mnieee rozeźlonyyy! — Ponieważ moja godność osobista została doszczętnie podeptana, gdy moje zawodzenie przypadkowo zrymowało się, w związku z tym doprowadza mnie to do jeszcze większej rozpacz.

— Tony? — pyta, podchodząc bliżej. — Ale on jest zły na wszystkich. Na przykład na mnie od dziesięciu lat! Nie słuchaj tego, co mówi. To jego sposób, by przypomnieć ci, że on się liczy.

— A... a... a... — Nie potrafię wydusić z siebie skomplikowanego słowa „ale”.

Zadanie okazuje się zbyt trudne. Mocno zamykam oczy, by powstrzymać łzy i czuję, jak jakaś ciepła ręka głaszcze mnie po głowie. Po moich włosach! Ręką Andy'ego! Nie wiem, czy dalej powinnam mieć zamknięte oczy, czy je otworzyć. Jeśli je otworzę, to na pewno zrobię coś nie na miejscu, na przykład wyciągnę język. No to nie otwieram. Ku memu zaskoczeniu krew płynie najpierw ospale w moich żyłach, a po chwili zaczyna przyspieszać, krążąc po ciele. Stoję nieporuszona, kiedy on obejmuje mnie i całuje w głowę. „Boże, spraw, żeby nie natrafił na łysy placek”.

Jestem wstrząśnięta swoim paroksyzmem płaczu. Stoję bez słowa, a on klepie mnie po plecach i pyta:

— No to dlaczego się na ciebie rozzłościł?

— Po prostu powiedziałam coś, czego nie powinnam.

Opieram się twarzą o jego pierś, więc kiedy otwieram buzię, by coś powiedzieć, to wygląda tak, jakbym gryzła go w sutek. Andy rozluźnia swój uchwyt i szybko zaczyna pocierać moje ramiona, jakby chciał mnie ogrzać, i stwierdza złośliwym tonem:

— To zupełnie do ciebie niepodobne.

Chcę się uśmiechnąć, ale boję się spojrzeć mu w oczy, moje bowiem są tak czerwone, że przez pomyłkę mógłby wziąć mnie za posokowca. O Boże, przez cały czas stoimy tak blisko siebie! Wszystko może się wydarzyć. Czuję jego dotyk, robi mi się gorąco i spoglądam na jego gładkie, brązowe ręce. Rozpuszczam się jak czekolada. „A co z Chrisem, ty flądrowo?” — pyta mnie moje sumienie. „Nie potrafisz nad sobą zapanować?”.

Czy nie potrafię...? Czy nie potrafię...? Z wyjątkiem dociekań filozoficzno-moralnych wątpię, czy można zadać bardziej obraźliwe, a jednocześnie zbyteczne pytanie. W tym samym momencie kiedy mnie puszcza, ja odpycham go gwałtownie od siebie. Niepewnie robię trzy kroki do tyłu, chwieję się jak kurczak z kreskówki, który próbuje odlecieć z urwiska i krzyczę:

— Ojej! — Łąduję z łomotem na podłodze.

— Oj! Zaraz...

— Nie, nie! Ja sama...

— Przepraszam, ale myślałem, że ty...

— Nie. To moja wina, ja...

Na przemian prześcigamy się w przeprosinach, aż nasze wzajemne kurtuazje wyczerpują się i Andy opanowuje się na tyle, by stwierdzić, że: „Spóźnił się na drinka z kumplem”. Z wdzięcznością przyjmuję to kłamstwo i macham mu na pożegnanie. Zostawia mnie opartą o drzwi. Drżę z zakłopotania i wymazuję z wyobraźni wszelkie obrazy przedstawiające, jak całuję Andy'ego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Co nie wyklucza obrazów, jak Andy mnie całuje. Ale czy miał ochotę? Miał zamiar? Czy potrafiłabym to sobie wyobrazić? Czy dopuszczałam taką myśl? Czy namyślił się i zmienił zdanie? Czy dlatego mnie puścił? Dlaczego nie miał ochoty? Nie podobam mu się? Czy następnym razem, gdy się spotkamy, mam mu okazać lekceważenie? Czy potraktować go jak powietrze? Co powinnam zrobić, by być atrakcyjniejszą? A może kupić sobie taki himalajski szal z pomponami?

Chodzę po pokoju ciężkim krokiem. Mam wielką ochotę z kimś porozmawiać. Wiadoma osoba nie wykazuje w tym względzie żadnej chęci. Przynajmniej jeśli chodzi o ten temat. Nie po tym, jak jakieś dwadzieścia cztery godziny temu powiedziała mi, żebym „uważała”. Ale nie może mieć wszystkiego. Ma przystojnego męża, piękną, falbaniastą sukienkę, turkusowo-słoneczny miesiąc miodowy, sosjerkę od Wedgwood Jade, dom z ogrodem, kuchnię wyposażoną w halogeny, kartę klubową do Johna Lewisa, a wszystko bez skazy, doskonale — wszystkie marzenia naszej Barbie spełniły się. Ma tyle, że nie może pożałować mi takiej drobnostki jak jej brat. Co takiego się stało? Przecież chcę tylko porozmawiać.

Przez całe dwie minuty deliberuję w myślach, zanim podnoszę słuchawkę. Telefon dzwoni pięć razy na sekretarce. Chłodny, męski głos cedzi: „Witamy, dodzwonili się państwo do mieszkania małżeństwa Simona i Barbary Freedland”. O Jezu, wybacz tę uwagę, ale to brzmi jak z poprzedniej epoki! „W chwili obecnej jesteśmy nieobecni bądź zajęci, dlatego prosimy o zostawienie wiadomości, a najszybciej jak to będzie możliwe, skontaktujemy się z państwem”.

Proszę mi wybaczyć, ale, kurde, jaką wiadomość miałabym zostawić? Pamiętaj, Babs, jeśli będziesz miała córkę, daj jej na imię Simona — albo Simone. Jednak powstrzymuję się przed udzieleniem tej rady i witam się:

— Cześć, Babs, mówi Na...

Dochodzi mnie krótka szamotanina, po czym przytłumiony męski głos mówi:

— To ty, Nat?

— Sie ma! — wykrzykuję. — O rany, nie mogłam się już doczekać, kiedy sobie z tobą pogadam!

— A o czym? — pyta Babs. Niewinne pytanie, a jednak mnie irytuje.

— Nie złość się — proszę — bo nic się nie stało. Miałam tylko bliskie spotkanie z Andym.

— Och, na litość boską! — warknęła.

Nagle poczułam się jak kot, który przyłapał małego kociaka przy jego misce z żarciem.

— Przepraszam — odpowiadam piskliwym głosem z najeżonymi na karku włosami. — Ale wytłumacz mi, dlaczego to cię tak drażni? — Wiem, co powiedziałam, robię zeza i pakuję sobie lewą rękę głęboko do buzi. Nigdy, ale to przenigdy nie doprowadzam do konfrontacji (incydent z ziemniakami to był mój pierwszy raz). Po prostu nie robię tego. Więc co, u diabła, mnie podkusiło? Kulę się w sobie i czekam na słowną eksterminację. Wyjmuję pięść z buzi i od razu dodaję: — Między nami nic nie zaszło. — Cisza w eterze. — Babs, jesteś tam? — pytam ze strachem. Może zemdląła? — Babs? — dławię się. — Dobrze się czujesz, Babs? Przysięgam, nic się nie stało. Podle się czułam, a on pogłaskał mnie po plecach — taki przyjacielski gest, nic więcej, zachowałam się jak idiotka, przypisałam temu inne znaczenie, ja...

— Nat — odzywa się cicho moja przyjaciółka. — Przecież nic nie mówię. Nie chodzi o... nie chodzi o... — Przerzywa i słyszę, że ma czkawkę. Niezbyt przyjemny odgłos.

— Babs — mówię zaniepokojona. — Chcesz, żebym wpadła do ciebie?

— Tak — odpowiada. — Przyjdź natychmiast!

— Słowo honoru, nigdy więcej nie spojrzę na tego faceta, tak mi dopomóż Bóg — odzywam się wisielczym tonem do bladoniebieskich ścian, chwytając za płaszcz.

Już jedną nogą jestem za drzwiami, kiedy dzwoni telefon. „Dobry Boże, kto to może być?”.

— Halo?

— Witaj, księżniczko!

— Cześć! — Moja radość jest wprost proporcjonalna do moich wyrzutów sumienia.

— Musimy pogadać.

— A co się stało? — pytam, zerkając na zegar. Jest wpół do dziesiątej. Naturalnie! Dzisiejsza przysługa. Lepiej nie naciskaj, dzisiaj już oddałam ci jedną przysługę.

W słuchawce cisza. Poganiam go w duchu: „No, pospiesz się!”, a w tym momencie odzywa się ponownie:

— Coś nie tak z Piersem. Sprawa jest poważna.

— A dokładniej?

— Nie odpowiada na moje telefony.

Słyszę, jak w głowie dźwięczy mi ostrzegawczy dzwonek. Przecież Tony coś wspominał o jakiejś puencie.

— A może wyjechał?

— Nie. Jest na miejscu.

— A może po prostu ma dużo roboty. Wiesz, nowy zespół to nowe zobowiązanie, może on...

— Zespół też nie odpowiada na moje telefony.

— Co takiego?!

— Posłuchaj, księżniczko! Pogadaj z Tonym w mojej sprawie, niech mu powie, że dzwoniłem. On zna tego starego dziada. Wie, jak do niego zagadać. Muszę z nim porozmawiać. To poważny facet. Coś zaczyna śmierdzieć, a ja nie wiem co.

Biorę głęboki oddech. No to mamy kłopoty. Pierwszy to taki, że Tony nie ma ochoty oddawać mi przysług. Po drugie, trzecie i czwarte — nie jestem na posyłki. Spieszy mi się. Poza tym, czy nikt nigdy nie nauczył go, że istnieje takie słowo jak „proszę”?

— Chris — wzdyham. — Naprawdę chcę ci pomóc, ale czy to nie może poczekać, powiedzmy — jeden dzień?

— Nie — odpowiada tylko i rzuca słuchawkę.

— Kretyn — mruczę pod nosem, wlokąc się przez miasto krokiem kulejącego jeża. — Sam próbuj rozwiązać swoje problemy. — Zapalam papierosa i żałuję, że nie stać mnie na własny helikopter.

— Nie wiadomo, co się dzieje z Babs — stwierdzam na głos, zatrzymując się na światłach, które pozostają czerwone tak długo jak opalenizna. — Wolno mi być jej przyjaciółką, ale nie wolno flirtować z jej bratem. Nie wierzę sobie samej, że zastanawiam się nad tym. Przecież go nie znosiłaś, pamiętasz? Z wyglądu przypominał starego tulipana. Przez telefon sprawiał wrażenie ponuraka. Zamykał się w pokoju i bez przerwy słuchał REM. Raz tylko wyrwał się z odrętwienia i pocałował cię, a potem zniknął, zostawiając na następne jedenaście lat. Chociaż kto by pomyślał, że ma takie piękne przedramiona? — W tym momencie posługuję się cytatem mojej ulubionej Tammy Wynette. — Boooskie przedramiona!

Kobięcy instynkt podpowiada, bym odwróciła głowę w prawo i wówczas dostrzegam, jak siedzący w saabie obok mężczyzna szybko odrywa ode mnie wzrok.

„Każdy gada do siebie w samochodzie!” — wyjaśniam zawstydzona.

Jednak słowa te wypowiadam w duchu, nie chcę wzbudzać bowiem niepokoju wśród innych użytkowników szos. W końcu dojeżdżam do Holland Park, biegiem pokonuję ścieżkę i dzwonię do drzwi.

— Halo! — wołam, zaglądając do otworu na listy. Wreszcie drzwi się otwierają. — Wystraszyłaś mnie. Rany, Babs, stało się coś?

Wygląda, jakby była chora. Ma na sobie jakąś powyciąganą koszulkę z napisem „Zabiłam Kena” i workowate, szare spodnie od dresu. Wygląda, jakby ubierała się na śmietniku — i kurczowo trzyma się swego kubka jak koła ratunkowego. Nie dostrzegam śladów łez, ale ma wychudzoną, szarą twarz, a pod oczami ciemne kręgi od zmęczenia. Włosy zaczesła skromnie do tyłu.

Chyba naprawdę nie chce, bym uwikłała się w romans z jej bratem.

— Przysięgam ci, Babs, że to nigdy się nie powtórzy, ja...

— Jezu, Natalie! — warknęła, machając rękami i wylewając herbatę. — Świat nie kręci się wokół ciebie! To nie ma nic wspólnego z Andym, tylko z Simonem!

— Z Simonem — powtarzam głupio, wpatrując się w nią.

Przez chwilę marszczy czoło, jakby zastanawiała się, czy nie rzucić z sarkazmem: „Tak, z Simonem — moim mężem, pamiętasz?”, jednak kiwa słabo głową i wydaje z siebie:

— Ta.

Robię gwałtowny krok do przodu i łapię kubek w momencie, kiedy wypada jej z ręki.

— Babs? — Nie odzywa się, ale jej cierpienie jest tak wyraźne jak krzyk w nocy. — Tak mi przykro. Co się stało? — Potrząsa głową i szczęka drży jej od powstrzymywania się przed płaczem. Nigdy nie widziałam jej w takim stanie i czuję, jak przerażenie przenika mnie swoim chłodem, usuwając pośledniejsze emocje. Wstyd mi się robi z powodu mojego egoizmu. — Opowiedz mi wszystko. Spróbuję ci pomóc.

Może wyczuwa prawdziwe współczucie, skryte od dawna pod maską uprzejmości, bo na jej twarzy pojawia się przelotny, blady uśmiech i ruchem głowy zaprasza mnie do kuchni.

— Napijesz się jeszcze herbaty? — pytam, kiedy opada na krzesło. Babs jest krzepką niewiastą, ale jej długie nogi splątane ze sobą kojarzą mi się z pajakiem, który zwija się w oczekiwaniu śmierci. Potrząsa przecząco głową, ale zapraszającym gestem wskazuje na błyszczący, nowiuteńki czajnik, co jak przypuszczam, oznacza: „Ale nalej sobie”.

Siadam naprzeciwko i czekam, drżąc ze strachu. Błagam, by sytuacja nie okazała się beznadziejna — ze względu na nią. I na mnie. Chyba sobie nie poradzę z takimi wielkimi wyrzutami sumienia. Przykłada dłonie do skroni i naciska, a potem wyrzuca z siebie:

— Wszyscy dookoła pytają: „Jak tam się miewa młoda mężatka? Jak tam się miewa młoda mężatka?”. Tylko o to pytają, a ja odpowiadam: „Świetnie, naprawdę”, ponieważ jako świeżo poślubiona małżonka powinnam uprawiać seks pięć razy dziennie przez siedem dni w tygodniu — to właśnie chcą usłyszeć, tak właśnie powinnam mówić. Natomiast prawda jest taka, że jest do dupy. Powinnam im mówić: „Wszystko jest do dupy”, a na dodatek nie wiem, co robić i, Jezu Chryste, nie umiem z nim rozmawiać, bo on nie chce mnie słuchać. Jestem... zrozpaczona.

— Ale, Babs, kochanie, dlaczego? — bełkoczę niewyraźnie. Nie wspominając o tym, że mówię jak pomocnica bibliotekarki w okularach z kiepskiego filmu z lat pięćdziesiątych, ledwo potrafię sklecić tych parę słów. Moja przyjaciółka siedzi przy stole, wyłamując sobie palce — chrup, chrup, więc chwytam jej dłonie i ściskam je mocno.

— On... on... Tyle się tego nazbierało, że nie wiem, od czego zacząć. — Odsuwa się i zakłada ręce. Zaczyna się śmiać gorzko i oświadcza: — Natalie, jeśli będziesz kiedyś spędzać miesiąc miodowy, a twój świeżo poślubiony małżonek przez dwie noce z rzędu zacznie oglądać *Siedmiu samurajów*, to — zapamiętaj moje słowa — zły znak.

— Jakich... jakich *Siedmiu samurajów!* — pytam zdumiona. Z jej tonu wnoszę, że nie jest to japońska wersja pogodnego musicalu *Siedmiu narzeczonych dla siedmiu braci*.

— To trzygodzinny czarno-biały film o bandziorach w szesnasto wiecznej Japonii — odpowiada. — A jak skończył, zaczął oglądać *Szoguna*. Następne dziewięć i pół godziny. Mniej więcej o tym samym.

Zatkało mnie. Bandziory? Podczas miodowego miesiąca?

— Nie miałabym nic przeciwko temu, gdybym musiała oglądać jego miecz samurajski więcej niż dwa razy w tygodniu! — Próbuje się śmiać, ale to bardziej przypomina szloch. Niespodziewanie dodaje: — To takie niesprawiedliwe. Ci faceci z jego pracy... — Moje oburzenie z powodu tych bandziorów w czasie miodowego miesiąca nie opuszcza mnie, ale kiwam głową, by potwierdzić, że wiem, o co chodzi. — Dranie! Wiesz, że żaden z nich nie złożył mi gratulacji z okazji ślubu. Tylko coś w stylu: „Kolejny poszedł do piachu”. A — uwierzysz — jeden to nawet stwierdził: „Chłopie, popełniasz największy błąd w swoim życiu!”. Ten fajfus nigdy mnie nie widział i śmie powiedzieć to Simonowi! A gdy się dowiedzieli, że jestem strażakiem — no to wtedy dopiero się zaczęło! „Stary, ochajtałeś się z lesbą!”. I to było najłagodniejsze wyrażenie. Ale przyleźli na nasze wesele i obżerali się za pieniądze jego rodziców, prawda? Myślę sobie, Simon mnie kocha, zniesie to, nie będzie słuchał bandy palantów. Jednak potem, kiedy rozmawiałam z Annelise — no, wiesz, koleżanką z bazy — ona spotyka się tylko ze strażakami, więc opowiedziałam jej o tym wszystkim i wówczas stwierdziła, że nigdy by się nie związała z kimś, kto nie pracuje w straży, ponieważ: „Kto będzie główną postacią w tym związku?”. I... i teraz nie daje mi spokoju to, co powiedziała. Myślałam, że w naszym małżeństwie będzie inaczej, że Simon jest inny i uważałam, że jest inny, bo podziwiał mnie za to, co robię, był ze mnie dumny, to znaczy, przecież on zarabia dwadzieścia razy więcej ode mnie, to on jest głównym żywicielem rodziny, no wiesz, nadal może walić pięściami w klatę i przynosić do domu włochatego mamuta. Nie okradam go z jego poczucia męskości, nie będąc ja... ja... jakąś przedszkolanką, ale, no wiesz, chyba jednak okradam, bo jest na mnie zły, od kilku tygodni okazuje mi wrogość, a zresztą prawie się nie widujemy. Albo pracuje do późna i wychodzi z samego rana, albo po pracy spotyka się ze swoimi kumplami i wraca wkurzony i wszystko, co robię, odbiera jako osobistą zniewagę. Stał się taki powściągliwy i chłodny. A jeśli ma jakiś romans? Strasznie się tego boję, że znajdzie sobie jakąś babę po to tylko, żeby dać mi nauczkę. Nie wiem już, dlaczego zgodziłam się na to małżeństwo. Nie zdawałam sobie sprawy, co mnie czeka. Przeze mnie w oczach swoich kumpli jest słabeuszem. Wychodzi na to, że jest inny od całej reszty, bo oni wszyscy mieszkają w obskurnych norach i nie robią zakupów co tydzień. Jakby obrazili się na niego, że dołączył do obozu wroga, a on przenosi to na mnie i może już mnie zaczął zdradzać. Możesz w to uwierzyć — dopiero minęły dwa miesiące od naszego ślubu, a ja już sprawdzam mu kieszenie! Och, Jezu! Jestem taka beznadziejna! Przepraszam, że cię tym wszystkim obarczam, ale nie wiem już, co robić. Doradź mi coś!

I w tym momencie spogląda na mnie dużymi, smutnymi oczami, jakbym za pomocą cudownej różdżki umiała sprawić, że wszystko znowu będzie wspaniałe.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Miałyśmy po trzynaście lat i jadłyśmy razem z Babs podwieczorek w jej kuchni. Pszenny chleb posmarowany czekoladą, tą ciemną, gęstą masą, która napawa uczuciem sytości. Chyba to był weekend, bo jej ojciec siedział razem z nami. Nieważne — jej mama siedziała sobie na kanapie, czytała książkę (moja mama nie wyobrażała sobie, że można mieć w kuchni meble z salonu) i niespodziewanie puściła bąka. Nasze przerażenie nie znało granic. Puścić bąka w obecności męża! Przecież to katastrofa! Czy nie wie o tym, że po czymś takim mężczyzna odchodzi? Moja mama szybciej by wybuchła, niż zachowała się w ten sposób w towarzystwie swego męża. Można sobie wyobrazić nasze zdziwienie, kiedy to mój tata wyszedł, a pan Edwards został.

Kiedy o wpół do drugiej pożegnałam się z Babs (ani śladu obecności Simona), byłam w szoku. Po co ja tam poszłam? Zmarnowałam trzy godziny, udzielając jej rad, przeżywając w tym czasie okropne męczarnie. Uświadomiłam sobie, że zależy mi na jej szczęściu i że uczyniłabym wszystko, by uratować jej małżeństwo. Wiem, że ona zrobiłaby to samo dla mnie. Powiedziałam jej, że pierwszy rok zawsze jest najgorszy (tak wyczytałam w „Mirror”) i że miesiące miodowe są koszmarnym przeżyciem i powinno się ich zakazać, nigdy bowiem nie mogą sprostać naszym oczekiwaniom. Dodałam jeszcze, że Simon ją ubóstwia, ale prawdę powiedziawszy, doprowadziła go do palpacji. Poradziłam jej również, by na wszelki wypadek nie puszczała w jego obecności bąków.

Nie wspomniałam, że jedno na trzy małżeństwa rozpada się (dane z „Guardian Against Fun”). Z trudem jednak udało mi się powstrzymać od trafnych rad dotyczących Simona. Trzeba być ostrożnym, krytykując partnera przyjaciółki, bo oni szybko mogą dojść do zgody, a ty jesteś tą wredną babą, która obrzuciła błotem miłość jej życia.

Leżę sobie wygodnie w łóżeczku i zaczynam rozmyślać o Andym. Babs nie chce, by się dowiedział o jej problemach. („On nie potrafi ukryć swoich emocji. Zobaczysz, pójdzie i przyłoży Simonowi, co, moim zdaniem, na tym etapie, nie byłoby właściwym posunięciem”). Nie zwierzy się również swoim rodzicom („Dali mi dwanaście kawałków na nasze nowe mieszkanie, przecież nie mogę im tego zrobić”). Mam poczucie bezradności. Jestem Liz Taylor poradnictwa małżeńskiego, moje umiejętności w kierowaniu facetami ograniczają się do chowania pilota do telewizora. Kogo mogłabym poprosić o pomoc? Tony, Mel, Chris — trójca błaznów. Ale przecież jest ktoś jeszcze? Może spróbować?

Frannie?

Niewątpliwie, gdybym musiała wymienić kogoś, kto ma najlepsze zadatki na Anioła Miłosierdzia, to na pewno nie byłaby Frannie. Zawsze miałam przecucie, że czeka ją mniej chwalebna kariera.

Przychodzi mi na myśl takie porównanie. Jeffrey Dahmer, seryjny morderca, na przykład, był bardzo miłym bobaskiem — jasne loczki, dołeczki w buzi i tak dalej. Do tego miał miłych rodziców. Kiedy Frannie się urodziła, to wypisz, wymaluj, wyglądała jak Christopher Walken. Jej matka wiązała z córką wielkie ambicje, ale ojciec powiedział tylko, że nie ma sensu posyłać jej do college'u. „Jak tylko dorośniesz, zaczniesz rodzić dzieci”. Typowa pogadanka!

Istotnie, stara się (i to bardzo). Na swój własny, nieznośny dla innych sposób usiłuje pomóc. Bez żadnego dopingu nie ustaje w swoich wysiłkach, by mnie zakasować. Frannie ma dobre serce. A na dodatek uwielbia Babs. Nie mam żadnych wątpliwości, że gdyby dowiedziała się o zachowaniu Simona, odgryzłaby mu... wiadome części ciała. Dlatego nie mam zamiaru mówić jej o nim. Nic a nic. Udam, że to mój związek przeżywa trudne chwile i poproszę o radę. Chętnie to zrobi. Nie będzie umiała oprzeć się pokusie, żeby mnie protekcjonalnie potraktować i udzielić odpowiedniej rady. Przy- najmniej raz dzięki Babs pokonam własny egoizm. Czy nie jestem geniuszem?!

Następnego dnia funduję sobie czterdziestominutowy bieg na siłowni, by poczuć się lepiej psychicznie, po czym wracam do domu i przywołuję Frannie przez pagera.

Nie ma śladu Andy'ego. Kiedy dzwoni telefon, rzucam się na niego.

— Halo?

— Mówi Chris.

— Chris! Och, cześć, cześć, co u ciebie? Słuchaj, nie miałam jeszcze czasu, by porozmawiać z Tonym, ale...

— Rozmawiałem z Piersem.

— Tak?! To super! Nie muszę więc...

— Podwędził mi zespół.

— Nie rozumiem?

— Chce być ich agentem, a ktoś z wytwórni ma zostać menedżerem kapeli. Nie miałem pojęcia, że ma jakichś menedżerów u siebie. — Na końcu głos Chrisa przemienia się w jęk.

— Och, nie! — wzdycham głośno. — To oburzające, co... co się stało?

— W zeszłym tygodniu wypytywał o wszystkie duperele, o co chodzi, na jakich zasadach są zaangażowani, czy mają jeszcze jakieś piosenki, co nowego, jak wyglądają, a ja odpowiadałem na te wszystkie jego pieprzone pytania, bo widać było, że mu zależy. Wysłuchał demo, wpadł do studia, wynikało, że chce ich przejąć, aż potem — cisza w eterze! Dziesięć razy do niego dzwoniłem. Nic! Wtedy chłopaki przestały się do mnie odzywać, aż wreszcie dzisiaj Piers dzwoni do mnie i mówi: „Przykro mi, stary, ale nic nie wyszło z naszej współpracy. Siny Diabeł chce poszukać sobie innego menedżera i zgodziliśmy się im pomóc”. Nie rozumiesz? Powiedział mi to prosto w oczy!

— Och, Chris, tak mi cię...

— Słuchaj dalej! Wtedy ten popapraniec mówi: „Ale jeśli masz jeszcze coś ciekawego, to mogę przesłuchać!”. Najmniejszych wyrzutów sumienia, jakby miał ochotę dodać: „Przepraszam cię, stary, ale podnieś wyżej rękę, bo nie mogę dokładnie wbić noża”. Jeżu Chryste! A potem, po dwóch sekundach, dzwoni ten przeklęty Judasz — Tarqy! Po tym wszystkim, co dla niego zrobiłem! Gdyby nie ja, to nadal byłby inżynierkiem od elektryki! Zaczyna nadawać, jakim to kiepskim byłem dla nich menedżerem! Mówi tak: „Piers zrezygnował z grania do kotleta, bo to poniżej naszego poziomu”. A kiedy załatwiłem im koncert w barze na uniwersytecie Berweek-on-Tweed, wtedy Tarqy szalał z radości.

— Och, Chris! — Wzdycham. — Jak mi cię...

— To jak... to jak... jak to się mówi...

Kiedy Chris zaczyna swoje biadolenie, słyszę brzęczenie na drugiej linii. To na pewno Frannie.

— Przepraszam cię, Chris, ale muszę kończyć. To świństwo ze strony Piersa, ale... ale co ja mam zrobić? Tony ci chyba nie pomoże w tej sprawie.

— Księżniczko, musisz do niego zadzwonić. Może zarekomendować sprawę albo może zamienić z Piersem parę słów. Ja...

— Nie mogę go o to prosić — wyrzucam z siebie, wymachując nogami.

— No, stara! Przecież nie proszę cię o tak wiele. Ja... Ta „stara” przelała czarę.

— Nie mogę — dodaję chłodnym tonem. I bez namysłu w przyływie odwagi wciskam rozmowę na drugiej linii.

— Bardzo mi przykro, że musiałaś czekać — mówię przeproszającym tonem.

— Dla mnie to nic dziwnego — stwierdza Frannie. — O co chodzi?

Trochę trwa, zanim wyjaśnię jej sprawę — podczas której przelkam tyle kilogramów upokorzenia, że pewnie przytyłam dwa razy tyle — i ją urabiam. Frannie kończy zmianę piętnaście po dziesiątej wieczorem. Możemy spotkać się blisko szpitala, w Lambeth, albo może gdzieś w drodze do jej domu. Może koło stacji metra, gdzie ma przesiadkę na Bethnal Green. Nie jestem na czasie i nie znam takich miejsc jak Lambeth czy Bethnal Green, dlatego mówię:

— Świetnie. A może spotkamy się w barze Pitcher&Piano w Cornhill? To jest w samym City, tuż za rogiem od wyjścia z metra.

Dochodzi mnie jej kaszel, chyba udławiła się moim złym gustem.

— Wiesz, Natalie — oznajmia z westchnieniem — z ciebie to taki *petit bourgeois*. Nigdy nie byłam w Pitcher&Marrow, ale to może być cenne doświadczenie. A co się tyczy twoich problemów z Chrisem, przykro mi z tego powodu, choć to dla mnie żadne zaskoczenie. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że twoja walka z dojrzałą powierzchownością daje facetom pozwolenie, by popierali szczupłą sylwetkę? Pomagasz Chrisowi usidlić siebie! O wiele łatwiej jest ujarzmić kobietę o delikatnych, dziecięcych kształtach jak ty, niż taką dobrze zbudowaną jak Barbara albo taką zmysłową matkę ziemię jak ja sama. — Tak też można to ująć i tak też można określić studwudziestokilową babę, moim zdaniem.

Frannie zrobiłaby zawrotną karierą w public relations! — Nic dziwnego, że traktuje cię jak zabawkę. Musisz znaleźć w sobie dość odwagi, by rzucić mu wyzwanie i stawić czoło jego pierwotnym lękom — okaż obraz dojrzałej i silnej kobiecości. Głodzisz się na śmierć i nie potrafisz przeforsować swego zdania, umacniając go w jego mylnym przekonaniu, że gatunek silnej kobiety wyginął. Czy mnie rozumiesz, Natalie? Ty, takie potulne jagniątko, pozwalasz, by jego fantazje o potędze i władzy — dzięki tobie te właśnie fantazje staną się „faktazjami”. Jeśli nie nabierzesz kształtów, to pewne, że zaczniesz skakać na boki! Z tym swoim rozmiarem trzydziestym szóstym pozwalasz mu na fizyczną i umysłową wyższość nad tobą — jesteś nikim! A teraz, zrób to dla mnie i zastanów się nad tym, co powiedziałam! Do zobaczenia w Pitcher&Marrow o dziesiątej czterdzieści. *Au revoir!*

Po dwóch sekundach jej monologu uświadamiam sobie, że koncepcje wymyślone o drugiej nad ranem później okazują się mniej wspaniałe niż w chwili poczęcia. Daremne żale. Telefon milczy jak zaklęty, a ja zostałam wrobiona w rozwiązywanie małżeńskich problemów Babs. A na dodatek, jestem jeszcze represjonowana! Przecież zaczęłam jeść więcej. (W zeszłym tygodniu dowiedziałam się, że brak białka może powodować wypadanie włosów. Co jeszcze? Może brak żółtych pasków na tapecie? A może brak dobrych programów telewizyjnych we wtorek o czwartej nad ranem?).

Ponieważ boję się zadzwonić do Frannie raz jeszcze, dlatego spędzam resztę dnia w poczuciu ogarniającego przerażenia. O wpół do dziesiątej nie mogę sobie już z nim poradzić i wychodzę z domu. A tak na marginesie — nie żeby mnie to wielce obchodziło — ale gdzie jest Andy? Może ma randkę? Z ociąganiem idę na stację metra. Przynajmniej mogę liczyć, że nie zawiodę się na londyńskiej komunikacji. W tym mieście każdy dojazd zajmuje godzinę — zawsze znajdzie się jakaś zamknięta stacja, bo schody ruchome się zepsuły albo bileterka ma urodziny. Marzę, by zamieszkać w Bangladeszu — tam ludzie wiedzą, co to punktualność. Kolejka miejska w ciągu siedmiu minut dowozi mnie do banku.

Celowo wychodzę innym wyjściem i człapię jak kaczka przez Threadneedle Street. Otoczona elegancją, zastanawiam się, czy przypadkiem Simon tu nie pracuje?

Blondynka ze mnie. No pewnie, że pracuje! Kto inny mógłby mi powiedzieć o takiej snobistycznej dziurze jak Pitcher&Piano? W czasie panującego między nami pokoju Babs opowiadała mi o imprezach tam organizowanych!

— To jakby jego drugie biuro — mówiła z czułością.

Jak sobie (już bez czułości) o tym przypominam, przychodzi mi do głowy nieśmiałe pytanie. A co, jeśli tam jest? Założę się, że jest. Czy stawiałabym mu czoło? Tak! Potulne jagniątko, gówno prawda! Choć nie ma potrzeby się wyrażać, jak zwykła mówić moja matka... Dumnie zmierzam w kierunku Pritcher&Piano jak anioł zemsty, zatrzymując się jedynie po to, by pomalować usta.

Nogi trzęsą mi się jak galareta, mieszając się z ryczącym tłumem, kiedy setka zamożnych oczu ocenia mnie krytycznie, po czym odprawiają mnie jednym pogardliwym spojrzeniem. Spuszczam

wzrok, świadoma, że wyglądam ubogo (jak ci, którzy należą do ostatniej grupy podatkowej). Czuję się jak prowincjuszka na balu. Nie ma sensu zamawianie sobie drinka przy barze, barmani nie zwracają bowiem na mnie najmniejszej uwagi. Co ja tutaj robię? To był głupi pomysł. Ale tak tego nie zostawię! Wyciągam z torby komórkę, piszę do Frannie: „Przepraszam, że zawracałam ci głowę, ale już wszystko w porządku”. Dobra. Teraz pójdę do kio, potem wrócę do domu — sprawa załatwiona.

Próbuję przemknąć między rozgadany tłumem — „Przepraszam”, „Przepraszam” — delikatnie dotykając dłońmi szarych, szytych na miarę garniturów, bo inaczej zmiażdżyliby mnie jak winogrono w prasie. Chowam głowę pod tacami z piwem — „przepraszam”, „przepraszam” — choć to oni powinni ustąpić.

— Witaj, Natalie! — dochodzi mnie z lekka bełkotliwy, dźwięczny głos. — Nigdy bym się nie domyślił, że odwiedzasz takie miejsca. Chodź się przywitać! — Obracam się i widzę, że Simon klepie mnie mocno po plecach i odwraca w swoją stronę.

— Witaj, witaj — odpowiadam, jękając się. Słyszę swój słaby i piskliwy głos, a w duchu zadaję sobie pytanie: „I co dalej?”. Zauważam jego niewyraźną minę i lekko błędny wzrok i zdobywam się na lodowaty uśmiech.

— Chodź, poznasz wiarę! — bełkocze, a jego ręka zsuwa się po moich plecach. — Panowie! — woła. Ożywiona rozmową gromada eleganckich garniturów rozdziela się i patrzy na mnie. — Pozwólcie, że wam przedstawię swoją dobrą znajomą.

Znajomą?! Od kiedy to jesteśmy dobrymi znajomymi? Przecież potrzebował cztery miesiące, by zapamiętać, jak mam na imię! Popycha mnie do przodu, niechętny obiekt zainteresowania, a wiele szczeniastych twarzy kiwa głowami i uśmiecha się do mnie, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów. Opary alkoholu zwałyby mnie z nóg, gdyby zdjął rękę z moich pleców — pewnie zapomniał, że ją tam w ogóle położył. Dobytam z siebie przywitanie, ale tylko na tyle mnie stać. Simon oświadcza, cedząc słowa:

— Zaraz ci przyniosę coś mocniejszego, czego byś się napiła? Polecam różowy napój godny damy — wódkę z żurawiną albo kir royale.

Towarzystwo szympanów uznało to zamówienie za świetny żart, więc wywołuję ducha Frannie i oświadczam:

— Nazwa mi się podoba, ale tak naprawdę to mam ochotę na duży kufel carlsberga. — (Wiem tylko tyle, że kiedyś widziałam, jak jakiś bezdomny to pił). Kumple Simona zaśmiewają się do rozpuku, spryskując sobie wzajemnie piwem swoje drogie krawaty. — A gdzie Babs? — pytam dobitnie, szukając jej wzrokiem. — Przyjdzie do nas?

Simon — z ręką przyrośniętą do moich pleców — prowadzi mnie do baru i od razu stawia przede mną różowy napój.

— Moja małżonka... — zachichotał — moooja, szaaanoowna mauużonka pewnie ratuje teraz ludzkie życie, przecież jest ratownikiem, nie wiesz? — Przewraca oczami, co ma wyrażać sarkastyczne zdziwienie. Fryzura trochę mu się potargała. Jest pijany jak robak, który wpadł do butelki z tequila. „No, powiedz mu!”. Czuję, jak serce mi wali na samą myśl o tym. Rozglądam się i staję mu na drodze. Uśmiecha się, chwiejąc mocno na nogach.

Tłumię w sobie strach i spoglądam na jego czarne, eleganckie buty. Podnoszę głowę i stwierdzam poważnym — na wszelki wypadek — głosem:

— Upiłeś się.

Powoli na jego twarzy rozlewa się uśmiech jak syrop z melasy i mówi:

— Natalie, nie masz nic przeciwko, że będę cię tak nazywał, prawda?

A jak inaczej ma się do mnie zwracać? John Thomas? Zapalam papierosa, ale jego nie częstuję.

— Już tak się do mnie zwracałeś — przypominam mu krótko.

— No to będę cię tak nazywał. Nadalie! Nadalie, super, że przyszłaś! Czy już ci to mówiłem? To jest moje ulubione miejsce. Czy ci mówiłem? Nigdy bym nie przypuszczał, że tu cię spotkam! Tutaj przychodzą tylko sekretarki i silne kobiety! — Wychyla pół kufla piwa od razu.

— Simon!

— Cooochceesz? — pyta.

— Może wróciłbyś do domu?

— Nie! — wyrzuca tylko i kołysze się do przodu i tyłu, chichocząc.

— Uważaj! — wzdycham, kiedy następuje na piętę facetowi o potężnym karku i ramionach. — Przepraszam bardzo! — wykrzykuję. — Proszę cię, Simon — próbuję przekrzyczeć otaczający nas zgiełk. — To nie fair wobec Babs. Przecież nie chcesz, by się martwiła. Ona cię bardzo kocha, a wiem, że i ty za nią świata nie widzisz, wiem...

Kładzie mi rękę na ramieniu i zjeżdża w dół. Pochyla się i ustami łaskocze mnie w ucho. Przypuszczam, że za chwilę wyrazi akt skruchy, ale on mruczy:

— Nadalie, nie masz nic przeciwko temu, że będę cię tak nazywał? Czy nikt nigdy ci nie mówił, że masz seksowne usta, tylko z tego nie korzystasz? No to ja muszę ci wytłumaczyć, jaki użytek robi się z takich ust. Jesteś bardzo cicha, ale mi się to podoba. Wiesz, co się mówi, o takich cichych, prawda? — Raptownie odchyłam głowę tak mocno, że trafiam go w nos. — Cholera! — wybełkotał, dotykając twarzy, a między palcami zaczyna wyciekać krew. — Cholera!

Patrzę na niego i czuję, jak gotuję się w środku. Bełkoczę nieskładnie:

— Ty... ty... nie mam zamiaru cię przepraszać. Zachowujesz się obrzydliwie! Nie przepraszam cię... nie mów nigdy takich rzeczy! Upiłeś się, upiłeś się, rozumiem to, ale...

Wypuszcza z rąk kufel, który uderza o podłogę. W tym momencie wszyscy odwracają głowy, a wtedy on odrywa ręce z twarzy, gwałtownie łapie mnie za głowę i przyciąga do siebie. Z całych sił

przyciska swoje usta do moich, dotykając zębami moich zębów, a ja wymachuję rękami, odpycham go, próbuję walczyć. Połykam krew, ściskam go za ramię i próbuję odepchnąć od siebie. Kiedy podnoszę nogę i uderzam go z całych sił w goleń, puszcza mnie i patrzy na mnie zdumiony z twarzą wykrzywioną bólem. Mam ogromną ochotę chlusnąć swoim różowym drinkiem w tę jego głupią gębę, oblać mu jego słonecznożółty krawat, jasnoniebieską koszulę i granatowy garnitur. Wówczas jednak Babs miałyby zbyt dużo do przemyślenia. Dlatego drżącymi rękami stawiam na barze lepki, w połowie rozlany kir royale, i wierzchem dłoni wycieram krew z twarzy, po czym mówię:

— Zachowaj się, jak na faceta przystało, i wracaj do żony.

Otoczona zupełną ciszą wychodzę z Pitcher&Piano, a na dworze zaczynam biec i czuję, że zbiera mi się na wymioty jak młodemu wampirowi po pierwszej uczcie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Według chińskiego kalendarza urodziłam się w roku Koguta. Choć pewnie poszczęściło mi się (Belinda urodziła się w roku Psa, a Tony chyba w roku Szczura), to jednak nigdy nie lubiłam tego znaku. Chciałam być Tygrysem (poza nimi zostają chyba tylko: Koza, Małpa, Koń i Wąż — jak widać Chińczycy nie przejmują się, że mogą swoje dzieci wpędzić w kompleksy). Ale po tylu latach obrażania się na chiński kalendarz za przyczepienie mi etykiety zostałam w końcu zmuszona zaakceptować fakt, że wybór był trafny. Urodziłam się w Roku Tchórzliwego Ptaka.

— Wszystko w porządku, mała? — pyta taksówkarz, przyglądając mi się w lusterku. — Kłopoty sercowe, co?

Wycieram twarz i dodaję ochryplym głosem:

— Nie... tak, nic mi nie jest, dziękuję. — Ale kiedy płacę, patrzy, jak trzęsą mi się ręce.

— Uważaj na siebie, mała! — woła za mną, kiedy szybko idę ścieżką. — Nie zaszkoździ.

Powiedział, co wiedział. Przekręcam klucz w zamku, wpadam do środka i chwiejnym krokiem kieruję się do łazienki. Kiedy spostrzegam siebie w lustrze, zaczynam drżeć. Wokół ust zakrzepła krew — wyglądam jak kanibal abnegat — włosy w nieładzie i błyszczące z przerażenia oczy. Twarz mam smutną i wymizerowaną, szukałam guza i znalazłam. Mam ochotę zedrzeć z siebie ubranie i wyszorować się do kości, ale nie zniosę widoku swego wychudzonego ciała. Muszę potwierdzić — Babs ma rację — nie jestem gruba, nie jestem wcale gruba. Teraz już to widzę i jestem przekonana, że to niezdrowe. O Boże, do czego doprowadziłam! Zmywam brud z twarzy, myję zęby i pluję, pluję, pluję do zlewu, a przez cały czas drzę tak mocno, że nie mogę sobie z niczym poradzić.

Wieszam ręcznik na drążku, a on ześlizguje się na podłogę. Podnoszę go i znowu rzucam go na wieszak, waląc go przy tym pięścią: „Ty cholerny draniu! A masz, masz, masz!”. Potem wstrzymuję

oddech i nasłuchuję, czy nie obudziłam Andy'ego. Co bym mu powiedziała, gdyby zobaczył mnie w takim stanie? „Jadłam krwisty stek i trochę się zapomniałam?”.

Przyczesalam włosy, wygładziłam ubranie, pomknęłam do kuchni i cicho zamknęłam drzwi na klucz. Chciałabym zasnąć na setki lat, ale chyba już nie zasnę. Dobrze wiem, co powinnam zrobić i przejmuję mnie przesywający dreszcz. Otwieram drzwi spiżarni, wchodzę na krzesło i ściągam z półki duże, blaszane pudło. Bez słowa stawiam je na stole.

Sezamie, otwórz się!

W świetle lamp zawartość pudła błyszczy jak sztuczna biżuteria.

— Zjedz coś, a poczujesz się lepiej — powtarzam jak mantrę słowa matki. („Zjedz coś, a poczujesz się lepiej”, tak samo by powiedziała, gdyby ktoś ugodził mnie nożem — to jej odpowiedź na wszystko. Kiedyś oglądała Johnny'ego Rottena śpiewającego *Anarchy in the UK* i wówczas oznajmiła Tony'emu: „Gdyby coś zjadł, na pewno poczułby się lepiej”).

Zaglądam do środka pudła i czuję, jak żołądek wywraca mi się do góry nogami. Wyciągam rękę, puls mam przyspieszony, ogarnia mnie obżarstwo, nie mogę się powstrzymać, czuję obezwładniającą żądzę.

Łapczywie rzucam się na jedzenie, jak dzikie zwierzę rozrywam je na kawałki, zębami rozdieram opakowania — fioletowe, złote, czerwone, srebrne, rzucam się na wszystko — wielobarwne przedmioty pożądania. Opycham się, obżeram, objadam. Och, wszystko poszło nie tak! Ta gęsta, lepka słodycz — ogarnia mnie błogość — rozplywa się w ustach. Więcej, jeszcze więcej, nie mogę się opanować, to straszne! Jestem tak cholernie głodna, że nie mogę przestać. Ta pustka, którą mam w sobie, jest jak ziejący potwór domagający się głośno i stanowczo ofiary. Karmię ją, wypełniam, oswajam, spychając coraz głębiej, każę jej odejść i och, tak, tak, czuję, jakbym kładła lód na ranę, aż wreszcie wrzawa panująca w środku ucisza się i ogarnia mnie uczucie sytości.

Przez jedną, króciutką minutkę. A potem znowu zaczyna walić w środku. Patrzę na plugawe papierki po słodyczach zaśmiecające mój, przed chwilą czysty jeszcze, stół i przychodzi mi jedynie do głowy: „Co ja zrobiłam? Miałam atak!”. Przyśnił mi się jeden odcinek z serialu *Roseanne*. Mój żołądek zwiększył swoją objętość i waży teraz tyle co dojrzały arbuz, i zaraz chyba pękne. Spoglądam na swój brzuch koloru białobrązowego — to wina czekolady i Wiórków kokosowych. Kiedy je strzepuję, zostawiają na moich spodniach obrzydliwe brązowe plamy. Na reklamach batoników nigdy czegoś takiego nie pokazują — niezgrabne ręce i brązowe plamy na spodniach. Czuję wielką, wzbierającą siłę, nieprzeparte pragnienie, by zdrapać skórę aż do kości. O Boże! Łzy napływają mi do oczu, a ja zgniatam wszelkie dowody winy i wrzucam je do kosza, przez cały czas zawodząc w duchu: „To nie sielan-ka, to piekło i gorzej być nie może!”.

Siedzę przy stole, a w głowie mi huczy. Czuję, jak cała wibruję z odrazy do siebie, choć wina leży równie dobrze po stronie: marsa, mlecznego batonika Bounty, Milky Way, snickersa, miętowego

Aero, owocowego z orzechami, pudełka maltesersów, torebki ministerlsów i tubki smarties. To nie było mądre posunięcie. Siedzę i gapię się w ścianę, a słowa: „ochbożeochboże” przelatują mi przez głowę jak niekończący się klucz ptaków, a kiedy podnoszę głowę i spoglądam na zegar, widzę, że jest druga siedemnaście w nocy. Mam ochotę pójść pobiegać, żeby zrzucić z siebie cały ciężar. Nie mam ochoty na sen, ale ponieważ nie mam też ochoty, by żyć, pójście do łóżka stanowi niewielkie wyrzeczenie. Otwieram zamknięte na klucz drzwi, na palcach skradam się do łazienki, myję zęby, po cichu wchodzę do sypialni i... podnoszę straszliwy wrzask.

Andy leży w moim łóżku! To dopiero zboczek!

Z niedowierzaniem przyglądam się wybrzuszeniu pod kołdrą, a — ponieważ to coś nie rusza się — znowu wrzeszczę. (Jak można się domyślić, jestem specjalistką w dziedzinie wrzasku. Trzeba mieć wrodzony talent).

— Natalie? — dobiega mnie zaspany głos z końca korytarza.

— To ty? Wszystko w porządku?

— To, w takim razie, kto...? — Biorę do jednej ręki świecznik, a drugą odkrywam kołdrę. W moim łóżku leży Chris!

Biegnę do drzwi.

— No, ładnie! — mówię na głos.

Patrzę na niego. Co, u diaska, on tutaj robi? Ostatnio byłam wobec niego szczególnie miła. Ostatnio byłam słodka jak ciastko z kremem, natomiast on od wielu tygodni był w złym humorze, więc kiedy już zrobię się niemiła, to pewnie mu się spodoba. Zupełna odmiana! Ale niech tylko zapyta o Tony'ego, to wszystko skończone! Nie żartuję. Strzeliłam sobie działkę węglowodanów i niech nikt ze mną nie zadziera. Szturcham go świecznikiem. Śpi jak zabity. Upił się. Stawiam świecznik na stoliku nocnym i zaczynam się zastanawiać. Kiedyś uznałabym za komplement, gdyby jakiś nieudacznik wkradł się do mojego mieszkania, a potem do łóżka w stanie wskazującym na spożycie. (Ojej! On, taki biedny przyszedł właśnie do mnie! O kurczę! Zarzyga mi całą pościel! Super!). Teraz już nie zależy mi na tym tak bardzo.

Grzebię w szafie, wyciągam najobszerniejszą, najskromniejszą i najobrzydliwszą nocną koszulę z czasów wiktoriańskich — zapiętą wysoko pod szyją, całą w falbankach i kokardkach — i nakładam na siebie. Potem kładę się jak słoń morski w damskim przebraniu, aż wreszcie zasypiam.

Kiedy budzę się, odczuwam niepokój. Po dawce wrzasków i wczorajszym obżarstwie łupie mi w mózgu i przypominam sobie dlaczego. Ogarnia mnie odraza i oburzenie. Zaczynam winić rodzinę Edwardsów. Babs i Andy naciskają mnie, by jeść, jeść i jeszcze raz jeść, no to jem trochę więcej, ale jestem maksymalistką — wyznaję zasadę wszystko albo nic, trochę to zawsze będzie za mało — i dlatego ta presja otoczenia tworzy jakby parę w garnku z gotującą wodą i z mocno zamkniętą pokrywką. A potem — pufff! Jak mogłam? Dawniej potrafiłam nad tym panować. Jezu, niedobrze mi się robi!

Rzucam okiem na budzik i wzdrygam się. Ohyda! Bombonierka! I róże! Przez chwilę myślę, że Bóg sobie ze mnie żartuje. W końcu domyślam się. To Chris. Równie dobrze mógłby kupić mi kostium świnki i jabłko, bym wetknęła je sobie do buzi.

— O, w mordę! Coś ty na siebie włożyła! — Zamykam oczy, a potem je otwieram. Chris rzuca mi takie spojrzenie, jakie pasażerowie serwują znad gazety dla żebraków w pociągach. — Wyglądasz jak matka Normana z *Psychozy* Hitchcocka — dodaje.

— To ostatni krzyk mody ze sklepu z elegancką bielizną — wymyślam na miejscu.

— W porządku — stwierdza, przyglądając mi się raz jeszcze. — Nawet ładna.

Marszczę czoło niezadowolona.

— Jak to się stało, że wylądowałaś w moim łóżku? Chris robi zdumioną minę.

— No... nie mam pojęcia. Och, tak, przypominam sobie! Jechałem do Camden, chciałem załatwić... no, w każdym razie zrobiło się późno, a ty mieszkasz po drodze. Ten fagas wpuścił mnie do środka. Nie lubię go, księżniczko. I nie podoba mi się, że u ciebie mieszka.

Otwieram buzię.

— Chris — zaczynam. — Mieszka u mnie, bo potrzebuję gotówki; straciłam pracę, pamiętasz? — Wzrusza lekko ramionami.

— Nie podoba mi się, że tutaj mieszka — powtarza z posepną miną. Wyskakuje z łóżka i przeciera oczy. — Ale wczoraj byłaś wkurzona! Mam nadzieję, że dzisiaj już wszystko w porządku, bo musimy pogadać. To na spóźnione walentynki. — Pokazuje na czekoladki. — No dobra. Teraz muszę wziąć prysznic, a potem pogadamy. Porozmawiaj z Tonym, księżniczko, tak jak to ty potrafisz. Słuchaj, stara — przerwa — jesteś moją kobietą, nie? Ty i ja, kochanie! Nie chcę, żeby Andy się tu kręcił. Zawadza mi.

Po tym władczym przemówieniu (choć po cichu spodziewałam się, że powie: „Mamy wspólne plany, musimy coś kupić, nie marnujmy czasu na rozmowy o tym odrażającym facecie”) ciężkim krokiem zmierza do łazienki. Patrzę na niego i czuję, jak zbiera mi się na mdłości. Wyskakuję z odrażającej nocnej koszuli i nakładam swoje wygodne ubranie. Całe życie słuchałam innych. Mówiono mi — jesteś taka a taka, powinnaś zrobić to a to. Teraz mam już tego dość. Nie mam zamiaru przyjmować rozkazów od palanta, który w tej chwili wciera sobie we włosy moją bezcenną, kremową odżywkę Aveda.

Robię łóżko, kładę się i czekam na jego powrót.

Po piętnastu próżniaczych minutach Chris po cichu wchodzi do pokoju, czyszcząc sobie uszy moim puszystym, białym ręcznikiem.

— Ta twoja nowa odżywka do włosów strasznie śmierdzi! — stwierdza na powitanie.

— Jaka odżywka? — pytam, siadając.

— No to białe świństwo pod prysznicem. Jakiś czas temu wysmarowałem sobie tym włosy i jeszcze cuchną.

— Białe świ...? — Przerywam w połowie. — Chris — oznajmiam wyraźnie: — Zastanowiłam się nad tym, co powiedziałaś...

— Grzeczna dziewczynka.

— No właśnie — dodaję z uśmiechem. — W tym jest problem. Nie jestem grzeczną dziewczynką.

— Nie rozumiem — stwierdza obrażonym tonem. Odchrząknęłam.

— Wiesz co — zaczynam — cieszę się, że Andy mieszka ze mną. Poza tym nie jestem twoją kobietą. I to by było na tyle.

Chris, który wyciera sobie głowę ręcznikiem, w połowie przerywa tę czynność.

— Co takiego? — warknął. — O co ci chodzi?

— Mówię tylko — odzywam się piskliwym głosem — że więcej nie dam się wykorzystywać. Koniec. Kropka. Co było, a nie jest... Nie jestem twoją asystentką i nie mam zamiaru prosić mego brata, by ci pomógł ani dzisiaj, ani nigdy. Dlatego wyjdź teraz i więcej tu nie wracaj! — Już miałam na końcu języka „proszę cię”, ale powstrzymuję się i zamiast tego dodaję: — *Capisci?* (nie uczyłam się — jak Chris — włoskiego z filmu *Chłopcy z ferajny*).

Po moim wystąpieniu i jego: „Ale co będzie z zespołem?” i „ty wstrętna krowo”, i jeszcze: „A gdzie masz suszarkę?”, opuszcza moje mieszkanie.

Macham mu ręką na wieczne pożegnanie, oddychając z ulgą. *Sayonara, baby!* Jaką potęgę ma słowo! Pewnie były to najważniejsze, najodważniejsze słowa, jakie kiedykolwiek wypowiedziałam. W tym momencie uzmysławiam sobie, że odwaga i głupota są ze sobą ściśle związane. Jednak teraz moja odwaga podsycana była strachem oraz gorącym pragnieniem, by być jak najdalej od Chrisa, kiedy będzie przeczesywał swoje lśniące, ciemne loki i odkryje, że to „białe świństwo” pod prysznicem to nie jest żadna śmierdząca odżywka, tylko silny i skuteczny krem do usuwania zbędnego owłosienia — £5,99 za tubkę. Na tym właśnie polega problem z facetami. Są zbyt próżni, by czytać, co napisano na etykiecie.

Opieram się o drzwi i oddycham głęboko. Poszedł sobie, a ja puściłam go kantem.

— Witaj! — mówi Andy, wychodząc ze swego pokoju w okropnym, kraciastym szlafroku i kapciach po dziadku, psując mi nastrój chwili. — Czyżbym — pyta, składając przede mną arystokratyczny ukłon — był świadkiem jakiegoś dramatu?

— Właśnie rzuciłam Chrisa.

— Świetne posunięcie — stwierdza, klaszcząc w dłonie. — To był skończony dureń. — Po czym dodaje jeszcze: — Mam nadzieję, że nie miałaś mi za złe, że go wczoraj wpuściłem. Podobno umówiliście się tutaj, a byłem zbyt skonany, by bronić naszej twierdzy.

— Nieważne — odpowiadam. — Ale niedługo pewnie bardzo się przejmie.

— Wierzę! — wykrzykuje Andy, drapiąc się po zaroście. — Byłaś dla niego za dobra. Pasowa-
liście do siebie jak kwiatek do kozucha.

Przyjmując te słowa za komplement — mam nadzieję, że nie porównywał mnie do kozucha —
wykrzywiam twarz w uśmiechu.

— Dziękuję — dodaję. — Ale prawdę powiedziawszy, nie chciałam tego.

Opowiadam mu historię z kremem do usuwania włosów. Śmiejemy się do rozpuku i zapomi-
nam, że przedtem nie układało się między nami. Andy znika pod prysznicem, a ja postanawiam, że
zapomnę o wczorajszym chaosie i zacznę wszystko od początku. To wypróbowana metoda i postana-
wiam się jej trzymać, kiedy o dziewiątej trzydzieści jeden dzwoni telefon.

— Halo?

— Simon?

— Nie, to Natalie — odpowiadam, zastanawiając się, czy rzeczywiście mam głos podobny do
faceta.

— Nie zrozumiałaś, tu mówi Simon.

— Aha!

— Chciałem cię przeprosić za wczorajszy wieczór. Strasznie mi przykro. Te wszystkie brednie,
które wygadywałem na temat swojego małżeństwa były... no mogły być dla ciebie szokiem. Nie
chciałem tego powiedzieć. Jak teraz sobie wszystko analizuję, to wydaje mi się, że nigdy przedtem nie
zachowałem się tak skandalicznie, zapewniam cię. Babs to super dziewczyna, postąpiłem jak palant.
Nie, niech to zostanie *entre nous*, dobrze? Nie powiesz nikomu?

Co on — oszalał?

— Posłuchaj, Simon — zaczynam. — Daję ci moje słowo, że nie powiem o niczym Babs. —
„Ale jełopa poślubiła” — dodaję w duchu. — To, co mówiłeś, było prawdą?

— Oczywiście — odpowiada tylko i odkłada słuchawkę. Łapię w drżące dłonie kubek z herbatą
miętową i dziękuję Bogu za wybawienie. No to po wszystkim i od tego momentu wszyscy będziemy
żyli długo i szczęśliwie. Ale chyba za szybko podziękowałam temu Panu z siwą brodą w niebiosach,
chwilę potem bowiem dzwoni telefon. Tym razem to Frannie.

— Widziałam cię — zasyczała — jak całowałaś się z Simonem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Czuję się, jakbym przepuściła jakiś samochód. Człowiek nie musi, bo ma pierwszeństwo, ale czuje w sobie ogromną dobroć, pragnie, by na świecie panowała harmonia, dlatego bezinteresownie pozwala mu włączyć się do ruchu. I co otrzymuje w zamian? Kłopoty. Pozwoli się jakiemuś idiocie, by wjechał na jego pas, a ten wlecze się przed nosem czterdziestką, hamuje przed niewidocznymi przeszkodami, z nieufnością rusza na zielonych, jakby to była bomba-pułapka, a potem nagle jak nie wyrwie do przodu, dokładnie w momencie, kiedy światła zmieniają się na czerwone, i zostawia na łasce losu swego niedawnego dobroczyńcę, który w efekcie spóźnia się na ważne spotkanie i pewnie narazi się na karę trzech funtów za zwłokę w wypożyczalni wideo.

Jednak obecna sytuacja jest sto razy gorsza. Wbijam wzrok w telefon i czuję ogarniające mnie szaleństwo. Nie, Frannie, ty nic nie rozumiesz — to nie tak!

— Posłuchaj tylko — krzyczę z bezsilności.

— Przecież wszystko widziałam — powtarza Frannie. — I wiesz, co jeszcze ci powiem? Nie sądziłam, że taka jesteś. Ale myliłam się. Jesteś tak wielką egoistką, że nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile zła wyrządziłaś.

— Ale ja... — Próbuję jeszcze.

— Proszę cię, Natalie! Nie! Pogarszaj! Jeszcze! Sprawy! Tym! Tłumaczeniem! — wrzeszczy Frannie. — Nie ma usprawiedliwienia na takie zachowanie! — Na myśl o tym, z kim mam do czynienia, przejmuję mnie chłodny strach. Wszystko cokolwiek powiem, zostanie użyte przeciw mnie. Dlatego robię, jak mi każą, i zamykam się. Frannie uznaje moje milczenie za przyznanie się do winy. — Wiesz co — dodaje — jesteś najbardziej narcystyczną kreaturą, jaką spotkałam, ale ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy, że byłabyś zdolna...

— Bo nie jestem! — Wołam. Teraz to już przesadziła. — Nie cierpię swojego wyglądu!

— Bzdety! — krzyczy Frannie. — Twoja cała egzystencja kręci się wokół twojego wyglądu. Twoje kobiece zakłamanie osiągnęło granice swoich możliwości. Oceniasz siebie oczami mężczyzn! Żyjesz jedynie jako obiekt męskich westchnień! Potwierdzenie własnej wartości odnajdujesz wyłącznie w penisie! Tak bardzo liczy się dla ciebie dobre samopoczucie, że szukasz go przez fallusa najlepszej przyjaciółki!

Nie mogę się powstrzymać od tej myśli, ale Frannie ma obsesję na punkcie penisa. Próbuję wejść jej w słowo: — Ale Simon...

— Zostawmy Simona w spokoju! — wrzeszczy Frannie. — Jestem zbulwersowana jego zachowaniem! — No, przynajmniej w jednym się zgadzamy. — Rzygać mi się chce i muszę, niestety, przyznać, ale jak widać, wystarczy nałożyć kozie blond perukę, a faceci od razu zapraszają do tańca. Jak on mógł zdradzić Babs, jak on mógł to zrobić?! I to z tobą! Musisz przyznać, że jak tylko zoba-

czysz spodnie, tracisz głowę! Najpierw Robbie, a teraz z kolei Simon! Aż boję się myśleć, co byście zaczęli wyprawiać. Ale zamierzam położyć temu kres. Jak tylko skończę dyżur, jadę do Holland Park i z wielką przyjemnością doniosę o wszystkim Barbarze!

Kulę się pod brzemieniem oskarżeń, jednak udaje mi się zachować szczyptę zdrowego rozsądku. Wyrzucam z siebie dziewięć mających strategiczne znaczenie sylab — które, mam nadzieję — dotrą do uszu Frannie, zanim zdąży je ustrzelić:

— Dla jej własnego dobra, nic jej nie mów!

— Chyba dla twojego! — rzuca i z trzaskiem odkłada słuchawkę.

Zakrywam twarz rękami.

To okropne. Babs może uwierzyć, że mogłam jej to zrobić. Wyobrażam sobie, jak to surrealistyczne, koszmarne poczucie zdrady zaczyna ją ogarniać. Oczywiście wyobraźni widzę jej zdumioną minę, niedowierzanie i ból, które powodują moją ogromną udrękę. Mam ochotę pognać do straży pożarnej i wyrzucić z siebie prawdę. Ale przecież jest ona tak samo odrażająca jak niezrozumienie faktów. Poza tym to moja wina. Zabrałam się do wszystkiego bez żadnego zastanowienia — idiotka, naiwna, durna idiotka! Czy rzeczywiście uważałam, że robię dla niej coś dobrego? Chciałam wziąć na siebie rolę rozjemcy, pragnęłam bowiem znaleźć sobie miejsce w jej małżeństwie. Musiałam pozostawić swój ślad na ich życiu. Na swój sposób, Frannie miała rację.

Moja matka dzwoni trzy razy, pewnie żeby zadrećcać mnie pytaniami o pralnię Czyścioszek. Niech się z nią męczy moja automatyczna sekretarka. Siedzę w kuchni przy biurku, przerobionym ze starej toaletki mamy, ale nie potrafię zabrać się do żadnej roboty (tak na marginesie to nie mam żadnej roboty). Podparta łokciami gapię się w ścianę. Tchórz ze mnie. Nie potrafię walczyć. Myślę o Babs i czuję skradający się strach. Próbuję go odpędzić, ale się nie daje, przywarł do mnie kurczowo. O pierwszej poddaję się. Łapię za torbę i idę na siłownię. Muszę trochę pobiegać na bieżni. Przebieram się, idę na salę, ale wszystkie są pozajmowane. Spoglądam na swojego najbliższego przeciwnika. Umięśnione, żylaste nogi, szczupły tors, silna szczęka i wzrok sięgający gdzieś poza horyzont. Jak mówi Tony, ustaw w jednej linii maratończyków, a pod ścianą uzależnionych od hery i nikt nie zauważy różnicy. Jego ciało mówi: „Proszę nie przeszkadzać”.

Mierzę wzrokiem jego sąsiada. Pulchniutkie nóżki, odstający brzusek, a do tego wszystkiego najmniejsze i najbardziej obcisłe spodenki na świecie. Wygląda jak roślina, która nie mieści się w doniczce. Przy każdym potężnym stąpieniu jego ciało trzęsie się i oblewa potem. Stąd czuję jego zapach: słodkawy, zgniły jak kompost. Grubasek nie spuszcza oczu z maratończyka i zwiększa prędkość na bieżni. Dochodzę do przekonania, że nawet gdyby miał tutaj paść, to i tak nie potrafi zwiększyć tempa. „Złaż wreszcie!” — mam ochotę krzyknąć. Od samego stania przybywa mi kilogramów!

— Daj sobie spokój — słyszę głos za swoimi plecami. — Na twoim miejscu bym tak zrobiła.

— Alex! — Na jej widok moja złość łagodnieje jak lekki wietrzyk. — Jak się masz?

Alex uśmiecha się do mnie.

— U mnie wszystko w porządku. Widzę, że czasu ci nie brakuje i możesz wziąć udział w moich zajęciach.

Śmieję się. Mam pewne obiekcje wobec wszelkiego rodzaju wysiłku, który absorbuje umysł, a moja płytka wiedza na temat pilates nie umniejsza tego uprzedzenia. Poza tym, przez trzy dni czułam te zajęcia w kościach.

— Chętnie, ale muszę się wypocić — odpowiadam. — Mam w głowie ogromny mętlik. Muszę się go pozbyć na bieżni.

Ściska usta niezadowolona.

— No to pilates jest w sam raz dla ciebie. No chodź, dobrze ci to zrobi. Z tym jest jak z seksem. Zwykle za drugim razem jest o wiele lepiej.

Zwrot „dobrze ci to zrobi” zapowiada nadzwyczaj nieprzyjemne wrażenia fizyczne. Przypomina mi się matka stojąca nade mną i wpychająca we mnie brokoły.

— No rusz się — namawia Alex. — To będzie ciężka robota, nie pozwolę ci się objąć. Będziesz ćwiczyła głębsze partie mięśni. Wiem, że ostatnio czułaś tego skutek. — Nadal nie mogę się zdecydować. — Tylko jedno zajęcia — kusi dalej. — To przypomina masaż umysłu. Pomaga oczyścić rozum. To coś lepszego niż ta durna bieżnia.

Nie wiem, co począć. Dobrze mi z moimi nerwicami i chcę je pielęgnować — dlatego nigdy nie ćwiczyłam jogi. Moja czujność jeszcze nigdy mnie nie zawiodła. Pilates, joga, dżudo — nie ufam im. Nie słucham krzykliwych fanatyków, próbujących zamieszać mi w głowie, grzebiących w mojej podświadomości, zmieniających mój sposób myślenia. Lubię czyste ćwiczenia — uczciwe, bez emocji, bez dodatków.

Masaż umysłu! To brzmi jak sekciarskie hasło. Ale z drugiej strony...

Mój zamulony umysł potrzebuje oczyszczenia. Choć nie znoszę, kiedy ktoś mnie do czegoś zmusza (jakbym słyszała: „Dzisiaj taki piękny dzień, powinnaś wyjść na dwór”), przyznaję, że moja psychika potrzebuje dostrojenia. Mój mózg przypomina zapchany otwór odpływowy. A wygląd stanowi odbicie mojej egzystencji. Frannie prawie udało się to określić. Ale Babs zna mnie lepiej. Jakieś kilka tygodni temu powiedziała coś, co nie daje mi spokoju, choć staram się o tym zapomnieć. „Nie chodzi o to — stwierdziła — jak wyglądasz, ważne jest twoje nastawienie”. To nastawienie — ten złośliwy, przygarbiony chochlik namawia mnie do dalszego wyniszczenia. I, naprawdę, świetnie mu idzie!

— No dobra — zgadzam się. — Ostatni raz spróbuję. Ale potem metoda pilates i ja powiemy sobie do widzenia.

— No i jak było? — pyta mnie Alex, kiedy zwijam swoją karimatę.

Kiwam głową bez słowa.

— Bolesnie — stwierdzam. — Nadal mam problemy z oddychaniem, ale teraz już jest lepiej.
Zdecydowanie.

— To znaczy? — pyta mnie ze śmiechem.

— Czuję się jak zagniecione ciasto — oświadczam półszepem.

— To właśnie chciałam usłyszeć — oznajmia. — Przyjdiesz na następne zajęcia?

— No pewnie.

W drodze do domu mam ochotę zrezygnować. Zajęcia z pilates były strasznie męczące. Mój mięsień poprzeczny nie sprawował się jak trzeba, nie potrafiłam utrzymać „neutralnej miednicy” i przez cały czas prezentowałam odchylenie przednie (mówiąc po ludzku: wystawiałam tyłek). Ale teraz ogarnęło mnie dziwne ciepło, jakiego nigdy dotąd nie odczuwałam. Siedzę za kółkiem i próbuję połączyć się z grawitacją ziemską — jakbym unosiła się w powietrzu. Tam na sali czułam, że to możliwe. Inaczej niż na zajęciach ze stepowania, kiedy trzydzieści kobiet wykonuje dziesięć tysięcy podskoków rzuńających kolana, a wśród nich ja — sterana jak koń pociągowy. Nie musiałam dostosować się do tych ćwiczeń. To pilates przystosowało się do mnie. Było prawie tak samo jak ostatnim razem — oszczędność w ruchach, żadnych gwałtownych wypadów, żadnych elastycznych opasek, nieznaczące, dokładne ruchy, praca nad tułowiem, niekończące się, bolesne rozciąganie ciała. Jedyna różnica polegała na tym, że tym razem czułam, że to potrzebne. Nastrój medytacji, choć nie nawiedzenia. Poza tym Alex jest wspaniałym instruktorem. Przypomina mi kotkę uczącą porządku małe kocięta (brakowało tylko rybiego oddechu). W tej chwili odczuwam spokój, a jednocześnie ekscytację.

Ta nieoczekiwana euforia powoduje dziesięciominutową amnezję, a potem powracam do zadreczania się z powodu Babs. Modłę się, by zdrowy rozsądek Frannie pokonał jej chęć zemsty i poczucie przyzwoitości, ale obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie. Ale z drugiej strony, skoro Babs nie zadzwoniła do mnie z wyzwiskami, pozostaje mieć nadzieję. Usiłuję odsunąć narzucające się myśli o zdradzie. To prawda — zdradziłam ją! Nie w taki sposób, jak sądzi Frannie, ale jednak. Jako antidotum przeciwko mojemu zbrukanemu sumieniu wracam myślą do zajęć z pilates i rozkoszuję się ich wspomnieniem.

Prawdę powiedziawszy, nie wiem, co o tym myśleć. Zawsze uważałam, że człowiek potrzebuje innych, by poczuć się kimś szczególnym. Nigdy nie sądziłam, że można samemu wzbudzić w sobie to poczucie wyjątkowości (a nie chodzi tu o coś takiego, jak mówiła Babs, że „straciłam dziewictwo sama ze sobą”). Bez względu na to, jak bardzo człowiek jest zarozumiały — to stwierdzenie nie dotyczy mojego brata — zawieszony w próżni i tak nie odczuje wrażenia swojej wyjątkowości. Potrzebne jest wsparcie. Tym bardziej nie można czuć się kimś szczególnym, jeśli samemu się jest próżnią. A to często mi się zdarza. Zachowuję się jak aktorka, która udaje beztroską radość wobec swoich znajomych i rodziny. A tak naprawdę nikt nie wie, co czuję w środku. Jednak dzisiejsze zajęcia sprawiły, że to się zmieniło. Nie czuję się kimś szczególnym, jakąś gwiazdą filmową, ale silną osobą, która potrafi czegoś

dokonać. Ogarnia mnie fala spokoju. Być może te zajęcia wypełniły z lekka panującą we mnie pustkę. I ja sama tego dokonałam.

Parkując samochód, puchnę z dumy. Zaraz zadzwonię do taty i Kimberli Ann i powiem im o swoich postępach. Zaczęłam więcej jeść — nawet jeśli głównym motywem działania jest walka z łysiną. Z trudem wciskam w siebie każdy kęs. Czuję się, jakbym zaprzedała duszę za ładne włosy — mimo to jem więcej. Potem zadzwonię do mamy. Nie rozmawiałam z nią jeszcze o Tarze i Kelly. Powinnam pojechać do Hendon, popisać się swoją nową, korpulentną sylwetką. Choć nie wiem, czy znajdę w sobie dość opanowania, żeby znieść jej radość z powodu mojego dodatkowego kilograma. Nie potrafię znieść, jak kobiety cieszą się, kiedy konkurencji przybywa na wadze. Nawet jeśli chodzi o moją własną matkę, to trudno mi rozróżnić, czy to troska o moje zdrowie, czy kobieca rywalizacja. Zadolenie mojej matki na widok jedzącej córki, kiedy sama powstrzymuje się od jedzenia, doprowadza mnie do wściekłości. Na tym polega moja sztuczka, że to ja namawiam innych do jedzenia. No, skończ ten temat, Natalie! A może przyjmę tę pracę załatwioną po znajomości i popracuję parę dni w Czyścioszku.

Kiedy stoję już pod samymi drzwiami, przychodzi mi do głowy, że Andy pewnie jest w domu. Mam dylemat: jeśli usiłuję czuć się dobrze bez tych wszystkich kobiecych zabiegów, czy nie będzie zdradą z mojej strony, jeśli zechcę sprawdzić, czy nie mam niczego pod nosem? Chyba nie. Przecież można spędzić wspaniałą wieczór, brylując w gronie znajomych w przekonaniu o swojej wyjątkowości, a potem jak gdyby nigdy nic wrócić do domu, spojrzeć w lustro i zauważyć, że ma się coś pod nosem, a potem inaczej oceniać miniony wieczór. Człowiek przypomina sobie, jak raczył towarzystwo anegdotami w stylu: „A wiecie, że Izaak Newton był tym, który wymyślił klapę w drzwiach dla kotów?”, a słuchacze myślą sobie: „Ale fleja z zasmarkanym nosem!”.

Błyskawicznie sięgam po lusterko. A może Andy pod tym względem różni się ode mnie, a jednak założę się, że nie. Zawsze szukam wad u innych. To natychmiast poprawia mi nastrój. Zgadza się, mogłabym nauczyć się doceniać ich zalety, ale prawdę powiedziawszy, słaba szansa, że pewnego dnia zdobędę umiejętność wejrzenia im w duszę. Co wtedy? Odkryję, że są lepsi ode mnie? Zachowuję się jak wszyscy — rzucę na człowieka okiem, a potem wydaję o nim opinię na podstawie koloru swetra. Chyba trochę złagodniałam. Na przykład w stosunku do Robbiego. I Andy'ego. Ten szlafrok był obrzydliwy, a co się tyczy kapci... jednak mimo jego potwornego gustu nie mogę powiedzieć, że lubię go mniej. Zazwyczaj rzucam się na kogoś — to dobry sposób, by wzgardzić kimś, zanim on wzgardzi mną. Jednak Andy nie zachowuje się jak większość ludzi. Pod tym względem podobny jest do swojej siostry. Ma wszystko wymalowane na twarzy

Otwieram gwałtownie drzwi i widzę go, jak stoi na korytarzu z telefonem w ręku. Wyblakłe dzinsy, czarny T-shirt i najwstrętniejszy wyraz twarzy, jaki kiedykolwiek widziałam. Gdyby ścigało go stado jaków w Tybecie, to z pewnością takie spojrzenie by je odstraszyło. Jeśli dobrze rozszyfrowuję

jego minę, to za chwilę będę potrzebowała utalentowanego technika z domu pogrzebowego. Nie wolno mi zapominać, że od dziecka porządek był dla mnie najważniejszy.

Andy rzuca słuchawkę na widełki, a wściekłość w jego oczach jest jak pistolet wycelowany w moją głowę. Przerazona słyszę, jak dochodzi mnie jego zniekształcony złością głos, ale dopiero po chwili rozumiem znaczenie wypowiedzianych słów:

— Rozmawiałem z Frannie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Na naszą pierwszą „rocznicę” kupiłam Saulowi siekiere. Ale zanim zostanę potępiona, powiem tylko, że na jej widok wpadł w zachwyt. Nieco wcześniej kupił dom z ogrodem w West Hampstead i z szaleńczą radością zaczął wyrąbywać bezbronne krzaki. Kiedy otworzyłam prezenty dla mnie, moje podejrzenia potwierdziły się — on wcale mnie nie rozumiał. Dał mi dużego, wypchanego psa, niebiesko-złoty zegar kominkowy i kubek ze świnką. Choć nie ukrywam, że poczułam się pewnie. Z doświadczenia bowiem wiem, że w momencie kiedy mężczyzna zrozumie kobietę, zostawia ją na lodzie. Ale Andy wcale mnie nie rozumie i wygląda na to, że jednak ja go zostawiłam.

— A... a co takiego powiedziała? — pytam, kiedy język wreszcie odkleja mi się od podniebienia. Jestem wysoka, ale on stoi nade mną z groźną miną jak cień złoczyńcy w parkowej alejce. Zaglądam mu przez ramię do mojej sypialni i rozważam, czy nie dać tam nogi. Andy nadal się nie odzywa.

— Dobrze wiesz, co mi powiedziała — oświadcza wreszcie.

Odczytuję prawdę z jego oczu i żałuję, że nie jestem ślepa albo analfabetka.

— Posłuchaj, Andy — bełkoczę — to nie było tak.

Zdaję sobie sprawę, że jeśli w tej delikatnej sytuacji ma względem mnie jakieś podejrzenia, to teraz sprawiam wrażenie winnej. Ogarnia mnie panika i od razu wyglądam jak winowajca, który udaje niewinnego.

Andy śmieje się okropnie.

— Przestań, Natalie — mówi szyderczym tonem. — Zachowaj resztki przyzwoitości. Nie potrafisz wymyślić czegoś innego?

Zagryzam wargi, by się opanować i żałuję, że nie jestem lepszą aktorką.

— Nigdy bym nie zrobiła jej czegoś takiego — oświadczam.

— Przysięgam ci!

— Rzeczywiście — oświadcza Andy, zakładając ręce, co w języku ciała ma oznaczać: „już cię nie lubię” (mówiąc jaśniej: „ty wierutna kłamczucho”). — Frannie widziała, jak pakowałam mu język do gardła.

— Zgadza się, ale...

— Zgadza się, ale?! — wykrzykuje tak głośno, że podrywam się i upuszczam torbę ze sprzętem sportowym. — Po co to „ale”? Jezu Chryste! Powiedziała mi, że nie mogłaś się pogodzić z jej małżeństwem, ale....

— Babs ci to powiedziała? — pytam cicho.

Andy zdębiał (śmieszny wyraz: zdębiał, użyłam go, żeby sytuacja przedstawiała się mniej przerażająco i żebym ja była mniej przerażona). Szybko przyszedł do siebie i odburknął:

— Nie rozmawiamy teraz o Babs. Rozmawiamy o tobie, jej niby najlepszej przyjaciółce! Nie wierzę w ani jedno słowo! Nie mam pojęcia, co gorsze. Czy to, że ty zdradzasz swoją najlepszą przyjaciółkę, czy że ten bufon zdradza moją siostrę. Wiedziałem, co z niego za ziółko. Ja... o Boże, co zrobiłaś mojej siostrze? — Czuję się tak fatalnie, że nie potrafię nawet docenić jego supertrafnego określenia Simona mianem bufona. Spogląda na mnie.

— Czy zdajesz sobie sprawę, co jej zrobiłaś? To się nazywa zdrada. Jak ona teraz będzie się czuła? Czy wiesz, co to znaczy, kiedy zdradzi cię ktoś, kogo kochasz? Czujesz się, jakbyś jadła potłuczone szkło. Co ona teraz zrobi? Postawiłaś ją w najokropniejszym położeniu, w jakim można się znaleźć.

Zrobił się bładny ze złości. Nie mogę na niego patrzeć. Zatkaną mnie — dosłownie nie potrafię złapać powietrza, jakby mnie ktoś walnął w brzuch. Nie znajduję odpowiednich słów. Chcę mu wszystko wytłumaczyć, ale widząc, jakiego bigosu narobiłam, odbiera mi mowę i przestaję wierzyć, że mi się to uda.

— Nie masz nic na swoją obronę? — pyta, a ton jego głosu oscyluje gdzieś pomiędzy zdumieniem a obrzydzeniem. — Bardzo chciałbym usłyszeć, co masz do powiedzenia! Chcę wiedzieć, jak do tego doszło, jak to się zaczęło. Chciałbym poznać każdy szczegół, każde słowo, chciałbym poznać całą historię ze szczegółami. Chcę wiedzieć, jak zabrałaś się do niszczenia cudzego życia.

Nie mogę sobie wyobrazić, jak mój brat staje w mojej obronie, gdyby to on złapał Babs z Saulem.

— Dobra! — wykrzykuję w końcu. — Rzeczywiście mam coś do powiedzenia. Jeśli tylko dopuścisz mnie do głosu!

Andy powoli zamyka buzię. Pospiesznie kiwa głową. Szybko łapię drugi oddech i wyrzucam z siebie urywane zdania.

— Nigdy nie... romansowałam z Simonem... ja... Babs powiedziała mi, że przejmowała się... wracał późno do domu... martwiła się... nie sądziła, że ją zdradza... ale... myślała, że może... szybko... chciałam jej pomóc... przysięgam... czułam się okropnie, bo... obraziłam się na nią... myślałam, że jest taka szczęśliwa... nieprawda... chciałam jej to wynagrodzić... zbesztać Simona... głupi pomysł... był pijany... nie panował nad sobą... i zaczął wygadywać te bzdury, nie z pożądania... nie chodziło o pożą-

danie... zachowywał się agresywnie... i zobaczyła nas Frannie... jak rzucił się na mnie, ale to nie było pożądanie... to było ze złości, bo kiedy to powiedział, walnęłam go głową w nos.

— Głową w nos — powtórzył Andy. Jego reakcja wprawiła w panikę mięśnie mojej twarzy.

— To tyle — mruknęłam i skuliłam się. Modłę się, by wziął to raczej za wrodzony nerwowy tik, pamiątkę po jakichś traumatycznych przeżyciach z dzieciństwa niż za oznakę obecnych wyrzutów sumienia.

— Ale kiedy ci to powiedziała? I twierdzisz, że to... nie jest romans? Na pewno? Nie wiem, czy powinienem ci wierzyć. Ale czemu... ale z drugiej strony — marszczy czoło — nie rozumiem, jeśli nic między wami nie było, no to po co tam poszłaś? Przecież mogłaś porozmawiać z nim przez telefon! Czy Babs cię prosiła, abyś tam poszła?

— Nie — odpowiadam i czuję się podle. — Nie prosiła.

— Czy ty tego nie pojmujesz? Pakujesz się tam, aby go objechać, przecież widziałaś, w jakim jest stanie. Nie rozumiesz, że to było... bez sensu? Pakowanie się w taką sytuację to jak, jakbyś...

— Sama się o to prosiła? — pytam i czuję, jak zaczyna we mnie narastać wściekłość, wściekłość, wściekłość. Gorące łzy cisną mi się do oczu, czuję rozdzierający ból. „Więc to się nazywa furia” — powtarzam sobie w duchu, a jednocześnie słyszę swój okropny wrzask. — Chciałam wszystko naprawić, a on napadł na mnie, a ty jeszcze insynuujesz, że sama tego chciałam! To oburzające oskarżenie, a jeśli mi nie wierzysz, sam go spytaj!

Andy robi krok do przodu i syczy mi do ucha:

— Jeśli uważasz, że nie jesteś winna, musisz przemyśleć to dokładnie! I nie martw się, na pewno go spytam, mamy bowiem ze sobą dużo do pogadania! Ale powiem ci jedno: zrobiłaś wielki błąd, a teraz Babs musi za to płacić! — Przestał syczeć i dodał już normalnym głosem: — Mówisz, że chciałaś załatwić sprawę jak należy, ale sądzę, że w głębi duszy chciałaś zupełnie czegoś innego i nieważne, jakie masz wytłumaczenie, będziesz musiała z tym żyć dalej. Ja się stąd wyprowadzam — natychmiast. W weekend zabiorę swoje rzeczy.

Opieram się o ścianę i patrzę, jak szarpie za klamkę i wypada z mieszkania.

„Naprawdę — odpieram w głowie jego oskarżenia — naprawdę chciałam wszystko naprawić”. Przecież tego chciałam? W jakim stopniu cieszyłam się z nieszczęścia Babs? W dwóch procentach? Ale przecież w najgłębszych zakamarkach duszy wszyscy tacy jesteśmy. Pragniemy, by naszym przyjaciółom dobrze się wiodło, ale nie tak świetnie, by zwracali uwagę na nasze porażki. Cieszymy się, kiedy odnoszą sukcesy w swoich dziedzinach, ale nie na ogólnym polu, na którym sami się staramy, walcząc z całych sił.

Ale czy to oznacza, że jestem na tyle nierozgarnięta, by nie widzieć, że skrycie pragnę rozpadu jej małżeństwa? Wcale tego nie chcę! A może chcę, by wiedziała, co to jest cierpienie? Nic już nie wiem. Ale jeśli to prawda, to zasługuję na wszystko, co się wydarzyło.

Idę do kuchni, podsuwam krzesło pod regał i z najwyższej półki ściągam metalowe pudło. A potem mechanicznym ruchem, nie odczuwając żadnej przyjemności, karmię swoją złość czekoladą o zawartości czterech tysięcy pięćset sześćdziesięciu trzech kalorii. „Spróbuj pobić mój rekord, Bridget Jones!”. Jak gęsta mgła zaczynają mnie otaczać wyrzuty sumienia. Zostałam ukarana, ale nie oczyszczona z zarzutów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

W czasach konfliktów — zdaniem wybitnego eksperta — ludzie uciekają do swoich jaskiń i pozostają tam przez długi czas, nie zwracając uwagi na rozpaczliwe na błagania drugiej strony, żeby wyjść i wyjaśnić sobie wszystko, tylko bojaźliwie przestępują z miejsca na miejsce, kiedy wreszcie skończyli walkę z demonami drzemiącymi w ich duszy. Doszłam do wniosku, że ta „jaskinia” jest eufemizmem „toalety”.

W każdym razie uważam, że coś w tym jest, po moim gigantycznym obżarstwie odczuwam bowiem przypisywaną rodzajowi męskiemu potrzebę, by zamknąć się w łazience na dziewięćdziesiąt minut. Siedzę na podłodze, otoczona z dwóch stron przez obu prawdziwych tyranów — lustro i wagę — obejmując rękoma kolana, z nadzieją czekając na wybawienie, choć rozum mówi: nic z tego. Może gdybym wyskoczyła przez okno, Babs uwierzyłaby, jak bardzo żałowałam za grzechy? Przez dobrą minutę w wyobraźni rozkoszuję się takim scenariuszem, a po chwili niechętnie przyznaję, że samobójstwo — w przeciwieństwie do kwiatów i czekoladek — nie jest dobrym sposobem na wyznanie swojego żalu. Muszę stwierdzić, że cały pomysł niezbyt przypadł mi do gustu. Ale to pewnie dlatego, że chyba jestem rozzłoszczona.

Tak mnie zdumiało to odkrycie, że raptownie uniosłam głowę i prawie uderzyłam się o umywalkę. Złość? Nie czuję złości. Nie należę do osób, które się złością. Wszystko duszę w sobie. Prawie nigdy się nie odszczekuję. Nie chodzi o to, że tak mnie wychowali. Dlaczego, kiedy tylko krzyknęłam na faceta, a były ku temu istotne powody, to w mgnieniu oka wyrzuciłam Chrisa z domu. Czy tak zachowuje się ktoś, kto jest zły?

Nie jestem taka jak Frannie — ta dopiero jest zła. Ona żyje w nieustannym stanie złości. Kiedy inni muszą sięść za kierownicą, by osiągnąć ten sam poziom agresji, Frannie uzyskuje go bez wspomagania. Jest podobna do faceta, który nokautuje Bogu ducha winnego faceta, bo ten spojrział na niego nie tak jak trzeba.

Kiedyś Frannie zaprosiła Babs na mecz w Southampton, a potem pociągami wracały do Londynu w wesołych humorkach. Jakiś pan w średnim wieku wychylił się ze swego fotela i poprosił, by zachowywały się ciszej. Babs już miała na końcu języka „przepraszam”, kiedy Frannie wrzasnęła: „Nie zwróciłbyś nam uwagi, gdybyśmy byli facetami, i nie zrobiłbyś tego, gdybyśmy były w towarzystwie

facetów, ty szowinistyczny palancie! Odwal się od nas, gnoju!". Przez cały czas wykrzykiwała pod jego adresem obelgi, choć Babs błagała: „Spokojnie, Frannie. Proszę cię, uspokój się!". Aż wreszcie jeden z pasażerów wezwał konduktora, a wówczas zaczęła przed nim odgrywać zaatakowaną, niewinną ofiarę i stworzyła wiarygodny obraz bezbronnej dziewczynki — Czerwonego Kapturka osaczonego przez wielkiego złego wilka.

To dopiero perfidia!

Ja nigdy bym się tak nie zachowała! Jestem dobrze wychowana. Jestem spokojna. Panuję nad sobą. Albo przynajmniej tak było, dopóki moje życie nie zaczęło się pruć jak tani sweter. Proszę na mnie spojrzeć! Opycham się czekoladą jak... moja matka. Pogardliwie wykrzywiam usta. Kiedy czekolada jest w pobliżu, wówczas ta kobieta traci poczucie godności. Nie potrafi jej się oprzeć. Jest od niej uzależniona. Pamiętam, jak kiedyś rodzice Babs zaprosili nas na kolację, po tym jak odszedł ojciec. Mama ostentacyjnie zrezygnowała z deseru, ale potem odcięła sobie porządny kawałek czekoladowego tortu, by następnie wykrzyknąć do gospodyni, która zjadła jeden maleńki kawałeczek: „Ty to masz szczęście, Jackie, że masz taką figurę!".

Nie pojmuję, jak do tego doszło. Opieram się o wannę i analizuję swój upadek. Objadając się jak szalona — po wielu miesiącach ścisłego kontrolowania diety : — po przejściach z Simonem, Chrisem, Andym.

O rany, wszystko z powodu facetów? To niemożliwe! Nieprawda! Niepowodzenie z Simonem było tylko przypisem do przyjaźni z Babs, która zachwiała się w posadach jakiś czas temu. Mniej więcej wówczas, kiedy poznała swego przyszłego męża, ja przeszłam na dietę. Czy wtedy czułam złość? Nie przypominam sobie czegoś takiego. Chyba bardziej zszokowana — nieszczęśliwa w towarzystwie tak rażąco zakochanej w sobie pary. Ale wtedy byłam z Saulem. Przyzwoity gość, to prawda, ale nie taki wrażliwy brutal, o którym zawsze marzyłam. Potem poznałam Chrisa — związek z nim rekompensował mi brak kolczyka na języku — i wyrzucili mnie z pracy.

Co się porobiło! Jednak o ile dobrze widzę, wszystko powraca do Babs. Co czuję wobec niej? Podziw. Szacunek. Miłość. Uwielbiam ją. No ale trudno jest kochać kogoś, kiedy jego życie stanowi przeciwwagę dla własnych potknięć i niepowodzeń. Z drugiej strony, to twój problem, nie jej. Swoimi problemami zaczęłam obarczać Babs. Byłam na nią zła. Żenujące. Zachowywałam się, jakby ona miała wobec mnie dług emocjonalny, bo prowadziła szczęśliwsze życie ode mnie. A teraz, przez moje wstrętne zachowanie jestem jej dłużnikiem. Myślała, że jestem zła. Powiedziała mi o tym, kiedy objechała mnie za schudnięcie. No to muszę być zła.

Wciskam głowę w ramiona jak żółw chowający się do swojej skorupy. Złość jest jedną z przyczyn tracenia panowania nad sobą. To niewłaściwa reakcja. Taka prymitywna. Sprawia, że człowiek brzydnie. Uszy czerwienią się, a czubek nosa robi się biały i widać wystające z niego włoski. Człowiek zaczyna się pocić — wydalając wodę i mocznik — na całym ciele. Czasami, kiedy jest zły, zaczyna

parskać śliną, nie zdając sobie z tego sprawy. Zupełnie inaczej jest, kiedy się boisz: wtedy otwierasz szeroko oczy, a klatka piersiowa zaczyna falować, oszukując w ten sposób obserwatorów, że masz większy i jędrniejszy biust. Albo kiedy odczuwasz radość, wówczas robią ci się dołki i twarz promienieje.

Przechodzą mnie dreszcze. Czuję dziwną potrzebę, by odwiedzić matkę. Zawsze jest w świetnym nastroju, kiedy czuję się podle. W takich sytuacjach powtarza: „Bzdury gadasz, kochanie!”, a potem zmusza człowieka do wesołkowatości, nawet jeśli znajduje się w depresji, ponieważ sama człowieka do tego doprowadziła. Nigdy porządnie mnie nie zbeształa, tylko zawsze głaskała po głowie, dlatego jej wyrzuty są jak kostka lodu spływająca po plecach. Człowiek czuje się zdruzgotany. Zaczyna wpychać się w twoje życie, podtrzymując na duchu, podlizując się i wprowadzając ponownie w dobry humor.

Tego właśnie mi potrzeba. Ciężko podnoszę się z podłogi i wlokę do telefonu.

— Mama?

— Halo, kochanie. Przez cały dzień próbuję się do ciebie dodzwonić! Strasznie się niepokoiłam! Wszystko w porządku? Coś się stało?

— Nie. Nic się nie stało. Przepraszam. U mnie wszystko dobrze. A ty jak się czujesz?

— Jeśli chcesz wiedzieć, to jestem cała w nerwach! Kiedy to ostatnio ze sobą rozmawialiśmy? Kochanie, wiem, że jesteś zajęta, nie chciałam ci przeszkadzać. Wiesz, że nie lubię się wtrącać, przecież dobrze mnie znasz, ale ostatnio tyle się wydarzyło, tyle nowego. Jestem taka zdenerwowana!

A może w sklepie poprzestawiali półki z towarem?

— Mamo — mówię z westchnieniem. — Proszę, nie mów tak. Ale dzisiaj jesteś jakaś inna, nie wtrącasz się. Będziesz musiała o wszystkim mi opowiedzieć. A czy mogę do ciebie wpaść?

— Teraz? Oczywiście, skarbie, przychodź jak najszybciej! Niemądra jesteś, przecież nie musisz mnie wcale o to pytać! Jadłaś już coś?

— No...

— Mam coś w lodówce. Zaraz wyciągnę i zjesz sobie. Mam kawałek soli, świeżutkiej, prosto z targu rybnego, to nie taka jak z supermarketu. Mogę ją dla ciebie ugotować, jeśli masz ochotę.

Biorę głęboki oddech i wybijam jej z głowy pomysł z gotowaną rybą tak dyplomatycznie, jak potrafię, a potem żegnam ją i czuję się okropnie. Wydawało się, że strasznie się cieszy telefonem ode mnie, jakbym była panią na włościach, która zaszczycą telefonem swoją służącą.

Poprawiam fryzurę i nakładam gruby, wełniany sweter, by zapobiec jej szturmowi w stylu: „Jaka ty jesteś chuda!”. A może wypchać sweter poduszką? I tak czuję się jak olbrzymka. Ten kilogram, który mi przybył, robi swoje. Czuję się jak kangurzyca z małymi w torbie. Kiedy dojeżdżam do Hendon, parkuję samochód przed wysokim, pierzastym trawnikiem, z którego moja mama jest bardzo dumna (co dziwne, uważa, że nadaje ogrodowi „orientalny styl”).

Mama otwiera mi, zanim zdążyłam nacisnąć na dzwonek — nawet nie zdjęła fartucha? — i obejmuje delikatnie (wita się ze mną w bezpiecznej odległości). Po dwóch sekundach uwalnia mnie ze swego uścisku. W momencie kiedy chcę się wyprostować, stosuje nagle lekki nacisk na plecy, który odbieram jak: „Zostań, gdzie jesteś”. Zamurowuje mnie, kiedy ściska mnie za ramiona — jak na właścicielkę przystało — aż wreszcie mnie puszcza. Uśmiecham się niepewnie. Czy zaspokoiliam jej potrzeby?

— Wybacz, że ostatnio nie dzwoniłam — odzywam się, by przerwać panującą ciszę. — Bardzo chciałam. No to co się takiego wydarzyło?

— Chodźmy do kuchni — oświadcza z nagłym uśmiechem. — Na pewno nic nie będziesz jadła? Może jednak?

— Z przyjemnością napiłabym się miętowej herbaty — oznajmiam i widzę, jak jej nadzieje najpierw rosną, a potem opadają.

Nastawia czajnik, zaczyna się krzątać — stawia na stole puszkę z herbatnikami, przysuwa krzesło. Przez cały czas uśmiecha się i podśpiewuje pod nosem. (*Sweet Home Alabama* Lynyrda Skynyrd). Czekam w napięciu. Zazwyczaj odgrywa rolę „poniewieranej rodzicielki”, a dzisiaj jest nadzwyczaj beztroska. Zastanawiam się, czy czasem nie przedawkowała dietetycznej coli. Albo nie sprawiła batów konkurentom z klubu grubasów. Klaszcze w ręce, dziwnie wykrzywia twarz i z przerażeniem zauważam łzy w jej oczach. Czy poczuje się urażona, jeśli spytam, co się stało? Zbieram się na odwagę, by jej zadać to pytanie, a wówczas oświadcza drżącym głosem:

— Dzisiaj rozmawiałam ze swoją wnuczką.

— Z Tarą? — pytam.

— No pewnie, a czy są jeszcze jakieś inne, o których istnieniu nie wiem? — Zdobywa się na dowcip. Ponieważ traktuje opowiadanie kawałów z taką samą nieufnością, z jaką inni traktują śliniace się psy, to zauważalna frywolność języka świadczy, w jakim jest radosnym nastroju.

— Naprawdę?! I co powiedziała?

Mama szybko odwraca się do tyłu i pociąga nosem, a potem już rzeczowym tonem informuje:

— Twój brat pokazał mi wszystkie listy i kartki, jakie otrzymał przez wszystkie te lata. A także zdjęcia. Trzyma je w szufladzie w kuchni. Tam był ich numer telefonu, ale uznałam, że rozsądniej będzie napisać. Teraz listy do Australii idą szybko. Kelly zadzwoniła do mnie dziś rano — o siódmej! — o piątej po południu ich czasu, bo rano otrzymała ode mnie list. Domyśliłam się, kto dzwoni. Rozmawiałyśmy przez siedemnaście minut. Jest artystką. Ma własną małą galerię. Sądząc po jej łagodnym głosie, wydaje się, że to dobrze wychowana, młoda kobieta, która wie, czego chce. A potem przedstawiła mi Tarę, ona ma taką samą — wstrzymałam oddech — energię, jak Tony miał w jej wieku; bardzo miła, pełna życia dziewczynka, bardzo bezpośrednia i bardzo dojrzała jak na swój wiek. Lubi sur-

fing, gry komputerowe — tak mi powiedziała. A ostatnio zerwała ze swoim chłopcem. A ma dopiero jedenaście lat!

Wpatruję się uparcie w matkę i zachęcam kiwnięciem, by kontynuowała. Uśmiecha się.

— I co jeszcze? — pytam.

Robi zamyśloną minę, jakby czegoś szukała w głowie.

— Chciała, żebym wysłała jej e-mailem swoje zdjęcie — odpowiada. — Ale nie wiem, jak to zrobić. Powiedziałam, że najpierw sobie zrobię zdjęcie, a potem jej wyślę.

— Jeśli chcesz, to mogę ci pomóc. Co jeszcze mówiła?

— Pytała, czy u nas pada. I jeszcze, czy może mówić do mnie „babciu”. Do swojej australijskiej babci, Elizabeth, mówi po imieniu. Też coś! — Głos mojej matki stał się chrapliwy. Gdybym jej tak dobrze nie знаła, wykrzyknęłabym: „Ale co czułaś, kiedy po raz pierwszy rozmawiałaś ze swoją wnuczką? Co czułaś, kiedy po raz pierwszy ktoś zwrócił się do ciebie »babciu«? O czym jeszcze rozmawialiście? Pewnie czujesz teraz zachwyt, złość, ekscytację, smutek, radość — mieszankę emocjonalną!”.

Jednak ponieważ to jest moja matka, a ja to ja, nie pytam jej o to wszystko. Zadaję jej tylko jedno pytanie:

— Czy... czy umówiłyście się na spotkanie? Matka chrząka i oświadcza:

— Australia jest dość daleko, a bilety lotnicze nie są zbyt tanie.

Te dwa słowa: „dość” i „zbyt” świadczą o tym, że dowiadywała się o ceny i godziny odlotów do Sydney od mniej więcej siódmej dwadzieścia pięć i dlatego miała czternaście godzin, by sobie wszystko przemyśleć. Przez krótką chwilę mam ochotę rzucić się na ziemię i rozbeczeć.

Słowa matki przywołują mnie do rozsądku, która oświadcza zdecydowanym tonem:

— Nie jestem przyzwyczajona do takiego zawracania głowy, poza tym czuję się bardzo wyczerpana. A ty też wyglądasz okropnie — jak zwykle zresztą. Musisz więcej jeść, Natalie, wyglądasz, jakbyś była chora. — To wyraźny znak, że ekscytujący temat odnalezionej wnuczki został zamknięty — no przynajmniej na dzisiaj.

— Mam za sobą trudny tydzień, mamo — oznajmiam. — Ale jem już więcej. Ja... — nie chcę powtarzać jak papuga jej ulubionego wyrażenia — staram się odżywiać jak należy.

Mama wzdycha z wyraźnym niedowierzaniem.

— Martin czekał, że się do niego odezwiesz — mówi. — Wiem, że pralnia chemiczna to nie jest spełnienie twoich marzeń, ale chciałam ci pomóc. Pewnie nie myślałaś nad swoją przyszłością?

Zastanawiam się, jak odpowiedzieć na takie pytanie, by nie doprowadzić do dramatycznej ciszy, ale w tym momencie odzywa się telefon. Moja mama, która pod względem przywiązania do telefonu przypomina szesnastoletnie dziewczyny, biegnie, by go odebrać.

— Słucham? — sapie do słuchawki, po czym dodaje: — Jackie! *Pronto!* Tak się cieszę, że zadzwoniłaś! Wiem, że cały dzień spędziłaś w delikatesach, nie przejmuj się, ja cię rozumiem, tak, och tak, bardzo się cieszę, z przyjemnością wpadnę do ciebie. Jutro? A o której? O piątej trzydzieści? Dobrze. Jak się czujesz? A Robert? A dzieciaki? Nie muszę cię wcale pytać, obok mnie stoi Natalie, może przekazać mi najnowsze nowiny na ich temat!

Pani Edwards ma głęboki, donośny głos, więc mimo że mama przyciska mocno słuchawkę do ucha, to i tak każde słowo Jackie dochodzi moich uszu. Pyta, jak ja się czuję. Robi mi się gorąco.

Mama od razu wskakuje w swoją skórę malkontenta.

— Niezbyt dobrze — oświadcza głosem pełnym smutku, przebiegając po mnie wzrokiem. — Nadal jest przeraźliwie chuda, ale cóż można zrobić, wcale nie chce mnie słuchać. Próbowалаm już wszystkiego — przepraszam, ale jeśli mowa o mojej samowoli, to chyba przybył mi jeden, obrzydliwy kilogram, o, w tym miejscu! — a na dodatek wyrzucili ją z teatru. To wszystko takie przygnębiające. Teraz tak trudno poszukać sobie pracy. Znalazłam jej posadę w pralni, ale nie, ona nie chce o tym słyszeć! Wiem, że to nic szczególnego, ale przecież lepszy rydz niż nic, prawda? Och, Jackie, jak myślisz, Natalie znajdzie jakąś pracę? Wiesz, tak się tym przejmuję.

Żeby nie uciec, stosuję technikę oddychania pilates (podobną do normalnego oddychania, tylko tutaj jeden oddech trwa pięć razy dłużej i dlatego, kiedy powoli wydycha się tlenek węgla, możliwość uduszenia jest tak wielka, że szybko zapomina się o wszystkich innych problemach). Biorę jeden głęboki, rozpaczliwy oddech i prawie nie zwracam uwagi na odpowiedź pani Edwards. Na szczęście siła jej głosu potrafi zagłuszyć huragan.

— Oczywiście, że Natalie znajdzie pracę! — wykrzykuje. — Znajdzie wspaniałą pracę, przecież to taka mądra dziewczyna! Nie ma się co martwić, Sheila, musisz wierzyć w swoją córkę! Ach! *Uno momento*, Barbara przyszła, chce zamienić z nią słowo.

Mama robi zawiedzioną minę i niechętnie oddaje mi cenną słuchawkę. Patrę na nią z przerażeniem.

— Trzymaj — wykrzykuje, machając do mnie słuchawką jak grzechotką. — Nie bój się, nie ugryzie cię!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Wyrzuty sumienia to aperitif przed daniem głównym, jakim jest kara. Najpierw następuje smutne zawrodożenie w stylu: co to teraz będzie!, aż wreszcie otrzymujemy karę podaną na ogromnym półmisku. To sprawia, że człowiek przeklina sądny dzień, zanim on nastanie.

Kiedy matka podaje mi słuchawkę, wiem, że zabawa się skończyła. Nogi robią mi się miękkie jak z waty i muszę usiąść (dzięki ci, Boże, za dumę i radość mojej matki w postaci barwnie wyściełanego ludwikowskiego krzesła od Johna Lewisa). Tak bym chciała być... tym porcelanowym koszykiem z porcelanowym bukiecikiem. Tak nie cierpię konfrontacji; niektórzy wręcz je uwielbiają — dla mnie to tak, jakby z radością oczekiwać na własną egzekucję albo przez cały wieczór oglądać taniec eksperymentalny.

— Ba... Babs? — jąkam się i czuję, jak ogarniają mnie mdłości.

— Cześć, Natalie — odzywa się moja przyjaciółka. Słyszając, jak z kamiennym spokojem wita się ze mną, ze strachu dostaję skurczów żołądka. Czuję, jakbym miała w środku anakondę, która swoim uściskiem dusi kożę.

— Słucham — odpowiadam z trudnością.

Babs bierze głęboki oddech. Po chwili oświadcza:

— Jestem wściekła na ciebie.

Ściska mnie w żołądku, więc rzucam słuchawkę i pędzę do łazienki („W tym domu nie używamy określenia »kibel«!), i zaczynam wymiotować tak długo, aż wreszcie czuję pustkę w żołądku.

— Dobrze się czujesz, Natalie? — krzyczy matka, pukając delikatnie do drzwi.

— W porządku — bełkoczę.

— Babs prosi, byś do niej zadzwoniła, kiedy poczujesz się lepiej — wrzeszczy. — Może mam zadzwonić do doktora Eastgate'a?

— Nie, nie trzeba — sapię, zastanawiając się, czy hasło: „kiedy poczujesz się lepiej” ma oznaczać: „kiedy już odpokutujesz za swoje grzechy”.

Po trzech minutach opuszczam łazienkę na chwiejnych nogach i cała drzę. Andy już jej pewnie na mnie nagadał! Mama dotyka mojego czoła i zaczyna się zamartwiać.

— Masz wilgotne czoło. Pewnie coś ci zaszkożdziło. Wiedziałam, że nie czujesz się za dobrze. Powinnaś się położyć. A może zostaniesz u mnie? Posłałam twoje łóżko, a będę niespokojna, jeśli w takim stanie pojedziesz do domu.

Normalnie nie spodobałby mi się pomysł spania w rodzinnym domu. W moim pokoju mama niczego nie zmieniała i pozostał różowo-falbankowy: koronkowa pierzyna, wszystkie misie i lalki Barbie stoją w równiutkim rzędku, domek dla lalek, serwis do herbaty, kuchenka, lampka nocna ze

Śpiącą Królową, nocna lampka Enid Blytons — upiorna kapliczka dla Natalie Miller, lat siedem, jakbym zginęła w wypadku samochodowym.

Natomiast te jeszcze bardziej upiorne dowody mojej młodzieńczej osobowości zostały szybko usunięte: plakaty Duran Duran powędrowały do kosza, a skromny zbiór lakierów do paznokci został zastąpiony niewielką kolekcją porcelanowych zwierzątek, jakie dają za darmo na stacjach benzynowych. Pewnie w jakiś deszczowy weekend przetrząsnęła cały strych po obejrzeniu swego ulubionego serialu — obrała sobie za punkt honoru, by moje rzeczy wróciły na pierwotne miejsce. Pokój Tony'ego wyglądał podobnie (niebieska tapeta, elektryczna kolejka, klocki lego, modele samolotów, plastikowe rewolwery, kapelusz kowbojski, pistolety na wodę itd. — wszystko jak dawniej). Na ten widok Babs pewnie by powiedziała: „Obrzydlistwo!”.

A właśnie z jej powodu chętnie przyjmuję zaproszenie mamy. Jeśli wrócę do domu, to Babs może wyważyć drzwi mojego mieszkania — zna się na tym, to jej zawód! — choć niekoniecznie, jej brat ma bowiem klucze. Wzdrygnęłam się. Wystarczy mu konkretny powód, by z baranka przemienić się w potwora. Andy jest przeciwnikiem, z którym należy się liczyć. Albo lepiej, którego należy unikać.

— Jeśli chcesz się przebrać, to twoja koszula Śpiącej Królowy leży pod poduszką — woła za mną mama. Po czym dodaje ciszej, pod nosem: — I obawiam się, że nie będzie za ciasna. A potem już nieco głośniejszym głosem: — Przynieść ci kubek mleka?

— Tak, poproszę — odpowiadam z zamiarem wylania go do zlewu.

Włączam różowe światło i pokój przemienia się w bajkową grotę albo — jak kto woli — tani burdel. Rozbieram się bez pośpiechu, myję buzię, po czym wlokę się do swego cukierkowo różowego łóżka i zamykam oczy. Dziwne uczucie leżeć znowu w jednoosobowym łóżku. Mam wrażenie, jakbym spoczywała w otwartej, luksusowej trumnie. Postanawiam nie powiększać tej iluzji i rezygnuję z koszuli Śpiącej Królowy.

Niestety nabawiłam się potężnej migreny i muszę pozostać w łóżku aż do piątku. Do dnia, który Matt wyznaczył na nasze pożegnalne spotkanie. zaproponował, byśmy spotkali się przed Coliseum o czwartej i żebym „zachowała resztę popołudnia dla siebie, gdyby okazało się nieudane”. Dzwonię do niego, chcę się bowiem upewnić, że pamięta o naszym spotkaniu.

— O czwartej czekam przed budynkiem, chyba że wystawisz mnie do wiatru — oświadcza. Uśmiecham się po raz pierwszy od wielu dni.

Powinam także zadzwonić do Babs. Wiem, że muszę, jednak nie mogę się na to zdobyć. To tak samo jak z depilacją w domu, kiedy już posmaruje się okolice bikini lepka mazią, przyciśnie pasek papieru i nie ma już innego wyjścia, trzeba oderwać pasek ze zbędnym owłosieniem i już, już, już! — ale ręka nie chce ruszyć z miejsca. Naprawdę! Wiadomo, że postępowanie zgodnie z logiczną zasadą

„należy szarpnąć mocno do tyłu” spowoduje ogromny, niewyobrażalny ból. Należy oderwać się od matczynego fartucha, dopiero wtedy można poczuć się dorosłym człowiekiem.

Dlatego nie dzwonię. Telefon do Babs równa się samobójstwu! Walka albo ucieczka? Bzdura, nie muszę dokonywać żadnego wyboru! Zawsze decydowałam się na to drugie, zdziwiona jestem, że nie urodziłam się z zajęczymi nogami. Babs często powtarzała mi, że doprowadzę się do samozagłady, a podjęta przeze mnie decyzja jest widocznym przykładem tego, jak wielkie postępy poczyniłam. Albo przynajmniej tak uważam. Tak naprawdę, to jestem kłębkim nerwów. W duchu powtarzam sobie: „Zadzwoń do niej, no już, zadzwoń do niej”, a wtedy czuję ucisk na sercu i zamieram. Nie mam odwagi usłyszeć, co o mnie myśli. Może lepiej do niej napisać.

Matt rzuca na mnie okiem i stwierdza, że wyglądam jak obraz nędzy i rozpaczy. Nic sobie z tego nie robię, dopóki nie doda:

— Powinnaś trochę przytyć, dziewczyno! — Marszczę brwi i oświadczam, że mam grypę. Następnie pochylam się, klepię Pirka i czuję się, jakby mój mózg przemienił się w kulkę i złowieszczo toczy się w mojej czaszce. W pośpiechu ponownie staję na baczność.

— A... a czy Belinda i Mel nie przyjdą?

— Coś ty! Zglupiałaś? — pyta tylko. — Mają jakieś sprawy do załatwienia. Za kilka minut spotkamy się z nimi w pubie. — Kiwam głową i staram się nie zauważać absurdu, że najpierw mnie wykopali, a potem jeszcze chcą to radośnie oblać. Ale kiedy idziemy razem do Chandos, śmieszność tej sytuacji urasta w mojej głowie do monstrualnych rozmiarów, aż wreszcie milknę zupełnie ponizona i nie potrafię wymyślić nic mądrego, a tym bardziej się wysławić. (Choć mogłabym spytać: „A Pirek miał ostatnio jakieś infekcje?”, ale nawet ja mam swoją dumę).

— No to jaki masz problem? — pyta Matt. Spoglądam na niego.

— A o który pytasz?

Uśmiecha się, kiedy podaję mu piwo.

— Wiem, że to coś więcej niż tylko grypa. Opowiedz o wszystkim wujciowi Mattowi. A tak na marginesie, ta książka bardzo się spodobała Stephenowi. Przesyła ci pozdrowienia.

— Odsyłam mu je, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Zajmujemy jeden boks i zaczynam mu wyniszczać swój problem. Nie wspominam o sprawie z Babs — to zbyt osobiste i zbyt świeże. Może powiedziec o Tonym? A co mi tam! Opowiem mu o Tonym. Słuchając mojej opowieści, oczy wychodzą mu z orbit i co jakiś czas krzyczy:

— O cholera! — Nie chcę obarczać go całym worem nieszczęść, dlatego dodaję historię o małym jagniątku i o dużym tacie niedźwiedziu. Pęka ze śmiechu. — Ale z niej ekshibicjonistka — śmieje się — przecież to obrzydliwe! — A potem dodaje jeszcze: — A co się tyczy twojego brata, to widzę, że ma ogromną ochotę, by zostać tatą.

— Naprawdę?

— A jak wytłumaczysz to my siu pysiu?

— Sądziłam, że to było po to, by oszukać naocznych świadków.

— Moja droga, udzielę ci lekcji z podstaw psychologii. Człowiek pozostający w związku gra wiele ról, a rola rodzica wobec partnera jest jedną z nich. — Próbuję zrobić mądrą minę. — Zdarza się bowiem — ciągnie — że rodzice naturalni czasami partaczą swoją robotę, dlatego szukamy partnera, który może naprawić ich błędy. To jest drugorzędna sprawa, bo najważniejsze jest znalezienie partnera, który stworzy prawdziwy dom, a nie jakąś psią budę. Pirek, zasłoń uszy! Ty znasz rodziców Mel?

Potrząsam głową.

— Jej mama jest Bronwen West. Niegdyś była świetną tancerką. Mel potrafi dobrze zatańczyć, ale nie ma porównania, albo też, niestety, jest. A co się tyczy pana Pritcharda — nie można go nazwać typowym ojcem. Wydał na nią mnóstwo pieniędzy, posłał ją do szkoły baletowej i na tym zakończył swoją robotę.

— Nic o tym nie wiedziałam. Biedna Mel!

— Nieprawda — oświadcza mój osobisty Freud, sącząc swoje piwo. — Clara spotkała swojego Drosselmeyera, a Tony lubi grać rolę tatusia bardziej, niż sądzi.

Drgnęłam z powodu wyrzutów sumienia, kiedy postać ubrana w płaszcz w stylu lat pięćdziesiątych uderza dłonią w stół i wykrzykuje:

— Wszystko załatwione!

— Belly! — woła Matt.

Belinda uśmiecha się, a ja dziękuję Bogu, że nie mam tak na imię — uraz związany z tym imieniem przykułby mnie do szpitalnego łóżka na całe życie. Belly siada w naszym boksie i z przyzwoitości (choć jest już trochę późno) porzucamy z Mattem analizę związku Mel i Tony'ego.

— Cieszę się, że cię widzę, Bel — oświadczam. — Zawsze kryłaś mnie przed znajomymi i rodziną. Chyba nikt do mnie nie dzwonił? A może ktoś, kto nie wie, że odeszłam?

Belinda wznosi głowę ku niebu, udając głębokie zamyślenie.

— Och nie, o ile sobie przypominam, to nie.

— Gdyby jednak ktoś o mnie pytał, mogłabyś — wypowiadam to zdanie, uświadamiając sobie jego bezcelowość — zapisałaś, czego chcę?

Belinda uśmiecha się.

— No pewno! — Matt unosi brwi, a wówczas uśmiech znika z jej twarzy. — Jeśli byłyby jakieś wiadomości do ciebie, to bym je zapisała — mówi. — Ale nie zapisałam, to znaczy, że nie było żadnych.

Zapada cisza i siedzimy zadumani, aż wreszcie wpada Mel — przy drzwiach zastyga na chwilę w bezruchu, by wszyscy mogli ją podziwiać — podchodzi do nas elegancko ubrana i zaczyna rozmowę. Wczoraj wieczorem oglądała balet Kirowa — *Jezioro łabędzie* — i, och! — czuje się jak słońca

— wszyscy tacy szczupli, smukli, żadnych umięśnionych nóg, dziewczyny — jak trzciny („ściny”), tacy silni, świetnie przygotowani. U nas w zespole zawsze brak czasu na próby. A oni wszyscy w jednej linii — nieskazitelnie prosto — ani jedna stopa nie wykracza do przodu, ani jednego potknięcia, świetnie wyszkoleni, ciężkie próby, od siódmego roku życia elegancja wbijana do głowy. My — klu-chy, amatorzy. W lipcu wystawiamy *Jeziro łabędzie* — bezczelność, żeby naśladować Kirowa! Nasze kostiumy — wszyscy na biało bez wyjątku — przerażające, każdy wygląda dziesięć razy grubszy. To śmieszne, że nie mamy trenera od ćwiczeń pilates. Stwierdza, że musi popracować nad swoimi udami, a ta egoistka, Julietta, ma osobistego trenera...

— Znam instruktora od ćwiczeń pilates! — wykrzykuję podekscytowana, że mogę się na coś przydać. — Prowadzi zajęcia w moim ośrodku.

— A daje prywatne lekcje? Nie mogę trenować ze zwykłymi ludźmi. A muszę zrzucić trochę ciała. Pilates to najlepszy sposób!

— Naprawdę? Chciałam zauważyć, że nie musisz tak bardzo się katować.

— Natalie! Ta metoda usprawnia i wydłuża mięśnie! To dlatego tancerze uprawiają pilates!

— Sądziłam, że to ma im pomóc wyleczyć kontuzje — odpowiadam, stosując swoją technikę oddychania pilates, by pociągnąć sobie papieroska. Jestem zadowolona. Nie powinnam tego mówić. To tak jakby stwierdzić, że palenie jest dobre dla zdrowia.

— Wy obie nie potrzebujecie niczego zrzucić — stwierdza Matt. — Jesteście takie grube jak wycior do fajki. Przy was nasza Belly wygląda jak medalowa jałówka. Bez obrazy, Belly.

Belinda — odtąd znana jako Miss Słonica — zachichotała.

— Belly — odezwała się czule Mel. — Która godzina? Muszę się rozgrzać przed występem.

Belinda spogląda na zegarek.

— Wpół do szóstej. Idę z tobą. — Żegnają się ze mną i wychodzą.

Matt mówi:

— Też już będę szedł. — Przerzywa. — Może byś przez dziesięć minut zajęła się Pirkiem. Mam tu parę spraw do załatwienia.

— Przez chwilę się waham. — Próba już pewnie się skończyła — dodaje. — Sala jest pusta.

— Naturalnie — odpowiadam. — Spoko. — Zmierzamy prędko do Coliseum. Kiedy zauważam, że równocześnie stukamy obcasami, zwalniam i mówię: — A Pirek miał ostatnio jakieś infekcje uszu? (Zostałam nagrodzona satysfakcjonującą odpowiedzią:

— „Tak. Nawet dwie”).

Siedzę w rzędzie E na pustej sali, a Pirek — nieświadomy naszego bezprawnego postępowania — zasnął na dobre. Scena jest pusta, a niebieska tkanina na fotelu przede mną zupełnie przetarta. Pusta widownia wydaje się mniejsza niż w rzeczywistości. Nie potrafię jednak opanować ekscytacji. To dom marzeń. Spoglądam na sufit. Beżowo-niebieski. Wystrojem przypomina trochę...

Reflektory na scenie błyszczą, a ciszę przerywa pianista, który zaczął grać suitę z *Dziadka do orzechów*. To jest wstęp do solówki Czarodziejki. Przełykam ślinę i osuwam się na swoim fotelu. Ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, to spotkanie twarzą w twarz z Juliettą. Matt powiedział, że wszystkie próby już się skończyły. Patrzę i targają mną zachwyty i trwoga, a porcelanowa figurka wolno sunie po scenie w krwistoczerwonej paczce, której sztywne, plisowane warstwy bledną do jasnoróżowego, w białych rajstopach, różowych, satynowych puentach i gwiazdzistej tiarze na głowie. Siedzę, jakbym połknęła kij. Mel! Przecież to Mel! Patrzy prosto na mnie, wyciąga w bok jedną rękę i robi głęboki dyg.

Ten gest jest powszechnie znany. Ten występ jest specjalnie dla ciebie! Zmieszana spoglądam na pianistę. Belinda! Nie wiedziałam, że potrafi grać na fortepianie! Nic na to nie poradzę.

Łzy ciekną mi po twarzy. Ta muzyka jest balsamem dla mojej duszy. A Mel jest zjawiskowa. Tańczy jak natchniona. Płynie po scenie, jakby ważyła tyle co piórko — z radością zdaje się unosić w powietrzu, a każdy ruch jest tak delikatny jak jedwab. Prawie czuję bijący od niej żar. Drgnęłam, kiedy tancerz w turkusowej chustce pirata wchodzi na scenę — przez ułamek sekundy pomyślałam, że to Oscar. Matt!

Matt w roli Księcia, wciśnięty w karmazynowy, aksamitny kubrak ozdobiony złotym brokatem, a do tego — sądząc po wypukłości w kroczu — mniej więcej pięć ochraniaczy pod rajstopami. Z wyniosłym wyrazem twarzy wpada na scenę jak niezgrabny kozioł górski. Stanowi parodię Oscara, którego wspaniały talent przewyższa jego kompleks wyższości. Mel uśmiecha się wyrozumiale nawet wówczas, kiedy podrzuca ją do góry jak worek ziemniaków. Tak głośno się śmieje, że Pirek podrywa się ze snu.

— To — mówię po przedstawieniu, obejmując ich oboje — jest bez wątpienia najmiłsza rzecz, jaką ktoś kiedykolwiek dla mnie zrobił.

Belinda rumieni się jak burak i nawet Matt sprawia wrażenie zawstydzonego. Mel wykrzykuje:

— Chcieliśmy zrobić dla ciebie coś szczególnego — ja to wszystko wymyśliłam!

— To był wspaniały pomysł, Mel — odpowiadam. — A ty jesteś nadzwyczajną, nadzwyczajną tancerką. A Bel cudownie grała! A ty — dodaję, odwracając się w stronę Księcia — nie masz zamiaru zacząć kariery?

Matt obejmuje mnie za głowę.

— Złośliwa baba! A teraz już znikaj, zanim się wzruszę. Jest piątek wieczór — na pewno masz pełno szalonych imprez do zaliczenia.

Machają mi na pożegnanie ręką. Szybkim krokiem idę w stronę metra. Szalone imprezy — akurat! Nie jestem zwierzęciem salonowym. A kto to taki? Może Pirek z elegancką chustką na szyi? Siedzę w przedziale z uśmiechem na ustach — choć wbija we mnie wzrok potężna Amerykanka, a facet siedzący obok rozłożył nogi tak szeroko, że pewnie tworzą kąt półpełny. Ta jego figura robi wraże-

nie, dlatego mam ochotę zapytać, czy przypadkiem nie jest zawodowym tancerzem. A tak po prawdzie to chcę powiedzieć:

— Złącz nogi, stary. Korzystasz z komunikacji publicznej, a rozwalileś się jak na swojej sofie. A zresztą za chwilę mnie zgnieciesz! — Tony — specjalista w dziedzinie rozwalania się — uważa, że jeśli ktoś chce mieć miejsce, to musi o nie walczyć. A jednocześnie nie znosi kobiet, które rozwalają się w metrze, zachowują się bowiem jak zdziry. Pewnego razu w pełni świadomie popełnił ten błąd i podzielił się tym poglądem z Frannie, która odparowała prosto w jego uśmiechniętą twarz mniej więcej tak: „Jeszcze jeden przygnębiający dowód prymitywnego i prostackiego myślenia”. A co takiego powiedziała o odchudzaniu się? Coś na temat aprobowania przeze mnie represyjnych środków. Ale ja nie czuję się represjonowana. Zastanawiam się nad dzisiejszym przedstawieniem i może to sentymalne, głupie, dziecinne, ale odczuwam radość. Siadam trochę swobodniej.

Kiedy docieram do domu, mój nastrój nieco się psuje. W mieszkaniu panuje mrok i cisza. Nie krzyczę: „Jest tu ktoś?”. Podobnie jak robią pechowi bohaterowie w horrorach, pukam do pokoju Andy'ego i powoli, ostrożnie otwieram, jakbym się bała, że może wylecieć ze środka nietoperz. Pokój jest zupełnie ogołocony z wyjątkiem błyszczącej kuli. Nietoperzy też nie ma. Zamykam drzwi. Ciężkim krokiem wchodzę do łazienki. Jego półka również jest pusta. Głęboko wciągam powietrze. Pozostał delikatny, cytrynowy zapach wody po goleniu. Podchodzę do okna i otwieram szeroko. Silny powiew zimnego powietrza wchodzi do środka, usuwając wszelkie ślady po kosmetyku.

— W porządku, mam cię gdzieś — mówię pod nosem. Idę na korytarz, a kiedy dzwoni telefon, bez zastanowienia podnoszę słuchawkę jak matka płaczące niemowlę.

— Halo? — pytam, a w duchu dodaję: „po cholere”.

— To ty, Nat?

— Niiieeeeeee! Tak, to ja — odpowiadam ze smutkiem.

— Mówi Babs, ty idiotko! Nie rozumiem, dlaczego do mnie nie oddzwoniłaś! Jestem na ciebie wściekła!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Kiedys poprosiłam Babs, by wypożyczyła jakiś romantyczny film, więc przyniosła *Joannę d'Arc*.

— Historyczna opowieść, kostiumy z epoki i główną bohaterką jest dziewczyna! — wykrzyknęła, widząc moje rozczarowanie. — Czego jeszcze potrzebujesz?

— Ale tam się grzmocą po łbach! — wrzasnęłam. Sądziłam, że wie, o co mi chodzi. Chyba powinna. Znamy się tak dobrze, że aż mnie dziwi, że nie potrafi czytać w moich myślach. Szczególnie teraz, kiedy gryzą mnie takie olbrzymie wyrzuty sumienia. Mam ochotę krzyknąć: „Nie całowaliśmy się — tylko Simon był pijany!”, ale ona oświadcza:

— Jesteś taka skryta. Dlaczego nie przyznałaś się, że szukasz pracy?

Ze zdziwienia opada mi szczeka — jakbym usłyszała, że kot zaczął szczekać. W końcu, jękając się, pytam:

— O co ci chodzi?

— Chodzi mi o to — wykrzykuje — że jestem u rodziców i słyszę, jak moja mama rozmawia z twoją, że masz zacząć pracować w jakiejś pralni, a ta robota zanadto ci nie odpowiada. Przypomniałam sobie, jak mówiłaś, że masz zacząć jako wolny strzelec od public relations. Ale jesteś! Kiedy rozmawialiśmy — pamiętasz — na temat mojego małżeństwa, słowem o tym nie wspomniałaś.

Przetykam ślinę. Pomyśl, Natalie, nie mógł jej powiedzieć. Frannie też tego nie zrobiła. W tym moja szansa. Otwieram usta i słyszę, jak mówię:

— Tego wieczoru, kiedy rozmawialiśmy na temat twoich małżeńskich kłopotów, no... tego właśnie wieczoru rozmawialiśmy właśnie o tobie. Uważałam, że nie czas podnosić temat... hm... chemicznej pralni.

Babs śmieje się.

— Więc nie chcesz już pracować jako specjalista od PR?

— Po części — odpowiadam. — Na zamówienia będę pisała komunikaty prasowe, to wszystko — nie można tego uznać za stałą pracę. Ale nie przejmuję się tym. Przestało mnie to bawić.

— No, to co chcesz teraz robić?

— Nie wiem. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

— Wiedziałam! — wykrzykuje triumfalnie. — Jak zawsze niezdecydowana! Dlatego ja pomyślałam o czymś, co być może chciałabyś robić, przynajmniej na razie, co nie jest zbyt wysoko płatne, ale ciekawsze niż prasowanie koszul. Zgadnij, co!

— Nie mam pojęcia — odpowiadam. Wycieram z czoła mokre wyrzuty sumienia i zastanawiam się, co — u diaska — takiego się wydarzyło, że jest w takim radosnym nastroju? Sądziłam, że rozwód tuż-tuż?

— Mogłabyś — to tylko sugestia — pracować w delikatesach!

— Twoich rodziców? — wykrzykuję zdumiona. Mniej bym się zdziwiła, gdyby zaproponowała mi pracę w straży pożarnej.

— Nie — odpowiada. — W delikatesach Sainsbury's.

Mowę mi odjęło. Ja? W delikatesach? To tak jakby prosić kurczaka, by został ochroniarzem liś! Dobry Boże, to będzie okropne! Przez dziesięć godzin dziennie będę otoczona przez żarcie! I nie wiadomo, czy zdołam oprzeć się pokusie! Wpadłam! Moja siła woli osłabła! Zacznę się obżerać! I na dodatek pracowałabym z jej rodzicami! Przez cały czas będą namawiali mnie na jedzenie! Byłabym jak ten pisklak, któremu pakuje się jedzenie do dzioba! Może najlepiej od razu się spakować i jechać prosto do szpitala.

Oznajmiam na głos:

— Nie wiem, jak ci dziękować.

Babs uśmiecha się promiennie do słuchawki — poznaję to po jej głosie.

— Bardzo mi wtedy pomogłaś. Rozmowa z tobą była dla mnie prawdziwą terapią. Poukładałam sobie wszystko w głowie. I chyba Simon zauważył, że coś jest nie tak. Pewnie wyczuł, że przeżywam ciężkie chwile. Nawet nie musiałam nic mówić. Posłuchaj, ostatnio zaczął przychodzić na czas do domu, kupował mi kwiaty, gotował — w sumie więcej chęci niż talentu, ale to nieważne — a dziś rano usiadł na łóżku i powiedział, że przeprasza. Wieczorem zostawał po godzinach, bo naciskali na niego w pracy, i zdaje sobie sprawę, że wyżywał się na mnie i bardzo, ale to bardzo mnie przeprasza i chce mi to wszystko wynagrodzić. I — nie zgadniesz! — zaprasza mnie na weekend do Pragi! Lecimy do Pragi! Dziś wieczorem! Na cały weekend! Za dziesięć minut jedziemy na lotnisko! — W tym momencie zniża swój głos do szeptu: — Pakuje się w sypialni! Tak naprawdę to nie uwierzyłam w tę presję w pracy, ale jestem w świetnym nastroju. Mamy okazję, by wszystko sobie poukładać. Czy to nie dziwne, że teraz zaczęło się dobrze dziać?

— Z doświadczenia wiem — oznajmiam — że sprawy zmierzają w dobrą stronę, kiedy facet nie odrywa od ciebie wzroku, a ty siedzisz wyprostowana z wciągniętym brzuchem.

Babs chichocze i mówi:

— Cała ty! No, to co o tym sądzisz?

— Myślę, że to... dobrze wróży na przyszłość — odpowiadam, myśląc: „Do licha, a może rzeczywiście (na swój najmniej pożądany i najbardziej niewdzięczny sposób) pomogłam im przetrwać kłopoty małżeńskie”.

— Musimy jeszcze porozmawiać o innych problemach — dodaje. — Ale wszystko w swoim czasie, jak mówi mój tata. O Boże, jak ja nie cierpię cytować swoich rodziców! No ale jeśli chcesz pomóc w delikatesach, oferta jest nadal aktualna. Najlepiej zadzwoń do mojej mamy w czasie weekendu. Znasz moich rodziców — ich podejście do pracy — jeśli się zdecydujesz, możesz zacząć w

przyszłym tygodniu. Ale bez przymusu. Pomogłaś mi. Dlatego chciałam się odwdziżyć. Muszę już kończyć. Zgadamy się. Pa!

— Pa! — żegnam się już tylko ze słuchawką. Niepewnym krokiem wchodzę do kuchni.

— Znowu kucha — mówię, zwracając się do czajnika.

Problem polega na tym, że nie potrafię niczego porządnie wytłumaczyć. Dlatego cierpię w milczeniu, bo gdybym zdobyła się na wyjaśnienia, wówczas odczuwałabym to jeszcze boleśniej. To samo dotyczy Babs. Zaczęłam zamiatać podłogę — lepiej się czuję, jeśli wszędzie panuje porządek — a wtedy usłyszałam dzwonek u drzwi. Jak każda miejska dziewczyna, zgodnie z odruchem Pawłowa, reaguję tylko na dźwięk telefonu. Zaglądam przez judasza i odskakuję od drzwi. Co on tu robi? Czy chce mnie siłą doprowadzić do swojej siostry i zmusić do przyznania się do winy? Wykrzywiam się, a potem przyklejam do ust sztuczny uśmiech i otwieram drzwi.

— Zapomniałem żelazka — oświadcza Andy nienaturalnym tonem, nie patrząc na mnie. — Nie sądziłem, że już będziesz. Chciałem tylko je zabrać i już mnie nie ma. Aha, zapomniałem oddać ci klucze.

Sztywno trzymam otwarte drzwi, a on, również sztywno, wchodzi do środka. Woda po goleniu, pognieciona koszula, wymięte džinsy. Rzeczywiście zapomniał żelazka. Widzę, że chce coś powiedzieć, ale nie mam ochoty go wysłuchać. Dlatego pytluję:

— Jeszcze nie rozmawiałam o tym z Babs, ale ona do mnie dzwoniła. Chciałam jej powiedzieć, ale nie dopuściła mnie do słowa. Jadą na weekend do Pragi. — Mam zamiar dodać: „I proszę, nie patrz na mnie w ten sposób”.

Andy wsuwa rękę do kieszeni. Ma tak szczęśliwą minę jak mrówka w gnieździe os. Oświadcza tylko:

— Czuję się jak idiota — rozmawiałem z Simonem, no i...

— Rozmawiałeś z nim? — wykrzykuję zadowolona, że nie tylko ja wyrzucam z siebie nieśkładne zdania w chwilach zdenerwowania.

— No. — Andy wyciąga rękę z kieszeni i zaczyna majstrować przy luźnej nitce od džinsów. — Ale cymbał. Miałem ochotę mu przyłożyć. — Ze zdziwienia unoszę wysoko brwi i czekam, co powie dalej. — Nic nie zrobiłem — dodaje. — Znasz Babs. Jeśli dojdzie do wniosku, że on zasługuje na klapsa, to sama sobie poradzi.

— A ona wie o wszystkim? Choć dzisiaj zachowywała się, jakby...

— Przecież mówię, że nic jej nie mówiłem! On sam ma jej o wszystkim powiedzieć.

— Ale kiedy chce to zrobić? — W tym momencie z trudem się opanowuję, żeby nie krzyknąć: „No nie!”.

Andy wysuwa do przodu dolną wargę.

— Powiedział, że powie jej przy pierwszej nadarzającej się okazji. Przypuszczam, że dziś wieczorem albo w najbliższy weekend.

Wypowiada każde słowo, jakby nie chciał się z nim rozstać. Nie ma pojęcia, o co tu tak naprawdę chodzi. Czuję się jak opiekun w zoo, który próbuje zmusić szympansa, by podzielił się bananem. Zaciskam pięści, by nim nie potrząsnąć.

— A czy on... czy będzie... — Zapalam papierosa i zaciągam się głęboko. — A czy wiesz, co powie jej o mnie?

Andy informuje mnie:

— Chce jej powiedzieć, że rzucił się na pewną kobietę, bo był pijany. Uważa, że tak będzie najlepiej. Chyba ma rację. Uważa, że jest nieistotne, co to za kobieta.

Mężczyźni! Uwielbiam ich! „Nieistotne”!

— Jeśli — Andy skinął głową i próbuje nieudolnie uśmiechnąć się do mnie — ty chcesz opowiedzieć Babs całą resztę, to twoja sprawa. Simon przyznaje, że to była jego wina. Powiedział, co się stało — to było wstrętne. Sam do siebie czuł obrzydzenie. I nie chodzi tutaj tylko o to, jak podle potraktował Babs. Ty mogłabyś oskarżyć go o napad! Zdaje sobie z tego sprawę. — Przy tych słowach Andy patrzy mi prosto w oczy. — Naprawdę przykro mi, Natalie, że na ciebie krzyczałem. Przepraszam. Ale Frannie przedstawiła mi to w innym świetle — w jej ustach to wyglądało zupełnie inaczej. No ale teraz wszystko jasne. Nie przyszedłem po żelazko.

Zgodnie z metodą pilates głęboko oddycham i z ulgą odpowiadam:

— Dla mnie to nie takie jasne. Ale nie przejmuj się. Uważasz, że mówił poważnie? Na pewno ją bardzo... zrani. Dla Babs to będzie straszne przeżycie.

Andy wzdycha głęboko.

— Nie mam pojęcia. Powiedział, że to on zawinił. Stwierdził, że bał się małżeństwa. Ma zamiar wyznać jej wszystko uczciwie i wierzy, że Babs da mu jeszcze jedną szansę. Co chcesz usłyszeć? To drań, ale nie mogę jeszcze bardziej mieszać się w ich małżeństwo. Nie mogę zmusić go, by zachowywał się, jak trzeba, choć bardzo bym tego chciał. To i tak już dla niej dość poniżająca sytuacja. Muszą to załatwić między sobą. To dorośli ludzie.

— No — mówię. — Masz rację.

Zapada długa cisza, podczas której myślę sobie: „Już i tak dość zrobiłaś, miesząc się w tę sprawę i robiąc wstyd Scooby'emu. Masz szczęście, że udało ci się z tego wyjść bez szwanku. A teraz przestań się już tym zajmować”.

Uśmiecham się z zakłopotaniem do Andy'ego, sprawdzając, czy się już na mnie nie złości. Chyba powinnam coś powiedzieć, jednak on okazał się szybszy.

— Aha, jeszcze coś. Tego dnia, kiedy się pakowałem, przyszła jakaś kobieta. Chyba Henrietta. Marszczę czoło.

— Nie znam nikogo o takim imieniu. Jak wyglądała? Oczy mu się śmieją.

— Bardzo elegancka — oświadcza z akcentem, z jakim mówią mieszkańcy z przedmieścia. — Taka trochę harcerka. Śmiejąc się, wydawała dźwięki jak foka. Prosta spódnica, różowy sweter, a do tego broszka.

— Broszka! — wykrzykuję z niedowierzaniem. — A w jakim była wieku?

Andy marszczy nos.

— No nie wiem — może gdzieś około trzydziestu pięciu.

— Trzydziestu pięciu? Z opisu wnoszę, że może mieć około pięćdziesiątki. I nie przypominam sobie nikogo takiego. Nawet nie należy do grona znajomych mojej mamy. Czy nazywała mnie po imieniu?

Andy powstrzymuje się od śmiechu.

— Nie, prawdę powiedziawszy, to nie — odpowiada. — Ale na pewno cię znała.

— Skąd?

— Ty znasz jej brata.

— Czyżby?

— Podobno — ciągnie Andy — niezbyt często dzwoni do domu. Powiedziała: „Mama i tatuś bardzo się martwią. A przy wysokim ciśnieniu tatusia może skończyć się to okropnie”. Powiedziała: „Łokropnie”. Miała dwa adresy, pod którymi brat mieszka w Londynie — jednym z nich był właśnie twój. Przyjechała tutaj na targi rzemiosła. Sądziła, że go zaskoczy.

— Targi rzemiosła? I ja znam jej brata? Jesteś pewien, że nie pytała o mieszkanie na parterze?

— Jestem pewien — odpowiada i widać, że ewidentnie bawi go moje zmieszanie. — Na pewno nie chodziło o to mieszkanie na dole.

— No dobra — poddaję się, świadoma, że ktoś próbuje mnie wrobić. — Więc mam bardzo dobrze znać tego jej brata? A jak on ma na imię?

Andy zaczyna chichotać. Chichocze tak mocno, że dopiero po upływie dobrej minuty udaje mu się wydusić z siebie słowo:

— Ma na imię — nadal chichocze, z trudem łapiąc powietrze — Chris.

— Chris? — Sama zaczynam się śmiać. — Chris — ten od Siniego Diabła?!

— W stu procentach nie mam pojęcia, ale — chyba to prawda!

— Ale — krztuszę się — ale... ale... Chris jest...

— Chris jest chłopakiem, który mówi: „Mój ojciec pracuje na przodku, a moje mamusia w domu, a ja chłopok z Manchesteru jezdę z klasy robotniczyj, wtrząchniesz kawał kiełbacy?” — ryczy z radości. — A może zadzwoń do niego i zwróć się po imieniu, jakie otrzymał na chrzcie. — Andy zaczyna stepować, jak showmani zapowiadający pojawienie się nowej, wielkiej gwiazdy. — Oto Crrrrispian!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Śmiejemy się, najpierw nieśmiało, a potem coraz głośniej — ten śmiech jest zaraźliwy jak wietrzna ospa. Śmiejemy się tak długo, że w końcu uświadamiam sobie, że żal byłoby przestać. Poza tym nie chcę być smutasem psującym komuś zabawę. Przypomina mi się urzędnik wysokiej rangi na nazistowskim zjeździe, który po dwudziestominutowej owacji dla Hitlera doszedł do wniosku, że już go bolą dłonie — co za dużo, to niezdrowo — więc usiadł. Nie sugeruję, że jeśli przestanę chichotać, to Andy mnie zastrzeli, ale nie chcę, by się obraził.

W momencie kiedy zaczynam się przejmować, Andy przychodzi mi na ratunek — potrząsa głową i łapie za krzesło, a jego śmiech zamienia się w chichot, a ten z kolei w uśmiech. Sekretnie odycham z ulgą i siadam obok przy stole.

— Napijesz się czegoś? — pytam pogodnie. — A może musisz już iść?

Waha się przez chwilę.

— No jeśli masz wolną chwilkę, to poproszę o herbatę.

— Chwilkę? — wyrzucam z siebie bez zastanowienia. — Mam wolną całą noc! To znaczy — prostuję — nie mam nic ciekawego do roboty.

Aby wyjaśnić to nieporozumienie, zaczynam nieskładnie tłumaczyć:

— Miałam dzisiaj spotkanie z kolegami z pracy. Nie wiedziałam, jak długo to potrawa, dlatego już nic innego nie planowałam. I dlatego przed szóstą wylądowałam w domu! No więc jeśli mówię, że mam wolną, hm, noc, no to właśnie dokładnie to znaczy.

„Zamknij się” — słyszę w głowie jakiś rozsądny głos. Posłusznie milknę. Gwałtownie wstaję, idę do zlewu i nalewam wody do czajnika. O rany! Andy nic nie mówi. Skoro nie zna dobrych zasad prowadzenia konwersacji, wypowiadam pierwszą myśl, jaka przychodzi mi do głowy, a mianowicie:

— To zabawne, jacy razem z Babs jesteście brytyjscy, co widać po waszych upodobaniach kulinarnych, mimo usilnych starań waszej mamy. Twoja siostra też jest uzależniona od herbaty, a kiedy ty zamawiasz pizzę na wynos, wyglądasz, jakbyś sprzeniewierzył się własnym korzeniom!

Odwracam się i widzę, że się uśmiecha.

— *Bella!* — wykrzykuje śpiewnym włoskim akcentem: — O co ci chodzi? Moja *mamma*, ona pochodzi z Italia, ona próbowacz raz pizza z Pizza Hut i ona wtedy powiedzicz: „Na litość boską! Nie, dziękuję!”, ale ja i moja siostra, my życzy w Stanmore przez czale nasze życie! My lubicz bardzo tipsy, my lubicz angielski *breakfast*, my nie lubicz, kiedy na nas mówicz „makaroniarze” dzieci w szkołach! — I już normalnym tonem dodaje: — Włosi też piją herbatę. Jeśli nie masz żadnych planów na dzisiaj, czy to oznacza, że jesteś wolna?

Ręka mi zadrżała i gorąca woda wylewa się na podłogę.

— Ojej! Tak, jestem wolna. A ty? — Przygotowuję się na bolesną odpowiedź: — „Nie, moja smutna, jak większość funkcjonujących facetów w piątkowy wieczór jestem cudownie zajęty, próbowałem tylko czymś wypełnić tę kłopotliwą ciszę”.

— Tak naprawdę nie mam nic do roboty. A na co miałabyś ochotę? Może pójdziemy coś zjeść — przypomina coś sobie — albo lepiej nie. Możemy pójść do kina, choć to pewnie strata czasu siedzieć w ciemnościach i oglądać film na ogromnym ekranie. Albo — mam pomysł — chodźmy do Tate Modern — już dawno tę galerię otworzyli, a jeszcze tam nie byłem, w związku z tym czuję coraz większy wstyd. Jakbym był jakimś niepełnowartościowym człowiekiem. Dobra herbata — dodaje, biorąc łyk.

— Tate Modern! — wykrzykuję. — Chętnie tam pójde. Ale gdzie to jest? Pewnie gdzieś na końcu świata?

— Zgadza się — potwierdza Andy. — W południowym Londynie.

Dwie godziny później jestem już na tyle obyta kulturalnie, by wiedzieć, że należy unikać sztuki współczesnej. Kiedy kroczę u boku atrakcyjnego faceta, choć nie całowałam się z nim jeszcze, natykamy się na wideo z nagimi mężczyznami tańczącymi do niesłyszalnej dla ucha muzyki. Kiedy wchodzimy do kawiarni, może i nie do wiary, ale cieszę się z tego.

Pałaszuję porządny kawałek ciasta z czekoladą. (Andy przez całą drogę powtarzał: „Ja coś zjem, ale ty nie musisz”, więc w końcu postanowiłam udowodnić mu, że jestem normalną osobą). Popijam miętową herbatkę, grzejąc sobie ręce o kubek — nie jestem już tą wredną kobietą, która podzieliła swoją rodzinę — opowiadam Andy'emu o propozycji pracy w delikatesach i w pralni. Z dwójga złego wolę tę pierwszą (w sumie cieszy się trochę większym szacunkiem) i dlatego psychicznie nastawiam się na akceptację.

— To jest, uwierz albo nie, przyjemne zajęcie — stwierdza. — To tak jak roznoszenie gazet, każdy z nas to kiedyś robił. Delikatesy moich rodziców to bardzo fajne miejsce. Będiesz musiała przyzwyczać się do wiecznych utyskiwań mojej mamy na brytyjską kuchnię i obyczaje przy stole, i narzekań, że klienci w tym kraju codziennie zamawiają tę samą kanapkę, nigdy niczego nie próbują i zawsze proszą o to samo: salami, pastrami, ser... We Włoszech klient zamawia jedno, żeby można było wyczuć smak. To ją strasznie denerwuje i przez cały czas o niczym innym nie mówi.

— Och! — uśmiecham się do niego. — Też chciałabym mieć tylko takie kłopoty.

Andy pociąga łyk piwa.

— A masz coś jeszcze na oku czy też nie zamierzasz się spieszyć? Wspominałaś coś o pracy w public relations, ale mówiłaś, że już ci się to sprzykrzyło.

Uśmiecham się zaskoczona. Większość znanych mi facetów posiada umiejętność kasowania pokaznych plików informacji pół minuty po tym, jak otworzyłaś przed nimi swoją duszę. Mój mózg przechowuje najmniejsze szczegóły. Dziewięć lat temu moja pierwsza miłość — w tym przypadku to

nazbyt śmiała, a jednocześnie prześmiewcza parodia tego słowa — wymieniła nazwisko faceta, który pomagał jego rodzicom na farmie. Po dziewięciu latach upiorna postać Bunny'ego Grimshawa — człowieka, którego nigdy nie spotkałam i nie mam ochoty spotkać — nadal siedzi w mojej głowie, zajmując cenne miejsce na dysku. Dlaczego?

— Masz dobrą pamięć — oświadczam zdumiona faktem, że naprawdę mam dość pracy w public relations. Zapalam papierosa, który rozjaśni mi w łepetynie. — Robię to dla szmalu, ale to nie jest moje wymarzone zajęcie.

— No i co chcesz mi jeszcze powiedzieć? — pyta, pochylając się do przodu.

Czekam niepewna. Najłatwiejszym sposobem na zabójstwo marzenia jest jego realizacja. Do diabła!

— Jest coś — zaczynam — co mnie interesuje. Ale wydaje mi się to niepoważne. Musiałabym dużo ćwiczyć i trzeba by na to przeznaczyć mnóstwo pieniędzy, a nawet wówczas mogłoby się okazać, że się nie nadaję. Nie dostanę nigdzie pracy i mama się załamie.

— No — zachęca mnie Andy. — Na razie mówisz tylko o plusach. A jakie są minusy?

Roześmiałam się.

— Jestem po prostu realistką. Andy potrząsa głową.

— Jeszcze nawet mi nie powiedziałaś, co zamierzasz. Milknę.

— To taka forma ćwiczeń — nazywa się pilates. Ale to nie tylko ćwiczenia fizyczne. Cieszy się obecnie dużą popularnością, dlatego pewnie jest duża konkurencja, ale bardzo mi się podoba. Tylko kilka razy brałam udział w takich zajęciach, no to pewnie zbyt pochopna decyzja. Gdybym mogła robić to, co chcę, zapisałabym się na kurs.

Czekałam, aż zacnie się ze mnie wyśmiewać. Ale on tylko powiedział:

— Pilates — coś tam słyszałem. Sasha, moja była, prowadziła takie kursy. Wszem wobec zachwalała, że to holistyczna metoda ćwiczeń. Taka gadanina o łączeniu ducha z ciałem. Podobno istnieje korelacja wszystkich organów ciała. Próbowwała namówić mnie na zajęcia. Moim zdaniem to byłoby dla ciebie najlepsze!

Nie znoszę, kiedy ktoś tak mówi. I jeszcze gdybym dostawała grosz za każdym razem, kiedy Andy mówił: „Sasha, moja była”, zarobiłabym przynajmniej piętnaście groszy.

— Nie żartujesz?

— Coś ty — odpowiada Andy. — Kiedyś opowiadała o facecie, chyba jakimś rugbyście. Podobno był strasznie nieśmiały, a ona twierdziła, że dzięki pilates zmienił się zupełnie, zaczął akceptować siebie. Należy po prostu dostosować tę metodę odpowiednio do każdego. Ja sam nigdy nie zacząłem. Nie nadaję się do ćwiczeń. Chyba że wykonuję je nieświadomie, inaczej czuję się jak idiota. No ale to dotyczy mnie. Poza tym zawsze marzyłem o sivanandzie. Ale wiesz, jak to jest — człowiek

wraca do Londynu i kumple zaczynają się z niego wyśmiewać. A zresztą, mam to gdzieś! Natalie, dałaś mi odwagi! Idź na ten swój kurs pilates, a ja zapiszę się na sivanandę.

Może i jestem kretynką, ale nie podoba mi się taki układ. Nie jestem taka postępową. Nie pociąga mnie ta myśl. Trudno.

— Zgadza się!

Andy wyciągnął rękę i przypieczętowaliśmy tę decyzję.

— Jeśli jesteś przekonana, że to właśnie chcesz robić, zaryzykuj ! A dali ci odprawę? — Jego troska budzi we mnie radość, a jednocześnie lęk. Kiedy ktoś czegoś ode mnie oczekuje, strach zaczyna mnie paraliżować, że go zawiodę i tak się zazwyczaj potem dzieje. Jednak z drugiej strony, tak samo reaguję, kiedy ktoś odradza mi, bym cokolwiek robiła. Najlepiej nie zastanawiać się nad tym.

— Masz rację — mamroczę, spoglądając przez okno na londyńskie, zachmurzone niebo. — Może i spróbuję. Zobaczymy. Muszę zadzwonić w parę miejsc. — Mam nadzieję, że te zapewnienia umniejszą jego zainteresowanie i z nadzieją zaglądam mu do butelki, by sprawdzić, czy już jest pusta. Niestety nie. — Czy nadal... tęsknisz za Sashą? — palnęłam bez zastanowienia. Może popełniłam gafę i czy powinnam przewidzieć, że dojdzie do tego.

Nie wygląda na zmartwionego.

— Zabawne, że o to pytasz — mówi cicho. — Niedawno o niej myślałem.

— A zwykle to ci się nie zdarza? — pytam. Dobry Boże! Ja rozmyślam o swoich byłych przez wiele lat po zerwaniu — co porabiają, co sądzą o mnie, życzę im powodzenia — ale umiarkowanego (jestem zdania, że nie wyszłoby im to na dobre). Nie tak dawno złapałam się na rozmyślaniu o Saulu, mając nadzieję, że powodzi mu się w pracy, ale jednocześnie odczuwając skutki celibatu. Teraz kiedy nie muszę znosić jego codziennej obecności i przeciętnej osobowości, moja sympatia wobec niego zaczyna gwałtownie wzrastać.

— Nie — odpowiada Andy. — Zazwyczaj tego nie robię. — Przerywa, a po chwili dodaje: — Prawie nigdy. — Kiwam głową. — Nie rozumiem czemu. — Znowu milknie.

— Zwiększam ci przydział słowny z pięciu do dziesięciu. Śmieje się. „Twoja siostra pewnie też tak mówi” — dodaję w duchu.

— Kiedy mnie zostawiła — zaczyna nieoczekiwanie — to strasznie to przeżyłem. To było coś takiego, jakby... jakby twoi dziadkowie się rozwiedli.

— Albo twoi — ripostuję.

— Zgadza się! — wykrzykuje. — Niepojęte! Hm, Jezu, przepraszam.

— Nie ma za co — odpowiadam. — Wiem, co chciałeś powiedzieć.

— Kiedy Sasha odchodziła, zachowywała się bardzo elegancko i spokojnie. To mnie najbardziej zdumiało. Była obecna ciałem, ale zauważyłem, że emocjonalnie wycofała się z naszego związku jakiś czas przedtem. Poznała jakiegoś faceta, nie chciała mnie oszukiwać — to byłoby najgorsze — powie-

działa mi, że dopóki nie poszła z nim do łóżka, nie zdradzała mnie. Chciała zakończyć nasz związek uczciwie.

Parska śmiechem.

— Co wówczas zrobiłeś?

— Nic. Odeszła ode mnie i próbowałem o niej zapomnieć. Nie chciałem, by w mojej obecności ktoś wymieniał jej imię. Nie chciałem o niej myśleć, widzieć jej ani jej znać. A ona sądziła — i to było najzabawniejsze w tym wszystkim — że kiedyś zostaniemy przyjaciółmi! A po co? Dokonałaś wyboru, ponosisz tego konsekwencje. Jeśli dajesz komuś w zęby, to nie oczekuj, że on cię uściska. Nie wszystko idzie po twojej myśli. Ja uważam tak: wychodzisz, no to powodzenia! Rodzina bardzo starała się mi pomóc, ale nie potrzebowałem ich wsparcia. Postanowiłem się stąd wyrwać. Tak to wyglądało. Czułem się taki przybity. Było mi źle. Wszystko się zmieniło. W pracy nie było miejsca, by wypłakiwać swoje problemy, dlatego zrezygnowałem z roboty i uciekłem. — Po tym wyznaniu uśmiecha się słabo.

— Ale jak udało ci się przestać o niej myśleć? Spojrzał mi prosto w oczy.

— Przykre uczucie można zniszczyć tak jak komórki rakowe — odpowiada. — Prawda?

— Chyba... tak — odpowiadam, jękając się i od razu pytam:

— No to czemu teraz o niej myślisz? Andy krzywi się.

— Przypomniała mi się po tej kłótni z tobą. Kiedy wtedy wypadłem, żeby policzyć się z Simonem, straciłem rozum. Oszalałem. Trząsałem się cały, gotowy mu przyłożyć, i wtedy ujrzałem się w lusterku w samochodzie — wkurzyłem się strasznie. Przyszło mi do głowy, że ta sytuacja dotyczy Sashy. Jesteśmy z Babs ze sobą silnie związani — a teraz jeszcze bardziej. Rozumiemy się lepiej, kiedy jesteśmy dorośli. Ale zdziwiły mnie uczucia, jakie się pojawiły. Nie były związane wyłącznie z moją siostrą, ale także z Sashą. Ta sytuacja z Simonem obudziła dawne wspomnienia, które, jak sądziłem, więcej nie powrócą. Czułem się, jakby to mnie ktoś zdradzał. I tym razem to było znacznie silniejsze niż wówczas. — Wzrusza ramionami.

— Relacja brat-siostra — wzdycha — często jest bardzo silna. Człowiek nic na to nie może poradzić. A ty i — wiedziałam, że o to spyta! — Tony, jak się rozumiecie? Czy nadal daje ci powody, by założyć mu za skórę?

„Mam to w nosie” — myślę sobie, po raz drugi już dzisiaj i pewnie w całym moim życiu. Opowiadam mu o jego długo skrywanym owocu miłości.

— Ach, tak — mówi Andy, a ja prawie spadam z krzesła. — Znam tę historię.

— Naprawdę — pytam zdumiona. — Czy... czy Babs ci opowiadała?

— Nie — stwierdza. — Tony. Nie o tym, jak pokłóciłaś się z mamą i postanowiłaś przyozdobić ściany purée ziemniaczanym — dodaje, a ja spoglądam na niego niedowierzająco. — O tym nie wiedziałem. Jestem pod wrażeniem. Szkoda, że tego nie widziałem. — Mruga do mnie porozumiewawczo.

— Zachowałaś się po męsku. Ale to Tony opowiedział mi, że ma córkę, zaraz po tym jak się... pojawiła. — Z największym trudem udaje mi się nie otworzyć buzi ze zdumienia. — Muszę się przyznać — ciągnie — że to było wzruszające. Próbować utrzymać w tajemnicy coś takiego. Nie przypuszczałem, że mu się to uda. Boże, on musiał być na ciebie wściekły! Chyba po raz pierwszy w życiu nie postawił na swoim.

Słyszę swój głos, który przypomina wyciskaną cytrynę.

— To wcale mnie nie zaskoczyło. Andy uśmiecha się słabo.

— No pewnie. — Popijam swoją miętową herbatę, która już zupełnie ostygła i smakuje jak wypłuta pasta do zębów. — Twojej mamie niełatwo pewnie było przyjąć wiadomość, że ma wnuczkę — oznajmia Andy. Musi odczuwać przymus określany przez pewnego satyryka jako: „żeby wygadać z siebie wszystko”. — Pewnie była bardzo przejęta tym faktem. Ale jak sobie uświadomiła, co przez te lata straciła i że jej ukochany syn utrzymywał to przed nią w tajemnicy — to musiało ją zboleć. Przecież Tony to jej oczko w głowie, prawda?

— Zgadza się — potwierdzam, choć z trudem przychodzi mi to wyznanie. — Poza tym jedynym potknięciem — odpowiadam, żeby sprawiedliwości stało się zadość — zawsze był dobrym synem. Szczególnie po tym, jak odszedł tata.

— Szczególnie po tym, co to znaczy? — pyta zaciekawiony. A to co, talk show!

— Był dla niej podpora.

— A ty?

Czuję się jak krowa, którą szturchają kijem.

— A ja? — mamroczę. — Na mnie nie polegała. A dlaczego miałyby to robić?

— A dlaczego nie?

— Przecież miała Tony'ego! — warknęłam. — Stałam sobie na uboczu i starałam się, żeby jej nie zdenerwować albo żeby ona nie denerwowała mnie. Martwiła się, kiedy widziała, że jestem niešťliwa. — Odrywam wzrok od starannie analizowanego niedopałka papierosa i dostrzegam, że Andy ma skwaszoną minę. — Co się stało? — pytam prosto z mostu.

— Przecież ty nic nie zrobiłaś! — wydusza z siebie głosem pełnym oburzenia. — Nie wierzę własnym uszom! Nie obraź się, ale... a zresztą, co mi tam! Tony ma ogromny talent do dołowania innych — czym się zajmuje, odkąd sięgam pamięcią, ale tobie nie wolno nikogo martwić, ty masz się uśmiechać! Czy na tym to ma polegać? A co, jeśli jest się w dołku?

Czuję, jak mój żołądek szaleje.

— No to — oświadczam — dziękuję za słowa otuchy. Andy rzuca mi spojrzenie, jakim królowa Wiktoria spoglądała na swego nadwornego błazna, który właśnie zasunął jakiś kawał o teściowej.

— Mówię poważnie.

— Och! — Staram się z całych sił, by mój głos brzmiał beztriosko. — Przecież mnie znasz. Nie przejmuję się zanadto. Jeśli oni byli zadowoleni, to i ja też. To znaczy: mama i Tony.

— Bzdety! — krzyczy tak głośno, że siedząca obok kobieta składa energicznie swoją gazetę i wychyla się zza stolika. — Widziałem twoją suszarkę na bieliznę — wszystko wisi jak pod sznurek, wygląda na to, że szukasz awansu w wojsku. Wcale nie jesteś wyluzowana, Natalie, naprawdę. Wiem, co to znaczy, ale ty nie. — Kurczę się na swoim krześle. Dotyka mojej ręki — jest zimna od trzymanej butelki — i dodaje: — Ani też nie sprawiasz na mnie wrażenia beztriosko szczęśliwej.

Czuję nagły wzrost adrenaliny, jakbym zawisła na elektrycznym płocie.

— Andy, czego ty ode mnie oczekujesz? Żebym się rozpląkała? Żebym zrobiła teraz awanturę?

Andy robi nachmurzoną minę.

— Tak. Masz rację. Powinnaś zrobić scenę. Rób to, na co masz ochotę, i nie przejmuj się, co powiedzą inni. Robbie powiedział, że kiedy się z nim rozstawałaś, to byłaś strasznie przerażona, tak jakbyś nie miała prawa odstawić faceta. Zachowujesz się tak, jakby uczciwe postępowanie było przestępstwem. Znamy się z przerwami od wielu lat, a chyba cię tak naprawdę nie znam. Nigdy nie dowiedziałem się, co drzemie w tobie w środku. Pokazujesz tylko swoją fasadę. A ona mnie nie interesuje.

Coś dziwnego dzieje się z moimi oczami, które zaczynają przeciekać.

Z trudem przeląkam łzy.

— Zapewniam, że nie spodobałby ci się mój środek. Andy wygląda na zde gustowanego.

— Takie bzdury możesz wciskać komuś innemu.

Na czas umknęłam przed kulami. Jestem już zmęczona tą walką. Poddaję się.

— Masz rację, Andy — przyznaję z westchnieniem. — To było głupie, to było oszustwo, to było do dupy. No pewnie, że byłam nieszczęśliwa, zazdrosna, jak zwał, tak zwał — nie jestem głupia. — Już mam ochotę wygłosić małe, sarkastyczne przemówionko, ale słowa nabierają, odpowiedniego rozpędu, aż wreszcie wydobywają się na zewnątrz, nim zdążyłam pomyśleć. — Czy cierpliwie znosiłbyś te ciągłe uwagi, że nie spełniłaś pokładanych w tobie nadziei i odkąd skończyłaś siedem lat, to zawsze były z tobą kłopoty. Za każdym razem, kiedy wygłaszasz swój pogląd, to on okazuje się chybiony, niekobięcy. Kobięcy! — nienawidzę tego słowa, wzbudza we mnie obrzydzenie. Trzeba nim się posługiwać jak kijem do bejsbola. Och nie, nie wolno mi „nienawidzić”, to takie niekulturalne, grzeczne dziewczynki bowiem się nie wściekają; tylko te niegrzeczne głośno wyrażają swoje zdanie, mówią prawdę prosto w oczy, o ile chodzi o Mamusię, choć masz rację, Tony był inaczej traktowany. Naturalnie, że mu zazdroścę — zawsze robił, co chciał i zawsze świetnie mu to wychodziło, ja natomiast nic nie robiłam, niczego ode mnie nie oczekiwano, wyszukiwano mi pracę, mieszkanie, dostarczano jedzenie. Och tak, miałam to szczęście, to tak jakby żyć w platynowej klatce. Nienawidzę siebie za takie życie — bezcelowe, przegrane, nieciekawe. Nie znoszę, nie znoszę, nie znoszę — że nie

znoszę Tony'ego! Uwielbiam go, rozumiem, dlaczego ona go uwielbia, jest doskonały — superprzy-
stojny, bystry, odnosi sukcesy... — Raptownie milknę.

— No to — mamrocze Andy z kamienną twarzą — trzeba było to powiedzieć.

Zaciskam zęby, by nie rzucić się na niego.

— Hm. — Stać mnie tylko na taką odpowiedź.

Nie wiem, dlaczego przypomniało mi się, jak po raz pierwszy w życiu w wieku trzynastu lat
zrobiłam sobie makijaż. Kiedy Tony zobaczył mnie w autobusie, zarechotał: „O kurczę! Pomalowała
sobie usta!”.

— Nazywał mnie „Świnką Piggy”. — Nie mówię tego, by poinformować o tym Andy'ego, ale
dlatego że sobie przypominałam.

Andy marszczy czoło.

— Pamiętaj, Natalie, żebyś nie brała sobie wszystkiego tak do serca. Sprawiasz wrażenie, jakby
ci zależało na roli ofiary — nie przetrwasz długo! Ludzie wygadują różne bzdury, ale to nie znaczy, że
mają rację. Musisz — wciągam powietrze i przeczuwam, że za chwilę rzuci jakąś perełką *Z mądrości
Tao dla turysty* — posiadać poczucie własnej tożsamości, które jest nieosiągalne. Zresztą, bracia wy-
zywają siostry od najgorszych. Ja wołałam kiedyś na Babs „Alan”.

— Alan! — Wbrew sobie samej zaciekało mnie to. — A dlaczego właśnie tak?

— Ponieważ żadna dwunastolatka nie chce, by nazywać ją „Alan”.

— Wolę to niż „Świnka Piggy” — stwierdzam autorytatywnie.

— Ale „Świnka Piggy” była czarująca — jak na świnię.

— Ale nie dlatego tak mnie nazywał — odparowuję.

— Byłaś gruba? — pyta.

— Nie. Skóra i kości, ale dużo jadłam. Na okrągło byłam głodna — o to mu chodziło. On miał
coś przeciwko grubasom. Kiedy tata od nas odszedł, mama bardzo przytyła. Nie wiem, czy pamiętasz.

Andy marszczy nos.

— Niezbyt — odpowiada oględnie, bo chce być taktowny, lecz dodaje: — Ale twoja mama
zawsze była tęga, prawda?

— Zgadza się — odpowiadam — ale nie wówczas. Wtedy była bardzo gruba. Tony zabronił jej
przyjść do szkoły na dzień sportu. Powiedział, że będzie mu wstyd, bo wszystkie inne matki były
szczupłe.

— Głupi gówniarz! Powinna zdzielić go w ucho!

— U nas to by było tak, jakby Matka Boska zdzieliła Jezusa.

— Trudno jest być tą drugą w oczach własnej matki. — Rozpoczyna i czuję, jakby nożem wy-
ciągał ze mnie truciznę. — Ale, zdaniem Babs, posiadasz coś, czego nie posiada Tony — wspaniałą

relację z ojcem, prawda? — mówi, jękając się i przyglądając się mojej wściekłej minie. (Chciałeś widzieć mnie prawdziwą — no to masz!).

— To prawda — odpowiadam. — Dopóki nie zwał na drugi koniec świata. Staralam się... staram się robić wszystko, co w mojej mocy, żeby między nami wszystko się układało. Teraz go uwielbiam. Ale gdyby mnie naprawdę kochał, nie ulotniłby się zaraz po moich dwunastych urodzinach.

Andy wykrzywia twarz w podkówkę.

— Posłuchaj, Nat — mówi cicho. — Musisz pamiętać, że nasi rodzice to tylko ludzie, a na dodatek, im są starsi, tym częściej zachowują się jak dzieci — to pewne, że cię kochał... że cię kocha tak bardzo jak ty jego. Przestał kochać twoją mamę, nie ciebie. Może po prostu uznał, że najlepiej będzie dla was, jeśli odejdzie i przestanie kłócić się z twoją mamą i unieszczęśliwiać wszystkich. Miał prawo do własnego życia.

— Ale oni byli ze sobą szczęśliwi! — wołam. — Nigdy się nie kłócili! Dobrze się rozumieli, dopóki nie odszedł!

— A czy nie sądzisz — przerywa mi — że gdyby byli ze sobą szczęśliwi, to on by nie odszedł? Nie porzuca się męża czy żony, ot, tak sobie, bez powodu — o ile się na tym znam. Gdyby istniał zakaz spierania się i nakaz bycia szczęśliwym — to byłby prawdziwy powód do rozstania. Cholera! — woła. — Chciałem tylko powiedzieć, że na pewno miał poważne powody do odejścia, które nie miały nic wspólnego z jego uczuciem do ciebie... i Tony'ego.

— Nie robi się czegoś takiego swoim dzieciom — odparowuję, opierając się nogami o krzesło, żeby nie zacząć wirować w eterze jak balon, z którego nagle uchodzi powietrze.

— Och, Nat! — szepcze Andy. — Nigdy mu tego nie powiedziałaś?

— A jak sądzisz? — pytam przez zaciśnięte zęby. — Przepraszam.

Wstaję od stołu i czuję, jak wszystko zaczyna wirować dookoła. Mimo to idę do łazienki. Mam ochotę porządnie wrzasnąć: (nic na temat toalet w Tate Modern) ZABIERZCIE MNIE STĄD!, a jednak tego nie robię. Najpierw myję ręce — mama byłaby dumna ze swojej córki — potem zamykam się w kabinie, pochylam się nad miską klozetową i wkładam palce do gardła. Głęboko, bardzo głęboko. Gwałtowna reakcja organizmu — ohyda! Potem jeszcze raz, i jeszcze, i znowu, znowu, znowu. Kiedy odczuwam już pustkę w żołądku, uspokajam się. Nie czuję się oczyszczona — jestem bardziej zanieczyszczona niż kiedykolwiek i mam wrażenie, że kalorie przywarły mi do środka — ale czuję, że odpokutowałam za swoje. Szoruję dłonie, spryskuję wodą twarz, płuczę usta i wracam do Andy'ego. Po drodze serce mi wali, łyżycy ściskają gardło, a ręce drżą nieznacznie. Obrzydliwa i zapaskudzona w środku, ale uładzona i prezentująca się dobrze na zewnątrz. Przecież — nie mówię tego przez brak szacunku dla Andy'ego — to jest najważniejsze.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Staram się przybrać miły wyraz twarzy, ale coś się zmieniło. Nie potrafię tego zatuszować. Mój zawsze trzymany w zanadrzu uśmiech jest jak malutki kawałek papieru, który ma służyć do zapakowania czegoś o porządnym gabarytach.

— Dobrze się czujesz? — pyta na samym wstępie Andy. — Czy powiedziałem coś nie tak?

— Nie — odpowiadam. — Wcale nie. Wszystko w porządku. Jestem tylko trochę zmęczona, nic więcej.

— Aha — odpowiada z niepewnym uśmiechem. — W porządku. Chcesz już iść? Mogę podrzucić cię do domu.

— Nie trzeba, naprawdę — staram się go przekonać. — Nie rób sobie kłopotów. Wezmę taksówkę.

Wzrusza lekko ramionami i nie ponawia swojej propozycji.

Siedzę w taksówce i w głowie mam gmatwaninę myśli. Im lepiej poznaję siebie, tym gorzej się czuję. Cała ta papka o samoświadomości, którą karmią nas czasopisma kobiece! Nigdy bym się nie spodziewała takiego braku odpowiedzialności ze strony tych ludzi. To tak jakby przepisywać wódkę cierpiącym na bezsenność. Albo alkoholikom. Jaką korzyść może mi dać świadomość, że nienawidzę ludzi, których kocham?

Przetykam ślinę i krzywię się. Gardło pali mnie jak otwarta rana. No tak, to moja kolejna kompromitacja. Mam ochotę wyparować. Skąd to mi przyszło do głowy? Mam wrażenie, że opóźniam ewolucję. Żałuję, ale nie jest mi przykro. Nastąpiło krótkie uniesienie, chwila wytchnienia. Moment pustki, zanim wyrzuty sumienia i uczucie wstępu ponownie mnie dopadły. Ale nie mam zamiaru znowu wymiotować. Nie jestem chora na bulimię! Tacy ludzie nie mają silnej woli! Należę do metodycznych, maniakałnych zabójców, którzy śmieją się szyderczo z dezorganizowanych bliźnich. I już prawie zaakceptowałam pracę na miejscu zbrodni! Przynajmniej w delikatesach ktoś będzie miał na mnie oko. To chyba mniejsze ryzyko niż sam na sam z lodówką w domu.

Płacę kierowcy, wbiegam do mieszkania, rygluję drzwi, zwalam się na łóżko i uderzam w kimono.

Cudowny dzień. Odrzucam kołdrę i postanawiam, że dzisiejszy poranek z dodatkiem bladego słońca i rześkiego powietrza zwiastuje narodziny nowego, lepszego ja. Koniec z dziwactwami! Od tej chwili podążam uczciwą drogą. Odważam brązową porcję płatków do miski, dodaję odrobinę mleka i wsypuję łyżeczkę Lavazzy do ekspresu (prezent na przeprowadzkę od Andy'ego, bo nie cierpiał mojego ekspresu i rurowatej kawy). O wilku mowa. On jest jak pies, który rozrył grządkę z różami, żeby wykopać czaszkę.

Przez nos wciągam powietrze i koncentruję się, by włożyć do ust łyżkę słodkich, wilgotnych płatków bez zakrztuszenia się. Nagle pojawia mi się przed oczami taki obraz: Babs, ja i Simon pędzimy przez Brick Lane po wieczorze spędzonym w towarzystwie Frannie w jakimś klubie, a moja przyjaciółka krzyczy: „Strasznie chce mi się jeść!”, i skomli, by wpaść do jakiej nocnej piekarni. Simon rzuca się na kanapkę z mięsem, po drodze Babs odgryza z niej olbrzymi kawał i oświadcza: „Fo fachnie mi smaruje!”. Ja sama, oczywiście, niczego nie tknęłam, ale przypomina mi się teraz niesamowity zapach mięsa i z jakim prawdziwym smakiem Babs pałaszowała chleb.

Pogardzam, a jednocześnie zazdroszczę ludziom, którzy lubią jeść, ale dzisiaj tylko im zazdroszczę. Już niedługo mam zamiar dołączyć do tego grona. W najbliższy weekend spróbuję spojrzeć na jedzenie jak na swego sprzymierzeńca.

Mimo tych wspaniałych postanowień przypominają mi się najokropniejsze momenty wczorajszego wieczoru. Nie mam nic przeciwko okropnościom, pod warunkiem że patrzy się na nie z daleka w wygodnej pozycji. Wypadki samochodowe, wybuchy bombowe, morderstwa dzieci — straszne, tragiczne wydarzenia, to prawda. Niemniej jednak przykuwają naszą uwagę, dotyczą bowiem cudzej śmierci. Jak kiedyś oświadczyła moja mama: „Kiedy człowiek słyszy o katastrofie lotniczej, myśli sobie: »No to po wszystkim«”. Takie zdarzenia bowiem niezbyt często chodzą parami. Niestety, właśnie teraz nie mam tego luksusu. Ujmując to metaforycznie, urwało mi obie nogi.

A jednak! Andy mi to uświadomił. Facet, który (mimo że tak wiele podróżował) nie zna znaczenia słowa „granica”. Ta cecha właśnie łączy go z Tonym. Nie mogę jednak być zbyt okrutna. On tak bardzo chciał mi pomóc. Tak pragnie uszczęśliwić wszystkich na siłę. I kiedy wiem — po długiej i nadzwyczaj pouczającej rozmowie z Kimberli Ann na mój rachunek — że próbujemy wypędzać demony z innych, by uspokoić własne, to oczywiste, że Andy wpadł w wir pomocy innym. W tym, co powiedział, tkwiło ziarno prawdy. Przynajmniej, co pocieszające, ani razu nie nazwał mnie „Alan”.

Uśmiecham się, z jednej strony dlatego, że skończyłam żmudną przeprawę o nazwie śniadanie, a z drugiej, że widzę reakcję dwunastoletniej Babs, jak nazywają ją Alan. Okropne imię, nawet dla faceta. Andy musi być odważniejszy, niż mi się wydawało — o ile sobie przypominam, nawet wtedy miała niesamowity prawy sierpowy. Uśmiecham się jeszcze szerzej, a potem poważnieję. Pod pewnymi względami Andy nie zna swojej siostry tak dobrze jak ja, inaczej nie powtórzyłby tak lekkomyślnie tchórzliwej teorii Simona. „To nie ma żadnego związku” jest najohydniejszym wytłumaczeniem, jakie kiedykolwiek słyszałam.

Babs zasługuje, by usłyszeć całą prawdę. Dzisiaj do niej zadzwonię. Choć nie teraz, jest dwadzieścia pięć po dziesiątej, pewnie kupują jakieś meble albo planują, jakie imię dadzą swoim dzieciom, albo jeszcze coś innego, typowego dla świeżo poślubionych małżonków. Odklejam kartkę z notatnika i piszę na niej dużymi literami: ZADZWONIĆ DO BABS, WSZYSTKO JEJ POWIEDZIEĆ, i przyklejam ją na ścianie obok telefonu. No to zrobione. Przez trzydzieści sekund ogrzewam się we wspa-

niałym blasku własnej doskonałości. Kiedy jednak przypomina mi się, że przecież pojechali razem do Pragi, ów blask ciemnieje. Trzeba poczekać. Dobra! Zadzwoń do Jackie i powiem, że przyjmuję u niej pracę. Po szóstym dzwonku dochodzę do wniosku, że pani Edwards musi być w sklepie. Już mam ochotę odłożyć słuchawkę, kiedy słyszę czyjś zasapany głos:

— Halo?

— O, kurczę! To ty, Andy! Cześć, mówi Natalie! Wybacz, pewnie cię obudziłam, prawda? Hm, przepraszam za wczoraj.

— Czemu?

— A zresztą, nieważne. Później jeszcze raz zadzwonię. Chciałam porozmawiać z twoją mamą, przyjąć jej propozycję i spytać, kiedy mam zacząć, ale pewnie jest w sklepie.

— Powiem jej, aaaach! — mówi, wzbudzając we mnie strach, ale uświadamiam sobie, że to było ziewnięcie. — Aaaaach!, wybacz, zobaczę się z nią dzisiaj. I jutro. Nareszcie się obudziłem — ap-sik! — wybacz, mam chrypkę.

Zazwyczaj nie podoba mi się, kiedy muszę znosić reakcje cudzego organizmu. Frannie kiedyś miała okres i przez cały czas gadała jak najęta — a okres to, a okres tamto: jestem zmęczona, odczuwam silne bóle głowy, nieznośne skurcze, okropne nudności. Jest jedyną znaną mi kobietą, która przechodzi okres co tydzień i — podobnie jak moją mamę, można mnie uznać za mizoginistkę — najświeższe informacje na temat kobiecych dolegliwości Frannie powodują u mnie nudności.

Choć chrypkę mogę jeszcze znieść, dopóki nie pojawi się zwrot: „mokry kaszel”. Poza tym kiedy Andy mówi: „Mam chrypkę”, czuję, jak ogarnia mnie współczucie i w duchu mówię: „Ojej!”. „Mieć chrypkę” to takie delikatne wyrażenie, takie grzeczne, takie dziecinne, że osoba, która je wypowiada, musi być wrażliwą jednostką. Nie potrafię sobie na przykład wyobrazić, jak taki twardziel jak Vinnie Jones ogłasza, że ma chrypkę. Po prostu by splunął.

— Andy, jeśli nie możesz wrócić do rodzinnego domu — oznajmiam nieoczekiwanie — zawsze możesz przyjść do mnie.

Zapada przeraźliwa cisza. Zmuszam się i dziękuję za to Bogu. Mogłam powiedzieć coś w stylu: „Twój pokój czeka na ciebie”.

— Na pewno? Mówisz poważnie?

Ponieważ zdanie: „Nie proponowałabym ci tego, gdybym nie chciała” w moim przypadku byłoby oczywistym kłamstwem, dlatego odpowiadam krótko:

— Tak.

— A może być jutro rano?

— Oj — mamrocze — twoja sytuacja chyba nie jest najlepsza.

— No wiesz — mówi zadowolony. — Więcej dowiesz się w poniedziałek o dziewiątej rano.

Mama jest w gotowości.

— To chcą, żebym zaczęła tak szybko? — wykrzykuję z przerażeniem. — Nie mam nic przeciwko, ale mój były szef, Matt, obiecał dać mi jakąś dodatkową robotę.

— Aha, to ten facet, który wpadł do ciebie w zeszły poniedziałek, kiedy dyskutowaliśmy o pilates i savanandzie. — „Ale masz, kurczę, pamięć” — myślę sobie, a on ciągnie: — Wiesz co, nic nie szkodzi. Rób to, co zaplanowałaś, a jak będziesz gotowa, zawiadomisz moich rodziców dzień przed.

— Wystarczy jeden dzień? Nie będzie to im przeszkadzało?

— A dlaczego miałoby przeszkadzać? — pyta zdziwiony. — No to do jutra. Wracam do Primrose Hill, dzielnicy maleńkich sklepików i gejowskich pubów. Dzięki. Jeszcze mam twoje klucze. To nie czekaj na mnie, jeśli masz coś do załatwienia. Na razie. Cześć.

Odkładam słuchawkę i zakrywam usta obiema rękami. Andy znowu będzie tu mieszkał. Jak do tego doszło?

Z rekordową prędkością wykręcam numer do Matta i pytam, czy kiedyś ćwiczył jogę sivananda. Matt odpowiada:

— Spadaj! Wolę strzelić sobie piwko i rozwalić się na tapczanie!

Sobota wydaje się nie mieć końca. Jeśli człowiek nie lubi sobie pojeść, to co jeszcze ma do roboty? Przypomina mi się to, co powiedziała Alex podczas zajęć: „Wyobraź sobie, że twój kręgosłup to sznur pereł”. Choć zabrzmiało to nadzwyczaj banalnie, ten obraz mnie poruszył (nigdy nie potrafiłam określić tej części układu kostnego inaczej niż niezbyt oryginalnie, choć pragmatycznie „mój kręgosłup”). Mimo że doceniam i szanuję doniosłą rolę, jaką spełnia on w organizmie, to jednak nigdy nie wyobrażałam go sobie jako łańcucha drogocennych kamieni. Podnoszę się gwałtownie i zaczynam szperać w torbie w poszukiwaniu rozkładu zajęć na siłowni.

Trzy i pół godziny później leżę i trzęsę się jak galareta na niebieskiej karimacie, zdumiona, jak ćwiczenie, które zdaniem Alex ma w dziewięćdziesięciu procentach polegać na leżeniu, może być takie wyczerpujące. Przejście do pozycji siedzącej stanowi straszliwy wysiłek! Nie, żebym narzekała, ale to bardzo mnie dziwi.

Mogę przejść piętnaście kilometrów na bieżni, a jeszcze nie mam dosyć, natomiast ćwiczenia pilates — które podobno mają być tylko trochę bardziej wyczerpujące od leżenia na sofie i jedzenia chipsów — wykańczają mnie. Po chwili jednak odczuwam spokój. Warto było.

— Śpiąca Królowo! Czy dasz się gdzieś zaprosić? — pyta Alex, pochylając się nade mną i pokazując w uśmiechu białe zęby kontrastujące z jej ciemną karnacją.

— Jeśli masz czas — odpowiadam słabym głosem. Alex przewraca oczami.

— Pewnie, że mam — oświadcza. — No to do zobaczenia w barze za pięć minut

Rumienię się, kiedy wyjaśniam swoją misję, Alex ma bowiem peszący zwyczaj skupiania pełnej uwagi na swoim rozmówcy. Nie należy do osób, które strzelają oczami na prawo i lewo, jakby szukały

jakiegoś bardziej interesującego obiektu. Poza tym nie przerywa słowami „tak, pewnie, racja”, jakby chciała przynaglić człowieka, bo sama ma ochotę zabrać głos. Ona patrzy prosto w oczy, słucha i czeka, kiedy człowiek opowie wszystko do końca. Niespotykane!

— No, chciałabym wiedzieć coś więcej, zanim w chwili szaleństwa wydam swoje oszczędności na ten kurs (zdradziłam jej tę tajemnicę z pewną nieśmiałością, kiedyś zdradziłam bowiem Babs, że mam odłożone pieniądze, a ona wydarła się: „Masz oszczędności?!” takim tonem, jakbym trzymała dziecko w komórcie na łańcuchu).

Jednak Alex kiwa potakująco głową.

— Masz rację — dodaje. — Trzeba wiedzieć, czego się chce, zanim się to coś dostanie. Kiedyś pracowałam jako adwokat. Pilates wówczas stanowiło moje hobby. — A potem zaczyna bombardować mnie nieprzyjemnymi informacjami. To nie tylko wylegiwanie się na karimatach. Skrócony kurs pilates trwa dwa lata. Składa się z kilku tysięcy ćwiczeń. Zajęcia z anatomii, fizjologii, urazów sportowych, z rehabilitacji. Zajęło się tym wielu byłych tancerzy. Zajęcia nie sprawiają im trudności, zajmowali się bowiem tańcem i wiedzą, jak zareaguje organizm, potrafią rzucić okiem na innych i ocenić ich kondycję. Alex musiała dłużej ćwiczyć i mnie pewnie czeka to samo.

Jeśli to nie stanowiło wystarczającego straszaka, to mamy jeszcze jeden „plus” — czeka człowieka tysiąc osiemset godzin ćwiczeń, zanim może przystąpić do egzaminu. Ale mnie to nie odstraszyło, nawet wówczas kiedy oświadczyła:

— Chodzi o to, by twój organizm działał efektywniej. Te ćwiczenia nie mają prowadzić do osiągnięcia zgrabnej sylwetki. Są dostosowane do indywidualnej jednostki. Szuka się najlepszej metody dla każdego uczestnika: każdy ma kończyć zajęcia z poczuciem akceptacji własnej osoby. — Kiwam głową zadowolona i wyobrażam sobie, że sunę jak delfin, a wtedy ona dodaje: — Chodzi bardziej o to, jak czujesz się w środku, a nie o zewnętrzny wizerunek.

W tym momencie przestaję kiwać głową i zastanawiam się, czy rzeczywiście znalazłam to, czego szukałam. Zaczynamy rozmawiać o sprawach osobistych i Alex opowiada mi o swojej rodzinie. Jej mama pochodzi z Indii, ojciec jest Anglikiem, poza tym ma trzy siostry.

— Chciałabym mieć siostry — stwierdzam z westchnieniem, ale w duchu czuję się nieswojo. Co się dzieje z moimi przyjaciółmi: Babs, Alex, Andym? Mam takie niewyraźne przeczucie, jakby chcieli coś na mnie wymusić — próbują mnie zmienić, wygłaszają wykłady na temat wewnętrznej siły. Coś mi tu nie pasuje. Jadę do domu z nachmurzoną miną. Pilates sprawia, że czuję się naprężona na zewnątrz i spokojna w środku. Ale ja nie mam ochoty zajmować się zgłębianiem zakamarków swojej duszy. Ale chyba nie o to jej chodziło. Pilates to nie rodzaj psychoanalizy — po prostu leży się na podłodze razem z grupą starszuchów i udaje start samolotu, żeby lepiej rozciągnąć dolne partie kręgosłupa.

Już w drzwiach rzuca mi się w oczy żółta kartka z napisem: ZADZWONIĆ DO BABS I PRYZNAĆ SIĘ DO WSZYSTKIEGO.

— Nie mogę — mówię chłodnym tonem do kartki — jest nieuchwytna. — Po czym gniotę ją w dłoni. „W końcu znalazłaś coś, co lubisz” — słyszę nagle stwierdzenie w swojej głowie i zamieram. To prawda! Kiedy coś jest doskonale, wówczas próbuję to zepsuć. Gdy zaczęłam pracować w teatrze londyńskim, poszliśmy z Mattem do pubu i ja, zamiast cieszyć się z jego przyjaźni, przez cały czas walczyłam z myślą: „Przecież to mój szef! Co będzie, jeśli wyleję na niego drinka?”. Uświadamiam sobie, że mam ogromną ochotę zniechęcić się do czegoś, co bardzo chcę robić — z czystego strachu. Mam w torebce telefon na zajęcia pilates. W poniedziałek tam zadzwonię. Krzątam się po pokoju, wyprostowuję obrazy na ścianie, aż dochodzę do wniosku, że nie lubię, kiedy przypomina mi się, jak brzydka czuję się w środku, choć tak naprawdę Alex wytrąciła mnie z równowagi. Ona jest taka poukładana, utalentowana, akceptuje siebie. I mimo tych wszystkich samolotów, delfinów i pereł, nie potrafię sobie wyobrazić, że kiedyś będę taka jak ona. I żeby potwierdzić ten pogląd, wpycham w siebie czekoladę, a potem nią wymiotuję.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Jakiś czas temu uderzyło mnie, że człowiek żyje sobie spokojnie przez wiele miesięcy i nikt go nie obrazi, a potem porozmawia z krewnym i w pierwszej minucie spotyka go afront. Mając to na uwadze, nie przejawiam zbytniej ochoty słuchania mojej mamy dziesięć po dziesiątej w niedzielę rano. Jak pętla wisi nade mną wspomnienie wczorajszego dnia, a mój bolący kręgosłup ma więcej wspólnego z zardzewiałym łańcuchem rowerowym niż ze sznurem pereł. Czuję się taka krucha, że jeśli mama powie coś nieprzyjemnego, mogę się roztrzaskać na kawałki. W tej chwili jest słodka jak ocet. Próbuje okazać jakieś ludzkie uczucia, ale i one mają toksyczne zabarwienie.

— Jak się czujesz, mamo?

— Oszukana! — ripostuje natychmiast. Przelykam ślinę i idę po omacku, usiłując omijać jej słowne miny.

— Dla... dlaczego?

— Z powodu pyszności, oto dlatego! — wypaliła.

Czekam, ale ona również. Uświadamiam sobie, że niechcący i, zostałam wciągnięta w teatralną sztukę i moja kwestia — jako podającego — brzmi:

— Pyszności? Co to ma znaczyć?

— To znaczy — zawodzi piskliwym głosem matka — pyszności, jak w reklamie Pełnoziarnistego Chleba dla Odchudzających się — wszystkie zalety brązowego, słodowego, pszennego chleba, ale o znikomej ilości kalorii! To paskudztwo reklamują na prawie każdej stronie magazynu „Lite We-

ight", aż w końcu poczułam się zmuszona kupić bochenek. Morąg z Klubu Grubasa powiedziała, że ręczy za niego. Mogłam się domyślić, że blefuje! Śmiechu warte! Nie dziwi mnie, że jedna kromka to tylko czterdzieści pięć kalorii — przecież każda z nich jest tak cienka, że może unieść się w powietrzu! Musiałabym zjeść ich przynajmniej osiem, żeby cokolwiek poczuć! Jak śmiać tak mówić: „Smakowite pyszności"! To oburzające wmawiać takie bzdury dorosłym kobietom. Uważają nas za idiotki! Powinam była wiedzieć. „Bardzo mniej kalorii" — rzeczywiście! Jak to brzmi? Nawet dziecko ma większe pojęcie o poprawnym języku! Mam zamiar napisać, co o nich sędzę! Mają nawet swoją stronę internetową. Strona poświęcona jednemu bochenkowi dietetycznego chleba! Mają szczęście, że nie mam komputera, tylko tyle powiem!

Chichoczę. Kiedy moja mama zrzuca z siebie swoją skorupę kosmity i nawiązuje kontakt z rasą ludzką, staje się całkiem sympatyczna. Ma zupełnie inne poglądy ode mnie — proste paznokcie, terenowy samochód, puste konto w banku, narożnik w pokoju — i dlatego bardzo rzadko wypowiada myśl, z którą mogę się zgodzić. Bardzo pragnę powiedzieć jej, że ma rację.

— To świństwo — dobywam w końcu z siebie głos. — A... a jak tam z dietą?

Stosuje ją bowiem z górą dwadzieścia sześć lat bez żadnego skutku, dlatego to pytanie z mojej strony jest czystą formalnością. Ale ciekawi mnie to. Fascynuje. Odwieczna, zażarta walka mamy z wagą, na którą w dużej części wpłynęły porażki związane z odchudzaniem się — jednego tygodnia udaje jej się zgubić kilogram, a w następnym nie przybiera półtora, taka sytuacja stanowi constans w jej życiu. Chociaż drażni mnie jej brak silnej woli, jednak nie wiem, czy wytrzymałabym z nią, gdyby była chuda. Moim zdaniem obowiązkiem każdej matki jest być trochę przy kości (na wypadek gdyby nie mogły pochwalić się obfitym, matczynym biustem, to przynajmniej tyle). Natomiast nie można nas ze sobą porównywać. Dwoista natura mojej matki pozwala jej z dumą opowiadać o swoich zmaganiach z jedzeniem, a jednocześnie załamywać ręce nad moją walką.

To jest myśl. Gładko skierowuję rozmowę na mój niechybny atak na działalność cateringową.

— Jackie oferuje ci nową pracę? — wykrzykuje z taką wdzięcznością, że czuję się jak klientka opieki społecznej. — Co za wspaniały, miłosierny gest! Doceniła twoją kartkę z podziękowaniami, którą jej wysłałaś po ślubie Barbary. Ważne, by pamiętać o innych, widzisz? Muszę do niej zadzwonić i podziękować. Wiedziała, że się tym gryzę.

Czuję się jak bóbr, który próbuje zbudować tamę na Atlantyku. Jakby człowiek nie zaczął, zawsze kończy się biadoleniem. Już mam ochotę wspomnieć o zajęciach pilates, ale w końcu wycofuję się. Gdyby dowiedziała się, że zamierzam wyrzucić swoje oszczędności w takie błoto — wolałaby działalność, która łączyłaby w sobie refleksologię, homoseksualizm, kubizm, nowoczesną kuchnię i metodę Montessori. Lubi, kiedy trzymam się „czegoś konkretnego".

Sześć lat temu moja babcia zapisała mi niewielką sumkę w testamencie, a mama prawie zemdlą, kiedy Jackie spytała mnie, na co chcę je wydać.

— Ja to lubię mieć się czym pochwalić — wykrzyknęła pani Edwards, kiedy struchlałam ze strachu. — Mogę wówczas powiedzieć: „To właśnie jest moje!”.

Kiedy pani Edwards wyszła, moja mama zauważyła: — Ty masz się czym pochwalić. Twoim kontem w banku! — Ju hu! Uciecha na papierze!

— Miałaś jakieś wiadomości od Tary i Kelly? — pytam. — Zastanawiałaś się nad tym, aby je odwiedzić?

— Jackie uważa, że powinnam to zrobić — odpowiada, jakby potrzebowała pozwolenia. — Muszę to jeszcze przemyśleć.

— Zgadzam się z nią — stwierdzam i przypominam sobie przykrą rozmowę w galerii. Postanawiam poszukać rekompensaty. — Dobrze by ci taka podróż zrobiła. Potrzebujesz wakacji.

Wzdycha głęboko.

— Zastanowię się — odpowiada, co, jeśli mnie pamięć z dzieciństwa nie myli, oznacza: nie.

— Sądziłam, że chciałybyś je zobaczyć.

— Moja droga, to, czego chcemy, a to, co życie niesie, to zupełnie dwie różne rzeczy.

Zagryzam wargę. Być może ma rację, choć często jest zupełnie inaczej. Przed laty, kiedy państwo Edwardsowie szukali jakiejś chwytliwej nazwy dla swojego sklepu, moja mama podsunęła im Deli Belly. Kiedy Andy i Tony turlali się po podłodze, nie mogąc złapać tchu ze śmiechu, Jackie spojrzała na obrażoną minę mojej matki i wykrzyknęła: „Deli Belly... Deli Cirelli! Wspaniały pomysł, *Brava*, Sheila!”. Chociaż propozycja matki była całkiem „ni przypiął, ni przyłatał” — Cirelli to pannieńskie nazwisko Jackie, stąd logiczny pomysł na nazwę Deli Cirelli — później matka opowiadała wszystkim, że to ona wymyśliła tę nazwę. Musi czuć się potrzebna, chyba dlatego, że nie jest.

To wspomnienie pozwala mi pożegnać się z nią. Przeciagam się, wykrzywiam i idę do łazienki. Szukam na głowie łysych placków — mimo witamin i objadania się moje włosy nadal wypadają — a wtedy rozlega się dzwonek.

Wstrzymałam oddech. Wyglądam jak strach na wróble! Powinnam była wstać wcześniej, aby ukryć niedoskonałości twarzy i głowy. Ale zmuszanie się do wymiotowania jest — że tak powiem — holistycznie wycieńczające. Niech nikt nie próbuje robić tego w domu. Sprawdzam kąciki ust, czy nie ma w nich resztek śliny i w trzy kroki pokonuję korytarz jak sportowiec szykujący się do skoku. Mam na sobie szeroką spódnicę, kozaki i obcisłą bluzkę. Gdyby nie brakowało mi czasu, to przebrałabym się w swój codzienny „strój kryjący”, składający się z kilku luźnych warstw. (Matka kiedyś powiedziała, że wyglądam jak napoleonka). Mój nowy wygląd został wykreowany ad hoc. Wczoraj, gnając do domu, prawie spowodowałabym wypadek przez babę wlokącą się przez ulicę w minispódniczce i krótkiej bluzeczce. Wały tłuszczu wylewały jej się spod bluzki, grube nogi trzęsły się jak galareta. Na jej widok otworzyłam buzię ze zdumienia. Słonica w seksownych, czerwonych legginsach. Ujrzałam to zjawisko i zamarłam. Szeroki uśmiech i ani słowa przeprosin. Głowa wysoko uniesiona, nie wyzywająco, ale

dumnie. Jakby nie było problemu! To babsko ma czelność zaprezentować się w całej okazałości, natomiast ja — wydaję z siebie okrzyk rozpacz — chowam się w czymś, co kupiłam w sklepie towarowym i co wyglądem przypomina worek na zwłoki. Jak to wytłumaczyć?

Nie potrafiłam znaleźć na to odpowiedzi, która nie byłaby żałosna, dlatego mimo wczorajszej katastrofy w toalecie postanawiam stawić czoło — oto jestem, gotowa na śmierć — (może za chwilę umrę ze wstydu) i otwieram drzwi.

— Już jestem — oznajmia na przywitanie Andy.

Zauważam, że mierzy mnie wzrokiem. Zakładam ręce i patrzę na niego. Mam wysokie obcasy, dlatego dorównuję mu prawie wzrostem, co mnie mierzi, czuję się bowiem jak olbrzymka. Włosy ma koloru brudny blond, a oczy — dobry Boże! — jak u kameleona. Nie chodzi o to, że ma gadzie, pozabawione powiek oczy, tylko o to, że chyba zmieniają kolor zależnie od tego, co ma na sobie. W piątek włożył koszulę khaki i przysięgam, że były zielone. Dziś ma na sobie granatowy T-shirt i są niebiesko-zielone. Niektórzy to mają szczęście!

— Jakiś problem? — pyta.

— Och nie, nie! — wykrzykuję. — Proszę, wejdz.

Choć tak naprawdę to jest problem. Ten problem narodził się, kiedy nasze spotkanie na korytarzu zostało przerwane. Mimo wzajemnych nieuprzejmości, mimo szlafroka w kratę (dla którego nie ma żadnego usprawiedliwienia, choć raz Babs wybaczyła facetowi, który chodził w kapciach, oświadczając: „On nie jest z Londynu”). Mimo rozlicznych zbrodni, jakie ten facet popełnił do spółki z moim bratem, mimo skradzionego pocałunku, mimo siedmioletniego zamknięcia w swojej ciemnej sypialni, mimo jego traktowania jedzenia jako radosnego rytuału, mimo świadomości, że kiedy miał siedem lat, zamknął Babs w pokoju, gdzie wcześniej puścił baka, mimo ewidentnych dowodów przemawiających na jego niekorzyść, coraz bardziej lubię tego drania i sprawy mają się nie najlepiej.

A raczej dużo gorzej. Patrzy na mnie wzrokiem, który można by określić termin prawniczym „z pewnym zamiarem”. Nie powinnam. A co jeśli...

Analiza taka okazuje się zbędna, kiedy zauważam, że zwisam mu z szyi, wpijam się ustami w jego usta jak skorupiak do statku. On przyciska mnie mocno. Nie mogłabym się wyrwać, nawet gdybym chciała. Po chwili chwiejnym krokiem wchodzi do korytarza, zamykając drzwi kopnięciem, i ciągnie za sobą moje sto pięćdziesiąt pięć centymetrów. Wybuchnęłabym śmiechem, ale jesteśmy w takim szale i zapamiętaniu, że prawie nie mogę złapać tchu — szkoda mi tlenu na takie luksusy jak śmiech.

„O Boże — myślę sobie — co ty wyprawiasz, dziewczyno!”. To nie jest podrywacz, ale porządny facet i jeśli nic nie odstręczy cię od niego, to jesteś w poważnych tarapatach...

Jednak nie odstrasza. I jestem w tarapatach. Andy nie jest taki przyzwoity, jak wyobraża sobie moja matka, ani — odkrywam — ja również. To, co robimy potem, jest cudownie nieprzyzwoite, cze-

gość takiego mój jasnoniebieski korytarz do tej pory nie oglądał. (Chris mimo swych postępowych poglądów nie mógł znieść myśli, że można uprawiać seks gdzie indziej niż w sypialni. Natomiast Saul nie mógł znieść myśli, że można w ogóle uprawiać seks). Ojej! To się dzieje naprawdę. Czuję się jak zwierzę. Pragnę go i nie przejmuję się tym. Krew pulsuje mi w żyłach i robimy to, stękając jednocześnie — on z dżinsami spuszczoneymi do kolan, ja z majtkami ściągniętymi z jednej strony. Opieram się plecami o chłodną ścianę, to jest... to jest... nigdy przedtem... to do mnie niepodobne... a ja... on... my... — cudownie, och, jeszcze nie, o rany, och, och, oooch!

Robimy to raz jeszcze — tym razem wolniej — w salonie za przysłoniętym okiennicami. Andy przez cały czas wykrzykuje moje imię, a ja czuję się jak pękata zielona gąsienica, która zamienia się w motyla.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Leżymy spleceni ze sobą na dywanie, a Andy pyta:

— No to muszę ci płacić czynsz?

— No chyba że będziemy to robić przynajmniej raz w miesiącu — odpowiadam. Potem całujemy się i chichoczymy.

Chyba ostatni raz tak się zaśmiewałam, kiedy Frannie poparzyła sobie policzek, wyciągając parującą pitę z tosterka. Przez cały czas coś mi nie daje spokoju jak uprzykrzona mucha, ale próbuję to lekceważyć. Nie chcę, by jakieś płyny poplamyły mi dywan (nie zapominaj, Nat, pralnia chemiczna to wspaniały wynalazek). Andy, odstaw dalej tę chyboczącą na skraju stołu szklankę z wodą, bo przypadkiem może spaść (Nat, spróbuj nie zwracać na to uwagi, to będzie taki test dla ciebie).

Próbuję i udaje się. Trudno jest się przejmować, kiedy człowiek jest taki wypompowany. Gdyby nawet stado bawołów przetoczyło się teraz przez moje mieszkanie i potłukło szklany blat mojej ławy, tylko bym się uśmiechnęła. W tej chwili potrafię jedynie zdobyć się na uśmiech. Moje ciało delikatnie wibruje i jestem zdolna myśleć jedynie o mnie i Andym. Nat i Andy. My, my... tylko to pamiętam. Uprawialiśmy seks. Uczucia z tym związane nie da się z niczym porównać. Wszystko schodzi na drugi plan. Andy przygniata mnie swoim ciałem, ma zamknięte oczy i ściska moją rękę.

— Miałem wątpliwości, czy ci się podobam — odzywa się nagle. — Nawet mi to do głowy nie przyszło. Jednak — na jego ustach pojawia się uśmiech — czekałem na sygnał od ciebie. Rany, to było jak czekanie na Godota.

— Nie byłeś zbyt komunikatywny — zarzucam mu. — Ja ze swojej strony też nie miałam takiej pewności.

Nie dodaję, że i w tej chwili nie mam takiej pewności. Co się dalej wydarzy? Co to ma być? Przystań w deszczowy dzień? Czuję się taka mała z Chrisem, kiedy on... no wiadomo. Może to ewo-

lucyjna sztuczka. Ale teraz było inaczej. Odczuwałam więcej wdzięczności, jakby znalazł moje kluczyki do samochodu. I mieszankę zdumienia oraz przerażenia. Czuję się, jakbym otrzymała promocję do następnej klasy, a na dodatek ogarnia mnie uczucie błogości, jakbym za chwilę miała upaść.

W tym momencie Andy szeptem mi do ucha:

— Weźmy razem kąpiel. — I sztywniej. Wspólna kąpiel to diabelski wynalazek, wymyślony przez mizoginistę.

— Chętnie — mamrocze żałośnie, wykręcając się z jego uścisku, naciągam jego T-shirt, aby opóźnić chwilę prawdy. Wybiegam z przymglonego, bezpiecznego salonu, moja radość ulatnia się. Nie pociesza mnie nawet fakt, że Andy jest oswojony ze swoją nagością do granic bezczelności. Spaceruje sobie i beztrosko pogwizduje goluteńki po korytarzu, jakby był ubrany od stóp do głów! Serce mi drży, pożądanie miesza się ze strachem. Przypomina rzeźbę Rodina — no może trochę złagodzoną, mięczakowatą wersję — ale to nieważne. Dla mnie stanowi uosobienie ideału, mam ochotę go zjeść. Zdaję sobie sprawę, że mam rozchylone usta i natychmiast je zamykam na wypadek mojej łapczywości.

— Podobam ci się? — pyta z bezczelnym uśmiechem.

— Nie! Tak! Tak, pewnie że tak. Przyglądam ci się chłopcze, przystojniaku!

— Chłopcze? Chłopcze! Nie wierzę własnym uszom! Zrobiliśmy to — zraniłaś moje ego... — Robi załamana minę.

Rzucam mu się w ramiona, wdychając przyjemny zapach jego ciała. Nie mogę się opanować i walczę z impulsem pociągania nosem jak pies gończy. Zamiast tego mówię:

— A dwa — szukam w głowie odpowiedniego określenia i nie znajduję — moje orgazmy to niewystarczające uznanie? Chcesz czegoś więcej, prawda? (Rumienię się. Nigdy wcześniej nie powiedziałam tego na głos — tylko raz, kiedy na lekcji biologii o amebach przejęczyłam się i zamiast „organizm”, powiedziałam „orgazm”).

— No, Nat, chcę czegoś więcej. — Czuję, jak moje ciało reaguje. — Zdejmij to z siebie — szeptem. — Chcę cię widzieć w całej okazałości. — Zaczyna zrywać ze mnie T-shirt, kiedy się całujemy.

— Poczekaj chwilę — mówię, wrywając mu się. — Najpierw zgaszę światło, razi mnie w oczy.

Andy odwraca moją głowę, dlatego jestem zmuszona spojrzeć mu w oczy.

— Proszę cię, Nat — mówi szeptem. — Pozwól mi na ciebie patrzeć.

Moje pożądanie spada do zera. Podnoszę obojętnie ręce jak pięcioletnie dziecko, a on delikatnie ściąga ze mnie bluzkę. Wzdrygam się, kiedy zauważam smutek w jego oczach. Choć raz nie wie, co powiedzieć. Rękami przesuwa po moich ramionach i chwytą mnie za dłonie. Czarowny, upojny nastrój pryska jak bańka i rozbija się na tysiące kropelek.

Odsuwam się od niego i zakrywam się.

— Jem teraz więcej — tłumaczę na swoje usprawiedliwienie. — Miałam z tym problemy, ale teraz jem już więcej, naprawdę — dodaję, kucając i szukam po omacku swojej bluzki. Andy odsunął ją poza mój zasięg.

— To poważniejsza sprawa, Nat — stwierdza ostrożnie.

Spoglądam w lustro i widzę siebie — obok niego. Nie wyglądam dobrze. Czuję się nieswojo. Nie potrafię wymyślić żadnej sensownej riposty.

— Mam ci przygotować kąpiel? — pyta nieoczekiwanie. — Zostawię ci trochę prywatności.

— Dzięki, sama to zrobię — odpowiadam płaczliwym tonem. Waha się przez chwilę. Potem wykrzykuje:

— Nie musisz wszystkiego dusić w sobie. Jeśli masz ochotę, możesz sobie popłakać.

Z trudem powstrzymuję się, by nie wybuchnąć śmiechem.

— Nie traktuj mnie protekcjonalnie — odpowiadam ze złością. — Ja tak właśnie płaczę! — Przesuwam paznokciami po wychudzonej klatce piersiowej. — Właśnie tak!

Łapie mnie za rękę — na skórze pozostają czerwone, bolesne plamy — a on wykrzykuje groźnie:

— Nigdy więcej tego nie rób! Nigdy! Jezu, Natalie!

To przerażające, kiedy widzi się faceta doprowadzonego do takiego zdenerwowania, który na dodatek nie zauważa komicznego efektu swego histerycznego zachowania. To również przerażające, kiedy człowiek uzmysławia sobie, jakie posiada głęboko ukryte pokłady wściekłości, a jedynym sposobem na jej ujawnienie jest podrapanie się jak kot.

— O Boże! — mówię przerażonym szeptem. — Co ja zrobiłam? — A potem zaczynam płakać.

Andy smaruje mi rany środkiem dezynfekującym. Przez cały czas płaczę.

— Sądziłam, że dobrze jest być chudym! Sądziłam, że to dobrze! I... i ja sama wpędziłam się w chorobę — mówię przez łzy. Nie jest to najpiękniejsza kwestia w historii romansu.

— Musisz z tym skończyć — stwierdza zdecydowanym tonem Andy. — To nie jest ci potrzebne do szczęścia. — Sprawia wrażenie przerażonego swoją ignorancją.

— Jakbym sama o tym nie wiedziała! — odpowiadam niewyraźnie przez łzy. — Zrobię sobie teraz kąpiel, jeśli nie masz nic przeciwko.

Kiedy się umyłam i uczesałam, poczułam się nieco lepiej. Wchodzę po cichu do kuchni. Andy znalazł sobie jakieś ubranie. Siedzi przy stole, czyta gazetę, jedząc kanapkę. Podnosi głowę, uśmiecha się ostrożnie.

— Jak się teraz czujesz? — pyta, wycierając usta i odkładając kanapkę.

Uśmiecham się niewyraźnie.

— Nieźle — odpowiadam — jak na szurniętą. — Milknę na chwilę, po czym oświadczam: — Możesz jeść w mojej obecności. Nie bój się, nie zemdleję. Nawet sama jestem trochę głodna.

— Nic dziwnego — wykrzykuje z radością — po tych wszystkich ćwiczeniach! — Śmiejemy się razem hałaśliwie. Zachowujemy się nie jak dwoje ludzi, których przed chwilą łączył seks, ale jak para maniaków z nerwicą kompulsywną na punkcie zarazków, którzy zmuszeni są tolerować swoją bliskość w metrze w godzinie szczytu.

— Zjesz, jeśli przygotuję ci kanapkę? — pyta, wycierając rękę o dzinsy.

— Ufff! No, dobrze — zgadzam się ze strachem. Andy unosi brwi ze zdziwienia. — Ale zależy, z czym — dodaję pospiesznie. Brwi Andy'ego zaczynają opadać. — Bez masła, z cieniutkim plasterkiem sera, z pomidorem i koniecznie brązowy chleb.

Siedzę sobie, a Andy robi mi zamówioną kanapkę. Stwierdzam w duchu, że to duży postęp z mojej strony. Przecież pierwszym krokiem do leczenia arachnofobów jest pokazanie im zdjęcia z miłusim małym pajęczkiem; dopiero jakiś czas potem przyjdzie czas na pieszczoty z wielką, włochatą tarantulą. Może Andy powinien narysować mi kajzerkę.

— Nat, przecież wiesz, że uważam cię za bardzo atrakcyjną dziewczynę — nie odzywam się, choć czuję, że za chwilę padnie to „ale” — ale zaufanie jest lepsze od strachu. — No i proszę! Mam to odczytać jako: „Coś z tobą nie w porządku”. — Chcę tylko powiedzieć, że to jest seksowne mówić otwarcie o tym, czego się chce. Nie mogę wydobywać tego z ciebie siłą.

Nie daję się nabrać na miłe słówka typu: „To seksowne, jeśli ty...”.

— Czy moja próżność jest taka oczywista? Jak sobie przypominam, dwa dni temu wałkowaliśmy ten temat mniej więcej czterdzieści milionów razy.

Andy podsuwa mi kanapkę, rozkłada ją, by pokazać, że nie ma w środku masła. Potem siada, podpierając się łokciami i obserwuje, jak podnoszę ją do ust. Odgryzam małeńki kawałeczek, bardzo długo żuję, aż wreszcie przełykam.

— Andy! — wzdycham głęboko. — Możesz nie gapić się na mnie, kiedy jem? Nigdy nie przyglądaj się takim jak ja podczas jedzenia! Z twoim wzrokiem wbitym we mnie czuję się jeszcze gorzej!

— Przepraszam — odpowiada i odwraca głowę. Zakłopotany pociera nos. — Mam nadzieję, że nie pojedziesz do Rygi?

Odkładam kanapkę, zakrywam twarz rękami i zaczynam się śmiać.

— Nie znam tam nikogo, więc po co miałabym tam jechać?

— Co takiego?

— Zazwyczaj — rechoczę — nie ucinam sobie pogawędek na ten temat. — Nasza rozmowa różni się trochę od typowego zachowania „po”. Andy odgryza kawałek kanapki.

— Dlaczego... dlaczego, twoim zdaniem, to robisz? Albo nic nie jesz, albo jeśli już, to wszystko potem zwymiotujesz?

Długo zastanawiam się na odpowiedzią. Chcę mu to dobrze wyjaśnić.

— W ten sposób próbuję zapomnieć o swoich problemach. Czasami — dodaję — nienawidzę siebie. Czuję się gruba i brzydka.

W jego pytaniach wyczuwam prawdziwą troskę; zadaje je bez żadnego skrępowania — to ułatwia nam rozmowę. Za każdym razem, kiedy odpowiadam uczciwie, ogarnia mnie ulga. Czuję, że mnie nie potępia. To poczucie wolności, którego nigdy nie zaznałam, nawet w towarzystwie Pirka (ma to swoje psie, potępiające wejrzenie).

— Brzydka? — pyta zdziwiony, dławiąc się kanapką. — Gdybyś wiedziała, jak ja cię widzę, nie mówiłabyś tak. Naprawdę. — Nie potrafię wydusić z siebie słowa. Po chwili dodaje cicho: — Jesteś taka ładna. Chociaż ta bladość i wychudzenie nie dodają ci urody — stwierdza, rumieniąc się. — Lepiej wyglądasz, kiedy jesteś okrąglejsza, dlatego cieszę się, że jesz więcej. — Na koniec oświadcza: — Chyba wiem, dlaczego masz kompleks niższości — twoja mama zawsze faworyzowała Tony'ego. Ale nie sądzę, byś czuła do siebie nienawiść.

Teraz moja kolej, by się zadławić. Słowo daję, powinien prowadzić kącik porad w gazecie.

— Naprawdę? — pytam lodowatym tonem. — Dziękuję ci bardzo, ale byłabym wdzięczna, gdybyś mnie pozostawił ocenę w kwestii nienawiści! A jak do tego doszedłeś?

— No wiesz — zaczyna, zbliżając się do oka cyklonu jak George Clooney w *Gniewie oceanu* — wszyscy wiedzą, co się później stało. Pamiętasz, co powstrzymało cię przed kolejnym krokiem? Od tego, co zrobiła Lena Zavaroni? Prawdopodobnie zachowałaś resztki instynktu samozachowawczego. — Zagryzam wargi. Wystarczy! — Wiem, że ci się nie podoba to, co mówię — gada dalej — ale mam to gdzieś. Zgadzam się z tobą. Jedzenie pozwala ci zapomnieć o problemach. To wiąże się z odczuwanymi urazami. Wielu ludzi cię wkurza, ale zamiast im to powiedzieć, ty zaczynasz strajk głodowy.

— Sprawa nie jest taka prosta! — protestuję zdecydowanie.

— Wiem o tym. Sądzisz, że masz do czynienia z idiotą! Być może nie jesteś w sobie szaleńczo zakochana, ale nie wciskaj mi, że nienawidzisz siebie, jeśli tak bardzo — tu gestem wskazuje na mnie — wściekasz się na ludzi, którzy cię obrażają!

Już mam ostentacyjnie wepchnąć sobie do ust ostatni kawałek chleba, ale w tym momencie uświadamiam sobie, co robię i upuszczam go na talerz. Jedzenie, żeby zapomnieć o problemach. Babs mówiła mi to samo i też to zanegowałam. Czuję w żołądku mieszaninę chleba i sera i słysząc to, co on mówi, mam wielką ochotę pobiec do łazienki i pozbyć się wszystkiego. Jedzenie pomaga mi zapomnieć o problemach. Na litość boską, ale dlaczego? Nie daje mi spokoju to, co dwie osoby powiedziały mi na ten temat: „Jedzenie pomaga mi zapomnieć o problemach”. Od tej chwili, obiecuję sobie, wszystko się zmieni.

— No... no to, co powinnam zrobić? — Jestem porażona. Jedzenie pomaga mi zapomnieć o problemach, całkowita katastrofa! Pod tym kryje się złość. Tylko się zwarzyła.

Andy podnosi ręce.

— Co ja mogę wiedzieć? Przekazałem ci tylko swoją opinię na ten temat.

Zapalam papierosa, choć drżą mi ręce tak bardzo, że to trwa minutę. Wiem, co jego zdaniem powinnam zrobić. Chociaż to nie ma nic wspólnego z nim i z tym, co powiedział, i tak wiem, co powinnam zrobić. Na domiar złego mój problem ma związek z kandyzowanymi wiśniami (dziesięć kalorii).

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Tony zawsze lubił metodę, jak on to nazywa, kłótni z marginesu społecznego (to oznacza szczerą wymianę poglądów, która polega na wtargnięciu na jezdnię i zwróceniu się do bliźniego tonem puchacza). Ja osobiście, zwyczajem klasy średniej, preferuję metodę domyślnej zgody — kiedy zażarta dysputa toczy się szeptem, a po chwili strony opuszczają pokój. Dlatego gdy mam jeszcze coś do obgadania z bratem, mamą i nawet z ojcem, chętnie poszukałabym sobie mniej wyzywającego zadania — jak, na przykład, skok z samolotu bez spadochronu.

Problem w tym, że Tony posiada czarny pas w zastraszaniu. Wdanie się w dyskusję z moim ojcem można porównać ze sprawieniem lania szczeniakuwi za pogryzienie butów. A krytyka postępowania mojej mamy zraniłaby ją doszczętnie, na zawsze przecinając nić łączącej nas więzi, a tego chyba bym nie zniosła. Ona najmniejszą uwagę bierze sobie bardzo do serca. Kiedyś powiedziała mi i Babs, że mężczyznę powinno się upolować, zanim skończy trzydziestkę, potem bowiem „nie zmieniają swoich przyzwyczajień”.

Wówczas moja przyjaciółka odparła pogodnie: „Proszę pani, wszyscy faceci, jakich znam, nie zmieniają swoich przyzwyczajień od ukończenia szóstego roku życia”.

Moja mama zamilkła i wiedziałam, że poczuła się urażona (choć może to zdanie brzmiało trochę inaczej).

Już słyszę, jak mówię: „Och, mammo, czy po dwudziestu sześciu latach twojego matkowania mogę coś powiedzieć?”, i od razu robi mi się niedobrze. Jeśli tylko podkreślę jej winę, od razu załamuje się. Od razu poznaję to po jej minie. Przypominam sobie incydent z purée spływającym po ścianie i wzdrygam się. Nigdy! Nigdy więcej!

— Jesteś w transie? — pyta grzecznie Andy i wracam do rzeczywistości.

Andy wstaje od stołu i wrzuca talerz do zlewu. Spoglądam na to podejrzliwie, ale nie odzywam się. Przypominam sobie, że następnego dnia po tym, jak przygotowywał zupę pomidorową, byłam zmuszona dosłownie polać węzem całą kuchnię. Andy zauważa mój wędrujący wzrok, a potem spogląda na mnie znacząco. Podobnym spojrzeniem, jakim Babs często mnie obdarzała, gdy mieszkaliśmy razem. Tak jak wtedy gdy krzyknęłam, stojąc na korytarzu: „Czy to ty byłaś przed chwilą w ła-

zience?". Wkroczyła wówczas ciężkim krokiem do salonu i spojrzała na mnie tym swoim wzrokiem i powiedziała: „No. A czemu?”.

Chcąc ją uspokoić, odparłam: „To dobrze, bo usłyszałam wodę i pomyślałam, że to może u sąsiadów. Nie cierpię, kiedy jestem u siebie i słyszę, że ktoś u sąsiadów splukuje wodę”. Moja przyjaciółka ponownie spojrzała na mnie tym swoim wzrokiem i zaszczebotała: „Witamy w domu wariatów!”.

Andy wprawdzie nie zakończył tak naszej rozmowy, ale ma to samo wypisane na czole. Puszczając zimną wodę, nie żałując płynu do mycia naczyń i pobieżnie myje talerz. Potem odstawia go do ociekacza.

— Dobrze? — pyta, pokazując zęby w uśmiechu. — Wiesz co — stwierdza nieoczekiwanie — jeśli sobie z tym nie poradzisz, nie uda ci się wyjść z choroby. — Kiwam głową potwierdzająco, próbując jednocześnie dać mu do zrozumienia, aby się zamknął. Nic z tego. Potem dodaje jeszcze: — Wyraziłem tylko swoje zdanie, mając na uwadze to, co się stało z Sashą.

Na chwilę przestaję kiwać głową, a potem znowu zaczynam. Z jakichś masochistycznych pobudek kusi mnie, by usłyszeć tę historię.

— A co takiego? — pytam bezgłośnie, poruszając tylko ustami w obawie, że dźwięk przeszkodzi mi w myśleniu.

— Przestałem się z nią kontaktować. Nie miałem ochoty wysłuchiwać jej wyjaśnień. Nie chciałem o tym rozmawiać. Nie widziałem żadnego sensu dyskusowania na ten temat. Doszedłem do wniosku, że jeśli będę postępował tak, jakby nie istniała, to rzeczywiście przestanie dla mnie istnieć. I poskutkowało — przynajmniej na jakiś czas. Ale potem — spogląda na mnie i powieka mu nie drgnie — przestało działać. Ostatnio dużo o niej myślę. Dzwonię do jej ojca, proszę o jej numer, żeby się skontaktować. Jedyne, co mnie powstrzymuje, to myśl, że pewnie wyszła za tego faceta i ma z nim piątkę dzieciaków. Nie potrafię tego zrobić. Ale muszę się przyznać, że nie wychodzi mi z głowy. Cholera! Przepraszam, że cię tym obarczam, szczególnie po tym, co między nami...

Dlaczego tak się dzieje, że facetom dopiero wtedy zaczyna zależeć, kiedy dziewczyny przeznaczają ich na odstrzał?

— Nie wygłupiaj się — przerywam mu i prezentuję, mam nadzieję, lekko rozbawioną minę. — A dlaczego miałabym mieć coś przeciwko temu? Przecież nasz związek — staram się nasycić to słowo całkowitą ironią, na jaką mnie stać, i po raz pierwszy raz w życiu cytuję Saula — nie był na serio. Ograniczył się jedynie do seksu w czystej postaci. Muszę przyznać — było przyjemnie, ale to już zamknięty rozdział — tu następuje krótka przerwa — poza tym nadal musisz płacić mi za mieszkanie.

Andy coraz szerzej otwiera oczy, zamyka buzię i uśmiecha się. Rozumiem jego reakcję i widzę, że podobnie jak ja zaczyna się pospiesznie wycofywać. Kłania się, miętosi w rękach kapelusz i ma wielką ochotę podkulić pod siebie ogon i dać nogę, ale powstrzymują go od tego resztki opanowania.

Może nadal kocha się w tej niedosiętej Sashie. Ale nie tylko o to chodzi. Wyczuwam w nim strach. Nigdy nie zapomnę, jak Matt pozbył się sprytnego rywala takimi słowami: „Brak pewności siebie, nic się na to nie poradzi”.

Faceci, czy to homo czy hetero, pod tym względem niczym nie różnią się od siebie. Nie obchodzi ich, żeby podbudować tę drugą stronę, a jeśli już, to pewnie coś z nimi nie tak.

Rozsiadam się wygodnie na krześle, a język mojego ciała mówi: „wszystko mi jedno”. Jednak czuję, jak gotuję się w środku i pytam: „Po co, u diabła, to zrobił? Po co nawet robić sobie kłopoty z pozbyciem się jego rzeczy? A rano mi mówił, że czekał na jakiś znak z mojej strony! No dobra, wyrwij mi serce i upiecz je na rożnie, no proszę!”. Zauważam u siebie symptomy usychania z tęsknoty, ale ku wielkiemu zaskoczeniu rodzi się też we mnie determinacja i dusi je. Jeśli mnie nie chce, to ja również mam go w nosie! Tym razem moje zachowanie odbiega zupełnie od typowej reakcji na odrzucenie. Zdumiewa mnie to.

— No to wezmę prysznic — oznajmia i ze zwieszoną głową wychodzi z kuchni.

Marszczę czoło ze zdziwieniem. Dlaczego się tym nie przejmuję? Jeszcze jeden papieros — spraw, żebym miała raka, ty cholerny, płonący patyku! — nastraja do rozmyślań. Przelatują mi przez głowę wszystkie wydarzenia dnia i dochodzę do wniosku, że Andy nie zwrócił uwagi na moją chorobę, dopóki nie uprawialiśmy seksu. Żal mi go! I to nie jest empatia. Ponownie się zaciągam i jestem w świetnym nastroju. Nie przejmuję się, gdybyśmy się bowiem zaczęli spotykać, to na okrągło zanu-dzałby mnie mądrościami Dalekiego Wschodu, dopóki nie zgodziłabym się naprawić relacji ze swoją rodziną. Cudem udało mi się ująć cało, super! W tym momencie doszedł mnie szum wody z łazienki. Mimo woli drgnęłam, ale ból szybko minął.

W takich chwilach ratuje mnie bieżnia albo — jak ostatnio — pudło z biszkoptami. Jednak dziś zdecydowanie postanawiam zrezygnować z moich „pomocników”. Nie obawiam się ruszyć z miejsca, moja determinacja może się bowiem ulotnić, zostawiając mnie na łasce moich demonów. One jeszcze nie odeszły. Ten chorobliwy, despotyczny impuls odmawiania sobie jedzenia albo napchania się, by potem wszystko zwymiotować, nadal mnie nie opuszcza. Kojarzy mi się z wirusem komputerowym, który infekuje dysk i niszczy oprogramowanie. Jednak tym razem jego siła jest słabsza. Czuję, że potrafię go zwalczyć. Mam już dość tańczenia pod czyjeś dyktando. Wykańcza mnie, sprawia, że nie jestem zdolna do niczego. Chcę się go pozbyć. Dokonuję zdumiewającego odkrycia, że jedno stwierdzenie z mojej rozmowy z Andym nie brzmi już dla mnie prawdziwie: „nienawidzę siebie”. Nieoczekiwanie zaczynam czuć się jak znudzona aktorka, niezdolna, by włożyć całą duszę w graną rolę. Przepraszam, kochanie, ale to nie ja.

Zamykam się w swojej sypialni, by uniknąć spotkania z lokatorem i — po godzinie ni-by-czytania i niemyślenia o jedzeniu — dzwonię do ojca. Nie, żeby się z nim rozmówić, pewnie, że nie! Po prostu chcę usłyszeć jego głos. Po tym całym wyczerpującym dniu czuję potrzebę rozmowy.

Można to tylko porównać z nową, ładną fryzurą — człowiek ma ochotę wyjść i sprawdzić, jak inni ją oceniają. Jak na złość, nikt się nie odzywa. Zostawiam wiadomość i nadstawiam uszu, żeby podsłuchać, co robi Andy, którego kroki słyszę na korytarzu. Wstrzymuję oddech, ale teraz słyszę tylko ciszę. Jak on mógł? Moje serce nie ucierpiało, ale nie jego w tym zasługa. Może on tak samo myśli o mnie. O nie, przepraszam, przecież to on...

Dzyńńń dzyńńń!

Łapię za słuchawkę, zanim Andy zdąży ją schwycić i wplącze mnie w kłopotliwe qui pro quo.

— Halo?

— Dziecinko — słyszę wytworny ton ojca — to ty?

— Tata! — krzyczę do słuchawki. — Jak się masz?

— Nadzwyczaj dobrze, kochanie, nadzwyczaj dobrze. — A potem dodaje konspiracyjnym szeptem: — Chyba za dobrze.

— Och! — mówię, z przyjemnością słuchając jego tajemniczego głosu. — A to dlaczego?

— Obecnie Kay Ay jest wielką entuzjastką diety sojowej — odpowiada posepnie. — No, wiesz — sojowa, smaczna alternatywna kuchnia. Właśnie dostałem na śniadanie torcik sojowo-szpinakowy.

Ze współczuciem zagryzam wargi. Kiedy mieszkał z nami, mama podawała mu mrożonki ze śmietaną, a po nich jajecznicę i pieczoną fasolę z tostami.

— Przypuszczam, że było strasznie smaczne — mówię.

— Strasznie smaczne to właściwe określenie.

— A jak się ma Kimberli Ann?

— Kwitnąco, kochanie, kwitnąco! — wykrzykuje ojciec. — Widać, że soja bardziej jej służy niż mnie.

— A jak tam jej praca?

— Och! — wzdycha czule. — Kay Ay ma wspaniałe pomysły. Nawet teraz, kiedy my sobie rozmawiamy, ona wprowadza jakieś poprawki do swojego scenariusza.

— O kurczę. — Robię głęboki wdech. — Godne podziwu.

— Masz rację — potwierdza ojciec obojętnym głosem. — A co z twoją pracą, młoda damo?

Najpierw pokasłuję, a potem przekazuję mu najświeższe informacje. Jak zawsze, przyjmuje je ze spokojem.

— Pilates — oświadcza. — Znam to!

— Naprawdę? — pytam zdziwiona. — A czy Kimberli Ann — nie mam odwagi, by skracać jej imię do Kay Ay — fascynuje się tym?

— Nie, nie — odpowiada. — Okazuje większe zamiłowanie do jogi tantrycznej. — Słowo zamiłowanie wymawia z francuska i zmiękcza w ten sposób swój angielski wyższych sfer. — A skąd weźmiesz fundusze na to przedsięwzięcie? Jeśli chcesz, z chęcią ci pożyczę.

Mocno zaciskam powieki.

— Dzięki, tato — odpowiadam — to bardzo hojnie z twojej strony, ale poradzę sobie. Mam trochę oszczędności.

— Mam rozsądną córkę, moja szkoła! — wykrzykuje z dumą.

— A powiedz mi, kochanie, czy nadal jesteś na ścisłej diecie?

Czuję, jak serce mi się ściska. Nieważne, jak daleko mieszka, mój ojciec stara się trzymać rękę na pulsie.

— Już nie takiej ścisłej, tato — informuję go szeptem.

— To dobrze, dziecinko — odpowiada. — Bardzo się cieszę. Mama bardzo się o ciebie martwiła.

— A rozmawiałeś z nią ostatnio? — dopytuję się nieśmiało.

— Tak, pytałem o to.

— A czy... czy ci mówiła o tym, że chce zobaczyć się z Tarą i Kelly?

— Tak — odpowiada. — Sądząc z jej słów, bardzo jej na tym zależy.

Moje podejrzenia się sprawdziły.

— A ty nadal... no, nie aprobujesz tego?

— Jak mogę nie aprobować spotkania z własną wnuczką? — wykrzykuje.

— Och! Ale... hm... jak rozmawialiśmy ostatnim razem, to sądziłam, że...

— Coś ty! Jestem jak najbardziej za! Uważam, że spotkanie z rodziną to bardzo dobry pomysł!

Zagryzam usta (po raz drugi), aby nie wybuchnąć śmiechem, słysząc jego śmieszny akcent. Nie wspominając o bezwstydnym hipokryzji. Rodzina, akurat! Kiedy ostatnim razem rozmawialiśmy, miał ochotę pozwać je do sądu. Jedno pytanie nie daje mi spokoju.

— A czy ty... skontaktujesz się z nimi? Ojciec zaczyna kaszleć.

— Nie wiem, czy w tych okolicznościach byłoby to rozropne — mamrocze. Z tonu jego głosu wnioskuję, że dalsze pytania w tej kwestii nie będą mile widziane. Następuje chwila ciszy i czuję, jak serce mi wali. Ponagliam siebie w duchu: „No, Natalie, no, powiedz coś!”. Ale to jak skok do zimnego, ciemnego, pełnego rekinów basenu.

Walcząc ze swoją słabością, pytam, jękając się:

— A jak tam mama, kiedy z nią rozmawiałeś?

— Była w świetnym nastroju. Przecież ci mówiłem — odpowiada.

Nie jestem pewna, czy w jego głosie nie pobrzmiwa zdenerwowanie. Zbieram się na odwagę i wyrzucam z siebie:

— Tęskni za tobą — oznajmiam płaczliwym tonem i od razu czuję, jak trzęsie mi się podbródek.

— Trudno mi w to uwierzyć — oświadcza zdecydowanie — po tak długim czasie!

— Mnie też — stwierdzam zgodnie z prawdą.

Słyszę w słuchawce jakiś słaby trzask, a potem następuje cisza, jakby chciał coś powiedzieć, ale w końcu zmienił zdanie. Wstrzymuję oddech. Jeśli odpowie, to znaczy, że dokładnie wie, co mam na myśli i tylko udaje, że mnie nie zrozumiał.

— Żartowałem — odpowiada poważnym tonem. — Wybacz. Od kiedy zamieszkałem w Los Angeles, zmieniło mi się poczucie humoru.

Poddaję się. Mam więcej szans, że dodzwonię się na bezpośrednią linię do Russella Crowe'a i dogadam się z nim. Przeżywam ogromny zawód. Obawiam się, że nie będę w stanie otworzyć ponownie ust. Czekam bez słów, kiedy ojciec skróci moje cierpienia i zakończy rozmowę, ale on stwierdza węzłowato:

— Natalie, trzynaście lat temu i jeszcze raz, dwudziestego piątego grudnia zeszłego roku, prosiłem twoją matkę, by dała mi drugą szansę, ale za każdym razem odmawiała.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Podobnie jak to się dzieje w telewizyjnych programach na żywo, mam wbudowany w mózgu aparat przekazujący transmisję z pewnym opóźnieniem. Ta sześćdziesięciosekundowa przerwa powoduje, że kiedy ojciec ujawnia, że dwa razy błagał mamę, by pozwoliła mu wrócić, a ona dwa razy powiedziała mu, aby się odczepił, otumaniona ciszą w eterze zdobywam się jedynie na logiczne spostrzeżenie:

— Ach tak. — Po odwieszeniu słuchawki trzeba było czasu, żeby neurony zaskoczyły i zaczęłam powtarzać rozbawiona: — Nie pojmuję tego. Nie pojmuję tego, nie pojmuję. Malibu, Hendon, Hendon, Malibu. Nie. Naprawdę nie pojmuję.

Choć mam ochotę usiąść (odnoszę wrażenie, jakbym straciła władzę w nogach), jednak czuję moralny przymus, aby stać. Dlaczego nie chciała, żeby wrócił? Dlaczego on chciał wrócić? A jednak chciał. Mogłam mieć ojca na miejscu, ale ona go powstrzymała. Mój tata chce wrócić! Ponownie opadam na łóżko. Mama musi się zgodzić, zanim on zmieni zdanie. Czy ona oszalała? Nie mieści mi się w głowie, jak mógłby zostawić złoty samochód, biały dom, zielone palmy i żółtą plażę. Dlaczego z własnej woli rezygnuje ze statusu Angoła, praktyki lekarskiej w Beverly Hills, spotkań z VIP-ami, przyjęć hollywoodzkich, osobistego trenera i Kimberli Ann o nieskazitelnych kształtach?

Dla Hendon! Tej szarzyzny! Tego posępnego, nijakiego przedmieścia Londynu, zabudowanego podobnymi do siebie domkami zamieszkanymi przez brodatych ortodontów, byle jakiej dzielnicy, choć pełnej zieleni, gdzie można zażyć odpoczynku w zaniedbanych, małych parkach, pełnych walających się butelek i plastikowych torebek, którego charakterystyczną cechą są budynki przeznaczone do wyburzenia. Czy on oszalał? Każda wizyta w wypożyczalni wideo stanie się dojmującym przypomnie-

niem tego, co poświęcił! Nie tylko ładną buzię — Kay Ay ma wspaniałe pomysły. Już ją widzę, jak mknie autostradą wzdłuż Pacyfiku w swoim szerokim potężnym lincolnie, opatrzonym tablicą rejestracyjną: USTĄP KSIĘŻNICZCE. A co by sądziła Księżniczka na temat ustąpienia miejsca mojej matce? Mojej krępej matce, zawsze w nieodłącznym fartuchu — to wszystko, co pozostało po jej statusie gospodyni domowej (pusty dom, rozwódka). Moja mama, która nie ma kontaktów w świecie kina czy telewizji i na dodatek jeździ metrem. Moja matka, która choć posiada aktualne informacje na temat sławnych osób: „Powiedziałam Susan, co Melanie Griffith zrobiła ze swoimi ustami”, to jednak nie przyszyłoby jej do głowy, żeby odmłodzić własny zmęczony biust czy przebić sobie język. Ani status mojej mamy, ani jej przeszłość nie skłoniłyby Księżniczki, by ją szanowała. Nozdrza mi się wybrzuszyły i, ku własnemu zdumieniu, uświadamiam sobie, że Księżniczka nie jest tą jedyną do grobowej deski.

Kręcę się przez chwilę, potem wsiadam do samochodu i jadę do Hendon.

Mama jak zawsze cieszy się z moich odwiedzin. Każe mi usiąść w kuchni, zagląda do lodówki i jak prowadzący w bingo wykrzykuje:

— Czekolada! Jogurt! Sałatka ziemniaczana! Kurczak! Przez zaciśnięte zęby mamrocę:

— Już jadłam. — Patrzę na jej zaniedbaną fryzurę (chyba ostatni raz była u fryzjera w zeszłym stuleciu) i budzi się we mnie złość.

— Mam w zamrażarce warzywne lasagne domowej roboty — dodaje zachęcająco. — Jeśli masz ochotę, wrzucę je do kuchenki i szybciotko będzie gotowe.

Ignoruję jej propozycję. W głowie kiełkuje mi obraz z przeszłości: moja mama sama wydaje przyjęcie w domu, nakłada ogromne porcje swoim szczupłym, dbającym o linie zaproszonym znajomym paniom, próbując nakłonić je, by zrezygnowały z diety, uprzejmie namawiając do dokładki: „Jeszcze pani nic nie zjadła”, zakładając że kobieta na diecie nie przyznałaby się do tego.

Nic, tylko wpaść w złość. Wcale się mną nie przejmuje, zależy jej tylko na tym, bym była grubsza niż ona. Chce, żebym zgrzeszyła, a wtedy ona będzie mogła poczuć się lepiej. Wiem od Tony'ego, że mężczyźni nie zachowują się tak wobec siebie. O ile się orientuję — znowu od Tony'ego — oni szybciej by powiedzieli: „Spójrz, jak ty wyglądasz, grubasie!”. Mają własne sposoby na okazanie swojej hipokryzji, jednak w tym momencie zazdroszczę im ich brutalnej szczerości. Jestem tak bardzo przyzwyczajona do dogadzania innym, zwijając się jak w ukropie, by nikogo nie urazić, nawet wówczas, gdyby moje przeżycie zależało od powiedzenia szczerzej prawdy, wówczas słowa przyklejają się jak toffi do mego dystyngowanego podniebienia. Nie wiem, od czego zacząć, ale okrzyk bojowy:

— Tarta z kremem! — rozwiązuje mi język.

— Powiedziałam: nie! Mama robi szybki obrót.

— Przepraszam, co powiedziałaś? — pyta takim tonem, jakby naprawdę nie dosłyszała.

Pocę się ze strachu, ale zaciskam palce u nóg i oświadczam stanowczym tonem:

— Powiedziałaś, że nie. Nie chce mi się jeść. — I dodaję jeszcze nierozważnie: — Dlaczego ty mnie nie słuchasz?

Mama mruży oczy.

— Co cię tak nagle zdenerwowało? — pyta. Sarkastyczna nuta w jej głosie działa na mnie jak woda na rozgrzaną frytkownicę.

— Nigdy mnie nie słuchasz! — wydzieram się. — Nigdy mnie nie słuchałaś!

— O czym ty mówisz?! — pyta zdumiona.

— Nie masz pojęcia, co dla mnie jest ważne, nigdy nie miałaś! Zależy ci tylko na tym, czego ty chcesz, nie przejmujesz się mną, mam tego już dość!

— Ja, ja... — Robi wrażenie, jakby ją ktoś spoliczkował. — Oczywiście, że jest dla mnie ważne, czego chcesz, kochanie. Nie bądź niemądra!

— Nie jestem niemądra! — wrzeszczę. — Co w tym złego, że tak wszystko przeżywam? Co w tym złego?! Mam już dość tego wiecznego milczenia! Nigdy mi nie pozwalałaś na wyrażanie własnego zdania! Mam już serdecznie dość tego cholernego siedzenia cicho! — Słowo „cicho” krzyczę tak głośno, że gardło zaczyna mnie boleć. Nie zważając na to, ciągnę: — Nie pozwalasz mi być sobą! Krytykujesz wszystko, co robię! Tylko Tony się liczy! Najchętniej to nadal pakowałabyś mu żarcie łyżeczką do gęby!

— Nie ma potrzeby tak się wyrażać — oświadczam.

— O rany! — wydzieram się. — Ty nadal mnie nie słuchasz!

Powieki zaczynają jej drżeć i zakrywa dłońmi uszy. Zalewa mnie krew, a wściekłość wywołuje we mnie uczucie mrowienia. Poczułam, jak podnosi mi się poziom adrenaliny. Postanawiam kontynuować. Jestem przygotowana, by znowu ryknąć: „Posłuchaj mnie”, ale tym razem mama mnie ubiegła.

— Zraniłaś mnie, skoro sądzisz, że mnie nie obchodzisz. Ściągam usta.

— Nie, mam — syczę. — To ty posłuchaj, ty mnie wcale nie słuchasz. To nie ty zostałaś zraniona, ale ja — przez ciebie. Dlaczego nie możesz tego pojąć?

Zapada głęboka cisza, w czasie której matka zamyka drzwi lodówki, podchodzi do stołu i siada naprzeciwko mnie. Nigdy mnie nie uderzyła, dlatego nie pojmuję, dlaczego się wzdrygam.

— Natalie — odzywa się wreszcie. — Proszę, uwierz mi, kiedy ci mówię, że nigdy nie chciałam cię zranić. To ostatnia rzecz, jakiej bym chciała.

— Ale to zrobiłaś — odpowiadam. — A co gorsza, kazałaś mi to ukrywać!

Teraz z kolei mama się wzdryga.

— Żaden rodzic nie pragnie, by jego dziecko cierpiało.

— Może i prawda, ale nie wolno ci niczego lekceważyć i czekać, kiedy problem sam zniknie!

Mama wykrzywia usta w grymasie.

— Kiedy odszedł tata, nie chciałam, abyś cierpiała z tego powodu. No nie wiem. Być może... za bardzo się bałam, że będziesz cierpiała. Kiedy odszedł od nas, próbowałam was chronić — ciebie i Tony'ego. A szczególnie jego — wiedziałam bowiem, że on jest słabszy.

— Słabszy? — pytam niedowierzająco.

— Ty jesteś twardą dziewczyną. Gapię się na nią zdumiona.

— Jak możesz tak mówić? Potrząsa głową.

— Nie mam już sił się z tobą sprzeczać, Natalie. I inni także. Chcę, byś była szczęśliwa. Nie wiem już, co powinnam zrobić.

Ku memu przerażeniu zaczyna płakać.

— Mamo — mówię, nie mając śmiałości jej dotknąć. — Mamo, uspokój się! Posłuchaj, wszystko będzie dobrze, obiecuję. Jestem, no... staram się być szczęśliwa. My, my nie musimy się już więcej sprzeczać.

Ostentacyjnie wyciera łzy skrawkiem fartucha i w tym momencie czuję się, jakbym została nabrana. To ja jestem osobą, która została pozbawiona pełnej rodziny.

— A dlaczego nie chciałaś, by tata wrócił? — warknęłam. Mama odsuwa skraj fartucha. Odpowiada spokojnie:

— W twoich oczach to on jest tym poszkodowanym. Między mną a twoim ojcem wszystko się skończyło. Zdrada jest zdradą. Podjęłam słuszną decyzję.

Zaciskam pięści.

— Pewnie! — wykrzykuję. — Dla siebie! A pomyślałaś o mnie?

— Myślałam o tobie! — krzyczy matka. — Jaki to byłby przykład, gdybym przyjęła go z powrotem? Zadzwoił po tym, jak skończył romans ze swoją sekretarką! Jak mogłam się na to zgodzić? W jakiej atmosferze wzrastałyby moje dzieci?

— Pewnie w lepszej niż w rzeczywistości — odpowiadam z goryczą.

— Już wcześniej byliśmy ze sobą ze względu na was. Nic z tego nie wyszło. Jego romans to efekt naszego nieudanego życia, a nie przyczyna. Uwierz mi, choć nie jesteś zadowolona ze swego dzieciństwa, to z twoim ojcem w domu byłoby ono jeszcze bardziej nieszczęśliwe. Ja — wykrzywia usta, jakby chciała wymówić jakieś długie słowo w obcym języku — nie potrafię dogadywać się z dziewczynami i nigdy nie potrafiłam. Do głowy by mi nie przyszło, że kiedyś wezmę rozwód. Dla mnie to też było ciężkie przeżycie. Jednak powinnaś o tym wiedzieć — bardzo cię kocham.

Kiedy słyszę te słowa, mam ochotę zapaść się pod ziemię. Ale jeśli ktoś spodziewa się, że szlochając, powiem: „Ja też cię kocham, mamo”, i padnę jej w ramiona, to przeżyje grube rozczarowanie. Siedzę nieruchomo, gapię się na swoje kolana i przez cały czas mrugam oczami.

— No dobra — burknęłam tylko.

— Natalie — mówi mama. — Uczono mnie, że do czyjegoś serca można trafić przez żołądek. — Przez krótką chwilę spoglądamy na siebie, po czym dodaje szeptem: — A teraz widzę, że to nie zawsze się sprawdza.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Jest za dziesięć dwunasta. Jadę do domu, ale nie włączyłam radia. (W tej chwili niczego nie nauczę się od Britney). Nie mam tak wspaniałego samopoczucia, jak przypuszczałam. Cieszę się, że wygarnęłam matce prawdę. A dokładniej mówiąc, wykrzyczałam ją. I choć przyniosło mi to ulgę — jak odpoczynek po uciążliwej walce — niestety, niechętnie przyznaję, że uczciwość stanowi formę egoizmu. Przypuszczalnie postąpiłam słusznie i czuję się oczyszczona i nieskalana jak biały ręcznik po gorącym praniu. Jednak, choć próbuję to zbyć wzruszeniem ramion, czuję się trochę jak świnia.

Sęk w tym, że człowiek akceptuje przypuszczenia dotyczące innych tak długo, że wreszcie stają się prawdą. Potem dowiadujemy się o nich czegoś nieprawdopodobnego czy nieoczekiwanego, co wyjaśnia — jeśli nie tłumaczy — ich zachowania. Przez cały ten czas winiłam swoją matkę, a teraz odkrywam, że pod pewnymi względami wiedziała, co robi. Dlatego mój triumf nie jest pełny. Przypomina mi się, jak w wieku sześciu lat ścigałam się z ojcem i przegoniłam go. Przez minutę byłam z siebie dumna jak paw, aż do momentu, kiedy Tony powiedział, że tata celowo biegł z prędkością podstarzałego żółwia.

„Jednak ta kłótnia miała swoje plusy” — mówię sobie w duchu, wjeżdżając na ulicę prowadzącą do domu. Pyskówka między nami stanowiła jasny, promienny początek jasnej, promiennej przyszłości, w której będzie więcej współczucia, lepsze zrozumienie i mniej ciężkostrawnych posiłków. Prawdopodobnie wrzaski nie są dojrzałym sposobem na rozwiązywanie problemów, ale z drugiej strony, znam niewielu dorosłych, którzy załatwiają to inaczej niż krzykiem. A jak skutecznie można sprostać problemom? Za pośrednictwem prawników? Na miği? A może przez spokojną, konstrukcyjną, racjonalną rozmowę? Mam za sobą swoją pierwszą kłótnię z marginesu społecznego. Tony strasznie by się ucieszył. I Babs pewnie też.

„No to Babs — mówię w duchu, podchodząc do drzwi — miej się na baczości”, i otwieram je szeroko, a w progu stoi moja przyjaciółka.

— Barbarella! — krzyczę, pieję z zachwytu na jej widok. Na jej twarzy zauważam cierpienie. Chyba nie nazywałam jej tym przezwiskiem, od czasu kiedy poznała Simona. Mam dość czasu, żeby zauważyć jej poważną minę i domyślam się, że pewnie w Pradze jest chłodno o tej porze roku, sądząc po jej minie. Dochodzę do wniosku, że coś musiało się tam stać, skoro skłoniło ją to do wizyty o dwunastej w nocy. Co ją tu przywiodło? Andy? Jego wołanie o pomoc? Jego bezcelowe życie bez Sashy? Sprawa się wyjaśnia, kiedy otwiera buzię i mówi:

— Ty suko. — I wali mnie z całej siły w twarz.

Chwytam powietrze i łapię się za policzek, który strasznie pali — nie mam pojęcia, czy ze wstydu, czy bólu — ale próbuję wyjąkać:

— Czekaj. Zaraz ci wszystko wytłumaczę... Moja przyjaciółka patrzy na mnie z odrazą.

— Ciesz się, że tylko na tym się skończyło — odpowiada.

Ponieważ miałam okazję widzieć, jak znokautowała faceta, który w barze klepnął ją po tyłku (został potraktowany sierpowym w szczękę), przyznaję jej rację. Ukradkiem sprawdzam językiem, czy żaden ząb się nie rusza i wyczuwam w ustach metaliczny smak krwi. Ni stąd, ni zowąd łapię mnie za nadgarstek swoim stalowym uściskiem i wciąga do korytarza. Z nadzieją zaglądam do salonu, ale nigdzie nie widać Andy'ego. Może kilka godzin temu byłabym zadowolona z takiego obrotu sprawy, ale w tym momencie proszę Boga, żeby się pojawił, jak rolnik prosi Boga o deszcz. Boję się ją spytać, gdzie jest.

— Śpi teraz — odzywa się Babs.

— Porozmawiaj z nim — błagam. — On ci powie prawdę, on...

— No tak, przecież to do ciebie podobne — stwierdza drwiącym tonem. — Zawsze zrucasz odpowiedzialność na innych. Ale tym razem ci się to nie uda. — Ciska mną na krzesło w kuchni. — No to powiedz mi teraz, kiedy dokładnie postanowiłaś zarzucić sidła na mojego męża? Czy może w chwili, gdy zobaczyłaś mnie, jak sunę przez kościół w długiej, białej sukni i nie mogłaś — wiem, że wymagam od ciebie zbyt wiele — po prostu cieszyć się razem ze mną i nie sięgać po mojego małżonka? A może — jej głos przybiera histeryczny ton — kiedy w swoim irracjonalnym przypuszczeniu, że łączy nas przyjaźń, postanowiłam powierzyć ci najbardziej bolesny problem, jaki kiedykolwiek mnie dotknął. Choć to była sprawa natury osobistej, choć była to najtrudniejsza sprawa, z jaką przyszło mi się zmierzyć, choć było mi okropnie wstyd. Wstyd, ty nie znasz tego pojęcia. On rozdzierał mi serce i nadal to robi. Czuję się jak papier rozdarty na miliony kawałeczków. Jeszcze ci powiem, wszystko ci powiem i, o tak, mówisz, co ci teraz wypada, nigdy nie potrafisz mówić wprost, zawsze owijasz w ba-weinę. No powiedz, czy to wtedy spojrziałaś na niego i pomyślałaś: „O, niczego sobie facet. Najwyższy czas, żeby sobie kogoś znaleźć?”, nigdy nie potrafiłaś bowiem tego pojąć, jak taki facet jak Simon wybrał taką kolubrynę jak ja — nie kłam, Natalie! Wiem, co myślisz — nikt inny tak o mnie nie myśli. Musisz przyznać, że jestem sprawniejsza od ciebie — ale i tak wiem, co o mnie sądzisz. Nie cierpisz, że mogę pochwalić się słusznymi rozmiarami, że mam krzepę, że nie udaję słabej kobietki, a na dodatek, że ten facet nadal jest ze mną. Nie mogłaś tego znieść. Musiałaś sobie udowodnić — swojemu zakompleksionemu, pustemu ego — że możesz odbić mi męża. Ta podbudowa twojego chorego, egoistycznego ego znaczyła dla ciebie więcej niż szesnaście lat naszej przyjaźni i niż moje życie. — Mimo swego piorunującego przemówienia Babs wypowiedziała je szeptem. To tak, jakby z całkowitym spo-

kojem wylać na człowieka wiadro nieczystości. Patrzę na nią, obawiając się, że nastąpi kolejny wybuch. — No i? — syczy jadowicie. — Mam rację czy nie?

Rozpaczliwie pragnę jej zaprzeczyć. Zgadza się, chciałam tego co ona — ale nie Simona, na liłość boską! Pragnęłam tylko bezwarunkowej miłości drugiego człowieka, którego bym kochała. A jednak jeszcze bardziej, Babs, pragnęłam osiąść twoją umiejętność kochania siebie w stu procentach!

Szukam w sobie odwagi. Jestem taką idiotką, ale pewnie gdzieś tam musiały zostać jakieś okruchy.

Po chwili oświadczam:

— To prawda, że ja... że czułam się... hm... opuszczona, że czułam się porzucona, kiedy wyszłaś za mąż. I jest także prawdą, że przy tobie — szukam właściwego słowa — przy kimś o potężniejszej posturze czuję się pewniej.

Robię pauzę, w razie gdyby miała ochotę, by przechylić się przez stół i ponownie mnie sprać. Nie robi tego jednak. Chłodno kiwa głową. Krzywię się — nie cierpię tego. Wrogość ze strony Babs jest czterdzieści tysięcy razy gorsza niż ze strony kogoś innego. Zacytuję księżną Dianę — co nieczęsto mi się zdarza — ona jest moją opoką. A jeśli kogoś walnie jego opoka, to wówczas ból jest dotkliwy.

— To prawda, już ci mówiłam. Zazdrościłam ci, że byłaś... jesteś tak bardzo zakochana, że znalazłaś właściwego faceta. Ale reszta się nie zgadza — stwierdzam. — Simon jest... jest... hm... wspaiałym facetem, ale... hm... nie w moim typie, a nawet gdyby był, to ja nigdy... naprawdę. Ogromnie cię szanuję za to, co robisz, to kim jesteś i nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby nazwać cię ko... ko... ko... no jak mówiłaś. Jesteś silnie zbudowana i do twarzy ci z tym. Ale masz rację. Wiem, że do mnie by to nie pasowało, ale... — Już mam na końcu języka, że dla mnie wygląda jak prawdziwa Wonder Woman (konkurencja dla Supermana), tylko że ma od niej lepszy gust, oczywiście. Na szczęście przerywa mi, zanim zdołałam to powiedzieć i zarobić kolejny policzek.

— Wolałabyś umrzeć, niż wyglądać tak jak ja — warknęła.

— Babs — mówię szeptem. — Nie zdradziłabym cię. Nie mogę znieść myśli, że tak sądzisz. Sprawia mi ogromną przykrość to, że cię zraniłam. Nie wiem, co ci powiedzieli Simon i Frannie, ale zapewniam, przysięgam, to nie było tak. — Przerywam, uświadamiając sobie, że postępuję jak paskudny donosiciel. Ale nie mogę się oprzeć, by nie spytać: — Kiedy ci powiedziała?

— Zadzwoiła do mnie na komórkę do Pragi — odpowiada lakonicznie.

Znowu okazała się lepsza ode mnie. Ja jestem taka ułożona, taka ugrzeczniona, że nie zadzwonię na komórkę przyjaciółki w czasie jej weekendowego wypadu, by przyznać się do nieumyślnych zapasów miłosnych z jej mężem, uważam bowiem, że byłoby nie na miejscu burzyć romantyczną atmosferę takim brutalnym, nietaktownym ciosem. A Frannie bezpardonowo pakuje się z buciorami,

depcząc płatki wonnych róż i zakłócając ich sam na sam swoim ciężkim platfusem i na dodatek ogłasza się ją bohaterką!

Zagryzam wargi.

— A Simon?

— Zbierał się, by mi o tym powiedzieć, kiedy zadzwoniła Frannie. — Informuje mnie z taką kwaśną miną, że można by zakiszyć ogórki.

— Ale — tłumaczę nieskładnie — Frannie widziała to, co chciała widzieć! Czy Simon ci nie wyjaśnił, co naprawdę zaszło między nami?

— Masz tupet! — stwierdza kąśliwym tonem. — Chyba to nie ty powinnaś zadawać tu pytania, prawda? Zgadza się, Simon próbował wziąć na siebie całą winę, ale ja, oczywiście, nie jestem taka głupia. Znasz to powiedzenie — cały w tym ambaras, żeby dwoje chciało naraz, a Frannie widziała to, co widziała. A poza tym, ja cię dobrze znam.

„Chyba nie znasz mnie tak dobrze, jak sądzisz. Być może brak mi pewności siebie, ale nie jestem... zdesperowana. Nie jestem zagubioną duszyczką. Są pewne grzechy, których bym nie popełniła, nawet żeby nasycić moje spragnione ego, i kradzież męża najlepszej przyjaciółki do nich należy". Mówię to wszystko sobie w duchu, ale nie mam odwagi, by to powiedzieć głośno. Próbuję ostatniej szansy.

— Ale twój brat wie o wszystkim. Dlaczego nie chcesz jego spy...

Mocno uderza pięścią w stół.

— Dlaczego postanowiłaś jego wplątać w tę sprawę? — warknęła. — Już ci mówiłam, żebyś nie mieszała do tego mojej rodziny! Jeżeli chodzi o Andy'ego, to wdepnęłam do niego na nocną pogawędkę jak na prawdziwą kobietę przystało. — Uznałam to za niezasłużony policzek wymierzony Andy'emu i na domiar złego widać to po mojej minie. Babs nastroszyła się. — Co ci się nie podoba? Mój mąż już ci nie wystarcza? Chcesz jeszcze mojego brata? Nie obchodzi mnie, co jest między wami, ale zakończ to. Nie chcę, by dłużej u ciebie mieszkał i byście się spotykali. Guzik mnie obchodzi, co mu nagadałaś, skończ z tym! A jeśli chodzi o pracę w delikatesach — to zapomnij! Zadzwonisz do mojej mamy i powiesz, że zmieniłaś zdanie.

— A... Ale... — jąkam się.

Wolałabym wylądować w wannie z piranią, niż stawić czoło Babs, i wszelkie słowa na moją obronę stają mi w gardle. Spoglądam na nią spod rzęs. W tym czarnym golfie i niebieskim dresie wygląda jak tajniak z policji. Brakuje jej tylko — dzięki Bogu! — broni. Wzdycham głęboko. Nie rozumiem jej i nie rozumiem Andy'ego. Przecież wiedział, że Simon chce się przed nią przyznać podczas tego weekendu. Więc kiedy zapukała w sobotę wieczorem do jego drzwi, to trzeba mieć bardzo niskie IQ, żeby nie wiedzieć dlaczego. To jasne jak słońce — albo próbowałaby wyciągnąć nazwisko ładacz-

nicy od tego cymbała, Simona, albo Frannie musiała zmyślać. Dlaczego Andy nie stanął w mojej obronie? Przecież nie słynie z małomówności!

— Zrobisz, co powiedziałam — rozkazuje z groźną miną. Po tych słowach wstaje i kieruje się w stronę drzwi. Pędzę za nią i zrozpaczonym głosem krzyczę:

— Chciałam go tylko zbesztać za to, jak cię traktuje! A on podszedł do mnie... — I już mam dodać: „Ale w tym pocałunku nie było seksu, tylko wściekłość i uraza zaprawione piwem”.

Ale ona przerywa mi drugim, głośnym policzkiem, który odbija się echem jak wystrzał z pistoletu.

— Wystarczy! — rzuca na odchodnym, a ja zastanawiam się, czy zemdleć z bólu, czy też nie. — Żegnaj, Natalie. Życzę ci, byś otrzymała to, na co zasługujesz.

Oszołomiona, potykając się, wracam do kuchni. Jedne drzwi się otwierają, a inne zatrząskują się przed nosem. Czy: „Życzę ci, byś otrzymała to, na co zasługujesz” miało być klątwą? Chyba się nie spełni. Co mam teraz zrobić? Obiec kościół trzy razy dookoła, a może wtedy to się zdubluje. Tak naprawdę, to mam ochotę pobiec po moją puszkę z biszkoptami — ale opróżniłam ją do czysta w czasie dwóch setnych sekundy podczas wczorajszego nocnego obżarstwa. Mogłabym pojechać na stację benzynową. Zaczynam gorączkowo szukać swoich kluczyków. „Nie! Nie! Nie! Nie wolno ci, Natalie! Nie wolno! Musisz to znieść. Nie próbuj niczego zmieniać, bo tylko pogorszysz sprawę”. Chwytam za krzesło i czuję, jak po twarzy spływają mi łzy. Co się porobiło? Czy tak smakuje zwycięstwo?

Rozpamiętuję moją szesnastoletnią przyjaźń z Babs i czuję tak dotkliwy ból, jakby umarła. Mam ochotę sforsować drzwi do pokoju Andy'ego i obudzić go. Czy trudno mi przyjdzie zrezygnować z tego faceta, kiedy tak po prawdzie nie byliśmy razem? A co się tyczy jego siostry, to już odczuwam jej stratę. Babs jest najczulszą, najodważniejszą, najwspanialszą osobą na świecie. Zawsze kiedy jej potrzebowałam, była przy mnie. Nikt jej nie zastąpi. Ja natomiast stanowią jej przeciwieństwo. Jestem ogromnym samolubem. Trudno mi w to uwierzyć. Z jednej strony taka uległa, a jednocześnie w głębi serca okropna, okropna egoistka. Siadam strapiona i rozgrzebuję popioły naszej przyjaźni.

Zawsze stawała w mojej obronie, a kiedy mnie potrzebowała, ja ją zostawiłam. Babs jest prawdziwą wojowniczką. Pamiętam jej pierwsze spotkanie z Mattem. Powiedział do niej: „Podziwiam cię, ale sądzę, że zwariowałaś. Kiedy ja widzę, że się pali, od razu uciekam z budynku. A ty wbiegasz do środka!”. Moja przyjaciółka — bohaterem! I taka była. Nie tylko ratowała ludziom życie. Czekala dwa lata, aż przyjmą ją do straży. I wtedy usłyszała od komendanta słowa przywitania: „Jeśli pójdziesz z kimś z nich do łóżka, już cię tu nie będzie”. Znęcał się nad nią w ten sposób. Jej koledzy ze zmiany potrzebowali trzy lata, żeby ją zaakceptować.

Trzy lata, a ona ani razu nie narzekała. „Nie traktuję tego jako znęcania” — wyjaśniała cierpliwie ojcu, który chciał iść do straży i zrobić z tym porządek. „Uważają, że to w porządku”. Pewnego razu podeszła do swego szefa i powiedziała: „Dzień dobry. Jestem pana nowym aspirantem”, a on

warknął: „Nie jesteś żadnym moim nowym aspirantem!”. Przyjęła jego słowa, jak to się mówi, po męsku. Nie miała żadnego przezwiska, bo nikt nie chciał z nią rozmawiać. Wszyscy siedzieli w kantine, jedli obiad i nie zwracali na nią uwagi, a ona gapiła się bez słowa w stół. Grali w piłkę na podwórku, a ona się uczyła. Kiedyś wciągnęli ją do biura i wrzasnęli: „Nigdy nie będziesz jedną z nas!”.

A potem miało miejsce tragiczne wydarzenie. Babs razem z innym strażakiem o imieniu Dean walczyła na drugim piętrze z płomieniami. Dean zrobił krok do przodu. Podłoga się zarwała i zapadł się do połowy, ale Babs go wyciągnęła. „Nie wiedzieliśmy, że w tym momencie pożar zaczął się na dobre” — powiedziała po fakcie, bagatelizując całą sprawę. Dean nie okazał się zbyt wylewny w podziękowaniach, a na dodatek doszły jeszcze kpiny kolegów. „Barbara robi ci pranie” — powiedzieli nowemu kandydatowi. „Weźmie je do domu i upierze”. Niewinny delikwent podszedł do niej z brudnymi rzeczami, a ona poinformowała go, gdzie ma to sobie włożyć. Znosiła wszystko, dopóki najbardziej chamscy dręczyciele przenieśli się albo poszli na emeryturę, a wtedy reszta musiała pogodzić się z faktem, że jest strażakiem z krwi i kości. I co wtedy zrobiła? Zaprosiła mnie do remizy.

Pozwoliła mi przymierzyć swój ekwipunek — ledwo wytrzymałam w butach i aparacie tlenowym. „To jest nowy, lekki sprzęt” — powiedziała z uśmiechem. „Ten stary ważył ponad trzydzieści kilo”. Pozwoliła mi polewać sikawką — siła strumienia odrzuciła mnie do tyłu. Pozwoliła mi posiedzieć w wozie strażackim i włączyć syrenę. „Wciśnij stopą ten guzik. Dobrze, teraz ustaw ten przełącznik na jeden: łoś łoś łoś łoś! — albo na dwa: ni-nor ni-nor — albo na trzy — to moje ulubione — uuuuuuuuuuuuuuu!”. Pozwoliła mi zjechać po drażku. „Nie trzymaj się mocno rękami, tylko nogami”. Poza tym faceci z jej zmiany zachowywali się już wobec niej z całkowitą przyzwoitością, natomiast pod moim adresem kierowali niewybredne dowcipy.

Trudno mi pogodzić jadowitą jędrę z ostatnich dziesięciu minut z dobroduszną przyjaciółką z ostatnich szesnastu lat. Łzy nie przestają płynąć i nie mam nawet ochoty, żeby je wytrzeć. Jeśli rzuci cię facet, wówczas można przekonywać się, że tak naprawdę to cię nie znał ani nie rozumiał, seks to seks, i nic więcej. Kiedy opuszcza cię przyjaciółka, nie ma co mydlić oczu, że zostałeś osądzona i potępiona ze względu na to, kim jesteś. Ból jest tak ostry jak dobrze naostrzony nóż. Ale z tym bólem potrafię się uporać i nie on jest powodem moich łez. Płaczę, Babs zasłużyła bowiem na happy end w swoim życiu, a ja przyczyniłam się do jego spartaczenia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Śpię jak niemowlę. To znaczy — budzę się z płaczem piętnaście razy w ciągu nocy. Wreszcie poddaję się i wstaję o szóstej trzydzieści siedem. Ubieram się na czarno, odpowiednio do mojego nastroju. W kuchni przekładam z hałasem naczynia, aby zbudzić Andy'ego. Poniedziałek jest dniem pracy, pewnie mi podziękuje. Ten wałkoń nie ma o tym pojęcia, ale dzisiaj się stąd wyprowadza. Ucieszę się, jak już zniknie z mojego domu. Będę myśleć tylko o sobie — tak jak Babs. Nie pozwolę, żeby ktoś mi ubliżał, wykorzystywał (choćby to miało być nie wiem jak przyjemne) i porzucał jak zużytą chusteczkę do nosa. Jego problem to postkoitalne tchórzostwo, które zaprezentował w późniejszej fazie dnia. Przecież wiedział, że moja przyjaźń z Babs zaczyna się chwiać i co wówczas zrobił? Staął z boku i patrzył, jak się wali!

— Przestań trzaskać tymi naczyniami, już wstałem — oznajmia, kiedy pojawił się jak duch. Tak gwałtownie odwracam się od zlewu, że moje ciało potrzebuje chwili, by dogonić głowę. — Scena prawie jak z *Egzorcysty* — dodaje. Po raz pierwszy w życiu nie mam ochoty na żarty.

— Wiesz, co wczoraj się wydarzyło — warknęłam. — Dlaczego nie stanąłeś w mojej obronie?

— Hej, ślicznotko! A właśnie, że cię broniłem.

Usiłuję zachować spokojny wyraz twarzy, którą szpeci ohydna plama na policzku.

— Nie wciskaj mi kitu — wyrzucam z siebie. — Wiesz, o co mi chodzi. Może chcesz się dowiedzieć, że wczoraj wieczorem twoja siostra skreśliła mnie ze swego życiorysu? Wiedziałaś, po co przyszła. Dlaczego nic nie powiedziałaś? Mogłaś się domyślić, że Simon wszystko sknoci! — Przerywam, z trudem chwytając powietrze.

Andy przestaje uśmiechać się z afektacją.

— Nat, jesteś już dorosłą dziewczynką — stwierdza chłodno. — Powinnaś sama toczyć swoje bitwy.

Otwieram i zamykam buzię jak ryba wyrzucona na brzeg.

— Ja nie... nie prosiłam cię, byś za mnie toczył moje bitwy — odpowiadam płaczliwym tonem. — Ja... O Boże, nie mam ochoty już więcej o tym rozmawiać.

Odsuwam krzesło i rzucam się na nie. Andy ma na sobie niechlujną, bejsbolową koszulę. Choć stanowi ona antytezę elegancji, pasuje do niego, a stwierdzenie to nie stanowi obelgi z mojej strony. Nie mogę na niego patrzeć.

Siada obok i zagaja:

— Posłuchaj, Nat.

— Co? — pytam z nadal odwróconym wzrokiem.

— Nie zachowuj się jak obrażona smarkula i mów, co ci powiedziała.

Zapalam papierosa i zaczynam opowiadać z arogancją, starając się, by mój głos nie brzmiał jęcząco.

— Wiedziałaś, że ryzykujesz — stwierdza — jeśli nie powiesz jej od razu. Jak człowiek dowiaduje się czegoś podobnego od osoby trzeciej, to zawsze jest pięć razy gorsze. A jeśli tym przekąźnikiem jest Frannie — to nawet dziesięć razy. — Kiwam głową twierdząco. — Może rzeczywiście powinienem był z nią porozmawiać — stwierdza. — Ale nie chciała. Wy tłumaczyłbym jej.

Potrząsam głową wyrozumiale. (Kiedy triumfuję, moja hojność nie zna granic).

— Miałaś rację, że jej nie powiedziałaś — odpowiadam. — Dobrze zrobiłaś, że trzymałaś się od tego z daleka. To ja powinnam jej o wszystkim powiedzieć z wyprzedzeniem, a nie tak późno. To moja wina. Chyba nie mogłam... — Przerywam. — Potrzebowałam kozła ofiarnego. Nie mogę uwierzyć, że to koniec naszej przyjaźni, naprawdę koniec. Co się porobiło, nakręca się jak spirala. I...

— I co?

— Nieważne. Drobiazg.

— No, mów — zachęca.

— Cóż — zaczynam — przypomniało mi się, jak byłam z Babs na imprezie, a drzwi od łazienki nie zamykały się jak trzeba, więc kiedy szłyśmy do ubikacji, pilnowaliśmy się na zmianę, a potem zaczęłyśmy te godzinne dywagacje o... o... że gdybyśmy były bardzo piękne, jak, powiedzmy, Naomi Campbell, i ktoś wparowałby do toalety, kiedy byłybyśmy w środku, to mniej krępowałyby nas taka sytuacja, niż gdybyśmy były przeciętne. Sądzę, że — przerywam, z trudnością powstrzymując się przed szlochem — jest bardzo niewielu ludzi na świecie, z którymi można sobie na takie tematy porozmawiać... — Czuję, że za chwilę utracę swoją godność. — Mówiłam ci, że to głupie — burknęłam. — Nie powinieneś był nakłaniać mnie to opowiadania.

— Wybacz.

Najpierw zaczynam kaszleć, potem gaszę jednego papierosa i w końcu zapalam kolejnego. Andy unosi brwi zdumiony.

— Nie radzisz sobie z nałogiem — stwierdza. — Już tak wcześnie rano?

— Silk Cut Ultra — odpowiadam ponuro, pokazując na paczkę. — To papierosy dla niepalących.

— Posłuchaj, Nat — mówi wolno, wyciągając mi papierosa z ust i zaciągając się nim, gest, który nie powinien mieć żadnego podtekstu erotycznego, a jednak. — Fuj, Boże! To prawda, poddaję się, ma okropny smak. Jestem pewien, że w końcu uda ci się wszystko załagodzić. Babs jest teraz w szoku. Będzie potrzebowała trochę czasu.

— Andy, ona mnie nienawidzi — oznajmiam z westchnieniem. Gaszę papierosa. Nie mogę się skupić, kiedy przypomnę sobie, w czyich ustach był przed chwilą.

— Nienawidzi cię — potwierdza moje słowa — bowiem woli nienawidzić ciebie niż Simona. Gdybyś była na jej miejscu, to komu byś uwierzyła? Swojej najlepszej przyjaciółce czy mężowi? Wybór nie jest prosty, ale gdybym był na jej miejscu, naskoczyłbym na przyjaciółkę

— Och, tak, tak! Masz całkowitą rację! — wykrzyknęłam, zanim zdążyłam sobie przypomnieć, że nie chcę mu niczego zawdzięczać. — Ale tak naprawdę to jej nie masz — dodaję. — Nawet bowiem jeśli przed samą sobą zaakceptuje prawdę, nawet jeśli Simon wyjaśni jej dokładnie, co zaszło, zamiast bezużytecznie i nieprzekonywująco bełkotać. Czy napiszę do niej, czy — nie chcę sugerować, aby Andy się w to wtrącał — nos Frannie stanie się trzy razy dłuższy i pobije wszelkie możliwe rekordy, to i tak Babs będzie na mnie obrażona za to, że jestem przewodnikiem — właściwe słowo — niewierności Simona.

Andy mruga do mnie porozumiewawczo.

— Nawet jeśli to trochę potrwa, to nadal obstaję przy swoim — przyjdzie do ciebie — stwierdza. — Zazwyczaj wydziera się, wyrzuca z siebie złość i wszystko się kończy. Jeśli jest inaczej — dodaje — sprawa się komplikuje, jak to jest w twoim przypadku, a ty...

— Och, nie! — wykrzykuję, pstrykając palcami. — To co innego. Zabroniła mi wstępu do delikatesów!

— No dobra — oświadcza. — W porządku. — Zaczyna kaszleć. Ma minę, jakby siedział na jeżozwierzu. Już zbieram się, by ogłosić mu zmiany w jego życiu lokalowym, kiedy się odzywa: — Chcę ci coś powiedzieć, Natalie.

— Co takiego?

— Pamiętasz, jak wczoraj powiedziałem ci, że nie mogę przestać myśleć o mojej byłej?

— Coś tam wspominałeś — odpowiadam. Dobry Boże! Czemu nie przyszło mi do głowy, że tak trudno mi będzie pozbyć się tego głupka?

— Wybrałem niewłaściwy czas. Nie wyszło tak jak trzeba. Powiedziałem ci, bo nie chcę cię zwodzić. Nie pozwoliłaś mi dokończyć. Nie kocham już Sashy. To bardziej problem braku odpowiedzi na pewne pytania, dlaczego mnie zostawiła. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego to dla mnie takie ważne. Ale chciałem, byś wiedziała, jak sprawy stoją. Muszę się z tym uporać. Kiedy mnie rzuciła, byłem zdruzgotany i dopiero niedawno zdałem sobie sprawę jak bardzo. Nie chcę, żeby tak samo było z nami. Nie wiem jak ty, ale ja uważam, że jest super. Mogłoby coś między nami być. Gdybyś tylko chciała. — Patrzy na moją oszołomioną minę i dodaje: — Albo nie.

Po chwili już leżymy spleceni na moim łóżku, uprawiając gorący, choć nie pozbawiony czułości seks, a białe zasłony falują unoszone delikatną, wiosenną bryzą. Ale prawdę powiedziawszy, tak nie jest. No ale przecież mogłoby być. Trzymaliśmy się za ręce, a on delikatnie głaskał mój nadgarstek. Czulałam jego szorstki dotyk, który doprowadził mnie do drżenia. Spojrzał na mnie i zauważyłam jego

wzrok. Wiedział, że próbuję powstrzymać pożądanie. Tak bardzo chciałam być z nim. „O rany! Tak, weź mnie, miej mnie, całą! Chcę do ciebie należeć!”.

Ale nie ruszyłam się z miejsca. Wyjąkałam tylko:

— Czy mogę przemyśleć twoje słowa?

Odpowiedział szybkim, niepewnym kiwnięciem głowy. Przez chwilę patrzyłam z tęsknotą na jego usta, a potem odparłam piskliwym głosem:

— Fajnie, dzięki! — I uciekłam do swego pokoju.

Krótko potem usłyszałam trzaśnięcie frontowych drzwi. Jak mogłam go eksmitować po tym wszystkim? Nie potrafiłam powiedzieć mu tego prosto w twarz i nie przyszło mi do głowy, żeby zostawić mu kartkę. Dlatego błąkam się po domu jak cień, poprawiając wszystkie obrazy na ścianach. Jego słowa nie dają mi spokoju. Ty cholerny głupcze, powinienesz być się zgodzić! Zauważam, że idę w stronę lodówki, potem smaruję czternaście kromek chleba pastą warzywną, do tego gruba warstwa masła i pożeram wszystko do ostatniej okruszyny.

Po dwudziestu sekundach czuję się podle, a muszla klozetowa zaczyna mnie nęcić, ale udaję, że jej nie zauważam. No i co takiego się stało? Mam już dość udawania, że uwielbiam sałatę.

Przytyję pół kilo. Całe pół kilo! No i co z tego. Kto to zauważy? Chyba tylko ja. Zyskanie pół kilograma mniej zaszkodzi mojej psychice niż zaprzeczenie duszy sedesowi. Bądź co bądź obiecałam mamie. Czuję się okrągłutka jak prosiaczek, ale sama się w to wrobiłam. Minuta przyjemności, życie odchudzania! Każdy przygnębiający slogan, stworzony przez instytucje propagujące odchudzanie, został po to wymyślony, by mi urągać, ale nie dam się na niego złapać. Nic nie smakuje tak bardzo jak szczupła figura! Wniosek z posiadania rozmiaru trzydzieści cztery płynie taki, że nie miałabym się czym pochwalić w swoim życiorysie. Nie mam zamiaru dodawać bulimii do moich wątpliwych osiągnięć życiowych.

„Może coś się narodzić między nami. Gdybyś tylko chciała”.

Po raz któryś z rzędu powtarzam słowa Andy'ego, używając ich jako zaklęcia przeciwko toalecie. Czyżby to miało być zwieńczenie naszego romansu? I choć odczuwam bojaźliwość — i to dość słusznym rozmiarów — podziałało. I kiedy nie mogłam się oprzeć, by nie prostować obrazów, nadal czuję się absurdalnie dumna z siebie. Jakbym miała w środku ziarenko ciepła, gdzie przedtem była zimna jaskinia.

Nie wystarczyło mi, że tylko spytał. Kiedyś pewnie by tak było, ale nie teraz. Nie ma co się oszukiwać. Ale to pytanie mogłoby teraz tylko zaszkodzić. Kusiło mnie, żeby zadzwonić i spytać, ale świat fantazji często bywa bardziej realny niż ten prawdziwy (kiedy byłam nastolatką, przeżywaliśmy z Tomem Cruise'em wiele wspólnych, miłych momentów). Dlatego w tej chwili niech wszystko pozostanie w świecie fantazji. Pragnę być z Andym, ale także pragnę pogodzić się z Babs. Zrobiłabym wszystko, by tak się stało. Nie mam zamiaru romansować na grobie naszej przyjaźni.

Ale to nie takie proste. Pod każdym względem zgadzam się z nim. Chyba się rozumiemy. Pasujemy do siebie. Choć zdaniem innych jak wół do karety, a jednak uważam, że naprawdę stanowilibyśmy dobraną parę. Nawet jeśli wrzeszczelibyśmy do siebie przez wiele lat: „Nie wpychaj swoich skarpetek pod tapczan”, to jestem pewna, że między nami może coś być. Na samą myśl o tym dostaję gęziej skórki. Jednak zbyt długo wiodłam żywot tej gorszej. Muszę gdzieś wyznaczyć dokładną granicę. I rozpoznaję u niego poważny przypadek syndromu byłej dziewczyny.

Dlatego, choć bardzo bym tego chciała, nie mogłabym zająć miejsca Sashy, dopóki nie jest puste.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Niepotrzebnie napomykam Mattowi o scysji — jakby to powiedzieć — pomiędzy lokatorem a właścicielką, bo on i tak nie zwraca na mnie uwagi, tylko zaczyna projektować swój strój („To dopiero będzie sukces, wiem to na pewno!”). Mówię mu, że to żaden romans, ponieważ wyrzekłam się mężczyzn ze względu na... Wielki Post, a on zaczyna się wściekać. „Co! O co chodzi?”. Czy nie ufam mu, przecież jest moim przyjacielem? Nie dla każdego tańczy partię Księcia z *Dziadka do orzechów*, czuje się przeze mnie odtrącony. Wyjaśniam, że po burzliwym weekendzie skończyłam rozmawiać na swój temat.

— Babs zerwała naszą przyjaźń — dodaję, nie dotrzymując swego postanowienia. Głos mi się załamuje. — I tym razem to informacja oficjalna! — Matt wprasza się po pracy na wysłuchanie „relacji z wydarzenia”.

Zauważam, że jeśli ma zamiar narzucać mi się w ten sposób, to może zorganizujemy jakieś kulturalne spotkanie. Niech Mel i Bel również wpadną, to coś upichcę. Chciałabym wszystkim podziękować za piątkowe przedstawienie. No to w takim razie, prosi Matt, lepiej nie gotuj. On zjawi się około siódmej i przyniesie ze sobą jakieś wino. Wcześniej zorientuje się, czy reszta może przyjść. Choć nie powinnam sądzić, że w liczniejszym towarzystwie mogę poczuć się bezpieczniej. Po kilku minutach dzwoni Bel, aby powiedzieć: „Będę!”. Po niej dzwoni Mel i informuje, że wieczorem ma przedstawienie, ale potem może do mnie wpaść — razem z Tonym. Nie pałam chęcią spotkania z moim bratem, ale z drugiej strony, nie pałam też chęcią spotkania się z Andym. Przyda mi się barykada złożona z moich przyjaciół.

Wrzaskliwy dźwięk dzwonka u drzwi o szóstej pięćdziesiąt cztery przyjmuję z zaskoczeniem. Matt nigdy nie przychodzi przed czasem („To takie drobnomieszczańskie, jeśli będę zmuszony, to oblecę dom trzy razy dookoła!”). Otwieram gwałtownie drzwi i zauważam kogoś innego, choć nie pałam chęcią ujżenia go.

— Chris... pian!

Chris, sądząc po jego minie zbira, miał ochotę na atak słowny, robi się czerwony jak mak. „Teraz dobrze się zastanów, Batmanie” — mówię do siebie. Staram się sprawiać wrażenie spokojnej i opanowanej. Czy on też chce dać mi wycisk? Na szczęście, dzięki Babs, mam już za sobą rozgrzewkę. Sądząc po minie mojego gościa, nie jest zbyt uszczęśliwiony swoją fryzurą poborowego. No to najlepiej będzie, jak uderzę pierwsza.

— Nie tak dawno odwiedziła mnie twoja siostra, Henrietta — informuję. — Jakie to piękne, tradycyjnie imię.

Nieproszony Chris wkracza na mój prywatny teren.

— To świństwo z twojej łazienki rozpuściło mi włosy! Wyglądałem jak Sherlock Holmes! Musiałem ogolić się na zero! Spójrz na mnie! Teraz wyglądam jak nazista! Ty i twój braciszek zniszczyliście mnie doszczętnie. Nie mam kapeli, nie mam włosów! Powinnaś wiedzieć, że zamierzam pozwać was do sądu. Ja...

— Mój Boże, jaka piękna fryzura! Poczekaj, niech zgadnę! Byłeś w salonie Micheljohn? A może Toni&Guy? Nie — to Nicky! To na pewno musiał być Nicky! Wiedziałam — nie bądź taki skromny. Muszę ich dotknąć, naprawdę. Pozwól och! Ale masz gęstą szczecinę — jak u małego jeżyka! Albo ostrzyżona owca! Och, jestem w siódmym niebie! Powiedz, Natalie, kim jest ten seksowny, superprzystojny chłopak? Należałoby go zamknąć w zakładzie!

— Odczep się! — wrzasnął. — Trzymaj ręce przy sobie, wariatko! Nie znam cię!

Próbuję okazać mu swoją ogromną wdzięczność, powstrzymując się od śmiechu. Matt, który wyprawia z twarzą różne dziwne rzeczy, przyciska dłonie do piersi i wciąga policzki, wykrzywiając usta. Natomiast Pirek najpierw obwąchuje buty Chrisa, po czym zadziera nogę.

— To mój przyjaciel, Matt — dokonuję prezentacji. — Strasznie mu się podoba twoja nowa fryzura.

Matt uśmiecha się sztucznie i wyciąga bezwładną rękę.

— Przepiękna! Tak się cieszę, że przyszedłem!

Chris, podejrzewając słusznie, że bawimy się jego kosztem, odwraca się na pięcie. Duszę w sobie chichot.

— Może byś jednak wszedł, Chris...

— Za żadne skarby! Mój adwokat się z tobą skontaktuje.

Słyszając te słowa, można się przestraszyć i ja się przestraszyłam. Nie cierpię kłopotów. Żyję w strachu, że nadepnę komuś na palec i adwokat jednej z renomowanych kancelarii, zajmujących się „nieumyślnym spowodowaniem urazu fizycznego bądź stratą moralną”, zawlecze mnie do sądu i dostanę dziesięcioletni wyrok. Jednak z wielkim trudem przychodzi mi bać się Chrisa. Jest przerażony obecnością Matta.

— Och, nie bądź niemądry! — krzyczy mój przyjaciel. — No, wchodź, napijesz się herbatki! Od razu lepiej się poczujesz!

— Tony wpadnie później — dodaje. — Ale nie chciałabym, by perspektywa spotkania z moim bratem cię wypłoszyła.

Chris rzuca mi złowieszcze spojrzenie i oświadcza:

— Z mlekiem, bez cukru, proszę.

Kiedy niosę herbatę i wino do salonu, siedzi w kącie tapczanu z rączkami wciśniętymi między uda jak nieśmiała panienka. Matt bryluje w „towarzystwie”.

— I tak powiedziałem: „On należy do rodziny, moja droga. Zna się na tej robocie jak mało kto!”. — Po tych słowach śmieje się hałaśliwie. Chris kiwa sztywno głową, a potem skacze na równe nogi i łapie za komórkę.

— Muszę zadzwonić — oznajmia. — O, nie ma tu zasięgu.

Wyjdę na zewnątrz. — Pospiesznie opuszcza moje mieszkanie, a oboje z Mattem dławimy się od śmiechu.

— Jesteś boski! — oświadczam. — Matt, jesteś boski! Matt rzuca maliną we frontowe drzwi.

— Nie znoszę brutalni. Co za palant! Powinienem go przeświecić. Ale na szczęście przyszedłem, aby przeświecić Andy'ego! No to — *vite!* Opowiedz mi wszystko. Jest tutaj? No, powiedz, jest w domu?

Wyjaśniam mu, że Andy się nie pojawi. I wyjaśniam dlaczego. Świetnie mi idzie, aż dochodzę do fragmentu, kiedy Babs zaczęła się awanturować. Wtedy podbródek zaczyna mi się dziwnie trząść. Nie mogę uwierzyć, że definitywnie zerwała naszą przyjaźń. To tak, jakby ktoś odłupał mi kawałek serca. Biorę potężny haust wina, by utopić dotkliwy ból — trochę pomaga. Matt patrzy na mnie i klepie się w czoło.

— Jeśli jest na świecie osoba, o której można by powiedzieć, że potrafi robić z igły widły, to jesteś nią ty, Natalie.

— Nie ironizuj — odpowiadam. Zastanawiam się chwilę nad jego słowami i zaczynam chichotać (do tej pory wypiliśmy dwa kieliszki czerwonego wina na głowę — już po jednym wszystko zaczęło mnie śmieszyć).

— Halo! Jest tu kto? Drzwi som otwarte!

— Belly! — Wykrzykujemy zgodnym chórem. Biegnę jej na powitanie. Za mną kaczym krokiem sunie Pirek.

— Już wystarczy — oświadcza z uśmiechem, całując powietrze. — Przed twoim domem krynci się jakiś dziad. Chyba jezd porzondnie wkurzony.

— Większość dziadów, którzy kręcą się przed domami, wygląda na wkurzonych. — Po moim oświadczeniu wybuchamy zgodnym śmiechem.

— Przystojny. Kto to taki?

— Mój były. Przyszedł, żeby się zemścić.

— Idź, spytaj go, Belly! Może da się zaprosić do środka? — zachęca Matt. — Ma na imię Crispian. Wydaje się trochę ponury, ale tylko dlatego, że jest nieśmiały. Chodził do prywatnych, męskich szkół, rozumiesz. Nie przywykł do towarzystwa kobiet.

Belinda robi ogromne oczy.

— Lubię takich elegancików — wykrzykuje i biegnie do drzwi.

Matt uśmiecha się do swego kieliszka.

— Biedny Chris! — oznajmia z westchnieniem. — Zabawa właśnie się zaczyna. O, czyżby Bel była na zakupach? — Kiedy już zdążyliśmy utopić nasze dobre zachowanie w alkoholu, to pozwoliliśmy sobie pobuszować trochę w jej torbie. — Piraci! — wykrzykuje Matt, wyciągając pomalowane na jaskrawo pudełko. — Ona jest cudowna! Kupiła nam grę!

Marszczę nos.

— Matt, tu jest napisane: przeznaczone dla czterolatek i dzieci starszych. Pewnie kupiła ją dla jakiegoś swojego siostrzeńca czy siostrzenicy.

— Gówna prawda! Dzieci są za młode, by docenić takie rzeczy. Zresztą, liczy się rozwój umysłowy.

Kiedy po chwili wraca Belinda z Chrisem, jesteśmy pochłonięci piątą rundą Piratów. (Ta gra wymaga umiejętności strategicznego myślenia i inteligencji. Każdy z graczy po kolei wbija w poruszającego się pirata czerwone, niebieskie, zielone i żółte szpady, aż jeśli ktoś go trafi, to wtedy wystawia i chowa głowę. Wynik: dwa do trzech dla mnie).

— To jego wina! — wołam. — To on otworzył karton!

— Przecież mnie znasz, nie mogę się oprzeć, kiedy zobaczę czerwone pudełko — tłumaczy łagodnym tonem.

Bel zainteresowana nowym towarzyszem prawie nie zwraca na nas uwagi.

— No, Crispian, mów dalej — mamrocze. — Gadałeś o szkole, no, miałeś chłopaka na posyłki, prawda? I jak, jak to było, no powiedz! No, mów! To niesamowite!

Chris robi wrażenie, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem. Jest bardzo zdenerwowany, bo kiedy Andy wchodzi, nie ukrywa zadowolenia z jego przyjścia.

— Ktoś się zjawił? Uroczy Andreas! — skrzeczy Matt, który — jeśli się nie mylę — raz przez ulotną chwilkę z nim rozmawiał.

Pirek zaczyna obwąchiwać mu buty i od razu macha ogonem.

Belinda dochodzi do radosnego dla siebie wniosku, że przybysz prawdopodobnie pochodzi z wyższych sfer i robi wniebowziętą minę. Jediną osobą nie okazującą radości na jego widok jestem ja.

— Cześć — witam go zakłopotana.

— Cześć — odpowiada. Przenosi wzrok ze mnie na Chrisa i z powrotem, po czym robi namurzoną minę. Matt przygląda się temu wszystkiemu, macha żółtym mieczem w kierunku Chrisa i wykrzykuje:

— Crispian przyszedł, by wziąć zemstę, Andrew. Pewnie jego kudłata czupryna stanowiła dla niego powód do dumy — choć osobiście uważam, że ten nowy styl macho jest bardzo seksowny. Wy tłumacz mu to! Ale trzeba przyznać, że to było dla niego strasznie dramatyczne wydarzenie. Pirek, do nogi! Nie czas na witanie się! Och, jak to miło, że przyprowadziłeś swojego przyjaciela!

W tym momencie wchodzi Robbie, ściskając w rękach rowerowy sprzęt (fioletowy kask, drugi dla pasażera, szalik, skórzane rękawiczki, skórzaną kurtkę — wszystko z wyjątkiem samego bicykla) i pociera ręką po oczach. Uśmiecha się do mnie, a potem do Matta.

— Sie ma!

Pospiesznie dokonuję prezentacji wszystkich. Chris z daleka kiwa głową Robbiemu. Bel uśmiecha się i macha ręką, ale na sekundę nie odstępuje Chrisa. Matt podrywa się i całuje Robbiego i Andy'ego. Andy — ewidentnie uradowany torturami, jakie przeżywa Chris — obejmuje się z Mattem jak niedźwiadek. Kiedy Andy rzuca mi spojrzenie, pozwalam sobie na maleńki uśmieszek. No tak! Nie tylko ja boję się wszelkich wyjaśnień po wczorajszym bara-bara.

— Siadajcie, chłopaki! — zaprasza Matt, opadając na sofę. — Natalie, nie mamy już nic do picia! Zostało tam coś jeszcze?

Niepewnym krokiem wchodzę do kuchni — której ściany zaczynają się kołysać — zaczynam otwierać różne szafki, a potem wracam z ogromną tacą brzęczących butelek.

— Niektóre mogą być przeterminowane.

— O rany! — wykrzykuje Robbie, rzucając swój rowerowy sprzęt na mój afgański dywan. — Skąd to wszystko wzięłaś?

Matt ustawia mój ukryty, drogocenny alkohol.

— Martini extra wytrawne, dzin Beefeater, Bailey's, Mezcal Lajita, Soviet — dobry Boże! — Soviet Strike, Smirnoff, Taylor's Port, Palwin's — o kurczę, nie do wiary! — Palwin's nr 11 — Andy, nie rób takiej miny — Sang Thip Royal, likier tajski, Jack Daniel's, Cointreau, likier wiśniowy, jedna butelka Miller Red Dog — Pirek, zobacz, co ona ma dla ciebie! — i trzy butelki Newtona i Ridleya. No, no! To ci dopiero znawca!

— Chętnie napiłbym się likieru tajskiego — oświadcza Robbie, zezując na etykietę. — Wygląda... interesująco. Nat, masz lód?

Idę po lód, kieliszki, dietetyczną colę i tonik, a Matt obsługuje wszystkich. Chris z chmurną miną przyjmuje syberyjską wódkę z tonikiem, Andy decyduje się na Mezcal Lajitę (Matt ma problemy z wyciągnięciem pływającego w środku robaka i wrzuceniu go do kieliszka Andy'ego), Bel dostaje pół kufla piwa, Robbie pozostaje wierny Sang Thip, a ja gustuję w likierze wiśniowym.

— No to ja napiję się Palwin's — oświadcza odważnie Matt. Jedną ręką przykrywa głowę i krzyczy: — *Baruch atah adonai!* — Zlewa to w jedno słowo i poddaje się atakowi kaszlu.

— Wyglądasz jak kot, który się zakrztusił własną sierścią — stwierdza Andy, biorąc potężny łyk Mezcalu.

Matt przygląda się z satysfakcją, jak jego towarzysz się zalewa.

— Ale przynajmniej — odpowiada złośliwie — nie jestem do niego podobny.

— Zachowujecie się, jakby wam odbiło — stwierdza Bel. — Jo zostaje z Irish Cream.

— O nie, moja droga! Nie spieraj się ze mną, jestem twoim szefem. Po kolei będziemy wszystkiego próbowali. Poszerzymy nasze wąskie, ksenfobiczne horyzonty. Prawda, Crispian?

Wszyscy zwracają głowy w stronę Chrisa, który robi się czerwony jak burak i łapie się za gardło. Bez słowa kiwa głową i pstryka palcami do Matta, wyrażając w ten sposób zgodę. Ponieważ Chris cały czas trzymał się w bezpiecznej odległości od Matta — ale jak rekin, który boi się zbliżyć do prawnika — to nagle odwilż w ich wzajemnych relacjach zaczyna mnie intrygować. Tak samo zresztą jak Matt, który unosi brwi i odwraca butelkę z Soviet Strike, by odczytać etykietę.

— A może poszukasz jakiegoś innego paliwa? — pyta Andy. Matt wydyma wargi.

— Napij się kieliszek Sang Thip, kochany. To zdezynfekuje ci gębę. — Nachodzi mnie paroksyzm chichotu. Nagle czuję przyjemne ciepło i zaczynam się unosić. Przykre wydarzenia tygodnia zaczynają się rozmywać. Pozwalam, by Matt nalał mi na pocieszenie malutki kieliszek Palwina.

— Bałbym się przy tobie teraz zapalić — odzywa się Robbie. — Pewnie jesteś łatwopalna. Na lej sobie Mezcala, choć jak skosztowałaś tego bursztynowego nektaru o nazwie Sang Thip, to cała reszta stanowić będzie wielkie rozczarowanie.

— Mam ochotę zagrać w Piratów! — wykrzykuje Andy. — Rusz się, Natalie. Ja chcę niebieską szpadę. Matt, naucz mnie!

— Uważaj, Matt — mówi Robbie. — Robi mu się niedobrze! Patrz na swoje plecy!

Matt krzyżuje nogi.

— Chyba jednak nie będę w stanie spojrzeć na swoje plecy. To by dopiero była niespodzianka! — Ściska mnie za udo. — Natalie, będziemy musieli zagrać o niego w orła i reszkę! — Bynajmniej nie rozbawiły mnie jego słowa i dlatego robię skrzywioną minę. Matt uśmiecha się do mnie i odpowiada śpiewnie: — Nikt nie słyszał! A zresztą spójrz na nich, nic to ich nie obchodzi! — Potem odwraca się do Andy'ego i mówi: — No, mój drogi, bierz szpadę w dłoń...

Z bijącym sercem spoglądam na Robbiego. Zasłania usta, potrząsa przecząco głową i oddaje swój kieliszek Bel. Chris siedzi na podłodze, wlewając w siebie likier wiśniowy. Z wzrokiem wbitym w jakiś nieokreślony punkt zdaje się nie mieć pojęcia o czerwonej strużce spływającej mu po policzku. Bel nie może się zdecydować, czy podać jego lordowskiej mości chusteczkę, czy dalej sączyć Sang Thip. Matt ma rację: nic to ich nie obchodzi. Rzucam Andy'emu ukradkowe spojrzenie. Uśmiecha się.

— No to ja będę zieloną szpadą — oznajmiam.

Kiedy dwie godziny później dzwoni dzwonek, Chris chrapie na podłodze w rozchełstanej koszuli, od czasu do czasu zawodząc przez sen. Zupełnie jak Pirek. Belinda siedzi w kuchni, śpiewając na całe gardło *Diamenty są wieczne* i wywabiając plamy po likierze ze skórzanej kurtki jego lordowskiej mości. Natomiast Andy, Matt i ja rozsiedliśmy się wygodnie i gramy czternastą kolejkę Piratów. Trochę mi niedobrze, dlatego udzielam Robbiemu swojego pełnomocnictwa. Matt zaproponował, że kto przegra, zdejmuje z siebie jakiś element garderoby. W efekcie Robbie zostaje w samych majtkach. Andy ma na sobie zielone bokserki, T-shirt i jedną skarpetkę. Matt paraduje w futrzanej czapce z nusznikami i czarnych dżinsach. Godzinę przedtem podjęłam kroki zapobiegawcze, pomaszero wałam do szafy i włożyłam na siebie siedem swetrów. Dokładnie nie pamiętam, kiedy Tony zaproponował, byśmy zaczęli grać na pieniądze i że on będzie trzymał kasę — i dlatego pewnie po półgodzinie byłam lżejsza o dwadzieścia funtów.

— Ktoś puka! Dzięki ci, Boże! — wrzeszczy Andy, chwiejąc się na nogach. — Nie mam pojęcia kto, u diabła, to może być, ale dziękuję mu z głębi serca!

Matt spogląda na mnie i śmieje się cicho. „Och, proszę” — mówi bezgłośnie.

„Nic z tego” — odpowiadam w ten sam sposób. „Co możesz na to poradzić?”.

— Zgadzam się z Andym — oświadcza Robbie, skacząc na jednej nodze, drugą próbując włożyć do nogawki. — Jeeeśli chceecie znać moooje zdanie, to mamy juuuż dość, dzięki bardzo, Matthew. Poza tyym chyyyba uuudało mi się zarobić sze... śćdziesiąt funtów.

— Robert — odpowiada Matt, patrząc, jak Robbie pada plackiem na podłogę. — Spróbuj najpierw włożyć jedną nogę. Może ci pomóc?

— Zostań tam, gdzie jesteś.

— Dlaczego tak się dzieje — zaczyna Matt — że wszyscy faceci hetero uważają, że człowiek ich podrywa?

Potrząsam głową z udawanym zdziwieniem.

— Nie mam pojęcia!

— Mam już faceta — dodaje Matt — i choć jesteś bardzo czarujący, Robercie, nie porażasz mnie swoją urodą.

Robbie sprawia wrażenie rozzłoszczonego.

— Cooo? — pyta, macając swój biały brzuch. — Chciaaałeś powieeedzieć, że gdybym byyył... był geeejem — tak? Tak? Rany! Nooo nie! Nie chciaaałbyś ten tego ze mną?

— Posłuchaj, Robert — zapewnia go poważnym tonem Matt. — Jesteś uroczym facetem, ale — w tym momencie ścisza głos — nie w moim typie.

Kiedy Andy wchodzi do pokoju razem z Mel i Tonym, leżymy na kanapie i chichoczymy jak dzieciaki.

— No, nie! — wykrzykuje Mel i tupie swoją małą nóżką. — Oni się z nas śmieją!

— Posłuchaj, kochanie — odzywa się Matt. — Musisz zaraz nadrobić zaległości. Napij się kie-
liszek Sang Thip!

Mel drepcze na drugą stronę i zatrzymuje się, kiedy spostrzega Robbiego, który pospiesznie za-
pina rozporek. Po raz kolejny dokonuję prezentacji, choć tym razem już bardziej skrótowo.

— A więc — oświadcza Matt, wstając — to jest ten Tony, o którym tyle słyszałem. No, no.

Tony rzuca mu podejrzliwie spojrzenie.

— No, co?

— No, Anthony... wyglądasz dokładnie tak, jak sobie ciebie wyobrażałem, jeśli nie bardziej.
Wielki tata niedźwiedź!

Zanim Tony znajduje czas, by cokolwiek powiedzieć, Mel wykrzykuje:

— A co on tutaj robi? — I oskarżycielskim gestem wskazuje na przysypiającego Chrisa.

— Dobre pytanie — oświadcza Tony i marszczy czoło. — Co on tutaj robi? I dlaczego jesteście
do połowy rozebrani?

Przyzwyczajona do nagości Mel nie zwraca uwagi na jego pytanie.

— Masz bardzo piękne mieszkanie, Natalie — stwierdza. — Mogę się rozejrzeć?

— Oczywiście — odpowiadam, a Matt wykrzykuje:

— Facet coś za bardzo warczy, nie sądzisz, Natalie? Może chce jakiegoś gnata?

— Matt — mamroczę. — Ciii. Napijcie się czegoś? — zwracam się do Tony'ego i jego part-
nerki.

Mel zakłada włosy za ucho i przypomina sobie o obecności mężczyzn. Jej motylkowe spojrze-
nie osiada na Andym.

— A ty kim jesteś? — pyta, sepleniąc.

— Mam na imię Andy.

— Aha. Andy. No, Andy, czego powinnam się napić? Mieszkasz tutaj, prawda? Oprowadzisz
mnie?

Tony rzuca mu ostre spojrzenie, jednak Andy nie zwraca na to uwagi.

— Nie mam pojęcia, czego chciałabyś się napić — odpowiada. — To mieszkanie należy do Nat.
Ona pewnie chętnie cię oprowadzi. — Uśmiecha się do niej, ale jego oczy pozostają nie zmienione. Na
jej twarzy maluje się zdumienie. Przyzwyczała się, że faceci chętnie przejmują podaną przez nią pa-
leczkę.

Czuję, jak ogarnia mnie litość.

— Powinnaś spróbować Soviet Strike, Mel — odzywam się. Tony, który stracił poczucie hu-
moru, trąca Chrisa w kostkę, a ten budzi się od razu, chwytą obiema rękami za czoło i zaczyna jęczeć.
Spostrzegając Toniego, przyjmuje postawę siedzącą.

— To ty! Musimy sobie coś wyjaśnić — mówi chrypliwym tonem.

— Tak? No to zaczynaj!

— To ty namówiłeś moją kapełę, żeby przeszła do Piersa. Chłopaki naruszyli warunki kontraktu...

— Co ty gadasz? Jakiego kontraktu? Mieliście jakiś kontrakt? Chyba nie. Masz do mnie coś jeszcze? Nie? No to dobrze. A teraz się zamknij. Chris podnosi się.

— Ale... ale... Gdzie moja koszula? — mamrocze. — A moja skórzana marynarka?

— Tam jest twoja koszula — informuję spokojnie, pokazując na stertę ubrań. — Chyba Bel nie chciała ci jej uprać...

— Ale uprałam ci marynarkę! — krzyczy piskliwym głosem Bel, wpadając do pokoju i wymachując czymś zamszowym. — Tylko się trochę... no trochę...

— Moja marynarka! Kurwa mać, zniszczyłaś mi marynarkę! Ty szajbusko! Ty... dałem za nią sześćset pięćdziesiąt funtów! Markowa marynarka! Coś ty zrobiła... łeb mi pęka... zabieram się stąd... po co ja tu przychodziłem? Wszyscy macie z gorem, przynajmniej niektórzy...

— Aleśmy się przejęli! — odpowiada Andy.

— Co to znaczy: z gorem? — pytam zdumiona.

— To, prawdopodobnie, oznacza, że jesteśmy stuknięci — wyjaśnia Andy. — Crispian pewnie nauczył się takiego języka od mieszkańców londyńskich slumsów!

— Tony, ty to potrafisz dobierać słowa — stwierdza Matt, kiedy Chris ucieka w popłochu.

— Chyba nie masz zamiaru teraz się z nim kłócić, prawda, Matt? — pyta Robbie.

— Zmarnowałam kilka godzin na upranie tyj marynarki! — wykrzykuje Bel. — Już nie pamiętam ile! Mam go gdzieś! Strasznie jezdem głodna. Ide po coś do żarcia.

— No to kup jakieś chipsy z rybą, dobra?

Bel nie słucha tego, co mówi Robbie, i chwiejnym krokiem kieruje się do drzwi. Mój brat staje jej na drodze i dziewczyna zatrzymuje się.

— Ty jezdeś bratem Nat, nie?

— A co cię to obchodzi? — warknął Tony.

— Wiesz co — mówi Matt. — Gbur z ciebie. — Zamierzam się, żeby go kopnąć, ale mi nie wychodzi.

— Przestań, Nat — mówi Andy. — Jesteś jedyną osobą w tym pokoju, która boi się Tony'ego. Wielki tato niedźwiedziu, kiedy to stałeś się takim twardzielem?

Mel zaczyna chichotać.

— On nie jest twardzielem, on jest najmiłszym facetem na świecie! Ale nikt mnie jeszcze nie spytał, jak tam moje przedstawienie.

— Bo wszyscy, kochanie, wiemy, że tańczyłaś jak marzenie.

— Nieprawda! Byłam okropna! Plecy mnie bolały, stopy strasznie piekły, to była męczarnia. Tańczyłam jak wielka, niezgrabna słońca.

— Tańczyłaś lekko jak motylek i miałaś nienagane ruchy — pocieszają Tony. — Choć nie podobało mi się, jak ten zbereźnik Oscar się na ciebie gapił.

— Przecież to — stwierdza Matt — *Romeo i Julia*.

— Z tobą nie gadam!

— Wracaj do swojej budy — odpowiada Matt.

Pięć głów odwraca się w stronę Tony'ego, który otwiera buzię ze zdumienia.

— Co... do... budy...? Zmusisz mnie?

Pięć głów odwraca się równocześnie w stronę Matta.

— Jeśli mnie sprowokujesz.

Mój brat wybucha hałaśliwym śmiechem.

— Chciałbym to zobaczyć! Co zrobisz? Walniesz mnie swoją torebką?

Matt przewraca oczami na znak całkowitej nudy. Tony robi się czerwony ze złości.

— Co? Co? No to chodź! Wyjdziemy na dwór?

Po kilku minutach Tony dowiaduje się, że geje pochodzący z Exmouth potrafią się dobrze bronić — no, przynajmniej w tym konkretnym przypadku. Matt znokautował mojego brata jednym ciosem. Ale choć zepsuł efekt końcowy, płacząc nad swoimi posiniaczonymi pięściami, Andy i Robbie ogłaszają go bohaterem wieczoru. Po cichu zgadzam się z nimi.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

O dziesiątej trzydzieści dziewięć dzwoni telefon, wrywając mnie ze skacowanego, męczącego snu.

— Ty śmierdzący leniu!

— Alex — zachrypiałam. — Dobrze się czujesz? (Moja ociężała głowa i ucisk w żołądku potwierdzają, że „Dobrze się czujesz?” jest bardziej na miejscu niż „Dzień dobry, jak się masz?”).

— Nieźle. Dzięki, Natalie, a ty?

Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko skłamać.

— Wspaniale. No i jak spędziłaś weekend? Fajnie było? Obawiam się, że moje weekendowe wyczyny są zbyt wielką próbą jak na tak niedawno zrodzoną przyjaźń, dlatego ponownie dopuszczam się kłamstwa.

— Super! A teraz ja ci coś powiem — zaczyna, a ja czuję, jak jej głos wierci mi dziurę w czaszce. — Wczoraj rozmawiałam z moim nauczycielem pilates, Robinem, a jutro idę do jego studia. Chodzę tam dwa razy w tygodniu i prowadzę zajęcia. Powiedziałam mu, że mam przyjaciółkę, która

zainteresowała się tą metodą. Odparł, że chętnie wprowadzi cię w arkana. Jeśli mówiłaś poważnie, to Robin jest do twoich usług. Jeśli masz jutro czas, spotkajmy się u niego. A jeśli nie, to zadzwoni do ciebie i pogadacie sobie przez telefon.

Szybko oznajmiam:

— Nie, nie, mam wolne. Do zobaczenia o czwartej ! — Wparowuję do kuchni i zapisuję informację o spotkaniu w moim ogromnym kalendarzu biznesowym (który jest mniej więcej rozmiarów średniowiecznej kroniki). Nie ma Andy'ego i to mnie wcale nie dziwi. Udało nam się osiągnąć to samo stadium, co para małżonków ze średniej długości stażem: w towarzystwie jesteśmy wspaniałymi przyjaciółmi, natomiast prywatnie nasze stosunki są raczej ciepławe. Zagryzam usta, wchodzę do salonu i blednę. Pokój wygląda jak siedziba dzikich lokatorów, a w powietrzu unosi się kompatybilny z tym odór. Mieszanka zapachów: psa basseta i alkoholu po sufit wypełnia mój reprezentacyjny pokój. Po podłodze walają się butelki po likierze wiśniowym. Kolorowe plastikowe elementy z Piratów leżą zgniecione na dywanie — chyba Andy niechcący na nie nadepnął. A moja piękna, beżowa, zamszowa kanapa klei się od brudu.

Biegnę do kuchni po tabletki od bólu głowy, ale w kredensie ich nie ma.

— Świeże powietrze dobrze ci robi — stwierdzam sarkastycznie, cytując swoją matkę. A jednak to nieprawda. Ze zwieszoną głową wlokę się do apteki. W drodze do domu ogarnia mnie drzenie. Od czasu do czasu spoglądam wyczekująco na telefon, ale nikt nie dzwoni. Wciskam 1471.

— Miałaś wiadomość o jedenastej zero jeden — odzywa się damski głos niezadowolonym tonem. — Dzwoniący nie podał swojego numeru.

Kto to mógł być? Babs? Niemożliwe. Tony? O Boże, powinnam chyba wynająć ochronę. Jedenasta zero jeden. No pewnie! Początek przerwy na kawę mojej mamy. Ale przecież ona zawsze zostawia mi wiadomość — pięć dla pewności. Nie mam ochoty do niej dzwonić. Przypominają mi się moje niedzielne wrzaski i czuję, że mi niedobrze — jeszcze bardziej. Wolałabym wmieść ten incydent pod dywan, a potem przykleić go do podłogi. Przez dwadzieścia sześć lat nie podniosłam na nią głosu („Byłaś takim grzecznym dzieckiem! To do ciebie niepodobne!“). Co ona teraz o mnie myśli?

Próbuję się skupić. Do tej pory nigdy, ale to nigdy, nie piłam w poniedziałek wieczorem. Wtedy cały tydzień jest do niczego.

Pomyśl, Natalie! Muszę przyznać, że kiedy wychodziłam, mama nie sprawiała wrażenia psychicznie wykończonej. Stojąc na progu, pomachała mi ręką na pożegnanie.

— Zastanów się, jak chcesz spędzić swoje urodziny! — Moja mama ma się tak do zamęczania innych, jak Teksas do ropy naftowej. Od kiedy sięgam pamięcią, obchodziła je, prowadząc na siłę mnie i Tony'ego do Odettes — eleganckiej restauracji w Primrose Hill — na wystawny obiad. Chyba sugerowała, że gdybyśmy chcieli, to zabrałaby nas do teatru. Zawsze potrafiła przekazywać swoje opinie w irytujący sposób.

— Cześć, mammo! — witam się szybko, zanim stracę odwagę.

— Witaj, kochanie! — wykrzykuje. — Cieszę się, że zobaczymy się w niedzielę. Jak się czujesz? — W jej głosie wyczuwam lekkie zdenerwowanie.

— Też się cieszę, że się zobaczymy — nieprzekonywująco powtarzam jej słowa, zastanawiając się, czy to możliwe, że marzyłam o weekendzie. — Czuję się świetnie, a ty?

— Dobrze, kochanie, dziękuję. Nie chciałam ci przeszkadzać i dlatego nie zostawiłam żadnej wiadomości. Chciałam prosić cię o radę, a nie twojego brata. Ale to może poczekać. Przecież wiem, że jesteś zajęta.

Z trudem powstrzymuję się od śmiechu. Przecież znam swoją mamę.

— Teraz już nie — odpowiadam.

— Naprawdę? — pyta zaniepokojona. — Nie masz pracy? A co z delikatesami?

— Mam pracę. Ale nie w tej właśnie chwili. I... hm... nie w delikatesach. Pokłóciłam się z Babs.

— Naprawdę? — pyta przerażona. — Ale dlaczego? Przecież miałaś u nich pracować!

— Nie całkiem — odpowiadam spokojnie. — To miała być tylko praca na jakiś czas.

— No zawsze to jakieś rozwiązanie — przerywa i stara się poprawić. — Ufam, że masz jeszcze jakieś inne perspektywy — dodaje, jakby czytała jakiś trudny do odcyfrowania scenariusz.

— No to powiedz mi — ścisza głos do konspiracyjnego szeptu — co się stało Barbarze?

— Nic takiego — kłamię gładko. Ile jeszcze czasu upłynie, zanim te tabletki przeciwbólne z epoki kamiennej zaczną działać? — Wszystko będzie dobrze. Nie martw się delikatesami i proszę cię, nie mów nic mamie Barbary. Po prostu postanowiłam zmienić zawód. — Biorę głęboki oddech i staram się powiedzieć to zdecydowanym tonem. — Chcę się zapisać na kurs dla instruktorów pilates — to takie ćwiczenia, które wzmacniają umysł i ciało. Nawet starsi ludzie — oświadczam, aby ją sobie zjednać — chciałam powiedzieć dojrzałsi, mogą je uprawiać. Mam zamiar zapłacić za to z zaoszczędzonych pieniędzy. Poza tym będę robić zlecenia dla Matta, a do tego mam lokatora. Więc z głodu nie umrę, wszystko będzie dobrze. To praca odpowiednia dla mnie, nie ma potrzeby się zamartwiać.

Nastąpiła długotrwała, złowieszczą cisza.

— Kto — pyta, a głos ma tak napięty jak rozciągnięty, elastyczny bandaż — wspomniał coś o zamartwianiu się?

Jestem uradowana jej opanowaniem — to dowód, że naprawdę dotarło do niej to, co wyrzeszczałam jej wtedy wieczorem. Dopiero kiedy siedzę sobie w małej, obskurnej recepcji w Crouch End o trzeciej czterdzieści pięć, czekając na Alex, przypomina mi się, że nie spytałam matki, w jakiej kwestii chciała się poradzić. Kiedy wrócę do domu, od razu do niej zadzwonię. Zapisuję sobie tę uwagę w moim kalendarzu, który dzięki temu sprawia miłe dla oka wrażenie zapełnionego.

O czwartej zero sześć drzwi prehistorycznej windy, znajdujące się naprzeciwko wytartej kanapy, na której siedzę, otwierają się i wychodzi z niej Alex w towarzystwie potężnego, ogolonego na łyso

faceta o niebieskich oczach i czarnych rzęsach. Ma na sobie adidas, spodnie od dresu i poplamiony fioletowy T-shirt. Obdarzony jest wrodzonym wdziękiem i boską posturą.

— Natalie, co za niespodzianka! — oświadcza Alex z uśmiechem — przyszedł na czas.

Robin zaprasza nas do kawiarni obok. Z czysto naukowego punktu widzenia nie potrafię odebrać od niego oczu. Kiedy już zamówiliśmy kawę bezkofeinową z mlekiem, herbatę rumiankową i mineralną niegazowaną (ale zaszałeliśmy!), Robin pyta:

— No to teraz, Natalie, powiedz mi — dlaczego pilates? Zarumieniłam się.

— No... — A w duchu dodaję: „Poczekaj chwilę, ja za to płacę, prawda?”. — Ostatnio zajmowałam się public relations i nie było w tym wiele duchowości. — Mam wątpliwości, czy „duchowość” to odpowiednie słowo, dlatego dodaję pospiesznie: — Dlatego teraz pracuję dla nich dorywczo. Dozłamałam do wniosku, że chcę zająć się czymś, co będzie mi dawało satysfakcję. Kiedyś dużo biegałam, ale zaczęło mi skrzypieć w kolanach. Potem spróbowałam pilates, Alex podsunęła mi ten pomysł, i bardzo mi się spodobało. To mnie uspokaja i nigdy dotąd tak się nie czułam. To zupełna odmiana od tego, do czego jestem przyzwyczajona, ale uzależniłam się. Bardzo chciałabym w ten sposób zarabiać na życie. Mam nadzieję — dodaję pospiesznie — że to nie zabrzmiało źle.

— Wcale. — W czasie rozmowy Robin delikatnie gestykuje. — Kiedy ktoś mi mówi, że chce poznać pilates, muszę wiedzieć dlaczego. A ty podałaś bardzo przekonujące powody.

Czuję się nadzwyczaj zadowolona, jakby nauczyciel krzyknął: „Najbardziej lubię jabłka!”. Robin uśmiecha się.

— Ktoś, kto chce ze mną ćwiczyć — mówi — musi przychodzić na zajęcia i zacząć od trenowania ciała — przez minimum pół roku dwa razy w tygodniu. Nie lubię skracać tego okresu. Czas ma w pilates duże znaczenie. Trzeba pozwolić ludziom na zmiany rytmu.

Jak ktoś, kto zawsze walczył ze zmianami z determinacją źle wyszkolonego psa, który za nic nie da sobie wydrzeć z pyska kaptura, kiwam głową i wykrzykuję:

— Masz zupełną rację!

— Cały kurs trwa dwanaście miesięcy. Na część praktyczną trzeba poświęcić dwanaście godzin tygodniowo w studiu ze mną. Każdy z instruktorów musi doskonalić własną metodę myślenia.

Przez cały czas mówi i mimo licznych wątpliwości bez przerwy kiwam głową, aż wreszcie czuję, jakby mi się coś w karku poluzowało. Pięć tysięcy funtów za wątpliwą przyjemność samodoskonalenia procesu myślenia! Będę się uczyć o własnym organizmie, stabilizacji rdzenia (cokolwiek by to miało znaczyć), analizie postawy ciała i poruszania się w odniesieniu do innych ludzi (innych ludzi? ale nudy?), po za tym ćwiczenia podstawowe i lecznicze, aż wreszcie tradycyjne ćwiczenia pilates w studiu, ćwiczenia na macie i korzyści z nich płynące, a potem praktyka, aż wreszcie egzaminy. Możemy zacząć od jutra.

Od jutra?!

— Czy nie powinieneś sprawdzić, czy się nadają?

— Przez sześć miesięcy będziesz ćwiczyć w studiu, zanim zdecydujemy, czy kontynuować kurs — odpowiada Robin. — To wystarczy, by cię sprawdzić, nie uważasz?

— Nie mam nic przeciwko egzaminom — informuję Alex, kiedy Robin opuścił kawiarnię, a oczy wszystkich — czy facet, czy kobieta — gości zwróciły się ku niemu. — Mogę wszystko wykuć na pamięć. Najbardziej jednak boję się tego myślenia. Zawsze uczyli mnie tylko słuchać.

Alex potrząsa głową.

— Posłuchaj, Natalie — oświadcza — człowiek nie czuje się szczęśliwy, jeśli ma jakieś zmartwienia. Pilates nauczy cię, jak się ich pozbyć. To da ci opanowanie, ale jednocześnie swobodę. Robin chciał tylko ci wytłumaczyć, że w końcu nie będziesz mówiła językiem, jakim on rozmawia ze swoimi klientami. Będziesz używała własnego, taki bardziej będzie ci bowiem odpowiadał. Dostosujesz ćwiczenia do siebie. I jeśli teraz się denerwujesz, nie przejmuj się, bo to oznacza, że nie będziesz pewna siebie, tylko ostrożna. A to ważne, kiedy ma się do czynienia z delikatną konstrukcją człowieka. Ale — tu się uśmiecha — spokojnie, dziewczyno, masz jeszcze dużo czasu.

Z wdzięcznością kiwam głową, połykam jeszcze kilka tabletek na ból głowy i zamierzam zmienić temat.

— Masz rację. Trudno mi tylko w to uwierzyć, że jestem już tak blisko. Nigdy nie podejmowałam żadnego ryzyka, nigdy! Nie należę do ludzi, którzy działają pod wpływem impulsu. Ale czuję, że dobrze robię. Czuję, że to będzie dla mnie... dziwne słowo, zdrowe. Jestem podekscytowana, ale jednocześnie trochę się boję. Dlatego zaczynam się łamać. No, ale co u ciebie?

Alex palcem przesuwa po brzegu filiżanki.

— Niezbyt dobrze.

— Niezbyt? — Wzdycham głęboko. Sądziłam, że jej życie jest usłane różami. — Co się stało?

Wzrusza ramionami.

— Nic ważnego.

Nie mogę się powstrzymać, by nie zapytać:

— A dokładniej? Alex wzdycha.

— W zeszłym tygodniu — rozpoczyna — ktoś włamał się do mojego samochodu, wybił szybę, zwędził stereo, a stało się to dokładnie następnego dnia po wygaśnięciu mojego ubezpieczenia. Nie uwierzyłabyś, Natalie, ile miałam z tym kłopotów. A na dodatek w tym tygodniu pojechałyśmy z młodszą siostrą przyjaciela do Aldershot. Poszłyśmy do pubu i przyszli tam jacyś faceci. To chyba byli jacyś rekruci. Wiesz, tacy chamowaci, biali faceci. Tacy, co to im się podobasz, ale nie chcą cię ze względu na twój kolor skóry. Siedział tam jeden przystojniak, który patrzył na mnie, a dziewczyna, z którą przyszedł, stwierdziła tylko: „Ale czarna”. Rzuciłam do siostry: „Zbieraj się, idziemy!”. Wiesz, Natalie, to był szok. Jestem dziewczyną z dobrego domu. Wychowałam się w Islington, na litość bo-

ską! A na dodatek, kiedy przyjechałam do domu, moja starsza siostra, Louise, oznajmiła mi, że mój pies najadł się czegoś w parku i w nocy szesnaście razy wymiotował. Pojechała z nim potem do weterynarza, zrobili mu operację i znaleźli w żołądku kości, gałęzie i dzikie jabłka. Nic mi nie powiedziała, ponieważ „wiem, jak uwielbiasz to stworzenie”. Teraz już wszystko z Miffy w porządku, ale ostrzegalam ją, że przy pierwszej, nadarzającej się okazji nasz pies i tak zacznie buszować po śmietnikach! To jego ulubione zajęcie! Andy, mój były — mój były chłopak nazywał to śmietnikowym uzależnieniem Miffy. Nieważne. Natalie, nie mogę sobie z tym wszystkim poradzić! — Alex podnosi na mnie wzrok. — Pytałaś, to ci powiedziałam.

Kiwam głową. Wstyd mi z powodu tego rasistowskiego incydentu prawie tak, jakbym sama była za to odpowiedzialna. Nic nie przychodzi mi do głowy, żadne właściwe a jednocześnie niepretensjonalne słowa. Ogarnia mnie złość wobec tej głupiej baby z pubu. Miałabym ochotę dać jej po pysku, ale — wstyd się przyznać — to nie zdarzenie w pubie odebrało mi mowę. W końcu odzyskuję głos.

— Rzeczywiście miałaś okropny tydzień — odzywam się.

— Współczuję ci.

Uśmiechamy się do siebie we wzajemnej empatii. W głowie czuję zamęt i kiedy tak siedzę, wołam do siebie w duchu: „Co? co? Miffy, znam to imię i, mój Boże, to nie może być Andy. Na świecie są miliony facetów o takim imieniu. Chyba nie zwariuję? Jak mogło do tego dojść?”.

Gdyby tutaj była Babs — no właśnie, gdyby tutaj była, na pewno nie doszłoby do takiej kompromitacji, ale — gdyby Babs tutaj była, stwierdziłaby, że powinnam ugryźć się w język. I nie potrafię dłużej utrzymać go za zębami.

— Alex — wyrzucam z siebie. — Może to pytanie wydać ci się głupie, ale czy ty rzeczywiście masz na imię Alex?

Mruży oczy.

— Wcale nie jest głupie — odpowiada żartobliwym tonem.

— Przecież Alex to zdrobnienie od Alexandra, ale po rozwodzie zaczęłam się przedstawiać jako Alex. No wiesz, nowe życie i tak dalej. Wróciłam też do swego panińskiego nazwiska. Mój mąż nazywał się — chichocze — Clench.

Milczę. Nie byłoby kulturalnie, gdybym też zaczęła chichotać, poza tym moje zapasy dobrego humoru nagle się wyczerpały.

— Chyba — dodaje — mogłabym nazwać siebie Sandy albo Sandra, albo jakaś Olivia Newton-John. — Przerywa i bierze łyk zimnej, rumiankowej herbaty.

— No to — naciskam, znając już odpowiedź, ale czuję potrzebę, by ją usłyszeć — powiedz mi, jak się nazywałaś przed rozwodem?

— Sasha — odpowiada. — To najładniejsze zdrobnienie od mojego imienia!

— Sasha — powtarzam jak echo.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Choć poziom mojej wiedzy ogólnej zawsze był przerażająco niski (co przypisuję zakazowi posiadania telewizora w swoim pokoju), to nigdy nie uważałam się za idiotkę. Czasami mówiłam do siebie „ty idiotko”. Kiedy na przykład zostawiłam włączone światła w samochodzie, ale ze mnie idiotka — lecz przecież wszystkie kobiety mówią, że są idiotkami, nie biorąc tego na serio. Ale teraz mówię poważnie. Ale ze mnie idiotka, co za tuman! Posiadam mózdzek pieczonego gołąbka. Jestem głupia jak kapuściany głąb.

Kiedy sobie uświadomię, jak jestem bezdennie głupia, załamuję się — co z kolei zaprzecza mojemu przekonaniu — że tylko inteligentni ludzie załamują się, ci głupi są bowiem zbyt głupi, aby uświadomić sobie, jak są głupi i z tego powodu się załamać.

Czy mam coś na swoje usprawiedliwienie? Na moją korzyść przemawia fakt, że nie poznałam Alex, kiedy ona spotykała się z Andym — ta kombinacja ma tak mało wspólnego z nim, szczególnie po pocałunku, bo przecież pracował w słonecznym Aldershot przez pierwszy roku znajomości z Alex, a potem w City. Za to na moją korzyść nie przemawia fakt, że najślawniejszy jasnowidz, nawet w grubej opasce na oczach, przewidziałaby, że to nastąpi.

Wyduśiłam z siebie podziękowania, że przedstawiła mnie Robinowi i dodałam, że się z nią skontaktuję. W drodze do domu mamrotałam na głos:

— No i co teraz? Cholera, nie wiem! Ty durna idiotko! Witaj! McFly! — (To mój i Babs ulubieniec z *Powrotu do przyszłości*, kiedy największy łobuz w klasie walnął ojca bohatera w czoło, żeby dowiedzieć się, czy ktoś jest w domu. Powołujemy się na tę scenę w chwilach największej głupoty). Jakimś cudem, nie zwracając uwagi na znaki drogowe i pozostałych kierowców, udało mi się dojechać żywo do Primrose Hill. Marudzę podejrzanie przed swoim domem, aż sąsiadka wychyla się do połowy z okna i dopytuje się:

— Czy mogę w czymś pani pomóc?

— Nie — odpowiadam, wytrzymując jej wzrok, aż w końcu baba wycofuje się.

Wracam do samochodu, na wypadek gdyby miała się ponownie wynurzyć i rzucić się na mnie z Le Creuset. Zaczynam zachowywać się tak prostacko jak mój brat. Co, u diabła, powiem Andy'emu? Czy w ogóle powinnam mu coś mówić? Przecież nie musi wiedzieć, że ja ją znam. Ale prędzej czy później sam się dowie. Alex już do mnie dzwoniła, co, jeśli podniósł słuchawkę? Mogłabym powiedzieć, że odcięli mi telefon i podać jej numer swojej komórki. Ja tylko... nie chcę, żeby tych dwoje się spotkało. Strasznie się boję. Chociaż Alex, Sasha, nieważne jak ma na imię, nigdy nawet słowem o

nim nie wspomniała. Jeśli nadal go kocha, przecież by coś wspomniała na jego temat. Jeśli kobiecie podoba się jakiś facet, będzie wciskać jego imię do każdej rozmowy. Ale ona nigdy tego nie zrobiła.

Jednak on nadal za nią szaleje — to widać. Nie chcę, żeby się spotkali. Powoli może jej nieskalanym obraz w jego głowie zacznie znikać. Ale jak może do tego dojść, jeśli — szlag by to trafił — ta złowieszcza eks stała się moją przyjaciółką? Rany, Andy nadal sądzi, że ona jest mężatką! Kiedy — szkaradnym zbiegiem okoliczności — złowieszcza eks okaże się dobrą wróżką, łagodną, dobrą kobietą, która pożałowała swojej przeszłości (swojego ostatniego puszczenia go kantem i zostawienia męża)? To takie niesprawiedliwe. Były zawsze są takie złe — uosobienie zła w wysublimowanej postaci. Dlatego wiemy, jak z nimi postępować. Można je znienawidzić z czystym sumieniem, można życzyć im jak najgorzej i mieć nadzieję, że mleko życia skwaśnieje dla nich, z przeświadczeniem, że są do szpiku kości złe i że zasługują na taki los.

Z pewnością zakocha się w nim ponownie. Hasło: „Idź za głosem serca” zaprowadziło ją w ślepe zaułki. Spotkanie z Andym będzie jak wślizgnięcie się w swoje ulubione, znoszone adidasy po krótkim i bolesnym szaleństwie ze szpanerskimi, wysokimi, czerwonymi, markowymi szpilekami. Przyjemne uczucie zażyłości będzie nie do odparcia! Miałam takie uczucie, oglądając scenę *Szczęk*, kiedy to bohaterzy są w małej łódce na środku mrocznego morza, podśpiewują w pijanym amoku, panuje przyjemna i wesoła atmosfera, a ten fantasia we mnie ma nadzieję, że w tej wersji filmu rekin dojdzie do wniosku, że nie znajduje się na dość wysokim szczeblu ewolucji, by żywić urazę do tej grupki ludzi, i odpłynie — i nikt nie zostanie zjedzony. Patrę na ekran ze świadomością, że najgorsze dopiero nastąpi, choć nadal żywię słabą nadzieję, że być może oglądam tę nieudaną wersję przeznaczoną dla wrażliwców, którzy nie mają dość siły, by spojrzeć prawdzie w oczy.

Ale tak się nie stanie. Alex dostanie Andy'ego — to tak pewne jak to, że rekin dostanie swój obiad w ludzkiej postaci. Tylko zacierzewienie trzyma ich od siebie na dystans. Ale ja chcę Andy'ego. Chcę go, bo wiem, że Alex będzie go chciała. Chcę go, Babs bowiem nie chce, żebym go miała. Chcę go, ponieważ po trzykroć nie mogę go mieć. Ale najbardziej to chcę go, bo jestem w nim zakochana. Nie dlatego, że jest zarezerwowany dla innej, ale ponieważ go kocham. Z wszystkich facetów, jakich mogłabym mieć, i z wszystkich tych, których nie mogłabym mieć, kocham właśnie jego. Kochałabym go i na bezludnej wyspie, kochałabym go i w chorobie, kochałabym go, gdybym była tylko jedną osobą na świecie, która go wybrała. Kochałabym go nawet — i to jest prawdziwy dowód miłości — gdyby moja matka go zaaprobowała. I tak będzie. Naprawdę go kocham.

Oczami wyobraźni widzę niezmaconą niczym przyszłość, kiedy to budzimy się z Andym, mieszkamy ze sobą, kochamy się i gotujemy razem — do tego czasu na pewno wyzdrowieję — i dwa razy dziennie uprawiamy seks (przeciętna krajowa to dwa razy w tygodniu, ale przecież nas stać na więcej), a ja jestem właścicielką studia pilâtes, robię bowiem karierę w swoim zawodzie, i na dodatek czuję się świetnie, incydent z łysieniem mam za sobą i... moje obrazy płowieją i znikają, rzeczywistość

bowiem stuka do okna: „Przepraszam, ale co się stało z Alex?”. Przecież to twoja przyjaciółka. Jej kumpel, Robin, uczy cię pilates, w pewnym momencie wasze drogi życiowe musiały się skrzyżować. Alex i Andy pewnie się spotkali i co się stało potem? Muszą się spotkać. Dochodzę do wniosku, że lepiej od razu dowiedzieć się najgorszego, niż marnować wiele miesięcy na płonne nadzieje.

Przez kolejne dziesięć minut siedzę w samochodzie i zastanawiam się, czy Andy pojawi się pierwszy i dlatego zaczynam szukać wzrokiem jego niebieskiej astry. Dostrzegam ją, no tak, tam stoi, zżerana przez rdzę, psująca koloryt dzielnicy. Mogłabym, gdybym była bezczelna, wejść do środka — przecież to mój dom — i powiedzieć, jak bardzo chcę, żeby „coś było między nami” — przepraszam Babs, przepraszam Alex — i moglibyśmy podpisać cyrograf (pięć miliardów funtów kary za pogwałcenie warunków kontraktu), który potwierdzałby, że nasz związek na wyłączność jest od tej chwili dozgonny. Mocno zagryzam wargi. Po chwili nachodzi mnie natchnienie. Najpierw zadzwonię do Robbiego.

Przewracam nerwowo kartki mojego brudnego, starego kalendarza i szukam jego numeru — oto dowód na to, jak stałam się niedbała, że jeszcze nie przepisałam numerów znajomych do swego nowego kalendarza.

— *Chérie!* — wykrzykuje Robbie, wymawiając miękko to słowo. — Świetnie się bawiliśmy! Jeśli dzwonisz, to znaczy, że nie obraziłaś się na mnie. Pewnie podobały ci się moje spodenki. Czy to oznacza, że nadal jest cień nadziei?

— To zależy, co rozumiesz przez słowo „nadzieja” — odpowiadam posępnym tonem. — Jeśli kojarzysz ten wyraz z czapami polarnymi i mną — to nie.

— Wiesz, Natalie, dlaczego cię kocham? — pyta. — Posiadasz niesamowite poczucie humoru. A ja mam bejsbolówkę, którą mogę ci pożyczyć. Co cię gryzie?

Już zamierzam palnąć test o skopaniu sprawy, kiedy coś mnie powstrzymuje.

— Nic — odpowiadam. — Posłuchaj, ja... hm. — Jak zacząć? — Wczoraj wieczorem zabawa była przednia, ale pozostał bałagan, dlatego zastanawiałam się, czy nie wydać obiadu. No, może kolacji, takiej na luzie, dla kilku gości, dlatego teraz do ciebie dzwonię, hm, dziś wieczorem, jeśli moi goście będą mogli przyjść. Ty jesteś jednym z zaproszonych.

Co najlepszego zrobiłam? Po co to powiedziałam? Kolacja? Nie cierpię jeść pod nadzorem. Teledyktownie próbuję zmusić go do odmówienia mi z powodu randki ze swoim szerokoekranowym telewizorem.

— Nie pytam, skąd ten pośpiech. Po prostu powiem tak i ustawię wideo.

— Świetnie, super — oświadczam załamana. — No dobra... hm... teraz jest szósta, to zadzwonię jeszcze do innych i jeśli nie odezwę się do ciebie w ciągu dwudziestu minut, to... hm... do zobaczenia... hm... o ósmej.

— Świetnie.

Rozłączam się, dostrzegam jakiś cień, podnoszę głowę i widzę ogromną twarz przyciśniętą do szyby samochodu. Już mam zamiar wrzasnąć, kiedy zauważam, że to Andy. Z największą godnością, na jaką mnie stać (z otwartą szeroko do krzyku buzią), opuszczam szybę.

— Siedzisz już w tym samochodzie przez pół godziny i wyglądasz jak konspirator — stwierdza.
— Albo przeszkadzam w jakiejś policyjnej inwigilacji, albo po prostu mnie unikasz.

— To pierwsze.

Przez chwilę przygląda mi się badawczo.

— Rozumiem, że przemyślałaś moje pytanie i odpowiedź brzmi: nie.

— Andy — rzucam — masz czas dziś wieczorem?

— To zależy. Jeśli to dotyczy Sang Thip albo twego brata, to chyba nie. Dlaczego pytasz?

— Zaraz ci powiem — odpowiadam szeptem. — Może wejdiesz do domu, ja za chwilę przyjdę. Tylko muszę gdzieś zadzwonić.

Andy mruży oczy i czuję, jak serce mi pika.

— Poczekaj — wyjąkałam. — Myślałam o tym, co powiedziałeś i — zaciskam mocno pięści — moja odpowiedź nie brzmi: nie. Ale — dodaję pospiesznie, kiedy jego twarz rozpromieniła się w uśmiechu — potrzebuję trochę więcej czasu. To nie są żadne gierki z mojej strony, dlatego dziś wieczorem dam ci odpowiedź. Rozumiesz.

— Mam nadzieję — odpowiada i ciężkim krokiem wchodzi do środka. Patrzę, jak zamykają się za nim drzwi, wzdycham głęboko i dzwonię do swego ostatniego gościa. Czuję się jak Herkules Poirot gromadzący podejrzanych w jednym pokoju.

— Alex! — mówię płaczącym głosem, kiedy podnosi słuchawkę. — Dzięki Bogu! Gdzie jesteś?

— To ty, Natalie? Siedzę w autobusie. Samochód oddałam do naprawy. Jadę na zajęcia. Chcesz wpaść? Mogę cię jeszcze wcisnąć do jakiejś grupy.

— Och nie! Chętnie bym przyszła, ale nie mogę. — Dlaczego to nigdy nie przydarza się Herkulesowi? — Ale powiedz mi, Alex, o której kończysz?

— O ósmej. Dlaczego?

— Posłuchaj — staram się mówić opanowanym głosem. — Czy mogłabyś przyjść do mnie na obiad? Wiem, że późno cię o tym zawiadamiam, a jest wtorek, to pewnie będziesz skonana. Będziesz musiała wziąć taksówkę, ale mam dla ciebie niespodziankę, coś w rodzaju: dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś i...

— Dobrze, będę.

— Wiem, że do mnie to kawał drogi, ale kiedy przyjedziesz, zrozumiesz dlaczego i...

— Spokojnie, Natalie. Wyluzuj! Fajnie, zgadzam się!

Kolejny dylemat. Czy powinnam uprzedzić moją rywalkę o obecności mężczyzny, który stanowi przedmiot naszej rywalizacji? Udało mi się wy stękać:

— Wspaniale. Przyjdzie jeszcze parę osób. — Nie potrafię niczego jasno wytłumaczyć. — No to załatwione — mamrocze i ociężale wchodzi do środka. Z pokoju Andy'ego dochodzi mnie hałas, jakby ktoś przesuwiał beczki. Stukam do drzwi.

— Co tam? — krzyczy.

Naciskam klamkę, ale drzwi nie ustępują. I on mówi, że to ja zachowuję się jak dziecko!

— Andy, gotuję obiad dla ciebie — wrzeszczę przez dziurkę od klucza — dla ciebie, Robbiego i dla mojej przyjaciółki. On wpadnie o ósmej, a moja przyjaciółka, Alex, pojawi się o wpół do dziewiątej albo o dziewiątej. No to teraz wzięłbyś prysznic i przygotował się?

Słyszę trzask i drzwi otwierają się gwałtownie.

— Jakbym słyszał swoją mamę — oznajmia z przekąsem.

— Pewnie dlatego, że zachowujesz się jak nastolatek — odburknęłam, próbując powstrzymać się od śmiechu. Przychodzi mi na myśl Alex i ten obraz zdecydowanie pomaga.

— A co robisz, bo właśnie zjadłem kanapkę z wołowiną.

— Szkoda — odpowiadam niezadowolona. — Będziesz musiał zmusić się do obiadu...

Dobre pytanie! Co ja robię? Cokolwiek to będzie, to zostało mi tylko półtorej godziny. To znaczy, po tym jak kupię coś gotowego. Rozglądam się dookoła niewidzącym wzrokiem, szukając pomysłu i kieruję wzrok ku jego butom. Nie do wiary! Jest z Londynu!

— Co takiego? — pyta, zauważając moją zdumioną minę.

Milczę. Próba ułożenia życia uczuciowego innych przypomina pracę nauczyciela z zerówki, pracującego bez żadnego urlopu. Czy dorośli ludzie nie potrafią sami zrobić czegoś dla siebie? Czy muszę sama zbliżać ich do siebie?

— Andy — oświadczam. — Jeśli coś powstrzymuje mnie przed powiedzeniem: tak, to tylko twoje obrzydliwe kapcie. Wybacz, ale nawet mój dziadek nie chciał takich nosić, bo nawet dla osiemdziesięciolatka były niegustowne. Chyba gorzej się prezentują niż ten twój okropny szlafrok w kratę. Nie mogę na nie patrzeć! Nic mi się w nich nie podoba. Nie podobają mi się te zmarszczenia z przodu, nie podobają mi się te tandetne, plastikowe podeszwy, nie podoba mi się ten bury materiał. Szkoda, że Pirek nie nasikał na nie. A teraz bardzo cię proszę, obiecaj, że nie włożysz ich do obiadu. Chciałam tylko powiedzieć — tu zaczynam bełkotać — że do kompletu brakuje ci tylko fajki!

Czekam zażenowana — na co? Może na łyzy? (Kto wie, jak bardzo jest przywiązany do tych kapci, a co dopiero do szlafroka?). A on nagle chwyta mnie za ramiona i zaczyna całować tak mocno, a jednocześnie delikatnie i namiętnie. Jego pocałunki przejmują mnie drżeniem. Ogarnia mnie fala gorąca. Nie trzeba słów, wystarczy jeden długi, cudowny...

— Już wiem, co zrobię — wykrzykuję, odrywając się od jego ust i wydając przy tym niezbyt kulturalne cmoknięcie. — Makaron linguine!

Andy stoi bez ruchu, z widoczną wypukłością w spodniach, mruga oczami, usta ma lekko otwarte, a wargi spuchnięte. Kapci, jak zauważam, nigdzie nie widać. Jednak dostrzegam je wreszcie i kopnięciem odrzucam do tyłu. Ostatnim wysiłkiem woli powstrzymuję się, by się na niego nie rzucić. Dotykam językiem ust i czuję jego smak.

— To — połykam ślinę — to było nie fair. Andy chwyta się za włosy.

— No to idę pod ten prysznic. Wybacz, jeśli zużyję całą zimną wodę.

Czekam, aż zamkną się za nim drzwi do łazienki, potem pędzę do kuchni i spryskuję sobie twarz wodą. Wbijam paznokcie w zaciśnięte dłonie, by powstrzymać się od szlochu. Pragnę go! Dla siebie! Nie chcę, by Alex go dostała. Nie obchodzi mnie, że jest fajną dziewczyną i co dla mnie zrobiła. „Już za późno, weź się w garść, dziewczyno!”. Przełykam łzy, a potem otwieram kredens. Nie ma linguine, a została tylko godzina. Krew szaleńczo pulsuje mi w żyłach. Jakież propozycje? Może kupić coś gotowego w Marks&Spencer's? To byłby wielki honor dla mnie, ale o tej porze sklep już pewno zamknięty. Albo coś na wynos? Nie mogłabym, to wbrew moim poglądom. Gdyby moja mama leżała teraz w grobie, to by się w nim przewróciła. Mama!

Po tym co zrobiłam, należałoby mi się, gdyby nawrzeszczała na mnie i trzasnęła słuchawką („Po niedzielnej kłótni masz jeszcze czelność prosić mnie, bym przygotowała ci coś na kolację! Po tym co mi nagadałaś, chyba nie sądzisz, że zrobię coś więcej niż gotowaną fasolką! Itepe”). Więc kiedy od razu odbiera telefon, to z pewnym wahaniem proszę ją o przysługę i nastawiam się na chłodną, wyniosłą odmowę. Po krótkiej chwili odkładam słuchawkę z głębokim westchnieniem. A co ja sobie wyobrażałam? Przekładam noże i widelce z miejsca na miejsce, kiedy rozlega się pukanie do drzwi. Otwieram je i słyszę przemówienie wypowiedziane na jednym oddechu:

— Przyniosłam lasagne z warzywami wystarczy na osiem osób przykryj je folią i włóż zaraz do piecyka nastawionego na 200 stopni za godzinę będzie gotowe masz tu jeszcze zupę szpinakową włóż do piecyka wystarczy podgrzać i już można jeść tu masz jeszcze śmietanę na dokładkę no jeśli ktoś będzie miał ochotę a tu sałatkę z awokado miałam w lodówce pokroiłam tylko awokado spryskałam sokiem z cytryny żeby nie szerniało przyniosłam ci całą cytrynę i pomyślałam sobie że możesz nie mieć chleba dlatego kupiłam trzy bochenki i kostkę niesolonego masła a jutro wieczorem idę do Susan i Martina i przygotowałam mus czekoladowy a teraz jak znalazł nie przejmuj się jutro ubije się znowu śmietanę aha jeszcze masz tu pomarańcze kupiłam całą siatkę można zrobić jakiś deser i pomyślałam sobie że będziesz potrzebowała czegoś słodkiego do kawy więc masz tu dużą torbę ciastek wiedziałam że będziesz miała kawę ale nie była pewna czy masz mleko więc kupiłam ćwiartkę półtłustego pomyślałam że nie chcesz tłustego no i co wystarczy nie zgłodnieją?

Z hałasem odstawia koszyk z produktami i uśmiecha się do mnie tak szeroko i jasno jak księżyc w nowiu. Patrzę na to zjawisko zszokowana, zdaję sobie bowiem sprawę, jak rzadko to robi.

— Dziękuję, mamó. Bardzo dziękuję. Niesamowite. Powiem wszystkim, że ty to przygotowałaś. Głupio mi, jak sobie przypomnę, co ci nagadałam w weekend.

Mama zaaferowana rozpakowuje koszyk.

— Nie ma o czym mówić — stwierdza w końcu. — No to już lecę. A kto przychodzi na tę kolację?

— Andy i kilkoro jego znajomych. Przywitałby się z tobą, ale jest pod prysznicem.

— Nie będę mu przeszkadzać — odpowiada, jakbym zaproponowała, aby wsadziła głowę w drzwi łazienki. — Bawcie się dobrze.

— Dziękuję. Zaczekaj chwilę, to wypiszę ci czek za to wszystko.

Po raz pierwszy dziś moja mama robi obrażoną minę.

— Też coś, co za jedzenie — wykrzykuje. — Nigdy! Kiedy wychodzi, zauważam, że jest za dwadzieścia ósma.

Wkładam lasagne do piecyka, a zupę do mikrofalówki, a potem pędzę do swego pokoju, by się przygotować. Ale do czego? Żeby zagrać męczennicę? Nie! Żeby stać się męczennicą. Patrzę na siebie, kiedy maluję usta i w duchu mówię: „Chyba widzisz, że to nie jest zła twarz”. Wpatruję się tak długo, aż od mego oddechu zaparowuje lustro. Zamykam je z trzaskiem. Nie mam ochoty na tę kolację. Od tak dawna grałam męczennicę — nie jadłam, nikogo nie kochałam, nie żyłam — ale zdaję sobie sprawę, że do tej pory tego właśnie chciałam, sama się na to zdecydowałam. Czy można uznać to za męczeństwo? Chyba nie.

Podanie Andy'emu Alex na talerzu razem z lasagne jest prawdziwym aktem męczeństwa: po raz pierwszy w życiu czuję ten palący ból i nie sprawia mi to żadnej przyjemności.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Punkt ósma Robbie stuka do drzwi, ściskając w jednej ręce swój kask, a w drugiej butelkę szampana.

To nam na pewno nie będzie potrzebne, mam ochotę powiedzieć, ale zamiast tych słów wydużam tylko z siebie:

— Cześć! Dzięki, że przyszedłeś. Szampan! Po co? Robbie pochyła się i całuje mnie.

— Dla mojej ulubienicy wszystko, co najlepsze — mamrocze. — A kiedy już miałem okazję dowiedzieć się, co trzymasz w swoim barku, nie chciałem ryzykować. Dziś rano nie miałem zbyt jasnego umysłu. Ty też nie wyglądasz za dobrze. A jak tam włosy?

— Włosy? Ach, moje! Nieźle. Próbuję zdrowszego stylu życia. Nadal wypadają, ale chyba potrzebują trochę czasu, by dogonić resztę organizmu. I nie myję ich już podczas kąpieli, więc mogą wypadać do woli, ale nie zauważam pogorszenia.

— Dobry plan — mówi Robbie. — Podoba mi się! Moje nadal wychodzą garściami. Dosłownie.

Śmieję się. Trudno w jego obecności cierpieć na depresję. Mam ochotę wypłakać przed nim swoje żale, ale kiedy zaczynam, on uśmiecha się ponad moim ramieniem, więc odwracam się i widzę, jak ze swego pokoju wyłania się Andy z mokrymi włosami. Na ten widok duszę w sobie pożądlivy skowyt.

— No, Rob — mówi Andy — przyznaj się, w tym kombinezonie czujesz się jak prawdziwy macho?

— Ty natomiast nigdy nie poznasz tego uczucia — odparowuje Robbie.

Uśmiecham się niewyraźnie. Ten moment zbliża się nieuchronnie. Potrzebuję sprzymierzeńca, kiedy Alex pojawi się w drzwiach, piekło otworzy swoje podwoje i rozlegnie się gromkie zawodzenie. Konferując z Robbiem, zastanawiam się, jak odwrócić uwagę Andy'ego. Posłać go do sklepu po orzeszki? Udać, że źle rozłożyłam serwetki? A potem dodaję w duchu: „Och, na litość boską!” — i mówię głośno:

— Andy, idę do salonu porozmawiać z Robbiem, możesz przypilnować piekarnika?

Andy posłusznie znika w kuchni, a Robbie potulnie podąża za mną do salonu.

Zamykam drzwi, przekręcam klucz w zamku, chowam go i zaglądam przez dziurkę, by sprawdzić, czy Andy czasem nie podsłuchuje, po czym opowiadam wszystko Robbiemu.

— Kurde mol! — mówi, wzdychając. — O kurde! Czuję, jak ogarnia mnie przerażenie.

— Robbie! — mówię konspiracyjnym szeptem. — Co chciałeś przez to „Kurde mol” powiedzieć? Dobrze zrobiłam, prawda? Powiedz, że dobrze zrobiłam!

Robbie opada na moją zamszową kanapę z, jak można to właściwie określić, hukiem. Obawiam się, by pod jego ciężarem nie rozleciała się. Przeciera ręką twarz, jakby chciał zetrzeć krople potu.

— Sam nie wiem — mamrocze. — Jezu! Nie wiem, co się teraz dzieje z Andym, nie miał zbyt-
niej ochoty gadać o tym.

— Ale ze mną o tym gadał — informuję go półszepem. — Ciągłe ją kocha. Mów ciszej!
Ścisza głos do przenikającego ściany szeptu.

— Okej — mówi z lekką chrypką. — Powiem ci, co o tym sądzę. Gdyby chciał się z nią skon-
taktować, to by to zrobił, ale...

— Prawda, ale on uważa, że ona nadal jest z tamtym facetem. Nie ma zielonego pojęcia, że to
się skończyło!

— No dobra, ale nie możesz dopuścić do tego, żeby tak po prostu otworzył jej drzwi bez żad-
nego ostrzeżenia! A co z Sashą? Czy wspominała coś, że chce się z nim skontaktować?

Próbuję mu wytłumaczyć.

— Andy powiedział, że chciała, by pozostali przyjaciółmi. Nie pamiętam dokładnie, ale być
może wspomniała coś na temat swojego eks...

— Nieważne — przerywa mi Robbie. — Powinniśmy mu o tym powiedzieć przed jej przy-
jściem, a jeśli nie będzie chciał o tym słyszeć, może spieprzyć do...

Dzyyyń! Spoglądamy na siebie przerażeni i rzucamy się do salonu.

Puk! Puk!!

— Zamknięte! — krzyczę.

— Dawaj klucz! — wrzeszczy Robbie.

— Ja poszukam! — krzyczy Andy.

— Czekaj chwilę! — wrzeszczę.

— Moment! — drze się Robbie.

— Znalazłem! — krzyczy Andy. Dochodzi mnie szczęk klucza. Cisza.

Stoimy z Robbiem jak zamurowani. Wyglądamy jak dwa manekiny stojące na wystawie. Powoli
bez słowa Robbie podaje mi klucz. Oboje nadstawiamy uszu.

— O cholera! Sash!

— Dla mnie to spotkanie nie jest wcale krępujące.

— Ostatnim razem widzieliśmy się chyba... Ostatnio nie widywaliśmy się za często.

— To ty nie miałeś na to ochoty.

— Mnie za to winisz? A jak się miewa ten twój?

— Kto taki?

— Przestań! Nie udawaj! Jak mu tam, Satchel — ten facio, z którym uciekłaś miesiąc przed na-
szym ślubem. A może już zapomniałaś o tym — kmiotku?

— On ma na imię Mitchell. Skąd mam wiedzieć, jak się miewa? Zerwaliśmy ze sobą.

— Tak! No nie powiem, by było mi szczególnie przykro z tego powodu.

— Mnie również. Sądzę, że będziesz zadowolony, jeśli usłyszysz, że to był koszmar.

— A dlaczego miałbym być zadowolony? Co to mnie obchodzi?

— Jeśli to cię nie obchodzi, to dlaczego nie przyznasz się, że ci przykro, że moje małżeństwo nie wypaliło?

— Wyszłaś za tego... Satchela?

— Mitchella! Tak, Andy! Nie zostawiłam cię dla nic nie znaczącej przygody!

— No to biała suknia się nie zmarnowała!

— Nie było takiej pompy, jeśli koniecznie musisz wiedzieć. Tylko my i dwóch świadków w Urzędzie Stanu Cywilnego.

— Jakie to romantyczne z twojej strony. Dzięki temu czuję się o wiele lepiej.

— Lepiej by zrobili, gdyby zaczęli się bzykać i po kłopotcie — mówi szeptem Robbie.

— Co ty wygadujesz! — temperuję go. — Właśnie mają okropną awanturę! To nie ma nic wspólnego z seksem, to ma związek... to ma związek... to ma związek, chwila, nie usłyszeliśmy teraz! Ciii!

— Andy, nie wciskaj mi tu teraz kitu! To ty nie chciałeś o tym mówić. Błagałam cię, żebyś pozwolił mi wszystko wytłumaczyć, ale ty nie chciałeś o tym słyszeć.

— A jak sądzisz, dlaczego? Jakieś sugestie? A może to miało coś wspólnego z bólem, jaki mi sprawiłaś? Nigdy nie przypuszczałem, że można tak cierpieć.

— Chcę tylko powiedzieć, byś całej winy nie zrzucił na mnie. Wiem, że cię zraniłam. Ale dla mnie to również nie było łatwe. Nie mogłam patrzeć, jak bardzo cierpisz.

— Serce mi się kroi, gdy o tym słyszę!

— Na litość boską, Andy! A co byś wolał? Żebym wzięła z tobą ślub, a po powrocie z podróży poślubnej wdała się w romans?

— Pewnie, że nie! Możesz nazwać mnie niepoprawnym idealistą, ale wolałbym, aby moja narzeczona nie wdawała się w żadne romanse! Z żadnym Szmacielem, Łachmaniarzem czy kimś takim?

— Przepraszam. — Co?

— Powiedziałam, że przepraszam. Przepraszam za to wszystko, Andy.

— No cóż. Co się stało, to się nie odstanie. Było, minęło.

— No to powiedz mi...

— Tak?

— Co tu robisz?

— Ja? Mieszkam. Ale co ty tu robisz?

— Mieszkasz tutaj ! Z Natalie?

— A skąd znasz Natalie?

Dłużej już nie wytrzymam. Burza minęła, ale teraz pragnę zapobiec uściskom pojednania. Energetycznie przekręcam klucz w zamku i wpadam do przedpokoju.

— Niespodzianka! — oznajmiam słabym głosem. Dwie głowy patrzą na mnie oskarżycielskim wzrokiem. Spoglądam na Robbiego, oczekując wsparcia.

On mówi radosnym głosem:

— Możecie mówić do niej Cilla!

— Dlaczego nie powiedziałaś mi, że znasz Sash? — rzuca Andy. W jego głosie rozpoznaję wściekłość.

— Ona zna Alex — mówi Alex. — Powinnam jej o tym powiedzieć. Nie nazywam się już Sasha.

— No właśnie — wyrzucam z siebie. — Nie miałam pojęcia, że Alex to Sasha. Ona była moją przyjaciółką Alex. Dopiero dzisiaj się dowiedziałam i... i — kończę kulawo — pomyślałam, że chętnie byście się ze sobą spotkali.

— Wyjašnjmy sobie coś — proponuje szorstko Alex. — Wy dwoje mieszkacie razem?

Chce przez to dać do zrozumienia, że jeśli romansujemy ze sobą, to po co zaprosiłam byłą narzeczoną, aby odnowili znajomość? Mogłabym zadać sobie to samo pytanie. Nie mam ochoty wyjaśniać tego nieporozumienia. Robbie nie ma takich skrupułów.

— To nie jest tak, jak myślisz! — odzywa się piskliwym głosem. — Nie dogadzają sobie wzajemnie! On jest tylko jej lokatorem. Nat przyjaźni się z jego siostrą, Babs. Między nimi do niczego nie doszło. On nadal jest do wzięcia, kochanie!

Nagradzam Robbiego uśmiechem tak słodkim jak kwas siarkowy. Tak samo — jak zdążyłam z zadowoleniem zauważyć — Andy.

— Robbie — mówi aksamitnym głosem Alex. — Jak się cieszę, że możemy się spotkać po tak długim czasie.

Nie wyczuwam, żeby była cyniczną osobą, choć nie miałabym nic przeciwko temu.

— Natalie — przerywa jej Andy chłodnym tonem. — Jeszcze mi nie wyjaśniłaś, skąd znasz Sa... Alex.

— Z siłowni — odpowiadam opryskliwie. — To Alex wprowadziła mnie w pilates.

— Teraz wszystko jasne — stwierdza z westchnieniem. — Więc sądziłaś... — Wycofuje się z jednego zdania i zaczyna następne: — I pomyśleć, że kiedyś chciałem zostać psychologiem. No to zaczynamy kolację? Masz ochotę zostać... hm... Alex?

Głos mu łagodnieje, a mnie ogarnia zazdrość. Tego nie planowałam! Kiedy mówię, że chciałam poddać Andy'ego próbie, by sprawdzić, czy nadal kocha Saszę, powinnam dodać, że w głębi duszy sądziłam, że mam ten eksperyment pod kontrolą. A jeszcze godzinę temu całowałam się z nim! Było

coś między nami. Sądziłam, że nad wszystkim panuję. Ale niespodziewanie wygląda tak, jakby mój wybieg spalił na panewce. Myliłam się. Trzeba było poczekać. Wolałabym lata niepewności niż takie zakończenie.

— Nie chciałabym zepsuć wam imprezy — kryguje się Alex, uśmiechając się do Andy'ego i rzucając mu spojrzenie spod rzęs.

Trzęsę się z oburzenia. „To teraz się wychodzi?” — mówię w duchu. Nie mam ochoty na nią patrzeć. Kobieta z grzeszną figurą podkreśloną przez jasnoturkusową, rozpiętą pod szyją bluzkę, beżowe, opięte rybaczkę i klapki na wysokim obcasie. Kiedy przyglądam się temu wszystkiemu, widzę seks w czystej postaci i zaczynam żałować, że nie ma tutaj Babs — świetnie, ją też straciłam! — z sikawką w rękę. Zazdroszczę jej tych krągłości. Po raz pierwszy w życiu chciałabym je mieć. Czuję się jak ołówek.

— Super — odzywam się, wykrzywiając usta w uśmiechu. — Może pójdziecie do salonu?

Stawiam stopy jedna za drugą i jakoś udaje mi się dojść do kuchenki bez uduszenia żadnego z gości. Nalewam do garnka rozmrożoną zupę, kiedy Robbie wbiega do środka.

— Od czasu do czasu robiło się strasznie gorąco! — ożywia się. — Ale należy ci się szacunek — wszystko dobrze się skończyło! Odwaliłaś kawał dobrej roboty, sprzątajac salon i całą resztę. Siedzą teraz i piją szampana. Pomyślałem, że zostawię ich sam na sam — wiesz, o co mi chodzi? — Bardzo go lubię, ale z całych sił powstrzymuję się, by nie wylać mu na tę łysiejacą głowę garnka z zupą.

— Prawdę powiedziawszy, Robbie — odpowiadam przez zaciśnięte zęby — uważam, że popełniłaś błąd. Mogą znowu zacząć się kłócić. Grozi nam okropna awantura. Lepiej wracaj tam zaraz.

— Ale...

— Idź już — syczę, próbując naśladować wysokiego funkcjonariusza FBI. — Idź, idź, idź, idź, idź!

Rzuca mi przez ramię zdziwione, a jednocześnie urażone spojrzenie, po czym pospiesznie wychodzi z pokoju. Przypomina Pirka, który obdarował takim wzrokiem swego pana, kiedy został zbesztany za pogryzienie swego albumu z czasów młodości. (Kiedyś Matt przyniósł ten album w Boże Narodzenie, by nam pokazać mnóstwo zdjęć opatrzonych tytułami: Pirek ze swoją piszczącą zabawką, Pirek je ciastko z masłem orzechowym. To było miłe, ale moim zdaniem Pirek uznał je za obraźliwe i podjął akcję odzyskania utraconej godności). Wyciągam z kredensu miski do zupy i wrzeszczę:

— Obiad gotowy! Pierwszy wpada Robbie.

— Tak jest, proszę pani! — Za nim z rozmarzonymi minami wchodzą Andy z Alex. A może to jakieś omamy wzrokowe.

— Pomóc ci? — proponuje Robbie.

— Nie. Już dość mi pomogłeś, dzięki. — Gdzie mam usiąść? — pyta Alex.

— Gdzie chcesz — odpowiadam ugrzecznionym tonem. — Może obok Robbiego. — Wlewam każdemu zupełnym gestem, jak malarz rzucający barwy na płótno. Zielona plama ląduje na koszuli Andy'ego. — Przepraszam, zaraz to wytrę — burknęłam. Chwytam śmierdzącą ścierkę i rozmazuję plamę.

— Nat, jeśli nie będziesz uważać — mamrocze — to za chwilę urwiesz mi sutek.

Wrzucam ścierkę do zlewu i siadam za stołem. Widzę, że Andy usiadł naprzeciwko Alex. Pierwszorzędna pozycja do uwodzenia! Ja mam przed sobą Robbiego.

— Zupa jest pyszna, Natalie — zachwyca się Alex. Skończyła szampana, a teraz sący czerwone wino. Mam nadzieję, że pofarbuje jej zęby na czerwono. Czerwone wino barwi mi zęby i usta — zawsze kiedy je piję, wyglądam później jak świnka buszująca w jagodach.

— Cieszę się.

Wszyscy jesteśmy pochłonięci jedzeniem zupy. Mam ochotę rzucić bombę w stylu: „A Mitchell był lepszy w łóżku od Andy'ego?”, ale moje dobre wychowanie nie pozwala mi na to. Natomiast Alex opowiada chłopakom, jak dobrze sobie radzę na zajęciach pilates. Od czasu do czasu spogląda na mnie, jak gdyby szukała mojej aprobaty. Andy i Robbie wydają z siebie zachęcające pomruki, a mnie udało się wyprodukować ubogi blady uśmiech. Mimo tej przyjemnej rozmowy atmosfera tak zgęstniała, że można ją kroić nożem, czego nie da się powiedzieć o lasagne (gdyby się bowiem nie ugotowało na kość, byłoby pyszne).

— Nat — odzywa się Andy. — Nie chcę być niegrzeczny, ale czego użyłaś do przygotowania ciasta? Cementu?

Z trudem trzymam język za zębami — który chyba spuchł i zapełnił mi usta, utrudniając mowę — a wtedy wtrąca się Alex:

— Nie zwracaj na niego uwagi, Natalie. On zawsze, zanim wyskoczy z jakąś chamską uwagą, powtarza: „Nie chcę być niegrzeczny”. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu uważa, że to go usprawiedliwia. — Po tych słowach uśmiecha się i przygląda włosy związane w seksowny ogon na czubku głowy. Pewnie wabi go tym gestem!

— Tak sądzisz? — pytam i śmieję się niewyraźnie. — Dowcipny jesteś!

Wbijam nóż w moje lasagne, jakbym chciała ją zabić. Jej jawna bezczelność zwała mnie z nóg. Już przeprasza za jego zachowanie, jakby był jej własnością, jej chłopakiem. Chyba charakteryzuje się niską tolerancją na alkohol i krótką pamięcią. Mam straszną ochotę rzucić mój tępy, nieprzydatny do niczego nóż i wybiec stąd z wrzaskiem, ale nawet w tej chwili szaleństwa mam świadomość, że jeśli to zrobię, będę tego żałować prawie tak samo, jak żałuję wydania tej żalosalnej kolacji.

— Jeśli ci nie smakuje, to nie jedz — stwierdzam. — Zaraz podam deser.

— Czy to nie pogróżka? — pyta Robbie.

— Dowcipne — odzywam się ponownie jak idiotka. Ładuję wielkie łychy brązowego musu do każdej z trzech misek, natomiast do czwartej wrzucam skromną łyżeczkę.

— Wiesz co — wykrzykuje Andy — myślę, że jeśli uważasz coś za dowcipne, nie mów: „to dowcipne”. Chociaż śmiejesz się albo uśmiechasz, to i tak nie uważasz tego za dowcipne.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — burknął Robbie. — Że Nat tak naprawdę nie sądzi, że jestem zabawny?

— Robbie, chłopie — wzdycha Andy. — Czy muszę to dokładniej wyjaśnić?

— Nie — stwierdzam. — Nie potrzebujesz. Czy chcesz pomarańczę do musu?

Robbie zaczyna chichotać.

— Nie wiem dlaczego, ale to zabrzmiało nieprzyzwoicie! Mam wielką ochotę wepchnąć tę jego pocziwą gębę do miski z musem.

— To — oznajmia z zachwytem Alex, oblizując łyżkę — jest niewypowiedzianie dobre! Miło z twojej strony, Natalie, że nie zapomniałaś o moim przyrzeczeniu noworocznym.

Przymyka oczy, udając ekstazę z przejmującym drżeniem. Chyłkiem spoglądam na Andy'ego. Patrzy na nią jak urzeczony. O rany, czy faceci uważają, że kobiety zajadające się musem muszą być seksowne? Już dosyć! Mam gdzieś dobre maniery (maniery czy Alex?) i zapalam papierosa.

— Czy ktoś chce kawy? — pytam, starając się być miła. Wszyscy ozywają się, jakby „kawa” miała oznaczać „arszenik” albo „rebusy”.

Robbie wykrzykuje:

— Nie, dzięki — nie dla mnie! Po wczorajszym wieczorze jeszcze nie doszedłem do siebie. A która to godzina? Rany, już tak późno! — Spoglądam zaskoczona na zegar; podobno, jak utrzymywała moja nauczycielka z zerówki, było to wszystkim, co mnie interesowało na lekcjach. Zegar pokazuje dziewięć trzydzieści siedem. — Na mnie już czas, świetnie się bawiłem. Cieszę się, Nat, że się spotkaliśmy. Na razie, Andy i bardzo miło było cię poznać, Sasha, przepraszam, Alex — do zobaczenia!

Po tych słowach całuje mnie na pożegnanie, a potem Alex, podnosi rękę w stronę Andy'ego i znika za drzwiami. Alex podnosi się od stołu, lekko potykając.

— Ja też powinnam już lecieć, Natalie. Zadzwońię po taksówkę. — Uśmiecha się. — Ten wieczór to była katastrofa, nie sądzisz?

— Masz rację.

Obejmuje mnie mocno. Ja z kolei odwzajemnam się słabowitym uściskiem. Andy zerka na nas niepewnie. Patrzę na niego i wtedy uśmiecha się do mnie. Mam ochotę trzasnąć go po gębę.

— Dzięki — Alex szepcze mi do ucha. — Dziękuję ci, Natalie.

Dla osoby, która nie rozumie znaczenia słowa „podtekst”, wyjaśniam, że Alex dziękuje mi za twarde jak skała obiad. Odsuwa się i uśmiecha do mnie znacząco. Nie ma wątpliwości, że w ten sposób komunikuje mi, że chce, by Andy do niej wrócił. O Boże! Gdyby nie była tak cholernie miła,

przynajmniej miałabym tę satysfakcję i zniecierliła ją. Na razie obrażam się na nią, jednocześnie obrażając się na siebie za brak elegancji. Dzięki Alex zaczynam nową pracę, dokonuje się zmiana w moim życiu, choć nigdy nie sądziłam, że jestem do tego zdolna.

Ale z drugiej strony, dzięki niej ten inny etap w swoim życiu, który mogłam zacząć, zostaje zniszczony w stylu mafijnym: pif paf, dziękuję pani bardzo.

Ale prawda wygląda tak, że nawet kiedy nad tym rozmyślam, dochodzę do wniosku, że jestem pesymistką ze skłonnością do przesady.

Mój pesymizm zaczyna narastać, kiedy Andy oświadcza:

— Nie zwracaj sobie głowy wzywaniem taksówki, Alex. Wypiłem tylko jednego i to dobre kilka godzin temu, odwiozę cię do domu

— Na pewno? — pyta nieśmiało. — Tak daleko — aż do zachodniego Londynu? Nie musisz.

— Nie ma sprawy — odpowiada, a ja krzyczę w duchu: „Jeden drink też może być niebezpieczny! Piłeś, nie jedź!”. — Jeśli nie masz nic przeciwko astrom vauxhall.

— Jeździsz teraz astrą vauxhall? — śmieje się. — Zmieniłeś upodobania.

— Wiele rzeczy się zmieniło — stwierdza z uśmiechem. Równie dobrze mogłabym być muchą na ścianie. Niech ktoś trzaśnie mnie packą, czekam.

Niestety nikt tego nie zrobił, więc kiedy zakochane ptaszki wyfruwały w ciemną noc, usłyszałam, jak Alex chichocze:

— Chyba zapomniałeś. Nigdy nie oceniam faceta po jego samochodzie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Matt bardzo ubolewa z powodu swego zachowania w poniedziałek wieczorem. Mówi, że dosłownie zalewał go testosteron i wszyscy oczekiwali, że będzie królem wieczoru. Miał zabawę z Andym i Robbiem i onieśmiał Chrise. Poza tym twierdził, że Tony'emu przyda się lekcja pokory. Jego zdaniem Mel nie obraziła się, no to dlaczego się złości? Ja mu na to, że nie obraziła się, bo myślała, że walczysz o nią. „Nie jestem obrażona, Matt, tylko zaniepokojona”. Też mi król wieczoru! Chyba morderca wieczoru. Twierdzi, że zrobił to dla mnie.

— Wiedziałam o tym. — Udaje mi się wydobyć głos. Mój mózg zamienił się w galaretę, ale widzę frustrację Matta i dlatego pospiesznie próbuję dokonać poprawek. — Żałuję tylko, że... że go nie znokautowałam. Dzięki, Matt.

— Powinnaś była to zrobić. Stephen był na mnie wściekły — wdając się w bójkę, zachowałem się jak cham.

— Nie ma się co dziwić! — wyrzucam z siebie. — Facet ma dwa złamane żebra, pękniętą miednicę wskutek upadku z okna, to i jest wkurzony!

— Mówiłem mu o tym. Ale szkoda czasu — a co słyhać u tego twojego superprzystojnego lokatora?

— No cóż! Mam wiadomość — i to niezbyt miłą. — Przekazuję mu wszystko z detalami.

— Niegrzeczny Andy — stwierdza Matt, pałający chęcią knucia intryg. — Zachowuje się jak chłopiec, który nie potrafi powiedzieć: nie. Mam ochotę chwycić za telefon i mu wygarnąć

— A może po prostu chciał być grzeczny. Może...

— To się nadaje na tytułową stronę! „Mężczyzna nie ma ochoty na seks! On tylko jest grzeczny”. — Śmieje się i dodaje: — Przepraszam, kochanie, ale gadasz bzdury!

Wzdycham głęboko. Nadal mam problemy z zaakceptowaniem faktu, że nawet fajni faceci posiadają gen drania, który może obudzić się bez ostrzeżenia. Andy nie wrócił wczoraj do domu (dzisiaj jest środa, dwie po dziesiątej rano), dlatego teraz zachodzę w głowę, szukając powodów jego nieobecności bez potępiania go. Nie mogę uwierzyć, że ktoś może jednego dnia przysięgać dozgonną miłość jednej, a drugiego uciec z drugą. Jak on mógł? Tak to wygląda. Teraz już wiem, że nie powinnam była tego robić. Sama ich skojarzyłam. Ale mam jedynie ochotę, by skończyć z tym wszystkim. Nie oczekiwałam, że on tak się zachowa. Myślałam, że jeśli doprowadzę do ich spotkania, to szczęśliwie pokieruję swoim życiem. Winię siebie, ale jego również. Przynajmniej mógł zadzwonić. Chyba tyle jest mi winien?

Może silnik wypadł mu z astry, a w warsztacie powiedzieli mu, że naprawa potrwa kilka dni, więc Alex zaproponowała, by spał u niej? A może przegadali całą noc, aż wreszcie Andy zasnął na kanapie? Może Alex doszła do wniosku, że nadal go kocha, ale on uświadomił sobie, że jej nie kocha i powiedział jej o tym, a wtedy ona załamała się i dlatego Andy został, żeby ją pocieszyć — ale spał na kanapie?

A co, jeśli ona nie ma żadnej kanapy? Dlaczego nie zadzwonił? Może w drodze do domu miał niegroźny wypadek i zabrali go do szpitala? Nie mam ochoty rozstrzygać dylematu, czy wolałabym, żeby miał niegroźny wypadek, czy żeby zabawiał się z Alex.

— Czy to możliwe, by miał wypadek? — pytam Matta.

— Co ty! — odpowiada. — Sprawia wrażenie rozsądnego chłopaka. Jestem pewien, że założył prezerwatywę.

Po odłożeniu słuchawki mało brakowało, a splądrowałabym lodówkę w poszukiwaniu resztek czekoladowego musu. Czuję ogromną złość pomieszaną z odrazą i z ochotą dokonałabym samodestrukcji w starym stylu. Otwieram na oścież spiżarnię i moje oko pada na pudełko z czekoladkami. „Nie udawaj, przecież masz straszną chętkę!”. Oczyma wyobraźni widzę, jak nerwowo zrywam celofan, szarpnięciem otwieram pokrywkę, wyciągam czekoladowe batony z kremowym nadzieniem i czuję, jak rozplývają się w ustach. Sięgam ręką po pudełko. Ból zelżał. Gwałtownie zaczynam rozrywać opakowanie.

Wrzucam to do śmieci. Ponieważ nie uwłacza mi wyciąganie jedzenia ze śmietnika (doprowadziłam do tego, że czuję się, jakbym miała rozdwojenie jaźni — narkomanka i kot „śmietnikowiec” w jednym), wyciągam resztki musu i lasagne i kładę na batoniki. Mam ochotę wydrapać miskę po lasagne, zlizać mus z łyżki — jeść, jeść, jeść wszystko do czysta: po prostu opchać się tym — dlatego odkręcam gorącą wodę, wrzucam wszystko do zlewu — już nic mi nie grozi! Nie będę zastępować Andy'ego obfitym podwieczorkiem — być może i jest draniem, ale każdemu należy się odrobina zaufania.

Jednak olbrzymia pokusa i tak mnie nie opuszcza. Czuję, jak krew pulsuje mi w żyłach. Przymus obżarstwa i wymiotowania — najbardziej kusząca perspektywa — to jak zawarcie paktu z diabłem. Wiem, że to wyjście najgorsze ze wszystkiego, ale i tak mam na to wielką ochotę. To chyba jak z każdym nałogiem, który staje się najwierniejszym towarzyszem, a człowiek ma wrażenie, że to za ledwie nic nie znacząca znajomość. Nie zauważa się niebezpieczeństwa, ciche „nie rób tego” spycha do podświadomości i ulega. Człowiek zachowuje się, jakby ktoś rzucił na niego czary. Guzik go obchodzi, co będzie później, najważniejsza sprawa, żeby teraz opychać się, ile wlezie. Mówię to z własnego doświadczenia. Jak sobie człowiek pogada, wówczas odczuwa ulgę.

Po co ja to robię? Bez sensu próbować wyjaśniać swoje dziwactwa normalnym ludziom. Nie chcę, by zabrzmiało to protekcjonalnie (prawdę powiedziawszy, to nieprawda. Czuję się jak narkoman ostrzegający kogoś, kto pierwszy raz w życiu zaciągnął się cygarem), ale można doznać takiego samego uczucia euforii, kupując sobie obrzydliwie drogą torebkę ze świadomością, że debet na koncie osiągnął niebotyczne rozmiary. Nadchodzi moment, kiedy już nie można się powstrzymać. Umysł zaślepiony jest chęcią jej kupna, a dusza wrywa się do niej. Bez wahania można zaryzykować swój dom, swoje dobre imię, rzucić pracę, pójść za długi do więzienia dla tej jednej, jedynej torebki. No już, kup mnie, tu jestem, czekam — po prostu włóż kartę do czytnika, no, kochanie, teraz wystukaj swój PIN — ojej — jest, nareszcie — MOJA!

To maniackalne szaleństwo, ta odarta z godności desperacja stanowi jedną milionową część tego, co odczuwa się w akcie bulimii. Kiedy człowiek jest szczęśliwy, potrafi oprzeć się olbrzymiej ilości toreb, marcepanów, koki czy czego tam jeszcze. Ale kiedy ogarnia go przygnębienie, jego demony od razu przystępują do ataku. Walka z pokusą w takiej sytuacji stanowi nie lada wyzwanie. Jak do tej pory, zawiodłam na całej linii. Nawet dzisiaj coś powstrzymuje mnie — i to jestem ja sama! Uświadamiam sobie, że nie mam ochoty przegrać dwa razy pod rząd. Nie ma mowy! Powtarzam sobie, że filmuje mnie ukryta kamera. Nikt nie ulega słabości w obecności innych ludzi. Kiedy Andy wyszedł z domu, widzowie mieli okazję zobaczyć mnie, jak sprzątam, podśpiewując sobie piosenkę Tiny Turner. Masz rację, Tina, miłość to uczucie z drugiej ręki.

Mieli okazję zobaczyć mnie, jak szoruję i dezynfekuję mieszkanie, aż utrzymujący się w powietrzu zapach perfum Alex — Chanel nr 5, czy nie mogłaby być trochę bardziej skandalizująca? — zo-

staje usunięty. Dla nich taki obraz nie jest niczym specjalnym. Mieli okazję zobaczyć mnie, jak zaglądam do lodówki raz czy dwa, czy czterdzieści razy, ale takie zachowanie można by wytłumaczyć nudą. Tak samo jak ukradkowe spoglądanie na zegar. A jak wytłumaczyć skakanie po kanałach do drugiej w nocy w pełnym makijażu? Człowiek lubi podobać się... sobie. Co się tyczy sporadycznego walenia pięścią w poduszkę, to może jestem amatorskim bokserem wagi lekkiej. Albo właścicielką bardzo twardej poduszki. A rano zjadłam zalecane śniadanie (pewnie uważali, że mleko jest kwaśne, nie mogli bowiem wiedzieć, że mam halucynacje i widzę naleśniki). Nie mam zamiaru zniszczyć mojego publicznego obrazu, przemieniając się na ich oczach w psychola. Za nic na świecie!

— A gdzie jesteś, ty nędzny, pieprzony draniu?! — wrzeszczę, uderzając pięściami w stół. — Jak ja cię nieeeenawidzę, gnoju! — „Na dodatek zniszczyłeś mój debiut telewizyjny” — dodaję w duchu i rzucam gniewne spojrzenia niewidzialnej kamerze. Staram się nie zwracać na nią uwagi. Mój wybuch wściekłości, znany jako syndrom Tourette'a, nie był doskonały, ale powtarzam sobie, kiedy minęła mi złość, że mogło być o wiele gorzej.

Powinam zabrać się do pracy, ale nie mam ochoty. Zadzwonię do mamy. Pewnie bardzo chce się dowiedzieć, jak gościom smakowało jej lasagne. Gdyby nie nasza karczemna awantura, ściągnęła by mnie z łóżka o świcie, by uzyskać informacje na ten temat. Dlatego dzwonię do gabinetu, wytrzymuję przesłuchiwanie na temat analizy apetytu każdego z gości (mówię to, co chce usłyszeć: „Tak — wszyscy chcieli dokładki. Nie — nie zostało ani okruszyny, wszyscy wylizali talerze. Nie — panowała całkowita zgodność smaków. Tak — nie zapomniałam o batonikach”), a potem zadaję pytanie, które zawsze zapominam zadać.

— Mamo — zagajam nieśmiało — chciałaś się poradzić w jakiejś kwestii.

— Zgadza się.

Czekam cierpliwie na ciąg dalszy.

— Mamo? Słyszysz mnie?

— Poczekaj chwilę! — odzywa się konspiracyjnym szeptem. — Susan szuka czegoś w szafie! — Tu następuje chwila przerwy, podczas której, jak przypuszczam, moja mama obdarza Susan demaskatorskim spojrzeniem, a potem: — Wiesz, podjęłam już decyzję. Wybieram się do Australii.

— To wspaniała nowina, mamo! Kiedy się zdecydowałaś? Kiedy zamierzasz jechać? A czy Tara i Kelly już o tym wiedzą?

— W sobotę wieczorem. Wczoraj z samego rana zabukowałam samolot. Wszystko już załatwione. Oczywiście, że wiedzą, kochanie. Nie wolno nikomu zwać się na głowę bez uprzedzenia! Ale Tony'emu jeszcze nic nie mówiłam. W odpowiednim momencie zabiorę się do dzieła. Wylatuję za czternaście dni i zostanę tam trzy tygodnie. Jeśli mam pokonać taki szmat drogi i tyle zapłacić, to przynajmniej chcę maksymalnie to wykorzystać. Kelly prosiła mnie, żebym się u niej zatrzymała —

mieszka w uroczym, małym domku w dzielnicy o nazwie Paddington od wielu, wielu lat — no, ale powiedziałam jej, że najpierw na tydzień zatrzymam się w hotelu, a potem zobaczymy.

— Świetnie się spisałaś, mammo — wykrzykuję, zastanawiając się, czy nie szykują się jeszcze jakieś inne rewelacje. Może przedłuży sobie włosy i przefarbuje na fioletowo? Albo jakiś wypad na Ibizę? A może delfin wytatuowany na kostce?

— Niemniej jednak — dodaje po chwili — jest w tym miodzie łyżka dziegciu — twój ojciec.

— Tata?

Mama wzdycha, jakby w ten sposób chciała mi coś dać niewyraźnie do zrozumienia.

— O tym właśnie chciałam z tobą podyskutować. Zamieniłam z nim parę słów w niedzielę po rozmowie z tobą. I podejrzewam, że chętnie pojechałby razem ze mną. Bardzo chciałby poznać swoją wnuczkę. Nawet jeśli przemienił się w hybrydę Julio Iglesias-Bertie Wooster...

— Mammo! — próbuję ją strofować.

— Dlatego zastanawiam się, czy powinnam go zaprosić? Czy też powinnam pozwolić, by ten drań dusił się w swoim beztłuszczowym sosie?

— Mammo! — wykrzykuję. — Uważam... że należałoby go zaprosić. Jeśli — łykam ślinę — Kimberli Ann pozwoli mu jechać.

— Posłuchaj, Natalie — odpowiada mama. — Byłam żoną tego człowieka przez szesnaście lat. I postawię ostatniego dolara, jak przypuszczam mówią w Kalifornii, że ta słodka idiotka nie rządzi w tym związku. Twój ojciec mówi, co wypada, ale i tak robi swoje. Jediną rzeczą, która powstrzymuje go przed wskoczeniem do samolotu do Sydney, jest duma. Nie pojedzie, dopóki go nie zaproszę. A nie jestem pewna, czy zasługuje na zaproszenie z mojej strony.

Zaczynam ssać i gryźć się w policzek. Mam ochotę wrzasnąć do słuchawki: „No to go zaproś!”, ale wiem, że nie tylko ojciec jest jedyną osobą, która robi, co mu się podoba. Dochodzę do wniosku, że niepotrzebnie próbuję ją przekonywać. Mówię jej, że pochlebia mi, prosząc mnie o radę, ale jednocześnie nie do mnie należy decyzja. Z irytacją zauważam, że nie potrafi docenić słuszności moich poglądów i kończy nagle rozmowę. A może Susan znowu zaczęła szukać czegoś w szafie?

Próbuję skoncentrować się na ostatnim zadaniu, ale w głowie zaczynają mi się kłębić różne bezsensowne myśli: żeby przypomnieć sobie nazwiska moich kolegów z klasy maturalnej czy znaleźć kieliszek do jaj w kształcie bałwanka. Jestem przerażona własnym marazmem. Kiedyś, jak nastawiłam budzik na siódmą, to już o ósmej trzydzieści siedziałam za biurkiem — mając za sobą piętnaście kilometrów na bieżni — z postanowieniem, że nie zmarnuję ani sekundy. A teraz ostatnim razem stawiałam czoło Stair-Master trzy dni temu, a każdy krok stanowił okropną męczarnię. Czulałam, jakbym zamiast serca miała w klatce piersiowej przesmażony stek — ja, która niegdyś na zajęciach aerobiku spędzałam sześć dni w tygodniu! To prawda, pilates jest męczące, ale nie wyczerpujące. Czemu się nie

przejmuję tym nagłym spadkiem energii? Nieprawda, przejmuję się, ale nie tak bardzo, by coś z tym zrobić.

Jeśli mowa o obowiązkach, muszę zadzwonić do Robina i potwierdzić przyjście na zajęcia z pilates o piątej i wypisać szczodry czek. Choć mama pobłogosławiła moją decyzję o lekkomyślnym zaryzykowaniu swoją przyszłością, to pojawił się kolejny orzech do zgryzienia: zacieśnienie przyjaźni z Alex oznacza wplątanie się w jej życie uczuciowe. Ale jednak, tak czy owak, i tak już się w nie wplątałam. Przecież jestem jej przyjaciółką. Jednak biorąc pod uwagę fakt, że jak się dowie o naszej rywalizacji o Andy'ego, to długo nie potrwa. Nagle przyszło mi go głowy, że przecież może się o tym nie dowiedzieć.

A z jakiej racji Andy miałby jej o tym mówić? Na pewno zapyta, czy było coś między nami — przecież jest kobietą. No ale on może skłamać i odpowie, że zadurzyłam się w nim bez wzajemności, a ona na pewno uwierzy. Babs z entuzjazmem przyjmie wiadomość, że znowu są razem i zachwycona potwierdzi jego wersję.

Zabieram się do komunikatu prasowego, uderzając w klawisze z taką siłą, że omal nie złamałam sobie palca. Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Mel, by spytać o samopoczucie mojego brata i sprawdzić, czy dowiedział się o wyprawie do Australii. Założę się, że mama nie „da mu cynku” o wyjeździe, dopóki nie stanie w kolejce do odprawy lotniskowej. Sama nie mam odwagi zadzwonić, ale ostatnie przejścia postawiły między nami wysoki mur. Próbuje zaakceptować fakt, że żywię do niego urazę. A także, mimo poniedziałkowego odkrycia, że potrafi bić się jak baba, nadal się go boję. Ma wiele na sumieniu, ale ja nie potrafię wykrzesać w sobie odrobiny odwagi, by porozmawiać z nim na temat wyjazdu mamy.

Choć wiem, że Mel pojawi się na próbie, decyduję się na tchórzliwe rozwiązanie i zostawiam jej wiadomość na komórce. Spoglądam na zegar: jest dwadzieścia pięć po drugiej, a Andy'ego nadal nie ma. Pociągam nosem i wycieram go rękawem, i czuję się okropnie.

— To nie fair! — oświadczam żalonym głosem do czterech ścian w pustej kuchni.

Zaczynam bębnić palcami po stole. Andy na pewno nie zamknął swoich drzwi na klucz. Może ma tam jakiś pamiętnik? Robię pierwszy krok w stronę przepaści potępienia, ale w tym momencie odzywa się hałaśliwy telefon i wzdrygam się. Z wyrzutami sumienia i wdzięcznością łapię za słuchawkę.

— Halo? — pytam niskim seksownym (w moim mniemaniu) tonem.

— To ty, Natalie? Co ci się stało z głosem?

Po raz drugi w tym tygodniu pojawiają się demony z mojej uczuciowej przeszłości.

— Witaj, Saul — odpowiadam szybko, starając się, by mój głos przybrał obojętny ton. — Co za nieoczekiwane te... co za... co za niespodzianka!

Nasza sześciominutowa rozmowa wydaje się trwać godzinę. Kiedy docieram na ćwiczenia pilates, jeszcze ziewam. Z trwogą rozglądam się po studiu.

— Mam świadomość, że ta sala wygląda jak sala tortur — stwierdza Robin. — I tak rzeczywiście jest!.

Uśmiecham się uprzejmie. Nie przypuszczałam, że będzie tam ktoś poza mną. Opalona dziewczyna z rozjaśnionymi włosami i z kolczykiem w pępku, ubrana w legginsy Nike. Solidnie zbudowana kobieta o końskiej urodzie w luźnym T-shircie. Facet w dresie o nijakim wyglądzie. Wszyscy zwisają z krządków i huśtają się tam i z powrotem. Instykt podpowiada mi, by zwiewać stąd, gdzie pieprz rośnie. Jak zawsze ignoruję swój wewnętrzny głos. Wypełniam formularz podsunięty przez Robina i oczekuję na wyrok. Uśmiecha się do mnie, a w kącikach jego oczu pojawiają się zmarszczki.

— Specjalista od PR! — mówi. — Pewnie jesteś zgarbiona od ciągłego siedzenia za biurkiem. Dzisiaj zajmujemy się górnymi partiami — skoncentrujemy się nad otwarciem twojej klatki piersiowej.

Choć bardzo się cieszę, że jakiś mężczyzna zainteresował się moją klatką, to jednak czuję potrzebę, by się wytłumaczyć.

— Wiem, że się garbię, wiem, że nie mam właściwej postawy. Wszyscy zawsze mi powtarzają, bym się wyprostowała.

— Naprawdę? — pyta, unosząc brwi zdumiony. — A to apodyktyczne prostaki. Powiedz im, żeby pilnowali swego nosa!

Zaczynam się śmiać i staram się wyprostować. Po raz pierwszy od dawna czuję się zrelaksowana. Nigdy nie przypuszczałam, że leżenie na plecach może stanowić taką bolesną pracę. Prawdę powiedziawszy, to kłamie. A wracając do Saula, umówiliśmy się na potem. Rozmawiając przez telefon, po wzajemnej wymianie uprzejmości w rodzaju: jak się miewam, jak on się miewa, jak moja mama się miewa, jak się miewa moja praca, jak się miewają nasze samochody (zabrakło jednak jakichkolwiek pytań o samochód Chrisa) — Saul dochodzi do sedna sprawy. Nadal mam jego ulubiony krawat, Tweedie Pie, i podpisany egzemplarz *Stalingradu*.

Bez względu na to, czy jestem zaręczona, czy też nie, może rozważyłabym zaproszenie na kolację w tym tygodniu? Zwróciłabym mu jego rzeczy i moglibyśmy pogadać o dawnych czasach — ugotować dwie pieczenie przy jednym ogniu. Miałam ochotę mu odpowiedzieć: „A może szkoda tych pieczeni i tego ognia, a twoje rzeczy wyślę ci pocztą?”.

Potem jednak pomyślałam sobie w duchu: „Postaw sprawę uczciwie! To wspaniały facet, a ty go zdradziłaś”. A prawda jest taka, że głównym jego zarzutem jest waga. Sprawia wrażenie, jakby w pasie miał oponę samochodową (tego nie można nazwać skromnie brzuchem — to coś otacza go dookoła), a nawet nie pije piwa. Przesadzam. Zresztą byłoby frajdą, nie, byłoby grzecznością z mojej strony zobaczyć się znowu z Saulem. Więc umawiamy się przed studiem za dwadzieścia siódma. Na razie leżę na plecach na czymś, co przypomina łóżko z baldachimem do igraszek sadowo, trzymam

się prętów z tyłu i podnoszę nogi do poziomu, który Robin nazywa „pozycją blatu stołowego”. Na dodatek nakazuje mi:

— Napnij mięśnie brzucha, opuść nogi razem zwarte. — Nie pojęłam i rozstawiam szeroko nogi jak spaniel, który chce, by go połaskotać po brzuchu. A może jeszcze szerzej. — Trzymaj kolana razem — instruuje dalej i wcale go nie bawi ten interesujący widok. Głupio się czuję. — No, ściśnij tę poduszkę! Dobrze. A teraz spróbuj podnieść nogi, korzystając tylko z pomocy mięśni brzucha. Powoli, nie napinaj karku! Dobrze. A teraz to samo w drugą stronę. Świetnie! Nie zginaj pleców!

Robin wykazuje ogromną cierpliwość, szczególnie w momencie, gdy nie mogę sobie poradzić z ćwiczeniami dolnych partii pleców. (Mam leżeć na brzuchu, opierając się na łokciach, ściągnąć „mięśnie gorsetu” i odchylić się jak „łabędź”. Czuję się, jakbym zamiast kręgosłupa miała stary, sztywny liniał, który wygiął się i mój łabędź przypomina ślimaka).

— Wkurza mnie — mówię z zadyszką, leżąc w tej pozbawionej godności pozycji — że nie potrafię tego zrobić!

— Powiedz mi, Natalie — pyta Robin — czy znasz jakiegoś mistrza sztuk walki?

— Nie znam — odpowiadam poirytowanym tonem.

— Wszyscy mają około dziewięćdziesiątki.

Kiedy przeproszam za swoją nieudolność, bo nie potrafię poruszyć każdego kręgu oddzielnie, mój nauczyciel dopytuje się:

— Powiedz mi, Natalie, gdybym przyszedł do ciebie na lekcje z public relations, czy wściekła-byś się na mnie, gdybym od razu nie wykonał zadania?

— Pewnie tak. — Najbardziej lubię sposób, w jaki besztają ludzi. Leżę na plecach — to ci niespodzianka! — zginam i prostuję nogi, manewrując do przodu i tyłu jak wózek na sprężynach, a do tego próbuję właściwie oddychać. Istnieje właściwy i niewłaściwy sposób oddychania, a Robin przekazuje jeszcze więcej zasad niż Alex. Przypuszczałam, że ten niewłaściwy polegał na wstrzymaniu oddechu, aż człowiek zacznie się dusić. Myliłam się. To polega na podnoszeniu żeber.

— Posłuchaj, Natalie — instruuje łagodnym tonem Robin — jeśli nie przestaniesz unosić klatki piersiowej, to zaraz zrobię ci zdjęcie i wkleję do podręcznika z napisem, jak nie należy uprawiać pilates.

Jako osoba obdarzona niezmierną nadwrażliwością nie radzę sobie z besztaniem ze strony innych. Jednak Robin robi to tak umiejętnie, że upomnienie odnosi zamierzony skutek. Zastanawiam się nad tym, przebierając się w przebieralni. Czy tylko mi się zdaje, czy moje ubranie zaczyna mnie ciśnąć? Trudno to sprawdzić, kiedy człowiek ma mięśnie jak z waty. Wkładam pospiesznie sweter i muskam szminką usta, by pokazać Saulowi, że tak bardzo się nie zaniedbałam. Aż strach pomyśleć, w jakim stanie będzie ten miłośnik słodkiego. No dobra! Kilka godzin wyciętych z życiorysu. Szkoda, że to nie Andy!

Otrząsam się z marzeń. Nawet nie zadzwonił, żeby podziękować za lasagne. Niech się wypcha! Mnie się wiedzie świetnie. Wystarczy tylko na mnie spojrzeć — gimnastykuję się w studiu, kiedy reszta ludzkości tyra. Żyję na pełnych obrotach! Robię to, co lubię, i robię to dla siebie, i zupełnie nie obchodzi mnie, co inni sobie pomyślą. Sprężystym krokiem wracam na salę, by wypisać czek i umówić się na następne spotkanie. Czuję euforię i nie pozwolę, by Andy to zepsuł. Nic go nie zepsuje.

— Alex będzie tu za chwilę — informuje mnie Robin. — Umówiła się na dodatkowe zajęcia.

I w tym momencie euforia zniknęła jak kamfora, a pięć sekund później pędem pokonuję schody, biorąc po trzy naraz. Jeśli Saul się spóźni, zabiję go! Nie mam ochoty spotkać się z Alex! Błagam, nie pozwól, bym się z nią zobaczyła! Saul, bądź na dole! Nie chcę się z nią widzieć! Ostatni schodek pokonuję na palcach i ostrożnie wychylam głowę zza drzwi. Na korytarzu nie dostrzegam nikogo, z wyjątkiem ulizanego chłopaka obciętego na jeża w eleganckim garniturze z nosem wetkniętym w gazetę. Ani Alex, ani Saula! Spoglądam na zegarek. Za dwadzieścia siódma. To do niego niepodobne. Wzdycham, a wtedy ten ulizany elegant podnosi głowę. Dosłownie zatkało mnie. Po krótkiej chwili mój mózg zaskakuje.

— O kurczę! — Z trudem dobywam z siebie głos. — Aleś się zmienił!

— Naprawdę? — pyta. — To ci niespodzianka! — Uśmiecha się i wówczas po raz pierwszy w życiu okazuje się, że Saul ma kości policzkowe. Rzeczywiście, to ci niespodzianka!

Zdobywam się na radosny uśmiech, po czym oświadczam:

— Nigdy cię nie widziałam w krótkiej fryzurze. Nie sądziłam, że księgowi mogą nosić tak krótko ostrzyżone włosy. — Nie wspomniałam o zadziwiającym ubytku wagi — całe jego sadło zniknęło, a jego miejsce zajęły mięśnie — zresztą nie musiałam. Mój zaskoczony wyraz twarzy mówił sam za siebie.

— Rozumiem wszystko — zarechotał. — Zaliczyłem kilka dziwnych spojrzeń w pracy, możesz sobie wyobrazić!

Przylączę się do jego rechotu, ale tak naprawdę jestem wściekła. Jak śmiał to mi zrobić? Wiem, co jest grane! Najbardziej szczeniacki wybryk w naszym związku! Przyszedł po swój krawat i książkę o Stalingradzie — akurat! Nowy model Saula ma w nosie krawaty i książki! Zależy mu tylko na koszulkach calypso i zaczytuje się w „Men's Health”. Dałam się złapać w pułapkę! Przyszedł tutaj, by zaprezentować mięśnie klatki piersiowej. Żeby drażnić mnie swoją cyfrowo przetworzoną osobowością. Żeby zobaczyć, jaką byłam idiotką, kiedy go zdradziłam. No i muszę się przyznać, że w pewnym sensie zadziałało.

— No to dokąd idziemy? — pytam z ożywieniem.

Przyczesauje ręką swoją krótko ostrzyżoną czuprynę i szczeka mi opada. Dostrzegam u niego na kciuku — na kciuku! — grubą, srebrną obrączkę — jak u DJ-a drugiej kategorii! Gdzie się tego nauczył? Pewno oglądał nocne programy telewizyjne!

Wiem, że to typowe brać odwet na swoim niewiernym partnerze. Wyobrażać sobie sceny, w których porzucony partner przygląda się — samotny i przybity — kiedy ten drugi śmieje się w ramionach kogoś atrakcyjniejszego. Wiem, że to raczej normalne wbijać szpilki w intymne części Barbie czy Kena. Ale tylko Saul potrafił opracować wszystko z najmniejszymi detalami.

— Pozwoliłem sobie zarezerwować stolik przy drzwiach — odpowiada. — Przeczytałem o tym w „Time Out”. — No tak, w biblii dla sztywniaków!

— A nie sprawiłoby ci dużej różnicy, gdybyśmy usiedli trochę dalej?

Saul marszczy czoło.

— Ale, Natalie! Ja zarezerwowałem właśnie te miejsca. — Zabrzmiało to tak, jakby wy drapał nożem nasze imiona na najlepszym stoliku

— No dobrze, niech będzie. — Ani trochę się nie zmienił. — No to cho...

Drzwi nagle otwierają się szeroko.

— Natalie! Tak się cieszę, że cię znalazłam! Robin powiedział, że będziesz tu o wpół do ósmej.

— Alex. — Słowa więzną mi w gardle, kiedy Saul spojrział na nią wytrzeszczonym wzrokiem.

— Cześć! To jest mój, hm, znajomy — Saul.

— Twój znajomy, Saul — powiedziała z błyskiem w oku. — Witaj, Saul!

— Miło mi cię poznać, Alex!

Ściskają sobie dłonie, a ja przyglądam się tej scenie, zgrzytając zębami. Ona o niczym nie wie. Andy nie pisnął słowa. Alex odwraca się w moją stronę i zdobywam się na wymuszony uśmiech. Aż tyle dla naszej superprzyjaźni! Przecież wiem, że spędzili ze sobą noc. To okropne.

— Przepraszam, że nie zadzwoniłam i nie podziękowałam za wczorajszy wieczór, ale miałam nadzieję, że cię tu zastanę. Saul — uśmiecha się do niego promiennie — coś ci powiem. Masz u swego boku porządną dziewczynę. Trzymaj się jej! — Uśmiecham się żałośnie. Saul robi to samo. — Natalie — dodaje jeszcze Alex — wychodźcie już?

— Niestety tak — uśmiecham się sztucznie, prawie dokładnie w tym samym momencie co Saul. — Idziemy tu obok do baru. Nie mamy ochoty na jakiś obfity posiłek.

— To super. A czy mogę wprosić się na chwilkę, kiedy już coś załatwię? Chyba nie będę przeszkadzać?

— Ani trochę! — wykrzykujemy z Saulem równocześnie.

— Atrakcyjna dziewczyna! — szepcze Saul, próbując dorównać mi kroku, kiedy wchodzę do baru. — Czy ona jest, hm, do wzięcia?

— To nie było rogate z Teksasu. Ale jeśli chcesz znać odpowiedź, to spóźniłeś się o dwadzieścia cztery godziny — odpowiadam, kiedy kelner prowadzi nas do stolika przy oknie. Pewnie stanowimy atrakcyjną parę.

— Moim zdaniem — zaczyna Saul i chichocze — ona uważa nas za pa...

— Masz rację. — Głos mi łagodnieje, przychodzi mi bowiem do głowy szatański pomysł. Mocno ściskam go za ramię i oznajmiam: — Wiesz, kiedy facet jest w związku, wówczas stanowi nie lada atrakcję dla innych kobiet.

— To oczywiste.

W jego głosie wyczuwam radosną zadumę. Zdejmuję rękę z jego ramienia i spędzam następne czterdzieści pięć minut, paplając o wszystkim i o niczym, jednocześnie wyglądając co jakiś czas Alex. Saul robi to samo. O siódmej trzydzieści pięć Alex wybawia nas z własnego towarzystwa. Saul robi dużo wrzawy — podrywa się z krzesła, ustępuje jej miejsca i podaje menu. Alex zamawia sok pomarańczowy i pozwala mu na dalsze uprzejmości.

— Ach, Natalie — szepcze, kiedy Saul udziela kelnerowi szczegółowych instrukcji, jak przyrządzić Bloody Mary. — To typowe dla ciebie. Wiesz, o czym mówię. — Dotyka mojego ramienia. Kiwam głową. Chyba nie chodzi jej o lasagne. — W końcu chciałam zadzwonić do Andy'ego — dodaje. — Ale kiedy wyszliśmy, atmosfera się popsowała i dlatego nie chwyciłam za słuchawkę. No to teraz ci dziękuję.

— Nie ma za co — odpowiadam żalonym tonem.

— Zaraz powinien tu być — dodaje, spoglądając na zegarek.

— Po czternastu miesiącach rozłąki mamy dużo do nadrobienia.

No pewnie. Przepraszam i idę do toalety, gdzie przyglądam się sobie w lustrze, poprawiam makijaż i próbuję robić zapłakaną minę. Nie duś w sobie płaczu, serce me nieszczęsne!

Kiedy pięć minut później wolnym krokiem wkracza do baru Andy, czekam gotowa na spotkanie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Poza Saulem faceci, których znałam, nie są wyczuleni na czas. Kiedy miałam dziewiętnaście lat, zaprosiłam jednego chłopaka na obiad, ale dopiero dwie godziny przed spotkaniem zadzwonił, że się zgadza. A ponieważ mi się podobał i czułam się zraniona jego nonszalanckim nastawieniem, udałam, że zapomniałam o naszej randce i jestem zajęta. Kiedy opowiedziałam o wszystkim Babs, wpadła we wściekłość; kazała mi do niego zaraz zadzwonić i oznajmić, że się pomyliłam. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego oceniam zachowanie faceta według swoich kryteriów. Oni po prostu nam nie dorównują. Zawsze o tym zapominam.

— Fajnie wyglądasz — stwierdzam, swawolnie wicherząc mu włosy.

— Proszę, Natalie, uważaj! Tę fryzurę trudno ułożyć.

— Przepraszam — dodaję, ścierając żel z rąk i wycierając je w spodnie. — Chciałam tylko zauważyć, że zająłeś, Andy, moje miejsce, więc będę zmuszona usiąść Saulkowi na kolana. W porządku, kochanie?

Pod pretekstem pogłaskania Saula po szyi daję mu mocnego kuksańca w łopatkę.

Saul robi minę jak żołnierz trafiony w plecy i ledwo żywy z bólu. Domyśla się, o co chodzi, i dlatego wykrzykuje:

— No pewnie, kochanie. Wskakuj wujkowi Saulowi na kolanka!

Mam ochotę rzucić mu złowieszcze spojrzenie za to, że przemienił historię Romea i Julii w kazirodczą farsę, ale czuję, jak wzrok Andy'ego przewierca mi czaszkę. Dlatego mamrocę coś nieskładnie, że zabrakło mi fajek, i pędzę do automatu. Czuję, że Andy szuka wzrokowego kontaktu — wysyła mi błagalne sygnały — ale udaję, że tego nie zauważam.

Kiedy witał się ze mną pocałunkiem w policzek, siedziałam nieruchomo jak posąg marmurowy. Jeśli chciał mi coś zakomunikować, powinien do mnie zadzwonić.

Ze złośliwą satysfakcją wrzucam monety do automatu.

— Natalie — słyszę głos mówiący mi do ucha — co się dzieje? Gwałtownym ruchem wrywam paczkę z automatu i odwracam się szybko.

— Co się dzieje? — wykrzykuję, próbując opanować drzenie. — Ty mi powiedz, co się dzieje!

Andy mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów jak ekspedientka z domu towarowego.

— Miałem zamiar ci powiedzieć — warknął — ale teraz mam to gdzieś!

Rzucamy sobie wzajemnie obrazone spojrzenia. Świerzbi mnie, by trzasnąć go po pysku, ale szczerze mówiąc, nie mam ochoty dać mu tej satysfakcji.

— No i dobrze. — Słyszę własny głos. — Ja też mam to w nosie. — Patrzę mu w oczy i zmuszam się do mówienia. Chcę, by mnie dobrze rozumiał. Chcę, by poznał prawdę, nie zważając na konsekwencje. „Mów” — słyszę głos w swojej głowie. „Ale jak?” — pyta moje serce. Powód, dla którego jestem taka opanowana i nie podnoszę głosu, jest taki, że cię kocham, i czuję przerażenie na samą myśl, że ty mnie nie kochasz. Usiłuję cię zranić, bo sama zostałam zraniona. To moja wina. Powinnam raczej porozmawiać, niż grać jakieś role. Kazałam ci zgadywać. A ty mnie nie rozumiałeś. Nie mogę na ciebie patrzeć, bo wybrałeś Alex, ale niech się dzieje, co chce, i tak przyprowadzę ją do ciebie. Nie miałam odwagi, by ci o wszystkim uczciwie powiedzieć i, bez żadnego ryzyka, postawiłam wszystko na jedną kartę. Patrzę na niego bezradnie. Lata milczenia zbierają teraz swoje żniwo.

Wyrzucam z siebie:

— Przypuszczam, że będziesz chciał się wyprowadzić — po raz drugi.

— Jutro z samego rana — odpowiada oschłym tonem i znika.

Kiedy już znajduję siły, żeby wrócić do stolika pod oknem, zastaję jedynie Saula. Znudzony bawi się swoim srebrnym pierścionkiem i przygląda się przez okno ulicy. Przypomina manekina z działu odzieżowego u Harrodsa. Mój widok niezbyt go ucieszył.

— Gdzie się podziewałaś? — pyta. — Andy wrócił z ubikacji bardzo zdenerwowany — nie mam pojęcia dlaczego. Stwierdził, że musi wyjść, a Alex zaproponowała, że go podrzuci. Wszystko to było dość nieoczekiwane. Jak sobie przypominam, powiedziałaś, że kobiety pociągają mężczyzn, którzy nie są do wzięcia. — Saul robi oburzoną minę — jak zwykle kiedy jest zbity z tropu — i ciągnie się za lewe ucho. Przedtem to działało mi na nerwy, ale w tej chwili jego gest wzbudza we mnie opiekuńcze uczucia.

— To prawda — oświadczam. — I muszę z przykrością stwierdzić, że Andy wydaje się jej bardzo pociągający. Ramiona mu opadają.

— No, to co teraz zrobimy? — pyta żałośnie.

— No cóż — odpowiadam uprzejmym, obojętnym tonem, żeby nie było nieporozumienia — zapraszam cię do siebie na kawę.

Saul ożywia się.

— To bardzo miło z twojej strony. — Jeszcze bardziej zaczyna bawić się swoim pierścionkiem i dodaje, próbując odgryźć się za moje minione grzeszki. — O ile nie jest to Nescafé.

Następnego dnia rano budzę się z ciężką głową. Spałam, ale nie wyspałam się. Ciężkim krokiem zmierzam do kuchni i, ku memu niezadowoleniu, zauważam na stole dwie brudne filiżanki po kawie. Nachylam się w ich kierunku. Należy je od razu unicestwić! — i zatrzymuję się. A dlaczego nie zostawić mycia na później? Wrzucam dwa kawałki chleba do tosterka, smarując je uprzednio masłem — nadal nie pogodziłam się z masłem — a po chwili mechanicznie przeżuwać jedzenie. Nalewam sobie jeszcze małą szklankę pomarańczowego soku i gigantyczną kawę. Żadnych wyrzutów sumienia! No pewnie, naturalnie, mogłabym zjeść cały bochenek, ale po co? Nic nie powiedziałam, ale on też się nie odezwał. I dlatego w moich oczach jest palantem.

Wyciągam z drukarki kartkę formatu A4 i piszę na niej dużymi literami: W MOICH OCZACH JEST PALANTEM, po czym przypinam kartkę nad biurkiem. Skanuję jeszcze komunikat prasowy, który napisałam na temat premiery *Alicji w Krainie Czarów*. Przebiegam wzrokiem notatki Matta i dowiaduję się, że Mel jeszcze nie oddzwoniła, a ja muszę z nią porozmawiać, bo przecież tańczy partię Alicji. Z łatwością mogłabym włożyć w jej usta odpowiednią kwestię, ponieważ wiem, co by powiedziała („chcę wyrazić siebie w tańcu”), ale takie zachowanie wydaje mi się zdradą wobec niej, dlatego nie zrobię tego.

Ponownie dzwonię do niej na komórkę. Cisza. Chciałabym dzisiaj to załatwić. Może zadzwonię do Tony'ego, niech skontaktuje mnie ze swoją dziewczyną. Jednak boję się go, jestem na niego zła. Chciałabym zadzwonić do niego i pogodzić się. Potrzebuję aprobaty mojego brata. Zależy mi, by mnie

lubił. Moja ręka bezwiednie posuwa się w stronę telefonu. Dlaczego to ja mam zawsze odgrywać rolę mediatora? Dlaczego on nie może zrobić pierwszego kroku? Wiem, że spodziewa się, że ulegnę jak zwykle. A Babs? Czy ona również czeka, aż się poddam? A może wcale ją to nie obchodzi? A może już nie chce o mnie więcej słyszeć? Zaciskam zęby i odsuwam telefon jak najdalej od siebie (to tylko taki symboliczny gest, bo i tak jest na wyciągnięcie ręki). Tym razem nie ulegnę! Tym razem wytrzymam do końca!

Nagle odzywa się dzwonek u drzwi — dzwoni długo i przeraźliwie. Ten dźwięk jest jak znak firmowy, dlatego przez chwilę sędzę, że to może być Tony. A potem przypomina mi się, na kogo czekam. Biorę głęboki oddech — klatka piersiowa unosi mi się chyba na metr — przybieram obojętny wyraz twarzy i idę otworzyć drzwi. Moje dobre maniery podpowiadają mi, że należy się przywitać, ale lekceważę je. Andy wkracza do środka, nie patrząc na mnie. Niepotrzebnie się wymalowałam. Po cichu zamykam drzwi i próbuję zebrać siły. No już, potrafiłaś rozmówić się z mamą. Stawiłaś jej czoło — po tych wszystkich pasywnych latach. Uda ci się. Ale tym razem to wygląda inaczej. Na samo wspomnienie robi mi się niedobrze. Ten strach — pożerał mnie. Nie potrafię tego powtórzyć. A właśnie że potrafisz. „Powiedz, Natalie, powiedz mu o wszystkim. Nadal masz szansę”.

— Czy możesz zapewnić mnie, że zostawisz porządek w pokoju? — pytam chłodnym tonem. — Ostatnim razem zostawiłaś tu niesamowity bałagan.

Zachowuje się, jakby nie słyszał moich słów. Ciągnie na środek pokoju zniszczony, skórzany kufer i bezceremonialnie wyrzuca jego zawartość do nesesera. Nie miałabym nic przeciwko temu, by mnie tak sponiewierał. Od razu przypomina mi się moja mama, która powiedziała kiedyś coś, co mną wstrząsnęło. (Byłam skromną dziewięciolatką. Mama słuchała, jak Barry Maniłow śpiewa „Chcę to zrobić z tobą”, i nagle wyrzuciła z siebie: „Sama bym to chętnie z nim zrobiła!”). Spoglądam na Andy'ego, próbując zachować czystość myśli, ale każda z nich jest trochę przybrudzona.

Chytrze sprawdzam, czy nie ma na szyi śladów po pocałunkach. Gdybym mogła, zdarłabym z niego koszulę, by zbadać, czy nie ma tam żadnych zadrapań. I jeszcze dla pewności pobrałabym mu spod paznokci próbki DNA. Może i nie jest z niego kawał chłopca, ale to silnie zbudowany facet. Nie ma kształtów greckiego posągu, ale dla mnie — uświadamiam sobie z ponurą miną — jest wcieleniem doskonałości. Nie wytrzymam tego dłużej. Daję nogę do kuchni. Uświadamiam sobie, że jedyną osobą, z którą miałabym ochotę na ten temat porozmawiać, jest Babs.

Chwilę potem wchodzi do środka.

— A gdzie szufelka i zmiotka?

— Z tyłu za drzwiami — replikuję obojętnym tonem. Obracam się na krześle, biurko stoi bowiem przodem do okna. Andy obdarza mnie takim skinieniem, jakim pewnie Maria Antonina obdarzała swoją służbę. Potem cedzi jeszcze:

— W moich oczach jest palantem. — W jednej strasznej sekundzie przychodzi mi do głowy, że może potrafi czytać w myślach. Z ulgą odetchnęłam, kiedy uświadomiłam sobie, że pewnie przeczytał te słowa na kartce papieru. Od razu zrywam ją ze ściany.

— Pewnie sądzisz, że to o tobie. — Raczej stwierdzam, niż pytam.

— A ty chcesz mnie przekonać, że tak nie jest?

Czuję, jak krew pulsuje mi w czaszce — uważaj, sytuacja podbramkowa! Powoli odwracam głowę (nie dlatego, że mam ochotę — czuję bolesny skurcz w karku). Tak naprawdę, to chętnie sprzechałabym się z nim aż po sądny dzień, no przynajmniej dopóki nie wyjdzie z mojej kuchni. Spoglądam mu w oczy i zszokowana zauważam w nich złość. Nie udaje. Szukam w głowie jakiejś ciętej uwagi, która ukróci jego arogancję, ale on nawet na mnie nie patrzy. Podążam oczami za jego wzrokiem w stronę filizanek i... o kurczę! Między nimi leży dokładnie w środku — jakby ktoś wymierzył linijką — masywna, srebrna obrączka.

„Co?! On uważa, że ja... z Saulem? No pewnie!”.

Zapomniałam o tym, usiłując wzbudzić w nim zazdrość, stworzyłam pozornie sytuację, która mogłaby ją wzbudzić. Warczymy na siebie równocześnie:

— To takie żalosne z twojej strony! Andy przebija mnie jeszcze, dodając:

— Posprzątaj ten swój pieprzony pokój, idiotko!

Nie pojmuję dlaczego, ale unoszę się w powietrzu i jestem już w połowie drogi na Jamajkę, ale ta uwaga sprowadza mnie gwałtownie na ziemię i zaciskam pięści.

— Masz czelność — wykrzykuję — zwałać winę na mnie?! Po tym, co zrobiłeś, ty, ty dziwkarzu!

— Dziwkarzu! — ryknął Andy. — A ty to co?! — Jego twarz zrobiła się czerwona z wściekłości i wyleciał z kuchni. — I jeszcze coś ci powiem — wrzeszczy, biegnąc przez korytarz — że ten twój Saul wygląda na jeszcze większego fajtlapę niż Chris — pasujecie do siebie jak ulał! — Szarpnięciem otwiera szeroko drzwi i rzuca na odchodnym: — Jesteś jeszcze bardziej stuknięta niż ten twój szajbnięty braciszek! Trzask!

Nie popuszczę. Ciągnę za klamkę i wrzeszczę na całe gardło:

— Chciałam, żebyś się z nią dogadał, a nie wylądował z nią w łóżku!

Andy zatrzymuje się przy swojej starej astrze i przechyla głowę. Potem znudzonym, lekceważącym gestem macha ręką, jakby opędzał się od natrętnej muchy. Wrzuca teczkę do bagażnika i rusza na złamanie karku. Kiedy pędzi w kierunku kawalkady zaparkowanych land-roverów, wstrzymuję oddech. Ku mojej irytacji, a jednocześnie uldze skręca z piskiem opon — astra robi piruet na zadzie — i odjeżdża z rykiem w tumanie szarego kurzu.

— Formuła 1 zawitała do Primrose Hill — stwierdzam, dzieląc się swoim poczuciem humoru z kotem sąsiadów.

Potem zamykam cicho drzwi, biegnę do swego pokoju, rzucam się na łóżko i wybucham płaczem. „Gratulacje, Nat, nareszcie powiedziałaś mu, co czujesz. Twoja elokwencja zapiera dech w piersiach. Udało ci się wyjaśnić wszystkie niedomówienia, ty, ty, ty... niemowo!“. Beczę przez pełne trzy minuty. Rozpacz nie pozwala mi dłużej leżeć i dlatego wstaję. Potykając się, idę do łazienki i zmywam z twarzy rozmazany tusz do rzęs. Oczy mam zapuchnięte. Podobnie policzki. Czy one mogą spuchnąć od płaczu? Szczypię się po policzku. Potem podciągam sweter i szczypię się po brzuchu.

Choć szczypana skóra pali, to przybędzie parę cali! Udało mi się zrymować. Zdejmuję buty i wchodzę na wagę. Zdumiona spoglądam na podziałkę. Przytyłam jeden kilogram! Wpadam w panikę jak bohaterka prasy kobiecej! Muszę iść na bieżnię. Oczyma wyobraźni wracam do wczorajszego dnia. Siedzę w tej durnej kawiarni. Jem chipsy. Ja — chipsy! To tak jakby króliczek z dobranocki dla dzieci obzerał się kanapką z serem i szynką. A na podwieczorek klopsiki wieprzowe. Żołądek Claudii Schiffer nie zniósłby czegoś podobnego. Tym bardziej w Jom Kippur. Siedząc za kółkiem. Jadąc pod prąd.

Nie mam pojęcia, jak do tego doszło. (Króliczek z dobranocki stwierdziłby to samo). Może to z powodu tego żalosego spojrzenia Andy'ego. Albo w końcu dotarło do mojej świadomości coś, co powiedziała Babs. A może to rozmowa z matką. Albo widok Alex zajądającej się mussem. Albo ćwiczenia pilates. Albo nieobecność Mel. A może po prostu zdałam sobie sprawę, że nie muszę być chuda jak szczapa. Już więcej nie! Czuję się, jakby ktoś pozwolił mi jeść i dlatego nie mogę się powstrzymać. Jem wszystko, czego sobie przedtem odmawiałam. Niewielkie wyrzuty sumienia nie są w stanie mnie powstrzymać. Nawet nienawiść do samej siebie nie spełnia swego zadania. Już mam dość wykorzystywania swego ciała do pokazywania cierpienia. Powinnam nauczyć się wykorzystywać w tym celu swój głos.

Znowu podciągam sweter i odchodzę parę kroków od lustra. Macam swój brzuch. Jakby grubszy. Bardziej miękki? A mój gors (nie potrafię zmusić się, by powiedzieć: piersi albo cycki — to zbyt zmysłowe, zbyt wulgarne, wolę bezpieczniejsze, wiktoriańskie określenie typu: gors)? Przciskam ramiona do klatki, żeby zaznaczył się rowek. „Ojej! Wyglądam prawie, prawie jak... kobieta!“. Podchodzę bliżej do lustra i podnoszę grzywkę, by sprawdzić wielkość szkód. Zauważam maleńki kosmyk włosów rosnących pod spodem. Próbuję pociągnąć za kilka. Trzymają się mocno. Nie dają się wyrwać. Przesuwam ręką po obojczyku. Nadal wystaje, ale nie tak... przerażająco. Obciążam sweter, odrywam wzrok od lustra i wracam do biurka.

— No, to — wzdycham — czas wrócić do pracy. — Próbuję oderwać swoje myśli od Andy'ego i zapomnieć o nim. Jedynym na to sposobem będzie nastawić piosenkę Tiny na cały regulator. Przychodzi mi do głowy równie wspaniały pomysł, by zapalić świecę zapachową. Nigdy szczególnie w nich nie gustowałam, przypominają mi o obsesji mojej mamy na punkcie odświeżaczy powietrza — potrzeba zastąpienia natury duszącym, sztucznym aromatem. Ale to jest elegancka świeca, roztaczają-

ca — podobno — zapach „lasu tropikalnego”. Po raz pierwszy zapaliłam ją w dniu, kiedy uwolniłam się od londyńskiego baletu. Dostałam ją od Babs. Kupiła mi ją w dowód wdzięczności za to, że posłałam ją do salonu piękności w Kensington na masaż tajski. Zafundowałam go jej na dwudzieste szóste urodziny. Była w siódmym niebie.

— A czy mnie by się spodobało, jak sądzisz? — spytałam, kiedy usłyszałam, jak rozplywa się z zachwytu.

Zastanowiła się chwilę.

— No wiesz, rzucają tobą jak workiem treningowym. W jedną stronę, w drugą. Rozciągając ci nogi szeroko, a potem zamykając jak parę miechów. W pewnym momencie powiedziałam facetowi — taki młody koło dwudziestki — no to mu powiedziałam: „Uprzedzam cię, że nie odpowiadam, jeśli puszcze bąka...”.

Przerwałam jej.

— Naprawdę tak mu powiedziałaś? Naprawdę mu powiedziałaś?

— No, a co miałam zrobić? — pyta głośno. — Pierdnąć bez ostrzeżenia? Zachowałam się jak trzeba.

— Nie mogę uwierzyć własnym uszom! — wykrzykuję zdumiona. — Jestem zażenowana.

— Nat — uśmiecha się do mnie wyrozumiale — ten facet to masażysta z dziesięcioletnim doświadczeniem. Przyzwyczajony, że ludzie puszcza bąki podczas masażu!

Wzdrygam się.

— A jednak jestem zdegowana.

— No właśnie — wzdycha. — Dlatego nie mogę ci tego polecić. Jeślibyś przypadkiem puściła bąka, nawet takiego malutkiego, nietoksycznego, to twój wstyd byłby tak ogromny, że musiałabyś się zabić. I jego również. To stanowiłoby jedyne honorowe wyjście z sytuacji.

Zasłaniam twarz rękoma i zaczynam się śmiać histerycznym śmiechem, który mógłby przemienić się w płacz. Podczas ćwiczenia pilates też może dojść do takich zachowań. Jak zareaguję, kiedy moi uczniowie zaczną puszczać bąki? O kurczę, muszę się do tego przyzwyczaić. Telefon przerywa moje rozważania. Bez entuzjazmu podnoszę słuchawkę. Dzięki zakończeniu szalonego romansu telefon — magiczny dostarczyciel dreszczyku i wspaniałych okazji — został zredukowany do prozaicznego urządzenia wykorzystywanego do pracy.

— Halo? — odzywam się bez entuzjazmu.

— Czy to — słyszę łagodny, ale charakterystyczny głos — nie przypadkiem moja stara znajoma, Nat?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Wyliczam sobie w wannie, ile było takich momentów. Mogłam wówczas powiedzieć: „Nie”, i odłożyć słuchawkę. Albo spytać z szyderczym uśmiechem: „Ty z twoim bratem — czy wyście się zmówili?”. Bo to było jak obserwowanie wiatrowskazu na dachu. Raz pokazuje się jedna figurka — będzie słońce, raz druga — idzie deszcz, a potem znowu słońce. Raz nagana, raz pochlebstwo i znowu od początku. Ale kiedy zadzwoniła, wychodziłam ze skutków niemoty. Cieszyłam się, że odzyskałam bliskiego mi człowieka i miałam wielką ochotę, aby to powiedzieć. Nie nazwała mnie swoją najlepszą przyjaciółką, ale to nie ma znaczenia.

— To chyba ja — odpowiadam sucho, kołysząc się na krześle.

— Mówi Babs — informuje tym samym, pełnym szacunku tonem. — Dzwonię, żeby przyznać, że świnia ze mnie i że zrozumie, jeśli nie będziesz chciała mieć ze mną nic wspólnego.

— Babs! — rozpromieniam się z radości. — Nie masz pojęcia, jak mi cię brakowało! Nie jesteś żadną świnia, jesteś moją najlepszą przyjaciółką i strasznie się cieszę z twojego telefonu. Gdzie jesteś?

— Siedzę w domu i strasznie mi wstyd. Mogłam zniszczyć naszą przyjaźń.

— Babs, rozumiem, dlaczego mnie ochrzaniłaś. Więc nie masz się czego wstydzić. To ja... — Szukam dobitnych słów, które wyrażą moją głupotę. Intensywnie odkurzam pamięć i przypomina mi się długi wieczór spędzony w towarzystwie Saula, oglądającego *Hamleta* — niepotrzebnie i pochopnie wtrącałam się w nie swoje sprawy.

— Niestety, nie potrafię mówić tak mądrze jak pani, pani Miller — odpowiada Babs. — Posłuchaj, Andy powiedział mi o Sashie.

— Przecież ci mówiłam — dodaję pospiesznie. — Muszę ci powiedzieć, że wpadł do mnie po swoje rzeczy.

— Nie mogę w to uwierzyć! — wykrzykuje. — Postąpiłaś bardzo szlachetnie.

— Nie ma o czym mówić. No, hm...

— Jeszcze raz porozmawiałam z Simonem. Cofam... yyy... prawie wszystkie moje oskarżenia. Przepraszam cię, Nat. Nie mogłam sobie z tym poradzić. Niczego tak nie byłam pewna jak swojego męża. Och, bo za dużo powiem!

— A co u Simona? — pytam. Chcę także, by mi powiedziała, kiedy ostatnio rozmawiała z Andym. Podejrzewam, że nie w ciągu ostatnich pięciu minut.

— Wszystko w porządku, dzięki. Ma się świetnie. Chyba robimy postępy. — Ostatni wyraz wymawia żartobliwym tonem, w razie gdyby przyszło mi do głowy, że bierze siebie zbyt poważnie. — A powiedz, Nat, co ty teraz zamierzasz?

— Ja? Och... yyy... pracować.

— Naturalnie! Ale dlaczego nic mi nie wspomniałaś? Pomogę ci.

— Nie nie nie nie nie, przestań, nie to miałam na myśli. Może do mnie wpadniesz?

— Teraz?

— No, jeśli jesteś za...

— Nie gadaj głupot, dostałam cztery dni wolnego. Jestem wykończona. Wczoraj jechaliśmy do pożaru, to był szok! Cały czas trenowałam, a teraz siedzę sobie przed pudłem z ciasteczkami i rozrywam opakowanie.

Poczułam ukłucie. To ja powinnam zacząć trening. Nie taki wysiłek mięśniowy jak Babs (tor, ciężary, rower, biegi). Mój trening to: biegi, biegi, biegi i jeszcze raz biegi.

Duszę w sobie zazdrość i pytam:

— Jakie ciasteczka?

— No wiesz, te z pianką, pokryte mleczną czekoladą. Powinnam zjeść najpierw czekoladę?

— Nie przypuszczałam, że jeszcze je robią. — Zabrakło mi tchu z wrażenia. — Kiedyś je uwielbiałam!

— Trzeba wiedzieć, gdzie ich szukać — odpowiada zadowolona. — A ja jestem specjalistką w tej dziedzinie. Przyniosę kilka, dobrze? Ale na pewno nie będę ci przeszkadzać w pracy? Przecież cię znam. Zawsze udajesz, że wszystko w porządku, a przez cały czas będziesz się denerwować, czy zdążysz z robotą, czy zdążysz na siłownię, i...

— Nie żartuj! — upominam ją poważnym tonem. — Mów o konkretach, proszę cię. Zaraz nastawiam czajnik.

Podrywam się, by posprzątać, ale kuchnia jest bez skazy — z wyjątkiem brudnych filiżanek po kawie. Czuję, jak palce zaczynają mnie swędzić. Ale udaje mi się opanować i zostawiam je w spokoju — Babs będzie ze mnie dumna. Przed spotkaniem muszę wszystko uporządkować w swojej mózgowicy. Mam mętlik w głowie. Muszę podzielić sprawy na dobre i złe. Andy powiedział, że Babs mi wybaczy — dobrze. Zasługuję na złoty medal za wyswatanie go z Alex — dobrze. Źle — ona pewnie się domyśla, że prosiłam Andy'ego, by się wyprowadził. Dobrze — wyprowadził się bowiem z własnej, obrażonej woli. Źle — Babs nie mogła znieść myśli, że łączy mnie coś z Andym. Choć nie jestem już Tą Najgorszą, może nie będzie miała nic przeciwko, jeśli zacznę kręcić z jej bratem — superdobrze!

Ale chyba mam większe szanse, żeby zacząć kręcić z arcybiskupem Canterbury. Na samą myśl robię ponurą minę (nie mam nic do arcybiskupa). Zapomnij o nim! (o Andym, naturalnie). Kiedy dzwoni dzwonek, już stoję przy drzwiach. Najpierw kiwamy zdawkowo głowami, a potem rzucają się sobie w ramiona. Jestem taka szczęśliwa, znowu jesteśmy przyjaciółkami, powtarzam sobie w duchu, jestem taka szczęśliwa! Co należy przetłumaczyć: „Witaj, Barbarello!”. Po chwili Babs odpycha mnie od siebie.

— Natalie! — Z trudem łapie oddech i uśmiecha się szeroko. — Świetnie wyglądasz!

Przeczesałam ręką włosy, rozciągam rękaw swojego swetra i mamroczę podziękowania z głową wbitą w ziemię. Słyszając komplementy, zawsze czuję się zakłopotana. Z drugiej strony, Babs mówi coś miłego tylko wtedy, gdy tak uważa. No i kiedy człowiek wygląda jak straszycło, wówczas z przyjemnością — i ja wiem o tym aż za dobrze — to mówi.

— Poważnie — ciągnie, kiedy pędzę do kuchni — wyglądasz, wyglądasz... nie wiem, co to jest, nie wyglądasz już taka... wyschnięta. To znaczy...

— Dziękuję ci bardzo. — Moja przyjaciółka gorączkowo zaczesuje rękami wszystkie włosy do przodu, aż jej twarz zaczyna ginać w ich gąszczu.

— Nie chowaj się za nimi, pokaż się — rozkazuję. — Wiem, co chciałaś powiedzieć.

Odrzuca włosy do tyłu, zwiesza głowę i mówi:

— Chciałam cię przeprosić za to, co mówiłam w niedzielę.

Odwracam się od kredensu.

— Przestań, Babs! Zasłużyłam na takie słowa. Nie będę przed tobą niczego ukrywać. Twoje zaręczyny stanowiły dla mnie potężny szok — drugi pod względem ciężaru w moim życiu. Nie chciałam stracić przyjaciółki. Kiedy odszedł od nas tata... od tego czasu wszystko się pochrzańiło. Wiem, że to śmieszne! Zdaję sobie sprawę, że wszystko się zmieniło — choć, jak widać, nie miałam na to ochoty. Dla mnie zmiana kojarzy się ze stratą, gdyż często to oznacza... po prostu zmianę. Chyba kiedy poszłam do Pitcher&Piano, żeby pomóc ci w zakupach ślubnych, poczułam się potrzebna. A co się tyczy Simona to... — postanawiam być miłosierna — nie potrafił się oprzeć. Sprawiał ci wiele bólu i przepraszam za to.

— Posłuchaj, Nat — oświadcza — życie idzie do przodu. Ale przecież wiesz w głębi serca, że zawsze będę cię uważać za swoją najlepszą przyjaciółkę.

Ze wzruszenia poczułam, jak serce mi się ściska. Mam ochotę złapać się za brzuch i wydać jęk z głębi duszy. Ale zamiast tego spokojnie nalewam wodę do czajnika.

— No — odpowiadam — i wzajemnie. Babs chrząka.

— Wiesz co — wykrzykuje i odsuwa z hałasem krzesło, nie przejmując się moimi sąsiadami. — Zmieniłaś się. Nie chodzi mi o wygląd.

— Czy twoim zdaniem nie mam za wiele u góry?

— No wiesz, kształtami nigdy nie przypominałaś Dolly Parton, ale ludzie o niskim wzroście nie rzucają się tak bardzo w oczy. Zresztą nadal jesteś bardzo chuda, ale wydajesz się...

— Jesteś bardzo miła, Babs, ale ja mówię o swoich włosach.

— O swoich włosach? Aha! Masz bardzo ładne włosy, przynajmniej z tej odległości. A co miałyby być z nimi nie w porządku?

— Zaczęły mi wypadać. Czy nie wyglądają na rzadkie albo delikatne?

— Nie. Chociaż ci wychodzą, sprawiają wrażenie zdrowych. Ty wariatko! No co się stało?

Babs przechyla się na krzesło, które opiera się na dwóch nogach, a ja czuję przymus, by ją ostrzec (nie przechylaj się tak!).

— Chcę tylko wiedzieć — mówi — dlaczego tak nagle się zmieniłaś? Ta kuchnia — pokazuje głową na dwie brudne filiżanki po kawie, stojące na nieskazitelnym stole — klei się od brudu. A ty sama sprawiasz wrażenie... pewniejszej siebie. Nie krytykuję tego.

— Tak uważasz? — pytam z radością. — Uczę się, żeby się wszystkim tak nie przejmować. Do licha, ja...

— Cofam te słowa — oświadcza z uśmiechem. — Nic się nie zmieniłaś. Nadal mówisz „do licha”. — A potem dodaje jeszcze: — Czy to znaczy, że zaraz spytasz, czy chcę jogurt do herbaty?

Robię minę, jakby mnie wessał tunel aerodynamiczny.

— A czy kiedyś cię o to pytałam? No to przepraszam. Chciałam tylko spytać, czy chcesz biszkopty?

— Spytałaś i ja spytam. A jakie?

— Takie z gorzką czekoladą na dobre trawienie.

— Hm. No dobra. Choć, na przyszłość, to wolę takie tylko z mleczną czekoladą.

— To tak jak ja — odpowiadam. Babs robi zdziwioną minę.

— No i dlatego je kupiłam.

— Dobrze — mówi powoli, jak się tłumaczy dziecku, które jest za duże, by upierać się, że ma niewidzialnego przyjaciela.

— Chociaż, muszę to powiedzieć: jestem pod wrażeniem, że kupiłaś je najpierw.

Nie zgadzam się. Nawet kiedy byłam w okropnym nastroju, zawsze kupowałam biszkopty. Choć ich wcale nie jadłam. Wciskałam je do blaszanej puszki i stawiałam na najwyższą półkę w kredensie. Czekały tam dla gości albo dla mnie, żebym mogła sobie na nie popatrzeć lub powąchać. Tak jak matka, która wacha ubranie zmarłego dziecka. Skąd takie skojarzenia?

— Przestałam się kontrolować — odpowiadam przekornie.

— Lekarz mi zalecił. Chyba oszalałam, jak robiłam te zakupy. Babs kiwa głową.

— Jestem pod wrażeniem. Nic już więcej nie powiem. Naprawdę. A czyja — puka palcami po stole — jest ta olbrzymia, srebrna obręczka? Hm, czy ty, hm, pogodziłaś się z Chrisem?

— Och, nie! — wykrzykuję. — Już dawno o nim zapomniałam. Nie, obręczka należy do Saula, jeśli jesteś zdolna w to uwierzyć.

— Saula? — pytam zdumiona. — Co takiego! Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

— Nie rozmawialiśmy ze sobą — przypominam. — Ale to nie tak, jak myślisz! Nie uprawialiśmy seksu. Postanowił umówić się ze mną, żeby dać mi nauczkę, pochwalić się swoim nowym wyglądem — doskonałym, umięśnionym ciałem. Od dnia kiedy ze sobą zerwaliśmy, zmienił się. Rze-

czywiście, kiedy teraz się nad tym zastanowię, dochodzę do wniosku, że prosto z Oxo Tower pobiegł na siłownię i nie wychodził z niej.

Babs robi zdumioną minę.

— Saul? A to cwaniak! Popatrz — udowodnił, jak bardzo mu na tobie zależy. Nie okłamujesz mnie? Ale nie dałaś się na to nabrać, prawda?

— No pewnie. Nie zadziało. Ponieważ ten seksowny nowy Saul jest połączony z charakterem starego.

— Biedny Saul! — oświadcza łagodnym głosem moja przyjaciółka. — No to jak się miewa nasz młody ramol? O rany, kolejna sprawa, z powodu której mam wyrzuty sumienia. Namawiałam cię, żebyś trzymała się tego Bowcocka.

Rzucam jej zdumione spojrzenie.

— Czy... czy ty rozumiałaś, że to robiłaś?

Babs macza ciasteczko w herbacie (instynktownie zaciskam palce u nóg — przypomniało mi się, jak kiedyś przeprowadzała eksperyment, aby zbadać, ile takich czekoladowych ciastek zmieści się w szklance herbaty, zanim przemienia się w brejowate tiramisu dla ubogich. Wynik: dziesięć i pół). Po chwili oświadcza:

— Dopiero kiedy sobie to przemyślałam. Uzmysłowiłam sobie, że jakoś za bardzo mi zależy, żebyś została z porządnym Saulem. Chyba w ten sposób chciałam zagłuszyć poczucie winy związane z moim zamążpójściem.

— Daj spokój. A jak ci się układa z Simonem? Jeśli to sprawa osobista, to nie mów.

Gestem daje do zrozumienia, że uważa moją uwagę za niepotrzebną, uśmiecha się — przypominając sobie coś — po czym oznajmia:

— Teraz już lepiej. Powoli do przodu. Na razie nie jest super. Nikt cię nie uprzedzał, że małżeństwo to codzienna szarzyzna. Nawet jeśli przedtem mieszkało się razem, a z nami przecież tak nie było, to pod względem emocjonalnym i psychologicznym sytuacja radykalnie się zmienia. Wiem, że brzmi to trochę staroświecko, ale tak naprawdę jest. Różnice są kolosalne. Nie chodzi o mnie — wiem, czego chcę, zawsze wiedziałam. Nigdy nie zawracałam sobie głowy tym, co inni pomyślą — ale Simon jest taki niepewny siebie, niezdecydowany. On nadal jest — i mogłabym powiedzieć mu to prosto w twarz — niedojrzały pod tym względem. On sam zresztą się do tego przyznaje. Muszę przyznać, że robi postępy. Zabawna rzecz! Człowiek sobie myśli, że doskonale się rozumie z drugą połową. Uważa, że może z nią o wszystkim porozmawiać, że wasz związek opiera się na solidnych podstawach. Człowiek jest zadowolony z siebie, ale następuje pęknięcie i zauważasz, że powstał olbrzymi, palący problem, który oboje po mistrzowsku ignorowaliście do takiego stopnia, że wydawało wam się, że nie istnieje. A potem ni stąd, ni zowąd oboje stoicie na krawędzi. Próbujecie jakoś podejść do sprawy, ale nie potraficie. Za każdym razem zabieracie się delikatnie do rozmowy, próbujecie nad nią zapanować,

a ona wyrasta do olbrzymich rozmiarów. To trochę tak, jakbyś zapaliła zapalniczkę w rafinerii naftowej. To najbardziej przerażająca rzecz na świecie. W takiej sytuacji człowiek czuje się bezradny. Uczucie jest straszne. Nie jestem w stanie do tego przywyknąć.

— A jak — pytam z wahaniem — czuje się Simon? Czy zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo cię zranił? Czy zależy mu na uzdrowieniu waszego związku?

Babs zmusza się do uśmiechu i mruży oczy.

— Dobrze wie, co zrobił i jest mu przykro. Wiem, że mnie kocha. Widzę, jak bardzo się stara. Choć trudno mu to przychodzi. Chyba musi jeszcze zaakceptować fakt, że ja nie mam zamiaru zabraniać mu wielu rzeczy. Nadal jest niezależną osobą i może robić to, na co ma ochotę — pod warunkiem, że nie niszczy naszego związku. Facetom często wbija się do głowy taki schemat — każda żona to megiera. Tym podsycą się strach takich jak Simon, aż zaczną interpretować każde wypowiedziane przez ciebie słowo — w tym także „podaj mi sól” — jako narzekanie. A ci nieudacznicy z jego biura — którzy zatrzymali się w rozwoju na dwunastym roku życia i sądzą, że baby służą do jednego, a obdarzanie ich uczuciami jest śmieszne — podpuszczają go i jeszcze pogarszają sytuację. Znam ich dobrze. Kiedyś tam pracowałam! Zachowują się jak uczniaki.

— Wspomniałaś o tym Simonowi?

— Nasłuchał się ode mnie dość na ich temat. Próbowałam mu tłumaczyć, że jeśli byli zadowoleni ze swego życia i nie zajmowałiby się tym, co on robi, zaakceptowałiby to. Po prostu są zbyt słabi i dlatego jeśli ktoś prowadzi styl życia zupełnie inny niż oni, wówczas czują się zagrożeni. Zmusza ich to do podawania w wątpliwość ich smutnego, nieudanego życia. Dlatego dogadują mu z powodu jego małżeństwa. Przeraźliwie się boją. Próbowałam mu wytłumaczyć, że to oni mają problem, nie on.

— Uwierzył?

— Nie do końca. Zaczął się nad tym zastanawiać. Ale upiera się, że są szczęśliwi. Mimo że mają problemy z narkotykami, piciem, zaburzeniami osobowości i tak dalej. — Babs zdobywa się na błady uśmiech. Potem dodaje: — Ale powiedziałam mu coś, co nim wstrząsnęło.

— Tak?

— Straciłam cierpliwość. Powiedziałam tylko: „Posłuchaj, nie chodzi o papierek. Nie musisz zenić się ze mną. Nikt cię do tego nie zmusza. Nie musisz teraz być ze mną, to twoja decyzja. Postanowiłeś być ze mną, boiem jest nam... bo było nam ze sobą dobrze”. Chyba pomyślał sobie, że chce go rzucić. Z wrażenia aż usiadł.

— O rany! — wykrztusiłam. — No nie! Trzeba wiele czasu, by uporać się z takim problemem, Babs. Wielu lat. A on nadal jest niedojrzały. To takie trudne, niesłuchanie trudne, ale trzeba spróbować. On chyba ciebie nie...

Moja przyjaciółka potrząsa przecząco głową.

— Twierdzi, że nie. A ja mu wierzę. Masz rację. Próbowałam tylko uzmysłwić mu, że nie ma mnie na wieczność i chyba mi się udało. To stresująca i trudna sprawa, kiedy próbuje się uzdrowić chory związek, człowiek nie ma bowiem pojęcia, kiedy lub jak to się skończy. Albo czy ten trud się opłaci.

— Na pewno się opłaci. Trzeba mieć tylko anielską cierpliwość i tyle. Trzeba cały czas wkładać dużo wysiłku, nawet jeśli masz ochotę dzielić go patelnią po głowie.

— Nie podsuwaj mi żadnych pomysłów. — Marszczy czoło i dodaje: — Przez cały czas powtarzam sobie: przecież jestem mężatką! W dzień powinnam odgrywać rolę kapłanki domowego ogniska! A w nocy gorącej kochanki. Na skrzydłach miłości powinnam mknąć do domu do bulgoczących garów z chili con carne, które gotuje dla mnie kochający mężulek! A ja siedzę nerwowo wciśnięta po jednej stronie kanapy, a on po drugiej. Siedzimy sztywno, jakbyśmy kij połknęli, on z oschłym wyrazem twarzy, ja na skraju hysterii, zaciskając mocno pięści, by powstrzymać się od wrzasku i trzasknięcia drzwiami. Wiesz, że nie robiliśmy tego w naszą poślubną noc? Simon był zbyt pijany.

— Coś ci powiem — stwierdzam. — „Powinnam” to ta sama półka co „żona megiera”. To takie przygnębiające słowo. Nie wiemy, jak wyglądają związki innych ludzi. Wiadomo, wszyscy nowożeńcy prezentują uśmiechnięte buzie. Przecież wszyscy tego od nich oczekują. I dlatego ustępują przed presją ogółu. Nie mają odwagi, żeby powiedzieć: „Tak naprawdę, to nie kochaliśmy się w noc poślubną, byliśmy zbyt zmęczeni”, ci bowiem, którzy wiedzą swoje, traktują to jak fiasko. A tak naprawdę to nic szczególnego. Tak się powszechnie dzieje. W tej kwestii nie ma żadnych norm. Media serwują nam większość „powinnam”. To dobrze się sprzedaje w gazetach. A ja powinnam o tym najlepiej wiedzieć, przecież jestem specjalistką od public relations, słoneczko.

Babs wyciąga rękę i ściska moją dłoń.

— Jesteś prawdziwą przyjaciółką — oświadcza — bez dwóch zdań.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Czas albo się wlecze, albo pędzi, zależnie od okoliczności. W kościele, w synagodze czy meczecie mitręży się, minuty rozciągają się w nieskończoność. W kuchni z przyjaciółmi ogromne porcje czasu mijają niepostrzeżenie.

— Już za dwadzieścia pięć trzecia, Babs.

— Imprezujemy od trzech godzin! Nie masz nic przeciwko? A może chcesz wrócić do pracy?

Potrząsam głową, by pozbyć się choćby części wyrzutów sumienia. Przerwy na kawę mają istotne znaczenie; muszę je docenić, ja wiem, co mówię. (Ja — to słowo wzbudza moje przerażenie; przynajmniej dwa razy w tygodniu mam go po dziurki w nosie).

— Nie, nie — wykrzykuję pospiesznie. — Tak się cieszę z naszego spotkania. Możesz zostać tak długo, jak masz ochotę. Jesteś głodna?

— Tak sobie. A ty napijesz się jeszcze jednej kawy?

— No dobra. Mam pełną lodówkę. Babs, zajrzyj do środka! O, telefon dzwoni! Odbiorę.

Pędem biegnę do telefonu, a w tym czasie Babs wisi już na lodówce.

— Cześć!

— Jesteś w wyśmienitym humorze — oświadcza moja mama oskarżycielskim tonem.

— Zgadza się! — Mnie samej trudno w to uwierzyć. — Babs jest u mnie. Plotkujemy sobie.

— To miło, kochanie — odpowiada obojętnym głosem. — Mam nadzieję, że nie odrywa cię od pracy. Teraz kiedy nie masz stałej pracy, musisz postępować rozsądnie. A co u niej słyhać? Dba o siebie? Bardzo się o nią martwię. Oczywiście nic nie mówiłam Jackie, ale to nie jest odpowiednia praca dla kobiety. Nie jestem staroświecka, ale to zawód dla silnego mężczyzny...

— Mamo — staram się zachować uprzejmy ton i zamykam drzwi kopnięciem — być może Babs nie ma takiej krzepy jak facet, ale wystarczy jej siły. Musiała przejść te same testy. Jeśli nawet jest lepsza od niejednego faceta, to na dodatek musi to udowodnić.

Moja mama — która upierałaby się, że niebo jest zielone, gdyby była w złym nastroju — wydaje z siebie odgłos bardzo zbliżony do świńskiego chrząkania.

— Dobrze się czujesz? Coś się stało?

— Nic takiego, czym musiałabyś się przejmować — ripostuje. — Pytałam twego ojca, czy chce jechać ze mną do Australii — pewnie musiała najpierw przełknąć dumę, zanim wyszła z tą propozycją. Pewnie jej odmówił — a ten drań się zgodził!

— Ależ, mamo, to sup... no... chciałam powiedzieć, że to nie jest taka straszna wiadomość. Będzie fajnie pojechać z kimś... hm... kogo się zna. Nie będzie źle.

— Powiedziałam mu, że musi zamieszkać w innym hotelu. Inaczej Bóg jedyny wie, co sobie biedna Kimberli Ann pomyśli.

Ponieważ w ciągu ostatnich ośmiu lat moja mama nie okazała najmniejszej troski o to, co by sobie Kimberli Ann mogła pomyśleć (a w rzeczy samej kwestionowała, czy Kimberli Ann w ogóle myśli), podejrzewam, że pod tym nagłym niepokojem o samopoczucie Kimberli Ann kryje się chęć ukarania ojca za jego decyzję.

— Spytałam Kelly, co sądzi o jego przyjeździe i nie uwierzysz, co mi odpowiedziała.

— A co takiego?

— „Nie ma się czym przejmować!”. Nie sądziłam, że Australijczycy mogą tak powiedzieć! To ja nawiązałam znajomość, a teraz on się wpycha na chama! A Kelly kazała mi jeszcze zapakować „kąpielki”, „słonka” i „tongi” — zatkało mnie ze zdumienia! Nie miałam pojęcia, o czym ona mówi, ale wiem, na co Australijczycy mówią „tongi” i z pewnością nie mam zamiaru ich zabierać. Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć, dlatego odparłam tylko: „rozumiem” i zakończyłam temat...

— Mamo — wtrącam się zdecydowanie. — W Australii tongi to są japonki. Nie sądzę, by kazała ci zabierać stringi.

— Ojej! Teraz rozumiem! No ale i tak nie mam żadnych japonek. Ostatnio poczytałam trochę na temat Australii, dobry Boże, to prawdziwe pole minowe! Byłam zdumiona, kiedy dowiedziałam się, że tam prawie nie ma mieszkańców. Żyją tam niezliczone ilości jadowitych stworzeń, będę miała szczęście, jak wrócę żywa z tej wyprawy. Jeśli nie zjedzą mnie rekiny i nie ugryzie jakiś czerwony pajak, to może mnie śmiertelnie poparzyć pudełkowiec. Jeśli zaatakuje cię taka meduza, to umierasz w ciągu kilku sekund. Co to za barbarzyński kraj! A Susan powiedziała, że jacyś jej znajomi tam pojechali i widzieli węża, a gorączka była porażająca.

— Mamo, wszystko będzie dobrze. A tego węża to pewnie widzieli w telewizji. Poza tym wątpię, byś spotkała meduzę w pięciogwiazdkowym hotelu. Na pewno przyjemnie będzie posiedzieć na słońcu, nie miałaś wakacji od... od szesnastu lat. Przecież tak się cieszysz na ten wyjazd, nie pozwól, by tata ci go zepsuł. On nie będzie się wtrącał. Posłuchaj, a może byśmy później dokończyły tę rozmowę?

— Nie mogę dodzwonić się do Tony'ego — żali się mama zaaferowana rozmową. — Nie mam pojęcia, gdzie się schował. Może nie żyje.

— W Camden nie ma meduz. Pewnie ma jakieś spotkania.

— Natalie, nie potrafisz z tobą rozmawiać, kiedy tak się zachowujesz. Wracaj do Barbary. Porozmawiamy, kiedy pozbędziesz się tej dziecięcej beztroski.

Trach!

Wracam do kuchni z zaciśniętymi zębami. Puszczają trochę, kiedy widzę, jak Babs przeniosła wszystko z lodówki na stół i czeka cierpliwie, aż powiem: „Start”.

— Start.

Marszczy nos.

— Ciemny chleb, pomidory, sałata i serek wiejski. No to powiedz mi, Nat, jak przekonasz mnie do serka?

— Jest bardzo zdrowy.

Babs wzdycha, spoglądając na pojemnik.

— Mówi się trudno. No co? Żartowałam tylko. Serek raz, proszę!

Uśmiecham się krzywo i podaję jej pringle, które schowałam na górnej półce w kredensie (udaje, że mdleje z radości). Potem opowiadam jej o Australii.

Babs przez cały czas kiwa głową, a potem głośno klaszcze w dłonie.

— Właśnie przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł. Ty też powinnaś jechać!

— Ja! — krztuszę się chipsem.

— Tak, ty!

— Nie mogę!

— Dlaczego?

— Przecież wiesz. Mam dużo roboty.

— Ach, tak. Mówisz o delikatesach. To takie pilne.

— Och! Ty o tym? Nie, mówię o czym innym — o pracy w public relations. I pilates. To jest ważne.

— Nie czaruj!

— Ale już zaczęłam. Zapłaciłam za pierwsze pół roku.

— No i co z tego? Bierzesz prywatne lekcje, prawda?

— To prawda, ale...

— To jeśli zrobisz sobie trochę wolnego, nie będziesz za bardzo odstawać w tyle od reszty grupy.

— To prawda, ale Robin...

— Możesz wyjechać na trzy miesiące, a potem zaczniesz, gdzie przerwałaś.

— Trzy miesiące? — śmieję się. — Co ci przyszło do głowy? Mama wyjeżdża tylko na trzy tygodnie!

— No i co z tego? Mogłabyś zostać dłużej, pozwiedzałybyś Australię. To olbrzymi kraj, złotko.

— Co? Sama?

— A dlaczego nie?

— Ale to niebezpieczne podróżować samemu!

— Wyluzuj! Nie, jeśli człowiek ma głowę na karku. Poznasz wielu ludzi — wszystkich tych włóczykijów z plecakami. — Z trudem powstrzymuję swoje oburzenie. Włóczykije! I wśród nich ja!

— Nie chcesz poznać swojej bratanicy? — pyta z chytrym uśmieszkiem.

— Pewnie, że chcę.

— I zobaczyć się z tatą?

— Chyba tak.

— No i? Wzdycham.

— To wydaje się bardzo, bardzo...

— Ekscytujące? Pełne przygód? Spontaniczne?

— To prawda, ale...

— Lekkomyślne? Niepotrzebne? Nierozważne?

— No właśnie. — Kiwnęłam głową z wdzięcznością, że mnie rozumie, a potem spojrzałam na nią i zauważyłam, że się mylę.

— Wiesz co, Nat — zagaja. — Zachęcam cię, byś się nad tym zastanowiła. Nie zrobiłaś sobie rocznych wakacji, nie skorzystałaś z okazji, dziewczyno. Od kiedy cię znam, nigdy się nie obijałaś w pracy. Odsapnęłabyś sobie. Na pewno by ci się spodobało. To byłaby podróż twego życia. Wyobraź sobie! Zaslugujesz na chwilę odpoczynku. Po to się żyje. Życie to nie tylko urabianie sobie rąk po łokcie, zawsze na straży, przestrzeganie wszystkich punktów z jakiegoś bezsensownego, niepotrzebnego regulaminu.

— Ale ja sobie nie urabiam rąk po łokcie — odpowiadam z nadąsaną miną. — Ostatnio przytyłam dwa kilo. A kto za to zapłaci?

— Co ty się będziesz martwić kosztami? — wykrzykuje. — Zrobisz debet albo załatwisz sobie dodatkową kartę kredytową tak jak inni!

— No ale...

— Posłuchaj, Nat — mówi z westchnieniem. — Przepraszam cię bardzo, ale zaparkowałam samochód obok ciebie i jedynie w twoim samochodzie na całej ulicy jest otwarty i pusty schowek, jak radzi policja, by zniechęcić złodziei do włamania i kradzieży stereo. Nie możesz nawet spokojnie obejrzyć *Kawy* czy *herbaty*, by nie gryźć się, że inni robią karierę. Obawiam się już, że to nie jest normalne. Musisz ochłonać.

— Ale ja tylko...

— Tara i Kelly mieszkają w Sydney, zgadza się?

— Tak.

— W jakiej dzielnicy?

— Hm. — Marszczę nos, próbując sobie przypomnieć. — Chyba w Paddington.

— Paddington! — wykrzykuje z afektacją.

— Co ci się nie podoba?

— Wszystko w porządku. Nie ma lepszej dzielnicy! Paddington to świetne miejsce. Przyjemne kafejki i supersklepy z ciuchami. Wszędzie blisko, a poza tym niedaleko do Bondi. Ciekawa jestem, jak twojej mamie spодoba się Paddington.

— Dlaczego? — pytam podejrzliwie.

— To miejsce, gdzie wszystko się może zdarzyć — odpowiada z pochyłą nad talerzem głową. — Panuje tam atmosfera jak w San Francisco. Jest tam bardzo modne, artystyczne centrum i skupisko gejowskie. Tam jest Albiny, najbardziej znany pub dla gejów w tym mieście, co wieczór występują w nim transwestyci. To fantastyczne! Szkoda, że nie możesz jechać wcześniej, zdążyłabyś na Mardi Gras. Twojej mamie na pewno by się spodobało, to taka rodzinna impreza. Ludzie całymi rodzinami idą oglądać parady gejów, jak maszerują w obcisłych majtkach...

— Robisz to specjalnie, prawda?

— Co takiego? — pyta z szeroko otwartymi oczami.

— Za wszelką cenę chcesz mi pokazać, że muszę jechać.

— Co ty gadasz — odpowiada półgębkiem. — Po prostu służę ci za biuro turystyczne.

— Próbując wzbudzić we mnie poczucie obowiązku, by eskortować swoją matkę.

— Co takiego?

— Mam hamować ją przed zaprezentowaniem swojej drobnomieszczańskiej natury seksownym chłopcom z Paddington.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Sprawa jest poważna. Muszę to sobie przemyśleć. Babs udaje, że patrzy w talerz, ale nic z tego, nie potrafi bowiem ukryć uśmiechu, który sięga od ucha do ucha.

Wyszła o wpół do czwartej i tylko dlatego, że Simon zadzwonił i zaproponował, aby wspólnie obejrzeli jakiś film.

— Zobacz, jak się stara — stwierdzam, a ona uśmiecha się zadowolona.

— Pewnie miał na myśli jakiś z piątego programu.

Po jej wyjściu zabieram się do zmywania — nawet tych nie umytych filiżanek, którym poświęcam bardzo dużo czasu. Mycie naczyń stanowi dla mnie swoistego rodzaju terapię w małych dawkach. Choć wiem, że przyznając się do tego, dopuszczam się zdrady. Rozmawialiśmy z Babs o wszystkim, tylko nie o Andym, który teraz, jak przypuszczam, stanowi temat tabu. Poza krótką wzmianką na początku ani ona, ani ja nie wspomnieliśmy później o nim słowem. Czułam, jak budzą się we mnie dawne lęki. Mógłby zniknąć z mojego życia. Nawet jeśli facet jest zainteresowany, to i tak ze swej natury to leniwy gatunek. Ci, za których oddałoby się matkę (ściślej mówiąc, chodzi o moją matkę), w ogóle nie potrafią utrzymać znajomości. Czy można mieć jakąkolwiek nadzieję, jeśli on stroni od ciebie jak diabeł od święconej wody?

Zagryzam mocno zęby. Australia. A dlaczego miałabym nie jechać? Przecież to może być wspaniała przygoda. Nigdy żadnej nie przeżyłam (no może z wyjątkiem tej, kiedy to skradli mi numer karty kredytowej i pojechali sobie na zakupy do Hongkongu). Zawsze muszę wiedzieć z wyprzedzeniem, co robię, zanim to zrobię. Lubię ustalony program, wtedy czuję się bezpieczniej. Ale chyba nic

nie zapewnia bezpieczeństwa. Kiedyś sądziłam, że kiedy wychodzi się za mąż, człowiek zaczyna czuć się bezpiecznie. Jestem taka sama jak moja mama.

Moja mama.

Ułatwiłabym wszystkim sprawę, gdybym pojechała razem z nią i łagodziła wszelkie sytuacje. Ale nie pojadę, Babs uważa bowiem, że powinnam. Ale jeśli już pojadę, to dla siebie samej. Nie pojadę, by uwolnić się od Andy'ego. Nie będę uciekać przez miłość, Frannie by triumfowała, gdyby to doszło do jej uszu. Andy nie wpłynie na moją decyzję. Sam dokonał wyboru (a ja mu w tym tylko pomagałam) i na tym koniec. Nie chcę być z facetem, który nosi bambosze. A czy przypadkiem nie użył kiedyś określenia „bęcwał”? Co za bęcwał!

Serce mi wali głośno jak stara piłka uderzająca o beton. To nie ma z nim nic wspólnego! Australia. Przecież mogłabym pojechać. Założę się, że Robin dałby mi swoje błogosławieństwo, twierdząc, że wyjazd ma dobroczynny wpływ na rozwój osobowości czy coś w tym stylu. Uniknęłabym spotkań z Alex i nie byłoby w tym niczego niestosownego. Zdaję sobie sprawę, że w ten sposób okazuję słabość. Ale nie jestem jeszcze na tyle dojrzała, by żywić w stosunku do niej serdeczne uczucia — choć jestem na tyle niedojrzała, by to ukrywać — i wolałabym uniknąć takiego dylematu, jak długo się da. Może lepiej przez trzy miesiące wędrować z plecakiem po Australii jak żółw. Kiedy dochodzę do wniosku, że nic mnie już nie powstrzyma, uświadamiam sobie, że jest pewna przeszkoda.

Tony!

On mnie zabije! Wydrze ze mnie wnętrzości i upiecze je na żywym ogniu. Znienawidzi mnie, jeśli pojadę do Australii. Nie chce, byśmy nawiązali bliskie relacje z Tarą i Kelly. Kiedy dowie się, że mama tam jedzie, rozpęta się piekło. A co dopiero jak usłyszy, że tata będzie jej towarzyszyć. Jego ojciec chce poznać jego córkę! Kiedy nas zostawił, Tony postanowił go ukarać. Zapewniał, że obrzydzi mu ojcostwo, zrywając z nim wszelkie kontakty. (Chociaż, jeśli pozna się bliżej mojego brata, to trudno będzie uznać to za karę). Ale z Tarą sprawa nie jest do końca wyjaśniona. Na szczęście dla taty szlaban Tony'ego na kontakty z ojcem wyklucza możliwość poznania opinii syna w kwestii spotykania się z jego córką. Ale mnie na pewno powie.

Bawię się kosmykiem włosów. Teraz kiedy pomiędzy mną a Australią wyrosła przeszkoda przypominająca wyglądem mojego brata, zdecydowanie mam ochotę jechać. Z przyjemnością pojadę! Atak jest najlepszą formą obrony. Powinnam do niego zadzwonić. W swoim życiu nigdy nie atakowałam. No może jedynie sałatkę cesarską i tylko po to, by zostać pokonaną przez sos śmietankowy. A jeśli zadzwonił do mamy i już się dowiedział? Lepiej sprawdzić. Zanim zabukuję bilety, powinnam ją spytać, czy zgadza się, bym także jechała. Mama zawsze miała bzika na punkcie dbałości o konwenanse.

— Ale czy uważasz, że znajdziesz na to czas? — pyta bez żadnego wstępu.

— Chyba tak — mamroczę, tracąc dobry humor. (Wolałabym, gdyby wykrzyknęła: „Hura! Nie wierzyłam, że chcesz pojechać!”, ale niestety nie było to mi pisane).

— W tym właśnie problem, kiedy człowiek nie ma stałej pracy — wzdycha. — Jeśli zrobisz sobie przerwę, pieniądze przejdą ci obok nosa.

Lekceważę jej kaśliwe przytyki — nie jest to łatwe, kiedy jest ich kilkanaście — i próbuję przejść do kontraktu.

— Ale przecież i tak nie zarabiam kroci. — Powinnam zdobyć się na większą opryskliwość. Później poinformuję ją o swoim trzymiesięcznym urlopie.

— Mam nadzieję, moje dziecko, że są jeszcze wolne miejsca. Tak późno się obudziłaś. Australia jest bardzo popularnym miejscem.

— To polecę innym samolotem. Ale, mamo, ja nie muszę jechać! Nie pojedę, jeśli ty nie chcesz.

— Nie gadaj bzdur, kochanie! Nic takiego nie powiedziałam. Będę szczęśliwa, mając ciebie pod ręką. A Tara i Kelly strasznie się ucieszą — nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Możesz zamieszkać ze mną w pokoju. Choć to pewnie będzie pewien problem dla biura podróży. Lubią być uprzedzeni, ale — w tym momencie wzdycha — nic na to nie poradzimy, nie mogłaś o tym wiedzieć.

Chyba zaczyna odczuwać wyrzuty sumienia. Powtarzam sobie w duchu, że przeżywa chwilowy stres i dlatego oświadczam:

— Wiem, mamo, że musisz mieć swój pokój...

— Niektórym nie zostawia się zbyt dużego wyboru!

— Masz rację i doceniam twoją propozycję, ale nie sądzę, żeby to było dobre dla ciebie. Albo dla mnie — dodaję pod nosem gwoli sprawiedliwości. — No to może dowiem się, czy są jeszcze jakieś wolne pokoje — tu przytaczam jej ulubione sformułowanie — w rozsądnej cenie?

— Rozumiem, Natalie. Nie chcesz mieszkać z matką w jednym pokoju. To nie problem. Przyzwyczaiłam się już do samotności. Nie chciałabym, żebyś robiła sobie przeze mnie jakieś kłopoty. — Tu następuje pełna cierpienia pauza. — Twój ojciec chce za ciebie zapłacić.

— Nie rozumiem?

— On zapłaci.

— Ale...

— Zajrzę do przewodnika i sprawdzę, czy są w Sydney jakieś inne hotele tej sieci.

— Ale...

— Przynajmniej to może dla nas zrobić.

— Mamo...

— Nie krzycz tak, kochanie! Migrena zaczyna mi dokuczać. Ponieważ „migrena” to hasło: „i tak zrobię po swojemu”, uznaję swoją porażkę w tym temacie i przechodzę do następnego.

— A rozmawiałaś już z Tonym?

— Nie, jeszcze nie i jeśli dalej nie będzie się odzywał, dowie się o naszym wyjeździe, gdy będziemy w drodze. Moja zamrażarka jest pełna i czeka na niego. Chyba może sam przyjść i zabrać wszystko. Jego bmw ma pokaźny bagażnik, ale...

— Nie martw się, mam. Dowiem się, gdzie jest.

— Nie wiem, czy ci się uda. Ta jego sekretarka zachowuje się jak buli mastiff. A on nie odbiera komórki. Nie mam ochoty zostawiać mu wiadomości.

Mama milknie urażona zachowaniem syna i dlatego obiecuję:

— Odnajdę go.

Żegnam się i wysyłam Toniemu krótki sms:

„Kochany braciszku, jestem w ciąży z Chrisem Pomeroyem”.

Jednak nie mam dość odwagi, by go wysłać. Usuвам to zdanie i zaczynam ponownie.

„Kochany braciszku, leżę na oddziale intensywnej terapii”.

Znowu mażę i zaczynam po raz kolejny.

„Kochany braciszku, tata, mama i ja jedziemy do Australii spotkać się z Tarą i Kelly, pozdrowienia, Natalie. PS: Wszystko już załatwione!”.

Potem siadam i zaczynam dygotać ze strachu, aż wreszcie odzywa się telefon.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Zdaję sobie sprawę, że politycy to cyniczni egotyści i że zajmowanie się polityką gwarantuje zdjęcia w gazetach, jednak ciągle nie potrafię zrozumieć wyboru takiej kariery. Trzeba być superegotystą, dzień w dzień stać i przemawiać do sali nabitej ludźmi, którzy następnie śmieją się i otwarcie drwią z tego, co usłyszeli. Czy to sprawia ból? I czy nie byłby człowiek zdruzgotany? Nie poradziłabym sobie — nawet otoczona przez hordeę doradców od samooceny, którzy w trakcie przemówienia podają mi żartobliwe karteczki z tylnich ławek. Wracałabym co wieczór do domu i po drodze pochlipywała: „Nikt mnie nie lubi!”.

Mój problem polega na tym, że lubię być lubianą. Przez wszystkich bez wyjątku. Poczynając od roznosiciela gazet i listonosza, kończąc na — bardziej ambitnie — moich byłych chłopakach i krewnych. Trudno sprostać takiej ambicji. Trzeba się niezłe nagimnastykować. A nawet wówczas nie ma żadnej gwarancji. Kiedyś po pracy szłam do metra, podążając w pewnej odległości za Mirandą Morgan, tancerką z naszego baletu. Widziałam, że mnie zauważyła, ale udawała, że nie, i przyspieszyła kroku. Choć moim zdaniem to największa nudziara na świecie, płytkie intelektualnie, próżne stworzenie. Mimo to zawsze byłam wobec niej uprzejma i jej zachowanie dotknęło mnie do żywego. Ona też mnie nie lubiła! To dopiero bezczelność! Naturalnie, ja miałam swoje powody, ale ona?!

Na szczęście, już jest lepiej. Ostatnio przestało mi jakoś zależeć na ogólnej sympatii. Dzięki Bogu, listonosz i roznosiciel gazet są nadal moimi największymi fanami, ale Chris Pomeroy chyba do nich nie należy. On stanowił mój pierwszy zakręt na kursie życia. Im bardziej zależało mi, by mu się przypodobać, tym mniej mnie szanował, dlatego nie miałam żadnego bodźca do dalszych prób. Co z kolei ułatwiało mi wzbudzanie jego niechęci — przerażające, a jednocześnie zabawne doświadczenie, całkiem inne od niezdarnych gaf, które zagrażały moim relacjom z Mattem i Babs. A moją konfrontację z mamą mogłabym przyrównać do skoku z płonącego budynku z nadzieją, że ktoś mnie złapie.

Drobne rany i siniaki dodały mi odporności, jak sądzę. Zauważyłam, że jeśli bym nigdy nie rzucała wyzwania innym, doszłoby do wniosku, że dezerteruję i nie ma się o co bić. Chyba zawdzięczam tę wiedzę swojej matce. Sprzeczki, które wybuchały między mną a Andym to inna sprawa. Ten facet działał mi na nerwy w specyficzny sposób. Trudno zachować spokój, kiedy ktoś dokucza ci tak jak on. Miałam taki paskudny zwyczaj głośnego okazywania swoich emocji jak komentator sportowy. Dzięki temu nauczyłam się wyrażać siebie i swoje cierpienie; nie miałam innego wyjścia — inaczej stałabym jak słup soli, a on wydzierałby się na mnie. Ale i tak w newralgicznym momencie wstrzymywałam się. Jak widać, mój trening poszedł na marne. To ostrzeżenie, że mimo robienia postępów nie dorównywałam swemu starszemu bratu. Nigdy nie będę taka jak on — elegancki, gładki i tak bardzo pewny siebie, że zostawia za sobą świetlistą smugę, jak delfin sunący po wodzie w nocnej poświacie. Kiedy Tony zaszczyca człowieka względami, wszystko inne to marność. Człowiek zachowuje się jak kot wygrzewający się pa słońcu po obiedzie. Jego patronat jest całkowicie selektywny. Przychodzi mi do głowy takie wyrażenie: „Jego światło nad tobą rozbłyska”, to chyba fragment jakiejś modlitwy — które może wydawać się trochę „na wyrost” (jak zwykła mówić moja mama) — ale tak właśnie jest. A kiedy postanawia, że nie będzie obdarzał kogoś względami i oświecał drogi swym blaskiem, tragedia!

Podnoszę słuchawkę i witam się kulturalnie.

— O co tu, kurwa, chodzi?

— To ty, Tony — stwierdzam już zastraszonym głosem. — Mam nadzieję, że po poniedziałku czujesz się już lepiej, a twoje nerki wróciły do formy. Ja... ja tylko sobie pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć. Mama nie mogła się z tobą skontaktować.

— Nie pojedziesz!

— Ale — przysięgam sobie w duchu, że zabukuję bilet, jak tylko odłożę słuchawkę — już wszystko załatwione.

— Na słuch ci padło?!

— Nie, tylko myślałam...

— Czy prosiłem cię, żebyś myślała?

— No nie, tylko...

— Powiedz mi, czego nie zrobisz!

— Tony, ja...

— Słyszałaś, co mówiłem?

Nie odzywam się. To tak, jakby próbować przekonać osła. Po przerwie przyprawiającej mnie o drżenie kolan mój brat ponownie zabiera głos, który tym razem przypomina cichy syk:

— Zapamiętaj sobie! To, co robiłem w Australii, to moja prywatna sprawa. To nie miało nic wspólnego z naszą rodziną. Ta kobieta i ja doszliśmy do porozumienia w kwestii dziecka. Koniec. Kropka. Ona wraca do swojego życia, ja do mojego. Żadnych duperel. Żadnych pieprzonych zmarwień. Obie strony są zadowolone. A ty otwierasz jadaczkę i cały świat zaczyna się wtrącać! Nie mam na to ochoty, Natalie! Nie chcę. Rozumiesz, co mówię — pyta niedowierzającym tonem — czy jesteś na to zbyt głupia?

— Nie — odpowiadam nieszczęśliwa. — To znaczy, chciałam powiedzieć: tak. Nie.

— No to — dodaje już łagodniej — teraz powiedz, czego nie zrobisz.

— Nie pojedę do Australii — obiecuję szeptem. Po moim ostatnim zdaniu odkłada słuchawkę.

Z niedowierzaniem gapię się na telefon. Czuję, jak zaczyna we mnie kipieć złość, pienić się, aż w końcu eksploduje.

— To twoje dziecko! — drę się, patrząc na aparat. — To twoja córka, ty głupi pacanie! Masz nie po kolei, durniu, powinieneś się cieszyć! Jedziemy tam z twojego powodu!

Wachluję się ręką i nie mogę złapać tchu. Mam wielką ochotę schwycić za słuchawkę i wyzaliczyć się przed Babs. Kładę palec na przycisk, kiedy nagle przychodzi mi do głowy, że Simon już pewnie dotarł do domu i być może to nie jest odpowiednia pora na mój telefon. Krzyżuję ręce. Babs ma i tak dość własnych kłopotów. Nie wolno jej przeszkadzać w romantycznym sam na sam opowieściami o sprzeczce z Tonym.

— Co za drań! — wołam z oburzeniem. — Drań, drań, drań

— powtarzam to słowo tak długo, aż poprawia mi się humor. Potem zasznurowuję buzię i znowu wysyłam sms do tego drania.

„To twoje dziecko. Twoja córka, ty głupi pacanie. Masz nie po kolei w głowie, durniu, powinieneś się cieszyć. Jedziemy tam z twojego powodu”. (Bez wykrzykników nie wygląda tak źle, więc wysyłam).

Żuję kosmyk włosów i obgryzam paznokcie — obgryzałabym i paznokcie u nóg, gdybym tylko mogła dosięgnąć — ale telefon nie dzwoni. „Zachowaj spokój — powtarzam sobie w duchu — to klasyczne zagranie. Za chwilę się odezwie”. Siedzę nieruchomo przez piętnaście minut i wtedy dochodzi mnie przeraźliwy dzwonek u drzwi.

Dzyńńńńńńńń!

To nie Andy. Mój brat nie łapie mnie za kark, ale robi taką minę, jakby miał na to ogromną ochotę. Otwieram drzwi na centymetr, a on swoim szerokim jak taran torsem wpycha się do środka. Wciska mnie w ten sposób między drzwi a ścianę.

— Kurwa mać, przecież ci powiedziałem, że nie pojedziesz!

— wykrzykuje. — Co ty wyprawiasz, głupia, tłusta krowo!

Chyba jest leciutko zdenerwowany. Ostrożnie wysuwam się zza drzwi.

— Ja tylko...

— Zamknij się! — wydziera się na mnie. Nic na to nie poradzę, ale zauważam, że ze złości uszy zrobiły mu się czerwone. Idiotycznie wygląda i zastanawiam się, czy wie o tym — mogłoby to mu przeszkadzać podczas ważnych spotkań. Mój umysł otrząsnął się ze strachu, jak pies wychodzący z wody, i przypominają mi się jego obraźliwe słowa. Głupia. Tłusta. Krowa.

— Jak mnie nazwałeś?

— Słyszałaś — bąknął.

— No nie! — wykrzyknęłam. — Ty...

— Zamknij się — odburknął w taki sposób, jak kat powiedziałby: „przepraszam” do skazańca, któremu za chwilę ma zamiar ściąć głowę.

— Nie, to ty się zamknij — mamrocze. (To było dobre posunięcie, stwierdzam skromnie).

Zadziwiające, ale podziałało. Tony zamrugał oczami i wybełkotał:

— O co chodzi?

— Nie jestem głupia. Nie jestem tłusta i nie jestem krową, braciszku. — Trzy razy trafiłam go w splot słoneczny: raz za głupią, drugi za tłustą, a trzeci za krowę. Pokasłuje, wzdycha i wpatruje się we mnie. — Tony, mam dość gadania na ten temat — mówię z nadzieją, że nie usłyszy, jak wali mi serce. — Mam dość twojego nastawienia...

— Mysz, która ryknęła — podsumowuje pogardliwie moją wypowiedź, masując sobie kark. — Mówisz jak moja pieprzona dyrektorka ze szkoły.

— ...w stosunku do mnie, Babs, mamy, w stosunku do wszystkich kobiet. Jesteś żaloszny. Sądzisz, że sprawiasz wrażenie prawdziwego macho, ale tak nie jest. Wszyscy uważają cię za cholernego mizoginistę.

— Co ci jest, Natalie? Uchłalaś się?

— No właśnie — parsknęłam — o tym mówię.

— Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, siostrzyczko. — Próbuje teraz zastosować inną taktykę, ponieważ przestał się na mnie wydzierać.

— Właśnie, że masz. — Nagle zrzucam z siebie chłodną maskę. Teraz patrzę na niego przez bryłę lodu.

— Uspokój się, maleńka — wzdycha.

— To ty — odpowiadam — straciłeś panowanie nad sobą; drzesz się jak stara skarpeta. — (Nie będę więcej atakować w splot). Uśmiecham się, po czym dodaję: — Jadę do Australii z mamą, a także z tatą i nie mamy zamiaru pytać cię o pozwolenie, jedynie informujemy cię o naszej decyzji.

— Nie życzę sobie, żebyś jechała — cedzi przez zęby. — I nie życzę sobie, żeby on obściskał moją córkę.

— Teraz to twoja córka! Przecież nie widziałeś jej na oczy! Ty nie będziesz decydował, kto może, a kto nie może obściskać... kto może się z nią spotykać! I na dodatek, to bezsensowne lekceważenie ojca! Czy nie zauważyłeś, że stajesz się taki sam jak on? Robisz tylko sobie na złość, nikomu innemu.

— To nieprawda! — ripostuje. Ale z taką mocą, że prawie nie słyhać jego słów. — To nieprawda — powtarza głośniejszym głosem. — Dobija go, bo nie chcę się z nim widzieć — stwierdza z nachmurzoną miną. — A ja się cieszę.

Wzruszam ramionami.

— W porządku. Ale nie zdziw się, jeśli za dziesięć lat twoja córka powie to samo o tobie. Uśmiejemy się wszyscy, jak będziemy w Sydney — choć zwrot ten w dużym stopniu nie znajduje zastosowania w stosunku do mojej matki, ale należy go uznać jako *licentia poetica* — razem z Kelly i Tarą, a ty...

— Tłusta krowa — wypowiada te słowa mechanicznie, jakby myślami był gdzie indziej.

— Tony! — wykrzykuję. — Ty masz obsesję wobec grubych ludzi. Nawet jeśli nie są. Kiedy byliśmy dziećmi, zamęczałeś mnie tym epitetem, nawet jeśli figurą przypominałam antenę samochodową. Tak samo mamę. Na każdego przerzucałeś swój kompleks. Powinieneś iść w tej sprawie do jakiegoś specjalisty. O co chodzi? Byłeś gruby jako dziecko? Czy wyśmiewali się z ciebie w szkole z tego powodu? Muszę poszukać jakichś albumów ze zdjęciami i...

— Natalie! — sarknął mój brat. — Kłapiesz bez sensu. Rób, co ci się podoba. Ale jeśli pojedziesz do Australii, ostrzegam cię! Więcej się ze mną nie zobaczysz.

— Czy to obietnica? — pytam znużonym tonem. — No, to teraz wynocha!

Przy drzwiach odwraca się do mnie.

— Nigdy, ale to nigdy nie mów mi, do kogo jestem podobny. Kiedy wreszcie pojęłam, kogo miał na myśli, podkreca Beamer. Patrzę, jak znika, i zastanawiam się, czy warto było.

Cholera, zakląłam w duchu dwie minuty później. Trzeba ostrzec mamę.

— Powiedziałaś mu? — pyta ze strachem. — Myślałam, że go tylko chcesz znaleźć! Nic nie mówiłaś, że mu powiesz! Co on na to?

Podaliśmy jej cenzuralną wersję naszej rozmowy.

— Och, Natalie! — wykrzykuje i z jej tonu nie potrafię wywnioskować, czy jest rozczarowana moją postawą, czy na mnie zła, czy jedno i drugie. Czekam na burę. Zdenerwowałam brata, wtrąciłam

się w nie swoje sprawy, wyrzuciłam z domu, dlaczego nie potrafiłam trzymać języka za zębami? — Och, Natalie — wzdycha ponownie, a w jej głosie wyczuwam ubolewanie. — On jest taki wrażliwy. Ale musi dostać nauczkę.

Kiedy odkładałam słuchawkę, nie mogłam dojść do siebie. Nie jestem pewna — bo tylko to powiedziała — ale chyba stanęła po mojej stronie.

Postanawiam iść na bieżnię. Mam zbyt duży mętlik w głowie, trochę biegu uporządkuje wszystko. I uczciwie muszę przyznać, mimo kazania wygłoszonego bratu, nie jestem całkiem zadowolona, że przytyłam. Jeśli nadal będę przybierać na wadze, zacznę chodzić na siłownię, by dobrze wyglądać... to znaczy, być sprawnym. Trzeba będzie przyzwycząić się do tej większej osoby jak do pary nowych butów. Z drugiej strony, idę pobiegać, bo jeśli zostanę w domu, zacznę opychać się czerstwymi biszkoptami. Sparing z Tonym wykończył mnie psychicznie.

Zanim wyruszę na siłownię, sprawdzam rozkład zajęć — nie mam ochoty spotkać się z Alex. Dobrze się składa, ale dzisiaj nie ma kursu pilates; nigdzie jej nie widać. Jak stara znajoma zmierzam w kierunku StairMaster i staram się zachować właściwą postawę podczas biegu — co nie jest takie łatwe, jeśli człowiek najchętniej osunąłby się i padł z wyczerpania. Po pięciu minutach stania się na nogach czuję się jak galernik, dlatego rezygnuję i wyłączam aparaturę. Och, mój Boże! Nie mam już siły na bieganie. Moje serce przemieniło się w mały, zimny kamyk, umieszczony w środku wyłącznie dla parady. Wychodzę z sali i przygnębiona wracam do domu.

Kiedy wkładam klucz do zamka, słyszę, jak dzwoni telefon. W tym momencie palce mi zmiękły i klucze wypadły z rąk. W ciemności zaczynam szukać ich po omacku. Ktokolwiek to był, nie zostawił żadnej wiadomości. Wciskam 1471, nie rozpoznaję numeru, ale dochodzę do wniosku, że to nawet lepiej, i postanawiam sprawdzić.

— Czy to ty, Natalie? — odezwał się opatulony Eskimos z zadyszką. — Co za zbieg okoliczności! Właśnie do ciebie dzwoniłam.

— Ach, to ty, Mel — stwierdzam zaskoczona. Czy to Tony poprosił, by do mnie wykreśliła? By przekonała mnie, że nie warto jechać do Australii? To do niego niepodobne. Tony nie potrzebuje goryli odwalających brudną robotę, sam potrafi sobie radzić. Poza tym nikt nigdy nie nazwałby Mel „gorylem”. — Jutro do ciebie oddzwonię — obiecuję pod koniec — w sprawie *Alicji w Krainie Czarów*. Choć może już być trochę za późno...

Słyszę pociągnięcie nosem.

— Pisałam ten komunikat prasowy, a ponieważ ty także tańczysz partię Alicji, pomyślałam sobie...

Słyszę pochlipywanie.

— Mel? Mel! Co się stało? Co ci jest? Na pewno nie jest jeszcze za późno. Jestem pewna, że możemy jeszcze wcisnąć krótki wywiad...

Rozbeczała się na całego.

— Mel! Och nie, co, przepraszam, co się stało?

Kiedy wreszcie łapie powietrze, przestaje płakać i z trudem wydusza z siebie kilka słów. Zdołałam zrozumieć tylko: „nie mam okresu” i jeszcze: „taniec jest całym moim życiem”, a na końcu: „szosz parmezan”.

— Powiedziałaś: „sos parmezan”? O co tu chodzi?

— Stwierdzili, że mam niebezpiecznie niską wagę i że powinnam zacząć spożywać wszystkie te tłuczące potrawy jak: mleko półtłuste — pół litra dziennie i sos parmezan.

Ta dziewczyna jest mistrzynią suspense, ale drugiej takiej hiperhisteryczki ze świecą szukać. Czuję, jak powoli zaczyna ogarniać mnie przerażenie.

— Mel — zagajam — tak mi przykro, ale nadal nie wiem, o czym ty mówisz.

— Nikt jeszcze o tym nie wie, nawet Tony. Sądziłam, że ty potrafisz mu o tym powiedzieć.

— W związku z czym?

Z odrobiną zachęty z mojej strony dowiaduję się, że w zeszłym tygodniu Mel poślizgnęła się pod prysznicem i doznała urazu kręgosłupa. Delikatnie się uderzyła, ale ból był rozdzierający, dlatego jej współlokatorka wezwała karetkę. Prześwietlenie wykazało pęknięcie kręgu. Badanie kości potwierdziło niską gęstość, co zdaniem lekarzy spowodowało pęknięcie. To że tak łatwo do niego doszło, udowodniło, że ubytek mineralnej gęstości kości osiągnął niebezpieczny poziom. Głódówkami Mel doprowadziła swój organizm do osteoporozy. Lekarz poinformował ją: „Mogę przypuszczać, że stały, duży wysiłek znacząco zwiększy ryzyko kolejnego pęknięcia”.

Dlatego Mel nie zatańczy w *Alicji w Krainie Czarów*. A może już w ogóle nie zatańczy.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Po dwóch dniach nadal nie mogę zapomnieć o udęce Mel. W pewnym momencie wykrzyknęła nawet: „Och, Natalie! Dobrym ludziom przytrafiają się złe rzeczy!”. Miałam uczucie, jakby wsadziła mi rękę do klatki piersiowej i ścisnęła za serce tak mocno, aż zaczęło krwawić. Przeszły mnie dreszcze. Wszyscy uważają Mel za głuptasa. Ma naiwny, głupawy sposób zachowania, który podkopuje jej talent. Ludzie poklepują ją i traktują protekcjonalnie, i ja robię tak samo. Człowiek głaszcze ją po głowie, odzywa się do niej pieszczotliwie i podśmiewuje z jej dziecięcego seplenienia. Ale osteoporoza przemieniła ją w dojrzałą osobę. To okropne.

Wyrzuty sumienia i wstyd nie odbierają mi ochoty na bogate w wapno śniadanie składające się z muesli z mlekiem, niskotłuszczowego jogurtu truskawkowego ze zmiksowaną figą a do tego świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy. Mam nadzieję, że wyjdzie z tego — ale nigdy nic nie wiadomo (jak to się mówi: kiedy to, co najgorsze, jest pewnikiem, to nie można zebrać się na odwagę, by powie-

dzieć: wszystko będzie dobrze). Biedna Mel! Dwa razy próbowałam się do niej dodzwonić, by dowiedzieć się, jak się czuje, ale nie oddzwoniła. Wiem, że jest załamana, bo nie chciałam jej pomóc w przekazaniu Tony'emu tej strasznej wiadomości. Przekazać wiadomość! Dziewczyna ma złamany kręgosłup, a przejmuję się jego reakcją?

Powiedziałam, by nie traktowała go jak delikatnej rośliny. Spytała, a co będzie, jeśli przestanie ją lubić, kiedy przytyje. Odpowiedziałam, po części by ją pocieszyć, ale głównie dlatego, bo tak uważam: „Nigdy nie widziałam swojego brata zakochanego, aż do chwili kiedy cię poznał”. (Już miałam ogłosić, że to miłość od pierwszego wejrzenia, ale w ostatniej chwili wycofałam się). „Przysięgam ci, Mel, jesteś miłością jego życia. On cię uwielbia. Nigdy wcześniej tak się nie zachowywał wobec nikogo. Nigdy. I chyba nic tego nie zmieni, choćbyś nie wiem, co zrobiła”.

W tym czasie — i być może także z powodu Mel — zabukowałam bilety na samolot. Lecę jumbo jetem (razem z matką, która nie docenia tego zaszczytu) za trzy tygodnie. Bilet jest otwarty, co oznacza, że mogę wrócić, kiedy będę miała na to ochotę. Na samą myśl o białym piasku i lazurowym morzu ślina mi leci, ale nie mogę się jakoś zebrać, by kupić plecak. Wczoraj dzwoniłam do Robina, by spytać o pozwolenie, zanim zapłacę w biurze podróży. Powiedziałam mu, że jeśli się nie zgodzi, to wyskoczę tylko na dwa tygodnie, że trzymiesięczny wyjazd to nie był mój pomysł, ale wszyscy przekonywali mnie, że to będzie „superdoświadczenie”, choć jeśli sądzi, że nie powinnam przerywać kursu...

— Posłuchaj, Natalie — powiedział. — Zazwyczaj nie zachęcam swoich uczniów, by wybierali się w daleką podróż tuż po rozpoczęciu zajęć. Będziesz musiała nadrobić sześćset godzin, dlatego jeśli chcesz uczyć innych, zanim stuknie ci sto pięć lat, musisz się tego trzymać. Chcę być przekonany, że się w to zaangażowałaś. („No pewnie, że tak. No pewnie. No pewnie, nie pojedę, jeśli tylko powiesz słowo!”). No dobra. Ale musisz trzymać się czasu. Nie ma sensu, bym cię zmuszał, jeśli ty będziesz zajęta czymś innym. Tym razem zrobię wyjątek i potraktujemy pierwsze tygodnie jako trening wstępny. Po twoim powrocie zaczniemy od nowa. Chcesz teraz umówić się na sesję?

Mamroczę coś z wdzięcznością, dziękując za okazaną mi życzliwość. Nawet jeśli jestem trochę zaskoczona potraktowaniem mnie jako uczennicy ze specjalnymi potrzebami. Nieważne, umówiłam się na jutro w studiu o wpół do piątej. Wolałabym, żeby zajęcia odbyły się dzisiaj, ale dzisiaj jest squash. Mam jeszcze do napisania niewielki artykuł dla znajomego Matta. Poza tym muszę wpaść do delikatesów. Pani Edwards ma mi pokazać, jak się robi cappuccino i jak używać krajalnicy do mięsa. Postanowiłam obciąć włosy. Muszę jeszcze zadzwonić do banku, by wyrazili zgodę na debet (choć konto jest po to, by gromadzić na nim dochody, a moje rozbijanie się po świecie spowoduje odpływ gotówki z mojego rachunku w zastraszającym tempie). A jeszcze Babs i Simon prosili mnie, bym wpadła do nich na kolację, no i muszę im coś kupić. Biorąc pod uwagę stan Simona podczas naszego ostatniego spotkania, to szampan albo inny alkohol nie byłby na miejscu. Babs mówiła, bym niczego nie przy-

nosiła, ale ja i tak chcę. Byłam wzruszona i zszokowana, kiedy spytała — nigdy dotąd nie zapraszałyśmy się oficjalnie w dorosłym życiu. Wyrzucam z siebie:

— Nie czuj się zobowiązana, nie musisz mnie zapraszać! Kiedy powiedziałam te słowa, zrobiło mi się głupio. Na szczęście odebrała moje oświadczenie właściwie i odparowała:

— Nie czuj się zobowiązana, nie musisz przychodzić!

— Z przyjemnością przyjdę — odpowiadam pospiesznie i gryzę się w język, by nie zadać niewłaściwych pytań. (Ale czy to nie będzie kłopotliwe dla Simona? Czy nie będziemy wszyscy myśleli o tym incydencie w barze? Czy Babs ma coś przeciwko słoniowi w swoim składzie porcelany — czytaj: salonie?).

— Jeśli przejmujesz się Simonem, na litość boską, to niepotrzebnie — oświadcza beztrasko, kiedy kryguję się i robię minę typu „proszę, nie” do telefonu. — Bardzo mu zależy, żebyś wpadła. Chce zacząć wszystko od początku, no wiesz. Obiecał, że nie rzuci się na ciebie na kanapce!

— O kurczę! — wybełkotałam, zdumiona jej umiejętnością akceptowania niemiłej prawdy. Nie boi się chwycić byka za rogi, jeśli można to tak ująć.

— Och, przypomniało mi się — odpowiada z udawanym obrzydzeniem. — Kanapka. Nie powtarzaj nikomu.

Miałam ogromną ochotę dowiedzieć się, czy będzie Andy.

— Jeszcze ktoś przyjdzie?

— Tylko jedna osoba — odparła tajemniczo.

— Znam ją? — dopytuję się, próbując nadać swego głosowi niedbały ton.

— To niespodzianka — odparła śpiewnym tonem. — Chodzi o to, że najwyższy czas, byście podali sobie ręce i pogodzili się. Do zobaczenia o ósmej!

To na pewno będzie on!

Pędzę do fryzjera, który prowadzi zakład w Hendon, ale duszę na pewno pozostawił w Soho. Stuart jest gejem, którego Matt określiłby mianem: „pedzio”. Kiedy po raz pierwszy mnie zobaczył, spytał tylko: „Spod jakiego jesteś znaku?”, a gdy mu odpowiedziałam, że nie mam pojęcia, o której się urodziłam, kazał mi zadzwonić do matki. Kiedy się okazało, że ona nie pamięta, kazał mi się dowiedzieć i poinformować go następnym razem.

— Ascendent Merkurego — stwierdził, sepleniąc, kiedy podcinał mi włosy. Stuart udaje zainteresowanego, ale jest upokarzająco jasne, że totalnie nudzi go wszystko, co mówię. Muszę trzy razy powtarzać, by skrócił mi włosy, bo nie chce i robi nadaśaną minę. Dochodzimy do kompromisu na „fryzurę à la Beatles”. Choć brzmi to strasznie retro, to całkiem przypomina fryzurę pod miskę, jaką matka mi fundowała, kiedy miałam sześć lat.

— Wyglądasz jak elf! — stwierdza z westchnieniem Stuart.

— Super — odpowiadam odważnie.

W drodze do domu pod wpływem chwili kupuję dla Babs i Simona aparat telefoniczny w stylu lat siedemdziesiątych, dokładnie w takim samym kolorze jak zupa pomidorowa z reklamy Heinz, i ani razu nie spoglądam ekspedientce w oczy. Bez długich włosów czuję się wstydliva i bezbronna. Lżejsza, energiczniejsza i chyba — o rany — naprawdę przypominam elfa. Lecz nie jestem jeszcze gotowa do ocen ze strony ekspedientek. Z poślizgiem parkuję przed domem, ostrożnie stawiam pomarańczowy telefon na kuchennym stole — coś mi mówi, że Babs oszaleje na jego punkcie — i pędzę do łazienki. Z lustra puszcza do mnie oko blond elf. Wysuwam podbródek do przodu. Co o tym powie Andy? Przesłanie brzmi: „Pozbyłam się ciebie wraz ze swoimi włosami”. Mam nadzieję, że czyta magazyny kobiece i zrozumie to.

Oczywiście wyobraźni widzę jego twarz. Do tej pory byłam twarda, ale nie potrafię się opierać. Otwieram drzwi do pokoju gościnnego i wchodzę ostrożnie. Panuje w nim zupełna cisza. Nad gołym materacem zwisa smutno błyszcząca kula. Ten widok wzbudza we mnie smutek. Kojarzy mi się z wesołym miasteczkiem w strumieniach deszczu. Pociągam nosem i wyczuwam śmiertelny odór. Po prostu zimny, pusty pokój. Otwieram szeroko szafę i metalowe wieszaki zaczynają brzęczeć. Padam na czworaki, żeby zajrzeć pod łóżko. Chwila, coś tam jest! Ale za daleko, nie mogę dosięgnąć. Biorę miotłę z kuchni i próbuję wyciągnąć z drugiego końca. Przechylam się przez materac, by przyjrzeć się uważniej. Bambosz! Zdeptany, brudnoszary bambosz z plastikową podeszwą! Rozmiar jednaście. Uśmiecham się, bo przypominam sobie nasze niedawne krzyki, po czym mój uśmiech blednie.

Niestety! Nie pozbyłam się go wraz ze swoimi włosami. Jeśli on i Alex będą dzisiaj na tej kolacji, to zapowiada się ciężki wieczór. Ale poradzi sobie pani, zrobi pani dobrą minę do złej gry. Przypomina mi się kuzynka mamy, która zhańbiła się — według słów mojej rodzicielki — nie chciała wziąć bowiem udziału w chrzcinach syna swojej najlepszej przyjaciółki, dlatego że sama nie mogła mieć dzieci. Poprosiła o wybaczenie, albowiem stanowiło to dla niej zbyt bolesne doświadczenie. To było dawno temu, ale wówczas matka zachowywała się tak, jakby to ona była tą najlepszą przyjaciółką. „Egoistka!”. Powinna: „Wzniesić się ponad to!”. Osobiście się z tym nie zgodziłam. Jej decyzja ewidentnie miała stanowić dla niej terapię, ale i tak jej współczułam. Próbowano zmusić ją do wzięcia udziału w uroczystości, której nie była w stanie znieść.

Jednak dzieci różnią się od dorosłych (potwierdzam). Pojadę tam i przez cały wieczór będę się uśmiechać. Siadam przy biurku, wystukuję komunikat prasowy — 150 funtów, jest! — i zastanawiam się nad swoją sytuacją. Public relations z doskoku i parzenie cappuccino to nie jest kiepskie życie. Jednak w takim układzie nie ma co liczyć, że do trzydziestki zostanę milionerką. A kim zostanę? Wszystkie najlepsze pomysły już się ulotniły. Kumpel Simona dorabia sobie w biurze podróży, obwoząc japońskich turystów po Totteridge swoim samochodem. Jeszcze inny pracuje nad musicalem *Houdini*. Ale za pięć lat będę mogła prowadzić zajęcia z pilates we własnym studiu. W sumie mogłabym

przerobić pokój gościnny. Choć wiem, że satysfakcja nie przyniesie mi pieniędzy, ale sama myśl o tym wywołuje uśmiech na twarzy.

Rozmarzona przyjeżdżam do delikatesów. Jackie zaproponowała, aby spotkać się o wpół do szóstej, to najlepsza pora — nie ma wielu klientów. Przez cały czas dotykam włosów — kończą się na karku! — by sprawdzić, że to nie sen. Zanim dotrę na miejsce, muszę pozbyć się tego nawyku. Po zaparkowaniu sprawdzam w lusterku, czy nie zostały mi między zębami resztki marchewki, bo mam fioła na punkcie higieny. Kiedyś doprowadzałam Babs do furii, pytając ciągle, czy nie mam czegoś między zębami.

— Masz — odpowiadała. — Olbrzymią krewetkę.

Ale teraz nie mam nic do zarzucenia swemu uzębieniu. Wyglądam znośnie. Fajnie będzie mi się pracowało z rodzicami Babs, kiedy już do nich przywyknę. Sprzeczą się ze sobą, dokuczają, a mimo to zadziwiająco się kochają. Kiedy oglądałam *Rodziną Adamsów*, przypomniał mi się ich związek.

Pani Edwards obejmuje mnie niedźwiedzim uściskiem i mówi:

— *Ciao, bella!* — Czuję, jak zgniata mnie swoim biustem. Jej mąż siedzi przy stole pochłonięty rozmową z facetem z małymi wąsikami i macha do mnie ręką. Na ladzie stoją dwie puste filiżanki po kawie, a sala wypełnia się aromatycznym zapachem mielonej kawy. Na ścianie wisi wyblakły, obdarty plakat krzywej wieży w Pizie. Uśmiecham się głupkowato, jakbym była na kontynencie!

— Masz ochotę na cappuccino? — pyta Jackie, spoglądając na mnie. — Może kanapkę? Z szynką parmeńską? Salami? O wiele lepsze od angielskiego!

— Napiłabym się czarnej kawy — oświadczam nieśmiałym głosem. — Ale za kanapkę dziękuję, Babs zaprosiła mnie na kolację.

Jackie marszczy nos i mówi:

— Dobrze by było, gdybyś coś zjadła! Chichoczę.

— A nie sądzi pani, że powinnam poczekać na dobre jedzenie do wieczora? — Zadałam to sprytne pytanie, bo wiedziałam, że ono sprowokuje ją do rozmowy na ulubiony temat. To okropne z mojej strony, ale lubię jej słuchać.

— Moja córka jest kiepską kucharką! Ludzie w tym kraju jedzą same świństwa. Niezdrowe jedzenie! Nie chce im się gotować! Barbara też nie ma na to ochoty! Tylko pizza, Domino's Pizza, zapakowana na weekend — wszyscy tacy leniwi! Anglicy cały tydzień nie mogą znaleźć nawet pół godziny na gotowanie! Jedzenie w Italia dużo smaczniejsze niż tu! Wszystko to — pokazuje na półki — dla mnie nic takiego, dla ciebie — specjały! Nie ma z czego wybierać! Jakbyś poszła do delikatesów w Italii, to zobaczyłabyś dwa razy tyle!

Wszystko to mówi, szykując olbrzymią kanapkę. Kładzie ją przede mną i przygląda mi się, jak jem. Podnoszę zuchwę prostopadle jak wąż, inaczej bym jej nie pochłonęła. Pomiedzy kor lejnymi kęsami próbuję uśmiechać się uspokajająco (bardziej ze względu na siebie niż na Jackie, każde nie prze-

widziane planem jedzenie musi bowiem mieć swoje uzasadnienie, a dopóki nie dojdę do wniosku, że nie jadłam dzisiaj lunchu, nie mogę przełknąć kęsa). Kiedy już skończyłam z wszystkimi obliczeniami, zaczynam jeść ze smakiem. A ponieważ jest to niewątpliwie w stu procentach kanapka niebrytyjska — zarówno pod względem wielkości, jak i wyglądu i smaku — nachodzą mnie niepokojące myśli.

— A co będzie, jeśli klienci poproszą mnie, żebym im coś poleciła, a ja nie będę miała pojęcia, co to jest? — mamroczę.

— Powoli, powoli wszystkiego skosztujesz — odpowiada.

— Ale w tym sklepie jest około setki gatunków salami i sera! — wykrzykuje przestraszona.

— *Buongiorno, signora!* — wykrzykuje pan Edwards, kiedy potężna baba gramoli się do środka z oczami pożądliwie wbitymi w tiramisu. Mama Babs mruga do mnie i biegnie ją obsłużyć. Walczę ze swoją kanapką i obserwuję, jak kolejka się wydłuża.

Pani Edwards wita się z każdym wchodzącym klientem, jakby to byli jej najlepsi przyjaciele i zauważam, jak ich chłodne, urzędowe miny zmieniają się pod wpływem uśmiechu. Jej mąż przez cały czas rozmawia z wąsatym panem, którego przedstawia mi jako swojego przedstawiciela handlowego. Rzucam okiem na zegar. Jeśli mam przygotować się do kolacji, muszę już lecieć. Jestem najedzona i zdenerwowana. Zastanawiam się, czy uda mi się ukryć resztę kanapki w kieszeni, tak by nie obrazić pani Edwards, a w tym momencie słyszę za sobą głos:

— Cześć, mama! Załadowałem już samochód po sam dach. Teraz mogę ci pomóc, jeśli chcesz.

Nieruchomieję na swoim krześle. Siedzę z pochyloną głową, a ręka z kanapką zawisła mi w powietrzu. Dobry Boże, co on tutaj robi? Spoglądam w panice na drzwi, skąd wiedzie najbliższa droga ucieczki. Chyba wśliznął się tylnymi drzwiami! Nie jestem przygotowana na to spotkanie — z wyjątkiem moich włosów. Zero makijażu, niechlujna sukienka i salami między zębami! To z pewnością zrujnuje moje późniejsze *entrée!* Pospiesznie wycieram okruszyny z brody. Choć zasłania mnie lada, to jednak nie mogę przycupnąć za nią jak przestraszony zwierzak. Wstaję powoli, kiedy Jackie wskazuje na mnie palcem i nakazuje Andy'emu, by pokazał mi, jak przygotować cappuccino i całą resztę.

— Cześć — witam się. Andy gapi się na mnie, nie potrafiąc wydusić słowa.

— Ringo — oświadcza w końcu — to najlepszy perkusista na świecie.

Ręce wędrują mi do włosów. Nie mogę zrobić nachmurzonej miny, bo jego mama mogłaby mnie zobaczyć. Chowam głowę pod ładę i zastanawiam się, jak daleko mogę posunąć się w jej obecności.

— Zostawiłeś w gościnnym pokoju jeden ze swoich eleganckich kapci — zagajam grzecznie. — Przyniosę ci go wieczorem, chyba nie możesz się bez niego obyć.

— A co ma być wieczorem?

— Ojej! — wykrzykuje. — Nie zaprosili cię?

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz, wniosek z tego, że nie. Super! Teraz może mieć pewność, że nie przestaję o nim myśleć.

Bez słowa podaje mi fartuch i zaczyna szarpać i pobrzękiwać ekspresem. Oznajmiam:

— Babs z Simonem zaprosili mnie na kolację.

— Ciebie i tego cymbała.

— Kogo?

— Kogo? Nie udawaj, że nie wiesz. Chłopca ze srebrną obrączką.

— Saula? — wyduszam z nieukrywanym zdziwieniem. — A co on ma z tym wszystkim wspólnego? — Myślami wracam do przedstawienia, które dałam w kawiarni i wstyd mi się robi. — Z Saulem — oświadczam stanowczo — to już dawno skończone. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy widziałam go może ze dwa razy. Pogadaliśmy sobie o wszystkim i o niczym przy stole kuchennym — dziękuję, do widzenia, życzę wszystkiego dobrego. — Przerywam. — A od kilku tygodni mam do czynienia tylko z jednym cymbałem.

Andy wzrusza ramionami i pobrzękuje ekspresem jeszcze głośniejsze niż dotąd.

— Kawa idzie tędy, zdejmujesz to, przyciskasz tutaj, przyciskasz wyłącznik, raz dwa trzy, tu podstawiasz filiżankę, wlewasz mleko do dzbanka, tutaj przekręcasz, robi się piana, nalewasz, dodajesz trochę czekolady i już. Proste. Teraz ty spróbuj! — Uśmiecha się, choć nie można by nazwać tego uśmiechu przyjaznym.

Próbuję, ale parzę sobie tylko palec.

— Ok! — odzywam się ze złością.

— Włóż go pod kran z zimną wodą — radzi Andy, pokazując w stronę zlewu.

— Nie! — odpowiadam, choć mam na to wielką ochotę. Nie cierpię facetów, którzy przez cały czas chodzą z nadąsaną miną, a potem kiedy już czują, że wypłukali z człowieka każdy atom radości, poprawia im się nastrój. Nareszcie to powiedziałam! Bez owijania w bawełnę. Zrobiłam aluzję tak wielką jak cegła! I co dostaję w zamian? Jakby powiedział Bruce Willis: „gówno!”. Zero. W porządku. Nic się nie stało.

— A jak tam ukochana? — pytam, rzucając mu złowieszcze spojrzenie.

— Jaka ukochana?

— Nie wciskaj mi kitu! — wykrzykuję. — Nie wciskaj mi kitu — powtarzam szeptem, pani Edwards przygląda się nam bowiem przez ramię. — A znasz niejaką Alex? — syczę przez zęby. — Chyba wiesz, o kim mowa! O Sashie! O uroczej, uprzejmej, dowcipnej, bystrej, perfekcyjnej Superdziewczynie Sashie alias Alex! O tej, z którą mieszkasz! Nie słysząc żadnych weselnych dzwońców?

Ku mojej irytacji Andy zaczyna się śmiać. Widząc moją minę, przestaje.

— Od zeszłej środy mieszkam sam w starym mieszkaniu w Pimlico — warknął. — Już w kawiarni chciałem ci wytłumaczyć, jak to jest między mną i Alex, ale ty byłaś tak cholernie niecierpliwa i nie mogłaś czekać. Uciekłaś z tym cymbałem, zanim zdążyłem cokolwiek wyjaśnić.

— Z nikim nie uciekałam! — wykrzykuję, a serce wali mi jak szalone. To ty uciekłeś! Przez cały ranek czekałam, aż się do mnie odezwiesz!

— Całe rano, też masz się czym pochwalić! — wykrzyknął.

— No pewnie, jak się spędzało całe dnie w motelach na paleniu trawki! — warknęłam. — Ja mieszkam w Londynie!

— Powinnaś więcej gdzieś wychodzić! — mamrocze Andy, potrząsając głową.

Mówię cicho:

— A co twoim zdaniem mogłam sobie pomyśleć, kiedy zobaczyłam, jak wychodzicie razem?

Andy, trzeba mu to przyznać, sprawia wrażenie zawstydzonego.

— Przepraszam — odpowiada, wzdychając. — Nie przyszło mi to do głowy. Wiem, jak to mogło wyglądać. Tego wieczoru wszystko mi się pomieszało. Kiedy ją zobaczyłem po tak długim czasie, pomyślałem sobie: „Co ja robię?”. Ale przysięgam ci, Natalie, między nami do niczego nie doszło. Ona też tego nie chciała. — Zaciskam usta. Andy rzuca mi gniewne spojrzenie. — Jezu, Natalie! Nie jestem zwierzęciem! Potrafię utrzymać go w spodniach! Jestem zdolny do racjonalnego myślenia i posiadam odrobinę samokontroli. Nie wszyscy faceci myślą portkami dwadzieścia cztery godziny przez siedem dni w tygodniu! Niektórzy mają resztki oleju w głowie!

— No dobra, przecież nic nie mówiłam — mamrocze. — A poza tym zwierzęta nie noszą spodni. Nie denerwuj się. — Usiłuję się uśmiechnąć.

Andy ciągnie już spokojniejszym tonem:

— Sasha jeszcze nie może się pozbierać po swoim nieudanym małżeństwie. Tego wieczoru była porządnie wkurzona, szukała sobie ofiary, na której by mogła się wyżyć. Przez cztery godziny nie słyszałem niczego innego, jak „Mitchell to, Mitchell tamto”. Jak to ją zranił, jak to ja ją zraniłem. Przegadaliśmy całą noc, wspominając dawne czasy. Dobrze to nam zrobiło. Nie było żadnych nastrojowych momentów. Spytaj ją, jeśli mi nie wierzysz. A poza tym... — Tu przerwał i spojrzał na mnie.

W głowie zaczęło mi wirować, dlatego spojrzałam na podłogę.

— Naprawdę ostatnio więcej wychodzę — mamrocze pod nosem. — Za trzy tygodnie wybieram się do Australii.

— Och — mówi Andy. — Och, to dobrze. Dobrze ci to robi. — Milknie. — No to teraz przechodzimy do wędlin. To szynka parmeńska, prosciutto alla bonce, prosciutto cotto, słonina, bresaola, mortacela, coppa di panna, pancetta coppata, pancetta affumicata, salami milano, salame fiocco, salame felino, salame aglio, salame ventrilina, salame finocchiona, kielbaski carnevale, spianata calabrese, chorizo i kielbaski golosa, a tutaj mamy sery: pecorino romano...

— Andy — mówię cicho. — Doceniam twoje starania, ale sama potrafię odczytać etykiety. Muszę wiedzieć, jak one smakują, żebym mogła polecić je klientom, ale teraz lepiej dajmy sobie z tym spokój. Za godzinę mam być u Babs, a muszę jeszcze iść do domu przebrać się. Dzięki za to — macham do niego osmalonym palcem — że pokazałeś mi, jak się parzy cappuccino. No to na razie!

Odwracam się i żegnam z panią Edwards, która wciska mi jeszcze pudełko cantuccini con gocce di cioccolato (ciasteczka polewane chrupiącą czekoladą) na dzisiejszą kolację.

— Przynajmniej zjecie sobie coś dobrego do kawy! — Dziękuję jej i rzucając Andy'emu ostatnie spojrzenie, wychodzę ze sklepu.

— Zaokrągliłaś się na buzi! — stwierdza Frannie, wzbudzając we mnie przerażenie, jakiego jeszcze nigdy nie czułam. Stoję na schodach i przyglądam się jej zdumiona. Oto Frances Crump — w butach z poprzedniej epoki, bez śladu szminki (podobno rzymskie prostytutki malowały usta, by dać do zrozumienia, że uprawiają fellatio) — to najbardziej nieprzyjemny widok, jakiego dawno nie oglądałam. Ale nie przejmuję się jej obecnością. Moje myśli zajmuje Andy. Nie wiem, czy przytulić go czy uderzyć. Nie potrafię się zdecydować. Chyba jednak uderzyć. — A poza tym — mówi. — A poza tym...

Dlaczego nie chce dokończyć tego zdania? W zasadzie to powiedziałam mu, że ma wyłączność. W końcu udało mi się użyć ust zgodnie z ich przeznaczeniem (żeby zjeść kanapkę, mówiąc otwarcie), a on nie potrafi się wysłowić! Największy gaduła na całej ulicy i nagle zaczyna mu brakować słów! Udało mi się przełamać swój najgorszy nawyk. Czekałam na jego reakcję. A co się tyczy Alex — to byłam dla niej okropna, choć głównie w myślach. To wspaniała dziewczyna! Jutro do niej zadzwonię. Może umówimy się na drinka. Czuję wobec niej ogromną życzliwość.

— Nie miałam innego wyjścia, musiałam zaokrąglić się na buzi — odpowiadam Frannie z uśmiechem. — Natomiast twoja twarz za każdym razem, kiedy się spotykamy, coraz bardziej przypomina dynię ze święta Halloween. Czy dzieci nie zaczynają płakać na twój widok? Lekarze będą musieli nieźle się natrudzić, żeby coś z tym zrobić.

Kiedy Babs otwiera drzwi i wita się ze swymi przyjaciółkami, jedna z nich stoi tam błada z wściekłości, natomiast druga prezentuje uśmiech od ucha do ucha jak obłąkany krasnoludek — chciałam powiedzieć — elf.

— Nat — wzdycha Babs. — Masz wspaniałą fryzurę. No, no! Taką finezyjną! U kogo byłaś? Czy nie uważasz, Frannie, że jej do twarzy?

— O ile komuś może być do twarzy z fryzurą pod garnek.

— Według mnie wyglądasz zjawiskowo, Natalie — zachwyca się Babs.

— Dzięki — uśmiecham się, nie zwracając uwagi, że nazwano mnie „finezyjną”. (Czuję się jak dziewięciolatka, której dorośli chwalą sukienkę na przyjęciu). — To dla ciebie i Simona.

Kiedy Babs zachwyca się eleganckim papierem do owijania, Simon stoi za jej plecami i bawi się swoją obrączką.

— Cześć, Natalie! — wymamrotał, podając mi rękę i pochylając się do przodu, żeby cmoknąć powietrze. — Cieszę się, że cię widzę. Co u ciebie, Frannie?

— Jestem zawałona robotą — kłamie Frannie.

— Chcesz coś do picia? — pyta Simon, starając się z całych sił zachować towarzyskie konwenanse.

— Super! — wykrzykuje Babs. — Kiedyś moi rodzice mieli taki sam, tylko zielony! Zobacz, Simon! Zobacz, co nam przyniosła!

Speszony małżonek przygląda się pomarańczowemu aparatowi telefonicznemu. Po chwili wykrzywia usta w uśmiech i stwierdza:

— Świetny wybór!

Frannie, która w prezencie przyniosła kaktus, nie odzywa się słowem. Pani domu zaprasza nas do oświetlonego salonu (puszyste, rdzawe kanapy, dywany z owczej wełny, pomarańczowe lampy), wciska nam do rąk olbrzymie kielichy z czerwonym winem i wówczas cisza topnieje jak lód. Simon wszystko przygotował i, ku memu zdziwieniu, jedzenie jest wyśmienite. To dość niesamowite dla mnie doświadczenie, określać jedzenie mianem: wyśmienite.

— Kiedy byłam w delikatesach, twoja mama nie wiązała wielkich nadziei z jakością podanego tutaj menu — odpowiadam Babs, wkładając do ust niewielką ilość sałatki z grzybami — ale muszę przyznać, że twój mąż ma talent.

— Prawda? — uśmiecha się Babs, pieszczotliwie gładząc go po ramieniu. — Praktyka robi swoje. Kiedyś był z niego okropny kucharz. Ja sama jestem beznadziejna w tej dziedzinie. W kwestii kulinarnej zawsze polegałam na facetach — na facetach, mojej mamie i chłopakach ze straży.

— Imponują mi faceci, którzy potrafią gotować — oznajmia Frannie, której talerz jest już wylizany do czysta. — Chociaż kuchnia to nadal domena kobiet. Każda z nas stoi w rozkroku z jedną nogą przy kuchence, czy to jej się podoba czy nie.

— Brzmi to raczej perwersyjnie — wtrącam swoje trzy grosze. Frannie przeszywa mnie zabójczym wzrokiem.

— Lubię gotować — odzywa się Simon. — To pozwala mi się wyluzować. Poza tym małżonka docenia moje wysiłki. A co ci najbardziej smakowało?

— Hm — zastanawia się Babs. Uśmiecha się. — *Risotto con lenticchie e salamini*. Simon próbuje poznać kuchnię północnowłoską, próbując zyskać podziw mojej matki. Powiedziałam mu, że nigdy to mu się nie uda i żeby się skupił głównie na robieniu wrażenia na swojej żonie. A wracając do mojej mamy, co ci powiedziała? Chyba nie opowiadała ci znowu historii o świątecznym puddingu? (Kiedy Jackie Cirelli przyjechała po raz pierwszy do Anglii, kupiła u Harrodsa coś, co później określiła

jako „wstrętny pudding”. „Nie mam pojęcia, co to takiego — rugała swego przyszłego małżonka, który pracował wtedy w sklepie spożywczym — ale ja spróbowałam z tego, a potem rzuciłam do kosza na śmieci”. Uznał jej uczciwość i duże brązowe oczy za ujmujące i zaprosił na kolację — już bez pudingu...).

— Nie — odpowiadam. — Być może i poruszyłaby ten temat, ale w sklepie było wielu klientów i...

— Nie mogę uwierzyć własnym oczom! Ty naprawdę jesz — stwierdza Frannie, opierając się łokciem o blat stołu i pokazując nożem na mnie. — Powinnam teraz zrobić zdjęcie.

— Frannie — pyta Babs — chcesz czwartą dokładkę? — Po czym daje mi głową znak, bym kontynuowała.

— No i musiała zająć się klientami, a potem — mam wrażenie, że wypowiedzenie jego imienia wywoła go jak dzina z butelki — a potem Andy, twój brat — dodaję gwoli wyjaśnienia — wpadł po coś, ale twoja mama kazała mu, by pokazał mi, jak się robi cappuccino.

— Nie musisz nic więcej dodawać — mruczy Simon. — Pewnie poparzyłaś sobie palec na tej cholernej maszynie.

— Zgadza się! — wykrzykuję, po raz pierwszy w życiu odczuwając zadowolenie, że poparzyłam sobie palec. Simon i Babs uśmiechają się do siebie, a potem chichoczą. — Ale to nie była jego wina — dodaję pospiesznie, aby nie pomyśleli, że chcę obciążyć kogoś odpowiedzialnością. — Chciałam po prostu powiedzieć — czuję, że robię się czerwona jak to wino — że to było z jego strony bardzo miłe, że zechciał pokazać mi... bardzo się spieszył, a ja, ja, ja... zostawił u mnie swój kapeć. Czy wam wspominałam, że miałam ochotę przynieść go tutaj? — Uświadamiam sobie, że plotę bzdury. Zaczynam się jąkać i zatrzymuję się, widząc wzrok wszystkich obecnych na sobie.

Babs wciąga policzki, po czym odkłada widelec. Przez chwilę mam wrażenie, że zaraz zacznie na mnie krzyżeć. Ale jednak nie. Spogląda na mnie spod rzęs i uśmiecha się.

— Oświadczam wszem wobec — mówi przeciągle — że mój starszy brat jest prawdziwym dżentelmenem!

Frannie zbulwersowana przenosi wzrok ze mnie na Babs.

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że Natalie zarzuciła haczyk na Andy'ego? — pyta z wybałuszonymi ze złości oczami. — Na litość boską, dla nas już by żaden facet nie został!

— Miałam wrażenie, że lubisz swoją samotność — mamroczę do swego talerza.

— Każdy chce znaleźć miłość, Natalie! — odburknęła, jakby miłość to coś, co wyskoczy z szuflady kredensu, jeśli się porządnie pociągnie.

Wszyscy potulnie kiwają głowami, jednak później, kiedy Frannie jest w ubikacji, Simon szepcze do mnie i Babs:

— Natalie — zaczyna — wiem, że była między nami, hm, różnica zdań. Ale jeśli musiałbym wybierać pomiędzy tobą a Frannie — proszę, błagam cię, nie pozwól, by to była ona.

ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY

Każda miłość obwarowana jest warunkami. Trzeba tylko ustalić, na jakich warunkach będzie się kochanym. Sprawa wydaje się prosta, choć w rzeczywistości tak nie jest. Jeśli pragnie się czyjejs miłości i pragnie się, by ta miłość nie przeminęła, należy zaakceptować warunki, o których w idealnym świecie nie byłoby mowy. Kiedyś godziłam się ze wszystkim, nawet jeśli w głębi serca tego nie akceptowałam. Ale teraz jestem dużo bardziej wybredna, a co więcej, nie jestem już taka nieśmiała, że bym bała się to okazywać. Przestałam się przejmować.

Dlatego nie skontaktowałam się z Tonym i dlatego istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że razem z mamą uda nam się spędzić dwadzieścia cztery godziny zamknięte w podniebnej puszcze, ściśnięte ze sobą jak dwa kurczaki w sztucznej wylęgarni bez wzajemnych wymówek. I może też dlatego oddzwoniłam do Andy'ego. Minęło dwa i pół tygodnia od kolacji u Babs, a on zadzwonił pięć razy. A na dodatek, w zeszły piątek pojawił się na moim trawniku przed domem o drugiej nad ranem, wyśpięwując po pijanemu Toma Jonesa *It's not unusual*, a Robbie krążył wokół z ulicznym pachołkiem na głowie. Nie twierdzę, że to mnie nie wzruszyło, ale i tak wytrzymam. Wytrzymam nawet wrzaski Robbiego: „Już mam cholernie dość jego snucia się z kąta w kąt! Och, Natalie, proszę!”.

Może i to zabrzmiało idiotycznie, ale teraz jestem zajęta załatwianiem wiz, miniprzyborników do szycia i tabletek do oczyszczania wody (no, przecież nie wiadomo, jaką tam mają wodę), dlatego nie mam czasu na żadne romanse. Przynajmniej na razie. To nie takie proste próbować znowu zachowywać się jak normalny człowiek. Nadal nie daje mi spokoju obliczanie kalorii podczas każdego posiłku. Nadal czuję wyrzuty sumienia, zamartwiam się i denerwuję. Nie potrafię sobie wyobrazić tej chwili, kiedy jak gdyby nigdy nic zasiądę przed kawałkiem tortu i odpuszczę sobie te wyczerpujące ćwiczenia na rzecz jakiejś bardziej holistycznej — nigdy nie lubiłam tego słowa — metody. Ale powoli robię postępy i zamierzam dojść do pewnego punktu, kiedy niepotrzebne będzie żadne placebo. Jeśli czuję się świetnie bez Andy'ego, to i będę się czuć świetnie razem z nim. Muszę mieć pewność, że moje samopoczucie nie zależy od drugiej osoby. Ani ojca, matki, brata, Babs czy Andy'ego (choć gdyby cała piątka została zmieciona z powierzchni ziemi podczas jakiejś katastrofy, to chyba miałoby to na mnie pewien wpływ).

W związku z tym odczuwam spokój. Może to ma związek z zajęciami pilates — nie można bagatelizować sukcesu, jaki osiągnęłam, kiedy położyłam się na wymyśloną plażową piłkę i nie zgmiotłam jej — a może z faktem, że Andy nie skłamał w sprawie swojej byłej. Chyba zrozumiałam to w delikatesach. Zresztą nieważne, i tak spytałam o to Alex wprost. Zaproponowałam, byśmy poszły na

drinka. Wyłożyłam jej jeszcze raz wszystko dokładnie i ku memu zdziwieniu powiedziała, że już o tym wie. Andy poinformował ją o wszystkim po kawiarnianej kłapie. Spytałam, czy się przejęła, ale tylko roześmiała się i odparła: „A czy to miałoby jakieś znaczenie?”.

Prawdę powiedziawszy: żadne. Ani też to, że Babs nie ma zamiaru zastrzelić mnie za wtargnięcie do jej mieszkania. (Od kolacji słowem nie wspomniała o sprawie i dlatego doszłam do wniosku, że postanowiła się nie wtrącać). W tej chwili chcę uporządkować swoje sprawy i zobaczyć, co on zrobi w tym czasie. A także rozwiązać kwestie związane z: jedzeniem, ciałem, umysłem i moimi dziwactwami. Muszę być pewna, że Andy chce przede wszystkim mnie — że nie jestem dla niego wyjściem awaryjnym po zerwaniu z Alex. Potem będę wiedziała, czego ja chcę.

— Musisz kupić sobie nowe ciuchy — stwierdza Babs. — Jeśli jeszcze raz zobaczę cię w tym mdłym, różowym topie, to zerwę go z ciebie i potnę na kawałeczki. Jedź do miasta i kup sobie trochę ciuchów. Nie jakieś bezkształtne, workowate szmaty, inaczej wszystko zacznie się od początku.

— Ale — odzywam się błagalnym głosem. — Już wydałam mnóstwo pieniędzy na spodenki.

— Jakie spodenki?

— No takie zwykłe do kolan.

— Co?! Po co ci ogrodniczki?

— Babs, to nie jest główna rola w jakimś pornosie — jadę w podróż. Kupiłam praktyczne rzeczy, takie których nie trzeba prać codziennie.

— Ale pamiętaj, że też nie grasz tytułowej roli w *Zakonnicach na gigantach*. Zresztą, jeśli mowa o twoim wyjeździe, bądź tak miła i zafunduj sobie jakąś ładną bieliznę. Zgrabne majteczki dodają charakteru. I do tego nowe buty. Seksowne. Jeśli nie możesz znaleźć czegoś blisko ciebie, jedź do Selfridges. I nie zapomnij o sukience. Takiej, na widok której zatrzymują się kierowcy na ulicy. Dopiero po dziewiątej wszyscy zaczną się schodzić. Teraz jest trzecia. Masz jeszcze mnóstwo czasu. No to leć już!

Odkładam słuchawkę i sprawdzam ponownie swoją listę. Chipsy — są; marchew — jest; sos — jest; orzechy — są; sok pomarańczowy — jest; alkohol — jest; jeszcze trochę innego alkoholu — jest; alkohol o nazwie: „Gdyby zabrakło” — jest. Co jeszcze? Może powinnam kupić dodatkową rolkę papieru toaletowego? Nie pojmuję, jak mogłam dać się namówić Babs na zorganizowanie pożegnalnej imprezy? Ostatnią „uroczystą kolacją”, jaką wydawałam, było oblewanie mieszkania — katastrofa, która zapadła mi głęboko w pamięć. Goście zaczęli się schodzić dopiero przed jedenastą, a pierwszymi osobami na imprezie byli mój były ze swoją nową flama. Mama poradziła mi, żebym jeszcze nie wносиła mebli — dopiero po imprezie — w rezultacie był ogromny, przytłaczający nadmiar miejsca na osobę.

Mam nadzieję, że ten koszmar mnie czegoś nauczył. Dzisiejsza przeprawa — przepraszam, chciałam powiedzieć: przyjęcie — zostanie ograniczona przestrzennie do kuchni i salonu, dlatego nie-

zależnie jak mierna będzie frekwencja, osiągnę łudzaco gęstą koncentrację gości — nikt nie będzie mógł jej przerzedzić, wymykając się do sypialni, zarówno jedna, jak i druga zostaną bowiem zamknięte. Ostatnim razem byłam wybredna w doborze gości. Tym razem zaprosiłam każdego, kogo spotkałam na drodze życia, w tym także swoich wrogów. Niemal rozdawałam zaproszenia na ulicy. Zaprosiłam także swoich sąsiadów, żeby nie narzekali na hałas. Zastanawiałam się, czy nie wynająć kogoś z agencji towarzyskiej. Albo czy nie pożyczyć Stallone wyciętego z kartonu z wypożyczalni wideo. Moja mama, Susan i gwiazda telewizji, Martin the Raconteur znaleźli się na liście rezerwowej.

Postanawiam przestać się przejmować i zamiast tego iść na zakupy.

Dlaczego jadę do Kensington? To na drugim końcu miasta. I co ja robię, płacąc za różowe klapki z węzowej skórki? Niech ktoś mi wytłumaczy, dlaczego bawełniane spodenki kosztują pięćdziesiąt funtów? I chyba już powinnam wiedzieć, że jeśli nie są granatowe, to nie będzie mi w nich dobrze. Co mnie podkusiło, żeby dać kupę pieniędzy za przezroczystry, fioletowy top z koronkową lamówką i dwie cieniutkie tasiemki zamiast guzików? Oczywiście, w sklepie podobałam się sobie. Odchylili lustro tak bardzo, że nawet Roseanne Barr wyglądałaby na chudzielca. Brutalna prawda własnego lustra to już zupełnie inna sprawa. Wciskam się w top, potem w czarne spodnie — Jezu, ale wąskie! — i wsuwam stopy w klapki. Zagryzam wargi. Czuję się ogromna jak hipopotam. Ale wyglądam jak prawdziwa kobieta.

Ściągam wszystko z siebie i układam delikatnie na łóżku. Następnie wskakuję pod prysznic, myję głowę, wciskam się w swoje nowe, niebotycznie drogie majtki i stanik, pucuję zęby, poświęcam całe pięć minut, nakłaniając moje krótkie włosy, bym wyglądała na elfa (bardziej przypominałbym goblina niż elfa) i następne dziesięć na makijaż (nigdy nie udało mi się poświęcić na to więcej czasu — nie ma już co podkreślić i zauważam, jak moja ręka skrada się w kierunku nowinki mianem: złoty tusz do rzęs). Nie mam ochoty zastanawiać się, co teraz robią inni, jak się przygotowują — nie chcę kusić losu. Babs i Simon powiedzieli jasno. Matt obiecał, że przyjdzie — powiedziałam mu, że może przyprowadzić Pirka, może nawet przyprowadzić szczeniaki z kursu, wszystkich, którzy będą mogli zapełnić to miejsce. A także Saula. No to w sumie będzie nas pięciu plus pies, to w sumie sześciu.

W końcu zdejmuję nowy top i nakładam stary, granatowy. W tym fioletowym, przejrzystym czuję się, jakbym była wystawiona na widok publiczny. Równie dobrze mogłabym pokazać się nago. Czy powinnam zacząć przygotowywać jakieś sosy? Czy czosnkowy jest kluczem do udanego przyjęcia? Obawiam się, że nie. Zamiast tego ustawiam na stole alkohol. Może jakaś muzyka? Bezpiecznie będzie puścić Elvisa. Nikt nie odważy się sprzeciwić. Jednak prawda jest taka, że ja nie należę do jego fanów. Lubię go, ale nie lubię jego muzyki. Poza tym poznałam wielu ludzi (choćby Saula, ale postanowiłam nie podawać żadnych imion), którzy udawali, że szaleją za Elvisem, co stanowiło populistyczną przykrywkę ich smutnych, niepopulistycznych osobowości. Przekopuję swoją kolekcję płyt i wybieram Burta Bacharacha.

Najpierw wlewam sos czosnkowy do miski, a potem z powrotem do plastikowego słoja, ponieważ nie chcę sprawić wrażenia pretensjonalnej snobki (cokolwiek to miałoby znaczyć, ale podejrzewam, że sos w glinianym naczyniu oznacza właśnie to), a wtedy słyszę dzwonek. Dzięki Bogu, można będzie zacząć pić! Otwieram szeroko drzwi i...

— Chyba mnie nie zrozumiałaś! Co ty masz na sobie? — grzmi na mój widok Babs z rozwianym, błyszczącym włosom. — Prawdziwa francuska elegancja.

— Cześć — wita się z uśmiechem Simon, ubrany w niebieską, pikowaną kurtkę. — Sądziłyśmy, że zjawimy się na czas, poznamy wszystkich.

— To granatowy sweter — mówię nieśmiało.

— Właśnie widzę — stwierdza moja przyjaciółka, wdychając. — A gdzie jest ten, który kupiłaś dziś po południu?

— To jest ten.

— Bujać to my, ale nie nas! Jeszcze raz pytam — gdzie top, który kupiłaś dziś po południu?

— W moim pokoju — oznajmiam po cichu. — Skąd wiedziałaś?

— Za dobrze cię znam — odpowiada, idąc za mną korytarzem.

— Weź sobie sosu czosnkowego! — krzyczę do Simona.

— Dobra — odpowiada również krzykiem.

— No, włóż ten fioletowy — prosi Babs po obejrzeniu go. — Błagam, włóż go. Jest niesamowity! Bardzo mi się podoba! Jest suuuper! (Wydaje z siebie pisk podobny do tego, jaki wydał kot sąsiadów, kiedy niechcący nadepnęłam mu na ogon).

Wzdycham pokonana, zrzucam z siebie granatowy i nakładam fioletowy.

— Widać mi stanik — stwierdzam niezadowolona.

— Ledwo, ledwo — żartuje ze mnie Babs. — Zresztą to stanik na pokaz, musi go być widać. Poza tym impreza jest na twoją cześć. Masz prawo ubrać się, jak ci się podoba.

— Chyba jak tobie się podoba — mamrocę pod nosem, zawiązując tasiemki.

— Dzwonek! — krzyczy przesadnie. — To pewnie Mark i Ben ode mnie ze straży, ściągnęłam ich tutaj, obiecując, że będą baletnice. A Simon zaprosił kilku tych mniej kretyńskich kolegów z pracy. No to super. Wyglądasz tip-top, kochanie! Dopiero teraz widać twoją figurę!

Podenerwowana gnam do holu. Pięć minut temu jeszcze nie wiedziałam, że mam w ogóle figurę. Super, jak ktoś mówi, że wyglądam tip-top (przypuszczam, że tip-top oznacza coś miłego, a nie jakieś chińskie żarcie), ale nadal się czuję, jakbym przetrząsnęła garderobę dla dorosłych). Szeroko otwieram drzwi, a tam stoi Mel z dwiema solistkami (ona nie lubi bratać się z szarym ludem) i trzech przysadzistych facetów, którzy sprawiają wrażenie, jakby nie mogli uwierzyć w swoje szczęście.

— Śledziłyśmy te trzy ślicznotki — odzywa się jeden z uśmiechem.

— Panowie są strażakami! — wykrzykuje Mel. — Spotkaliśmy się przy stacji. Stacji metra, naturalnie. — Po tych słowach zaczyna chichotać i przekrzywia głowę jak drozd, a ja zauważam, jak trzech dorosłych facetów jest bliskich omdlenia. — Tony nie przyjdzie, nie chciał, a ja nie mogę tupnąć nogą, bo się boję, że doznam urazu kręgosłupa. Natalie, wyglądasz super! Masz śliczny top!

Postanawiam pozostawić to ostatnie zdanie bez komentarza.

— A jak tam twoje plecy? — pytam, kiedy wreszcie wchodzą gromadnie. Nie oczekiwałam, że mój brat się pojawi, ale mimo to boli.

— Okropnie — mamrocze. — Ból jest nie do zniesienia. Mam się nie przemęczać, ale nie potrafię tak żyć! Czuję się jak potężna, tłusta baba. Wczoraj cały dzień przepłakałam. Ale potem musiałam przestać, bo nie chciałam przyjść na tę imprezę ze spuchniętymi powiekami. Dzisiaj po raz pierwszy poczułam się na tyle dobrze, żeby gdzieś wyjść. Postanowiłam wziąć taksówkę i przyjechać tutaj razem z Clarą. Umówiliśmy się, że odbierzemy Isabelle ze stacji. A ona stała tam i rozmawiała ze strażakami. No to oni zapakowali się razem. Przez całą drogę dziewczyny siedziały im na kolanach. A ja przez mój kręgosłup usiadłam z przodu.

Już miałam ją zapytać, co chce do picia, kiedy jeden ze strażaków uprzedził mnie.

— Poproszę czerwone wino, Mark — odpowiada słodko Mel.

— Mam mleczko sojowe, jeśli miałabyś ochotę — oświadczam szeptem. — Dobrze robi na... na kości.

— To prawda, ale ma okropny smak. Wolę alkohol, który poza tym jest doskonałym środkiem znieczulającym — odpowiada. — A masz jakieś krzesło z prostym oparciem, żebym mogła oprzeć plecy?

Już biegnę po krzesło.

— Pewnie powiedziałaś w pracy i Tony'emu o swojej... — gorączkowo szukam w myśli jakiegoś eufemistycznego zastępnika, ale nie potrafię znaleźć — osteoporozie.

Mel kiwa głową i dodaje ze smutną miną:

— Mam zwolnienie. — Nagle zrobiły jej się na twarzy dwa dołeczki. — Ale kiedy powiedziałam Tony'emu, był taki miły! — wykrzykuje. — Taki, taki miły. Twój brat jest najmilszym facetem na świecie! Na początku miał łzy w oczach, choć próbował to przede mną ukryć, a kiedy mu powiedziałam, że kazali mi przybrać na wadze, stwierdził, że najważniejsze jest moje zdrowie i jeśli muszę przytyć, to nie mam innego wyjścia. Dla niego i tak zawsze będę najpiękniejszą kobietą na świecie bez względu na wagę. Gdyby on przytył, to chyba przestałabym go kochać, ale to miłe, że tak powiedział, nie sądzisz?

Przysłuchuję się jej słowom, a jej radosny entuzjazm prawie zwała mnie z nóg. Mimo że tak byłam pewna, że jego miłosne uczucia nie umniejszą się, jeśli gabaryty Mel się zwiększą, to przecież mogłam się pomylić. (To już się zdarzało).

— A nie mówiłam? — stwierdzam z westchnieniem, kiedy Mark podaje jej kieliszek i przysiada u jej stóp jak potężny szczeniaczek. — Będzie chodził za tobą jak cień. — Przez chwilę odczuwam coś pomiędzy zazdrością a podziwem. Bez żadnego wysiłku Mel zerwała tamę blokującą strumień miłości płynący od mojego brata. Przychodzi mi do głowy, że byłoby fajnie, gdyby jakaś kropla kapnęła na jego spragnioną rodzinę. Mówię od niechcienia: — Tony chyba o mnie nie wspominał, prawda?

— A właśnie, że tak — zaszcebiotała. — Jest wściekły na ciebie, bo jedziesz do Sydney. Powiedziałam mu, żeby przestał zachowywać się jak głuptas, ale on chyba ma ochotę jeszcze trochę się podąsać. Poza tym jeszcze jest zły, że Matt go pokonał. O, dzięki ci, Mark, jesteś kochany!

Zagryzam usta.

— Może do niego zadzwonić? Co o tym sądzisz? — pytam. Mel najpierw rzuca mi zdziwione, a nawet zszokowane spojrzenie, że proszę ją o radę, a następnie rumieni się z radości. Nawet przechyla głowę, co pomaga jej myśleć. W końcu odpowiada poważnym tonem:

— Nie. Chyba lepiej nie. Uważam — tu jej głos zaczyna drżeć od wagi odpowiedzialności — że sam do ciebie zadzwoni jeszcze przed twoim wyjazdem. Chyba nie był zbyt zadowolony, kiedy go zbeształaś. Ale pod pewnym względem to mu się spodobało. Takie jest moje zdanie.

— Dzięki, Mel — odpowiadam. — Dzięki za dobrą radę. — Mel ponownie się rumieni.

W tym momencie czuję na ramieniu ciepły dotyk i odwracam się.

— Alex! — Ledwo mogę wydusić z siebie. — Cześć! Dziękuję bardzo, że zechciałaś przyjść! — Patrzę na nią i robi mi się wstyd. Ale ona uśmiecha się do kogoś za moimi plecami. Poczulałam ukłucie serca i odwróciłam się. — Robin! — wychrypiałam. — Tak się cieszę, że przyszedłeś!

— Słyszę w twoim głosie wyraźne rozczarowanie — odpowiada kolejny gość, całując mnie w policzek.

— Coś ty! — Nic dziwnego, w teatryku w podstawówce też byłam kiepską aktorką. — Czego się napijesz? — pytam pospiesznie. — Mam sok żurawinowy, pomarańczowy, wodę mineralną...

— A piwo?

— Oczywiście! A dla ciebie, Alex?

— Białe wino z wodą sodową, jeśli... Barbara! — wykrzykuje. Po raz pierwszy widzę Alex taką podenerwowaną. — Jak się masz? Boże, ile to czasu minęło?! Słyszałam, że wyszłaś za mąż, moje gratulacje! Wiesz, w zeszłym tygodniu widziałam Andy'ego, uwierzysz? Ucieszyłam się, często o nim myślałam, hm, jako o przyjacielu, muszę dodać, że...

Zadowolona zostawiam swoich gości i wypadam na korytarz. Jak na zawołanie odzywa się dzwonek. W drzwiach stoi Matt i uśmiecha się szelmowsko. Nie jest sam. Towarzyszy mu Pirek i wysoki, przystojny facet w otoczeniu dwóch masywnych przysadzistych osiłków — takich, co to noszą bluzy do rugby, ale tak naprawdę to nie mają pojęcia o tej grze. Obaj "mają rumiane twarze o dziecięcych rysach, a w krótkich palcach ściskają papierosy B&H. Pozują przy tym na prawdziwych macho.

— Kiedyś to była trudna młodzież — mamrocze Matt, całując mnie w usta. — Wyglądasz bosko, Natalie. Wiedziałem, że zerwanie kontaktów ze mną wyjdzie ci tylko na dobre. To jest Stephen — nierób z zawodu i twoje teatralne źródło utrzymania.

— Cześć, Stephen! Nareszcie! Tyle o tobie słyszałam! Dzięki, że dałeś mi zarobić! Halo, wy dwaj chyba jesteście, hm, kolegami Simona?

— Przyjemność po mojej stronie — odpowiada z galanterią Stephen, kiedy koledzy Simona pochrząkują i wchodzą niepewnie do środka. Na szczęście nie rozpoznaję w nich uczestników koszmarnego incydentu w barze. Niestety nie potrafię wydobyć z siebie więcej słów poza zdawkowym „halo”. Jestem wdzięczna, kiedy Simon wyłania się zza moich pleców jak gołąb pocztowy — wywołując tym głośnie ożywienie („Chłopie”, „Staruszku!” — coś w tym stylu) — i prowadzi tych dwóch do zapasów alkoholu.

— Przyszła Mel — informuję Matta. — Razem z Isabelle i Clarą.

— Biedactwo! — stwierdza ze smutkiem. — Już ci mówiła? Jak się dowiedziała, to była dla niej tragedia.

— Chcesz z nimi pogadać? — pytam, by jak najlepiej zająć się swoimi gośćmi.

— Wyluzuj, Natalie! — odpowiada Matt. — Najpierw coś w siebie wleję. Może być piwko. Pamiętaj, piwko jest dobre na wszystko. A Pirek doceni smak źródlanej wody. On jest abstynentem.

— Może być Volvie, Pirek? Matt krzywi się.

— On woli Evian. Przestań panikować! Łatwo cię podejść. Poradzimy sobie. Zabawiaj gości! A ty nic nie pijesz?

Nalewa mi duży kieliszek białego wina i wdaję się ze Stephenem w rozmowę na temat teatru. Choć biorąc pod uwagę moją rozległą wiedzę na ten temat, nie będzie ona trwała zbyt długo. Dlatego cieszę się, kiedy Stephen nie pozwala mi dojść do głosu (w rzeczy samej jestem zachwycona: gość na mojej imprezie i na dodatek jeszcze mówi!). Ostatnie przedstawienie, które promował, było wspaniałym, dowcipnym spektaklem ze świetną obsadą. Ale obsadzili przystojniaka z Hollywood — „ogłędnie mówiąc, aktora klasy B” — który grał główną rolę — „żeby ściągnął tłumy do teatru” — i sam położył przedstawienie — reszta obsady była wściekła — „to było poniżej ich godności...”.

Nasza rozmowa tak mnie zajęła, że nie biegam już do drzwi za każdym razem, kiedy słyszę dźwięk dzwonka. W trakcie wkracza do pokoju Belinda ze słowami:

— Nie uwierzycie, ale widziałam Jude'a Lawa, jak wchodził do pubu! — W rękę ściska największą torebkę od Gucciego, jaką widziałam w swoim życiu — a może to walizka? Towarzyszy jej mocno opalony facet z nastroszonymi włosami i dobrodusznym uśmiechem, skierowanym z uwielbieniem w jej kierunku. Po nich przybyła Frannie z kwaśną miną (która jeszcze bardziej skwaśniała, kiedy zauważyła wielu gości, którzy na dodatek jeszcze świetnie się bawią).

O jedenastej trzydzieści osiem pojawia się Saul — facet, który taką samą wagę przywiązuje do punktualności na projekcji kinowej, jak i na ceremonii ślubnej, pojawia się z torbą chipsów i puszką coli (którą wcześniej kupił w kiosku, bo w kinie strasznie zdzierają z człowieka, i przeschmugłował ją pod połą płaszcz), zanim zaczną pokazywać reklamy. I taki facet pojawia się na mojej imprezie o jedenastej trzydzieści osiem! Zachęcam go, by usiadł. I zjawia się u mnie o jedenastej trzydzieści osiem! No, ale najważniejsze, że przyszedł. (Chris zostawia lakoniczną wiadomość na mojej sekretarce z prośbą, bym nigdy się z nim nie kontaktowała). A potem dwadzieścia minut później pojawia się ktoś w kurtce agenta FBI.

Rozmawiałam wtedy z Babs.

— Kiedy przyszedł Robbie? — pytam, zapalając papierosa.

— Dziwne, że nie wiesz. Przywitał się ze mną jakieś dwie godziny temu. Chyba chciał powiedzieć „cześć”, ale — w tym momencie kiwa głową Frannie, którą bardzo interesuje jego życie prywatne — wyszło z tego „coś mnie zatrzymało”.

Czuję, że zaschło mi w gardle.

— Sam przyszedł?

— Dlaczego pytasz?

Spoglądam na Robbiego. Zauważa mój wzrok i wykrzywia się. Przecież jestem gospodynią!

— Czy uważasz, że... obraził się na mnie?

— Czemu?

— Nieważne.

— No to pewnie — mówi z uśmiechem, pociągając łyk z puszek — nie możesz już się doczekać, kiedy pojedziesz do Sydney? A twoim zdaniem twoi rodzice wytrzymają ze sobą?

— Nie wiem — odpowiadam z westchnieniem. — To zależy od tego, czy jednocześnie będą przebywali w tym samym pomieszczeniu.

— A czy Tony zmieni zdanie i idąc za głosem serca, w ostatniej chwili wskoczy do samolotu?

— No... nie sądzę — odpowiadam.

— Kto to wie. Może!

— Dobrze wiesz, że nie — odburknęłam. — Mel uważa, że nadal jest wściekły. Zrobiłby dla niej wszystko, nawet obejrzał do końca całe *Jezioro łabędzie*, ale jednak nie przyszedł tu dzisiaj. Choć zbytnio się nie zmartwiłam! Mel ma pewność, że w końcu do mnie zadzwoni, co będzie stanowiło wielki krok w dziejach ludzkości, nie sądzisz?

Dzyyyyyyń!

— Dziwnie znajomy dźwięk — mamrocze Babs. Spokojnie zmierzam (przymusowo w różowych butach z wężowej skóry) do drzwi i otwieram je na oścież. No i proszę

— Andy!

— Tym razem — oświadczam — nie mam zamiaru odejść.

Spoglądam na niego i jak zwykle w takich momentach gardło odmawia mi posłuszeństwa. Biorę głęboki, pokrzepiający oddech i mówię:

— Nie miałam zamiaru prosić cię o to. — Robi zdumione oczy. — A tak naprawdę — dodaję — spodziewałam się, że przyjdiesz wcześniej.

Wyciągam rękę z kieszeni i odpowiada:

— Pomyślałem sobie, że poczekam do północy. Doszedłem do wniosku, że jeśli coś będzie nie tak, to po prostu zamienię się w dynię.

— W bajce to karetka zamieniła się w dynię — wyjaśniam. — Bądź precyzyjny.

Wybucham śmiechem.

— Wspaniale wyglądasz — dodaje. — Prawie cię nie poznałem.

— Dziękuję. To najmiłszy komplement, który usłyszałam, od kiedy przyszła Mel.

— Chciałem tylko powiedzieć — kiwa do mnie głową nieśmiało — że wyglądasz o niebo lepiej — szczęśliwsza i silniejsza, naprawdę. Jakbyś zaczęła o siebie dbać. Jakby świat legł ci u stóp. Może znowu powinienem odejść, jeśli takie są efekty.

Łapię go za rękę i zaczynam szybko mówić:

— Nie tak szybko, kochanie. Na razie wychodzę na prostą. Chcę być zdrowa. To będzie długa, żmudna droga. Pomyślałam, że zaoszczędzę ci tego.

Andy ściska mi mocno dłoń.

— Nie chcę, byś mi czegoś oszczędzała — oświadczam, głaszcząc mnie po rękę. — Nic, cokolwiek zrobisz, nie odstręczy mnie od ciebie.

— A jeśli będę wyjadała nutellę prosto ze słoika? Rzuca mi spojrzenie pełne dezaprobaty.

— Posłuchaj, Natalie — rzuca. — Nutellę je się właśnie prosto ze słoika. Jedzenie jej z chlebem jest po prostu nie na miejscu.

Uśmiecham się.

— No to mi ulżyło. A wczoraj — staram się zaszokować go ponurą, nie przystającą do damy prawdą — jadłam przez cały dzień, a potem jeszcze dopadłam do nutelli, a kiedy weszłam do łazienki i zobaczyłam siebie w lustrze — bez makijażu, w piżamie, z łyżką w ręku — zaczęłam zastanawiać się, czy to jest jakaś inna kobieta w tym domu, która zajada łyżką nutellę ze słoika, patrzy w lustro i jeszcze kocha siebie za to? Nie odczuwałam żadnej odrazy. Czułam się wspaniale. Przedtem chciałam, wiesz — z trudem mi przychodzi, żeby to z siebie wydusić — zachorować. Ale już mi przeszło. Byłam z tego dumna. Ale to duma pośledniego gatunku.

Spoglądam mu w oczy wyczekująco. Przez cały czas głaszczę moją rękę. Po chwili stwierdza:

— Nat, zapomnij o nutelli. Zapomnij o lustrze, zapomnij o innej kobiecie. Najważniejsze, żebyś pokochała siebie. Jeśli ktoś lubi zabijać oceloty ze względu na ich futro albo dawać klapsy dzieciom,

wtedy ma powód, by wątpić w siebie — musi zastanowić się, co z empatią wobec wszystkich żyjących stworzeń. Ale tutaj chodzi o twoją empatię wobec siebie samej — chodzi o to, czy akceptujesz siebie. Jeśli nikogo nie ranisz, to duma czy wstyd nie mają tu nic do rzeczy. — Andy przełyka ślinę. — Kiedyś — dodaje — jak byłem w college'u, obudziłem się z kacem. Szukałem po omacku butelki z wodą. Kiedy znalazłem, napiłem się, ale — przypominam sobie, że toaleta była na końcu korytarza — okazało się, że to nie była woda. Nie wracam z przyjemnością do tego wydarzenia, ale, uwierz mi, nadal się lubię.

Podnosi moją prawą rękę i po kolei, delikatnie dotyka każdego palca.

— To — mówi — wyjątkowa dłoń. Należy do wartościowej osoby. Ale kiedyś ta osoba nie dbała należycie o siebie. Nie przeczytała dokładnie instrukcji obsługi zamieszczonej przez producenta. Zaczęła siebie niszczyć. I trzeba było czasu, by zauważyła, że przestała działać i że powinna zacząć zabrać się do siebie, I choć to było olbrzymie nudziarstwo, zwracanie uwagi na nieistotne detale, tak właśnie zrobiła. I — jego głos przemienia się w szept — teraz już działa znakomicie.

Połykam łzy. Przez dłuższą chwilę patrzymy na siebie.

— Wiesz co — mówi mi do ucha — od czasów szkolnych moje nawyki higieniczne zmieniły się na lepsze. Jestem w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach pewien, że nie przyłapięz mnie na niczym.

Zaczynam chichotać.

— Królewiczu — mówię — ty to masz gadane! W twoim pokoju jeszcze jest ten ohydny kapeć. Chodź, sprawdzimy, czy jeszcze ci się podoba.
